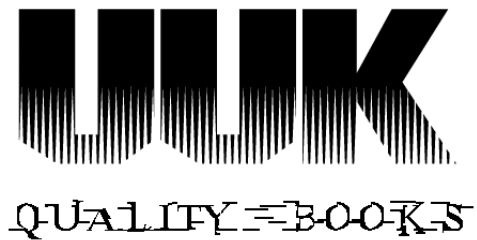


NIK PIERUMOW

Ostrze Elfów

Część pierwsza trylogii Pierścień Mroku



*Zadrży Zachód i Wschodni świat
Pojawiła się Moc w Dłoni.
Dziewięć Gwiazd — Niebieski Kwiat,
Niebieski Kwiat na Głowni.*

CZEŚĆ I

Północne Królestwo

Rozdział 1

Hobbit i krasnolud

Przed wieczorem chmury przesłaniające całe niebo nieoczekiwanie rozpieczęły się: purpurowy dysk słońca tonął w pierzynie gęstniejącej mgły, a na piasocym nieboskłonie ostro rysowały się czarne granie Gór Księżycowych. Nadchodziła ta krótka godzina, kiedy sierpniowy dzień jeszcze nie do końca ustąpił miejsca zmierzchowi, ale kontury przedmiotów w niewyjaśniony, tajemniczy sposób traciły wyrazistość. W takiej chwili drzewo wygląda jak dziwne zwierzę, krzak wydaje się przyczajonym krasnoludem, a odległy las pięknym elfim zamkiem. Nawet koguty pieją jakoś delikatniej i bardziej harmonijnie.

* * *

Wrota mostu przez Brandywinę zostały zamknięte. Na podwórzu Brandy Hallu w Bucklandzie na wysoką wieżę strażniczą wdrapał się hobbit z łukiem i kołczanem pełnym strzał. Poprawił wiszący u pasa róg sygnałowy i przemierzał w tę i z powrotem strażniczy placyk ogrodzony poręczą z grubych bierwion. Kilka mil dalej ciemniała ponura ściana Starego Lasu, ciągnącego się daleko na południe i wschód. Wartownik szczelniej owinał się wełnianym płaszczem i oparł o poręcz. Za szeregiem pierwszych drzew można było jeszcze dojrzeć prześwit Pożarowej Przecinki, ale i ją szybko ogarniał zmrok.

Na podwórzu zagrody dały się słyszeć lekkie kroki. Wartownik, odwróciwszy głowę, zauważył niewielką, nawet jak na hobbita, postać. Wrota stajni otworzyły się i hobbit zniknął we wnętrzu. Wkrótce potem wyprowadził osiodłanego kuca, wsiadł nań i niespiesznie ruszył drogą prowadzącą na północ. Mgła szybko go pochłonęła.

Znowu ten wariat po nocy się szlaja! — Wartownik splunął. — Wyobraził sobie nie wiadomo co! Naczytał się Czerwonej Księgi — i proszę bardzo... Wygląda, że nie dają mu spokoju laury Meriadoka Wspaniałego! Już trzy wieki temu odeszli za Morze zarówno stary Bilbo, jak i jego siostrzeniec Frodo... Także elfy odeszły, i krasnoludy gdzieś znikły... Nawet ludzie omijają nas z daleka... Co go tak nosi?

Myśli wartownika płynęły leniwie, podobnie jak uciążliwa, od wieków ciągnąca się służba...

Kuc wolnym kłusem przemierzał wyjeżdżoną, od dawna znajomą drogę. Zresztą, czy naprawdę znajomą? Noc władczą dłonią przekreśliła barwy dnia, przydając na czas swego panowania inne oblicze każdemu przedmiotowi i każdej żywej istocie. Oto drapieźnie wyciągają się w kierunku jeźdźca węzłaste, podobne do węży gałęzie, usiłując chwycić za ramię, wyszarpnąć z siodła... Oto krzew, który rośnie w oczach, rozwija się, puchnie — jakby z zielonych głębin pojawił się jakiś cień z lampionem w bezcielesnej, widmowej dłoni. Trzeba umieć się przed tym obronić. Hobbit ma u pasa wziętą w tajemnicy przed starszyzną beczenną gondorską klingę — tę samą, która należała do Wielkiego Meriadoka. Z taką bronią nie ma się czego bać: każda siła nieczysta ucieka na sam jej widok.

Tap-tap, tap-tap. Coraz gęstszy mrok; ręka odruchowo chwyta za broń... Pod rozłożystymi wiązami droga ostro skręca. To najgroźniejsze miejsce. Z lewej poprzez zarośla przenika widmowy blask głębokiego ciemnego stawu, otoczonego gęstwiną. Tu zawsze gromadziły się nocne ptaki; ich dziwne, niezwykłe dla hobbickiego ucha głosy brzmiały szczególnie głośno. Skulonemu w siodle hobbitowi wydawało się, że to poświstuje i pohukuje szydercza świta Dziewięciu, wieszcząc ich rychłe pojawienie się. Zamknął oczy i wyobraził sobie, jak w ciemności mkną ich konie — czarne, niczym utkane z mroku, w szczelnych klapach na oczach. Mkną, pędzą przez noc, a wiatr chłoscze i rozwiewa czarne płaszcze Jeźdźców... Uderzają o biodra długie miecze, przed którymi nie można się ani zasłonić, ani obronić; wściekłą złością płoną puste oczodoły. Czarni Jeźdźcy kierują się zapachem ciepłej krwi...

Nagle kuc parsknął i zatrzymał się. W oświetlonym księżycową poświatą prześwicie między pniami drzew pojawiła się przysadzista postać, o dwie głowy wyższa od hobbita. Nieznajomego szczelnie otulał płaszcz, widoczna była tylko ręka trzymająca długi kostur.

Hobbitowi włosy stanęły dęba. Serce skuł lodowaty strach, głos uwiązł w gardle, krzyk zamarł na wargach... Nieznajomy zrobił krok do przodu. Kuc cofnął się, szarpnął w bok i wyrzucony z siodła hobbit poturlał się po przydrożnej trawie. Rozległ się stukot kopyt — kuc pospiesznie wiał, gdzie pieprz rośnie. Zapomniawszy o całym świecie, hobbit przetoczył się na brzuch i poderwał, obnażając ostrze.

— Hej, przyjacielu! Czyś ty się blekotu objadł? Schowaj broń! — rozległ się z ciemności spokojny nosowy głos.

— Nie podchodź! — pisnął hobbit, cofając się, i wysunął przed siebie miecz.

— Stój spokojnie! Zaraz skrzeseć ognia. — Nieznajomy pochylił się, zbierając coś po poboczu. — Schowaj to ostrze!... A tak przy okazji, skąd je masz? Falisty wzór... Rękojeść z zaczepem... Pewnie gondorski?

Rozległ się suchy trzask, coś błysnęło i pojawił się wąty jęczyczek żywego płomienia. Ogień szybko się rozpałał, oświetlając twarz nieznajomego, który w końcu odrzucił kaptur. Hobbit odetchnął z ulgą. Krasnolud! Najprawdziwszy krasnolud, kropka w kropkę jak z Czerwonej Księgi! Krępy, barczysty, rumiane oblicze otoczone gęstą brodą, nos jak kartofel... Za zdobionym szerokim pasem — ciężki topór bojowy, na plecach przytroczony oskard.

— Jesteś krasnoludem? — Hobbit nieco się uspokoił, ale ostrza nie opuścił. — Skąd się tu wzięłeś? Czego szukasz?

Odzyskał mowę, ale pewności siebie jeszcze nie: wciąż cofał się, póki tył głowy nie oparł się o sztywne gałęzie przydrożnych krzewów.

— Idę z Gór Księżycowych. — Krasnolud krzątał się przy ognisku, podsycając ogienek suchymi gałązkami. — Szukam nowych żył rud. Byłem w Hobbitonie, w Delwing, teraz idę do Bucklandu... Na tamtym brzegu wskazano mi siedzibę Brandybucków; powiadają, że można u nich przenocować...

Lęk ustąpił, pozostała ciekawość i jakieś dziwne rozczarowanie: najzwyczajszy krasnolud...

— No to nie stójmy tu! — Hobbit odzyskał pewność siebie. — Chodźmy, akurat tam mieszkam.

— Więc jesteś Brandybuckiem? — Krasnolud nagle wyprostował się i z zainteresowaniem spojrzął na hobbita. — Poznajmy się. Jestem Torin, syn Dartha, a pochodzę z południa Gór Księżycowych.

— Folko, Folko Brandybuck, syn Hemfasta, do usług. — Hobbit ukłonił się z atencją, a krasnolud odpowiedział mu jeszcze niższym ukłonem.

Torin starannie zadeptał dopiero co z takim trudem rozpalone ognisko, zarzucił na ramię ciężki toból i wraz z hobbitem pomaszerował pogrążoną w mroku drogą.

Milczeli. Ciszę, która teraz nie wydawała się już hobbitowi ani pełna napięcia, ani niebezpieczna, przerwał Torin:

— Powiedz mi, Folko, czy to prawda, że przechowujecie w Brandy Hallu jedną z trzech kopii słynnej Czerwonej Księgi?

— Prawda — odpowiedział młody hobbit nieco zakłopotany. — I ją, i wiele jeszcze innych...

Urwał, przypomniawszy sobie ostrzeżenie wujaszka Paladyna: „Nikomui nie opowiadaj, że przechowujemy wiele rękopisów przywiezionych przez Wielkiego

Meriadoka z Rohanu i Gondoru!”. Wujaszek nigdy nie wyjaśnił, dlaczego powinien tak postępować; zazwyczaj tylko potwierdzał wagę swoich słów dźwięcznym klapsem.

— I wiele innych rzeczy? Czy to chciałeś powiedzieć? — podchwycił krasnolud, wpatrując się uważnie w twarz hobbita.

Ten odruchowo odwrócił się.

— No, niby tak.

— Powiedz mi, czytałeś te książki? — nie ustępował krasnolud. Teraz już nie tylko wzrok, ale i głos Torina zdradzał jego nadzwyczajne zainteresowanie Folkiem.

Hobbit nie wiedział, jak powinien postąpić: przyznać, że jest jedynym, który w ciągu ostatnich siedmiu lat wchodził do biblioteki? I że całe noce spędzał pochylony nad starymi foliantami, próbując zrozumieć wydarzenia z niewyobrażalnie odległych czasów? Że osiągnął nieprzyjemną sławę hobbita, który „nie wszystko ma po kolei”? Nie, takimi informacjami nie należy dzielić się z pierwszą napotkaną osobą.

Podeszli do bramy. Kuc nie powrócił.

Trzeba będzie jutro łązić po parowach i zagajnikach, by odszukać tego durnia — ponuro pomyślał hobbit — a jeszcze wujaszek wytarga za uszy. . .

Stracił resztki dobrego humoru.

— Folko, czy to ty? — rozległ się głos wartownika. — Gdzie podziałeś kuca, draniu jeden?! Kogo tam z tobą lichu przyniosło?

Folko pchnął furtkę i wszedł, lekceważąc pokrzykiwania. Jednakże Torin zatrzymał się i uprzejmie uklonił, zwracając się do niewyraźnej sylwetki na wieży strażniczej:

— Torin, syn Dartha, krasnolud z Gór Księżycowych — do usług. Proszę uprzejmie o pozwolenie przenocowania pod tym gościnnym dachem, znanym daleko za granicami waszego przepięknego kraju! Ulitujcie się nad zmęczonym wędrowcem, nie zostawiajcie go pod gołym niebem!

— Nie zwracaj na niego uwagi! — syknął Folko, chwytając krasnoluda za rękę. — Idź za mną i nie zatrzymuj się, bo ten gamoń cały dom obudzi!

— Hej, Krol, czego się tak wydzierasz? — krzyknął do wartownika. — On jest ze mną, wszystko w porządku. Lepiej uważaj, żebyś nie zgubił fajki, tak się rozgadałeś!

Zdecydowanie pociągnął krasnoluda przez dziedziniec.

— Jutro wszystko powiem wujaszкови! Wszystkiego się dowie! — wrzasnął oburzony Krol. — On ci pokaże. . .

Ale hobbit wraz ze swoim dziwnym towarzyszem już znikli w labiryncie przejść i komnat ogromnego domostwa.

Długimi korytarzami szli obok niezliczonych niskich drzwi, prowadzących do zachodniej części budowli. Trzypoziomowe budowle z bali, szczelnie pokrywa-

jące stoki wzgórza, były zawieszane nad brzegiem Brandywiny, tworząc coś na kształt plastrów miodu. Tu zazwyczaj osiadała młódź wolnego stanu, póki nie weszła w związki małżeńskie.

Folko pchnął jakieś drzwi i wprowadził gościa do pokoju z dwoma okrągłymi oknami wychodzącymi na rzekę. Wskazawszy Torinowi głęboki fotel przy kominie, rozdmuchał ogień i zakrzętnął się, zastawiając stół.

W zakopconym kominku tańczyły rude płomyki, które oświetliły ściany, niewielkie łóżko, stół i książki — te zajmowały całą wolną przestrzeń: wypełniały kąty, leżały pod łóżkiem, tworzyły stos na półce nad kominkiem. Stare, ciężkie folianty w skórzanych okładkach. . .

Folko przyniósł chleb, ser, wędliny, masło, warzywa, zagotował wodę w czajniku i wydobył z jakiejś skrytki napoczętą już butelkę czerwonego wina. Krasnolud jadł łączywie i hobbit, żeby mu nie przeszkadzać, odwrócił się do okna.

Widmowe światło księżyca zalewało niskie brzegi Brandywiny; w ciemnym, ponurym nurcie wody tonęły nawet odbicia gwiazd. Po przeciwnej stronie rzeki sterczały ostre czubki drzew Leśnego Zakątka, na przystani, ledwie widoczne, pełgało światelko lampionu. Folko otworzył okno i do pokoju wtargnęły odgłosy nocy: niemal niesłyszalne szemranie rzeki, szelest przybrzeżnych trzciny, cichy, ale wyraźny poszum wiatru w tysiącach koron drzew, żyjących teraz swym szczególnym nocnym życiem. Jak zwykle w takich chwilach, hobbitem zawładnął dojmujący, niewytłumaczalny smutek.

Wyobraził sobie, jak rozpoczynali swoje słynne potem wędrówki Bilbo i Frodo; pewnie też tak stali w nocy przed otwartym oknem i wpatrywali się w rozpostarty za nim zmierzch — zaledwie kilka godzin pozostało do świtu i nikt nie wie, czy sążone mu będzie powrócić. . .

Za plecami rozległo się delikatne pokastywanie. Folko otrząsnął się, odganiając nieproszony smutek, i odwrócił się do gościa, który skończył już posiłek.

— Powiedz mi, Torinie, co przywiodło cię do naszego kraju? Żył rudy nigdy tu nie odkryto. . . — odezwał się Folko.

Wszystko, co się dziś wydarzyło, wydało mu się cudownym snem, zaczarowaną bajką, która przybyła doń z mroku dalekich i magicznych lat. Krasnolud! Najprawdziwszy krasnolud siedzi oto przed nim i z przejęciem ssie fajkę! . . . Wystarczy wyciągnąć rękę, by dotknąć zadziwiających tajemnic i cudów Wielkiego Świata, o którym do dziś tylko słyszał. . .

W ciemnym, skąpo oświetlonym blaskiem ognia z kominka pokoju unosił się słodkawy dym fajkowy. Za otwartymi oknami cicho skradała się noc, zaglądając do oświetlonych okien, ale już teraz jej tajemnicze odgłosy nie przerażały hobbita.

— Potrzebna mi jest Czerwona Księga — powiedział krasnolud, wpatrując się w Folka.

Hobbit drgnął jak wyrwany ze snu.

— Po co ci ona?

— Chcę wyjaśnić, chcę zrozumieć, jak nasz świat stał się takim, jakim jest obecnie — odpowiedział Torin. — W Śródziemiu teraz niewiele się zmienia... Korzeni istniejącego bezładu należy szukać w przeszłości.

— A ciebie to tak niepokoi? U nas w Hobbitonie czas jakby się zatrzymał. Nie wiem, rzecz jasna, co się dzieje gdzie indziej...

— Gdzie indziej jest podobnie. Zbyt wielu uwierzyło, że nadszedł złoty wiek...

Folko, podkuliwszy nogi, usiadł w fotelu i wpił się błyszczącymi oczyma w krasnoluda. Ten, przymknawszy powieki, stał przy palenisku, w zamyśleniu wpatrując się w ogień.

— Coś się dzieje w naszym świecie — ciągnął krasnolud. — Od dawna już to czujemy. Wszystko zaczęło się od sztolni Morii... W porzuconych kuźniach jak dawniej stukwały ciężkie młoty; krasnoludy chciwie drążyły w głąb ziemi, polując na zanikające żyły rud. Wszystko niby szło po staremu, gdy nagle...

Długie przeciągłe wycie niespodziewanie zakłóciło nocną ciszę. Przepętniony nieludzkim smutkiem jęk przetoczył się po ciemnych brzegach Brandywiny i zamarł w oddali. Hobbit i krasnolud drgnęli i popatrzyli na siebie.

Folko skulił się w fotelu. W jednej chwili odżyły wszystkie jego lęki, przypomniał sobie, jak drżał, oczekując pojawienia się na ciemnej drodze Dziewięciu...

Krasnolud poderwał się i podbiegł do okna; wychylił się niemal do pasa i usiłował wypatrzeć coś w mroku. Potem ostrożnie obejrzał się i wrócił przed kominek; w zamyśleniu zapalił wygaszoną fajkę.

— Co to było? — Torin popatrzył na Folka.

— Skąd mam wiedzieć? — Hobbit wzruszył ramionami. — W Czerwonej Księdze powiedziane jest... Ale nie, to być nie może! Pewnie jakiś nocny ptak...

— Ptak, powiadasz... — mruknął krasnolud. — To jakiś dziwny ptak... Podobne wycie słyszałem dwa dni temu, kiedy wędrowałem w pobliżu Michel Delwing... Także wówczas było to w nocy! — Po chwili milczenia ciągnął: — Tak więc, zatrzymałem się na tym, co się dzieje w Morii. Krasnoludy ponownie zaczęły eksploatować stare wyrobiska. Wchodziły w nie coraz głębiej i głębiej, i oto pewnego razu w jednym z niższych przodków usłyszały w głębinach ziemi jakieś dźwięki i odgłosy. Z dołu bił niewytłumaczalny żar, kamienie miękły i osiadały. Wszystko drżało. Krasnoludy porzuciły oskardy i ruszyły do odwrotu, ale sklepienia zaczęły się walić, grzebiąc uciekających. Na powierzchnię udało się wydostać niewielu. Ja nie bywałem w Morii i opowiadam ci to, co usłyszałem od swoich przyjaciół, którzy szczęśliwie się uratowali. Ale groźne stały się nie tylko takie zawały — strach ogarnął wszystkich, którzy tam żyli. Nie mogli się uwolnić od lęku, jedynym wyjściem była ucieczka. — Krasnolud westchnął. — Tak to jest... A ty powiadasz — ptak...

Nastąpiła cisza, przerywana trzaskaniem drew w kominku.

Folko wpatrywał się w ogień. Krasnolud zaś mówił dalej, prawie szeptem ze skrywaną trwogą:

— Nikt nie wie i nie potrafi wyjaśnić, o co tu chodzi. Nasza starszyzna zlekceważyła opowieści uciekinierów, skrycie ciesząc się z ich nieszczęścia. Wielu z moich współplemieńców mieszkających w Górach Księżycowych zazdrościło bogactwa i umiejętności krasnoludom z Morii. Ci z nich, którzy do nas dołączyli, nie wytrzymali drwin i szyderstw i powędrowali w różne strony świata. Część ruszyła do Ereboru, innych przyjął do siebie Namiestnik Króla w Annuminas, a niektórzy dołączyli do dworu Kirdana Szkutnika. . .

Próbowałem to wyjaśnić, rozmawiałem z wieloma, wsłuchiwałem się w moję skał — i w końcu pojąłem, że w trzewiach ziemi dzieje się coś niedobrego. Zaproponowałem naszym, żebyśmy się wybrali do Morii, ale odpowiedzieli mi, że jeśli krasnoludy z Morii ogłuchły i straciły rozum ze strachu, to nas to nie dotyczy. I w ogóle, powinny staranniej szalować swoje chodniki, a nie rozpowiadać nie wiadomo co. . . — Torin machnął ręką. — Od ojca i dziada usłyszałem, że właśnie w Hobbitonie przechowywana jest Czerwona Księga, z której można się dowiedzieć o wydarzeniach ostatniej wojny. Poprzednim razem Moria zatrzęsała się właśnie wtedy. Może więc Księga da odpowiedź? . . . Dlatego znalazłem się tutaj. — Torin podniósł wzrok na hobbita. — Folko, synu Hemfasta, wiesz teraz wszystko! Pomóż mi! Czy wśród ksiąg nie ma tej, która jest mi potrzebna najbardziej ze wszystkich na świecie? Nie poskapię złota za taką przysługę!

— Nawet za całe złoto Śródziemia nie sprzedam ci Czerwonej Księgi! — Hobbit napiął mięśnie, jakby przygotowywał się do skoku.

— Ależ coś ty, coś ty! — zamachał rękami Torin. — Chciałbym tylko ją przeczytać!

— Nie mam oryginału Czerwonej Księgi — przyznał nieco zawstydzony hobbit. — Jest tylko kopia, ale najzupełniej wierna!

— Wystarczy mi kopia — zgodził się Torin. — A jeśli czytanie zajmie mi dużo czasu, to gotów jestem zapłacić za pobyt tutaj. — Krasnolud sięgnął za pazuchę.

Folko pospiesznie chwycił go za rękę.

— Nie, nie! Bądź moim gościem! Razem przeczytamy Księgę i pomyślimy o niej również razem. Poza nią mam również inne stare rękopisy. Mogą się przydać.

Krasnolud odetchnął z ulgą.

— Pewnie, będziemy mieli jeszcze czas na grzebanie w pergaminach. Opowiedz mi o swoim kraju! Przeszedłem go z jednego krańca na drugi i powiadam ci — są tu miejsca przepiękne. Syte pastwiska, zadbane sady, rumiane jabłka i taki wspaniały tytoń!

— A ty pewnie wiele podróżowałeś? — zapytał z zazdrością w głosie Folko. — Szcześcisz! Ja przez całe życie nie opuściłem Hobbitonu. . .

— Ja też dużo nie wędrowałem — odparł krasnolud. — Natomiast wielu spotykałem, zadawałem mnóstwo pytań. Wszyscy nasłuchali się opowieści o Shire, ale tylko nieliczni widzieli tę krainę. Wciąż obowiązuje prawo króla Elessara. . .

— To nam nie posłużyło — zauważył Folko. — Moi współplemieńcy i przedtem nie interesowali się zbytnio sprawami Wielkiego Świata, a po zwycięstwie w Wielkiej Wojnie, gdy całe zło zostało zniszczone na zawsze, król Elessar darował naszym dziadom nowe ziemie, które należało zagospodarować, i hobbici zapomnieli o wszystkim innym — podobnie jak twoi współplemieńcy. Staliśmy się zbyt niefrasobliwi. . . Zresztą, co to znaczy „staliśmy się” — zawsze tacy byliśmy. . .

— Ale ty jesteś inny?

— Och! . . . Jak by ci tu powiedzieć. . . Może dlatego, że bardzo wcześnie nauczyłem się czytać i że nie wychodziłem z naszej biblioteki, zanim nie przeczytałem wszystkiego przynajmniej raz. . . — Folko roześmiał się. — Często wspominałem takie sprawy, o których pozostali nawet nie chcieli myśleć: mówiłem o Hobbickim Ruszeniu, o Bitwie na Zielonych Polach. . . Najpierw się rozczulali, potem krzywo patrzyli, a w końcu zaczęli traktować mnie wrogo.

Że niby się wymądrzam. A ja dopiero zacząłem się interesować tym wszystkim. Pogłębiałem wiedzę, wypytywałem przechodniów, podobnie jak ty. I wiem, że wieści z odległych krain są coraz bardziej niepokojące i niezrozumiałe.

— Na przykład? — szybko wtrącił krasnolud.

— Na Zachodnim Gościńcu pojawili się zbóje. A przecież od wieków nie słyszano tam o nich. Na dodatek gadają, że jedna wieś napadła na drugą. Zresztą, wiadomości z daleka rzadko bywają prawdziwe, jak mawiał kiedyś król Teoden. . . Prawdy można się dowiedzieć tylko od naocznych świadków. . . No i tyle. Jeszcze powiadali, że pojawiła się banda złych krasnoludów. Pewnie łgali. Takie to u nas dzieją się sprawy. A o samym Shire chyba nie ma co opowiadać. Nie będę ci przecież wyliczał, ile i kiedy zebraliśmy rzepey. Dla każdego hobbita teraz, tak sobie myślę, najważniejsze jest, żeby wszystko szło mu nie gorzej niż sąsiadowi. Rywalizują więc, kto będzie miał wyższy płot. Okoliczni mieszkańcy się przyglądają, robią zakłady. — Uśmiechnął się krzywo. — Zresztą sam możesz coś o tym powiedzieć! Mówiłeś: „Co obchodzą twoich współplemieńców nieszczęścia i lęki mieszkańców Gór Mglistych?”. Hobbitów w ogóle, tak mi się wydaje, nic nie obchodzi! Najważniejsze to być sytym i nakarmić rodzinę, gości; więcej nic nie potrzebują. Większość cieszy się z takiego obrotu spraw. A ja nie! Ja już nie mogę patrzeć na rzepe!

Krasnolud uważnie słuchał bezładnych wywodów Folka, nie wypuszczając z ust dawno wygasłej fajki. Drwa w kominku wypaliły się. Zawstydzony nazbyt szczerymi zwierzeniami hobbit odwrócił się.

— I co teraz będziesz robił, Folko? — zapytał ostrożnie Torin.

— Żebym to ja wiedział! — westchnął hobbit. — Najpierw czeka mnie rano awantura. Aż wyć się chce. Kuca nie znalazłem, a Krol nie przepuści okazji, żeby naskarżyć na mnie wujaszкови Paladynowi. . .

— A kim jest wujaszek Paladyn?

— Przecież to gospodarz Bucklandu. . . Na dodatek, główny piewca znakomitej przeszłości Brandybucków! Tylko tym się zajmuje; pilnuje, by ktoś rodzinnej czci nie splamił. . .

— To przecież wspaniałe — rodzinna cześć!

— Musiałbyś go najpierw posłuchać. . . „Brandybuckowie nie powinni szlajać się po nocach! Niech tym się zajmują hobbitońscy hołysze, którzy nie potrafią nawet pięciu swoich pokoleń sobie przypomnieć! Brandybuckowie nie powinni gubić kuców, niech rodzinną majątność puszczają na wiatr ci właśnie hołysze. Każdy Brandybuck powinien pracować, aby jego ród był bogatszy od innych i zajmował należne mu miejsce. . .”

Krasnolud uspokajającym gestem położył dłoń na ramieniu hobbita.

— Przestań, Folko! Co cię obchodzą jego perory? Ty czytałeś księgi, a on nie. . . — Torin milczał chwilę. — Ale ja to już na pewno teraz nie zasnę. Może zabierzemy się do Czerwonej Księgi? Otwórz szerzej okno, zapal więcej świec, nabijmy fajki — i do roboty!

Folko skinął głową w milczeniu i wlaź pod łóżko. Rozległ się jakiś szelest, chrobot, potem hobbit głośno kichnął i wkrótce wypełził, ciągnąc za sobą okuty kuferek. W wieko wprawiono owalny żelazny pierścień, boki zdobyły misterne rzeźby.

— Przy okazji, Torinie — powiedział Folko, mocując się ze skomplikowanym zamkiem — gdzie jeszcze bywałeś? Zacząłeś opowiadać, ale nie skończyłeś. . .

— Byłem w Arnorze, w Annuminas, gdzie znajduje się jeden z pałaców Króla, w Szarych Przystaniach byłem, wędrowałem po wybrzeżu na południe, raz nawet przekroczyłem Góry Mgliste. . . Bywałem również na jarmarkach w Bree — cztery czy pięć razy, ale przez Shire wędruję po raz pierwszy.

— A co robiłeś u elfów? — Hobbit usiadł na podłodze przy kufierku, zapomniawszy widocznie o zamku.

— Zawędrowaliśmy tam we troje: ja, Dwalin i Tror. Dwalin i Tror to właśnie ci moi przyjaciele, którzy uciekli z Morii. Ale moja ojczyzna ich odrzuciła, więc udali się do Szarych Przystani, gdy usłyszeli, że Kirdan Szkutnik szuka budowniczych, którzy postawią nowy mur twierdzy. . .

— Po co?! Nowy mur twierdzy?! Kirdan? A to ci historia! — plasnął w dłonie Folko.

— No to co? — zdziwił się krasnolud. — Niech sobie buduje, miasto będzie piękniejsze. . . Zresztą, co nam do tego?

— Ale pomyśl sam, po co Kirdanowi nowe mury? Szare Przystanie od nie wiadomo ilu lat są niezdobyte! Nawet nikt nigdy ich nie szturmował! Dlaczego

więc ni z tego, ni z owego Kirdan wznosi nowe umocnienia? Jasne jak słońce, że on też jest czymś zaniepokojony, skoro się do tego zabrał!

— Masz rację! — krzyknął Torin, uderzając się po bokach. — Że też to od razu do mnie nie dotarło! Klnę się na brodę Durina, świat jeszcze nie widział takiego głupiego krasnoluda!

Milczeli, patrząc na siebie. Kirdan Szkutnik! Ostatni Władca — elf Śródziemia! Ostatni z pozostałych członków Rady Mędrców. Były posiadacz Pierścienia Ognia, który podarował Gandalfowi. Niezwyciężony, potężny Kirdan. I on się czegoś obawia! Czyżby niebezpieczeństwo było aż tak wielkie? A jeśli tak, to czyż schowa się przed nim za murami?

Hobbit i krasnolud stali przy gasnącym kominku. Za oknami niosła swoje wody do Wielkiego Morza szeroka i spokojna Brandywina. Hobbiton pogrążony był we śnie. . .

Folko rozejrzał się. Znajome przedmioty, znajomy pokój. . . To nieznośne! Co robić? Chciałoby się natychmiast wyciągnąć miecz, ruszyć na spotkanie owej bezpostaciowej, pozbawionej oblicza groźby, stanąć z nią oko w oko, walczyć. . . Ale kiedy, gdzie, z kim?! Rozgorączkowany, wysunął głowę przez okno, chciwie wdechając chłodny nocny wiatr. Obok niego stał krasnolud.

Gdzieś za rzeką, w Spichlerzach, zapał pierwszy kogut. Folko przetarł klejące się powieki. Jego wzrok padł na pozostawiony pośrodku pokoju kuferek. Podeszedł doń, przyklęknął. Głucho szczęknął zamek.

— Torinie, co możemy zrobić, jeśli rzeczywiście. . . ktoś się porusza pod ziemią? — Hobbit wyjął z kufra grubaśne tomisko — kopię Czerwonej Księgi, również oprawioną w czerwoną skórę.

Krasnolud natychmiast chwycił ją obu rękami.

— Wiele można zrobić, tak sądzę — rzekł Torin, nie wypuszczając księgi. — Przede wszystkim trzeba spowodować, żeby uwierzyły w to krasnoludy Śródziemia. Potem należałoby prosić o pomoc Króla. Jest potężny i odważny, nie odmówi zatem pomocy. . . jeśli tylko będziemy mogli mu wszystko wyjaśnić. Ale najpierw musimy sami wiele rzeczy sprawdzić.

— A jeśli ci spod ziemi niczego od nas nie chcą? Żyją tam sobie, drażą jakiś tunel. . .

— Skąd mogę wiedzieć? Może tak właśnie jest. . . Może tam nikogo nie ma, a krasnoludom z Morii rzeczywiście strach zamącił wzrok i w uszach się rozdzwoniło. . . Cokolwiek by sądzić, i tak ktoś powinien się tam przejść.

Folko smutno przytaknął. Krasnolud odejdzie. . . Przeczyta Księgę i odejdzie. Będzie przemierzał w nocy gościńce, zatrzymywał się w oberżach, spał gdzie popadnie. . . Zobaczy obce kraje, pokona nieznanne rzeki. Ech. . . Hobbit przysiadł na łóżku i popatrzył przez ramię na krasnoluda. Marszcząc czoło i z wysiłku poruszając wargami, Torin dosłownie pochłaniał każde słowo. Czytał pierwsze strony Księgi, mówiące o słynnej rozmowie szacownego hobbita imieniem Bilbo Bag-

gins z czarodziejem Gandalfem, którą prowadzili pewnego słonecznego poranka przed drzwiami domu hobbita... Folko wpatrywał się w znajome strony, ale wkrótce mocno zasnął.

Rozdział 2

Poszukiwania kuca

Rankiem w zamknięte na zasuwę drzwi ktoś mocno i gwałtownie zastukał. Na korytarzu rozległ się donośny bas:

— Folko, draniu! Dlaczego się zamknąłeś? Prawdziwy Brandybuck niczego nie ukrywa przed swoimi starszymi! Słyszysz, leniu? Otwieraj natychmiast!

Młody hobbit, wyrwany ze snu, aż podskoczył na łóżku. Rozbudzony, najpierw wpatrywał się w drgające pod ciosami pięści drzwi, potem skulił się jak skazaniec, wciągnął głowę w ramiona i, szurając stopami, powlókł się otworzyć.

Natychmiast w progu pojawił się krzepki leciwy hobbit z pomarszczoną, okrągłą twarzą. Pod krzaczastymi brwiami kryły się małe oczka nieokreślonej barwy.

— Aha! — warknął, wsuwając dłonie za pas i szeroko rozwodząc łokcie na boki. — Wpadłeś, łobuzie! Kto uprowadził kuca w nocy i nie zwrócił go, co? Pytam się ciebie, niegodziwcze!

Grube czerwone palce mocno wczepiły się w ucho Folka i zaczęły bezlitośnie je wykręcać. Ten zbladł i skręcił się z bólu, ale nie wydał z siebie dźwięku.

— Gdzie kuc, łotrze? Gdzie kuc, darmozjadzie? Pytam się ciebie! Prawdziwi Brandybuckowie powinni w nieustającym trudzie pomnażać otrzymaną od przodków własność, a nie trwonić ją, jak hobbitońska hołota! Ja w twoim wieku owce pasalem, pracowałem od świtu do świtu. A ty? Czym się zajmujesz? Tracisz kuca! Wspaniałego kuca, jakiego teraz za żadne pieniądze nie zdobędziesz! Nawet Tukowie takiego nie mieli! Na dodatek, zamiast go szukać, chrapiesz sobie tutaj!

Krasnolud zdecydowanie postąpił do przodu, jego mocne palce niczym stalowy uchwyt zacisnęły się na pulchnej ręce wujaszka Paladyna.

— Proszę o wybaczenie, czcigodny — wycedził przez zęby Torin. — Proszę zostawić Folka w spokoju, nie jest niczemu winien. Jego kuca ja wystraszyłem, kiedy zetknęliśmy się twarzą w twarz na nocnym szlaku. Pokryję wszystkie straty.

— A ja się ciebie, kochaneczku, w ogóle o nic nie pytam — wysyczał wujaszek, bezskutecznie usiłując uwolnić się z żelaznego chwytu krasnoluda. — Kim

jesteś? A ten niegodziwiec oberwie na dodatek za to, że przyprowadza jakichś włóczęgów!

Krasnolud spurpurowiał.

— Nie jestem włóczęgą. Nazywam się Torin, syn Dartha, jestem krasnoludem z Gór Księżycowych. Puść go! — ryknął, chwyciwszy wolną ręką wujaszka za kołnierz i lekko nim potrząsnął.

Ten nagle cieniutko pisnął i rozluźnił chwyt. Folko odskoczył w bok, przyciskając dłoń do purpurowego ucha. Torin powiedział pojednawczo:

— Może jakoś się dogadamy? Poznałeś moje imię. A ciebie, czcigodny, jak zwą?

Twarz wujaszka miała barwę dojrzałego pomidora; odzyskał pewność siebie i basowy ton głosu zabrzmiał agresywnie:

— Nazywam się Paladyn, syn Swiora; jestem głową rodu Brandybucków. Mów więc, czego chcesz, kochaneczku, dlaczego wkradłeś się tu nieproszony, nie zapytawszy o zgodę?

— Czcigodny Paladynie, synu Swiora, głowo rodu Brandybucków — oświadczył ze źle maskowaną pogardą krasnolud. — Nie mogłem przedstawić się w należyty sposób, ponieważ przybyłem w tę okolice późną nocą. Szedłem drogą z północy i przypadkowo napotkałem jadącego wierzchem na kucu młodego hobbita. Kuc przestraszył się, stanął dęba i uciekł. Ulegając moim natrętnym prośbom, Folko zgodził się mnie przenocować. Oczywiście za opłatą, czcigodny panie!

Krasnolud otrząsnął się z obrzydzeniem, ale wujaszek niczego nie zauważył. Torin wsunął rękę w zanadrze i po chwili w jego dłoni błysnęło kilka złotych trialonów króla Elessara.

— Proszę także przyjąć pewne zadośćuczynienie za utraconego z mojej winy kuca. Czy wystarczy sześć pełnowartościowych monet?

Zwariował czy co? — pomyślał Folko. — Przecież za te pieniądze można kupić cztery świetne kuce!

Wujaszek zamrugał oczami, oblizał spierzchnięte wargi, głośno odetchnął; jego maślane oczka rozbłyły.

— Noo, pewnie — przytaknął skwapliwie, nie odrywając wzroku od złota. — Moglibyśmy przyjąć rekompensatę... Jeśli czcigodny Torin, syn Dartha, krasnolud z Gór Księżycowych, twierdzi, że właśnie z jego winy... czy też dokładniej, z powodu jego pewnej niedbałości, straciliśmy kuca, to, oczywiście, powinien wynagrodzić nam jego wartość... Ale bardziej chciałbym wiedzieć, po co czcigodny Torin przybył do nas?

— Zostałem wysłany przez swoich współplemieńców, by zaproponować hobbitom najnowsze i najlepsze wyroby naszych mistrzów — z poważną miną odpowiedział krasnolud i mrugnął do Folka. — Słyszeliśmy, że właśnie ród Brandybucków jest obecnie najbogatszy i najszacowniejszy w Shire. — Na twarzy wujaszka pojawił się wyraz nadzwyczajnego zainteresowania, kiwnięciami gło-

wy potwierdzał każde słowo krasnoluda. — My, krasnoludy z południa Gór Księżycowych, moglibyśmy zapewnić wam wszystko, co niezbędne, po prostu dostarczać pod samą bramę, i to po najniższych cenach. . . Ale o tym przecież nie rozmawia się na drodze!

— Tak, tak, oczywiście — kiwnął głową wujaszek. — Po śniadaniu, czcigodny gościu, będziesz mógł opowiedzieć wszystko Radzie Brandybucków, która podejmie decyzję. . .

— Mniemam więc, że zrezygnowałeś panie z zamiaru ukarania Folka? — spytał Torin z uprzejmym uśmiechem, udając, że zamierza schować złoto.

Wujaszek był wyraźnie podekscytowany:

— Czcigodny, to nasza sprawa, i nie warto, byś ty, obcy w naszych stronach, zajmował się nią. . . Ale niech będzie. Folko nie będzie ukarany, jeśli. . .

— Jeśli odnajdę z nim owego nieszczęsnego kuca i zapłacę wam. . . powiedzmy, cztery monety?

— Jeśli odnajdzie się kuc i. . . pokryjecie straty w wysokości sześciu monet — oświadczył wujaszek nieprzejednanym tonem. — Chodzi nie tylko o kuca, ale również o te upokorzenia, których teraz doświadczy nasz ród. . .

— Jakież to upokorzenia? — spieszył się Torin.

— Jak to jakie! Sąsiedzi zobaczą biegającego wolno kuca ze znakiem Brandybucków i powiedzą: „Okazuje się, że u tych Brandybucków wcale nie taki znowu porządek panuje w stajniach, jak to usiłują nam pokazać! W czym więc są lepsi od nas, skoro, jak i inni zwykli hobbici, nie potrafią upilnować kuca? Zatem, jeżeli nie są lepsi od nas, to dlaczego mamy ich słuchać?”. Rozumiesz teraz, czcigodny Torinie, na jakie straty zostaliśmy narażeni? Gdybym wziął od ciebie mniej niż sześć monet, nasz ród utraciłby cześć, a jest to ród w Hobbitonie pierwszy, równy Tukom!

Krasnolud podrapał się po karku, nie wiedząc, śmiać się czy oburzyć.

— Niech będzie po twojemu, czcigodny — powiedział i wysypał na ułożone w łódkę dłonie Paladyna garść monet.

Wujaszek, wstrzymawszy oddech, pilnie śledził strumień błyszczących krążków.

— Dzięki ci, Torinie, synu Dartha — oświadczył z szacunkiem, chowając pieniądze. — Od razu po śniadaniu zwołam Radę Brandybucków i będziesz mógł wyłuszczyć nam swoje propozycje dotyczące handlu. Poczekaj tu, jeśli chcesz. Cień Czarnego Słupa nie przesunie się ani o łokieć, gdy cię zawezwę. A ty, Folko, migiem skocz i powiadom wszystkich! Żywo!

Minęły trzy godziny i słońce wysoko wzniosło się nad Starym Lasem, gdy w końcu Folko i Torin spotkali się w pokoiku młodego hobbita. Na czole Folka błyszczały krople potu, był wyczerpany, podobnie jak krasnolud.

— Uff! Twoja rodzina zamęczyła mnie gadaniem! — westchnął krasnolud, padając na fotel. — Zamiast słuchać ich paplaniny, wolałbym cały dzień machać

oskardem! Bez przerwy coś jedli i gadali z pełnymi ustami — nic nie mogłem zrozumieć. . . Ale niech im tam. Osiągnąłem, co chciałem — pozwolili mi przez jakiś czas tu przebywać z tobą. Powiedziałem, że powinienem lepiej poznać przyszłych kupców. A co u ciebie?

— Ucho mi spuchło — oznajmił poważnie Folko. — Więc co zamierzamy?

— Wiadomo, musimy poszukać twojego kuca. Weź trochę prowiantu i jakiś ciepły płaszcz, może gdzieś zanocujemy.

— Jak to?! — Folko nagle się wystraszył, wyobraziwszy sobie zimny nocleg w ciemnym lesie, w deszczu i wietrze. — Myślisz, że nie wrócimy na noc?

— Wszystko się może zdarzyć — wzruszył ramionami krasnolud.

* * *

Wyruszyli na poszukiwania, odprowadzani ciekawskimi spojrzeniami mieszkańców osady. Folko, którego dobry humor i żądza przygód na jakiś czas stłumiły lęk, nie wytrzymał i zawiesił u pasa miecz Wielkiego Meriadoka. Na plecy zarzucił ciężki worek z zapasami, kierując się mądrą zasadą hobbitów: „Wybierasz się na jeden dzień, bierz jedzenia na tydzień”.

Po wyjściu za bramę pomaszerowali na północ, tą samą drogą, na której spotkali się nocą. Przeszedłszy około mili i minąwszy pierwszy zakręt, kiedy za lasem zniknęły dachy osady, skręcili w prawo i skierowali się na północny zachód, przeszukując niewielkie zagajniki, rozsiane niczym wyspy pośród morza zadbanych pól i łąk. Zaglądali do płytkich, porośniętych krzewami parowów, rozpytywali okolicznych mieszkańców — Folko zupełnie nie przejmował się w tej materii zakazem wujaszka. Jednakże wszystkie ich wysiłki spełzły na niczym.

Słońce nie prażyło mocno, z południa napływały lekkie obłoki, zrobiło się chłodniej. Po drodze Folko i Torin spotykali wielu hobbitów, którzy wytrzeszczali oczy na widok krasnoluda, jednak o losie zaginionej „rodzinnej własności” nie mieli pojęcia.

Póki szli przez pola i rzadkie przecinki, Torin opowiadał Folkowi o swoim narodzie, obyczajach, tradycjach i zajęciach krasnoludów, opowiadał również o Annuminas, z zachwytem wspominając jego potężne, ułożone z gigantycznych granitowych bloków bastiony, wieże obronne, zakotwiczone głębokimi fundamentami w ziemi, brukowane ulice i schludne domy. Dolne kondygnacje budynków zajmowały niezliczone kramy i tawerny; można tam było kupić dosłownie wszystko, a także skosztować dowolnej potrawy, jeżeli tylko znano ją w Śródziemiu. Na peryferiach znajdowały się liczne otwarte i osłonięte dachami placyki, gdzie wędrowni komedianci prezentowali swoje umiejętności przed szacowną publiką;

śpiewacy i muzykanci urządzali koncerty i popisy taneczne wprost na ulicach czy placach, a w dni karnawału, urządzanego co roku po żniwach, dzielnice Północna i Południowa tonęły w morzu kwiatów i barw. . .

Giętka gałązka smagneła prosto w twarz krasnoluda, który jęknął i zaklął. Stali na skraju kolejnego porośniętego olszyna parowu. Ciągnęło od niego wilgocią. Folko niechętnie schodził w dół po stromym stoku, kierując się ku szemrzącemu w dole strumykowi. Krasnolud, stękając i potykając się, szedł za nim.

Prześliznąwszy się pod gęstym dachem splecionych gałęzi, Folko dotarł do wody. Wtem coś stuknęło i równocześnie posypały się siarczyste przekleństwa — Torin jak kamień staczał się na dno parowu. Hobbit rozejrzał się i nagle zobaczył przed sobą, tuż przy strumieniu, na wilgotnej, porośniętej mchem ziemi wyraźne ślady czterech niewielkich kopyt. W prawej przedniej podkowie brakowało jednego gwoździa.

— Torinie! Znalazłem! — krzyknął ucieszony. — Idziemy w górę strumienia.

Nad ich głowami zamknęło się sklepienie z koron drzew: olchy ustąpiły miejsca rosnącym na stoku parowu wysokim sosnom i potężnym jodłom. W dole panował zielonkawy półmrok. Krasnoludowi przestała się podobać wyprawa — nie znał i nie lubił lasów, nie potrafił się po nich poruszać. Idąc za Folkim, hałasował tak bardzo, że gdyby to był prawdziwy Czarny Las z czasów Bilbo i jego towarzyszy, już dawno ktoś by ich pożarł. . .

Parów wiódł prosto na południe, co zaniepokoiło Folka. Według jego obliczeń lada moment powinni natrafić na Obronną Palisadę. Ślad prowadził dnem parowu, kucyk wcale nie zamierzał i nie próbował skrócić czy wydostać się na górę. Folko usiłował przypomnieć sobie, jaką okolicę w tej chwili przemierzają, ale nie potrafił sobie tego uzmysłwić: nie znał zbyt dobrze tej części kraju. Pozostawało im tylko iść dalej, mając nadzieję, że uciekiniera zatrzyma Palisada.

Rozmowa zamarła jakoś bez powodu. Folko stale rozglądał się na boki, wypatrywał śladów i przysłuchiwał się odgłosom życia w parowie; krasnolud natomiast przede wszystkim patrzył pod nogi, żeby nie zwalić się do wody. Kiedy w końcu wyszli na suche miejsce, zmęczony hobbit zaproponował popas.

Przekąsili pospiesznie i zapalili fajki, dając wytchnienie zmęczonym nogom. Torin przymknął oczy i, wydawało się, zapadł w drzemkę, natomiast Folko niespokojnie wiercił się na pieńku. Położył miecz na kolanach i wysunął do połowy ostrze z pochwy. Otaczający ich las wyraźnie zgęstniał i otaczał wędrowców ponurym pierścieniem; parów rozszerzył się, gęste zarośla kryły jego brzegi przed oczyma hobbita. Ptaki zamilkły, czasem tylko wiatr przynosił skrzeczące głosy wron. Folko uniósł wzrok ku niebu; próbował określić porę dnia, jednakże przez zielone sklepienie nie dało się nic zobaczyć. Wokół nich stopniowo narastały jakieś tajemnicze trzaski i szelesty, stawały się coraz głośniejsze i wyraźniejsze. Gdzieś nieopodal rozległ się odgłos przypominający łopot potężnych skrzydeł. Hobbit drgnął i wyciągnął miecz.

Wydawało mu się, że ktoś za nim stoi i przypatruje się; wyczuwał, że ten ktoś jest nieprzyjazny, ale jednocześnie wystraszony. Folko nie potrafiłby wyjaśnić, jak doszedł do takiego wniosku. Przekonanie, że nieznajomy również się boi, dodało hobbitowi pewności siebie. Umyślnie przeciągnął się niedbale, nawet odłożył miecz, ale jego prawa ręka niezauważalnie dla obcych oczu podniosła z ziemi ciężką, krótką gałąź.

Istota za plecami hobbita odrobinę się poruszyła — i Folko cisnął z całej siły gałęzią w stronę, gdzie, jego zdaniem, ktoś się czał. Chwilę potem, z obnażonym mieczem w ręku, skoczył w krzaki.

Hałas i trzask gałęzi obudziły Torina. Przetarłszy oczy, krasnolud stanął w postawie bojowej; topór jakby sam wyskoczył mu zza pasa i znalazł się w prawej ręce. Spomiędzy krzaków dobiegały odgłosy szamotaniny, rozległ się pisk. Bez namysłu krasnolud rzucił się w tamtą stronę.

Cięnięty przez Folka kij trafił w cel i zwałił z nóg nieproszonego gościa. Hobbit dwoma skokami przedarł się w głąb gęstwiny krzewów i złapał mocno tarzającego się po ziemi stwora.

Był mniejszy niż on i znacznie słabszy. Żałośnie pisnąwszy, zaniechał walki. Ale gdy tylko Folko odwrócił się w stronę nadbiegającego krasnoluda, stworzenie wpiło się ostrymi zębami w palec hobbita. Folko krzyknął z bólu.

— Hej, jeszcze raz mi wytniesz taki numer, a poderżnę ci gardło! — wrzasnął groźnie hobbit prosto w owłosione ucho istoty i dla pewności przejechał zimnym stalowym ostrzem po szyi pokrytej miękkim brązowym futrem. Stworek musiał go zrozumieć; skurczył się i objął głowę rękami.

— Coś ty złapał? — zapytał Torin, przekładając topór do lewej ręki, a prawą unosząc istotę za skórę na karku. — Ha! Stary znajomy!

Teraz hobbit zobaczył, że w potężnym ręku krasnoluda słabo trzępoce się małutki karzełek, niewiele dłuższy od jego przedramienia. Na podłużnej pomarszczonej mordce błyszczały małutkie, pełne strachu i złości czerwone oczka, podobne do oczu schwytanego szczura. Stwór miał haczykowaty nos, usta o cienkich wargach. Jego długie uszy z obwisłymi czubkami pokrywały czarne, wełniste włosy. Karzełek ubrany był w dość starannie uszyty brązowy kaftan i skórzane wysokie buty.

— Znasz go, Torinie? — zdziwił się Folko.

— A jakże! Znam dobrze jego plemię... nawet bardzo dobrze. Zaraz go przesłucham. Przypuszczam, że znakomicie nas rozumie, ale nie będzie chciał mówić za skarby świata... chyba że potraktujemy go rozżarzoną żelazem!

Mówiąc to, krasnolud uważnie wpatrywał się w oczy karzełka, jakby próbując sprawdzić, czy ten rozumie, o czym mowa. Jeniec zwisał w jego ręku i nie reagował na groźby. Krasnolud ciągnął:

— Ich plemię od dawna żyje blisko naszego. Zasiedlają porzucone wyrobiska; nie brzydzą się również tunelami orków. Z natury są chytre i mają lepkie

dłonie, ich zręczność wykorzystują niektóre nieodpowiedzialne krasnoludy, ale większość moich rodaków nie ceni ich ani trochę. Od ojca słyszałem, że ci spryciarze w czasie Wielkiej Wojny o Pierścień potrafili kryć się za cudzymi plecami, pomagając albo nam, albo orkom. Spotykałem ich w Annuminas; zajmowali się tam głównie donoszeniem kupcom, gdzie można lepiej sprzedać jakiś towar, i za to otrzymywali zapłatę. Kiedyś zamieszkiwali pieczary Gór Szarych, a gdy pojawili się tam orkowie, podporządkowali się zdobywcom. Potem jakoś niezauważalnie rozpełzli się po całej północy Śródziemia... No dobra, teraz będę go przesłuchiwał w jego języku. *Ite ott burchusz?* — zwrócił się do karzełka, stawiając go na ziemi.

Ten milczał. Torin z lekka potrząsnął nim, tak że zęby jeńca głośno zaszczękały. Dopiero wtedy tamten zaczął mówić cienkim, nieprzyjemnym głosem.

Krasnolud dość długo prowadził z nim dziwną rozmowę, potem wyprostował się i wytarł dłonią spoczone czoło. Poszukawszy w bocznych kieszeniach, wyciągnął spory motek sznura i zręcznie zaczął pętać ręce i nogi karzełka, który żałośnie jęczał, ale nie stawiał oporu. Potem Torin wsunął go do worka i przerzucił bagaż przez ramię.

— Ten przyjaciel — poklepał lekko worek, w którym poruszał się i od czasu do czasu ze złością sapał więzień — nie przywędrował na południe ot tak sobie. Przy okazji rozglądaj się na boki, było ich pięcioro.

Obóz karzełków znaleźli szybko — w wykrocie pod korzeniami rosnącej na północnym stoku sosny natrafili na ślady ogniska. Trawa dokoła była wygnieciona, obok popieliska leżały sterty chrustu i podściółka z naciętych gałęzi, wałało się też kilka płaszczy, pasów i niewielkich noży w czarnych skórzanych pochwach. Na nadłamanym trójnogu wisiał kociołek z korzennie pachnącą zawartością. Nie dostrzegli jednak ani worków, ani innej broni prócz noży. Widać było, że ktoś stąd pospiesznie uciekł, ledwie zdążywszy zagasić ognisko. Spostrzegawczy hobbit zobaczył ślady małych butów, prowadzące na wschód. Obozujący tu zdążyli się wymknąć.

— Zwiały, nawet nie próbując uwolnić swojego współplemieńca — rzucił pogardliwie Torin, kopniakiem wywracając garnek.

— Co dalej? — Folko z zafrasowaną miną niepewnie zapytał krasnoluda, który przeszukiwał pobliskie krzewy.

— Ślady twojego kuca i tych typków prowadzą w jednym kierunku. — Możemy iść tym tropem! A po drodze opowiem ci coś ciekawego.

Hobbit zerknął na krasnoluda i zdziwił się zmianie, jaka w nim zaszła. Torin miał brwi zmarszczone w grymasie powagi, nie wypuszczał z ręki topora i szedł zgarbiony, unikając otwartych przestrzeni; wydawał się przestraszony. Folko, przejęty trwogą przyjaciela, wyciągnął miecz z pochwy.

— Będziemy ich łapać? — zapytał wojowniczo, ściszywszy jednak głos. — A co potem? I w ogóle, powiedz wreszcie, czego się od niego dowiedziałeś?

— Według jego słów, mieszkał w niewielkiej osadzie nieopodal Annuminas. Chyba mówił prawdę, są tam stare krasnoludzkie wyrobiska. Podobno pracowali dla bogatego kupca z Arnoru. Pewnego razu zaproponowano im bardzo korzystny interes — za dobrą opłatę mieli poznać najkrótsze szlaki do Forlindonu, z ominięciem Hobbitonu, zamkniętego dla obcych edyktem króla Elessara. Ten zuch powiada, że pomylili drogę i zabłądzili w Starym Lesie, skąd ledwie się wydostali...

— Trudno w to uwierzyć — wzruszył ramionami Folko. — Do Forlindonu, jak słyszałem, prowadzi dobra droga, omijająca Shire z zachodu...

— Trudno uwierzyć! — prychnął krasnolud. — Łże ten mały drań i nawet się nie zaczerwieni, bo to nie jest u nich przyjęte... Ale co z nim zrobić? Jeśli go wykończymy, to będzie zabójstwo, a karzełki tego nie wybaczą. Zapłakana rodzinka natychmiast rzuci się do stóp Namiestnika, błagając o ochronę... Król Elessar stara się być sprawiedliwy, w jego królestwie prawo jest jedno dla wszystkich: dla krasnoludów i ludzi, i dla karzełków... Jednakże zmęczyło mnie dźwiganie go! — przerwał sam sobie. — Może jednak poderżnę mu gardło? Miejsce jest głucho i odpowiednie...

Z tymi słowami rzucił worek na ziemię i kopnął. Rozległo się żałosne piśnięcie.

— Widzisz go, zrozumiał! — powiedział zadowolony krasnolud, gdy usłyszeli dochodzące z worka mamrotanie. — Poczekaj! — poderwał się nagle Torin. — To już zupełnie inna śpiewka...

Krasnolud rozwiązał worek i wyciągnął zmiętoszonego karzełka, który zwałił się na ziemię jak miękki tobołek, ale nie przestał paplać.

— Nie tak szybko! — rozkazał Torin, znowu częstując go lekkim kopniakiem.

Karzełek uniósł się lekko i ze strachem wpatrując się w krasnoluda, wciąż mamrotał, chociaż nieco wolniej, od czasu do czasu pochlipując.

Folko nie rozumiał ani słowa, ale w głosie karzełka wyczuł strach.

— Co on mówi? Co on mówi? — wypytywał niecierpliwie krasnoluda.

Torin nagle przysiadł na pniaku, jego twarz pociemniała.

— Źle się sprawy układają, bracie hobbicie — rzekł, westchnąwszy. — On powiedział, że pewnego dnia do jego rodowej starszyny przyjechał w nocy nieznaną jeździec — człowiek. Kto on, skąd — tego karzełek, rzecz jasna, nie wie. Starszyna naradzała się przez całą noc, a rano przywołała go i jeszcze czterech z jego rodu; kazali im w tajemnicy przedostać się na południe, do Isengardu, i odnaleźć tych, którzy podporządkowali się Białej Ręce! Nie wiem, co znaczy „Biała Ręka”, ale karzełek powiedział, że mieli odnaleźć ocalałych orków!

— Cóż to... cóż to znaczy, Torinie? — wybełkotał hobbit. Znał już odpowiedź, ale jednocześnie bał się jej; jak dziecko miał nadzieję, że może się jeszcze upiecze...

— To znaczy — wolno i wyraźnie powiedział krasnolud, podnosząc wzrok na Folka — że ktoś zbiera resztki tych, którzy służyli Ciemności. . .

Hobbit uświadomił sobie, że cały jego przytulny światek w jednej chwili runął, że jego ojczyźnie grozi niebezpieczeństwo i że teraz on sam będzie musiał z nim walczyć — mały, choć zręczny hobbit, który nie może liczyć na pomoc jakichś wszechwiedzących i wszechpotężnych czarodziejów.

— Nie możemy go uwolnić — powiedział zamyślony Torin. — Musimy dotrzeć do starszyny, wyjaśnić, kim był ów tajemniczy jeździec. . . Jutro odchodzę, Folko. Karzełka wezmę ze sobą. . . Chodźmy! Widzisz ślady kuca?

Nie przeszli nawet stu kroków, gdy krasnolud gwałtownie się zatrzymał.

— Co to za palisada?

Między drzewami widać było wysokie, wbite w ziemię, od góry zastrzone bale. Częstokół schodził z jednego ze stoków, przekraczał strumień ponad opuszczoną w nurt gęstą kratownicą i ponownie wspinał się na zbocze, ginąc między niezliczonymi pniami drzew. Podeszli bliżej i nagle Folko zobaczył, że Obronna Palisada, pewna, wzniesiona przez odległych przodków zaporą wokół Shire, która miała chronić jej mieszkańców przed strachami zewnętrznego świata, przestała pełnić swoją funkcję. Omszałe bierwiona w kilku miejscach przegniły i runęły; przegradzająca strumień krata była wyłamana z jednej strony, tak że widać było zmurzałe wnętrza bocznych prowadnic. Nic już nie mogło zatrzymać najeźdźców.

Folko zbyt dużo dzisiaj przeżył, dlatego zniszczona Palisada niezbyt go wzburzyła. Splunął tylko, złorzecząc w duchu lekkomyślnym hobbitom, którzy mieli jej pilnować. W ślad za Torinem przekroczył zwalone bale. . . i po raz pierwszy znalazł się poza granicami swojego kraju, miłego, przytulnego, serdecznego.

Pusta niegdyś przestrzeń przed Palisadą była teraz gęsto zarośnięta; strumień poszerzył swoje koryto, a jego brzegi porosły olchy. Przyjaciele przedzierali się przez gęste krzewy i przeskakiwali z kępy na kępę, między którymi stała czarna, przezroczysta niczym zwierciadło woda. Folko szedł pierwszy, krasnolud za nim, za każdym razem wymacując dno wyłamanym kijem.

Na kuca natknęli się zupełnie przypadkowo. Kątem oka Folko zauważył jakieś poruszenie w krzakach. Przystanął i przyjrząwszy się, zobaczył, że ich uciekinier zaplątał się uprzężą w gałęzie. Kuc najwyraźniej również ich dostrzegł, bo szarpnął się, próbując uwolnić, i zarżał zachęcająco.

— Uff, w końcu! — Torin wytarł rękawem pot z czoła. — Szczerze mówiąc, wykończyły mnie te lasy.

Ruszyli w drogę powrotną, załadowawszy karzełka na grzbiet kuca. Folko odwrócił się i z jakimś niewytłumaczalnym żalem rzucił spojrzenie na ciemne rubieże Starego Lasu. Dzień przemijał, z południa napływały niskie chmury. W gęstniejącym mroku ledwo było słychać plusk strumienia, z rzadka rozlegały się odległe ptasie głosy. Hobbit szedł przodem, prowadząc kuca, Torin maszerował za nim.

— Chciałbym wiedzieć, komu przyszło do głowy zbierać niedobitki orków!
— rzucił krasnolud.

Hobbit tylko wzruszył ramionami, a jego towarzysz ciągnął:

— Czy tak naprawdę wielu ich przetrwało? Ileż to już lat chadzamy do pieczar Aglaronu obok ich siedzib i nigdy nic się nie działo... No, dobra, oddamy w Annuminas karzełka komu trzeba, niech oni się martwią...

— Idziesz do Annuminas, tak od razu? — zapytał Folko.

— Tak od razu? Nie, przecież tu nie ma szlaku. Pójdę przez Bree. Od mostu na Brandywinie to tylko dzień drogi, a potem już po szlaku. Droga jest dobra, są przy niej zajazdy i tawerny...

Nad Brandywiną dawno już dopalały się ostatnie promienie wieczornej zorzy, gdy zmęczeni wędrowcy w końcu dotarli do siedziby Brandybucków.

Oddali kuca wujaszкови Paladynowi, ułożyli spętanego karzełka w kącie i położyli się spać.

Zmęczony hobbit zasnął od razu, gdy tylko znalazł się w pościeli.

Rozdział 3

Za zakrętem

Krasnolud wstał o świcie i od razu zbudził Folka.

— Już pora, muszę się zbierać, przyjacielu. Dobrze by było, żebym dziś doszedł do Bree, tam zanoczę, a stamtąd dotrę do Annuminas w pięć dni. . . Posłuchaj, czy twój wujaszek nie sprzedałby mi jakiegoś nędznego kucyka? Wydaje mi się, że dobrze wyszedł na naszym spotkaniu, może to mu wystarczy?

— Mieliśmy kuce na sprzedaż — odpowiedział Folko, głośno pluskając się w miednicy.

Torin nie potrzebował dużo czasu, by dogadać się z wujaszkiem. Pomstując i zawodząc, kiedy wychwalał sprzedanego wierzchowca, wujaszek potrafił zedrzeć z gościa cenę dwa razy wyższą od tej, jaką uzyskałby na targu. Torin starannie zapakował karzełka do worka, przyczepił topór do pasa i zapiął płaszcz na lewym ramieniu misternie kutą spinką.

Cała ludność osady wybiegła żegnać przybysza z dalekich gór.

— Oto spotkaliśmy się i rozstajemy, Folko, synu Hemfasta — powiedział Torin. — Dziękuję ci za wszystko! Za nocleg, troskę, jadło i rozmowę. Dziękuję, że wyciągnąłeś mnie na poszukiwanie zaginionego kuca — inaczej nie spotkałbym karzełka. Dziękuję za twe celne oko i pewną rękę — tylko dlatego go ujeliśmy. Szkoda, że nie mogłem zapoznać się z Czerwoną Księgą, ale życie jest długie i na pewno jeszcze się spotkamy. Nie smuć się! Należysz do wspaniałego ludu, od razu cię pokochałem. . . Szkoda tylko, że zrobiliście się tacy zasiedziali. . .

Krasnolud uśmiechnął się do Folka, z szacunkiem ukłonił się obserwującym go w milczeniu mieszkańcom osady i wyprowadził objuczonego kuca za wrota. Tam jeszcze raz odwrócił się, uniósł rękę w pożegnalnym geście, usadowił się w siodle i wkrótce zniknął za zakrętem.

Zebrani na podwórzcu hobbici powoli się rozchodzili, rzucając czujne spojrzenia na stojącego w pobliżu bramy Folka. Dziedziniec opustoszał, a wtedy i on, skulony, z ponuro zwieszoną głową, powlókł się do siebie. Wujaszek Paladyn wy-

krzykiwał coś do niego z końca korytarza, ale Folko nie zwracał na niego najmniejszej uwagi.

W pokoiku młodego hobbita nadal czuło się ostry zapach mocnej krasnoludzkiej samosiejki, odsunięty fotel jeszcze zachował kształt krzepkiego ciała Torina, bardziej nawykłego do twardych desek zajazdów niż do wygody domostw hobbitów. Folko westchnął i wziął leżący na pościeli miecz Meriadoka, chcąc powiesić go nad kominkiem. I wówczas stało się coś dziwnego.

Wystarczyło, że hobbit uchwycił starą kościaną rękojeść, wypolerowaną przez dłonie tylu pokoleń gondorskich władców, gdy przed jego oczami świat się rozplynął i jak na jawie zobaczył krasnoluda, galopującego przez bezbrzeżne pustkowie. Płaszcz powiewał za plecami Torina, za pasem połyskiwał bojowy topór, a ze wszystkich stron, zza każdego krzewu, pagórka czy kamienia mierzyły do niego z łuków małe, ale celnie strzelające karzełki. Nie było nikogo, kto mógłby ostrzec krasnoluda i pomóc mu! Folko potrząsnął głową, ale osobliwe widziadło tylko nieco zamgliło się, lecz nie znikło. Hobbit zaczął umyślnie głośno przesuwając pod ścianę fotel, żeby zawiesić miecz.

— Folko, dlaczego się nie odzywasz, kiedy cię wołają? — W progu wyrosła postać wujaszka. — Co ci powiedziałem? Zbieraj się, razem z Mnogoradem zawieszysz rzepeę na targ. No, ruszaj się, leniu, myślisz, że będę za ciebie wozy ładował?

Wujaszek przy tym przeżuwał coś, na pierś spadały mu okruchy, które starannie zbierał i wkładał do ust.

„Szkoda tylko, że zrobiliście się tacy zasiedziali. . .” Pożegnalny ruch ręki Torina. I jego spojrzenie, skierowane już nie na pozostających w swoim ciepłym i spokojnym gniazdku hobbitów, ale na biegnącą w dal drogę, daleką i niebezpieczną. . . Co swobodnie żyjący krasnolud mógł mieć wspólnego z rodakami Folka, którzy dawno już zapomnieli o uroku dalekich wędrówek? I cóż pozostało jemu, Folkowi Brandybuckowi? Będzie woził na targowisko słynną na cały Hobbiton brandybuckowską rzepeę?! I usługiwał temu tłustemu głupiemu wujaszкови Paladynowi?

— Dlaczego mnie nie słuchasz, co?! Obibok, darmozjad, żeby cię pokręciło! Jak śmiesz?! Dlaczego nie odpowiadasz, kiedy zwraca się do ciebie najstarszy z rodu Brandybucków?! Prawdziwy Brandybuck powinien szanować starszych i bez szemrania wykonywać ich polecenia! Natychmiast przestań zajmować się głupstwami i idź ładować furmanki! Bez. . . — Wujaszek nagle urwał.

Folko wyprostował się i patrzył na niego spokojnie, bez strachu i bez szacunku. Na ustach błąkał mu się jakiś dziwny uśmiech.

— Nie krzycz na mnie, wujaszku — powiedział cicho. — Bardzo tego nie lubię. . . i nie będę ładował żadnych furmanek. Ładuj sam, jeśli chcesz. . . Ja jestem zajęty.

Zdawało się, że wujaszek Paladyn postradał zmysły. Zaczął ryczeć, chrzypieć i rzucił się do przodu, unosząc dłoń, by spoliczkować hobbita.

— Ja cię, łobuzie!...

Folko cofnął się o krok i wyciągnął miecz z pochwy. Milczał, nie poruszył się, tylko ostrze skierował w brzuch starszego hobbita. Ten stał jak skamieniały i słuchał spokojnie mówiącego Folka:

— Więcej nie będziesz mi wykręcał uszu, wujaszku. I nie będziesz pędził mnie do pracy ani zanudzał pouczeniami, przestaniesz grzebać w moich rzeczach i nie będziesz już mną poniewierał. Odchodzę, i miej do siebie pretensje, jeśli spróbujesz mi przeszkodzić! A teraz żegnaj.

Folko zarzucił na ramię torbę, przypiął miecz do pasa, spokojnie ominął osłupiałego wujaszka i pomaszerował do kuchni. Wziął zapas sucharów i suszonego mięsa na kilka dni. Za plecami usłyszał jakiś szelest; odwrócił się, popatrzył na wolno wkraczającego do kuchni pobladłego wujaszka, uśmiechnął się i wyszedł na dwór. Bez pośpiechu przemaszerował przez dziedziniec do stajni, gdzie wybrał i osiodłał najlepszego kuca. Zmierzając w kierunku wrót, zobaczył wybiegających ze wszystkich drzwi hobbitów, a wśród nich wujaszka, który całkowicie stracił zwykłą pewność siebie.

— Trzymajcie go! — wrzasnął Paladyn.

Pół tuzina co śmielszych hobbitów ruszyło nawet w kierunku stojącej nieruchomo na środku podwórza postaci, ale odwaga opuściła ich w chwili, gdy Folko rozpiął płaszcz i położył dłoń na rękojeści miecza. Nikt nie ośmielił się go zatrzymać. Młody hobbit dziarsko wskoczył na siodło i wyjechał przez wrota osady.

Powiew świeżego wiatru dmuchnął mu w twarz. Nagle usłyszał znajomy dźwięk — ktoś z Brandybucków zaczął trąbić w róg sygnałowy: „Złodzieje! Pożar! Wrogowie! Obudźcie się wszyscy! Złodzieje! Pożar! Wrogowie!”. Stary sygnał na trwogę Bucklandu. Odpowiedziało mu kilka rożków z sąsiednich farm. Folko zobaczył, że ze stojących nieopodal drogi domów zaczęli wybiegać wystraszeni, nic nierozumiejący mieszkańcy. Uśmiechnął się. W tym momencie bardzo się sobie podobał. Co mu do tych zabieganych hobbitów? Jak siedzieli pośród swojej rzepy trzysta lat, tak będą siedzieć dalej. A przed nim — niewiadome, długa droga, miecz przy pasie, zimne noce pod cienkim okryciem... Wstrząsnął nim dreszcz, ale natychmiast minął, gdy przypomniał sobie, że przewidująco wziął ze sobą ciepły płaszcz watowany ptasim puchem.

Kuc raźnie truchtał po dobrze ubitej drodze, wijącej się między licznymi polami i farmami. Prowadziła na północ, do Bramy Bucklandu, gdzie przy samym brzegu rzeki kończyła się Obronna Palisada. Raz tylko zdarzyło mu się być w tym miejscu, gdy po raz pierwszy zabrano młodych hobbitów na jarmark pod Hobbitonem. Folko zdołał wtedy rzucić tylko jedno szybkie spojrzenie na Wielki Gościniec Wschodni, którego koniec ginął w zamglonej błękitnej dali. Szeroki, co najmniej trzy razy szerszy od skromnej hobbickiej drogi, dumnie przecinał napie-

rające nań ściany lasów i kierował się na wschód, prosty niczym drzewce kopii. Gdzieś tam, za lasem — o tym Folko wiedział — leżały niedawno zasiedlone przez hobbitów nowe ziemie, niedaleko stąd było i do Bree, jednak wówczas wydało mu się, że stoi na granicy zamieszkanym ziem i że za gęstymi leśnymi ścianami, aż do Gór Mglistych, nie spotka się żywej istoty. Cały tabor wtedy długo, poskrzypując osiami, skręcał na most przez Brandywinę; wujaszek Paladyn piskliwie wykłócał się z woźnicami, trzęsącymi się ze skąpstwa palcami odliczał zapłatę za przejazd przez most, a Folko, zapomniawszy o wszystkim, stał wyprostowany na stosie worków i nie mógł oderwać wzroku od biegnącego ku horyzontowi, zwiężającego się i wreszcie zmieniającego w nitkę Wielkiego Gościńca. Opamiętał się dopiero po mocnym klapsie: „Dlaczego rzepę depczesz, darmożjadzie!”.

Folko otrząsnął się, jego twarz przybrała surowy wyraz, dłoń nieco na pokaz dotknęła czarnej pochwy. Nie zauważył, kiedy pojawiła się przed jego oczami czarna krecha Obronnej Palisady. Niepostrzeżenie zbliżyły się, dotychczas widoczne z prawej strony jako jednolita zielona płaszczyzna, korony drzew Starego Lasu. Do Bramy Bucklandu było niedaleko. Droga skręciła po raz kolejny i hobbit zobaczył szerokie, otwarte w tej chwili skrzydła, niskie wieżyczki wartownicze po bokach i ciągnącą się w obu kierunkach palisadę. Niemal wszyscy hobbici z Bucklandu, wychodząc przez bramę, natychmiast skręcali w lewo, na most przez Brandywinę. Folkiem wstrząsnął dreszcz: jego szlak prowadził na prawo.

Bez przeszkód minął bramę, wyjechał na środek skrzyżowania i chcąc się rozejrzeć, stanął z boku, by nie przeszkadzać podążającym do Hobbitonu.

Na zachód, po lewej, przez szeroką Brandywinę przerzucono stary, szerniały ze starości drewniany most, zbudowany z olbrzymich dębowych bali. Był wystarczająco szeroki, by mogły się na nim zmieścić jednocześnie trzy wozy. Przed wejściem na most na wkopanych głęboko w ziemię słupach wypisano wiekopomne słowa, głoszące we Wspólnej Mowie i w starożytnym języku elfów:

„Ziemia wolnego ludu hobbitów pod ochroną Północnej Korony. Rozkazuję: niechaj nie przekroczy tej rubieży noga człowieka, teraz i na wieki wieków, i niech Shire rządzi się wolną wolą swojego narodu wedle jego własnego rozumienia. Gdyby zaś jakiś człowiek potrzebował spotkać się z którymś z hobbitów, niech przybędzie do mostu na Brandywinie, przekaże list hobbicką pocztą i czeka odpowiedzi w zajeździe. Dań w roku piątym Czwartej Ery, w Annuminas, własnoręcznie — Elessar, Król Arnoru i Gondoru”.

Po prawej widniała zwarta ściana Starego Lasu, ciągnącego się wzdłuż gościńca przez jakieś dwie dziesiątki mil, potem gwałtownie skręcająca na południe,

ustępując miejsca obszarowi starych Kurhanów, o których w Shire do dziś szep-tem opowiadano legendy, co jedną, to straszniejszą. Folko słyszał, że obszar wokół Kurhanów, dawniej opuszczony i bezludny, dziś znów jest zasiedlony. Prosto na wschód, idąc Gościńcem, leżało słynne osiedle Bree, ze znaną w całym Śródziemiu gospodą „Pod Rozbrykanym Kucykiem”. Co czeka wędrowca dalej, Folko dokładnie nie wiedział, słyszał tylko, że ludzie z Arnoru dotarli aż do Zawiercia, wszędzie ożywiając ugorujące żyzne ziemie.

Folko zsiadł z kuca, jeszcze raz dokładnie obejrzał uprząż, poprawił sakwy przy siodle. Zauważył, że straż przy moście przygląda mu się z zainteresowaniem. Byli to hobbiti uzbrojeni w łuki i proce; posterunek wystawiono tu wiele wieków temu i zawód strażnika mostu przechodził z ojca na syna. . .

Folko nieświadomie szukał pretekstu, żeby jak najdłużej się tu zatrzymać. Otwarte przestrzenie, jak zawsze, mamili go, ale skóra mu cierpła, gdy uświadamiał sobie, iż czeka go niewiadome. . . Wziął się jednak w garść i ruszył Gościńcem. Oczywiście wiedział, że nie jest na nim bezpiecznie, ale. . .

Zbóje? — pomyślał. Cóż, niech będą zbóje. Może jestem niewysoki, ale zręczny i uzbrojony!

Z głębi Starego Lasu nie dochodził ani jeden dźwięk, ale im dłużej jechał, z tym większym strachem zerkał na nieprzeniknione zarośla, oddzielone od Gościńca głębokim rowem. Z lasu wypełzała popielata, ścieląca się po ziemi mgła; wydawało się, że jest cięższa od powietrza i niczym rozlane w nim mleko wolno ścieka do przydrożnych rowów. Było cicho, tylko końskie kopyta głucho dudniły po pylistej drodze. Gościniec szybko zasnuwał wieczorny zmrok. Folko popędzał kuca, przylgnąwszy do jego szyi. Wieczne cienie wyciągały ku niemu długie łapy i hobbit czuł się nieswojo. Nie potrafił oderwać oczu od ciemnego szpaleru olbrzymich drzew, od przelewających się fal popielatej mgły, coraz wyżej wypełniającej przydrożne rowy. Uchem chwycił każdy dźwięk, rozlegający się w ciemnościach. . .

Hobbit starał się trzymać lewego skraju drogi, ale w pewnym miejscu musiał zbliżyć się do pobocza, żeby ominąć głęboką kałużę, i wtedy spojrzął na wypełniony niemal po brzegi siwą mgłą rów. Na dnie była widoczna jakaś rozmyta ciemna plama. I nagle, jak gdyby ktoś zerwał mu z oczu zasłonę, Folko ujrzał z przerażeniem i odrazą: w przydrożnym zagłębieniu leżał trup.

Folko poczuł, jak lodowata obręcz ścisła mu brzuch, ale natychmiast w świadomości pojawiła się myśl: „Kimkolwiek on był i jak bardzo byś się bał — martwe ciało trzeba pogrzebać”. Wyprzedzając kolejną falę strachu, ściągnął wodze.

W rowie na plecach leżał hobbit. Najwidoczniej zabito go zupełnie niedawno, choć kruki zdążyły już wydziobać mu oczy. Zabity nie miał na sobie porządnego hobbickiego przyodziewku, lecz jakąś grubą, brudną odzież. Przez całe czoło, na skos, od skroni do nosa, ciągnęła się czarna, zapiekła rana.

Folko nie mógł się dłużej zatrzymać: z każdą chwilą krasnolud wyprzedzał go coraz bardziej. Zdążył tylko podkopać mieczem brzeg rowu i przysypać ciało wilgotną gliną. Zebrał na poboczu trochę kamieni i ułożył z nich niewielki trójkąt, zwrócony wierzchołkiem w stronę głowy zmarłego. Potem stał chwilę w pełnej szacunku ciszy, wreszcie wskoczył na siodło. Obowiązek został spełniony; powrócił odsunięty na chwilę strach. Niespodziewanie dla samego siebie hobbit pomyślał o Dziewięciu — i jakby odpowiadając na te myśli, skądś z oddali nocny wiatr przyniósł znane już przeciągłe wycie pełne niehumanicznego smutku, skierowane do ciemnego nieba. Folko już je słyszał, ale wtedy siedział z krasnoludem w swoim pokoju, przy płonącym kominku, pod ochroną starych murów; tutaj natomiast, na środku pustego, zalanego widmowym nocnym światłem szlaku, obok dopiero co zakopanego współplemieńca, ponury odgłos zaalarmował hobbita. Całe ciało pokrył mu zimny pot. A wycie trwało, raz nieco oddalając się, to znów zbliżając. Kuc skoczył naprzód, nie ponaglany przez jeźdźca. Przyłgnąwszy do krótko przyciętej grzywy konika, Folko obejrzał się.

Daleko na zachodzie widoczny był wąski kawałek oświetlonego wieczorną zorzą nieba. Słońce już ukryło się w Wielkim Morzu, lecz nieboskłon zachował jeszcze zielonkawy odblask zmierzchu, a nad horyzontem widoczna była purprowa nić. Przez mgnienie oka hobbitowi wydawało się, że na tle słabej poświaty odróżnia sylwetki toczonych wież Szarych Przystani — tak je opisywano w księgach, bo na własne oczy nigdy ich nie widział.

To wystarczyło, by przypomniał sobie o pięknych elfowych pałacach na brzegach ołowianoszarego zalewu, o wiecznie szumiącym morzu, o zagadkowym Zamorzu, gdzie mieszka Elbereth, Jasna Pani, na której imię klną się Nieśmiertelni. . . I zaraz w sercu mu pojaśniało, jak gdyby czyjaś ręka zdecydowanym ruchem odgarnęła gęstą pajęczynę mrocznych myśli. Podniesiony na duchu zaczął cichutko nucić piosenkę, którą poznał, czytając Czerwoną Księgę. Śpiewały ją elfy, kierujące się ku swoim leśnym twierdzom przy starej drodze, prowadzącej od Szarych Przystani. Folko zaśpiewał piosenkę raz, drugi i trzeci, ale myśli jego wciąż wracały do zabitego hobbita, pogrzebanego przezeń na skraju Gościńca. Kim był? Jak się tu znalazł? Czy szedł pieszo z Hobbitonu do Bree, czy zmierzał w przeciwnym kierunku? Może schwytano go daleko, na przykład przy Białych Wzgórzach, i przywieziono tutaj, żeby przesłuchać i zabić? A może od dawna był już w niewoli i nieznani porywacze po prostu pozbyli się go, kiedy przestał im być potrzebny i nie mógł już dla nich pracować? Któż to wie? . . .

W każdym razie, o wszystkim należy powiedzieć hobbitom z Bree, uprzedzić ich, żeby przyjechali tu i pochowali nieboszczyka jak należy — aby i on, Folko, mógł śmiało spojrzeć w oczy temu hobbitowi, gdy, jak wszyscy kiedykolwiek żyjący w Śródziemiu, spotkają się za Morzami. . .

Tymczasem noc w pełni zapanowała nad światem, płomień zmierzchu na zachodzie zgasł, jednak wschodzący księżyc w wystarczającym stopniu oświetlał

drogę, zresztą była ona prosta i równa. Konik raźnie kłusował i według obliczeń Folka do skraju Starego Lasu zostało nie więcej niż jedna, może dwie mile. Ale gdzie był Torin? Czyżby aż tak bardzo go wyprzedził? Folko uderzył piętami w boki kuca i w tej samej chwili zobaczył przed sobą niską, ciemną postać jeźdźca.

— Kimkolwiek jesteś, stój! — zagrzmiął nieznajomy, zrzucając z ramion szeroki płaszcz. Był gotów do walki: topór w ręku, na piersi lśniła zbroja.

— To ja, Torinie, to ja! — krzyknął Folko, uniósł się w strzemionach i zamachał rękoma.

Jeździec wyszedł mu na spotkanie, Folko zeskoczył z siodła i stanął obok skamieniałego ze zdziwienia Torina.

— Folko! Przyjacielu hobbitcie, skąd się tu wzięłeś?!

— Jak się cieszę, że jednak cię doścignąłem! Powiedziałeś wszak, że moglibyśmy wędrować razem... Więc ja... Wiesz... — Przez oblicze hobbita przemknął cień. — Znalazłem ciało przy drodze! I to wycie... Słyszałeś?

— Poczekaj, poczekaj! Znalazłeś ciało? Gdzie? Wsiadaj na kuca, jedźmy dalej, nie będziemy przecież wracali... Do Bree już blisko... O, patrz, już zaczynają się Kurhany...

Rzeczywiście, las odstępował od drogi, jego skraj odsuwał się na północ i południe. Gościńiec prowadził teraz na pofałdowaną z lekka równinę. Mniej więcej milę od miejsca, w którym się znajdowali, droga pokonywała głębokie siodło między dwoma wzgórzami. Z lewej wiła się ledwo widoczna w zmierzchu polna ścieżka, prowadząca wzdłuż jednego z grzbietów na północ. W tamtej stronie, w oddali, migotało kilka ledwo widocznych ogni; jeszcze dalej widniały rozmyte zarysy porośniętego lasem pasma wzgórz.

— Tam są osiedla hobbitów na Białych Wzgórzach — pokazał przyjacielowi Folko. — A bardziej na prawo, przy Zielonej Ścieżce, żyją Arnorczyści. Na wprost za wzgórzami powinno znajdować się Bree...

Z prawej ciągnęły się obszerne pola, usiane różnej wysokości kurhanami. Mgła wypełniała przestrzeń między nimi i kopce wyglądały jak dziwaczne pęcherze, wypiętrzające się nad powierzchnię widmowego morza. Folko wdrygnął się — gdzieś, nieco bardziej na południe, leżał mający złą sławę Kurhan, w którym Upiór schwytał czterech przyjaciół hobbitów, z Frodem na czele.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu, ciągle rzucając spojrzenia na Kurhany. Pierwszy zaczął się niepokoić krasnolud.

— Słyszysz, Folko? Jakby śpiew... Taki nosowy...

Hobbit wyteżył słuch. Gdzieś za wzgórzami setki głosów zawodziły jakąś tęskną pieśń. Monotonny śpiew wypełnił serce niejasną trwogą i przywołał świeże wspomnienie tajemniczego skowytu... Śpiewający zbliżali się.

— Zwijajmy się stąd natychmiast! — wycedził przez zaciśnięte zęby krasnolud.

Gwałtownie skręcił w lewo i pociągnął opierającego się kuca w dół, do przydrożnego rowu. Folko pospieszył jego śladem. Z trudem zepchnąwszy koniki z odkrytego miejsca, hobbit i krasnolud ostrożnie podpełzli do skraju zagłębienia i wysunęli głowy nad jego krawędź, kryjąc się w wysokiej trawie. Torin wyciągnął zza pasa topór. Folko obnażył ostrze miecza.

Z ciemności, jedna za drugą, wynurzały się czarne postacie. Jeźdźcy dosiadali dużych koni, przytroczone do ich pleców kołysały się długie kopie. Poruszali się parami, niespiesznie, kierując się dokładnie na południe — w stronę Kurhanów. Niektórzy trzymali w rękach płonące pochodnie; nad drogą rozpostarł się siwy dym. Rozlegał się smętny śpiew.

Czoło kolumny dawno utonęło w kryjącej podnóże Kurhanów mgłę Starego Lasu, ale spomiędzy wzgórz wyłaniali się wciąż nowi jeźdźcy. Ukrytych w trawie przyjaciół minęło kilka wozów, za nimi pojawili się piechurzy. Po szaro-srebrzystym polu księżycowego światła piechota ciągnęła za ginącymi we mgłę konnymi. Nie brzęczała broń, nie migotały wypolerowane zbroje — wszystko tonęło w głębokiej czerni i tylko ponury zaśpiew w nieznanym języku zakłócał nocną ciszę. W końcu cała procesja skryła się we mgłę.

Folko, który bacznie wszystko obserwował, dostrzegł stojący na szczycie najbliższego Kurhanu Mylny Kamień. Jego gładkie ściany nagle zapłonęły purpurowym ogniem, jak gdyby ciemny piorun uderzył w szczyt zaczarowanego wzgórza. Po kilku minutach taka sama przemiana zaszła również w wyglądzie kamienia na następnym Kurhanie. W ciemności pojawił się nagle łańcuszek mrugających ogni, mgła rozjaśniła się, jak gdyby w samym jej centrum rozpalono olbrzymie ognisko. Raz jeszcze dało się słyszeć przenikliwe wycie z południa.

Krasnolud zatkał uszy palcami. Skowyt przepełniała ukryta i mściwa radość, jakby ktoś dostał w końcu w swoje ręce broń, która miała mu umożliwić dokonanie od dawna planowanego aktu zemsty. Ten ktoś szydził i rechotał, być może w ten sposób wyrażając przepełniające go uczucia. Krasnolud i hobbit poczuli strach.

Długo nie decydowali się ruszyć z miejsca. Pierwszy opamiętał się Torin.

— Jakaś siła nieczysta pojawiła się na ziemiach Króla Arnoru! — wyszeptał. — Wiesz co, druhu hobbitcie, zmykajmy stąd jak najszybciej. Nie podoba mi się tu...

Przygarbieni, starając się trzymać w cieniu rzadkich przydrożnych drzew, wyprowadzili na szlak swoje koniki. Folko bojaźliwie rozglądał się na boki, a krasnolud chrapliwie kłął przez zęby. Wsiadając na kuca, trącił podkutym butem w worek z karzełkiem. Z worka dobiegło ciche pochlipywanie.

Wkrótce dotarli do skraju parowu, którego dnem płynął niewielki strumyk; nad nim przerzucono kamienny mostek. W oddali widać było jakieś budowle.

Wędrowcy przeszli przez most. Dokoła rozciągały się uprawne pola, wzdłuż drogi pojawiły się płoty z żerdzi, na prawo i lewo odchodziły od niej polne ścieżki.

Wkrótce pojawił się przed nimi czarny częstokół okalający miasteczko Bree. Droga kończyła się u zamkniętych z powodu nocnej pory wrót; w wieżyczce strażnika pełgał słaby ogień. Krasnolud sięgnął w zanadrze i zaczął mrużyć:

— Nas dwóch... i dwa kuce... dwie ćwierciny myta jak nic...

Od głównego traktu odbijała w lewo jeszcze jedna mało widoczna ścieżka, biegnąca wzdłuż częstokołu gdzieś na południe. Ponad ostrokołem z okutych bali można było dostrzec kryte gontami dachy. Gdzieś rozszczękały się psy.

Krasnolud podjechał pod same wrota i wyciągnawszy zza pasa topór, głośno zastukał obuchem. Przez pewien czas trwała cisza, potem uchyliło się okienko i ktoś zachrypniętym od snu głosem zapytał:

— Kogo znów wilkołaki w zębach przyniosły? Do rana poczekać nie możesz?

— Gdzież tam do rana! — rozzłościł się Torin. — Na drodze mamy spać czy co? Masz tu myto za dwóch i otwieraj! — Wsunął w okienko pieniądze.

— A wy kto?

— Torin, syn Dartha, krasnolud z Gór Mglistych, wędrujący do Annuminas w sprawach handlowych! Wraz z nim Folko Brandybuck, syn Hemfasta, mój towarzysz i druh. Wpuść nas, szanowny panie!

— Dobra, dobra, jacy to niecierpliwi... Zaraz odemknę...

Wrota otworzyły się, za nimi widniała długa ciemna ulica. Leciwy strażnik, pomrukując pod nosem, pchnął ramieniem skrzydło bramy i założył zasuwę. Folko odetchnął z ulgą. Znaleźli się w Przygórzu.

Rozdział 4

Lekcje w Przgórzu

Przeszli ciemną ulicą z solidnymi domami, które otaczały wysokie płoty, i zatrzymali się obok starego, na wieki osadzonego w ziemi budynku — słynnej przygórzańskiej oberży „Pod Rozbrykanym Kucykiem”. Jej ściany tworzyły grube dębowe bale, które u podstawy opierały się na omszałych głazach. Okna były jasno oświetlone, przez półotwarte drzwi dochodziły odgłosy ożywionej rozmowy.

— Potrzyмай, pójdę dogadać się z gospodarzem. — Torin wcisnął w ręce hobbita wodze, zdjął worek z karzelkiem i skierował się w stronę bocznego wejścia.

Dopiero teraz, już bezpieczny, Folko poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Chciało mu się jednocześnie i spać, i jeść, ale chyba najpierw jeść! Zsiadł z wierzchowca i poprowadził oba kucyki w głąb ciemnego podwórza. Przywiązał je, dał owsa z worka i zatrzymał się, niepewny, co dalej robić.

— A waszmościa hobbita najpokorniej proszę tutaj — rozległ się tuż obok czyjś pełen szacunku głos.

Folko odwrócił się. Przed nim stał człowiek, niski, przysadzisty, ale nie gruby; szerokością ramion niewiele ustępował Torinowi.

— Gospodarz jam tutejszy. Barlimanem mnie wołają. A oberża nasza już podczas Wielkiej Wojny gościła samego króla Elessara. — Niczym spiskowiec puścił do Folka oko. — Wtedy wszyscy znali go jako Aragorna, a zazwyczaj po prostu nazywali Włóczęgą! Och, zagadałem się, wielkodusznie wybaczenie mi, panie! Torin już zamówił kolację do oddzielnej izby, Nob ją przygotowuje. Czego sobie życzycie? Mięsa czy też coś lżejszego? Może jakieś warzywa?

— I to, i to — oświadczył zdecydowanie Folko. — I proszę, nie zapomnijcie o piwie! Może też być gomółka sera; dobry byłby także pieróg jabłkowy, konfitury truskawkowe, miód... No i wszystko to szybko, bo inaczej sami kogoś zjemy! Dokąd mam iść?

— Rozumiem, wszystko migiem będzie podane! — zapewnił gospodarz. — Kieruj się, panie... Jak cię mam zwać?

— Mów do mnie po prostu Folko.

Hobbit pchnął ciężkie, okute żelazem drzwi. Gospodarz, niewiarygodnie zręcznie okręciwszy się na pięcie, znalazł się przed nim i poprowadził w głąb domu, od czasu do czasu chwytając go za łokieć i mruczając pod nosem: „Ostrożnie, stopnie tu są... A tu piwnica otwarta, Nob, nierób jeden... Wybaczcie, ja przywykłem do ciemności, panie, a krasnolud kazał zaprowadzić was bocznym wejściem...”.

Folko posłusznie szedł za nim ciemnym, wypełnionym apetycznymi zapachami korytarzem. Od czasu do czasu gdzieś za ścianą rozlegały się głosy, śmiechy, brzęk kufli i wesołe śpiewy. Karczma, wypełniona ludźmi, zdawała się nie pamiętać o swym szacownym wieku.

Barliman zatrzymał się przed drzwiami w przeciwległym końcu korytarza i grzecznie zastukał.

— Wejść! — odpowiedział ze środka Torin.

Folko znalazł się w niewielkim, bardzo przytulnym pokoju z niskim sufitem i okrągłym oknem zamkniętym na ciężkie okiennice. Po ścianach z belek pełgały czerwone rozbłyski płonącego w kominku ognia, w kutyh świecznikach płonęły świece. W odległym kącie stało szerokie łóże, przed kominkiem ustawiono dwa drewniane krzesła i niewielki stół, pokryty ciemnym sukrem. W kącie obok kominka leżały ich bagaże, a przodem do paleniska siedział krasnolud, już bez płaszcza. Pokój wypełniał znajomy aromat jego mocnego tytoniu.

— Przyprowadziłem go, panie Torinie — pochylił głowę oberżysta. — Oto klucz od piwniczki. — Wyjął z kieszeni ciężki klucz z wymyślnie ciętym piórem. — Kolacja będzie już za momencik. Czy wszystko w porządku? Może jeszcze czymś mogę służyć?

— Nie, dzięki, panie Barlimanie — odpowiedział krasnolud. — Wszystko jest w znakomitym porządku. Przekąsimy coś i prześpimy się.

— Świetnie, świetnie — kiwał głową oberżysta. — A gdybyście mieli życzenie, prosimy do głównej sali, luda tam wiele, hałaśliwie i wesoło... Jeśli zaś nie chcecie, odpoczywajcie, śpijcie spokojnie; gdyby co było potrzebne, proszę dzwonić. — Wskazał wiszący obok drzwi sznur. — No to życzę przyjemnego wypoczynku. — Barliman uklonił się. W progu zderzył się niemal z młodym hobbitem, który niósł tacę zastawioną garnkami i miskami. — Oto i kolacja. Spokojnej nocy!

Tymczasem młody hobbit zręcznie rozstawiał na stole posiłek. Spod pokrywek dochodziły smakowite zapachy; Folko oblizwał się.

— Jak droga, czy nie ciężka? — zapytał sługa, zakończywszy swą pracę. — Wołają mnie Nob, syn Brego, ale mówcie po prostu Nob. Gdyby coś było potrzebne, proszę dzwonić, migiem się zjawię.

— Droga w porządku — odpowiedział w roztargnieniu Torin, podnosząc do ust pierwszą łyżkę duszonych w przyprawach grzybów. — A u was? Spokój?

— Jak by to powiedzieć... — Nob zamyslił się, ostrożnie przysiadając na wysokim progu. — W oberży sprawy idą najlepiej, jak można sobie wyobrazić,

a i pola przygórzańskie rodzą obficie... Ale na drogach zrobiło się jakoś niespokojnie...

Widać było, że Nob bardzo chętnie by porozmawiał. Folko zapraszająco skinął ręką.

— Dlaczego stoisz na progu, przyjacielu? Zamknij drzwi i pogadajmy! Rzadko gdziekolwiek się wybieramy, dlatego niewiele wiemy.

Nalał piwa do swojego kufła i podał Nobowi.

— Dziękuję. — Sługa ukłonił się nisko. Pociągnął solidny łyk i mówił dalej: — Słuchy różne chodzą, niedobre... Że niby pojawili się u nas tacy ludzie, którzy tylko z rozboju żyją, grabią, palą i zabijają... Ot, wioskę Addorn, co leży jakieś czterdzieści mil stąd na północ, spalili do cna! Miesiąc temu... O wschodzie, jak słyszałem, napadli, jednych usiekli, innych z kusz wystrzelali, wielu do niewoli wzięli, a dokąd poprowadzili, kto to wie? — Nob westchnął przeciągle. — Tylko troje ocalało. Przesiedzieli napad w krzakach, to cud, że ich nie znaleźli.

Torin przestał jeść i słuchał Noba, otworzywszy usta ze zdziwienia. Folko przypomniał sobie zabitego przy drodze hobbita i kiedy sługa umilkł, cicho powiedział:

— Ja też coś przy drodze widziałem. Ktoś zabił hobbita i porzucił ciało w przydrożnym rowie... Może by zebrać naszych, co tu żyją?... Na poboczu ułożyłem trójkąt...

Nob pospieszenie skinął głową.

— Co za nieszczęście... Przecież nic im nie zrobiliśmy... Oczywiście, panie, zwołam jutro kogo się da. Pochowamy nieszczęśnika godnie, urządzimy stypę... Wy też, oczywiście, pojedziecie?

— Nie wiem — odpowiedział hobbit, rzuciwszy szybkie spojrzenie na dyskretnie kręcącego głową Torina. — Bardzo się spieszymy do Annuminas, mamy do załatwienia niecierpiącą zwłoki sprawę. Ale jutro udamy się do waszego szeryfa i opowiemy mu wszystko, niech się tym zajmie! Często się takie rzeczy u was dzieją?

— Raczej nieczęsto, ale zdarza się. Ze trzy lata temu ktoś buszował po Gościńcu. Wtedy wraz z hobbitami z Białych Wzgórz napisaliśmy do Annuminas. Stamtąd przybyła drużyna, łapali kogoś, tłukli... Zrobiło się spokojniej...

— A wasi ludzie nie chodzili z nimi?

— Nieee... Naród tu mieszka pokojowy, rozsądny. Kto tu umie wojować? A i po co? Od tego są drużyny.

— A co z tą wsią, jak jej tam, Addorn? — wtrącił się krasnolud. — Tamtych zbójów pojмали?

— Słyszałem, że pędzili ich do samej granicy, do Gór Angmaru — odpowiedział Nob. — Kogoś tam złapali, sądzili... Chyba nawet powiesili...

— Kto za nimi gonil? I co to za ludzie napadli na wieś?

— Kto ich ścigał? Ze stolicy przybył oddział, przechwycił ich. Drużyna z Glemless za nimi pognąła. A co to byli za ludzie, dokładnie nie wiem. Powiadali, że z Angmaru. Dużo luda tam się osiedliło, żyją wolno, władzy żadnej nie uznają.

— No dobrze, a co z wami? Pod waszym nosem spalono wieś, a was to nie obchodzi? — zdziwił się Torin. — Gdyby coś takiego wydarzyło się u krasnoludów, to całe Góry Księżycowe by powstały! Wiesz, jak to jest na stołecznej drużynie polegać...

— A niby dlaczego ma nas obchodzić? — obruszył się Nob. — Nasza chata skraja. Ludzie niech sami dochodzą swego... Wieś leżała na ustroniu, nawet nie miała ogrodzenia! Ludzi z półtorej setki... Nas tak łatwo nie dostaną — wszędzie dokoła są osady. Częstokół wokół Przygórza jest mocny, a w środku wielu mieszkańców. No i drużyna teraz u nas stoi — dwa szwadrony jazdy! Nie, u nas będzie spokój...

Krasnolud podał Nobowi srebrną monetę.

— Dziękuję, dziękuję i dobranoc. — Nob pokłonił się z szacunkiem, schował pieniądze do kieszeni szerokich, krótkich do kolan spodni. — Wybaczcie, jeśli was zagadałem. Dobrej nocy! — I zniknął za drzwiami.

— Hm... Takie sprawy... — mruknął Torin. — Tylko nie próbuj teraz czegokolwiek przemyśliwać! Idziemy spać. Jadąc na tym kucu, cały tyłek sobie pobijałem... Niech tylko minie noc, rano rad da moc. Czy nie tak mawiali nasi dziadowie? Posłuchajmy ich! Jutro przede wszystkim opowiesz mi, jak to się stało, że pognąłeś za mną. Wszystko inne obgadamy później. Oczy mi się kleją.

Krasnolud ziewnął szeroko.

Powlekli świeżuteńką lnianą pościel, ułożoną w kostkę na wezglówiu. Folko czuł piasek pod powiekami, tak bardzo chciało mu się spać.

— Ogromnie się cieszę, że jesteś ze mną, bracie hobbicie! — mruknął Torin, kładąc się. — Samemu byłoby mi smutno.

— Tylko smutno? — uśmiechnął się Folko. — Mogę się przydać w wielu sprawach. — Podszedł do ułożonych w kącie worków, pogrzebał w swoim i wyjął schowany na samym dnie gruby, owinięty zgrzebną tkaniną przedmiot. — Pamiętam, że obiecałeś nie poskąpić złota za pewną przysługę? — Podał zawiniątko krasnoludowi. — Kiedy... odjeżdżałem, ujmijmy to w ten sposób, pomyślałem, że nie będzie od rzeczy wziąć ze sobą Czerwoną Księgę.

— O najszlachetniejszy z hobbitów, jacy kiedykolwiek żyli na tym świecie! Chwała Durinowi, chyba on sam podsunął ci tę wspaniałą myśl! — krzyknął Torin, podrywając się na łóżku i odrzucając koc. — Szybko, dawaj ją tu! Odwołujemy sen! To znaczy ty oczywiście śpij, a ja poczytam! — Zaczął się spiesźnie ubierać.

— Przecież jest ciemno! — próbował oponować Folko. — Świece się dopalają...

— To nic, zapalimy łuczywo. — Krasnolud już odłupywał od leżących przed kominkiem drew wąskie i długie szczapy. — Nawet mamy podstawkę!

Folko ułożył się, owinawszy głowę kocem. Słychać było cichy trzask łuczywa, szelest przewracanych stronnic i miarowy oddech krasnoluda. Zmęczenie szybko wzięło górę i hobbit wkrótce zapadł w głęboki, spokojny sen.

* * *

Rankiem, kiedy krasnolud jeszcze spał, do pokoju zastukał oberżysta, przynosząc śniadanie. Folko zjadł i postanowił pójść się rozejrzeć po obejściu.

Korytarz zaprowadził go do centralnej sali oberży. Przez szeroko otwarte okiennice wlewało się jasne słoneczne światło. Dokładnie naprzeciw okna były dwuskrzydłowe drzwi wejściowe, po lewej szynkwasy, za nim — ciemnobrązowe cielska olbrzymich starych beczek, obok niewielki kominek. Przy długim szynkwasy stały wysokie drewniane taborety, zajęte w tej chwili przez gości, którzy sączyli niespiesznie piwo, posilali się, pykali fajki. Z prawej strony znajdował się drugi kominek, o wiele większy od pierwszego. Folko nigdy nie widział paleniska takiej wielkości — miało szerokość co najmniej półtora sążnia. Przed nim stały długie stoły, zajmujące środek pomieszczenia; wzdłuż ścian i pomiędzy oknami rozstawiono mniejsze stoliki, na dwie — trzy osoby. W sali zręcznie krzątali się dwaj słudzy — jeden za szynkwasem nalewał piwo, drugi roznosił jadło.

Nikt nie zwrócił uwagi na stojącego w progu hobbita i Folko mógł spokojnie przyjrzeć się gościom. Zebrało się tu zadziwiająco różnorodne towarzystwo. Przygórzanie w roboczych ubraniach, którzy wpadli do gospody w czasie krótkiego południowego wypoczynku, siedzieli obok ważnych kupców i królewskich urzędników. Tych ostatnich łatwo było poznać po wyhaftowanym na rękawie herbie Zjednoczonego Królestwa Arnoru i Gondoru. Składało się nań Siedem Gwiazd i Białe Drzewo na tle obronnych murów, a na nocnym niebie nad murami — jaskrawa Ósma Gwiazda, Gwiazda Earendila. Grupki zatroskanych krasnoludów w brązowych ubraniach pociągały piwo; z worków porzuconych obok stołów sterczały oskardy — ich właściciele udawali się do jakichś odległych kopalń. . .

Przy szynkwasy siedziało kilku strażników Namiestnika, należących do rozlokowanych niedawno w Przygórzu oddziałów konnych. Pod herbem Królestwa mieli wyhaftowany koński łeb i dwie skrzyżowane szable. Folko przypomniał sobie rozmaite, wycytane kiedyś czy zasłyszane od przyjezdnych informacje i z zadowoleniem pomyślał, że całkiem nieźle orientuje się w tym nowym dla siebie świecie. W odległym kącie zauważył dość liczną grupę krzepkich mężczyzn, w si-

le wieku, odzianych w ciemnozielone szaty. Pod stołami i na ławkach rozłożyli broń: miecze, lance, łuki i kilka okrągłych tarcz odwróconych licem do ściany.

Hobbit wdrapał się na wysoki taboret nieopodal krzątającego się po drugiej stronie szynkwasu służącego i poprosił o piwo. Nie zdążył wypić nawet jednej trzeciej kufła, gdy z ciemnego wnętrza oberży wynurzył się Barliman, niezwykle spokojny, promieniujący jakimś wewnętrznym blaskiem; w ręku trzymał puchar wypełniony ciemnopurpurowym płynem.

Pewnie wino, pomyślał hobbit.

Barliman wyszedł na środek sali i wysoko uniośł prawą rękę. Wszyscy umilkli. Właściciel oberży zaczął mówić niezwykle poważnym, a nawet uroczystym tonem:

— Przerwijcie na chwilę swoje rozmowy, drodzy goście. Nadeszła ta chwila, w której codziennie wspominamy Wielkiego Króla Elessara!

Wszyscy wstali, twarze ludzi i krasnoludów były poważne i zamyślane. Każdy trzymał w ręku kielich wina czy kufel piwa. Oberżysta mówił dalej:

— Nieraz gościł tutaj, zaszczycając nas swoją obecnością. W latach, kiedy nieliczni herosi prowadzili nierówną walkę z Zastoną Mroku, w oberży moich przodków niejednokrotnie znajdował on i schronienie, i jadło.

Ręką wskazał róg sali. Folko zerknął tam, ale przez gęsty szpaler stojących ludzi nie mógł niczego zobaczyć.

— Był to król wielki i jasny — ciągnął gospodarz — a mądrość jego była głęboka i nieprzenikniona. Niechaj więc pamiętają o nim ludzie i niech powtarzają piękne opowieści o nim swoim dzieciom! Niechaj lekkim będzie każdy jego krok tam, w innym życiu, za Grzmiącymi Morzami!

Oberżysta uronił łzę. Folko rozejrzał się po sali i ku swojemu zdziwieniu zobaczył, że wielu odwraca spojrzenie i wzdycha. Jednakże zdziwiło go nie to, tylko starannie ukrywane kpiące pół-uśmieszki, które wymienili ludzie w zielonych szatach, którzy wstali, jak wszyscy w izbie.

— Wypijmy, przyjaciele! — uniośł puchar Barliman. — Niech wiecznie żyje pamięć o Wielkim Królu Elessarze!

Wszyscy chórem powtórzyli ostatnie jego słowa, unosząc do ust kielichy i kufle i osuszając je do dna. Hobbit poczuł jakąś kulę w gardle i szybko pociągnął duży łyk za Wielkiego Króla.

Oberżysta stał jeszcze chwilę na środku sali, potem westchnął i wyszedł przez prowadzące w głąb budynku drzwi. Goście, nie spiesząc się, usiedli i powrócili do przerwanych rozmów...

Dopiero teraz Folko mógł zobaczyć miejsce, które wskazywał podczas swego hołdowniczego przemówienia oberżysta. Obok kominka, przy ścianie, można było dostrzec niewielki stolik przykryty białym obrusem i ogrodzony niewysokim, misternie kutym płotkiem. Obok stało nieco odsunięte na bok krzesło z niedbale rzuconym na oparcie znoszonym szaro-zielonym płaszczem. O stolik oparty

był rzeźbiony drewniany kostur z kościaną rękojeścią, a na białym obrusie obok wysokiego kufła leżał wytarty kapciuch i niewielka zakrzywiona fajeczka. Wydawało się, że właściciel tych przedmiotów na chwilę odszedł i niebawem wróci. Zaintrygowany hobbit podszedł bliżej.

Nad stołem, w wykwintnej ramie, pod szkłem, umieszczono stary pergamin, zapisany, podobnie jak wiele innych dokumentów z czasów Wielkiego Króla, zarówno we Wspólnej Mowie, jak i w języku elfów. Tekst głosił:

Za oddane przysługi, za honor i męstwo daruję właścicielowi oberży „Pod Rozbrykanym Kucykiem” Barlimanowi i wszystkim jego potomkom prawo do handlu bez daniny i myta — i niechaj tak będzie, póki stoi Białe Drzewo. Niniejszym także potwierdzam, że podarowałem gospodarzowi tej oberży swój płaszcz, kapciuch, fajkę i kostur, aby nikt nie wątpił w ich autentyczność.

Dan w roku ósmym Czwartej Ery, w Przygórze

Własną ręką: Elessar Elf, Król Arnoru i Gondoru.

Oszołomiony Folko podrapał się po karku i z szacunkiem przyjrząwszy się drogocennym relikwiom, powrócił do obserwowania grupy wojaków w zielonych strojach.

Wśród nich, jak zauważył, znajdowali się nie tylko dojrzały, mocni mężczyźni, ale i młodzieńcy, a nawet kilku chłopców. Jeden z nich, chudy i wysoki, przez cały czas wiercił się i skakał przed siedzącymi mężczyznami, od czasu do czasu naśladując i przedrzeźniając któregoś z gości. Najpierw wydawało się to dość zabawne lubiącemu żarty hobbitowi, jednakże szybko zrozumiał, że młodzian nie tyle rozwesela swoich towarzyszy, ile złośliwie, pogardliwie wykpiwa tych, którzy nie należą do ich kompanii. To się Folkowi nie spodobało. Pochylił się, chcąc podrapać ukąszone przez komara kolano, podniósł głowę i zobaczył, że tym razem chłopak przedrzeźnia właśnie jego; wcale się nie krył, patrzył hobbitowi prosto w oczy, złośliwie i bezczelnie. Kpiny niezłe mu wychodziły — udanie przedstawił zdziwionego i wystraszonego maleńkiego hobbita, tak bardzo obawiającego się, żeby nikt go nie wyśmiewał; dokładnie pokazał, jak ukradkiem wyciąga rękę i drapie się po kolanie, jak rozgląda się i poprawia miecz przy pasie... Wyszło to niezłe i właśnie dlatego było szczególnie bolesne. Folko poczuł, że się rumieni. „Zieloni” patrzyli na niego kpiąco: jak się teraz wykręcisz, wojaku?

Hobbit przełknął ślinę. Wiedział, że jest pod ostrzałem spojrzeń wszystkich obecnych. Nie można darować, trzeba coś zrobić... Ale co?

Rozejrzał się. Ku swojemu przerażeniu zobaczył, że bezczelny chłopak przemierza salę, kierując się ku niemu. Wydłużoną twarz wyrostka pokrywały dzioby

po ospie, rzadkie włosy nie mogły skryć odstających uszu, zielonkawe kocie oczy były pogardliwie zmrużone...

— Hej, ty, futrzanostopy! Coś się rozsiadł na moim miejscu? — wycedził pogardliwie młodziak, wzięwszy się pod boki. — Zmiataj, nie będę powtarzał. Co to, głuchyś?

Folko nie poruszył się, tylko jego prawa ręka spazmatycznie ścisnęła rękojęć beużytecznego w tej chwili miecza.

— Miejsce było wolne — wykrztusił z trudem. — Nikt mi nie powiedział... .

Odwrócił się, jakby uważał rozmowę za skończoną. W tej samej chwili chłopak chwycił go za nos.

— Kto ci pozwolił się odwracać? Tu masz patrzeć, paskudo! Najpierw usuń sierść z łap, a potem dopiero pchaj się do przyzwoitego towarzystwa! Rozumiesz? Powtórz!

— Wynoś się! — wycedził Folko cichym, ale przepełnionym nienawiścią głosem. — Wynoś się, bo...

Wysunął do połowy klingę z pochwy. Jednakże jego dręczyciel nawet nie mrugnął okiem.

— Och, jak się wystraszyłem! Zaraz wejdę pod stół! A może ty się tam wybierasz?

Młodzik z zadziwiającą siłą uderzył w taboret hobbita. Folko nawet nie zrozumiał, co się stało, a już turlał się po podłodze. Ból stłuczonych kolan i łokci sparaliżował go na chwilę. Chłopak działał tak szybko, że nikt niczego nie zauważył; ludzie ze zdziwieniem zauważyli ni stąd, ni zowąd walącego się na podłogę hobbita i wrócili do swoich zajęć.

Ostry i twardy czubek buta wbił się w bok leżącego Folka. Skulił się, kryjąc głowę w dłoniach, a jego dręczyciel, dumnie rozsiadłszy się na taborecie, nagle zaśpiewał szyderczą piosenkę:

*Pewien głupi hobbit, siedząc obok drogi,
Ze skupioną miną golił swoje nogi.
Niepotrzebnie się stara, na efekty czeka,
I tak nigdy nie będzie przypominał człowieka!*

W sali rozległ się śmiech, a grupa pod ścianą rechotała najgłośniej.

I nagle Folkowi niespodziewanie rozjaśniło się w głowie. Teraz już wiedział, co powinien zrobić. Z trudem podniósł się i pokuśtykał do szynkwasu, gdzie sługa nalewał mu piwo. Jego miecz włókł się po podłodze — jeden z rzemyków pękł... . Wyczuwał skierowane na siebie szydercze spojrzenia — wśród nich i triumfujący wzrok krzywdziciela. Podszedł do lady i gwałtownie odwrócił się.

— Hej, ty, pokurczu zielony! — zawołał. — Masz!

Cięnięty z całej siły dębowy kufel z głuchym odgłosem wyrznął w głowę chłopaka, który, zaskoczony, nawet nie próbował się uchylić. Folko zawsze był jednym z pierwszych w miotaniu kamieniami do celu czy strzelaniu z łuku; w tej sztuce hobbici, jak wiadomo, nieznacznie tylko ustępują elfom i znacznie wyprzedzają wszystkie inne narody Śródziemia.

Bezwładne ciało zsunęło się ze stołka na podłogę — szyderca runął jak podcięte drzewo i leżał nieruchomo, twarzą w dół; wokół jego głowy wolno rozplątała się krwawa plama.

Zaskoczony Folko stał i patrzył na pokonanego wroga. Wokół rozległ się szmer podniesionych głosów; nie słuchał ich, nie rozumiał słów, jak zaczarowany wpatrywał się w młodzieńca, który poruszył się i jęknął. Do rannego podskoczyli dwaj kompani w zielonych strojach i pomogli mu usiąść. Chłopak z trudem odwrócił głowę w stronę stojącego o dziesięć kroków od niego hobbita. Krew błyskawicznie zmyła z jego twarzy i pogardę, i brawurę; teraz Folko z satysfakcją dostrzegł w jego oczach konsternację i zwierzęcy strach, zwłaszcza w chwili, gdy hobbit mimowolnie znowu chwycił stojący obok kufel.

Ktoś tarmosił hobbita, ktoś o coś pytał, lecz Folko milczał, obserwując towarzyszy chłopaka, którzy ruszyli na niego niczym zielona ściana.

Wyciągnął miecz.

— Czekajcie, czekajcie! — zawołał oberżysta, wpadając między zwaśnionych. — O co chodzi? Co się stało? Zaraz wszystko wyjaśnimy. . .

— Nie ma co wyjaśniać — przerwał ktoś zimnym, skrzekliwym głosem. — Za impertynencję trzeba karać.

Folko drgnął.

Szereg obcych rozstał się. Przed hobbitem stał niski, nieco tylko wyższy od niego garbus z długimi, niemal sięgającymi kolan wężłastymi rękoma. W trójkątnej twarzy wyróżniał się drapieżny wąski nos i blado-stalowe oczy. Folko, spotkawszy się z nieznanym wzrokiem, zadrżał jak królik w obliczu węża. W spojrzeniu garbusa nie było ani złości, ani nienawiści, tylko moc; sprawiał wrażenie człowieka spokojnego, nieco zmęczonego; hobbitowi wydało się, że patrzył na niego nawet współczująco.

Niespokojny gwar w sali ucichł, gdy tylko goście spostrzegli nagie ostrze w ręku hobbita. Garbus, uśmiechając się lodowato kącikami ust, wyjął spodmiędzy fałd ubrania brunatną pałkę długą na półtora łokcia i spokojnie zwrócił się do zebranych:

— Krwi nie zobaczycie, nie martwcie się, czcigodni państwo! Widzicie — rzucił na podłogę ciężki skórzany pas z przytroczonym doń sztyletem w czarnej pochwie — nie obnażam stali. Ty — zwrócił się do Folka, któremu język natychmiast przykleił się do podniebienia — pierwszy przelałeś krew. Broń się albo atakuj, dla mnie to bez różnicy. Ale najpierw. . .

Wykonał nagły ruch i niespodziewanie znalazł się tuż przy zaskoczonym hobbitcie. Zimne haczykowate palce szarpnęły go za podbródek, aż szczęknął zębami, i na dodatek boleśnie przyciął sobie język. W następnej chwili otrzymał mocne uderzenie w nogi i poturlał się po podłodze. Ludzie roześmiali się, rozległy się okrzyki:

- Teraz ty, mały, pokaż mu! Kufel, nie zapomnij o kuflu!
- Stawiam dwadzieścia monet na hobbita!
- Pięćdziesiąt na garbusa!
- Śmiało!

W centrum szydzącego i naśmiewającego się tłumu stał obojętny i spokojny garbus, trzymając w ręku swoją niedorzeczną pałkę. Nagromadzona rozpacz, poczucie krzywdy i złość sprawiły, że Folko zdecydowanie ruszył do przodu. W pokojowo nastawionym hobbitcie, który nawet w dzieciństwie rzadko bił się z kolegami, obudziła się jakaś straszliwa nienawiść do nieznanego garbusa, który swoją krótką i cienką — na półtora palca — pałkę wciąż trzymał w ręku.

Widzowie zareagowali chóralnym rykiem. Gdzieś z tyłu dochodził do Folka krzyk oburzonego Barlimana. Oberżysta, jak się zdawało, usiłował rozdzielić przeciwników i nie dopuścić do bijatyki.

Folko szedł prosto na garbusa, z którego oblicza nie schodził zimny uśmiech. W dziwnym zaślepieniu, jakby w półśnie, hobbit przebył dzielące ich kilkanaście kroków i gdy przeciwnik był nie więcej niż o dwa sążnie, gwałtownie rzucił się do przodu, wysunąwszy przed siebie miecz, skierowany w pierś garbusa.

Ten ponownie wykonał błyskawiczny ruch, pałka ze świstem przecięła powietrze i Folkoomal nie wypuścił uderzonego ze straszliwą siłą miecza. A garbus już znalazł się obok i zadał mu silny cios poniżej pleców; wszyscy usłyszeli pisk Folka. Dokoła ponownie rozległ się rechot.

Zaślepiiony bólem i złością, ale nie pozbawiony swej wrodzonej zręczności, hobbit zgrabnie odwrócił się twarzą do przeciwnika. Znienawidzone oblicze majaczyło zupełnie blisko, garbus na pewno nie spodziewał się po hobbitcie takiej szybkości. Folko z całej siły, jakby rąbiąc drwa, zadał cios z góry, mierząc w wysokie blade czoło pokryte rudawymi pierścionkami rzadkich włosów.

Ani jeden mięsień nie drgnął na twarzy garbusa. Ręka z pałką wzleciała do góry i opisała koło w powietrzu; Folko nagle poczuł, że został ciśnięty w bok, a klinga przecina pustkę. Garbus ponownie znalazł się za hobbitem i już nic nie mogło mu przeszkodzić — podciął Folkowi nogi, a kiedy ten zwałił się na podłogę, dosiadłszy go, zaczął metodycznie okładać po plecach, po nogach, po tyłku. Nikt nigdy tak nie bił hobbita, który tracił świadomość i już nic nie słyszał i nie widział...

Grad bolesnych uderzeń nagle ustał. Ostatnim wysiłkiem woli Folko rzucił się w bok i popatrzył w górę. Zobaczył wykrzywioną twarz garbusa, rozpaczliwie usiłującego wyrwać rękę uzbrojoną w pałkę z czyjejś dłoni, która ją pochwyciła,

uniemożliwiając jakikolwiek ruch. Hobbit napiął mięśnie, próbując przyjrzeć się twarzy sprzymierzeńca, jednakże wszystkie jego wątpliwości rozwiął znajomy niski głos.

— Zbóju! — ryknął Torin. — Spróbuj ze mną!

Palce krasnoluda mocniej niż stalowe imadło ścisnęły rękę garbusa; na obnażonym przedramieniu Torina pojawiły się grube niczym powrozy żyły. Wreszcie chwycił za koniec pałki i gwałtownie szarpnął ją w dół; rozległ się trzask, szczapa wymknęła się ze sflaczałej dłoni garbusa.

— Pokażę ci, jak się łoī mniejszych, padlino! — wrzasnął prosto w twarz obcego Torin. — Klnę się na brodę Durina!

Zaatakowany syknął jak kot, któremu ktoś nadepnął na ogon, zręcznie okręcił się, podskoczył i uderzył krasnoluda nogą w biodro; Torin stracił równowagę i przeciwnikowi udało się uwolnić z uścisku. W następnej chwili topór już znalazł się w ręku rozwścieczonego krasnoluda.

— Miecz! — krzyknął garbus, odskoczywszy gwałtownie do tyłu.

Ktoś wsunął mu w dłoń długi miecz w czarnej pochwie. Na oblicze garbusa wypłynął złośliwy uśmiezek, obwieszczający wszystkim: „No, wreszcie doszliśmy do sedna”.

W tym momencie ruszyli na nich widzowie. Wszyscy zrozumieli, że żarty się skończyły i zaczyna się prawdziwy pojedynek; pięciu mężczyzn uczepiło się ramion garbusa, do Torina podskoczyło czterech.

Z niewyobrażalną zręcznością garbus w jednej chwili uwolnił się od wczepionych w siebie rąk; trzymający go ludzie runęli na podłogę, nie pojmując, co się stało. Nieznajomy błyskawicznie rzucił się do przodu, jego miecz już nie znajdował się w pochwie.

Prerażony Folko zamknął oczy. I w tym momencie usłyszał czyjś spokojny, opanowany głos, który natychmiast uciszył wszystkich. Czuło się w nim siłę i władzę, prawo do wydawania rozkazów i karania. Wszyscy zamarli, również garbus stanął jak wryty, nawet nie zdążywszy opuścić nogi na podłogę.

— Przestań, Sandello! To niegodne ciebie. Poza tym na nas czas. Zapłać gospodarzowi za zniszczenia i pogódź się z czcigodnym krasnoludem.

Garbusowi o imieniu Sandello ktoś wsunął w dłoń brzęczącą monetami skórzaną sakiewkę.

Folko, Torin i cała reszta zebranych ze zdziwieniem obserwowali, jak po pierwszych słowach od razu zmieniło się oblicze Sandella: znikły złość i nienawiść, nie pojawił się nawet grymas niezadowolenia; garbus nawet lekko się uśmiechnął, odwrócił w stronę, z której dolatywał głos, i nisko, z szacunkiem, się pokłonił.

— Słucham! — powiedział niemal szeptem i rozejrzał się, wyraźnie szukając wzrokiem oberżysty.

Zza pleców stojących wokół ludzi wylażył pobladły Barliman, z niedowierzaniem i niechęcią wpatrując się w garbusa. Ten podał mu pieniądze.

— Proszę o wybaczenie, czcigodny gospodarzu, za wyrządzone szkody. Klnę się na Wielkie Schody, wszystko inaczej się złożyło, niż chcieliśmy. Przyjmij to jako zadośćuczynienie!

Barliman zamierzał coś powiedzieć, ale tylko machnął ręką i wziął sakiewkę.

— No to świetnie — ciągnął garbus. — Teraz chciałbym zawrzeć pokój z czcigodnym krasnoludem.

Skierował się do Torina, którego ciągle trzymało czworo roślących współplemieńców, bo krasnolud wściekle wywracał nalanymi krwią oczami i miotał niewyraźne przekleństwa. Sandello wyciągnął doń rękę.

— Proponuję, żebyśmy rozstali się w pokoju, czcigodny krasnoludzie — nie znam twego imienia. Rozumiem cię, broniłeś przyjaciela, ale i ja czyniłem to samo! Uważam, że jesteśmy kwita.

— Nigdy nie będziemy kwita! — wykrzyknął Torin. — Nadejdzie taki dzień, kiedy spotkamy się i wtedy ci się odpłacę. Zejdź mi z oczu, nie mamy o czym rozmawiać!

Sandello, teatralnym gestem okazując rozczarowanie, rozłożył ręce, odwrócił się do drzwi i podążył za wychodzącymi już kompanami.

Wkrótce z podwórza dał się słyszeć stukot kopyt — około dziesiątki jeźdźców oddalało się od oberży. Krasnoludy, westchnawszy z ulgą, puściły Torina, a ten od razu rzucił się do leżącego na podłodze Folka.

— Jak to się stało? Gdzie cię boli, powiedz! — mamrotał pospiesznie, szybko obmacując ramiona i plecy przyjaciela. Niemal każdemu jego dotknięciu towarzyszyły bolesne jęki hobbita. — Gospodarzu, każ przynieść gorącej wody do izby — krzyknął do Barlimana i, ostrożnie wzięwszy Folka na ręce, skierował się do wyjścia.

W bezpiecznym uścisku mocnych, twardych rąk Torina hobbitowi było wygodnie. Ból ustąpił, ale Folko zgrzytał zębami z palącego, nieznośnego wstydu. Czuł, jak płoną mu policzki i uszy. Hańba! Tak oberwać na oczach wszystkich, z mieczem przeciwko jakiejś pałce! Ależ zrobił z siebie widowisko — wojak bezsilnie tnący mieczem pustkę, w czasie gdy jego przeciwnik zachodził go od tyłu i robił z nim, co chciał! W prawdziwym pojedynku Folko w mgnieniu oka byłby trupem. Za dużo sobie wyobrażał. Wujaszкови wygrażać — owszem... Na wspomnienie Paladyna myśli hobbita skierowały się na inne tory. Po co przyłączył się do tego krasnoluda, który napatoczył się w tak nieodpowiedniej chwili? Gdzie go poniosło, po jakie lichy? W ciągu dwóch dni wędrówki oberwał więcej niż przez całe swoje poprzednie życie. Aż jęknął — ból powrócił, ale krasnolud już kopniakiem otworzył drzwi do izby i ostrożnie ułożył hobbita na pościeli.

— Co za historia... Mocno oberwałeś. Powiedz, co się właściwie wydarzyło?

Przewyciężając ból i nieznośny wstyd, Folko opowiedział krasnoludowi o wszystkim. Torin nachmurzył się:

— Szkoda, że nie zabiłeś tego gada... Szkoda też, że nie dali mi jak należy potaćować z tym... jak mu tam, Sandellem. Ale to nic, zapamiętałem go na całe życie.

Rozległo się ostrożne pukanie. Torin uchylił skrzydło drzwi i do izby wszedł Barliman. Trzymał w ręku drewniany cebrzyk wypełniony gorącą wodą.

— Dzięki, gospodarzu — skinął głową krasnolud.

Na plecy cierpiącego hobbita ostrożnie położył gorącą ściereczkę przesyconą jakąś krasnoludzką driakwią. Folko z trudem powstrzymał krzyk — świeże szramy zapiekły, jakby posypano je solą, ale ból szybko ustąpił, po ciele rozlało się przyjemne ciepło...

— Przyjdzie ci leżeć dzisiaj cały dzień — zawyrokował Torin, kiwając z troskaniem głową.

Obolały Folko rozkoszował się wypoczynkiem. Nie, za żadne skarby nie pójdzie dalej! Jutro powie krasnoludowi „przepraszam” i wróci do Hobbitonu. Wujaszek, oczywiście, pozłości się, ale w końcu wybaczy, i znowu wszystko będzie dobrze... Tak rozmyślał, gdy nagle ktoś energicznie zapukał do drzwi.

Rozdział 5

Rogwold

— Kogo tam licho niesie? — warknął przez zęby Torin, ale otworzył drzwi.

— Proszę o wybaczenie, jeśli przeszkadzam. . . — rozległ się cichy głos, z wyraźnie słyszalnymi, jakby metalicznymi nutkami.

Do izby ostrożnie wszedł wysoki siwy człowiek, już niemłody, ale szczupły i schludnie ubrany. Na opalonej twarzy pod gęstymi siwymi brwiami połyskiwały jasnoniebieskie oczy nieprawdopodobnie czystej barwy. Krasnolud bezwiednie wpatrywał się w nie z taką przyjemnością, z jaką przyglądałby się najwspanialszym kamieniom szlachetnym. Gładka skóra pokrywała nieco wystające kości policzkowe, skrzydełka nosa i kąciki ust łączyły głębokie zmarszczki, siatka drobniejszych widoczna była w kącikach oczu; dół twarzy krył się w starannie utrzymanej śnieżnobiałej bródce, ciągnącej się równą wstęgą od ucha do ucha. Gość ubrany był w prostą brązową kurtkę i wysokie skórzane buty; do pasa po bokach miał przytroczone dwa krótkie noże. Długie włosy, żeby nie wpadały do oczu, związane były skórzanym rzemykiem.

Folko uniósł się na łokciu, starając się przyjrzeć nieznajomemu, Torin natomiast obdarzył go dość nieprzyjnym spojrzeniem i w odpowiedzi na jego pierwsze słowa wymruczał pod nosem: „Bardzo przeszkadzasz!”.

— Dopiero co wszedłem do oberży — ciągnął nieznajomy — i pierwsze, co usłyszałem, to opowieść o waszej potyczce z obcymi. Spieszę więc zapytać, czy nie mogę być wam w czymś pomocny. . .

Skierowane na nieznajomego spojrzenie krasnoluda najwyraźniej mówiło: „Możesz być pomocny, jeśli uwolnisz nas od swojej obecności”. Przybyły popatrzył na pokryte sińcami plecy hobbita, poszperał w wiszącej u pasa niewielkiej skórzanej sakwie i podał krasnoludowi paczkę suchych liści wydzielających mocny korzenny zapach.

— To zdrowieniec — powiedział siwowłoso. — Widzę, czcigodny krasnoludzie, że już zastosowałeś swoje środki. . . aha, podkamieniec kwaśny, bełtan dwugłowy i jaskiniowy mech — wszystko właściwe. Ale będzie bardzo pożytecznie

dla twojego cierpiącego druha, jeśli posłuchasz mojej rady i zaparzysz jeszcze zdrowieńca.

— Skąd znacie... skąd znasz nasze leki? — zapytał zaskoczony krasnolud.

— Długo już żyję i wiele podróżuję — uśmiechnął się nieznajomy. — Bywałem i u was, na południu Gór Księżycowych, i nawet przyjaźniłem się z Hortem, jednym z członków waszej starszyny.

— Jak się domyśliłeś, że jestem z południa Gór Księżycowych? — Torin stracił rezon.

— Po twoim toporze — z uśmiechem odpowiedział nieznajomy. — Tylko wy macie kolec na obuchu. Na północy ostrze jest krótsze, krasnoludy z Morii mają charakterystyczny falisty wzór, a te z Samotnej Góry zamiast kolca hak. W dodatku ostrze topora jest zaokrąglone. Żelazne Wzgórza wyróżniają się toporami dwustronnymi, a jednostronne przypominają raczej siekiery. Może byśmy się poznali? — Uśmiechnął się szeroko, przyjaźnie. — Zwą mnie Rogwold, syn Mstara, w miejscowej mowie — Rogwold Dąb. Tak mnie Przygórzanie nazywają z powodu wytrzymałości i za to, że wciąż nie poddaję się starości.

Torin i Folko przedstawili się. Gość skinął głową, a potem wraz z krasnoludem zaczął się krzątać przy rozciągniętym na łożu hobbitcie. Wypytywał przy tym o wydarzenia w obery, od czasu do czasu zadawał krótkie pytania, uśmiechając się zagadkowo.

— Mówisz, że wszyscy byli w zielonych ubraniach? Siedzieli z boku? Chłopak dowcipniś? Ciekawe...

Krasnolud i hobbit byli coraz bardziej podekscytowani, Torin wyzbył się wrogości, którą tak jawnie okazał kilka minut temu. Kiedy Folko doszedł w swojej opowieści do swego celnego rzutu kuflem, na twarzy Rogwolda pojawiła się wyraźna dezaprobata, jednakże westchnął tylko i pokiwał głową.

— Nie, jednak się myliłem — powiedział. — Postąpiłeś jak należało, chociaż nie wszyscy to zrozumieli. Mów dalej!

Hobbit zaczął opowiadać o garbusie. Rogwold słuchał w skupieniu.

— Powiadasz, że zwał go Sandello? Garbus Sandello? — Przybysz odchylił się w fotelu ze wzrokiem wbitym w hobbita. — Miałeś wielkie szczęście, Folko, synu Hemfasta. Mógł cię zabić gołymi rękami, nie wstając od stołu!

Folko zakrztusił się, a krasnolud wytrzeszczył oczy. Obaj w milczeniu patrzyli na Rogwolda.

— Znałem go kiedyś — wolno powiedział gość, jakby z trudem przypominając sobie jakieś odległe w czasie wydarzenie. — Kilka razy widziałem garbusa na turniejach w Annuminas. Pomimo swojego wzrostu trzy razy z rzędu wygrywał walki na miecze. Zawsze wydawało mi się, że dla Sandella najważniejsze na turniejach jest udowodnienie jednej rzeczy: jestem taki jak wy, a nawet lepszy. Ale mimo tych zwycięstw Namiestnik nie wziął go do swojej gwardii, nie wiem, niestety, dlaczego. Zresztą, Namiestnik dobrze zna się na ludziach... Nie wiem,

z czego i jak żył Sandello przez ten czas; jest o jakieś dwadzieścia lat młodszy ode mnie. Słyszałem, że przyłączył się do myśliwych czy też do poszukiwaczy złota. . . — Rogwold znowu pokiwał głową. — Los jest kapryśny! Chciałbym wiedzieć, komu dziś służy, bo to, że służy, to jasne jak słońce. Ale czyj głos zmusił garbusa do porzucenia ulubionej zabawy?

Rogwold przespacerował się po pokoju.

— Nic to, jeszcze spotkamy się z tym Sandellem! — mruknął krasnolud, ale widać było, że po opowieści nowego znajomego jego zawziętość trochę osłabła.

— Tacy jak Sandello bardzo drogo kosztują — ciągnął Rogwold, nie słuchając krasnoluda. — Kiedy opowie się on po czyjejś stronie, to nie opuści strażnika do śmierci. . . Aha, właśnie, napar już naciągnął.

Podszedł do kociołka z wrzącą zawartością, zdjął go z trójnoga i odlał do kubka ciemnego płynu.

Niemal parząc sobie usta, Folko pił gorący napar. Rogwold w tym czasie ostrożnie nacierał mu plecy rozgotowanymi liśćmi. Nowy środek podziałał bardzo szybko — ból pleców ustał jak ręką odjął i tylko trochę kręciło mu się w głowie. Uszczęśliwiony Folko wpełzł pod koc i przysłuchiwał się odpowiedziom Rogwolda na niecierpliwe pytania krasnoluda.

— Jestem Arnoryjczykiem, urodziłem się i wyrosłem w Annuminas. W młodości wyróżniałem się siłą i dlatego Namiestnik — w tym czasie równie młody, dopiero co wybrany na swoje stanowisko — wziął mnie do konnej miejskiej drużyny. Byłem dziesiętnikiem, potem setnikiem, uczestniczyłem w pamiętnej Ostatniej Wyprawie na północ trzydzieści lat temu, kiedy dostrzeżono tam osiedla orków, i dosłużyłem się stanowiska pięćsetnika. Ale lata biegły, starzałem się: pewnego pięknego dnia odszedłem zatem z królewskiej służby i zostałem myśliwym. Teraz wędruję po lasach, chwytam sokoły i krzeczoty, oswajam je, tresuję i sprzedaję w Annuminas do polowań organizowanych przez Namiestnika. To właściwie wszystko. — Jakby usprawiedliwiający się, rozłożył ręce.

— A dokąd teraz się kierujesz, czcigodny Rogwoldzie? — zapytał Torin.

— Akurat wybieram się do Annuminas. Czy wam to po drodze?

— Owszem.

— Cóż zmusiło krasnoluda z Gór Księżycowych i hobbita z legendarnego, cichego kraiku do tak dalekiej wyprawy? Wybaczenie moje pytanie, ale to osobliwość nawet w naszych stosunkowo spokojnych czasach!

Folko i Torin wymienili spojrzenia.

— Mamy ważną sprawę do Namiestnika — odpowiedział Torin. — Czy nie mógłbyś, czcigodny Rogwoldzie, poradzić nam, jak można by go zobaczyć możliwie szybko?

— O audiencję u Namiestnika ubiega się wielu — odpowiedział myśliwy, starając się nie okazać zdziwienia — ale żeby się z nim zobaczyć, a tym bardziej porozmawiać, trzeba dość długo czekać. Po pierwsze, złożycie na ręce Namiestnika

petycję przedstawiającą waszą prośbę. Następnie otrzymacie odpowiedź młodszego kancelisty. On wyznaczy wam datę rozmowy z jednym z sekretarzy, którego musicie przekonać, że sprawa rzeczywiście jest na tyle istotna, by jej wysłuchał sam Namiestnik.

— Ale my mamy szczególną sprawę, nie możemy o niej mówić wszystkim gryzpiórkom w stolicy! — obruszył się krasnolud.

— Żeby wszystko było jasne: mogą cię prosić, żebyś w ogóle nie zwracał się do kancelarii — uśmiechnął się Rogwold. — Czy nie wiesz, że krasnoludy nie są poddanymi Północnej Korony i, co za tym idzie, powinny zwracać się do swoich ambasadorów w Annuminas, gdy powstają jakieś problemy związane z handlem czy rzemiosłem! Prośbę musi napisać hobbit, w końcu to on jest w szczególnej sytuacji. Tak powiedział w swym testamencie Wielki Król, a jego słowo na razie jest święte.

Krasnolud podrapał się po czubku głowy.

— Ile to będzie trwało?

— Co najmniej miesiąc — padła odpowiedź. — Wiem, jakie tłumy oblegają Namiestnika ze swoimi prośbami. Niemal wszystkie sprawy mogą być załatwione przez urzędników niższego szczebla — i tak się najczęściej dzieje — ale wszyscy, nie wiadomo dlaczego, chcą zaczynać od samej góry.

Krasnolud z kwaśną miną zerknął na zwiniętego w kłębek hobbita.

— Jest jednakże wyjście — odezwał się ponownie Rogwold. — Namiestnik mnie zna i pamięta. Jeśli powiecie mi, co to za sprawa, będę mógł, być może, udzielić sensownej rady. Zresztą, nie chcę wam się narzucać. Nie sądźcie, że pragnę poznać jakieś wasze sekrety.

Po krótkim wahaniu krasnolud krótko powtórzył to, co opowiedział Folkowi w pierwszą noc ich znajomości. Rogwold słuchał spokojnie, w zamyśleniu pykając fajeczkę, i gdy Torin zamilkł, powiedział, głaszcząc brodę lewą ręką:

— Opowiedziałeś mi o dziwnych wydarzeniach, Torinie. W czasach, gdy służyłem na dworze Namiestnika, słyszałem, że w archiwum, pozostawionym królowi Elessarowi przez Elronda Półelfa, władcę Rivendell, znajdowały się zadziwiające opowieści o Podziemnym Świecie, leżącym poniżej najgłębszych osiedli i kopalń krasnoludów. Przypominam sobie również, że podobno gdzieś w samym sercu gór kryją się uwięzieni tam od Przedwiecznych Czasów wojownicy Morgotha, owego pierwszego Wielkiego Nieprzyjaciela, u którego kolejny Nieprzyjaciel, Sauron, był raptem więziennym strażnikiem. Kim oni są — nie wiem, zresztą słuchałem wtedy tych, jak mi się wydawało, bajdurzeń jednym uchem. Teraz żałuję. Kto wie, być może, wiąże się to jakoś z dzisiejszymi wydarzeniami w Morii? — Rogwold w zadumie pokiwał głową. — Ale masz rację, do Morii należy iść, i jeśli twoi bracia w Górach Księżycowych nie chcą tego zrobić, spróbujemy poszukać towarzyszy wśród krasnoludów z Annuminas! Tam zawsze zbierają się najbardziej beztroskie i zuchwałe chwaty z plemienia tangarów, których znudziły

zasiedziały miejsca, kłótnie z rodziną i dłubanie palcem w nosie. Postanowione. Idę z wami!

Rogwold poderwał się gwałtownie, zręcznie jak młodzian i zaczął przemierzać izbę, coś mruczając pod nosem i rachując na palcach. W końcu zatrzymał się i odwrócił do hobbita:

— Więc przyjechaliście, powiadasz, dziś w nocy?

Folko i Torin jednocześnie skinęli głowami.

— Droga spokojna? Nie wydarzyło się coś niezwykłego? Szliście wszak Zachodnim Gościńcem, czy nie?

— Niezwykłego... — Torin uśmiechnął się smętnie. — Powiem wprost, niezwykłych rzeczy tej nocy wydarzyło się więcej niż przez wszystkie moje sześć... czy siedem — już nie pomnę, ile — podróży do Przygórza. A zaczęło się od tego...

— Znalazłem na drodze trupa! — wypalił Folko, ale krasnolud przerwał mu:

— Poczekaj! Wszystko we właściwym czasie. Po pierwsze, to wycie, które słyszałem, zbliżając się do Hobbitonu, a potem słyszeliśmy je obaj już w Bucklandzie. Folko powiedział, że było ono podobne do głosu opisywanego w Czerwonej Księdze, ale w końcu zdecydowaliśmy, że to chyba coś innego.

— W naszych czasach nie ma nic niemożliwego — spokojnie zauważył Rogwold. — Nie odrzucaj żadnych domysłów, jakkolwiek nieprawdopodobne by się wydawały. Też słyszałem to wycie, dochodząc do Przygórza. Tylko że ja wędrowałem z południa. Słyszałem je dwukrotnie, późnym wieczorem i głęboką nocą, przy czym wydawało mi się, że za drugim razem było nieco inne, jakby złośliwie triumfujące...

— Słusznie! — Folko uderzył się w czoło, odrzucił koc i natychmiast wstał. Rozmowa spowodowała, że zupełnie zapomniał o bolących ranach. — Słusznie! Torinie, jeśli liczyć po twojemu, to był już trzeci raz. No wiesz, wtedy, gdy mijaliśmy Kurhany!

— Tak, to rzeczywiście trzeci raz — przyznał nieco naburmuszony krasnolud. — Ale to już inna historia. Dalej był trup, którego ja nie zauważyłem w ciemnościach.

Folko opowiedział o martwym hobbitcie. Rogwold, zachmurzony, wysłuchał opowieści w milczeniu.

— Znowu! Znowu tu się przedostali! — powiedział.

Nie wiadomo kogo miał na myśli, ale gdy tylko Folko otworzył usta, by zapytać, tamten odezwał się:

— Dobrze, to jeszcze mogę zrozumieć. Poczekajcie, poczekajcie, nie przerywajcie mi, za chwilę odpowiem na wszystkie wasze pytania. To, co się stało, oczywiście jest smutne, jednak możliwe do wyjaśnienia. Ale czy nie zdarzyło się coś jeszcze bardziej dziwnego?

— Nie, czcigodny Rogwoldzie, powiedz najpierw, jak wyjaśnisz sprawę z tym trupem? — przerwał mu Torin.

— Przychodzą mi do głowy dwie możliwości, czy też, jeśli wolicie, dwa domysły. Biedak mógł trafić w ręce miejscowych rozbójników. Nie dziwcie się, mieszkańcy kilku wiosek zaczęli łączyć się w zbójce bandy, bo pokłócili się z sąsiadami. Tak więc możliwe jest, że wracał do domu do Białych Wzgórz, został wyśledzony i zabity. Ciało porzucili w widocznym miejscu, żeby wzbudzić większy strach — wtedy można napaść na jakąś wioskę pod lasem i zażądać okupu. Strażników lekceważą, bo świetnie znają okolicę i znakomicie potrafią się ukryć. Na dodatek w lesie jeźdźcy nie za bardzo się przydają. . .

— A drugi domysł? — zapytał niecierpliwie hobbit.

— O, drugi! Drugi jest o wiele ciekawszy!

Rogwold wstał, podszedł skradając się do drzwi i gwałtownie je otworzył. Korytarz był pusty, nikt nie podsłuchiwał. Myśliwy zamknął starannie drzwi na zasuwę i z miną spiskowca przywołał do siebie krasnoluda i hobbita.

— Pewnie słyszeliście o spalonej miesiąc temu wiosce Addorn? Oczywiście, że słyszeliście, niemożliwe, żeby Nob wam o tym nie nagadał! Pewnie mówił też, że sprawców zbrodni ścigano aż do samych Gór Angmaru? No co, mówił o tym?

— Mówił — skinął głową Torin. — I co z tego?

— Dwa albo trzy lata temu — rzekł Rogwold cichym, nieco złowieszczym głosem — pojawiły się u nas już nie wędrowne bandy zwykłych zbójów, ale oddziały dobrze uzbrojonych konnych wojowników, niezłych żołnierzy, szczerze mówiąc! Napadają na duże tabory, czasem palą wsie, a potem znikają tak samo niespodziewanie, jak się pojawili. Kim są i skąd się wzięli — do dziś nie wiadomo. Ludzie gadają, że niby z Angmaru, ale, po pierwsze, całe zło, jakie istnieje, zawsze u nas przypisuje się Angmarowi, tak już się utarło. Po drugie, w Angmarze rzeczywiście żyją wolni ludzie, dużo tam takich, co z Królestwa uciekli. Z tymi zagadkowymi oddziałami mieliśmy starcia. Nie dochodziło do otwartych potyczek, ale w ubiegłym roku dobrze ich przycisnęliśmy. Stracili wtedy ze czterech sotnie — przy okazji, wśród zabitych byli nie tylko ludzie, ale i orkowie. . . Oto więc moje drugie przypuszczenie: hobbit trafił do niewoli jednego z oddziałów, które niezauważenie przywędrowały od naszych granic aż w pobliże samego Przygórza.

Zaległa cisza. Folko milczał, rozumiejąc, że sprawa jest poważna.

— Jadąc tutaj — ciągnął Rogwold, zniżając głos do ledwo słyszalnego szepetu — widziałem coś, w czego istnienie bardzo chciałbym wątpić i przypisać to głupim snom albo nieznannej chorobie. Wszedłem do Przygórza przez Południowe Wrota, a Zielony Trakt, jak wiadomo, przechodzi wzdłuż wschodniej granicy Mogilników.

Krasnolud i hobbit zadrżeli. Zbyt żywe były wspomnienia o potwornych ogniach na szczytach Kurhanów i ponurych pieśniach, zakłócających nocną ciszę. Obaj spuścili głowy i milczeli.

Rogwold zauważył ich reakcję i od razu wszystkiego się domyślił.

— Wy też to widzieliście? — zapytał z trwogą w głosie. — Starzy myśliwi i tropiciele mówili mi, że w Mogilnikach dzieje się coś niedobrego, że one odżywają. . . Wtedy, czyli przed dwoma laty, nie zwróciłem na to uwagi, przecież my, łowcy, lubimy czasem trochę ubarwić opowieści. Ale teraz, kiedy na własne oczy widziałem, jak płoną Mylne Kamienie na szczytach wzgórz, kiedy usłyszałem tę ponurą pieśń — przyznam, poczułem się niepewnie. A co wy widzieliście?

Torin krótko opowiedział Rogwoldowi o nocnych przygodach, które przeżyli w pobliżu Przygórza. Tamten skinął głową.

— Nie ma wątpliwości — westchnął. — To oddział z Północy. Natrafiłem na ślady dziwnie podkutych koni już wczoraj, kiedy jechałem na skróty przez las. Ślady prowadziły w jednym kierunku — ku Mogilnikom.

— Poczekaj — wtrącił Folko. — A dlaczego uważasz, czcigodny Rogwoldzie, że tamci przyszli właśnie z Północy?

— Nie wszyscy — odpowiedział poważnie Rogwold — ale wielu. Widzisz, ich konie są naprawdę dziwnie podkute. Takie podkowy i takie gwoździe mają tylko w Angmarze. Bywałem tam nieraz, kiedy uczestniczyłem w poselstwach Namiestnika. I teraz widzę te same ślady na przestrzeni kilku mil na południowy wschód od Przygórza!

— Ale ten oddział, który my spotkaliśmy, szedł akurat w drugą stronę, obchodząc Przygórze od północnego zachodu — zdziwił się krasnolud.

— Ach tak? — uniósł brwi Rogwold. — To rzeczywiście nowina! Prawdopodobnie kierowali się do Mogilników z różnych stron. A my siedzimy sobie w cieplej i cichej oberży. . . — Łowca przygryzł wargę.

— Co mamy robić? — zapytał Torin. — Jesteś doświadczony, znasz okolicę, pomóż nam! Przecież to, co wszyscy trzej widzieliśmy, dotyczy nie tylko Przygórze, ale całego Arnoru! Według mnie, trzeba zawiadomić dowódcę arnorskiej drużyny!

— Dowódca kroku nie zrobi bez rozkazu z Annuminas — smutno uśmiechnął się Rogwold. — Ma chronić Przygórze. Jeśli go ktoś zaatakuje, to będzie się bronił, a inaczej. . . Na dodatek nie ma sensu pchać konnicy w leśne ostępy.

— Ciekawe! — Torin poderwał się na równe nogi. — Tamci konni mogą się wałęsać po lesie, a nasi, jak się okazuje, nie?

— Spokojnie, proszę. — Rogwold podniósł ręce jakby w obronnym geście. — Pójdziemy, rzecz jasna, do dowódcy, ale pożytku z tego dużo nie będzie.

— Możliwe, ale nigdy sobie nie wybaczę, jeśli tego nie zrobimy! — powiedział krasnolud i zaczął pospiesznie się ubierać.

Zapiął swój szeroki pas, zatknął zań topór i pytająco popatrzył na hobbita.

Folko rozumiał, że w walce się nie liczy. Nie wolno mu jednak zawieść oczekiwania Torina, tak by ten spluwał z pogardą na samo wspomnienie kraju hobbitów. Krasnoludowi będzie wszystko jedno, z jakiego powodu Folko stchórzył. To nowe, nieznanie dotąd uczucie zwyciężyło.

— Jesteś gotów, Folko? — zapytał Torin. Stojąc w progu, odwrócił się do hobbita. W ślad za nim podniósł się Rogwold.

— Jestem gotów — odpowiedział twardo hobbit, ze wszystkich sił starając się, by głos mu nie zadrżał.

Wyszli z oberży, mówiąc napotkanemu po drodze Barlimanowi, że wkrótce wrócą i by przypilnował ich rzeczy. Oberżysta skinął głową i życzył im przyjemnego spaceru — nic tak nie pobudza apetytu przed obiadem, jak mała przechadzka. Folko poczuł, jak strach skręca mu wnętrności na myśl, w co może przerodzić się ten spacer. Rogwold maszerował obok; stary łowca wydawał się spokojny jak skała.

Szli szeroką, dobrze utrzymaną główną ulicą Przygórza. Rogwold wyjaśnił hobbitowi, że jak niemal wszystkie podobne ulice w innych arnorskich osiedlach, nosi ona imię Wielkiego Króla. Wędrowcy mijali wysokie płoty i mocne wrota; za ogrodzeniami piętrowe drewniane domy z bali, pokryte szarą tarcicą, tonęły w zieleni sadów, nieco już zabarwionej purpurą jesieni.

Ulica prowadziła w dół, stopniowo schodząc z szerokiego rozpościerającego się wzniesienia. Odchodziło od niej kilka mniejszych uliczek; jak i na głównej, wzdłuż nich również ciągnęły się mocne, zadbane domy. Wszystkie ulice wiodły do otaczającego Przygórze częstokołu, po przekroczeniu którego stawały się zwyczajnymi polnymi drogami, prowadzącymi do okolicznych wiosek. Przygórze, jak za czasów Bilba i Froda, było czymś w rodzaju stolicy zasiedlonych ziem stanowiących dość rozległą wyspę pośród bezbrzeżnego morza Głuszy. Przez trzysta lat pokoju Arnorczyści dokonali wielkiego dzieła, jednakże było ich za mało, a osiedlali się przede wszystkim bardziej na północ, w okolicach Annuminas, Fornostu i leżących między nimi jezior. Zupełnie kiedyś dzikie okolice, położone wzdłuż porzuconego jeszcze przed początkiem Czwartej Epoki Zielonego Traktu, były już od dawna ucywilizowane, jednakże granica terenów zaludnionych przesunęła się niewiele — najwyżej jakieś sto mil — na wschód. Nie było tam dużych osiedli, lecz tylko niewielkie wioski. Właśnie one bywały celem łupieżczych wypraw tajemniczych jeźdźców.

Wszystko to Rogwold opowiedział słuchającemu go z otwartymi ustami hobbitowi, gdy szli do stojących tuż przy częstokole długich piętrowych budynków. Tu kwaterowały dwa szwadrony arnorskiej konnicy, pozostawionej w Przygórzu na rozkaz Namiestnika po tym, jak nasiliły się zbrojne napady na Wschodnim i Zielonym Trakcie.

* * *

Folko, Torin i Rogwold znaleźli się w niewielkiej, dobrze oświetlonej izbie, wypełnionej przyjemnym zapachem żywicy ze świeżych, niedawno ułożonych na ścianach cienkich desek. Wzdłuż ścian stały szerokie ławy. Ich oparcia, podobnie jak drzwi wejściowe, były bogato rzeźbione. Środek izby zajmował duży okrągły stół, obok niego — osiem drewnianych rzeźbionych foteli. Na ścianach rozwieszono różnorodną broń; błyszcząca wyczyszczona stal pancerza, rozpiętego niczym skóra dziwnego zwierzęcia. Na przeciwległej ścianie znajdowały się jeszcze jedne drzwi, pozbawione wszelkich ozdób, zbite z opalonych dębowych bali.

— Proszę siadać — zwrócił się do gości Narin, dowódca posterunku. — Kapitan zaraz przyjdzie. Hej, Herwin! — krzyknął do jednego z towarzyszących mu młodych żołnierzy. — Dawaj no migiem mapę na stół!

Za dębowymi drzwiami rozległy się kroki. Wszyscy żołnierze, łącznie z Narinem, stanęli na baczność. Kapitan szybko wszedł do izby i zatrzymał się dwa kroki od stołu, na którym rozłożono już mapę.

— Witam was, czcigodni goście — powiedział miękkim, zupełnie pozbawionym rozkazującego tonu głosem. — Mielicie lekką podróż? Co was tu sprowadziło? Jakie krzywdy czy urazy splamiły honor Królestwa, a to znaczy, że i mój honor? Opowiedzcie mi — i wiercie, znajdziemy sposób, by was usatysfakcjonować! Dowodzę wszak nie tylko drużyną Przygórza, jestem również szeryfem tej miejscowości.

Kapitan był młodym człowiekiem, mniej więcej trzydziestoletnim. Wysokie czoło, jasne oczy, zdrowa cera, pociągła twarz — wszystko to wywołało u hobbita uczucie sympatii do dowódcy. Folko usłyszał, że za jego plecami Torin chrząka z aprobatą.

— Witam czcigodnego Rogwolda — ciągnął kapitan. — Dawno nie byłeś w Przygórzu, czcigodny... Tak więc, słucham was. Niech twoi towarzysze się przedstawiają, jeśli taka jest ich wola! — Usiadł w rzeźbionym fotelu.

— Torin, syn Dartha, krasnolud z Księżycowych Gór.

— Folko Brandybuck, syn Hemfasta, z Hobbitonu.

Kapitan z szacunkiem pochylił głowę.

— Nazywam się Erster, syn Korsta. Słucham was!

Trójka przybyłych wymieniła spojrzenia. Rogwold odkaszlnął i zaczął opowiadać. Gdy mówił o minionych wydarzeniach, Folko ze zdziwieniem i rozczerowaniem obserwował, jak zmienia się wyraz twarzy kapitana Erstera. Na jego obliczu pojawił się smutek, spojrzenie przygasło, jak gdyby ktoś przyniósł mu wiadomość o śmierci bliskiego przyjaciela czy kogoś z rodziny.

— Opowiedz o nieboszczyku! — szepnął do przyjaciela Torin.

Folko jąkał się i zacinał, mówiąc o znalezionym przy drodze zabitym hobbitcie. Kapitan nachmurzył się jeszcze bardziej, westchnął, a potem polecił Narinowi, by zapisał doniesienie.

— Wszystko to są liście z jednego drzewa, jak powiedziałyby elfy — rzucił, pochylając się nad mapą. — Jedno pasuje do drugiego. . . Czy coś jeszcze?

Folko, nieco zdziwiony tym wyraźnie obojętnym stosunkiem do jego opowieści, zamilkł. Wtedy zaczął mówić Torin; opowiedział kapitanowi o bójce w obozisku, kładąc nacisk na udział w niej garbusa Sandella i dziwnie ubranych ludzi w zieleni.

Kapitan poderwał się.

— To już coś! Jasne jak słońce, że są z jednej kompanii! Cóż, daleko nie uciekli, skoro nie zauważyliście luźnych koni w oddziale, który podążył w kierunku Mogilników. Narinie, wygląda, że rzeczywiście powinniśmy zacząć działać! Ogłoś alarm, a ja pošlę doniesienie gołębią pocztą!

Uśmiechnąwszy się z zadowoleniem, Narin wyrzwał na korytarz i krzyknął do wartownika:

— Trąbić na alarm! Zbiórka wszystkich! Siodłać konie!

W korytarzu rozległ się tupot nóg, pokrzykiwania, a potem w całej okolicy dał się słyszeć czysty, wysoki głos wielkiego rogu.

— Cóż, spotkaliśmy się i już musimy się żegnać — powiedział kapitan. — Dziękujemy wam za cenne informacje. Uczciwie spełniliście swój obowiązek, teraz kolej na nas. Niech lekką będzie wasza droga, gdziekolwiek by prowadziła! Żegnajcie!

Odwrócił się, ale zatrzymał go głos Torina:

— A my co? — zakrzyknął krasnolud. — My też chcemy walczyć! Czy ja, krasnolud, mam się chować za czyimiś plecami?!

Oczy Torina rzucały błyskawice, zdradzające jego wściekłość. Kapitan spokojnie odwrócił się do niego.

— To nie wasza sprawa — powiedział beznamiętnym tonem. — Po to właśnie pełniemy służbę, by wszyscy — i ludzie, i krasnoludy, i hobbitci — mogli żyć spokojnie. To jest nasz obowiązek, a nie twój, czcigodny Torinie. Nie mam czasu na sprzeczki z tobą, dlatego powiem tylko, że czeka nas długi marsz, a czy krasnoludy są dobrymi jeźdźcami? Czy potrafisz walczyć konno? Zostaw więc nasze sprawy nam. Żegnajcie! — Kapitan zniknął za drzwiami.

Rogwold, Torin i Folko w milczeniu wyszli na podwórze. Erster już siedział w siodle na roslym kasztanowym ogierze. Dziesiątnicy wydawali ostatnie rozkazy. Kapitan uniósł rękę. Jeźdźcy ruszyli Główną Ulicą, kierując się do Południowych Wrót. Błyszcząca pancerze, powiewały sztandary, przez cały czas śpiewały dźwięczne bojowe rogi.

Torin splunął ze złością, zatknął za pas niepotrzebny topór i zaklął wymyślnie.

— Co teraz mamy robić, czcigodny Rogwoldzie?

Stary łowca, który niewiele rozmawiał z kapitanem, rozłożył ręce:

— Pomyślimy, rozważymy to sobie w chwili nudy! Erster poprowadzi swoich ludzi na południowy wschód, nie do Mogilników... Dobra. Proponuję wrócić do oberży, odpocząć, wyspać się, doprowadzić do porządku poturbowanego hobbita. A potem razem wybierzemy się do Annuminas! Wszak to, co chcieliście zakomunikować Namiestnikowi, nie ogranicza wieści przekazanych kapitanowi Ersterowi?

— Oczywiście, że nie — burknął krasnolud. Był zły i nie chciało mu się rozmawiać.

Odwrócił się i pomaszzerowali z powrotem do oberży. Torin, sądząc po jego zachowaniu, był na coś rozżłoszczony, Folko natomiast, odwrotnie, ledwie powstrzymywał się, by nie podskakiwać z radości. Niebezpieczeństwo na jakiś czas zostało zażegnane, za trudną sprawę zabrali się prawdziwi fachowcy, specjalnie tu przysłani. Czy mają jakikolwiek powód, by czynić sobie wyrzuty? Wszak nie wszyscy mogą być żołnierzami.

Rozdział 6

Mogilniki

Rankiem następnego dnia obudził ich Nob, ostrożnie pukając do drzwi. Na tacy poustawiał najprzeróżniejsze garnuszki i miseczki, z których unosił się aromatyczny zapach. Myjąc się, Folko słuchał rozmowy Torina i Noba. Ten ostatni opowiadał krasnoludowi o pochówku hobbita z Zachodniego Gościńca:

— Zakopaliśmy go na pagórku, niedaleko od rozwidlenia na Białe Wzgórza — relacjonował niespiesznie Nob, ciesząc się, że ma okazję pogadać. — Dó! nie uwierzy pan, kopaliśmy wszyscy, ręce sobie poobcieraliśmy, ziemia taka tam twarda i gdziekolwiek by próbować, wszędzie taka sama. . .

Torin pomrukiwał coś niewyraźnie.

Podoba mi się takie życie — pomyślał nagle hobbit. Jestem w drodze, wiele się zdarzyło, ale najważniejsze, że jedzenie dobre i pościel miękka, i przygody jakieś tam, w końcu, były. Jasne, że tak można podróżować. . .

Jednakże natychmiast dały o sobie znać pamiątki po spotkaniu z Sandellem i poczuł klucie w boku, co skierowało jego myśli na inne tory:

Oczywiście dobrze, że wujaszka nie ma, chociaż, biedakowi, nie jest tam lekko. Kto go prócz mnie będzie słuchał? I kto, jak nie on, przypilnuje, żeby wszystko szło godnie, gładko, według regulaminu?

W obitym boku znów go zakłuło.

A dokąd my się pchamy? — pomyślał jeszcze Folko. Siedzielibyśmy sobie tutaj albo wybrali się do Białych Wzgórz, postawili domek, założyli ogród, rzepe uprawiali. . .

Trudno powiedzieć, do jakich wniosków doszedłby, gdyby Torin go nie zawołał:

— Hej, przyjacielu hobbicie, dlaczego ziewasz? Uważaj, bo sam całe śniadanie wtrząchnę! Pamiętasz, że dzisiaj wyruszamy? Nie zapomniałeś? Musimy tylko jeszcze zająć do kramu z bronią, kupimy ci łuk. Jak myślisz, przyda się? Do tego czasu Rogwold przyjdzie i naprzód, do Annuminas! Nob powiada, że naszego karzełka nakarmił; siedzi ponury, pojękuje, ale jedzenie migiem sprzątnął.

Krasnolud był wesoły, wypoczęty, rześki; już chciał być na szlaku, a w Przygórzu trzymała go tylko ciekawość, czym skończy się wypad konnicy Arnoru. Jednakże wojsko nie wracało; w okolicy nie słychać było o żadnej walce — po Zielonym i Zachodnim Trakcie ciągnęły długie tabory, przejeżdżały grupy konnych, wędrowali piesi.

Rogwold pojawił się wkrótce potem, jak hobbit i krasnolud, spakowawszy swoje rzeczy, poszli do wspólnej sali, żeby ostatni raz napić się słynnego piwa Barlimana.

— No to jak, gotowi? — zapytał, energicznie wkroczywszy do oberży łowczy.

— Tak, tylko kupimy hobbitowi kilka rzeczy — odparł Torin, a tamten kiwnął ze zrozumieniem głową.

Udali się do znajdującego się nieopodal „Rozbrykanego Kucyka” kramu z bronią. W niedużym, ale jasnym pomieszczeniu — okna zajmowały niemal całą ścianę — na obszernej, skleconej z mocnych brązowych desek ladzie była wyłożona najprzeróżniejsza broń, wedle dowolnego gustu, od szydeł do miotania do elementów pancerza, od proc do kusz, a za ladą, ponuro bawiąc się trójgraniastym ostrzem z ozdobioną rubinami rękojeścią, siedział gospodarz kramu, długi, chudy, jakby zasuszony. Lewe oko przykrywała mu czarna opaska.

Folko stał jak urzeczony i gapił się, rozdziawiwszy usta. Jakież tu były skarby, jakie cudowne rzeczy! Szczęśliwy, kto je posiadał, ale stokroć szczęśliwszy, kto umiał się nimi posługiwać. Ręce same wyciągały się do chłodnej błękitnawej stali; wzorzyste kościane rękojeści — wydawało się — aż się prosiły, by wziąć je w dłoń. Folko stracił dech z zachwytu. Jednakże krasnolud z markotną miną przeglądał wyłożony towar i mruczał pod nosem:

— Annuminas, od razu widać. Ostrze niedohartowane, kamienie szlifowane niedbale. A zacze?.. Mistrzami się nazywają.. A to? To już chyba miejscowa kuźnia! Nawet mu się nie chciało wykuć jak należy!.. To jest z Edoras, ujdzie w tłoku. Oczywiście, dobrze by było poprawić..

Właściciel nie zwracał na niego uwagi. Najwyraźniej było mu wszystko jedno — chwałą czy ganią jego towar — innego kramu z bronią w Przygórzu i tak nie było. W tym czasie Rogwold, po krótkiej rozmowie z sennym gospodarzem, wywołał z głębi kramu młodzieńca i przy jego pomocy wybierał łuk dla hobbita. Jedne były zbyt twarde, inne, odwrotnie, zbyt słabe; na jednym nie podobało mu się drewno, na innym — nakładki, trzeci był niepotrzebnie ozdobny, czwarty — przeciwnie — zbyt ubogo wyglądał, piąty — przesuszony, szósty — wilgotnawy, a siódmy miał cięciwę do niczego.

Przynoszący wciąż nowe łuki sługa spocił się, krasnolud, który nie znał się na łukach, od dawna już niecierpliwie przestępował z nogi na nogę i sapał za plecami Rogwolda; Folka bolały ramiona — ileż można naciągać te łuki! Ale łowca nie dawał się przekonać. Przebrawszy cały towar, zwrócił się do właściciela kramu:

— Nie nadają się do niczego, czcigodny Pelegaście. Czyżbyś nic już nie miał w swoich magazynach?

— Ten malec potrzebuje łuku — burknął nagle właściciel, nie podnosząc głowy. — Ma dobre oko i ręce mu się nie trzęsą. Powinien mieć coś lepszego. Zerknij na ten, czcigodny Rogwoldzie.

Łowca ostrożnie odwinął wygarbowaną skórę, w którą zawinięto broń. W rękach trzymał łuk w kolorze błękitnawo-stalowym, już na pierwszy rzut oka zachwycający swoim kunsztownym wykonaniem i proporcjami. Cięciwa wydawała się zrobiona z promienia księżycowego światła naciągniętego na rogi młodego księżycy. Na wewnętrznej stronie znajdowało się oznakowanie — trzy elficke runy. Nawet krasnolud posapywał i cmokał, wpatrując się we wspaniałą broń.

— Został wykonany przez elfów — oświadczył zagadkowo Pelegast. — Nikt nie wie, ile lat ma ten łuk. Zręczni elfijscy kowale żyli kiedyś w pustej dziś krainie, obok Zachodnich Wrót Morii. Trzy runy należy czytać jako ELD — nie wiem, co to znaczy. Do kompletu są też strzały — siedem dziesiątków, gruba wiązka! Ten łuk leży u mnie już bardzo długo. Różni przymierzali się do niego, ale ja nie każdemu go pokazuję.

— To jest właśnie to, czego potrzebujemy! — oświadczył Rogwold. — Mam takie dziwne przecucie, jakby spotkały się tu dwie części podzielonej całości. Wydaje mi się, że tak właśnie musi być. Nie wiem dlaczego. A przy okazji, łaskawco, dlaczego nie pasował on tym, którym go już pokazywałeś?

— Dla dziecka jest za twardy, dla dorosłego za mały, chociaż wymaga siły dojrzałego człowieka — wciąż tak samo obojętnie odpowiedział gospodarz. — Wykonywano je specjalnie dla takich jak on. — Pelegast skinął głową w stronę Folka.

— Skąd wiesz? — zdziwił się Rogwold.

— Wiem, a skąd wiem i od kogo, to moja sprawa. Zresztą, czy oszukałem cię kiedykolwiek, czcigodny? Przecież znamy się od trzydziestu lat. — Właściciel podniósł się. — To co, przynieść strzały?

Folko stał osłupiały, kiedy w jego ręce trafiła cudowna broń. Kołczan z dwoma tuzinami długich strzał, reszta w oddzielnym pęku, futerał na łuk ze zdobionym wzorami pasem do przełożenia przez ramię. Na przedniej części kołczanu znajdowały się wyciśnięte i pokryte złotem te same trzy runy — ELD. Folko zarzucił łuk na prawe ramię.

— Poczekaj, to jeszcze nie wszystko! — opamiętał się Rogwold, który, podobnie jak Torin, zachwyconymi oczyma wpatrywał się w zakup. — Pelegaście, masz zwykłe strzały? I noże do miotania?

— A jakże! — Właściciel nawet nie podniósł oczu od starej księgi, którą nie wiadomo skąd wyciągnął. — Tam są, po lewej stronie.

Bez dłuższych targów kupili osiem jednakowych krótkich noży z lekkimi rączkami ze skóry i ciężkimi spłaszczonymi szpicami. Krasnolud z miną znawcy obejrzał je i uznał robotę kowala za niezłą.

— Na początek ujdą. A gdy dotrzemy do Annuminas, wykuję ci prawdziwe.

W plecaku hobbita znalazł się również solidny pęk długich strzał dobrej arnorskiej roboty.

— Teraz jesteśmy gotowi — podsumował Rogwold. — Droga do Annuminas zajmie nam pięć pełnych dni. Ale mam jeszcze jedną propozycję. Może zajrzeliśmy, przyjaciele, do tych słynnych Mogilników?

Powiedziane to zostało spokojnie, niemal wesoło, jakby mowa była o tym, że trzeba by wpaść do oberży na kufel piwa. Krasnolud prychnął, Folko omal się nie zakrztusił, a Rogwold spokojnie ciągnął:

— Drużyna skierowała się na południowy wschód albo na wschód. Co się z nią dzieje, nie wiemy. Sądząc ze spokoju w okolicy, w Mogilnikach raczej nie wpadniemy w zasadzkę — nie robi się jej w miejscu, do którego nikt nie chodzi. Zaglądają tam tylko myśliwi, tacy jak ja, nikt inny nie ma tam nic do roboty. Proponuję, żebyśmy popatrzyli, czy nie zostały jakieś ślady po nocnych wędrowcach.

Stali na progu kramu z bronią. Był jasny, ciepły wrześniey dzionek, po błękitnym niebie niespiesznie płynęły kłębiaste obłoki, wiaterek poruszał gałęziami rosnących przy Głównej Ulicy topól. Gdzieś w Przygórzu rozległo się muczenie krowy, potem szczekanie psów, gdakanie kur, skrzypienie osi wozów. Osiedle żyło swoim zwykłym życiem, a kontrast między tym koszmarnym miejscem, do którego odwiedzin namawiał Rogwold, i sielskim wyglądem Przygórza zmusił hobbita do słabego protestu:

— Po co mamy tam iść, Rogwoldzie? Sam przecież mówiłeś, że oni stamtąd odeszli. Lepiej chodźmy do Annuminas po Trakcie; droga jest dobra, przejezdna, pełno tawern. . .

— Poczekaj, druhu hobbicie! — powstrzymał go zmarkotniały krasnolud. — Czcigodny Rogwold ma rację. Musimy tam pójść, mimo że nam się nie chce.

Nie zauważyli, że z kramu na ganek wyszedł Pelegast, nie zauważyli też smutnego, ale życzliwego uśmiechu na jego twarzy.

— Zbliża się, o tak, tak, zbliża się. . . Zwykłe łuki i zwykłe serca tu nie pomogą, potrzebne jest coś innego.

— O czym ty mówisz, czcigodny Pelegaście? — zapytał zdziwiony Rogwold.

— Myślę, że starość nadeszła i w ziemię już pora, ale jakoś się nie chce, i dlatego tak sobie gadam czasem sam ze sobą. Ze starości, z głupoty — wyrzucił pospiesznie z siebie niespecjalnie przekonującą wypowiedź, szczególnie że jedyne jego oko jakby mówiło co innego: „Powiedziałem, a wy usłyszeliście. Skąd ja to wiem, nie wasza sprawa, ale jeśli zrozumieliście — działajcie!”

— Ale jak? — szepnął nagle hobbit, poddając się jakiemuś niejasnemu przecuciu. — Podpowiedz!

Zwróciwszy na hobbita swoje przejrzyste spojrzenie — przy czym jego oko nagle odzyskało barwę i stało się jasnoszare — Pelegast cicho powiedział, niemal nie poruszając wargami:

— Słuchaj Zachodu, bój się Północy, nie wierz Wschodowi i nie czekaj Południa!

Zanim wrócił do kramu, rzucił na hobbita ostatnie pożegnalne spojrzenie i już nie na głos, ale jakoś inaczej wyrzekł, złane ze spojrzeniem w jedno, słowa. A Folko wszystko zrozumiał: — „Jeszcze się spotkamy i wtedy podpowiem ci, ale na razie musisz iść sam, a od tego, czego się dowiesz, będzie zależała moja rada”. Pelegast nagle rzekł:

— I pamiętaj o Ogniu Niebieskim!

Rogwold i Torin nie kryli zdumienia. Niczego nie usłyszeli i nie zrozumie-
li, wszystko przypisali dziwactwom gospodarza oraz wrażliwości hobbita. Folko zaczerwienił się, ale uznał, że lepiej na razie niczego nie tłumaczyć...

* * *

Jechali po prowadzącym przez Hobbiton Zachodnim Trakcie. Folko milczał, z głowy nie wychodziły mu słowa dziwnego proroctwa. Kim jest Pelegast? Co znaczy: „Słuchaj Zachodu, bój się Północy, nie wierz Wschodowi i nie czekaj Południa?”. Przy pasie miał miecz Meriadoka, na prawym ramieniu łuk elfów, i tylko strzały w większości były zwykłe. Myśli hobbita kręciły się wokół tego, co rzekł Pelegast: „Pamiętaj o Ogniu Niebieskim”. W Czerwonej Księdze o niczym takim nie było mowy.

Słońce stało już w zenicie, gdy pozostawiwszy za sobą dolinę i mostek, dojechali ponownie do miejsca, gdzie ubiegłej nocy hobbit i krasnolud napotkali złowieszcze czarne wojsko. Rogwold zsiadł z konia i uważnie przyglądał się śladom, które przecinały zakurzone pobocze i kryły się w wysokiej trawie, prowadząc prosto do Mogilników. Folko opanował dreszcze i chwycił miecz.

— Hej, przyjaciele, chodźcie za mną — zamachał ręką łowca. — Ślad jest bardzo wyraźny: nie stracimy go z oczu, choćbyśmy chcieli.

Folko bał się. Zerknął na krasnoluda, szukając w nim oparcia, ale Torin, wydawało się, nie mógł oderwać wzroku od Młynych Kamieni na najbliższych kurhanach. Prawa ręka krasnoluda jak zwykle spoczywała na rękojeści topora, lewą osłaniał oczy przed blaskiem jeszcze jasnego letniego słońca. Folko z westchnieniem szarpnął wodzami i jego kucyk, niespokojnie potrząsając głową i pochrapując, zszedł z bitego traktu i pokłusował po gęstej trawie w ślad za idącą niespiesznym krokiem gniadą kobyłą Rogwolda.

Kurhany stały po obu stronach czegoś, co przypominało z grubsza ścieżkę, którą trop prowadził w głąb Pola. Minęło około godziny, dawno stracili z oczu Trakt, jechali niemal na oślep, lawirując między Mogilnikami i polegając na doświadczeniu Rogwolda. Nawet nie zauważyli, jak dokoła nich zgęstniała cisza. Zamilkły ptaki i trzmielce, w trawie, jeszcze bujniejszej i wyższej, ucichł nawet lekki wschodni wiaterek. Powietrze jakby zastało się wokół Mogilników, jak woda w bajorze. I wtedy Folko poczuł, że dzieje się coś niedobrego.

Przypomniał sobie o strachu przeżytym w nocy na drodze. Teraz, w jasny dzień, wśród przyjaciół, nie bał się tak okropnie, tylko sprężył się cały i wytarł o spodnie nagle spotniałe dłonie. Coś chyba poczuł również Torin, bo wstrzymał kuca i wyciągnął zza pasa topór. Wraz z każdym krokiem wzrastało niespokojne, gniotące przecucie, jakby zbliżali się do jakichś straszliwych, ogromnych, wpatrzonych w nich oczu.

Kurhany nieoczekiwanie rozstały się, tworząc wielki okrąg, od jednej do drugiej krawędzi była bez mała mila. Na zielonym trawiastym pokryciu tego ogromnego, ukrytego przed ciekawskimi spojrzeciami koła zobaczyli zupełnie świeży ślad po ognisku.

— Jest! — sapnął Rogwold.

Cała trójka ponagliła konie, kierując się ku czarnej wydłużonej plamie wypalanej ziemi. Trawa wokół była wydeptana, ziemię poszatkowały głębokie koleiny pozostawione przez koła wozów, zapadających się w wilgotnej, pulchnej ziemi. Na brzegach kolistej doliny przyjaciele odkryli jeszcze z dziesięć śladów po ogniskach, nieco mniejszych; gdzieniegdzie pozostały również kupki końskiego łajna.

Rogwold zeskoczył z konia i pochyliwszy się, czegoś szukał na ziemi, stopniowo zbliżając się coraz bardziej do największego popieliska. Hobbit i krasnolud przypatrywali się temu z niepokojem. Torin nie odrywał wzroku od wierzchołków otaczających kotlinę kurhanów; Folko, jakkolwiek bardzo się starał, nie mógł poradzić sobie z nieoczekiwanymi atakującymi go falami strachu — coś nie pozwalało mu podnieść oczu, które, jak zaczarowane, obserwowały każdy ruch Rogwolda. Podjeżdżali coraz bliżej. Rogwold w końcu wyprostował się; twarz miał nachmurzoną i nieprzeniknioną, prawą rękę położył na rękojeści miecza.

— Patrzcie! — Wskazał przyjaciołom popielisko, a następnie gwizdem przywołał gniadą kobyłę, która oddaliła się, zapewne w poszukiwaniu najsmaczniejszej trawy.

Folko i Torin zsiadli z koni i podeszli bliżej. Wśród lekkiego szarego popiołu i czarnych głowni zobaczyli kupkę opalonych kości. Hobbit zadygotał ze strachu.

— Nie bójcie się, przyjaciele. — Rogwold mówił cicho, jakby też się czegoś obawiał. — Rozumiem, o czym teraz pomyśleliście. Ale to są kości końskie. Widzicie czaszki?

— Tutaj? — pokręcił głową Torin.

— Poczekaj. — Rogwold przerwał mu gwałtownym ruchem ręki.

Przykucnął i wskazał sam środek ogniska. Folko wpatrzył się w to miejsce. Pośród nie do końca wypalonych węgli leżały przysypane popiołem trzy krótkie, szerokie miecze.

— To coś dla ciebie, czcigodny Torinie — powiedział półgłosem Rogwold. — Co o nich możesz powiedzieć?

— Muszę przyjrzeć się lepiej — odparł Torin, również ścisząc głos i podchodząc do krawędzi czarnego kręgu.

Rozejrzał się niepewnie, a potem machnął ręką i wszedł w popiół. Dokoła jego ciężkich podkutych buciorów wzbity się szare obłoczki, w tej samej chwili Folko wrzasnął: „Stój!”. Wystarczyło, by krasnolud zrobił pierwszy krok, gdy w serce hobbita wpiły się niewidzialne lodowate szpony, pod nogami zakotłowała się ziemia. Wyraźnie słyszał wściekły, zduszony syk, dochodzący gdzieś z dołu. Krasnolud robi jeszcze jeden krok i stanie się coś...

Torin i Rogwold jednocześnie spojrzeli na hobbita. Folko chwiał się na nogach. Przyciskał dłonie do uszu, ale upiorne, niesłyszalne dla innych syczenie nie milkło.

— Co z tobą, Folko? — zapytał z niepokojem Rogwold, wpatrując się w pełne przerażenia oczy hobbita. — Co się stało?

Tymczasem Torin zdecydowanie podszedł do przysypanych popiołem mieczy, podniósł je i trzymając broń pod pachą, pospiesznie skierował się do Folka. Cały świat zawirował przed oczyma hobbita; doznał nieznanego mu do tej pory, dziwnego bólu serca. Coś podcięło mu nogi, Rogwold chwycił go, a wiszący na plecach hobbita kołczan ześliznął się. Usiłując utrzymać go na ramieniu, Folko poczuł pod palcami znajome ciepło elfijskiego łuku.

I wtedy zaczął walczyć. Dotknięcie starej broni legendarnego narodu dodało mu sił. Mały hobbit naiwnie wierzył, że podobne rzeczy mają ukrytą moc Eldarów, i ta wiara teraz mu pomogła. Wykonał rozpaczliwy wysiłek, usiłując wyzwolić się ze ściskających serce cęgów. Przeciwnika nie widział, nie mógł więc stanąć z nim do walki, ale lęk zaczął ustępować, ból w piersi minął. Syk nie ustawał, lecz teraz była w nim tylko bezsilna złość. Czerwony z wysiłku Folko twardo stał na nogach.

— Co się z tobą dzieje, powiedz w końcu! — tarł go Torin.

— Już przechodzi — Folko blade się uśmiechnął.

— Uff! Aleś nas wystraszył! — Krasnolud otarł pot z czoła. — To jest złe miejsce. Nie wiem dlaczego, ale sam oddycham z trudem. Dobra, popatrzmy na miecze.

Pochylił się nad leżącą na trawie bronią, wziął jeden z mieczy do ręki, przetarł pękiem trawy. Na szerokim dwustronnym ostrzu tuż obok jelca udało się dojrzeć malutki, ledwie zauważalny znak: okrąg z przecinającą go z lewa na prawo łamaną linią, przypominającą widziane z boku schody. Krasnolud podrapał się po czubku głowy.

— Po raz pierwszy widzę taką cechę. To na pewno nie jest wyrób krasnoludów, choć stal jest, bezsprzecznie, świetna, miecz wykuty niezłe. Natomiast gorzej jest z hartowaniem, ostrze niedbale obrobione. Robota nie mistrza, ale dobrego fachowca.

— A gdzie został wykonany, nie potrafisz rozpoznać? — zapytał Rogwold.

— Podobny jest do ostrzy kutych między Górami Mglistymi a krainą Zielonych Lasów — powiedział w zamyśleniu krasnolud. — Bardzo krótki. Takie same trzy wyżłobienia, takie same krawędzie, podobne proporcje. Ale, powtarzam, wykonał je dobry fachowiec, kował co się zowie, rozumiejący Durina, ale nie miał możliwości albo chęci, by jak należy obrobić swoje dzieło. Stal jest ludzka i wydaje mi się, że wytopiono ją z rudy góry Gundabad, która się znajduje na samej północy Gór Mglistych. Krasnoludy odeszły stamtąd bardzo dawno, wyginęli również orkowie. Kopalnie dostały się ludziom.

Stali ciasno jeden przy drugim w samym środku okrągłej doliny. Folko całkowicie doszedł już do siebie i ostrożnie rozglądał się na boki. Ponury szereg kurhanów obstępował ich ze wszystkich stron, Mylne Kamienie na ich szczytach wydawały się wystającymi z ziemi grotami olbrzymich kopii, jak gdyby tam, w głębi ziemi, spali jacyś gigantyczni wojowie w pełnym ekwipunku. Powiał wiatr, niebo zaczęły zasnuwać niskie szare chmury. Ucichły wcześniej syk pojawił się znowu, ale teraz hobbit był na to przygotowany. „Nie poddam się! Nie poddam się!” — powtarzał, zaciskając zęby. W pogotowiu trzymał łuk i strzały.

Wyczuły coś również kuce i wierzchowiec Rogwolda. Zaniepokoiły się, przestały skubać trawę i podbiegły do właścicieli. Rozmowa Torina i Rogwolda urwała się; trójka wędrowców stała plecami do siebie i niespokojnie wpatrywała się w zamykający horyzont pierścień wzgórz. Nad zielonymi wierzchołkami widać było tylko niebo; wiatr nasilał się, ze złością pogwizdując na ostrych krawędziach Mylnych Kamieni, zrobiło się zimno i nieprzytulnie. Jak gdyby wtargnęli do czyichś zakazanych włości, gdzie czas stanął przed wiekami. Pierwszy nie wytrzymał Folko.

— Słyszysz, ktoś syczy? — powiedział szeptem do Torina.

— Syczy? Klnę się na Durina, nic nie słyszę. Może to wiatr, co? Ale miejsce znaleźliśmy, niech to... Rogwoldzie! Po co tu przyszliśmy?

— Wiele się dowiedzieliśmy — wycedził przez zęby łowca, nie spuszczać oczu z Mogilników. — Nawet strach, który odczuwaliśmy wszyscy, to też ważna rzecz.

— Poczekajcie — chwycił ich za rękę hobbit. — Słyszycie? Słyszycie? Wstaje... Wyłazi na górę... Idzie tutaj!

Folko aż pisnął.

— Nic nie... — zaczął krasnolud, ale przerwał mu Rogwold.

— Poczekaj, przyjacielu — powiedział cicho. — Hobbici wyczuwają coś takiego lepiej niż my. Mnie też zaczyna się coś wydawać.

— Ale co czujesz?! Co ci się wydaje?! — wybuchnął krasnolud. — Przecież ja też uważam, że to miejsce jest niedobre.

Hobbit przedstawiał sobą żaloszny widok, wyczuwał, że po ich śladach maszerują obce stopy. Ziemia nie drżała, tylko odrobinę kołysała się, jak powierzchnia wody przy słabym falowaniu, ale w jednym hobbit nie mógł się pomylić — zbliżała się obca Moc; Moc, z którą od dawna nie miały do czynienia ani krasnoludy, ani hobbiti.

— Uspokój się, Folko — powiedział cicho Rogwold. — Nie uciekniemy już, widzisz, co się dzieje z końmi?

Oba kuce i kobyła Rogwolda zwały się w trawę, jakby podcięto im nogi; nieszczęsne zwierzęta żałośnie rżały, wyginając w stronę właścicieli giętkie szyje, jakby prosiły o pomoc i obronę.

Krasnolud stał jak skamieniały, Rogwold zbladł. W tym momencie Folko, hobbit z pokojowej Hobbitanii, nagle pojął, że nie można dłużej stać bezczynnie, chwycił łuk, nałożył strzałę i rzucił się w kierunku, z którego nadciągało nieznane. Rogwold i Torin pobiegli za nim.

Nie zdążyli przebiec nawet dwudziestu kroków, gdy wiatr niespodziewanie zawył i dmuchnął im w twarz ze wściekłą siłą. Folko zatrzymał się, zakrywając twarz dłońmi, i w tej chwili na najbliższym kurhanie, ku któremu biegł, pojawiła się wysoka ludzka postać, co najmniej o dwie głowy wyższa od łowcy, który miał wszak sześć i pół stopy wzrostu, owinięta w szary płaszcz, w szaro-stalowym hełmie, zakrywającym nie tylko głowę, ale także nos i policzki. Tam, gdzie powinny znajdować się oczy, ziała czarna dziura. Wiatr szarpał poły obszerne go płaszcza zjawy, która nie poruszała się, stojąc obok skamieniałych wędrowców. Wichura niespodziewanie ucichła, słychać było tylko rzenie wystraszonych wierzchowców.

Folko obliznął spierzchnięte wargi. Strach, wydawało się, sparaliżował go, ale coś jeszcze silniejszego od strachu spowodowało, że hobbit ruszył naprzód. Chciał krzyknąć: „Stój, będę strzelać!”, ale postać z kurhanu zrobiła krok i okrzyk zamarł na wargach hobbita, z jego gardła wyrwał się jęk. Folko zrozumiał, że słowa są zbędne, że stojący przed nim wcale nie jest człowiekiem, którego da się powstrzymać i z którym można próbować się ułożyć. Podniósł łuk i niemal nie mierząc, wpakował dwułokciową cisową strzałę dokładnie w przepastną ciemność w miejscu, gdzie powinno być oko zjawy.

Rozległ się ciężki, dobiegający jakby spod ziemi jęk; strzała wbiła się w cel i zniknęła w wybuchu purpurowego płomienia, ale wykonała swoje zadanie, hełm zleciał z głowy spowitej welonem szarej pary; płaszcz, niczym skrzydła trafionego ptaka, wzbił się w powietrze wokół zgiętej wpół postaci, ponownie rozległo się głucho podziemne stęknienie i zjawa znikła.

Przyjaciele Folka, ocknąwszy się, podbiegli do niego; krasnolud wciąż trzymał w dłoni jeden ze znalezionych w popiele mieczy. Hobbit ciężko oddychał,

nie mając sił, by oderwać wzrok od miejsca, gdzie rozpląnął się trafiony przezeń wróg.

Usłyszeli rzenie koni. Obejrzeni się — kuce i koń Rogwolda podniosły się i szły niepewnie, jakby jeszcze nie do końca uwolniły się z niewidzialnych pęt.

Krasnolud nerwowo kręcił głową, w jego oczach zastygło bezbrzeżne zdumienie. Rogwold stał obok, wyprostowany i nieruchomy; zbladł tylko straszliwie, i teraz dopiero widać było, że wbrew pozorom jest starym człowiekiem.

Pierwszy opamiętał się krasnolud. Trzymając topór w pogotowiu, szybko wbiegł na kurhan i przyjrzał się miejscu, w którym dopiero co znajdował się upiór. Rogwold i Folko zostali na dole; hobbit z ponurą determinacją założył na cięciwę nową strzałę, chociaż czuł, że niebezpieczeństwo na razie minęło. Rogwold stał nadal bez ruchu i nie odzywał się.

— Tu jest pusto! — krzyknął z góry Torin. Machnął ręką i zaczął schodzić na dół. Wtedy odezwał się Rogwold:

— No tak... Gdybyśmy opowiedzieli komuś, nie uwierzyliby, wyśmiali jak oszustów. — Pokręcił głową, nawet nie usiłując ukryć zdziwienia i zaskoczenia. — To ci historia, Mogilniki odżyły! Czyżby znowu zaczęło się wszystko od początku? — Uśmiechnął się krzywo. — Mogilniki odżywają, kiedy na ziemi rodzi się nowe zło.

Krasnolud podrapał się po głowie.

— A co to w końcu było? To, co ustrzelił hobbit? Przecież nie człowiek, to jasne.

— Upiory, przyjaciele — wyszeptał Folko i sam się zdziwił, że starczyło mu sił, żeby wymówić to straszne słowo. — Przypomnij sobie Czerwoną Księgę, Torinie, przypomnij sobie Mogilniki i cios Froda!

— Poczekajcie, jakie uderzenie? — Rogwold nie rozumiał, o czym Folko mówi.

— Potem wyjaśnię — machnął ręką nieco nieuprzejmie Torin. — Masz rację, Folko! Frodo Baggins zwyciężył zwykłym mieczem. Dlaczego zwyczajna strzała miałaby być gorsza?

Przez pewien czas cała trójka niepewnie dreptała w miejscu. Rogwold ciągle nie mógł dojść do siebie po zetknięciu z podziemną siłą, krasnolud z każdą sekundą oczekiwał nowej napaści, natomiast Folko po prostu utracił kontakt z rzeczywistością. Świat rozpląnął się dokoła niego, zbladł; przed oczami jawiły mu się dziwaczne widoki — bezkresne stopy, po których poruszały się długie, wijące się niczym gigantyczne węże kolumny wojsk w błyszczących pancerzach; powiewały nieznane hobbitowi sztandary, słychać było dziwną, ale dźwięczną i rytmiczną mowę; po ogromnym polu na spotkanie kolumnom wojowników szły inne, połyskujące srebrzyście. Folko zrozumiał, że to elfy. Drżały sklepienia starych Kurhanów, gdy obok przechodziły wojska Starego Związku, kierując się na miejsce decydującej bitwy z Nieprzyjacielem pod murami Mordoru; Upiory zaś w pani-

ce kryły się w najgłębszych podziemnych kryjówkach. Wojska odeszły, a ukryte życie, zrodzone wśród bohaterskich szczątków wielkich wojów przeszłości, pożerające ich prochy i chciwie ścigające żywą zdobycz, znowu nabierało śmiałości. . .

— No to jak, jedziemy, przyjaciele? — zapytał Torin po chwili milczenia. — Myślę, że tu nie mamy nic więcej do roboty. . . A ten miecz weźmiemy ze sobą. Nasza opowieść, którą szykujemy dla Namiestnika, obrasta wciąż w nowe szczegóły i wyraźnie potrzebuje dowodów. — Z tymi słowy zawinął znaleziony miecz w szmatę i schował w zanadrze.

Folko chwycił go za rękę.

— Nie bierz go, bracie — powiedział cicho. — Czuję, że niesie on niedobre słowa i okrutne plany. Pozostawiono go tu dla ciemnych sił. Nie bierz go! Nie mogę ci powiedzieć dlaczego, ale tak czuję.

— No to jaki przedstawimy dowód prawdziwości naszych słów? — zdziwił się Torin. — Namiestnik nawet nas nie będzie chciał wysłuchać.

— Bardzo cię proszę, wyrzuć go! — W głosie Folka zabrzmiały błagalne tony.

Hobbit sam nie wiedział, skąd u niego takie myśli, i męczyło go, że nie może sensownie wytłumaczyć wszystkiego przyjaciołom. Torin natomiast tylko beztrąsko machnął ręką i skierował się do swojego kuca. Folko poszedł jego śladem. Opuściwszy głowę, nie mógł uwolnić się od niejasnych, ale mrocznych przeczuć. Milczący przez cały czas Rogwold już wsiadał na konia.

Jednakże nie zdążyli wyjechać z dziwnej doliny. Dokładnie na wprost, na szczycie najbliższego kurhanu, ponownie pojawiło się szare widmo, dokładnie takie, jak postać postrzelona przez hobbita kilka minut temu. Folko odruchowo się odwrócił — za nimi, obok Mylnego Kamienia, stał jeszcze jeden Upiór.

Rogwold z młodzieńczą lekkością zeskoczył z konia i w biegu obnażając miecz, rzucił się naprzeciw schodzącej z północnego kurhanu postaci. Wojowniczy płomień zapłonął w oczach krasnoluda. Chwycił topór i pognął w kierunku postaci zbliżającej się do ogniska z południa.

Dwa nowe widma były dokładnymi kopiami pierwszego, ale Folko nie czuł już strachu. Po prostu było to wszystko dziwne, jakby przyglądał się jakiemuś tajemnemu, nieprzeznaczonemu dla obcych oczu obrzędowi. Przewyciężywszy chwilową dezorientację, chwycił w dłonie łuk.

Upiory podążały z szybkością chyżego konia. Dopiero teraz hobbit zobaczył, że kiedy maszerują, trawa pod nimi się nie ugina i nie rzucają cienia.

Obca wola ponownie chciała, jeśli nie wystraszyć go, to przynajmniej zbić z pantałyku, ale Folko, który dopiero co zniszczył jednego z Upiórów Mogilników, mocno wierzył w siebie i już się niczego nie bał, przynajmniej w tej chwili.

Ogromna szara postać przemknęła obok Rogwolda; jego rozpaczliwa próba, żeby dosięgnąć mieczem Upióra, nie udała się; szary cień błyskawicznie doganiał krasnoluda, który z kolei, nie oglądając się, pędził na spotkanie drugiemu widmu.

Szare fałdy płaszcza nagle drgnęły, przed maszerującą zjawą pojawiło się coś jak mglisty obłok i błyskawicznie przybrało kształt długiego dwuręcznego miecza.

— Torinie!!! — krzyknął rozpaczliwie Rogwold.

Krasnolud usłyszał i obejrzał się. Został wzięty w dwa ognie: widma zbliżały się z obu stron. Pozostało mu tylko jedno — walczyć. Folko zobaczył, jak krasnolud nagle miękko się przygiął, wystawił przed siebie topór i na przemian zerkał to na jednego, to na drugiego przeciwnika. Rogwold, wyężdżając siły, spieszył mu na pomoc. Ale stary łowca zaczynał już tracić oddech. I wtedy hobbit uniósł łuk.

„Nie dotykaj go!” — krzyknął w myślach i wypuścił pierwszą strzałę.

Uderzyła w lewe ramię pierwszego widma, które od Torina dzieliło już tylko dziesięć czy piętnaście kroków. Szary cień drgnął konwulsyjnie, nad ramieniem pojawiły się jęczyczki purpurowego płomienia, po płaszczu zaczęły pełgać szerokie pierścienie ognia. Upiór rzucił się w prawo i druga strzała minęła cel. Do uszu hobbita dotarł znowu głuchy jęk.

Widma porzuciły Torina i skierowały się teraz prosto do popiołów ogniska. Strzała Folka spłonęła do cna; nie wiadomo, jak i skąd zrodzony ogień wypalił w płaszczu ogromną dziurę — widać w niej było coś kruczoczarnego. Hobbit wyjął z kołczanu drugą strzałę, ale w tym momencie oba widma dopadły popieliska. Folko zamarł, opuściwszy beużyteczny już łuk; szare postacie natychmiast się rozmyły, ale przedtem dwa pozostawione w popiele miecze wzleciały w powietrze, uniesione niewidzialnymi rękoma, i zniknęły w fałdach płaszczy.

Torin opuścił topór, Folko schował łuk. Ciężko dysząc i trzymając się za lewy bok, podszedł do nich Rogwold. W milczeniu patrzyli w popioły. Nie, nie wydawało im się — miecze zniknęły!

* * *

Wydostali się z Mogilników bez przeszkód, jednakże Folko przez cały czas niespokojnie wiercił się w siodle i rozglądał na boki. Niespodziewanie obudzone w nim uczucie nie dawało mu spokoju. Zimny, złośliwy syk, zapowiadający pojawienie się pierwszego Upiora, towarzyszył mu bez przerwy, a człowiek i krasnolud niczego nie zauważali. Słońce wdrapywało się na szczyt nieboskłonu, powiał południowy wiatr, i gdy trójka wędrowców wyjeżdżała na Trakt, Folko wyraźnie usłyszał słowa, wypowiedziane zimnym, nieludzkim głosem, skierowane tylko do niego: „Nie ciesz się, jeszcze się spotkamy”.

— Gdyby nie te trzy miecze, powiedziałbym, że konie po prostu zostały zaszlachtowane na mięso — mówił tymczasem Rogwold. — Ale teraz widzę, że to nie to. Prędzej zabito je tymi właśnie mieczami. Każdego innym. A potem ciała

spalono w ognisku i wrzucono tam miecze. Ale po co? I po co widmom pozostawiona w popielisku broń? Jaki tu jest związek? Przecież ci troje wyszli wyraźnie po miecze. . . Oto, co nie daje mi spokoju!

Niespodziewany poryw wiatru przyniósł skądś z Mogilników rzenie rozzłoszczonych koni, wierzchowce przyjaciół spłoszyły się, jeźdźcy zbledli i w milczeniu wymienili spojrzenia.

Rozdział 7

Troje w drodze

Do Bree dotarli bez żadnych przygód. Na Trakcie nic się nie działo; od Białych Wzgórz zbliżała się duża karawana, hobbici-woźnice byli weseli, beztroscy i na pytanie Folka chętnie odpowiedzieli, że droga minęła spokojnie, oby tak zawsze... Wkrótce dotarli do wrót Przygórza.

— No to jak, nocujemy tutaj czy mimo wszystko jedziemy dalej? — spytał Rogwold.

— Przed nocą? — zawahał się krasnolud, wpatrując się w zasnute niskimi chmurami niebo. — A jak spadnie deszcz? Gdzie się ukryjemy?

— Nie martw się, przenocujemy w Astorze. To wioska leżąca jakieś dziesięć mil na północ przy Zielonym Trakcie. Jest tam oberża, i to niezła. Bo tu możemy ugrzeznąć na całą zimę. Jedźmy.

— Zgoda — machnął ręką Torin. — Chodźmy, Folko, załadujemy sakwy... — Krasnolud zapłacił Barlimanowi, a Folko wyprowadził konie na ulicę.

Mijający ich przechodnie spoglądali ze zdziwieniem. Dokąd się wybierają przed nocą? Rogwold czekał na nich, siedząc w siodle; wkrótce pojawił się Torin, niósł na plecach worek z uwięzionym karzełkiem.

Pożegnali się z Barlimanem i bojaźliwie zerkając na kudłate chmury, ruszyli. Ich droga prowadziła na północ.

Zielony Trakt był szerokości Zachodniego; jechało się po nim wygodnie i przyjemnie. Dokoła rozciągały się zamieszkane, starannie uprawione ziemie kolonii wokół Bree, mignął przydrożny drogowskaz BIAŁE WZGÓRZA. Po lewej ręce stopniowo przesuwały się porośnięte lasem grzędy, które Folko i Torin widzieli, podjeżdżając do Bree. Z prawej leżały szerokie pola, przedzielone zagajnikami, z rzadka trafiały się parowy. W odróżnieniu od Zachodniego, Zielonym Traktem szło i jechało o wiele więcej podróżnych, wędrowcy praktycznie nigdy nie byli sami na szlaku. W ciągu dwóch godzin trzykrotnie napotkali konny patrol Arnorczyków; na przydrożnych wzgórzach widniały wieże strażnicze, a na nich uważnie wypatrywali niebezpieczeństwa żołnierze w pełnym rynsztunku, z du-

żymi łukami w ręku. Folko nabrał otuchy; czuło się tu obecność mocnej, pewnej siebie władzy.

Do Astoru — wsi liczącej jakieś czterdzieści domów — przyjechali wieczorem. Zaczynał kropić deszcz, żarłoczne chmury połknęły purpurowe światło zmierzchu, zrobiło się zimno i wilgotno. Folko ucieszył się więc, gdy zobaczył pół mili przed sobą ciepłe światła w oknach domów. Po drodze rozmawiali mało. Rogwold był niespokojny, czasem mamrotał coś pod nosem, czasem nagabywał hobbita o szczegóły wydarzeń w Mogilnikach; Folko plątał się, usiłując opowiedzieć to, czego nie da się ubrać w słowa, ale Rogwold wydawał się usatysfakcjonowany. Krasnolud przysłuchiwał się ich rozmowie, a potem naciągnął kaptur i pogrążył się w marzeniach. . .

Minęli bramę, utworzoną przez trzy żerdzie, bardziej przypominającą wejście do zagrody dla bydła, i podjechali do niewysokiego, ale mocnego i niedawno odnowionego częstokołu. W bramie stała straż — miejscowi mieszkańcy z pałkami i pikami; kłęli na czym świat stoi strażników darmozjadów, którzy zmusili ich do odłożenia ważnych domowych spraw i wyjścia na zewnątrz w deszcz i szarugę. Przepuścili wędrowców bez żadnych pytań, zajęci wyszukiwaniem coraz to soczystszych i świeżych wyzwisk pod adresem wojów. Torin, Rogwold i Folko bez przeszkód wjechali do wsi.

Oberża była przepelniona, więc zaproponowano im nocleg na sianie, ale w zamian przyniesiono wspaniałą, choć prostą kolację. Po godzinie wrzasków i kłótni udało im się wywalczyć miejsce, zjedli posiłek w pośpiechu, nakarmili karzełka i położyli się spać. Krasnolud i Rogwold zasnęli nad podziw łatwo, ale Folko długo leżał i rozmyślał.

Wszystko to jest jakoś powiązane. I karzełki, posłańcy do Isengardu po orków, i napady na drogach, i te niezwykle wydarzenia w Mogilnikach. . . Wszystko jest ze sobą połączone, ale jak przekonać innych? Pewnie nas wyśmieją. . . Bawił się nowym skórzanym pasem z przytroczonymi doń nożami. Ale, mimo wszystko, dobrze, że tu jestem. . . Z tą myślą zasnął.

* * *

Ranek nastał szary, nad wioską zawisły niskie kosmate chmury, od czasu do czasu kropił drobny deszczyk. Folko obudził się późno, od świtu nie dawała mu spać krzątająca wyjeżdżających gości i gdy tylko nieco się uciszyło, znowu zasnął.

Obudził go Torin; przytasczył dębowy ceber z wodą i skropił nią twarz hobbita. Ten poderwał się, kichnął, pokręcił głową i usiadł na pościeli — dokładniej na stercie siana, zasłanej płaszczami.

— Jak się spało? — zapytał hobbit Rogwolda. — Chodź jeść, a potem w drogę.

Łowczy zniknął za rogiem szopy. Hobbit i krasnolud zabrali się do jedzenia.

— Dobrze by było dzisiaj dotrzeć do Hemsal — powiedział w zamyśleniu Torin. — Stąd będzie ze trzydzieści mil.

— Bywałeś tu już?

— Pewnie, i to nie raz. Droga jest dobra, osiedla ciągną się do samego miasta. Tutaj podróż to przyjemność, co innego Pustkowie! — westchnął krasnolud. — Tam ile byś wędrował — nie znajdziesz ani mieszkania, ani jadła. Co na grzbiecie przyniesiesz, tym się będziesz rozpieszczal. Spać nie ma gdzie, jakiś tam ogienek skrzesasza, płaszczem się nakryjesz i śpisz sobie słodko i do woli! Nie ukryjesz się przed deszczem ani przed wiatrem. Och, niełatwa tam droga, bracie hobbitcie! Bacz, żebyś później nie żałował! Lepiej zrezygnuj już teraz.

Krasnolud opuścił głowę i zamilkł. Zapadła niezręczna cisza. Folko nie mógł wykrztusić ani słowa. Było mu strasznie wstyd. Nie, teraz nie zawróci za całe piwo Bucklandu! Żeby się potem męczyć przez całe życie, przeklinać swoje tchórzstwo i zdręzczać siebie świadomością bezwzględnie utraconego czasu, zmarnowanych lat! Nie, lepiej iść naprzód, w Pustkowie, w Mogilniki. Nawet do Mordoru! Nie ma odwrotu!

— Zjadaj, stygnie ci — rzucił ponurym głosem Torin. Nie patrzył na hobbita. — Namyśliłeś się? No, mówże.

— Idę z tobą — wykrztusił Folko.

— No i dobrze — odezwał się ucieszony krasnolud. — Gdzie ten Rogwold się zapodział? Dawno już powinniśmy ruszać.

Wstał i skierował się do wyjścia.

Czekali na myśliwego dobre piętnaście minut, ale ten ciągle się nie pojawiał. Zniecierpliwiony Torin wyruszył na poszukiwania, surowo nakazawszy Folkowi, by nie wychodził z szopy i pilnował bagaży oraz karzełka, przywiązanego do żerdzi. Hobbit skinął głową i — nie mając nic innego do roboty — wyjął noże, po czym zaczął miotać nimi w ścianę; wychodziło mu, trzeba przyznać, całkiem nieźle.

Tak zastali go Rogwold i Torin, którzy dość niespodziewanie pojawili się w szopie. Obaj wyglądali na zaniepokojonych i zatroskanych; bez zbędnych wyjaśnień zaczęli natychmiast się pakować, poleciwszy hobbitowi siodłać konie. Już po kilku minutach cała grupa wyjeżdżała za bramę zajazdu. Folko owinał się płaszczem; wiatr chyba nie zamierzał ustać, a mżawka też nie poprawiała humorów. Drobnymi kroplami siekły w twarz hobbita, który musiał naciągnąć kaptur tak,

że widział tylko drogę tuż przed samym pyskiem kuca; krasnolud z Rogwoldem jechali obok i stary setnik opowiadał o zasłyszanych rankiem nowinach.

— Powiadają, że przyszedł nowy reskrypt o podatkach, znowu je podnoszą na utrzymanie drużyn. Ludzie burczą trochę, ale rozumieją, że jakoś ze zbójami trzeba walczyć. Niedawno przyjechali ludzie z północnego wschodu, szukają miejsc do zasiedlenia. Na granicy, opowiadają, jest teraz zbyt niebezpiecznie. Oddziały angmarskich konnych kuszników przenikają do Arnoru i wyrządzają wiele szkód. Wsie szybko pustoszeją, zajmują je wciąż nowe oddziały strażników, sytuacja ciągle jest niejasna. Jeden przyjezdny z Annuminas powiedział, że w stolicy tej jesieni zgromadziła się niespotykana dotychczas liczba krasnoludów ze wschodu. Niektórzy przybyli, szukając zarobku, ale większość nic nie robi, niczym nie handluje, tylko całymi dniami przesiaduje w tawernach. Kłóca się bardzo ostro, ale do bójek na razie nie dochodzi. Niektórzy uważają, że krasnoludy Gór Mglistych zbierają się, by pójść na Angmar, inni zaś, że przeciwnie, krasnoludy chcą zawrzeć z Angmarem sojusz, a wtedy dopiero pokażą całej reszcie.

— A o Przygórzu? Nic nie słyhać? — zapytał Torin, zdumiony tym, co usłyszał.

Dziwił się, ponieważ w samych Górach Mglistych krasnoludów nie zostało wielu, zeszedł głęboko w sztolnie i sprawy ziemskie, jak się wydawało, nie bardzo ich interesowały.

— O Przygórzu nic — odparł Rogwold. — Poczekaj! Trzy, cztery dni potrwa atak drużyny, a w tym czasie my będziemy w połowie drogi.

— A o Mogilnikach? — nie ustawał Torin. — Niemożliwe, żeby nic nie mówili!

— Była mowa o Mogilnikach — powiedział Rogwold, ściszywszy głos. — Nie myśl, Torinie, że oni tu są ślepi. Tyle że patrzą na wszystko z dystansu. Kiedy kupowałem żywność na drogę, jęczał taki jeden, że niby w Mogilnikach jakieś widma się kręcą, ogień do nieba świeci, tylko nie wszyscy ten ogień widzą. Kto widzi i nie drzemie, ten może się uratować, innych Upiory migiem pożerają. Fajne, co? A wiesz, opowiedział mi jeszcze coś ciekawego: że niby wieczorami szwendają się po Kurhanach jacyś obcy, ale skąd się biorą i gdzie się potem podziewają, nikt nie wie. Nasi ludzie ich, oczywiście, wytropili i zameldowali szeryfowi oraz staroście.

— A szeryf co na to? — zapytał szybko Folko, który zapomniał nawet o deszczu.

— Szeryf? Posłał tam oddział, konni pokręcili się po brzegu pola, a dalej nie poszli. Niczego, oczywiście, nie widzieli, a potem w nocy Mylne Kamienie rozjarzyły się. Co się tam działo, po prostu nie da się opisać! Jedni wleźli do piwnic, inni pognali w lasy, niektórzy zaczęli zakopywać dobytek. Pytam go wprost: a czy ktoś chwycił za pałę i topór? Nie, powiada, takich w całym okręgu było tylko

dwóch. Miejscowy kowal, Hled, znam go — krzepki jak dąb. A w Przygórzu taki jeden, nie słyszałem o nim, ma na imię Heydreck.

— Jak oni stąd dojrzeli Mylne Kamienie? — zdziwił się krasnolud.

— Blask, powiadają, bił pod niebo. Każdy Kurhan jak słup płomienisty. Aż dziw, że w Przygórzu nikt pary z gęby nie puścił! Zresztą, ci tutaj też wołają milczeć. Kto wie, może uważają, że o takich sprawach niebezpiecznie jest głośno mówić?

Rogwold zamilkł. Konie miękko stąpały po śliskiej drodze, rozmokłej w męczącym, przeciągającym się deszczu. Chmury wisały nad ziemią, wiatr nie cichł. Już dawno minęli Astor i teraz jechali po szerokiej równinie, obramowanej z prawej strony grzędą zalesionych wzgórz. Nie zwracając uwagi na mokry płaszcz, Folko usiłował usiąść tak, by móc patrzeć na boki i jednocześnie chronić twarz przed wiatrem. Udało mu się to i teraz z zainteresowaniem przyglądał się nieznamnej krainie. Nawet przy tak fatalnej pogodzie wydawała mu się piękna.

Daleko z prawej było widać ciemną nitkę rzeki, pasma lasów przy brzegach, wioskę — kilkadziesiąt chat. Od Traktu odbiegała w tamtym kierunku polna droga, przecinająca mnóstwo stłoczonych poletek. Gdzieś tam jeszcze stały pojedyncze stogi niezwiezionego pod dach siana, ale było ich bardzo mało; Folko pomyślał, że tutejsi gospodarze prowadzą mądrą gospodarkę: świadczyły o tym i starannie utrzymane płoty, i dokładnie zasypane dziury w Trakcie, i nawet wymyślne belkowane daszki nad przydrożnymi studniami, ozdobione rzeźbionymi głowami i figurkami. Mimo deszczu praca w okolicznych wsiach nie ustawała; wrzało również na Trakcie: trójka przyjaciół przez cały czas jechała, mając na widoku jakiś duży tabor. W ciągu kilku godzin podróży minęli cztery wsie; wszystkie czyste, z porządnymi, zadbanymi obejściami. Deszcz nie ustawał, płaszcz Folka szybko przemókł i kiedy słońce już zachodziło, postanowili się zatrzymać. Na szczęście, wzdłuż całego Traktu wzniesiono dla wygody podróżnych wiaty. Pod jedną z nich ukryli się przyjaciele. Znalazła się nawet kupka chrustu i mogli szybko rozpalic ognisko. Jasno-rude płomyki wesoło rozbiegły się po suchym, podłożonym pod chrust sianie; wkrótce ognisko płonęło, sypiąc dokoła czerwonymi iskrami.

Folko zrzucił przemoczony płaszcz i przysunął się do ognia. Z wilgotnej odzieży buchała para, dym piekł w oczy, drapał w gardło, dusił, ale ogień dawał też żywe ciepło, w którym można było się zanurzyć, niemal jak w gorącej kąpieli. Po zgniłej wilgoci Traktu wydało się to nieprzyzwyczajonemu do trudów podróży hobbitowi szczytem rozkoszy. . .

Wkrótce ognisko zostało zdeptane, przyjaciele ruszyli dalej; niebo zaciągnęło się szarymi chmurami.

Rozmawiali mało. Czasem Torin nagle zaczynał coś mrużyć pod nosem w swoim niezrozumiałym dla innych języku; Folko wychwytał odmierzony rytm gardłowych dźwięków i rozumiał, że krasnolud albo recytuje wiersze, albo coś śpiewa. Rogwold zdawał się pogrążony w jakichś niewesołych rozmyśleniach.

Hobbitowi zaczęło przeszkadzać posępne milczenie towarzyszy, zaczął więc pytywać łowczego o jego życie i o wszystko, co tamten widział; szczególnie interesowała go Ostatnia Wyprawa, o której wspomniał stary setnik podczas ich pierwszej rozmowy.

— Ach, piękne to były czasy! — Rogwold wyraźnie ucieszył się, mogąc porozmawiać i powspominać przeszłość. — Nad samą Lodową Zatoką Forochel, na ziemiach zamieszkałych przez dziwny i mroczny lud, władający krainą Chringstadir, na wschód ciągną się Góry Bezimienne. Dawno, dawno temu, na długo przed Wojną o Pierścień, na długo przed Ostatnim Sojuszem i Upadkiem Numenoru, na długo przed powstaniem Minas Tirith i Umbaru, słowem, w dniach, nazywanych przez elfów Początkiem Dni, tam za górami leżała zadziwiająca ziemia, którą, jak powiadają, zamieszkiwał kiedyś Wielki Wróg Morgoth. . .

Głośny odgłos grzmotu zagłuszył jego słowa. Niebo rozerwała rozgałęziona jaskrawa błyskawica, która pękła niemal nad ich głowami. Folko przycisnął dłonie do uszu. Zamarli, oszołomieni i wstrząśnięci. Konie niepewnie dreptały w miejscu; w końcu Rogwold trącił wodze i mówił dalej, ale przyciszonym głosem, od czasu do czasu robiąc wyraziste pauzy.

— No więc nasze wojsko szło na północ z Annuminas, kierując się na wschodnią rubież Gór Bezimiennych. Zwiadowcy, którzy w tamtych latach zapuszczali się w te góry bardzo głęboko, aż do Morza Rhun, zameldowali młodemu Namiestnikowi, a ten z kolei Królowi, że zauważono tam duże oddziały orków. Zachowywali się bardzo spokojnie, poruszali dużymi obozami, najwyraźniej szukali miejsca do osiedlenia się. Postanowiliśmy ich przechwycić. Chwasty winny być wyrwane z korzeniami, zanim się rozrosną i wydadzą z siebie trujące nasiona. Sam Król nas prowadził, a my, wojownicy Arnoru, byliśmy po prostu szczęśliwi jak nigdy — w końcu zabraliśmy się za sprawę, dla której żyliśmy! Maszerowaliśmy wzdłuż zachodnich rubieży Angmaru, a jego mieszkańcy złożyli Królowi hołd poddańczy, ponieważ uznali, że wyprawa została skierowana przeciwko nim. Głupcy! Król nie walczy z ludźmi, wszak wszyscy oni są jego poddanymi; jedynie karze tych, którzy łamią prawa! Wkrótce wkroczyliśmy na pustynne, bezludne obszary; maszerowaliśmy wśród dzikich szarych skał, mijając hałaśliwe górskie rzeki, przemierzaliśmy dziesiątki dróg, by znaleźć się w punkcie zbornym. Orkowie nie oczekiwali naszego uderzenia. Konni pancerni migiem rozbili ich pospiesznie ustawione mury tarcz; ciężka piechota dopełniła pogromu. Zaczęła się gigantyczna obława. Pędziliśmy ich dniem i nocą, nie pozwalając, by się rozbiegli. Mój szwadron przeszukiwał skałę za skałą, wąż za wężem, jaskinię za jaskinią i z zewsząd wyciągaliśmy ukrytych w różnych miejscach wrogów. Nie marnowaliśmy czasu na to, by łąpać ich i wiązać, po prostu pędziliśmy ich przed sobą. Zdarzało się, że strzelano do nas z łuków albo jakaś grupka najbardziej desperowanych orków postanawiała drożej sprzedać swój żywot i rzucała się na nas z ukrycia; straciłem w takich potyczkach ośmiu ludzi, ale nikomu z przeciwni-

ków nie udało się przedrzeć przez naszą obronę. Wkrótce zaczęliśmy znajdować orków, którzy zmarli od ran albo zostali dobici przez swoich towarzyszy. Na co liczyli? pytałem wtedy siebie i nie znajdowałem odpowiedzi. A zabitych orków ciągle przybywało — nie wytrzymywali tempa starcy i dzieci. I oto nastał dzień, kiedy wszystkie pościgowe oddziały zebrały się na ogromnym polu u podnóża Gór Bezimiennych. Gigantyczne skalne ściany odcięły otoczonym orkom wszystkie drogi ucieczki, jak myśleliśmy, a z trzech stron szły na nich nasze hufce. Ale orkowie wcale nie okazali się tchórzami; przygotowali się do bitwy, choć wiedzieli, że nie mają szans na zwycięstwo, i chcąc nie chcąc, poczuliśmy do nich szacunek. Już zbliżał się wieczór, kiedy nagle przystali parlamentariuszy. Odprawiono ich do króla. Potem dowiedziałem się, że prosili, by zachować życie przynajmniej co dwudziestemu dziecku, ocalałemu do tej chwili, i pozwolić im wyjść z okrażenia. Król, rzecz jasna, nie zgodził się, dodając, że z wytworami Mroku potomkowie Earendila i Aragorna mogą rozmawiać tylko za pomocą żelaza. Orkowie przysięgali, że na zawsze odejdą na wschód i nawet ich prawnukowie będą omijać drogę do Arnoru; kładli nacisk na to, że nie uczynili narodowi królestwa nic złego, ale Król nie ustąpił.

Następnego dnia rano ustawiliśmy się w szyku bojowym. Przed nami, na wzgórzach, ciemniała horda orków. Zaciągnęli do góry wszystkie swoje wozy, poustawiali kamienne mury, słowem — przygotowali się jak mogli do obrony. Atakowaliśmy ich i naprawdę zrobiło się gorąco, ponieważ walczyli jak szaleni. Ale nie mieli szans, tym bardziej w starciu z naszą piechotą — po prostu zostali zmiażdżeni, jakby się znaleźli między młotem i kowadłem. A kiedy wszystko się skończyło, ze zdziwieniem i gniewem odkryliśmy, że orkowie oszukali nas: póki prowadziliśmy pertraktacje, znaczna ich część z kobietami i dziećmi uciekała w góry. Rzuciliśmy się w pościg. Strome i niebezpieczne okazały się te górskie ścieżki, po których na północ prowadziły tropy orków. Ścieżki albo wiodły obok przepaści, albo przywierały do skalnych ścian, ale za każdym razem znajdowaliśmy jakieś nieznaczne odgałęzienie, które wykorzystali uciekinierzy. Siódmego dnia — dopiero siódmego dnia! — dopadliśmy ich. Walki nie było, po prostu zrzuciliśmy wszystkich z urwiska. Tak się to skończyło. Skąły w dole poczerwieśniały od ciemnopurpurowej krwi orków.

Rogwold uśmiechnął się ponuro i przez pewien czas milczał.

— Następnego ranka zaczęliśmy radzić, co robić dalej. Najprościej byłoby wrócić, przecież wykonaliśmy rozkaz Króla, ale nieznane drogi kusiły nas, i my, pięciotysięczny oddział, postanowiliśmy iść dalej i, być może, zobaczyć ów zadziwiający kraj, który od dawna nazywaliśmy Forodwaithem albo Północnym Pustkowiem. Ruszyliśmy dalej, zaznaczając każdą przebytą milę. Teraz przychodziło nam z jeszcze większym trudem wyszukanie drogi, ale byliśmy cierpliwi i uparci, mieliśmy zapasy żywności i nie poddawaliśmy się. Ósmego dnia minęliśmy ostatnią przełęcz i zobaczyliśmy ogromną, bezgraniczną równinę, rozpościerającą się

na północ, wschód i zachód, jak okiem sięgnąć. Gdziekolwiek widać było niewielkie wzgórza, zauważyliśmy kilka niewielkich rzek, rodzących się w Górach Bezimiennych i spływających na północny wschód. Ich brzegi pokrywały niezbyt gęste zagajniki wątych, niewysokich północnych drzew. Słońca nie widzieliśmy — całe niebo zasnuły ołowiane chmury, szczelnie, bez najmniejszego prześwitu. I żadnych śladów człeka czy zwierza. Ziemię otulała zimna mgła. Zjechawszy z kopców przedgórza, znaleźliśmy się jakby w szarej wilgoci. Owładnęło nami dziwne, niezapomniane uczucie — znaleźliśmy się w rezerwacie czasu: zmęczony po zabiegach w wielkim świecie, tutaj na zawsze zatrzymał swój bieg i tutaj, jak nam się wydawało, przybywa, by co noc odpocząć. Nie był to ludzki świat, przyjaciele. Zabrakło w nim miejsca dla ludzi, dla krasnoludów i tym bardziej dla hobbitów. Zamieszkiwały go dziwaczne stworzenia, rządzące się własnymi prawami. Nie wiem, czym lub kim są te ogromne przezroczyste pająki, obłoki fruującego zimnego ognia, wielogłowe węże, pełzające po ziemi i unoszące się w powietrzu. Nie wiem, ale przypuszczam, że to miejsce stało się przystanią dla cieni tych wytworów Mroku, których niezliczone zbrodnie pozbawiły wiecznego spokoju. Tak czy inaczej, cienie wojowników Thangorodrima nie zniknęły i do dziś błądzą dokoła siedziby swego śpiącego pana. Szybko się przekonałiśmy, że są bezcieleśni! Widząc ich pierwszy raz, potwornie się wystraszyliśmy, chwyciliśmy za miecze i łuki. Ale szare cienie, które bez przerwy się na coś skarżyły w dawno zapomnianym języku, nie zwracały na nas uwagi. Strzały i miecze przechodziły przez nie na wskroś, nie czyniąc im żadnej krzywdy, i pewnego dnia wśród nas znalazł się śmiałek, który ustawił się na drodze jednego z pajaków-widm. Cień przeszedł przez niego, widzieliśmy postać śmiałka wewnątrz potwora, ale ten pokuśtykał dalej, a śmiałek pozostał nienaruszony. Przestaliśmy na nie zwracać uwagę i ruszyliśmy dalej, teraz już niemal na chybił trafił, trzymając się jednego kierunku — na północ. Oczywiście zostawialiśmy znaki na wszystkim, co mogło służyć jako punkty orientacyjne w drodze powrotnej. Ale się nie zapuściliśmy zbyt daleko — kończyły się nam zapasy, weszliśmy więc tylko na trzy dzienne odcinki marszu, lecz niczego podejrzanego nie zobaczyliśmy; coraz silniejszy był lęk, który zrodził się w naszych duszach zaraz po przejściu gór, strach niezrozumiały i niewyjaśniony; niełatwo było z nim walczyć. Widywaliśmy coraz więcej widm — całe stada gromadziły się wokół miejsc naszych popasów; na dodatek widma miały obrzydliwy zwyczaj urządzania sobie spacerów właśnie przez nasze biwaki i tego nie można było nazwać „przypadkiem”. Bardzo nieprzyjemne uczucie, brr! — Rogwold otrząsnął się. — Jakbyś się pogrążył w stęchłym, gnijącym błocku; a zapach wewnątrz tych monstrów! Nie do opisanego. A jednocześnie, jak mówiłem, są bezcielesne. No dobra, dość o tym.

Wciąż parliśmy do przodu, mając nadzieję zobaczyć coś niezwykłego, może nawet ruiny Twierdzy, ale niczego nie dostrzeżliśmy. Wokół nas wciąż rozpościerała się bezkresna równina, wciąż włóczyły się za nami bezcielesne szare

cienie. W końcu zawróciliśmy. Powrotna droga minęła bez przeszkód: pozostawione punkty orientacyjne były na swoich miejscach, błędów nie popełnialiśmy i w dokładnie wyliczonym czasie dotarliśmy do gór. Tak skończyła się Ostatnia Wyprawa, po której arnorska drużyna przez trzydzieści lat pozostawała beczynna. Dopiero w ostatnich miesiącach znów chwyciła za broń. Jednakże to dopiero drobne potyczki, do prawdziwych wypraw jeszcze nie doszło.

Torin i Folko słuchali uważnie, chłonąc każde słowo łowczego. Krasnolud przez jakiś czas jechał w milczeniu, potem uderzył się dłonią w czoło.

— Rogwoldzie! A dlaczego całe plemię orków tak nagle pognało na północ? Przestali się bać słońca?

— Nie wiem — odpowiedział z lekka zmieszany były setnik. — W sumie wiadomo, jeżeli w grę wchodzi życie, zgodzisz się na wszystko, nawet na to, co kiedyś wydawało ci się ohydne. To myśmy ich zmusili, by stanęli do boju w dzień, ale — rzeczywiście — według mnie bili się jednakowo rozpaczliwie i w nocy, i w dzień. A dlaczego ruszyło tam całe plemię? Sądzę, że najpierw pchnęli swoich zwiadowców, a im spodobało się Północne Pustkowie. Ludzi tam nie ma, słońca prawie też, niebo niemal zawsze zasłaniają gęste, nieprzeniknione chmury. Przepatrzyli okolicę, a potem ruszyli całym ludem. Niestety, tych zwiadowców przegapiliśmy. Zresztą, już za Górami Bezimiennymi kilka razy trafiły się nam ślady biwaków orków.

— To znaczy... Ci urukowie potrafili tam się ukryć? — zdziwił się Folko.

— Jak powiedziałeś? — zapytał go łowczy. — Jak nazwałeś tych orków? Nie znam tego słowa...

— Uruk-hai — wyjaśnił Folko. — Czytałem, że tak nazywano te potwory, które służyły Sarumanowi. Byli znacznie silniejsi i więksi od swych współplemieńców, i jak twoi orkowie, Rogwoldzie, nie bali się słonecznego światła. Brr! Okropne stwory, jeśli wierzyć opisowi Froda. A co z tymi orkami na Północnym Pustkowie?

— A kto to wie! — wzruszył ramionami Rogwold. — Nie bywaliśmy już tam więcej, na naszych granicach panował spokój. Oczywiście, jeśli przez trzydzieści lat mnożyli się tam... Przy okazji, tej wiosny w potyczkach Arnorczyków z lotnymi oddziałami często znajdowano takich orków wśród zabitych.

— Więc, być może, od dawna już są w sojuszu z Angmarem? — zaniepokoił się Torin. — To znaczy, że krasnoludy muszą znowu chwycić za topory! Wojny ludzi, czy to się komu podoba, czy nie, są wojnami ludzi, ale orkowie to nasz pradawny, najgorszy, słowem, Wieczny i Główny Wróg! Walczyliśmy z nimi już pod Wielkim Durinem!

— Walczyliście, ale nie z tymi — pokręcił głową Rogwold. — Po Wojnie o Pierścień, jeśli nawet jacyś z nich przeżyli, to z pewnością ci najsilniejsi, najsprytniejsi i najzręczniejsi. Na dodatek teraz walczą już nie tylko w podziemiach.

— No to jeszcze nie widziałeś naszej piechoty na powierzchni ziemi! — odgryźł się Torin. — Nie sądz przedwcześnie.

— Nie widziałem — przyznał Rogwold, nie zamierzając sprzeczać się z krasnoludem. — Nie widziałem i nie wiem, więc nie będę się wypowiadał. Wydaje mi się, że Angmar jednak zdołał zjednoczyć się pod czyims przywództwem i ten ktoś wysłał swych dzielnych wojów przez nasze granice. Ktoś zjednoczył wolno żyjący naród i potrafił poszczuć go na nas. Ktoś odnalazł resztki orków na Północy i próbuje odnaleźć ich również na Południu. A na dodatek odżyły Mogilniki! Nie ma co, niewesoło się dzieje.

Rozmowa urwała się; zapanowała złowroga cisza.

„Bój się Północy, bój się Północy” — w umyśle Folka tłukły się słowa Pelegasta. Ale co może zrobić on, mały i bezradny hobbit? Co może zdziałać tam, gdzie nie radzi sobie pancerna drużyna wielkiego królestwa!

„Nic to — odezwał się w jego głowie czyjś bardzo spokojny i rozsądny głos. — Pamiętaj, małe kamienie wywołują w górach potężne lawiny. Przypadkowe spotkanie Peregrina i Meriadoka z entami, ich zwyczajna opowieść — i w następstwie entowie podnoszą bunt i pokonują Isengard; ratują walczących w Helmowym Jarze i przechylają szalę zwycięstwa w decydującej bitwie na Polach Pelenoru! A ty ciągle mamroczesz "co ja mogę zrobić?". Bardzo dużo!”

Folko pokręcił głową. Był gotów przysiąc, że słyszał te słowa i one napełniły go nowymi siłami, wiarą w siebie. Jego towarzysze jechali spokojnie, w milczeniu; hobbit zrozumiał, że słyszał własne myśli, myśli nowego Folka Brandybucka, z którym kłóciła się ostrożność dawnego Folka, ostrożność tak często podobna do tchórzostwa.

Droga prowadziła w dół, w dolinę, i wkrótce szare grzbiety wzgórz ukryły przed oczyma wędrowców zachodzące słońce. Przed nimi rozciągała się zamglona dolina, bardzo szeroka, leżąca między dwoma pasmami wzgórz.

Środkiem płynęła niewielka rzeka; widzieli domy pobliskiej wsi.

— To jest Silmenwill, a następna, przed drugim pasmem, to Hemsal — wyjaśnił hobbitowi Rogwold. — Tam właśnie zanocujemy.

Ostatnie mile były dla Folka bardzo męczące. Bolały go plecy, obite boki reagowały na każdy krok kuca. Mgła, w której musieli się zanurzyć, była obrzydliwa. Gdy tylko ich otoczyła, hobbit poczuł dreszcze z zimna i wilgoci. Zmęczyły się również wierzchowce, posępnie kiwały głowami, wlokąc się po wilgotnej jeszcze po niedawnym deszczu drodze. W Silmenwill któryś z wartowników krzyknął:

— Kim jesteście? Dokąd zdążacie?

Rogwold odpowiedział, że niby z Przygórza.

— Z Przygórza? Jak tam się mają sprawy, nie wiecie? Powiadają, że kapitan poprowadził dokądś swoich ludzi.

— Poprowadził — odparł krasnolud. — Ale czym się sprawa skończyła, nie wiemy. Wyjechaliśmy tego samego wieczora, kiedy oni wyruszyli w pościg.

— A... No to jedźcie. — Wartownik wydawał się nieco rozczarowany odpowiedzią.

Minęli wieś i powoli zbliżali się do drugiego pasma. Folko zasypiał w siodle, krasnolud głośno rozprawiał o sytej kolacji i dobrym piwie; wtedy usłyszeli za sobą odgłos kopyt. Jeździec pędził galopem i wkrótce zobaczyli wyłaniającą się z mgły postać. Rogwold usunął się na bok. Jeździec doganiał ich w błyskawicznym tempie. Pędził, mając zapasowego konia na uwięzi, za plecami powiewał znajomy biało-niebieski płaszcz strażnika.

— A może z Przygórza? — zastanawiał się Rogwold głośno. — Goniec, to pewne. A jak pędzi, jak leci! Nie inaczej, musi mieć pilną sprawę.

Konny zrównał się z nimi, a wtedy łowczy zakrzyknął:

— Skąd jesteś, przyjacielu?

Jeździec w pierwszej chwili nie odpowiedział, ale popatrzawszy na Rogwolda, gwałtownie osadził konia.

— Rogwoldzie, druhu! Skąd się tu wzięłeś? — zawołał.

Wojak nie był młody, jego wydłużoną twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi szpeciło kilka białych szram.

— Witaj, Franmarze! Dawno się nie widzieliśmy! Z czym pędzisz do Miasta?

— Złe nowiny, druhu. Wszak to ty przyniosłeś wieści o oddziale, który wyszedł z Mogilników?

— My — skinął głową łowczy.

Folko poczuł zimne ciarki na plecach.

— Dogoniliśmy ich następnego dnia, czterdzieści mil za Puszczą. — Franmar mówił cicho i szybko, połykając końcówki słów. — Kapitan Erster wszystko dobrze obliczył, ale w Puszczy oni połączyli się z jeszcze jednym oddziałem, i w końcu liczyli pięć setek przeciwko naszym dwóm. Nasz klin przeciął ich szyk, ale tamci natychmiast poszli w rozsypkę. Wśród nich było bardzo dużo kuszników, ustępowali przed nami i nie żalowali bełtów. Odpowiadaliśmy im jak potrafiliśmy, ale sprawa mogłaby się dla nas skończyć źle, gdyby nie uderzyły na nich od tyłu cztery dziesiątki Narina. To wprowadziło zamęt w ich szeregach na krótki czas, udało nam się ponownie rozbić ich szyk, ale znowu się wykręcili. Pędziliśmy ich długo, lecz nie udało nam się wywołać bezpośredniego starcia. W czasie pogoni kilku młodych i rozgorączkowanych wojów wysforowało się do przodu, schwytano ich na arkany. — Franmar odetchnął i wytarł dłonią spoczną twarz. — Wśród nich był młodszy brat kapitana, Halfdan. Znaleźliśmy ich po kilku godzinach. Zostali uśmierceni w męczarniach, i każdy miał odciętą zuchwę!

Wszyscy trzej wędrowcy mimowolnie drgnęli.

— Wiozę meldunek o tym do Miasta — ciągnął Franmar. — Straciliśmy dwudziestu siedmiu ludzi, a oni czterdziestu trzech. Byli tam ludzie z Angmaru, są-

dząc po podkowach i uprzęży, orkowie, jacyś nieznani mi chyba północni — małe niskie plemię, coś jakby krasnoludy, ale inni. Ręce grube jak nasze łydki! No więc, ten oddział nam uciekł. Rozpierzchli się i uciekli. Szukaj teraz wiatru w polu! — Uśmiechnął się z goryczą. — No, żegnajcie. Żegnaj, druhu, będąc w mieście, wstąp do mnie, wiesz, gdzie mieszkam. Wkrótce przybędą zmiennicy, będę więc w domu.

— Na pewno, stary przyjacielu — zapewnił go Rogwold. — Obyś miał lekką podróż!

— E tam! — rzucił Franmar, machnąwszy w jakiś nieokreślony sposób ręką, i wbił ostrogi w boki wierzchowca. Luzak szarpnął głową i podążył za nimi, starając się nie zranić pyska na krótkiej wodzy.

Przyjaciele jakiś czas milczeli, patrząc za jeźdźcem; postać Franmara szybko malała, rozpływała się we mgle. Wkrótce ucichł również stukot kopyt. Nad Traktem ponownie zawisła cisza.

— No tak... — odezwał się Torin. — Dlaczego? Żuchwę?...

— Właśnie żuchwę — rzucił Rogwold ponuro. — Skąd taki obyczaj! Niech będzie, Haradrimowie obdzierają ze skóry ciała wrogów, najbardziej walecznych wrogów, wypychają słomą i wystawiają na widok publiczny, ale... Słyszałem, że jest takie plemię, daleko na wschodzie, za Morzem Rhun, miesiąc drogi od Dale. Ale skąd by się tu wzięli? Nic nie rozumiem!

* * *

Zajazd w Hemsal okazał się o wiele obszerniejszy od astorskiego, nie był też taki pełny. Bez najmniejszych przeszkód wędrowcy wynajęli pokój i Folko z rozkoszą rzucił się na obszerne łoże. Świat wirował przed oczami śmiertelnie zmęczonego hobbita; Torin, bardziej odporny na trudy, ściągał z niego ubranie. Folko mocno zasnął, nie czekając nawet na kolację.

... Miał skrzydła, ogromne, mocne; szybował wysoko nad ziemią. Dostrzegał jakieś rozległe równiny, jakieś góry. Ale przestrzenie pod nim kryły się w wiecznym mroku, długie, nocne cienie ciągnęły się z zachodu na wschód, zaśnieżone wierzchołki odległych szczytów wydawały się jasnorożowe, świetliste, jakby malowane pociągnięciami czarodziejskiego pędzla, oświetlone ostatnimi promieniami zmierzchu. Nagle poczuł nieprzewartą chęć ucieczki; nie chciał oglądać tej krwawej wieczornej zorzy; wykonał lekki ruch potężnymi skrzydłami i podążył na wschód. Wiedział, że powinien teraz znajdować się właśnie tam i podporządkowywać się wyrazistemu, chociaż nie wiadomo skąd płynącemu wezwaniu. Obojętnie, niczym ktoś obcy, pomyślał, że zaraz powinny pokazać się Góry Mgliste;

tak się stało. Przemknął dalej i po chwili zniknął olbrzymi łańcuch górski, ciągnący się przez całe Śródziemie; zobaczył pod sobą zakręty Anduiny, Wielkiej Rzeki, a nieco dalej ciemniały przestrzenie Zielonych Lasów, dawnej Mrocznej Puszczy. Jego szlak wiódł jeszcze dalej — na wschód.

Z wysoka dostrzegł niekończący się leśny dywan, bez najmniejszych prześwitów i przesiek. Niespodziewanie poczuł, że powinien skrócić w prawo; uczyniwszy to, zobaczył pod sobą nieoczekiwanie puste miejsce. Lasy zniknęły, z widmowo białego, miarowo falującego morza wyłaniało się ogromne wzgórze, częściowo spowite mgłą. Stos jakichś odłamków pokrywał niemal cały szczyt. Przyjrzawszy się, pojął, że są to ruiny ogromnego budynku. I pośród nich, tam, gdzie układ kamieni tworzył coś przypominającego dawno zburzoną wieżę, zauważył ogień.

„Na dole hula wiatr — usłyszał nagle w głowie — dlaczego więc płomień jest taki równy?”

Zrozumiał, że jest to najważniejsze, ale dlaczego? Myśl pojawiła się i zniknęła, a on już zmierzał w kierunku ciemnych, brązowych ruin. Zatoczywszy obszerny krąg, Folko znalazł się na ziemi. Nie było na niej ani jednego źdźbła trawy; wiedział to, choć nie popatrzył pod nogi. Ostrożnie ruszył tam, gdzie — jak doskonale zdawał sobie sprawę — płonął ogień, nad którym wiatr nie miał władzy.

Ominąwszy resztki starego muru, gwałtownie się zatrzymał. Plecami do niego, przy ognisku u podnóża ocalałego muru, stał człowiek. Stał mocno i pewnie, rozstawiając nogi; miał pochyloną głowę, patrzył na swoje ręce, którymi wykonywał jakieś ruchy na wysokości piersi. Obok spokojnie stał czarny koń.

W tym człowieku czuło się gigantyczną, „starą” siłę, tak samo starą, jak otaczające ruiny; od razu przypomniał sobie Mogilnik. Folko nie wiedział, skąd wzięła się owa myśl, ale był przekonany, że właśnie tak jest.

Coś zmuszało go do obejrzenia się, a wtedy zobaczył jakieś cienie we mgle. Wkrótce wyłoniły się dwie ciemne postacie: masywna, przysadzista oraz druga — niewielka, zgrabna, chociaż nie bardzo ustępująca pierwszej wzrostem. Druga postać ścisnęła w dłoniach srebrzysty łuk.

— Strzelajże! Strzelaj! — rozległ się grzmiący głos, płynący, wydawało się, zewsząd i jednocześnie znikąd, i zobaczył, że postać z łukiem uniosła broń. . .

Folko ocknął się, gdy jasny słoneczny promień uderzył go w twarz. Okiennice były otwarte, cicho trzaskając płonęły polana w kominku, a przy stole siedzieli Rogwold i krasnolud. Łowczy wecował swój miecz, krasnolud polerował topór. Leżąc pod ciepłą derką, hobbit czuł niewiarygodną rozkosz, strudzonemu ciału potrzebny był wypoczynek. Przymknął oczy. Jego towarzysze nie zauważyli, że się obudził, i kontynuowali niespieszną rozmowę.

— Powiedz mi, Torinie — mówił Rogwold — jak to się stało, że wypuściłeś się na wyprawę z hobbitem? Zastanawiałem się już w Przygórzu; dziwne, myślę sobie, hobbit wszczął bójkę, a broni go krasnolud.

— Tak wyszło — odpowiedział Torin. — Spodobał mi się. Nie jest taki, jak wielu jego współplemieńców. Dla tamtych najważniejsze to napchać kałduny, a dla niego nie. Ma duże potrzeby i liczne przymioty, tak to czuję. I nie jest tchórzem; przypomnij sobie, jak strzelał do Upiorów, podczas gdy my przecieraliśmy oczy i zastanawialiśmy się, co robić. Zresztą my, krasnoludy, łatwo się przywiązujemy. Jeśli ktoś jest przyjacielem, to do śmierci. Dlatego tak mało mamy przyjaciół.

— Taaaa... — przeciągnął Rogwold. Znowu zapadła cisza.

Folko zdecydował, że pora wstawać: usiadł, przeciągnął się, ziewnął. Krasnolud i człowiek odwrócili się do niego.

— Ależ ty masz ciąg do spania, przyjacielu hobbitcie! — rzucił wesoło Torin.

— Dziwaczny sen miałem dzisiaj — rzekł Folko.

Doprowadzając się do porządku i myjąc, opowiedział przyjaciółom, co zapamiętał z nocnego majaku. Słuchali go w ciszy, nie przerywając.

— Sen mara!... — Folko usiłował obrócić wszystko w żart, ale i Torin, i Rogwold pozostali śmiertelnie poważni.

— Nie śmieję się ze swoich snów, Folko. — Na głowie hobbita legła szeroka sękata dłoń łowczego. — Bywa, że widzimy w nich naszą przyszłość. Los lubi bawić się z nami, pokazując czasem poszczególne obrazki z wydarzeń, które jeszcze nie zaistniały, i mądry może wybrać prawidłową drogę lub wystrzegać się pochopnych czynów. Wzgórze, powiadasz. Łyse wzgórze w Zielonych Lasach? A czy nie było to słynne wzgórze, na którym stała niegdyś twierdza wroga? Słyszałem podobne legendy.

Torin pytająco zerknął na hobbita.

— Jeśli wierzyć Czerwonej Księdze, w tamtych okolicach powinien znajdować się zamek Dol Guldur, a dokładniej to, co z niego zostało — przypomniał sobie Folko.

— A co to był za zamek? — zapytał Rogwold.

— Przybytek Nazgulów, najstraszliwszych sług Wroga, stamtąd orkowie napadli na Lorien. Wiesz, co to jest?

— Słyszałem, że tak nazywał się kraj elfów nieopodal Gór Mglistych, ale dokładniej nic nie wiem — odpowiedział łowczy.

— Orkowie pewnego razu szturmowali Złoty Las, ale elfy obroniły się. A potem ruszyli do boju, przeprawili się przez Anduinę i uderzyli! Słudzy wroga zostali pobici, i sama Pani Galadriela zburzyła mury tego zamku. Tak mówi Czerwona Księga.

— Zaczęło się: Dol Guldur, zamek, Wróg! — burknął Torin. — Mało to się może przywidzieć! Bywa, rzecz jasna, że sny się spełniają, i nie można ich lekceważyć, ale w tym wypadku wszystko jest takie niepewne.

— Cóż, pożyjemy, zobaczymy — westchnął Rogwold. — Ruszajmy w drogę, przyjaciele. Mnie ten bój pod Przygórzem nie wychodzi z głowy. Dlaczego oni

się tak rozzuchwalili? Zbierają pół tysiąca włóczni w środku Królestwa, niczego się nie obawiając i nawet się z tym nie kryją! — Pokręcił w zatroskaniu głową. — Idą złe czasy, powiadam wam.

— A co, nie można było zaalarmować całej okolicy? — zapytał niespodziewanie Torin. — W samym Przygórzu ze dwa tysiące wojów się zbierze! A okoliczne wsie? Zdusiliby ich, ani jeden by nie uszedł z życiem.

— Co ty opowiadasz! — machnął ręką Rogwold. — Pomyśl, czy ci wieśniacy nadają się do walki? Przecież to dla nich pewna śmierć, żaden nie potrafi trzymać miecza. Od tego właśnie jest drużyna, która ma wojować. Wojsko wojuje, oracze orzą, kowale kują, a tkacze tkają. Każdy winien swoje zajęcia wykonywać jak należy i nie pchać się do cudzych spraw. Tak jest, tak było i tak będzie. Nie, nie da się nikogo ani niczego zmienić.

— Nie wiem, może masz rację — rzekł krasnolud. — Tylko że u nas, gdyby ktoś taki się pojawił i zaczął pędzić żywot rozbójniczy, wszyscy porzuciliby robotę i ruszyli całym ludem na wroga. . .

— Pewnie dlatego wy, krasnoludy, nie utworzyliście Zjednoczonego Królestwa — uśmiechnął się Rogwold. — Nie obrażaj się, proszę, ale każdy ma swoje życie.

— Co się mam obrażać — mruknął krasnolud. — Rzeczywiście od czasów Durina nie potrafimy zjednoczyć się w królestwo. . .

— No to co, w drogę? — podniósł się łowczy. — Jesteś gotów, Folko? Nakarmiliście swojego karzełka?

— Karmiłem go, karmiłem. — Krasnolud podniósł się. — Wcina, żarłok, jak nie wiem co! Gdzie on to mieści?

Jechali niemal cały dzień. W końcu Trakt zanurkował w dół, w kolejną dolinę między łańcuchami wzgórz, ciągnących się z południowego zachodu na północny wschód. Droga przecinała kotlinę w jej najszerszym miejscu, potem z lewej i prawej pasma wzgórz zbliżały się do siebie. Płaskie dno doliny pokrywały pola i sady, nieco dalej po lewej widać było jeszcze jedną wieś i łąki wokół niej, a jeszcze dalej — nowe pola, nowe sady. Przeczuwając wypoczynek i dobry obiad, przyjaciele ponagli wierzchowce.

Jednakże wieś powitała ich zaskakującą ciszą i pustką. Wrota wielu domów oraz zajazdu pozostawały otwarte na oścież, ale ludzi nie było widać, tylko podwórzowe psy, uczciwie wykonując swoje obowiązki, przywitały ich chóralnym ujadaniem.

— Gdzie się wszyscy podziali? — odezwał się zaniepokojony i zaskoczony Rogwold, gdy podjechali do szerokiej bramy zajazdu.

W środku obszernej izby panował bałagan, stoły były wywrócone, krzesła leżały na ziemi, skorupy rozbitych naczyń pod nogami. Na szynkwasio siedział ogromny kocur, niespiesznie ucztujący pośród szczątków dzbanka ze śmietaną.

— Wygląda, że wszyscy gdzieś uciekli — wrzuszył ramionami krasnolud.

— Ale dokąd? I dlaczego? Nie, mili moi, tu dzieje się coś niedobrego. Przejdźmy się po wsi, może kogoś spotkamy.

Prowadząc konie za uzdy, poszli się rozejrzeć. Wszędzie widzieli to samo — otwarte na oścież drzwi i puste pomieszczenia. Nie zauważyli, jak znaleźli się poza wsią. Za ogrodami ciągnęło się niezbyt szerokie pasmo sadów, dalej pewnie znowu zaczynały się pola. Zatrzymali się niezdecydowanie i w tym momencie powiew wiatru przyniósł do nich jakieś wściekłe, gniewne okrzyki. Dobiały akurat od strony sadów.

— Tam! Szybciej! — krzyknął łowczy i pierwszy wskoczył na siodło.

Krasnolud i hobbit pospiesznie uczynili to samo.

Przedarli się wąską ścieżką przez szpalery jabłoni i znaleźli na długim wąskim polu. Tu właśnie znajdowali się „zaginieni” mieszkańcy wsi.

Na polu odbywała się bójka, szalona i bezładna. Nie można było rozeznaczyć, kto jest po czyjej stronie; w powietrze wzbijał się kurz, trzaskała darta odzież, fruwały żerdzie.

Oliwy do ognia dolewały kobiety: zaczynało się od potwornego pisku, potem dwie spore grupy, dotychczas obrzucające się tylko wyzwiskami i przekleństwami, przeszły od słów do czynów i chwyciły się za włosy.

— Klnę się na brodę Durina. . . — wymamrotał oszołomiony krasnolud.

Zaskoczony popatrzył na Rogwolda, ale oblicze starego setnika wyrażało tylko bezbrzeżne zdziwienie. Torin postanowił nie czekać dłużej. O dziesięć kroków od niego runął na ziemię młody chłopak z głową rozciętą uderzeniem łopaty; ten upadek sprawił, że ocknęli się z oszołomienia. Krasnolud ryknął z siłą trzydziestu trzech niedźwiedzi, wyszarpnął zza pasa topór i skoczył w największe kłębowisko bijących się, szczerze serwując kopniaki i ciosy, które rozrzucały walczących w różne strony. Najbardziej zawziętym dodawał jeszcze kuksańce w zębra. Wszedł w wyjący, wrzeszczący tłum jak nóż w masło, zostawiając za sobą prawdziwą przesiekę; jego ogromne pięści niemal fruwały w powietrzu. Pojawienie się Torina skwitowano najpierw rykiem oburzenia, ale zaraz za krasnoludem w prześwit między ludźmi rzucili się Rogwold z obnażonym mieczem, a potem Folko. Hobbit czuł lodowaty uścisk w swoim wnętrzu, serce waliło gdzieś w okolicach pięt, ale trzymał już w ręku łuk i gdy jakiś potężny brodac z rykiem zamierzył się na krasnoluda ciężką pałą, Folko precyzyjnie wpakował strzałę dokładnie między jego trzymające pałę garście. Oszołomiony napastnik zamarł, wpatrując się w strzałę, i w tym właśnie momencie Torin go rozbroił.

Bójka jeszcze trwała, ale walczący wyraźnie słabli. Niektórzy nawet, krzyżąc: „Bracia, co to się z nami dzieje!”, zaczęli pomagać krasnoludowi i Rogwoldowi w rozdzielaniu walczących. Stopniowo awantura ucichła. Wieśniacy stali spoceni, ciężko dysząc; niemal każdy odniósł jakieś obrażenia — jeden miał krwawiący nos, inny podbite oko; ktoś jęczał, chwyciwszy się za bok, kolejny poszkodowany trzymał rękę na rozciętym czole. Na polu leżała czwórka ciężej

rannych — młody chłopak i trzech krzepcy mężczyźni — ci oberwali sztachetami. Kobiety, po przerwaniu bijatyki, pospieszyły do rannych, ktoś pobiegł do wsi po wodę i płótno. Widzieli wyraźnie, że bijący się podzieleni byli mniej więcej na dwie równe grupy, z których jedna odeszła nieco dalej, druga zaś, przeciwnie, zbliżyła się do Traktu. W środku pola, na niewielkiej, ledwo zauważalnej miedzy stali już tylko trzech wędrowcy i dwaj potężni chłopci: jeden, właśnie ten brodac, w którego łagę tak udanie wbiła się strzała Folka, szeroki w barach, z okrągłą twarzą, budową przypominający nieco Torina, i drugi — bez brody, za to z długimi, zwisającymi aż na pierś wąsami. Ci dwaj obrzucali się wrogimi spojrzeniami, wściekle sapali, ocierając pot. Brodac co rusz spluwał krwią z rozciętej wargi, wąsaty nie odrywał od nosa kawałka podartej koszuli.

— Co tu się u was dzieje? — zapytał Rogwold, patrząc na nich zdziwiony.

— A tyś co za jeden? — burknął nieprzyjaźnie brodac. — Szeryf czy Strażnik?

— Jestem Rogwold, syn Mstara, pięćsetnik arnorskiej drużyny! — odpowiedział gwałtownie łowczy, rozsądnie opuszczając słowo „były”.

Obaj mężczyźni rozdziawili gęby i zamarli, wpatrując się w niego. Jednakże oszukać ich nie było łatwo.

— A więc tak... czcigodny. Idź swoją drogą. Załatwimy to między sobą — wycedził brodac i odwrócił się do stojących bliżej Traktu wieśniaków, dając im jakiś znak.

Tłum zafalował i przysunął się; Rogwold opuścił dłoń na rękojeść miecza, a Folko, jakby bez specjalnego celu, nałożył strzałę na cięciwę i chwycił w zęby drugą.

— Właśnie, poradzimy sobie bez ciebie — podtrzymał brodacza jego niedawny przeciwnik, posyłając znaki swoim ludziom.

Trójkę wędrowców wzięto w dwa ognie: z obu stron zbliżali się ponurzy, rozjuszeni bójką ludzie; w tej chwili wieśniacy zapomnieli o własnych sporach. Jednakże przyjaciele mimo wszystko nie byli sami. Z obu grup niespodziewanie wystąpiło po kilku mężczyzn — mocnych, przysadzistych, w sile wieku. Teraz wrogie obozy dzieliła już nie tylko trójka przyjaciół, ale brodac z lewej i wąsaty z prawej; podjudzacze, jak się zdawało, nie spieszyli się, by odwołać swoich ludzi.

— Hej, wy tam, na miedzy! — krzyknął wąsacz szyderczo. — Wynocha, pókiśmy was nie rozdeptali! Musimy odpłacić za nasze krzywdy tym śmierdzielom, i odpłacimy! A kto nam będzie przeszkadzał, temu wygarbujemy skórę! Jasne? A wy, Grast, Chrunt, Wirdir i Isung, jesteście podłymi tchórzami, którzy wstyd przynoszą rodzinnej wsi!

— Suttung, dość już tego judzenia ludzi! — odkrzyknął jeden z idących do Rogwolda wieśniaków; był to wysoki, barczysty mężczyzna, jego twarz okalała krótka bródka, przetykana siwymi włosami, srebro widniało i na skroniach, lecz

oczy miał młode, jasne, a ręce chyba mogłyby giąć podkowy. — Mało ci Ela i Trasta? Czy ty i Brodaty Eirik chcecie, żebyśmy co noc zapuszczali sobie nawzajem czerwonego kura? — Twarz mówiącego spurpurowiała, ogromne pięści zacisnęły się. — Nie! Dość! Podziękujmy czcigodnemu Rogwoldowi i jego towarzyszom, z naszych oczu opadła mgła. Niczego nie zhańbimy, zaniechawszy waśni. Tak powiadam ja, Isung, syn Angara.

— Racja! — podtrzymał go drugi.

Był niższy od Isunga, ale jeszcze szerszy w barach. Lewy policzek przecinała mu świeża szrama, z rany sączyła się krew. Mówiąc, żywo gestykułował.

— Niby z jakiej racji tłuczemy się wzajemnie, co? Popatrzcie — dotknął policzka — oberwałem tu od Heldina, ot stoi tam, a przecież od piętnastu lat uprawiamy sąsiednie pola! Hej, Heldin! Możesz wytłumaczyć, dlaczego zaczęliśmy się tłuc, co? Milczysz... No, właśnie!

— On milczy, a ja odpowiem! — wściekle ryknął ten, którego nazwano Suttungiem. — Nie trzeba było rzucać kłód pod nogi i decydować za nas, co i kiedy siać! Nasza kolej — co chcemy, to robimy! Nie będziecie nami rządzić! Dobrze mówię, chłopcy?

Otaczący go ludzie odpowiedzieli chóralnym rykiem i tylko mężczyzna zwany Heldinem chciał zaprzeczyć. Brodaty Eirik o czymś szeptał w niewielkim kręgu swoich zwolenników, a pozostali z jego grupy stali ponurzy, wpatrując się w ziemię. Towarzysze Suttunga zaczęli wrzeszczeć i urągać przeciwnikom. Znowu podniesiono z ziemi porzucone już sztachety i topory; kilkudziesięcioosobowy tłum runął na stojących nieruchomo pośrodku pola Rogwolda i jego przyjaciół oraz tych wieśniaków, którzy do nich dołączyli. Nie pozostało im nic innego, jak chwycić za broń.

Folko nie bał się, ogarnęło go desperackie bitewne podniecenie; poczuł, że się unosi nad zakurzonym polem na podobieństwo herosów przeszłości i nawet uśmiechnął się, kiedy Suttung poprowadził swoich ludzi naprzód — oto świetna okazja, żeby pokazać własne umiejętności.

W powietrzu błysnęła srebrna błyskawica i Suttung z rykiem zwałił się na ziemię; próbował wyszarpnąć tkwiącą w biodrze strzałę. W ostatniej chwili Folko zrozumiał, że nie potrafi tak sobie, za nic zabić człowieka, i dlatego obniżył celownik. Widział szalone oczy Suttunga, jego rozdziawione w rozpaczliwym ryku usta; zdążył nawet zauważyć rozciągniętą między wargami człowieka cieniutką niteczkę śliny. „Nie, to nie widmo z Mogilników, to żywy człowiek, co robisz?!” — krzyknął ktoś w środku Folka i ręka hobbita drgnęła.

Widok walącego się na ziemię zakrwawionego Suttunga natychmiast otrzeźwił napastników. Zatrzymali się niezdecydowani, stanęli wokół swego przywódcy, a wtedy Folko, któryś już raz dziwiąc się sobie, krzyknął, naciągnął cięciwę i uniósł broń:

— Jeszcze krok i przebiję gardło temu, kto się ruszy!

Wystraszony własną determinacją właściwie wyskrzecztał ostrzeżenie, ale groźba odniosła skutek. Heldin wysoko uniósł ręce, powstrzymując swoich towarzyszy, i głośno krzyknął:

— Dość, wystarczy! Suttung dostał, na co zasłużył, nie można w nieskończoność skłócać nas z sąsiadami! Rozejdźcie się, bracia, rozejdźcie do domów! Jestem pewien, że ludzie Brodatego Eirika pójną w nasze ślady.

Eirik przycichł, widząc rannego Suttunga, i również wyszedł na miedzę, dzielącą dwa wrogie obozy.

— Według mnie wszyscyśmy tu po prostu zwariowali! — powiedział. — Co się stało z naszymi oczami? Dlaczego nasi ludzie słuchają tego Hrauduna? Dlaczego nie możemy się dogadać w spokoju, bez bójek? Jestem, oczywiście, winny, przyznaję, coś mnie zaćmiło. Ale teraz wszystko minęło, zawrzyjmy pokój!

— Wstrętny tchórz! — jęknął siedzący na ziemi Suttung. Ktoś już wyjął z jego biodra strzałę Folka i zabandażował ranę. — Ludzie! Nie stójcie tak! Bijcie ich, bijcie! Przecież szkalują tego, któremu tyle zawdzięczamy!

— Nie prosiliśmy go o to — odpowiedział ponuro jeden ze stojących obok Suttunga mężczyzn. — Niech go lichu!

I nagle ludzie na wyścigi zaczęli obejmować się, ściskali sobie ręce, poklepywali po ramionach; kaleczący się przed chwilą wzajemnie mężczyźni prosili o wybaczenie. Sam Brodaty Eirik objął po kolei z dziesięciu swoich przeciwników i — niespodziewanie — spór omal nie wybuchł od nowa. Każda ze stron oświadczała, że właśnie ona lepiej od tej drugiej ugości przybyszów i okaże im odpowiedni szacunek. Pogodził ich Torin, oświadczając, że jest głodny i z przyjemnością zje obiad najpierw w jednej wsi, a potem w drugiej. Rzucono losy i okazało się, że najpierw udadzą się do ziomeków Suttunga; za wędrowcami podążyła ponad połowa towarzyszy Eirika z nim samym na czele.

Świetlica Isunga była wielka, ale i tak z trudem pomieściła wszystkich przybyłych. Na środek wyniesiono długi stół, na miejscu zbity z desek i krzyżaków, nakryto go obrusami i w czasie, kiedy kobiety przygotowywały gorące dania, podano kilka brzuchatych dzbanów piwa, by skrócić czas oczekiwania. Folka, Torina i Rogwolda posadzono na honorowych miejscach. Obok nich usiedli Heldin, Isung, Eirik i Grast oraz inni, około trzydziestu. Ci, którzy się nie pomieścili w świetlicy, odeszli, żeby przygotować wspólną wieczorną ucztę na znak zaniechania kłótni.

— Powiedźcie jednakże, o co wam poszło? — zapytał krasnolud siedzących obok niego Eirika i Isunga, po czym pociągnął solidny łyk świeżo uwarzonego piwa. — Niemało wędrowałem po Arnorze, ale coś takiego, przyznaję, widziałem po raz pierwszy. Od czego się zaczęło?

Skonfundowani wieśniacy popatrywali na siebie, potem opuszczali wzrok.

W końcu odezwał się Isung:

— Zaczęło się rok temu, czcigodny Torinie. Skądś zza wschodnich gór przybył do naszej wsi obcy wędrowiec, starzec obdarty i głodny. Powiedział, że jego dom spalili Angmarchycy, że jego cała rodzina zginęła, a on wędruje po Arnorze, nie mając własnego kąta. No więc, ludzie nasi są litościwi. . . Przyjęli go, ogrzali, zamieszkał u nas, przygotowaliśmy mu mieszkanie w starej szopie. Najpierw karmiliśmy go ze współczucia, oczekując, że zacznie prowadzić ogród i żyć jak człowiek, ale nic podobnego. . . Pracować mu się nie chciało, natomiast zaczął świadczyć różne drobne usługi: a to ząb zamówił, a to krowę wyleczył i tak dalej. Okazał się świetnym znachorem, potrafił także przewidzieć pogodę na dzień naprzód i nawet na rok. Szanowano go, ceniono, a potem budził strach. Jednym słowem, wyświadczył naszej wsi wiele przysług. Wieść o nim, naturalnie, doszła i do naszych sąsiadów. Zaczęto go zapraszać do Hagal, wsi Eirika, jednakże tam nie było z niego pożytku. Wręcz przeciwnie, to co u nas wychodziło mu znakomicie, tam obracało się na gorsze. Siostra Eirika, wiem o tym, straciła przez niego krowę i kozę, chociaż mógł je wyleczyć. . .

— No więc powstaliśmy przeciwko niemu! — przerwał Isungowi Eirik. — Kłęliśmy, na czym świat stoi, a potem zaczęliśmy zazdrościć sąsiadom, którzy dzięki niemu bogacili się i żyli lepiej od nas. Zaczęły się spory i kłótnie.

— Pewnie, jemu też nie było łatwo — przytaknął Isung. — Mieszkańcy Hagal straszili go, więc my, nie wiem, po co to robiliśmy!, zaczęliśmy starca chronić. Wtedy między naszymi wsiami, gdzie trzy czwarte ludzi jest spokrewnionych ze sobą, zaczęło się psuć, jakby czarny kot zauroczył! Staliśmy się źli i podejrzliwi, kłótnie wybuchały z byle powodu. W końcu Suttung zbałamucił wszystkich z powodu tego pola. Ludziom pokręciło się w głowach, chwycili za co kto miał. . . A i sąsiedzi nie wypadli sroce spod ogona. Poobijaliśmy sobie gęby. Dzięki wam, na szczęście, tylko tak się skończyło! Bo nie wiadomo, do czego jeszcze mogłoby dojść. . .

— A ten. . . Hraudun, zaklinacz, co się z nim stało? — zapytał Torin.

— Właśnie o to idzie, że zniknął — powiedział ze złością Isung. — Wczoraj z wieczora uciekł i tyleśmy go widzieli!

Krasnolud otworzył usta, Rogwold nie spuszczał wzroku z Isunga.

— Zostawił wszystko i zniknął — ciągnął tamten. — Ale dość już o nim! Pogodziliśmy się, czyż nie tak? Radujmy się więc! Gospodyni! Obiad gotowy? Goście nie mogą się doczekać!

Kobiety zakrzętały się przy stole, podając dziczyznę, ryby, grzyby, różne peklowiny i słodczyce. Wędrowcy nie dali się długo prosić i zaczęli jeść.

Stopniowo za oknami obszernego domu Isunga ściemniało, słońce ukryło się za okolicznymi wzgórzami. Czas było szukać noclegu. Gospodarze za żadne skarby nie chcieli wypuścić wędrowców, jednakże Eirik przypomniał o złożonej przez krasnoluda obietnicy i przyjaciele musieli się podporządkować. Gdy w końcu roz-

mieścili się w przydrożnym zajeździe wsi Hagal, na wschodzie wypływał na nieboskłon żółtawy księżyc. Teraz mówił przede wszystkim Eirik.

Dowiedzieli się, że Hraudun unikał mieszkańców Hagal, jednakże ze skąpych informacji tych, którzy się z nim kontaktowali, wynikało, iż był to wysoki, niemal tak wysoki jak Rogwold, krzepki starzec o pociągłej twarzy, wysokim czole i głęboko osadzonych oczach nieokreślonego koloru. Zazwyczaj nosił stary, wysłużony płaszcz i kapelusz z szerokim rondem. Poruszał się godnie, bez pośpiechu, i wszyscy się dziwili, dlaczego ich sąsiedzi wzięli go za biednego włóczęgę — przypominał raczej wypoczywającego na wsi wielmożę. Do rozmów Hraudun się nie wtrącał, więc nawet nie wiedzieli, jaki ma głos. Jednak wszyscy twierdzili, że człek ten na pewno zbije z pantałyku sąsiadów. Mieszkańcy Harstanu ni z tego, ni z owego okazywali butę i pychę, zaczęli nagle chełpić się pochodzeniem, wyprowadzając swoją genealogię niemal od samego Walendina, syna Elendila, założyciela Królestw na Wygnaniu. Najpierw wydawało się to śmieszne, ale potem, z powodu takich głupich, niestworzonych wymysłów harstańczyków, między wsiami zaczęły się waśnie. I w końcu doszło do rękoczynów. . .

— Kim więc mógł być ów Hraudun? — zapytał wprost krasnolud.

— Kto to wie? — wzruszył ramionami Eirik. — Nie wiadomo, skąd przyszedł, i nie wiadomo, co się z nim stało. Ale moc jakąś ma, to pewne. Śliski był, nieprzyjemny, ale rozum miał wielki. Często radził — swoim, rzecz jasna — i ani razu się nie pomylił!

— A odwiedzał go kto? — wpadł mu w słowo Rogwold.

— Obserwowaliśmy go na zmianę — uśmiechnął się krzywo Eirik. — I obraźcie sobie — nic! Nikt nie przychodził. Nie przyjeżdżał, nie pytał. Wieczorem on ci smyrę do swojej nory i do południa nosa z niej nie wysuwał. Ci, co potrzebowali jego rady, sami do niego przychodzili. W węzełkach przynosili dary: jedzenie czy jakieś lepsze wino; tych wysłuchiwał. Od razu nigdy niczego nie mówił, posiedział sobie, wstał, pochodził trochę, a wszystko z takim namaszczeniem! A ci, co przyszli z prośbą, biedacy, nie wiedzieli nawet, co ze sobą robić, czuli się niezręcznie, że takiego mędrca turbują swoimi nikczemnymi sprawami. Jak się patrzyło z boku, to czasem pusty śmiech ogarniał człowieka! Najpierw śmiech, a potem to już, niestety, łzy.

— A więc to taka sprawa — rzekł Rogwold, swym zwyczajem powoli, kwitując słowa Eirika. — A dlaczego nie poskarżyliście się szeryfowi?

— Ha! Jak się skarżyć, skoro on z tej wioski pochodzi!

— A w Przygórzu?

— Ersterowi? Kapitan z niego, wiadomo, odważny, ale co on ma do nas? Jego interesuje Przygórze i zbójcy; z nimi wojuje, a cała reszta. . . Widziałem go kilka razy, jest, po mojemu, pewny, że u nas spokój jak na zapuszczonym cmentarzysku. Zresztą, po co nam skarżyć się gdzieś tam! Nie przywykłem do tego. Chociaż

teraz wszystkie wsie w okręgu, każdziutka jedna, do władzy się skarżą. A ja nie potrafię. Dlatego podpuszczałem swoich do bójki.

— Oberwało się Ersterowi — westchnął Rogwold, zmieniając temat rozmowy. — Gonił lotny oddział, cośmy go zauważyli przy Mogilnikach. Gonił, ale nie dogonił, sam ledwie uszedł, stracił trzydziestu swoich. A załatwił tylko czterdziestu obcych! To się nie mieści w głowie! A tu u was spokój?

— Chwała Siedmiu Gwiazdom oraz Wielkiej i Jasnej Elbereth, na razie wszystko w porządku — odpowiedział Eirik. — My, wieśniacy, jesteśmy ludem spokojnym, ale ja całej Hagal spokoju nie dawałem, póki żeśmy nie naprawili częstokołu i mieczy pradziadowych z rdzy nie oczyścili!

Rogwold uśmiechnął się ledwo zauważalnie.

— Mówił mi goniec na Trakcie, że tamci mają wielu kuszników. Jak was zaatakują, co będziecie robić?

— Myślisz, że sami nie możemy zaopatrzyć się w kusze? Możemy, i to jeszcze jak! W każdym, uważasz, domu jest, każdy chłopak ją ma, każda dziewczyna! Kobiety siadają do kołowrotka, a kuszę kładą obok. Zresztą, tylko spójrz, i Twart ją ma, tam za beczką piwa.

Na prawo od brzuchatego oberżysty, krzątającego się między rzędami potężnych beczek z piwem, wisiała na ścianie duża kusza i obok niej wiązka beltów, krótkich i grubych, z ciężkimi grotami.

— My tu nie siedzimy z założonymi rękami — oświadczył Eirik z pewną dumą. — Nie to co w innych wsiach, nawet w Harstan. Nie damy się wziąć gołymi rękami!

— Właśnie, jak się ma sprawa w innych wsiach? — zapytał Folko.

— Ha! Tamci tylko potrafią się trząść i po kryjomu zakopują dobytek po obejściach. Zresztą jechaliście przez nie, powinniście wiedzieć.

— Nie jesteś pierwszy, od kogo to słyszymy. — Torin pokiwał głową ze smutkiem. — Nie mogę tego pojąć, chociaż Rogwold mi tłumaczył. . .

— Ach, pewnie mówił, że „każdemu, co mu się należy”. — Eirik nagle zmrużył ze złością oczy.

— Mówiłem, jak jest — wzruszył ramionami Rogwold.

— Jak jest! Oczywiście, jak jest! — Oczy Eirika zwęziły się jeszcze bardziej, a broda nastroszyła. — Powiedz lepiej, kto to wymyślił, kto przyzwyczał lud do takiego spokojnego i bezpiecznego życia, że teraz nikt nie wie, z jakiego końca chwycić za włócznię?! I oto macie rezultat — pojawia się wróg, a drużyna w rozsypce! Gania za nim, gania, a pożytku jak nie było, tak nie ma! Wsie palą, ludzi łapią, a ci jak barany. . . — Eirik z goryczą i złością splunął na podłogę. — W naszych czasach wszyscy powinni umieć walczyć, rozumiesz, setniku. Wszyscy! Inaczej zginiemy, każdy pojedynczo. — Eirik niespodziewanie przerwał, machnął ręką i zaczął gramolić się z za stołu.

Rogwold, Torin i Folko wymienili zdziwione spojrzenia.

* * *

Rogwold i krasnolud dawno już spali spokojnym snem utrudzonych wędrowców, a hobbit ciągle leżał, z rękami pod głową, i wpatrywał się w okno, w ciemny jesienny nieboskłon, zaciągnięty żółtawoszarymi chmurami, przez które prześwitywał złoty dysk księżyca. Co czeka ich w przyszłości? Annuminas coraz bliżej...

A potem dokąd? Czyżby mimo wszystko do Morii? Brr...

Czując, że i tak na razie nie zaśnie, hobbit wstał, nałożył pas z nożami, zarzucił na plecy płaszcz i wyszedł na ganek; wstrząsnął nim przelotny dreszcz wywołany zimnym nocnym wiatrem. Hobbit przysiadł na stopniu, wyjął z zanadru kapciuch i fajkę. Kilka uderzeń krzesiwem i służący za hubkę suchy mech zaczął się tlić.

Folko rozpałił tytoń i wypuścił pierwszy kłęb dymu.

Nagle spoza najbliższych domów wyszło kilka osób, uzbrojonych w miecze i włócznie; na plecach mieli łuki i kusze. Przyjrzawszy się uważnie, hobbit rozpoznał Eirika i jego druhów.

— Dlaczego nie śpisz? — zwrócił się do niego Eirik. — Bo my, jak widzisz, rozchodzimy się na warty. Nie bardzo wierzymy w drużynę, musimy liczyć tylko na swoich. Co noc tak pilnujemy, zmieniamy się, rzecz jasna.

— I co? Z jakim skutkiem? — zainteresował się hobbit.

— Na razie z dobrym, chwała Siedmiu Gwiazdom — westchnął Eirik. — Idźcie, przyjaciele, ja zaraz dołączę. — Odwrócił się do czekających w milczeniu towarzyszy. — Udajcie się na posterunki, ja potem zajrzę do każdego z was.

Przysiadł na stopniu obok Folka i rozpałił zakrzywioną cisową fajkę.

— To znaczy, że dokoła spokój? — nastawał hobbit.

— No nie, nie do końca — odpowiedział Eirik. — Angmarchycy rzeczywiście dotąd się nie pojawili, natomiast z naszymi rozbójnikami, miejscowego chowu, potykaliśmy się ze cztery razy.

— Napadali na wieś? — wypytywał hobbit.

— Coś ty, na wieś napadli zeszłej jesieni. Zebrało się ich chyba ze dwie setki z hakiem i ruszyli przed świtem. Ale Chjard w porę uderzył na alarm, a my już powitaliśmy ich jak należy. Biliśmy ich zza każdej okiennicy; wszyscy, co nie mogli utrzymać miecza, chwycili za kusze. A potem myśmy ich dopadli! Wytłukliśmy z siedem dziesiątek, setkę z hakiem wzięliśmy do niewoli, reszta uciekła. Długo nas popamiętają!

— Co to byli za ludzie?

— Ależ tacy sami wieśniacy jak my, tylko pokłócili się ze wszystkimi sąsiadami i poszli w lasy. Dumy i złości mają aż nadto, ale umiejętności walki ani krztyny, dlatego bardziej liczą na strach, a jeśli natrafiają na opór, nie wiedzą, co robić.

Eirik odchylił się do tyłu i zmrużywszy oczy, wypuścił z ust kilka kótek dymu.

— Co zrobiliście z jeńcami? — dopytywał się hobbit.

— Odprowadziliśmy do Przygórza, oddaliśmy Ersterowi — odpowiedział Eirik. — Ze dwóch-trzech przywódców, według mnie, powiesił.

— A jak myślisz, na długo zapowiada się ta wojna? — zapytał wprost Folko. — Bo przecież to wojna, czyż nie tak?

— Ba! Też to zrozumiałeś? — Eirik gwałtownie odwrócił się do Folka, położył mu rękę na ramieniu. — Masz rację, to najprawdziwsza wojna, ale u nas, wydaje mi się, nikt tego nie rozumie! — Westchnął ciężko. — Może trwać lata, a może dziesięciolecia, póki z tej ziemi będzie co ukraść i póki wykarmi napastników.

— Powiedz mi jeszcze, Eiriku, czy wśród tych, jak ich nazwałeś, Angmarczyków, wśród zabitych byli tylko ludzie?

Eirik zamyślił się i sięgnął do głowy, chcąc się po niej podrapać, trafił jednak na stal hełmu i opuścił rękę.

— Myśmy tylko raz się z nimi zetknęli. . . Nie, Folko, to byli ludzie, zwyczajni ludzie, silni, wysocy, mocni. — Eirik wstał. — Zagadałem się z tobą, przyjacielu, a towarzysze na mnie czekają. Śpij spokojnie! Tu pewnie jest tak samo bezpiecznie jak w Przygórzu.

Eirik klepnął hobbita w ramię, odwrócił się i szybko zniknął w ciemności. Folko westchnął, posiedział jeszcze trochę, dopalając fajkę, i również poszedł spać.

Dobiegł końca trzeci dzień ich podróży z Przygórza.

Rozdział 8

Północna stolica

Dwa następne dni wędrówki do Annuminas minęły nad podziw spokojnie. Trakt zaludnił się ponownie; wszędzie widniały wieże strażnicze z czujnymi wartownikami. Rogwold wziął na siebie zakwaterowanie; krasnolud, kiedy trafiała się wolna chwila, wczytywał się w Czerwoną Księgę i po nocach nie dawał hobbitowi spać, zadręczając go pytaniami. Ponieważ nie miał nic do roboty, Folko zaczął uważnie przysłuchiwać się rozmowom toczącym się w zajazdach, gdzie się zatrzymywali, ale i tu, podobnie jak w Przygórzu, ludzie gadali o wszystkim, tylko nie o tym, co interesowało wędrowców.

Tak minęły dwa dni podróży. Trzeciego dnia przypadkowi współtowarzysze podróży pokazali im spaloną na wiosnę wieś, która znajdowała się pięć mil od Traktu, i tu Folko po raz pierwszy zobaczył na własne oczy skutki wojny między ludźmi.

Pośrodku obszernego kręgu pustych, nieobsianych od wiosny pól sterczały zakopcone kominy, niczym obgryzione kości, wyzierające spod zwałów omytych deszczami, zwęglonych belek. Płomień nie oszczędził ani jednej budowli, pożarł otaczające wieś sady, dokładnie oczyścił nawet płoty i opłotki. Przyjaciele w milczeniu wlekli się obok spalonych fundamentów domostw, prowadząc wierzchowce za uzdy. Żaden z nich nie odważył się naruszyć spokoju martwego pogorzelska.

— Dlaczego nie wrócili tu ludzie? — rozległ się w końcu ochrypły głos krasnoluda.

— Ruszyli na zachód — odpowiedział Rogwold cicho. — Uważają, że na terenie zniszczonej przez wroga wsi nie wolno budować, póki wszystko nie zarośnie trawą, która wchłonie złą dołą tego miejsca.

— Dołą! — Krasnolud prychnął lekceważąco. — Trzeba było mocniej trzymać miecze w garści!

Trakt w tym miejscu mocno odchyłał się na zachód, omijając spaloną wieś i ciasno stłoczone wysokie, zalesione wzgórza.

— Posłuchajcie, a może pojedziemy na skróty? — zaproponował nagle hobbit. — Prosto przez te wzgórza. Przecież tamtędy nawet droga prowadzi, widzicie? Według mnie wyjedziemy akurat na Trakt. Znasz tę drogę, Rogwoldzie?

— Pewnie, że możemy — zgodził się zapytany. — Trakt rzeczywiście robi pętlę, po co mamy się kręcić wte i wewte. Co prawda, widzę tę drogę po raz pierwszy, jak i ty, Folko.

Zostawili za sobą milczące zgliszcza, ich konie ruszyły po polnej drodze, wiążącej się między porzuconymi polami, które zarastały chwastami. Rzeźba terenu była tu urozmaicona, pola upstrzone bąblami pagórków jak niedbale odrzucony koc. Gdzieś wśród żółtawych kwadratów i prostokątów stały ocalałe spichrze i szopy na siano; obok jakichś drzwi wyrosła wysoka, niemal wzrostu Folka, jadownicie zielona pokrzywa.

Polna droga stopniowo zwężała się i widać było, że od dawna nikt z niej nie korzystał. Zbliżali się do lasu. Droga zmieniła się w wąską ścieżkę, znikającą wśród gęstych krzewów, które wypełniały parów między dwoma wysokimi wzgórzami o stromych zboczach. Krasnolud przystanął i zmrużywszy oczy, uważnie wpatrzył się w pagóry.

— To nie są zwykłe wzgórza — oświadczył z przekonaniem. — Tutaj pod warstwą ziemi jest skała, bardzo stara i mocna.

Wjechali w las. Splątane gałęzie zwisały nad głowami i musieli nisko pochylić się nad grzywami wierzchowców; wysoki Rogwold złożył się niemal we dwoje. Jednakże męczący odcinek skończył się i wkrótce wjechali na wąską, ledwie widoczną ścieżkę. Ścieżka wiała się wśród gęstych olch, przez listowie których gdzieś przebijały się ciemnozielone groty młodych jodeł. Ziemię pokrywał gęsty dywan suchych, szeleszczących liści; wokół panowała cisza. Folko zobaczył kątem oka, w jakim napięciu rozgląda się krasnolud, kładąc z przyzwyczajenia dłoń na rękojeści topora.

— Co się dzieje, Torinie? — zapytał szeptem. — Zauważyłeś coś?

— Patrz na ziemię — równie cicho odpowiedział krasnolud. — Droga niby nieuczęszczana, ale zupełnie niedawno ktoś po niej jechał.

— Gdzie są te ślady? — zbliżył się łowczy. — Uwaga! Niech wszyscy się cofną! Nie zdeptajcie śladów! Folko, potrzyмай!

Rogwold wsunął wodze w ręce hobbita i zeskoczył na ziemię. Torin i Folko, by mu nie przeszkadzać, wycofali się. Łowczy zaczął szperać po ścieżce, ostrożnie obmacując ziemię długimi palcami. Folko spostrzegł, że na ścieżce rzeczywiście widnieją dość świeże ślady końskich kopyt; ślady nie zdążyły jeszcze stracić ostrych konturów i Rogwold uznał, że pochodzą z poprzedniego dnia.

— Znowu angmarskie podkowy! — Łowczy wyprostował się, na jego twarzy malowało się zaniepokojenie. — Jeden jeździec. Tylko skąd się tu wziął?

Zawrócili nieco i odnaleźli zagadkowe ślady dopiero na samym skraju zarośli; prowadziły ze wschodu, wzdłuż skraju pól.

Przyjaciele zatrzymali się. Folko poczuł się nieswojo — jada jak na złamanie karku, a być może gdzieś tam w leśnym mroku ukrył się bezlitosny wróg! Nawet jeśli jest sam, a ich trzech, mimo wszystko...

— Może zawrócimy? — zaproponował nieśmiało.

— Zawrócić? — ryknął Torin. — Nigdy! Żebym ja ustępował bez walki?! Przecież on jest sam! A nas trzech! Jak mogłeś, przyjacielu?! Może sflaczała ci cięciwa? Czy twoje noże się stępiły? Naprzód, i bez gadania! Jedźmy, Rogwoldzie!

Ostrożnie i wolno, niczym zwiadowcy pod obozem wroga, ruszyli po ścieżce. Kiedy minęli gęste zarośla, na czoło wysforował się doświadczony Rogwold.

Wkrótce ścieżka poprowadziła przez niski iglasty las; tu zapewne kończyła się wyrabana kiedyś przesieka. Chwilę potem wędrowcy natknęli się na masywną ścianę starego jodłowego boru. Zsiadli z koni i ruszyli szeregiem. Rogwold szedł pierwszy, nie odrywając wzroku od śladów; do końskich kopyt dołączyły ślady człowieka w ciężkich butach. Torin z lewej, z toporem w pogotowiu, Folko z prawej — trzymał łuk ze strzałą na cięciwie. Nic nie zakłócało ciszy i spokoju, aż nagle z przytroczonego do siodła krasnoluda worka z więzionym tam karzełkiem rozległo się jakieś żalosne chlipanie, a potem jeniec cicho zaskomlał.

— Cii, żeby cię Hrugnir podeptał! — Torin podskoczył do worka i silnie nim potrząsnął. — Czego chcesz? Znowu w krzaki? — Pochylił się i wyrzucił z siebie kilka gwałtownych słów w języku karzełków.

Z worka dobiegła niewyraźna skarga.

— Co z nim? — obejrzał się zniecierpliwiony Rogwold. — Ucisz go, Torinie! Chodźmy.

— Nie, poczekaj! Ma coś ciekawego do powiedzenia — odezwał się krasnolud niespodziewanie. — Mówi, żebyśmy nie szli dalej. To złe miejsce, twierdzi, czuje to przez skórę.

— A co tu złego? — zdziwił się Rogwold.

— Nie! Nie tutaj. Tam, gdzie prowadzą ślady, jak sądzę. — Torin znowu wypowiedział kilka niezrozumiałych słów, zwracając się do więźnia, i długo wsłuchiwał się w odpowiedź karzełka.

— On tu czuje jakąś ciemną siłę — powiedział niepewnie. — Albo coś nie tak zrozumiałem. Prosi, żebyśmy zawrócili!

— Teraz to już na pewno nie zawrócimy, za żadne skarby — odpowiedział łowczy. — Angmarskie podkowy i jakaś ciemna moc; to oczywiście trzeba wyjaśnić. Idziemy dalej. Folko, bądź gotów.

Hobbit w milczeniu skinął głową, zacisnął w zębach drugą strzałę i poprawił kołczan, żeby wygodniej wisiął na ramieniu. Skradając się, ruszyli dalej.

Folko bezszelestnie poruszał się między drzewami, pozostawiwszy za sobą zarówno krasnoluda, jak i człowieka. Hobbici potrafią przemieszczać się jak cienie, bez poruszenia jednego listka i bez złamania jednej gałązki, która trzaskiem

mogłaby zdradzić idącego. W opuszczonych rękach trzymał łuk z nałożoną na cięciwę strzałą i uważnie rozglądał się na boki. Na ziemi, pokrytej grubą warstwą burych, opadłych szpilek, ślady były źle widoczne. Dojrzeć je mógł taki mistrz jak Rogwold; hobbit musiał co rusz się oglądać, a wtedy łowczy ruchem ręki wskazywał mu kierunek. Torin szedł z tyłu, prowadząc za uzdy wierzchowce.

Pamiętając o Mogilnikach, Folko przez cały czas wsłuchiwał się w siebie, ale nie czuł lęku, nie wyczuwał też wrogiej siły, a jednocześnie miał dziwne doznanie, którego nie potrafił określić; jakby burzowa chmura przysłaniała słońce w jasny letni dzień.

Przed nimi między jodłami pojawił się prześwit. Jeszcze kilka kroków i znaleźli się na skraju dość dużej okrągłej polany szerokości około dziesięciu sążni. Z lewej strony dostrzegli dziwaczny kształt w otaczających polanę zaroślach. Folko zatrzymał się i uważnie przypatrywał. W tej samej chwili Rogwold zamarł i pochylił się jeszcze niżej ku ziemi. Kilka sążni od nich ponuro czerniał niewysoki wał suchej, martwej szarej ziemi, otaczającej lej głęboki na wysokość człowieka. Właśnie to, że na wale nic nie rośło, przyciągnęło uwagę podróżnych. Wał wyglądał na bardzo stary, wygładzony przez deszcze i wiosenne odwilże, jego krawędzie były rozmyte. Na powierzchni nie rośło ani jedno źdźbło trawy, a ziemia wyglądała tak, jakby to był popiół z jakiegoś olbrzymiego pieca. Przyjaciele ostrożnie zbliżyli się i zajrzeli w głąb.

Wydawało się, że coś z ogromną siłą uderzyło w stok tego leśnego wzgórza, rozrzuciło wkoło ziemię i wypaliło wszystko — co mogło i nie mogło się palić — na głębokość dwudziestu łokci. Niczym kość z rany, z dna wystawał nadtopiony popękany kamień, zalegający, jak twierdził krasnolud, pod całym tym wzgórzem. Ściany i dno leja miały kruczoczną barwę, jakby pokrywała je tłusta skamieniała sadza.

— Ale historia... — bąknął zmieszany Torin, głaszcząc brodę. — Jak żyję, nie widziałem czegoś podobnego. Co tu rąbnęło, Rogwoldzie?

— Skąd mam wiedzieć? — odparł łowczy ponurym głosem, uważnie wpatrując się w stoki czarnej dziury. — Popatrz lepiej tu! Nasz angmarski przyjaciel, jak się okazuje, wlaził tam!

— Skąd wiesz? — zdziwił się Torin. — Przecież to nie ziemia, raczej granit.

Drasnął ziemię szarego wału ostrzem topora. Rozległ się zgrzyt, na powierzchni pojawiła się biała rysa.

— Wszystko straszliwie się spiekło! — powiedział krasnolud ni to ze zdziwieniem, ni to z zaskoczeniem. — Żadne palenisko nie da takiego żaru. Gdzież ty tu widzisz ślady?

— Zobacz, ślad buta tuż przed wałem — wyjaśniał łowczy cierpliwie. — Człowiek szedł ostrożnie, ale nie zatrzymał się na szczycie wału i nie skreślił w bok, a to znaczy, że zszedł na dół. Chciałbym wiedzieć, czego tam szukał.

— Patrzcie! — zakrzyknął Folko i chwycił Torina za rękaw. — Patrzcie, tam na dnie... Tam coś jest! — Człowiek i krasnolud spojrzeli na siebie bez słów. Potem Torin zajrzał do leja, nawet położył się na wale.

Zapadła cisza.

W głębi, na samym dnie, na półokrągłym występie, pośród wygładzonych przez żar i wodę krawędzi bazaltu zobaczyli najpierw dwie nieprzeniknione czarne plamy pustych oczodołów. Nieco poniżej — zapadlinę nosa, szczelinę ust... Dojrzeliby też kości policzkowe i lewą skroń. Ale nie był to skamieniały ludzki czerep; czy to sam kamień przybrał taki odrażający kształt, czy to płomień go stworzył, trudno określić; nie wiadomo było, gdzie mają do czynienia z rzeczywistymi tworam, a gdzie z dziwną grą światła i cieni na tępych kamiennych występach.

Trójka wędrowców dość długo w milczeniu wpatrywała się, nie odrywając wzroku, w dno leja. Folko był spokojny. Dziwne, oczywiście, miejsce, ale nie było tu nic strasznego. Właśnie zamierzał dokładniej przyjrzeć się konturom kamiennej czaszki, gdy zza chmury wyjrzało słońce i zadziwiający widok natychmiast zniknął. Przyjaciele bezskutecznie wbijali wzrok w stopiony granit — widzieli tam już teraz tylko czarną, gdzieniegdzie połyskującą powierzchnię kamienia.

— Patrzcie! — krasnolud coś wskazał ręką. — Tam, tam wygląda, że ktoś coś wydłubywał! Czy przypadkiem nie nasz znajomek z angmarskimi podkowami?

Słoneczne światło sprawiło, że w warstwie czarnej sadzy, dokładnie okrywającej ściany leja, można było zobaczyć kilka jaśniejszych miejsc, wielkości dłoni, gdzie czarny strup został wykruszony kilkoma mocnymi uderzeniami jakiegoś ostrego narzędzia, i pozostała w kamieniu świeża blizna.

— Ciekaw jestem, co on wydłubywał? — mruknął Torin i zanim przyjaciele zdążyli go powstrzymać, przewalił się brzuchem przez krawędź leja i ześliznął w dół.

Sądząc po tym, z jakim trudem krasnolud utrzymywał równowagę, było tam bardzo ślisko. Torin stanął na szeroko rozstawionych nogach, wyjął z zanadza gruby trójgraniasty klin z rękojeścią i mocno dźgał ostrzem w czarną skorupę. Kilka ciemnych łusek odskoczyło, krasnolud przykucnął i przesunął palcami po krawędzi blizny, a potem uderzył jeszcze pięć-sześć razy, uzyskując niewielki odłamek. Obróciwszy go w palcach, prychnął i zaczął gramolić się na górę. Ze-skoczywszy z wału, popatrzył najpierw na Folka, potem na Rogwolda.

— Nic nie rozumiem — powiedział, rozkładając ręce. — Pod tą sadzą jest najzwyklejszy granit, którego tu wszędzie pełno. Muszę przyznać, że ten jeździec ma siłę: odłupać taki kawał! Tylko po co?

— Najpewniej z ciekawości — rzucił Rogwold. — Popatrz, ślady prowadziły przez polanę na wprost, najwyraźniej skrzył, jak i my, dopiero gdy zobaczył z lewej coś dziwnego. Przyjrzał się, zdziwił i postanowił od razu zbadać sprawę. Zobaczymy, co się z nim działo dalej. Nie ma co tu stać.

Torin schował broń i ruszyli dalej; idąc po śladach obcego, doszli do środka polany, skręcili w lewo. Ślady podeszew zniknęły, zostały tylko ślady końskich kopyt.

— Wsiadł na konia — zauważył Torin.

Jeździec skierował się do przeciwległego brzegu polany, gdzie między jodłami widać było prześwit.

Minęli jodły, ścieżka pomknęła w dół, w gęste zarośla cienkich młodych olch i stopniowo odchyliła się na zachód, najwyraźniej omijając wzgórze. Gleba była tu bardziej wilgotna i miękka, co ułatwiło śledzenie nieznanego.

— Jedzie na dużym ogierze — zauważył Rogwold, oceniając ślady kopyt. — Poczekajcie, a to co? Zsiadł z konia. — Rogwold i Folko uważnie wpatrywali się w ślady. Tutaj gibkie olchowe gałęzie niemal zupełnie zamknęły się nad ich głowami, pnie drzew ginęły w gęstej, ale już przywędłej jesiennej trawie. Obok śladów kopyt ponownie pojawiły się odciski butów — koń dreptał w miejscu, przestępując z nogi na nogę, a człowiek krążył, szukając czegoś w krzakach.

— Poszukajmy i my — zaproponował łowczy. — Hej, Torinie! Chodź tu.

We trójkę zaczęli przepatrywać krzewy i trawę, usiłując zrozumieć, czegoż mógł szukać w tym przegniłym miejscu zagadkowy jeździec. Rogwold uważnie oglądał gałęzie drzew nad samą ścieżką; pełzający w pewnym oddaleniu od niego Folko odgiął kolejny pęk trawy i nagle zobaczył w zagłębieniu między korzeniami jakiś błyszczący przedmiot. Wyciągnął rękę.

— Patrzenie, co znalazłem! — Na jego dłoni leżała fibula z brązu; na przedzie była wstawiona srebrna płytką. Jej powierzchnię, gładką, wypolerowaną, pokrywał nieznanymi hobbitowi ornament — splot jakichś dziwnych łodyg i traw, kwiaty, przechodzące w ciała dziwacznych zwierząt, rozdziawione paszcze, potężne łapy z ogromnymi szponami, ponownie przechodzące w faliste linie roślin. Wyróżniały się ogromne, na pół łba, wytrzeszczone oczy zwierząt; zastygła w nich, wydawało się, niewypowiedziana, zatajona nienawiść. Folko odwrócił zapinkę, na odwrocie znajdowało się charakterystyczne oznakowanie: trzy splecione ze sobą żmije i mały toporek nad nimi.

— Co powiesz o tym, Torinie? — odezwał się Rogwold po chwili ciszy. — Widzę taką po raz pierwszy.

— Podstawa z brązu jest naszej, krasnoludzkiej roboty — odpowiedział Torin bez namysłu. — A srebrna płytką... Mogę powiedzieć tylko, że jest z daleka. Trzy żmije... nie znam takiej cechy, i taki wzór nie występuje w żadnej osadzie od Szarych Gór do Samotnej Góry. Toporek na podstawie to marka klanu Barina z Żelaznych Wzgórz. Zresztą, to o niczym nie świadczy, bo oni setkami sprzedają takie rzeczy na jarmarkach w całym Śródziemiu.

— Cóż, przynajmniej wiemy, czego szukał — podsumował Rogwold. — Zaczepił płaszczem o tę gałąź — wysoki chłop, nieco wyższy ode mnie — zostało

tam kilka niteczek. Zapinka odpadła, więc szukał zguby, ale nie znalazł i pojechał dalej. No to i my pojedźmy za nim.

Niczego więcej nie znaleźli. Jeszcze kilka mil przez las, jeszcze kilka zakrętów, kilka podejść i kilka zjazdów — i przed nimi rozpostarły się znowu uprawne pola. Ślady jeźdźca, sądząc z tropów, zupełnie niekryjącego się, wyprowadziły ich na Trakt i tutaj zniknęły. Rogwold mógł jeszcze stwierdzić jedynie, że nieznamy skierował się do Annuminas.

Tak, bogaty był ten kraj, bardzo bogaty, nie to co jego rodzinny Hobbiton, który, jak oceniał, sięgnął szczytów zamożności. Do miejskich wrót było jeszcze wiele mil, a drewniane domy już ustąpiły solidnym kamiennym budynkom, ciągnącym się wzdłuż Traktu. Na okolicznych polach widać było tylko pojedyncze farmy; kamienne budowle otaczały purpurowe wiechcie jesiennych sadów, nad dachówkami domostw wijące się dymy ulatywały w szare niebo, z rzadka spotykało się zadbane stawy z altanami i ławkami na brzegach, ale zajazdy i oberże trafiały się co krok. Trakt wypełnił się ludźmi, ciągnęli nieprzerwanym strumieniem, zręcznie lawirując między niezliczonymi wozami i powozami, rozlegało się rżenie koni, dochodziły piskliwe okrzyki poganiaczy, pędzących do miasta stada owiec, odgłosy kłótni dwóch woźniców, których wozy szepiły się osiami — na Trakcie panował nieustający harmider. Pod kopytami kuców rozdzwoniły się kamienne sześciokątne płyty, umiejętnie dopasowane do siebie bez najmniejszych szczelin i szpar. Trakt rozszerzył się jeszcze bardziej i wiódł teraz dokładnie na zachód.

Jakkolwiek oczekiwali tej chwili, mury miasta pokazały się niespodziewanie. Przedmieścia nagle skończyły się i zobaczyli prowadzącą z zachodu na południe długą ścianę miejskich umocnień — potężne uzębione mury wysokości trzydziestu pięciu sążni z grubymi okrągłymi wieżami. Na szpicach dachów wież lekko powiewały biało-błękitne i biało-niebieskie chorągwie, bystre oczy hobbita nawet wypatrzyły w prześwitach między blankami połysk broni strażników na murach.

Trakt kończył się przy ogromnej miejskiej bramie, wysokiej na osiem czy nawet dziewięć sążni; jej żelazne skrzydła zdobiły wizerunki ludzi i zwierząt, natomiast na samej górze, na tle czernionego żelaza, świeciło siedem śnieżnobiałych gwiazd Elendila. Brama nie była zwyczajnie osadzona w murze, prowadziła najpierw do długiego i dość wąskiego korytarza, przypominającego górski wąwóz; z boków w ścianach ziały otwory mnóstwa strzelnic. Z wież, rozmieszczonych po obu stronach, ciągnęły się grube łańcuchy zwodzonego mostu, przez który płynął nieprzerwanie potok ludzi. W bramie stała straż — ośmiu żołnierzy w pełnym uzbrojeniu, a z nimi trzech urzędnicy w szarobłękitnych płaszczach z herbem Królestwa. Urzędnicy o coś pytali przybywających do miasta i zapisywali do dużej księgi, leżącej na specjalnym kamiennym pulpicie.

— Przygotujcie pieniądze — odwrócił się do przyjaciół Rogwold. — Zresztą, ty to wiesz, Torinie.

— Dlaczego mamy płacić? — obruszył się krasnolud. — Zeszłym razem brali tylko za wwożone towary.

— Czasy się zmieniają — wyjaśnił łowczy łagodnie. — Przecież słyszałeś, że na utrzymanie drużyny potrzebne są duże pieniądze. Skąd je wziąć? Wszystkie kopalnie złota znajdują się w ręku twoich współplemieńców, a to znaczy, że środki można pobrać tylko od ludu, a skoro tak, to rosną podatki i wprowadzane są nowe. Przecież trzeba odbudowywać to, co zostało zburzone i spalone, uzupełniać szeregi armii. Dlatego przy głównej bramie biorą teraz myto również za wejście, czcigodny Torinie.

Krasnolud skrzywił się niezadowolony i machnął ręką. Tymczasem znaleźli się niejako w centrum tłumu. Za nimi harmider wzniecała grupa brodatych krasnoludów, którzy prowadzili cały tabor; z prawej, nieco odsunawszy się od tłumu, rozmawiało cicho dwóch młodych wojaków, mieli naszywki na rękawach i wizerunek orła na płaszczach.

Trójka wędrowców dotarła w końcu do urzędnika przyjmującego myto. Nie patrząc na nich, wyrobionym ruchem podwinął rękaw i zanurzył w inkauscie gęsie pióro.

— Wasze imiona? Cel przyjazdu? — zapytał, zapewne po raz tysięczny dzisiaj. — Macie jakiś towar?

Dumny krasnolud nie zamierzał z nim rozmawiać, więc Rogwold pospiesznie powiedział urzędnikowi wszystko, czego ten wymagał, i podał mu trzy ćwiertniki.

Znowu pieniądze, ze smutkiem pomyślał hobbit. Jakoś nieładnie, ciągle oni za mnie płacą.

Łowczy już ciągnął za sobą krasnoluda, już zahurkotał, podjeżdżając, pierwszy z należących do krasnoludów wóz, gdy urzędnik niespodziewanie jeszcze raz zwrócił się, tym razem bezpośrednio do Torina:

— Zgodnie z ostatnim zarządzeniem Namiestnika wam, krasnoludom, zabrania się pojawiać na ulicach i innych miejscach publicznych z bojowymi toporami — powiedział, ważąc słowa. — Racz więc schować go do worka, czcigodny Torinie, synu Dartha, worek zawiąż mocno, a gdy znajdziesz już sobie kwaterę, zostawiaj go w niej zawsze, kiedy będziesz wychodził na ulicę. To, rzecz jasna, dotyczy i was, czcigodni. — Urzędnik odwrócił się do krasnoludów-woźniców, słuchających go z ponurymi minami.

— A cóż to się wyrabia w zacnym Królestwie! — wrzasnął Torin. — Bracia! Dlaczego milczycie? Od kiedy to my, krasnoludy, chodzimy bez broni?

Słuchające go krasnoludy przytaknęły chóralnym rykiem. Urzędnik obejrzał się z zakłopotaną miną, uczynił jakiś niemal niezauważalny znak, a za jego plecami natychmiast wyrosło piętnastu włóczników. Wówczas uniósł rękę i zaczął mówić, starając się przekrzyczeć kipiący oburzeniem tłum.

— Przestańcie! Nie ważcie się przeczyć rozkazom! Nikt nie zamierza odbierać wam broni. Powiedziałem: macie zostawić topory w domu i nie pojawiać się z nimi na ulicach!

— To z czym mamy chodzić? — wysunął się przed wszystkich młody poganiacz. — Przecież innym nie zakazuje się noszenia broni!

— Dozwolone są noże, sztylety i małe siekiery — odpowiedział urzędnik. — Miecze i topory zabronione! Z kim zamierzacie wojować w naszym mieście?!

Krasnoludy nie wiedziały, co odpowiedzieć, i z kwaśnymi minami, mrużąc z niezadowoleniem, chowały broń.

— A kto złamie ten przepis po raz pierwszy — ciągnął urzędnik — na tego zostanie nałożona kara w wysokości dwudziestu pięciu trialonów. Po raz drugi, sto trialonów, a za trzecim razem winny zostanie przepędzony z miasta! Rozumiecie?

Odpowiedziało mu ponure milczenie krasnoludów i pojedyncze aprobujące okrzyki ze strony ludzi.

— Prawidłowo! Nabrali ochoty do wojaczki, jeszcze trochę, a zaczną grabić!

— Kto niby będzie grabił? My? Nas masz na myśli? — ryknął Torin. — Bałwany tępotgłowe, jeszcze będziecie prosili nas o pomoc. . .

— Wystarczy, Torinie! — Rogwold podniósł głos. — W końcu to nasze królestwo. My się nie pchamy w wasze sprawy i szanujemy wasze prawa.

— Bo my nie mamy takich głupich przepisów! — burknął w odpowiedzi krasnolud, ale podporządkował się i włożył swój błyszczący topór do worka, obuchem w dół.

— Wyjedźmy stąd, Torinie, wyjedźmy! — błagał przyjaciela wystraszony nie na żarty hobbit. — Po co się z nim kłócisz?

Krasnolud milczał ponuro. Przejechali długim, wąskim przejściem między dwoma murami, wjechali w drugą bramę, w której również stały strażę, i znaleźli się w mieście.

Skreśli w prawo i dość długo jechali drogą wzdłuż murów. Wkrótce nieprzyzwyczajonemu do takich tłumów hobbitowi zaczęło ćmić się w oczach; jakże różnych ludzi spotykał na swojej drodze! Kupcy i oberżyści, kowale i smolarze, gręplarze i piłśniarze, drwale i krawcy, żołnierze i astrolodzy. . . I każdy miał na lewej piersi wyróżniający go znak cechu, związku lub gildii. Wszyscy napotkani byli dobrze ubrani; jedni mieli na sobie czarne robocze fartuchy, inni drogie wyjściowe szaroperłowe kaftany, ale wszystko świadczyło o dobrobycie i pomyślności; nawet zapach smoły, dolatujący od smolarzy, był przyjemny, a swoje nadpalone i pokryte plamami ubrania nosili z godnością. Rogwold nie nadał z informowaniem hobbita o zawodzie napotykanych ludzi i objaśnianiem herbów ich cechów.

Kilka razy spotkali hobbitów, ci trzymali się razem, z reguły w pobliżu jakichś wozów; przyjrzawszy się im, Folko stwierdził, że jego rodacy mają niemądry wyraz twarzy, i zrobiło mu się trochę wstydu.

Czyżbym ja też miał teraz taką tępą gębę? pomyślał wystraszony.

Skręcili w lewo i wjechali w pierwszą ulicę. Wzdłuż jej boków ciągnęły się specjalnie wykonane, wyłożone różowym kamieniem rowki, którymi miała spływać woda. Domy były tu wyższe, niemal wszystkie dwupiętrowe i stykające się ze sobą bokami. Na wielu z nich widniały wywieszki różnych kramów i warsztatów, mieszczących się na parterze. Widząc na jednej z wywieszek but, Folko pomyślał, że mieszka tu szewc, ale okazało się, że handlarz skórą; skrzyżowane miecze nie oznaczały płatnerza, lecz kram z wyrobami żelaznymi. Wszelakich tawern i zajazdów było mnóstwo.

Torin ostygł już po swoim wybuchu i teraz z przyjemnością oglądał szeregi porządných, zadbanych domów; widocznie wspominał znajome miejsca.

— Dokąd teraz? — zapytał Folko Rogwolda, kiedy ponownie skręcili i znaleźli się na ulicy nieustępującej szerokością Traktowi, na której tłumy były jeszcze większe.

— Najpierw zajedziemy do mnie — powiedział łowczy. — Przed wszystkim musimy coś zrobić z karzełkiem. Jeszcze dzisiaj pójdę i oddam go w odpowiednie miejsce. Przy okazji pogadam o waszym spotkaniu z Namiestnikiem, jeśli tylko jest w mieście.

— Musimy znaleźć jakąś kwaterę — oświadczył Torin. — Wybacz nam, Rogwoldzie, ale nie możemy cię nachodzić. I tak dużo wydałeś na nas, a ja przywykłem żyć, jak chcę, i nie zależeć od nikogo. Nie obraż się.

— Wcale się nie obrażam, Torinie — odpowiedział Rogwold uprzejmie, ale Folko wyczuł, że słowa krasnoluda mimo wszystko dotknęły starego łowczego.

— Co to za ulica, Rogwoldzie? — zapytał pospiesznie, żeby przerwać niezręczną pauzę.

— Ulica Wielkiego Króla — wyjaśnił były setnik. — Główna ulica Annuminas. Stąd niedaleko do mojego domu. A tam, widzisz? Wieże i kopuły? To pałac Namiestnika. Wpadniemy do mnie, powiozę karzełka, gdzie należy, a wy wtedy szukajcie sobie przystani, skoro tak zdecydowaliście. . .

Folko przygryzł wargi. Rogwold na pewno się obraził. Skręcili z ulicy Wielkiego Króla i znowu zaczęli przemierzać wąskie zaułki. Wkrótce hobbit całkowicie stracił orientację i zrozumiał, że bez pomocy nie wydostanie się z miasta.

— Oto jesteśmy. — Rogwoldowi zadrżał głos. — Chodźmy na obiad. — Były setnik zeskoczył z siodła. — Wprowadźcie kuce, zaraz wydam polecenia.

Podszedł do niewielkiego piętrowego domku ze smukłymi oknami i dębowymi rzeźbionymi drzwiami na środku fasady. Obok znajdowały się niezbyt szerokie wrota, prowadzące na wewnętrzne podwórko. Hobbit i krasnolud zsiadli z wierzchołków. Podróż dobiegła końca.

Przywiązali koniki, wysypali im do worków resztki owsa. Torin rozejrzał się, splunął i rozwiązał worek. Wkrótce topór znalazł się na swoim zwykłym miejscu.

Na górze, na spoczniku prowadzących na dół drewnianych schodów, pojawiła się wysoka postać Rogwolda.

Łowczy zrzucił znoszony płaszcz podróżny, odpiął hełm i hobbitowi wydało się, że w głosie towarzysza brakuje teraz owych zimnych, metalicznych nutek, pewności siebie, która tak wyraźnie dawała o sobie znać podczas całej długiej drogi.

— Wchodźcie tutaj. — Rogwold skinął zapraszająco ręką. — Torinie, znowu masz ten topór! Schowaj. . . I wytrzymaj buty.

Łowczy poruszał się teraz jakoś inaczej, ruchy miał nieco nerwowe, jakby był zakłopotany. Hobbit i krasnolud popatrzyli na siebie zdumieni, ale milczeli. Wspięli się po schodach skrzypiących pod ciężkimi buciorami krasnoluda i weszli do jadalni. Na dużym okrągłym stole, przykrytym białym obrusem, znajdowały się cztery nakrycia. Folko zdziwił się, sądził bowiem, że czwarte jest przygotowane dla karzełka, ale w tym momencie drzwi, prowadzące w głąb domu, otworzyły się i przed zdumionymi gośćmi stanęła wcale niestara, dorodna kobieta w czystym białym fartuchu i chusteczce na głowie.

— To jest Oddrun, moja ochmistrzyni. — Rogwold po króciutkiej pauzie przedstawił ją przyjaciołom. — Oddrun, to moi przyjaciele z podróży, przynieśli ważne wieści dla samego Namiestnika!

— Torin, syn Dartha, krasnolud z Gór Księżycowych, do usług.

— Folko Brandybuck, syn Hemfasta, hobbit z Hobbitonu, do usług.

W odpowiedzi otrzymali uprzejme, lecz chłodne skinienie ładnej, statecznej kobiety. Folko zobaczył, jak drgnęły wyraźne fałdki tłuszczu na szyi i podbródku Oddrun. W jego piersi nagle odżyło, wydawałoby się, zapomniane już uczucie — ta kobieta przypominała mu niezapomnianego wujaszka Paladyna.

— Proszę do stołu — odezwała się Oddrun uprzejmie, posławszy im chłodny uśmiech. — Obiad będzie za chwileczkę. Jakie wino życzą sobie goście, czerwone gondorskie czy białe fornoryjskie?

— Przyznam — odezwał się Torin — że wolelibyśmy piwo. Wszystkie te wina. . . Niech je pije jaśniepaństwo, my jesteśmy prości. . .

— Dobrze. — Odwróciła się i zniknęła za drzwiami.

Folko odetchnął.

Dobrze, że krasnolud odważył się poprosić o piwo! pomyślał. Wyraźnie ucieszyła się, że nie narażamy jej domu na niepotrzebne wydatki!

Nie tak wyobrażał sobie Folko pierwszy obiad w Annuminas. Za nimi pozostała niebezpieczna i ciężka droga, obok siedzieli zaufani przyjaciele, chciało się powiedzieć coś miłego, może też coś smutnego; zawsze ogarnia nas smutek, kiedy kończy się podróż. Ale na pewno nie myślał, że będzie tak grzecznie siedział z serwetką pod brodą i ostrożnie cedził uprzejme zdania! Rogwold też jakoś przygaśł, natomiast Torin wlewał w siebie piwo, kufel po kuflu.

Rozmowę podtrzymywała tylko Oddrun. Wypytywała o pogodę, o ceny na targowiskach hobbitów, interesowała się, czy spodobało mu się miasto. Folko odpowiadał niepewnie, jękając się; odczuwał skrępowanie, słysząc ten uprzejmy

i zimny głos, widząc wymuszony uśmiech i starannie ukrytą wrogość w spojrzeniu przymrużonych oczu.

— Gdzie zamierzasz ich rozmieścić, Rogwoldzie? — odwróciła się do łowczego. — Wiesz przecież, że nie mamy zbyt dużo miejsca. Czy wygodnie będzie gościom w tym malutkim pokoiku?

— Proszę się o nas nie martwić, czcigodna pani. — Torin, widząc pobladłe oblicze Rogwolda, szybko odezwał się, nie dopuszczając łowczego do głosu. — Ja i mój przyjaciel, Folko, zamierzamy stanąć w zajeździe. Mamy wiele planów i spraw, będzie przychodziło do nas wielu gości i nie możemy pozwolić sobie na sprawianie wam kłopotu.

— Ależ gdzie tam, gdzie tam! Nie będzie kłopotu! — uśmiechnęła się szeroko, ale jej oczy powiedziały uważnie obserwującemu ją hobbitowi zupełnie co innego. — W takim razie musimy nakarmić was na zapas!

Obiad trwał całe dwie godziny. Oddrun była świetną kucharką i ugościła krasnoluda i hobbita, co się zowie. Folko przez cały czas uparcie usiłował przechwytać spojrzenie Rogwolda, a ten równie uparcie odwracał wzrok.

Skończyli dopiero, gdy kobieta, wyraźnie weselsza i przychylniejsza, zakomunikowała, że krasnolud wykończył ostatni dzban piwa. Torin najwyraźniej zaspokoił pragnienie i teraz siedział osowiały.

Rogwold wyszedł, żeby ich odprowadzić, ale dołączyła do niego ochmistrzyńni. Cała trójka czuła się skrępowana. Folko nie wiedział, co powiedzieć.

— Radzę wam pójść do „Rogu Aragorna” — odezwała się Oddrun. — Świetna kuchnia i pokoje porządne. Teraz tam mieszka wielu krasnoludów.

Torin kłaniał się, dziękował, przyciskał ręce do piersi, a w końcu, gdy już przekazali Rogwoldowi karzełka i łowczy na chwilę zniknął z oczu wszystko widzącej ochmistrzyńni, Torin wsunął mu do ręki woreczek ze złotem.

— Płaciłeś za nas, Rogwoldzie — powiedział szybko — weź. Niech to będzie nasz zapas na czarną godzinę. Idziemy do „Rogu Aragorna”, zawsze możesz nas tam znaleźć.

Pożegnawszy się, Folko i Torin niespiesznie ruszyli dalej. Milczeli zadziwieni tym, co zobaczyli. Krasnolud krył krzywy uśmiech, a hobbit był bardzo zasmucony — wcześniej nie mógł nawet wyobrazić sobie czegoś podobnego. Rogwold, taki mocny, odważny... i ta Oddrun. Co ona tam robi? Jakim prawem?

Jechał, nie odzywając się do Torina, wpatrzony w kamienne łby bruku. Już nie interesowało go ani miasto, ani ludzie. Złe miejsce, jeśli tak tu się traktuje tych, którzy byli dobrzy dla niego!

— Folko! Stój, dokąd jedziesz! Tu jest „Róg”.

Hobbit potrząsnął głową, odpędzając ponure myśli. Znajdowali się przed przysadzistym dwupiętrowym budynkiem z nieobrobionych gładów. Z lewej, obok szerokich wrót, prowadzących na dziedziniec, znajdował się kunsztownie zdobiony ganek, z wymyślnie kutą kratą. Okna były zamknięte ciężkimi dębowymi

okiennicami. Na ganku znajdowało się kilku gości, w powietrzu unosił się błękitny tytoniowy dym, z podwórka dochodził tumult i słychać było rżenie koni, nad drzwiami wisiała drewniana tarcza, cała czarna, bez najmniejszej jaśniejszej plamki.

W czasie wędrówki przyjaciele nieraz zatrzymywali się w zajazdach i obozach, wypracowali sobie przy tym określony porządek: Folko wprowadzał ich kuce, a Torin dogadywał się z gospodarzem. Tak samo postąpili i tym razem. Hobbit poprowadził wierzchowce do koniowiązu, znajdującego się w głębi przestronnego podwórza. Akurat kończył wiązanie kuców, gdy z bocznych drzwi wysunął głowę Torin:

— Hej, Folko! Gdzie jesteś? Chodźże szybciej!

— Co się stało? — odezwał się hobbit. — To ty chodź. Czy sam mam taszczyć rzeczy?

— Poczekaj z bagażami! Chodź, toczy się ciekawa rozmowa!

Główna sala oberży, w której znalazł się po chwili, niewiele różniła się od widzianej w Przygórzu. Taki sam długi szynkwias, takie same długie stoły, tylko kominek znajdował się nie wiadomo dlaczego na środku sali i był właściwie nie tyle kominkiem, ile ogniskiem. Na umyślnie niedbale ciosanych stołach stały kute świeczniki. Stoły przy palenisku zostały zsunięte. Tam rozlokowała się liczna kompania krasnoludów, raczej młodych niż starych. Wszyscy siedzieli bez toporów, ale za to ponawieszali na siebie mnóstwo różnorodnej broni: małe siekiery i młoty bojowe z ostrymi końcami, ciężkie żelazne maczugi i zakończone kolcami buzdygany. Na stołach piętrzyła się obfita zakąska, w stojakach czekały dwa brzuchate antałki piwa. Ludzie podejrzliwie zezowali na to hałaśliwe towarzystwo, ponieważ wszystkie krasnoludy mówiły jednocześnie, usiłując przekrzywić sąsiada. Folka i Torina przywitano chóralnym rykiem, natychmiast podano kufle pełne piwa.

— Czy to hulanka z jakiejś okazji, bracia? — spytał Torin. — Z jakiego powodu taka uczta?

— Przecież pracujemy! — krzyknął dość młody krasnolud z kędzierzawą krótką brodą. — Roboty tu pełno, trialon dziennie spokojnie da się zarobić, no to dlaczego by nie pohulać przy takim piwie?

— A dlaczegoście tu przybyli, do Annuminas? Nudziliście się w domu?

— Wystarczy, Torinie — odezwał się jeszcze jeden krasnolud, ze świeżą purpurową blizną na twarzy. — Dlaczego ruszyłeś z Hal-dor-Kajs? Nam też znudziło się wycierać smarki w rękawy i machać młotami bez sensu! Wszyscy tam u nas oszczędzają, a po co? Poszliśmy więc szukać swojej doli! Dlatego też hulamy, kiedy sprzyja nam powodzenie!

Podczas przemowy pozostałe krasnoludy stopniowo milkły i kiedy mówca z blizną skończył mówić, zaczęły tupać i pohukiwać na znak aprobaty. Ale ten uniósł rękę i dla pewności gruchnął jeszcze pięścią w stół. Deski aż jęknęły.

— Dlaczego ty, Torinie, żeś się tu znalazł, co? — dopytywał się. — Na dodatek przywlokłeś ze sobą hobbita? Przy okazji, hej, ty tam! Dlaczego kufel gościa jest pusty? No co, Folko? Napij się z nami! U nas nie ma takiego zwyczaju, żeby przy jednym kuflu siedzieć cały wieczór.

— Sam sobie, Dorinie, na wszystko odpowiedziałeś! — Torin postawił kufel na stole. — Nie zgadzałem się z Hortem, a co najważniejsze — pojawiły się pewne problemy. Na przykład, co sądzisz o Morii?

Przy stole z miejsca zapadła cisza.

Rozdział 9

Mały krasnolud i wiele innych rzeczy

— Co ja myślę o Morii? — zapytał Dorin wolno, a w jego oczach pojawiło się niezwykle dla twardych krasnoludów rozmarzenie. — Co tu gadać! Moria to pragnienie wszystkich krasnoludów Śródziemia! Przecież wiesz!

Dorin nagle odwrócił się rozeźlony.

— Tak, Moria. . . — powiedział młody krasnolud przeciągle; ten, który pierwszy zaczął rozmowę. — Oddaliśmy, znowu oddaliśmy! Tchórze! Zhańbili cały nasz lud! Do Morii znowu pchają się orkowie, jak słyszałem.

Oburzone krasnoludy pokrzykiwały. Rozbłyły oczy, zaciskały się pięści, gniewnie marszczyły nadpalone przy paleniskach brwi. Wydawało się, że wystarczy, by Torin krzyknął: „Naprzód, na wschód, po Koronę Durina!” — i wszyscy ruszą za nim, i nic ich nie powstrzyma. Jednakże Torin znowu podniósł rękę:

— Poczekajcie! Czy wiecie, co się tam naprawdę dzieje? Dlaczego odeszły stamtąd rody Sjarda i Neora? Czy wolno nam nazywać ich tchórzami?

— Do niedawna nikt z nas nie wiedział, kto jest kim — odezwał się jeden ze starszych krasnoludów; miał mocno osmaloną brodę i wąsy skrócone od żaru. — Niewielka to odwaga siwieć we własnych górach. Bić się z orkami pewnie też. I dziadowie nasi, i pradziadowie to robili. Ale jak doszło do Nieznanego — o, wtedy wyszło szydło z worka! Czy to ród, czy nie, co komu do tego! Odwagi i honoru nie dostaje się przy narodzinach, lecz wykuwa toporem! Jedni to potrafią, inni nie.

— Czy wśród tych, co odeszli, nie znalazł się ani jeden śmiałek? — ciągnął Torin. — Nigdy nie uwierzę!

— Poczekaj, daj skończyć! — odezwał się Dorin, podnosząc głos, żeby przekrzyczyć pozostałych. — Nikt tak naprawdę nie wie, dlaczego stamtąd uciekli. Czy któryś z nich uciekł do Gór Księżycowych? Właśnie! Uciekli wszyscy na

wschód, a ci, co zostali, pracują u Szkutnika. Nie ma co ich osądzać! Nas tam nie było, nic nie wiemy, a wierzyć w bajki i wymysły to nie honor dla krasnoluda!

Folko zaniepokoił się. Już nie tylko Torin, ale i inny krasnolud powiedział, że trzeba ruszyć na Morię. Zaraz jego druh uczepli się tych słów. Lecz Torin, jak się wydawało, nic nie usłyszał.

— Masz rację, Dorinie. Ale ja jestem dopiero pierwszy dzień w Annuminas i chcę was zapytać: co zamierzacie dalej robić? Będziecie najmitami?

Przerwał mu chóralny ryk oburzenia.

— No więc co będziecie robić?

— Nie wiemy — odpowiedział za wszystkich Dorin. — Na razie czekamy, aż coś się nawinie. Zastanawiamy się przez cały czas. W dzień i w nocy. Ty też rusz głową, Torinie! Na pewno znajdziemy jakieś wyjście i wspólnie zdecydujemy, jak mamy dalej żyć.

— Niezły plan! — skwitował Torin. — Czekacie na nowego Wielkiego Durina? Nie będzie takiego, a i świat wtedy był inny.

— Przynajmniej było po co się trudzić! — rzucił jeden z milczących dotychczas krasnoludów, z czarną brodą i potężną piersią. Na środkowym palcu prawej ręki Folko zobaczył kunsztownie wykonany pierścień z przezroczystym czarnym kamieniem w złotej oprawie. Kamień pokryty był jakimś wzorami, ale hobbit nie potrafił z tej odległości dojrzeć, co przedstawiały rysunki.

— Był cel pracy i cel życia! — ciągnął czarnobrody krasnolud. — Dokoła stały dzikie góry, rozpościerał się jeszcze niezapaskudzony świat. Można było tworzyć i odkrywać, można było pomagać ludziom i Pierworodnym; istniał wielki cel, istniało Wielkie Zło, ale istniało nieustępujące mu Dobro, i szale wagi przechylały się to w jedną, to w drugą stronę!

— Streszczaj się, Hornborinie! — przerwał mu Dorin, marszcząc się z niezadowolaniem. — I jeśli łaska, bez tych napuszonych słów!

— Nie dajesz mi skończyć, bracie tangarze. — Rozzłoszczony Hornborin zmrużył oczy i dotknął pierścienia. — Chciałem tylko powiedzieć, że my, prawdziwi tangarowie, gospodarze Podziemnego Świata, jesteśmy stworzeni do wielkich celów i nie honor nam poświęcać się dla jakichś drobiazgów. Naszą zgubą jest brak celu, naszą zgubą jest zbyt długi pokój. Co my robimy w tym świecie? Po co komu piękno, skoro nie istnieje cel, któremu służy? Dlatego ci z nas, którzy to rozumieją, są teraz tu, w Annuminas. W końcu tu nie jest tak nudno.

Zapadła cisza. Krasnoludy słuchały Hornborina bardzo uważnie, z rzadka zgodnie kiwały głowami i pomrukiwały przytakująco.

— Tylko dlatego, że w Annuminas „nie jest tak nudno”? — zapytał Torin. — Innego takiego miejsca nie ma?

Hornborin obojętnie wzruszył ramionami. Cała jego postać mówiła: Nie masz nic mądrego do powiedzenia, to lepiej milcz, Torinie.

— Może dlatego w Annuminas nie jest nudno, bo każą teraz chować topory?
— Torin dotknął dłonią pustego gniazda przy pasie. — Co się stało? Zarąbano kogoś?

Na twarzach siedzących pojawiły się grymasy niezadowolenia, niektórzy zarumienili się. Wszyscy jak na komendę wpatrywali się w podłogę. W końcu zaczął niechętnie opowiadać młody gnom z osmaloną brodą:

— Rozumiesz, Torinie, to taka głupia historia. Tu się zbierali różni, a piwo jest nad wyraz dobre... No więc, tego, tydzień temu... Andwari, znasz go, pochodzi z Gór Mglistych, syn Forga, nie wystarczyło mu piwa w jednej z oberż, poszedł do drugiej, a tam też już nie było piwa. Krótka rzecz ujmując, porąbał siedem stołów i troje drzwi, przy czym wszystkie drzwi były okute żelazem. Zrobiło się zamieszanie, oberżysta ryczał na całą ulicę, jego żona piszczała tak, że pewnie było ją słychać na drugim brzegu jeziora, goście, rzecz jasna, poszli w rozsypkę, pojawiły się straże... — Opowiadający uśmiechnął się mimo woli. — Andwari poodrąbywał wszystkie grotty włóczni, ot, tak sobie, dla zakładu, przez cały czas proponował strażnikom zakłady i wynik bójki. Przecież ani mu do głowy nie przyszło, żeby skrzywdzić kogoś czy, strzeż Durinie, zabić! Zapłacił nawet za stoły gospodarzowi. Później, kiedy się okazało, że tak po prostu nie da się go związać, powiadają: „Chodź z nami, jesteś potrzebny, tylko schowaj topór”. No to on poszedł, oczywiście! Dlaczego nie, skoro mówią, że jest potrzebny! A oni go odprowadzili do Namiestnika — i do wieży! Ryczał tam jak rozjuszony byk, zaczął rąbać drzwi i przerąbałby, gdyby nie pojawiła się nasza starszyzna i nie uspokoiła go. Wspólnota musiała zapłacić dwieście trialonów, a Namiestnik na dodatek wydał zarządzenie. Czytałem je. Zaczyna się od słów: „Niech przeważa w krasnoludach wściekłych do drzwi wszelakich szacunek...”, a kończy się sam wiesz czym. Kara i wygnanie... A wszystko przez jednego bęcwała!

Słuchający wzdychali, chrząkali, marszczyli się. Opalona Broda, jak go nazwał w duchu Folko, ciągnął tymczasem dalej:

— Już my nauczyliśmy tego Andwariego; do tej pory leży w łóżku, ale piwa mu dajemy. Tyle że najgorsze już się stało: Namiestnik się zaparł i nie ustąpi! Powiadają, że wkrótce w ogóle nie będzie wolno chodzić z bronią! Bo jeszcze jeden się wyróżnił... Hej, gdzie jest Malec?

— Pewnie śpi — odpowiedział ktoś. — Piwa się nażłopał i zasnął.

— No to trudno... W sumie miejscowi się nas boją, strażnicy szczerzą na nas zęby i warczą. A my i tak bez broni nie chodzimy, jakaś tam rozrywka zawsze jest.

Krasnoludy zaczęły się uśmiechać, umyślnie głośno pobrzękiwały ukrytym żelastwem. Wyglądały wojowniczo; przemykający obok słudzy zezowali na nich z obawą; goście zaś chowali się w kątach izby. Folko zauważył, że do karczmy co rusz zaglądną wartownicy w biało-niebieskich mundurach.

— Hej, gospodarzu! — zagrział nagle Dorin, kiedy w jednym z antałów pokazało się dno. — Jeszcze piwa, jeszcze mięsa i jeszcze dziczyzny! — Cisnął na stół ciężki trzosik, który brzęknął krótko. — Płacę za wszystko!

— Patrzcie go, bogacz się znalazł! — oburzył się Opalona Broda i jeszcze kilku krasnoludów. — Jak płacimy, to wszyscy!

Podbiegł blady, wystraszony gospodarz i gorliwie wypytywał, czego sobie jeszcze życzą honorowi goście; Dorin podał mu złoto i po wydaniu dyspozycji klepnął zachęcająco w ramię. Oberżysta ledwie ustał na nogach; pospiesznie zniknął, pocierając stłuczone miejsce i mrużąc coś niepochlebnego pod adresem niespokojnych stałych gości.

— Mimo wszystko Annuminas to wspaniałe miasto! — oznajmił Hornborin, wycierając wąsy i brodę. — Jest tu wszystko, czego potrzebuje każdy tangar: wierni przyjaciele i dobre piwo! Bez tych dwóch rzeczy życie nie ma sensu! Choć nasze życie mogłoby być zupełnie inne. Pamiętam, ojciec i dziad opowiadali mi, jak cieszyli się wszyscy po zwycięstwie, wydawało się, że wojna dobiegła końca, i teraz zacznie się inne życie, zupełnie niepodobne do poprzedniego. I rzeczywiście, najpierw były Lśniące Jaskinie Aglarondu, potem Moria, potem nowe miasta Króla, na przykład Fornost. Pamiętacie, jak je odbudowywano? I jak się to skończyło? — W głosie krasnoluda pojawiła się gorycz.

Przerwał mu nachmurzony Dorin:

— Jesteś niepoprawny, Hornborinie. — Wstał i zacisnąwszy pięści, oparł się o stół. — Przemawiasz pięknie i długo, przyjemnie się ciebie słucha, ale czy możesz nam powiedzieć, co mamy robić dalej? Moria stracona, stare tajemnice powoli idą w zapomnienie, bo stają się niepotrzebne, wkrótce nawet w bajkach tylko nasz hird pozostanie! A my siedzimy i żłapiemy piwo, przy którym nikt niczego sensownego powiedzieć nie potrafi!

Dorin niemal krzyczał.

— Och, trzeba było trzymać się z daleka od ludzi! — westchnął nieśmiało jeden ze starszych krasnoludów, w zniszczonym ubraniu i z potarganą siwą brodą. — Siedzielibyśmy sobie w ciszy i spokoju, budowali nowe sale, korytarze, odkrywali nowe kawerny. I nie pchalibyśmy się do spraw ziemskich!

— Ech, ty... Doczekałeś siwych włosów, ale rozumu ci nie przybyło — uśmiechnął się Dorin złośliwie. — Co byśmy jedli? Poza tym tyle wieków żyliśmy z ludźmi! Ileż razy walczyliśmy ramię przy ramieniu! Nie, głupstwa gadasz, Wjardzie! Nie da się nam bez ludzi! Co ci się w nich nie podoba? Czy wyrządzili nam jakąś krzywdę?

— A może nie krzywdzą, co?! — rozległ się nagle wrzask skądś z dołu.

Folko popatrzył ze zdziwieniem pod stół i zobaczył gramolącego się stamtąd jeszcze jednego krasnoluda. Był, nawet jak na gnoma, niewysoki, niewiele wyższy od Folka, ale szerokością ramion nie ustępował potężnemu Torinowi: jego ubranie wydawało się dziwnym połączeniem resztek niegdyś porządnego, sięgającego

kolan kaftana i strzępów podejrzenie nowego płaszcza, znanego biało-niebieskiego koloru. Miał zabandażowaną głowę, zarośniętą ryżym zarostem twarz upiększał imponujący siniak, kostki palców były pocierane do krwi. W odróżnieniu od pozostałych krasnoludów nie miał żadnej broni. Od nowego gościa wionęło piwem.

— Jak to — nie krzywdzą?! — ponownie zapytał, unosząc ręce w tragicznym geście. — A kto nam zabiera topory?! Kto mnie wczoraj. . . Czy może przedwczoraj. . .

Zamyślił się głęboko, przyłożywszy palec do czoła. Krasnoludy powitały jego pojawienie się chóralnym rechotem.

— A oto i Malec się znalazł! — odwrócił się do Torina Hornborin. — Drzemał tu pod stołem, jak się okazało. To ci historia!

Ileż trzeba wlać piwa w krasnoluda, żeby zwalił się z nóg? pomyślał wstrząśnięty hobbit. Co za kałdun!

— Przestańcie się śmiać, przestańcie! — rzucił do rozbawionych towarzyszy Malec. — Nie przerywajcie mi! Tak. . . O czym to ja mówiłem? No więc, kto mi przedwczoraj topór odebrał? Czy nie ludzie?

— Jak to odebrali? — W oczach Dorina pojawił się gniewny błysk.

— Po prostu! Ja chciałem gospodarzowi narąbać drewno zamiast zapłaty, wyszedłem na dziedziniec i zabrałem się do roboty. A na ulicy rozległy się jakieś krzyki, hałasy, śmiechy, no więc zaciekawiło mnie to! Podszedłem do wrót. — Malec usiłował dopełniać opowiadanie gestami. — Podskoczyłem, żeby zobaczyć! Ale zupełnie zapomniałem o toporze, co to go trzymałem w ręku! Jak skakałem, znaczy się, nawet nie zauważyłem, że wrota rozpadły się na dwoje! Musiały być jakieś cherlawe.

Przerwał mu wybuch gromkiego śmiechu, nawet nie rechotu, tylko jakichś nerwowych łkań. Niektórzy ze słuchaczy zwalili się głowami na stół, inni wycierali płynące z oczu łzy. Malec z poważnym wyrazem twarzy pokazywał, jak podkładał się do wrót, jak stawał na czubkach palców, chcąc zobaczyć, co się dzieje na ulicy, i jak w końcu ledwo uskoczył przed walącymi się skrzydłami bramy. Folko śmiał się razem ze wszystkimi. Wydawało mu się, że jeszcze nigdy w życiu tak się nie ubawił.

— Mówię wam — ryczał Malec — wrota runęły, klnę się na Świętą Brodę Durina! Wrota walają się na ziemi, na ulicy tłum, a ja stoję przed ludźmi z obnażonym toporem. Ale się zrobiło zamieszanie — tego nie da się opowiedzieć! Straż przybiegła, złapali mnie i mówią: „Płać”. Ja się pytam: „Za co?”. A oni: „Popełniłeś przestępstwo, nie masz prawa rąbać bramy toporem i rzucać się na ludzi!”. No, czy nie durnie? Ja się na kogoś rzucałem? Ale czy im można coś wytłumaczyć? Oni swoje: „Płać”. To ja do nich: „Nic mi nie zostało, wszystko mi poszło na. . . hm. . . na życie”. A oni: „No to my ci zabierzemy topór”. Ja do nich: „Jak to! Mój topór? Nie macie prawa!”. No i tego. . . trochę się rozgorączkowałem. Straż też się

okazała... gorąca. — Dotknął palcem ogromnego siniaka na policzku i zmarszczył się. — Krótko mówiąc, topór odebrali i powiedzieli: „Nie oddamy. Nawet jeśli przyniesiesz pieniądze, to i tak za chwilę podpadniesz znowu, więc lepiej się u nas nie pojawiaj”. A wy uważacie, że oni nas nie krzywdzą! Co ja mam teraz robić bez topora? Co ze mnie za krasnolud?

W oczach małego krasnoluda pojawiły się łzy. Odwrócił się i zwałił na ławkę obok Folka.

— Wypijmy, żeby się nie smucić, bracie hobbitcie! — ryknął Malec, obejmując Folka za ramiona i nie przejmując się niczym, przysunął sobie jego pełny kufel. — Jedynie ty możesz mnie pożalować. Tamci tylko potrafią rechotać. Ach, jakież to był topór!

Wlał w siebie zawartość kufla, a potem oparł się na ramieniu hobbita i szlochał. Folko bał się poruszyć, zupełnie nie wiedział, co powinien teraz zrobić; kręcił bezradnie głową.

Krasnoludy tymczasem ucichły, słuchając opowieści pechowego współplemieńca, potem odezwał się Hornborin:

— To z jego powodu strażnicy wściekają się od dwóch dni!... Słyszałem, że Malec narozrabiał, ale żeby coś takiego. . .

— Zawsze tak jest, wszyscy cierpimy przez jednego pijaka i durnia — powiedział Dorin. — Chciałbym zobaczyć tego dowódcę straży, który mnie będzie próbował odebrać topór!

— Powinieneś oddać i nie sprzeczać się, Dorinie — odezwał się nagle milczący dotąd ponury krasnolud w średnim wieku, ubrany na czarno. Z czerni wyłaniała się tylko srebrna rękojeść zatkniętego za pas buzdyganu. — To jest ich dom, a kiedy topory trafiają do rąk takich jak Malec, nic dobrego się nie wydarzy. Nie, Dorinie, nie kłóciłbym się z nimi w żadnych okolicznościach. Miałeś rację, mówiąc, że walczyliśmy z nimi ramię przy ramieniu. Przecież oprócz nich w Śródziemiu tangarowie nie mają sojuszników.

— Nie mamy. Co ty mówisz, Hadobardzie? — rozłożył ręce Dorin. — A elfy? Kto nam daje zajęcie, kto kupuje broń? Czy nie ci, co zostali w Szarych Przystaniach?

— Nie wspominaj mi o nich! — wściekł się Hadobard. — Przypomnij sobie, jak zaczęło się zamieszanie z pierścieniami, to kto pierwszy rzucił się do ucieczki, co? Oni mają dobrze, oni wiedzą, że zawsze mogą odpłynąć w niedostępne dla innych Zamorze, a reszta niech sobie radzi, jak potrafi! Ludzie i krasnoludy pokonają Czarnego Władcę — dobrze, nie zwyciężą — to przynajmniej osłabia. Nie mają wyboru, muszą walczyć! Przypomnij sobie bitwę pod miastem Dale! Trzydniową bitwę, w której zginął Dain Żelazna Stopa, pierwszy król spod Góry po okresie władzy smoka! Czy ci nieśmiertelni przyszli nam z pomocą? Nie, śpiewali swoje piosenki w warownych twierdzach i czekali na chwilę, kiedy trzeba

będzie uciekać! Przecież mnóstwo ich uciekło, nie sposób ich policzyć. Ja bym tym, co budują Szkutnikowi mury, poodrywał głowy za ich głupotę!

Twarz krasnoluda wykrzywił grymas nieudawanej wściekłości.

— Poczekaj, Hadobardzie! — Dorin, chcąc załagodzić sytuację, wyciągnął rękę. — Po pierwsze, nie wszystko pamiętasz, a po drugie. . .

— Po drugie, widzę, że nie ma dla mnie miejsca wśród was — powiedział z przekonaniem Hadobard, wstając. — To co, tangarowie, który ze mną? Kto mnie rozumie?

Nikt nie powstał, wszyscy siedzieli wpatrzeni w swoje kufle. Folko czuł się niezręcznie i jednocześnie było mu wstyd. Mały krasnolud drzemał na jego ramieniu, które ścierpło i pobołowało; wstydził się, że nie dał odporu niegodziwcowi, przeklinającemu elfy. Zerknął na Torina i zobaczył, że jego towarzysz ma zaciśnięte pięści i groźnie ściągnięte brwi pod zmarszczonym czołem. Krasnolud położył na stole swój potężny buzdygan i powiedział wolno, wpatrując się w kipiącego złością Hadobarda:

— Wyjdź stąd. Idź, póki nie wywalimy cię siłą. Jeśli nie masz własnego rozumu, to nie wstydz się poprosić o garstkę cudzego. I radzę ci, mniej plotkuj w oberżach. Bo jak się dowiem, że obgadujesz ten szlachetny naród, wyrwę ci brodę, tangarze. To wszystko! Możesz iść!

Torin podniósł się i teraz stał naprzeciwko Hadobarda. W prawej ręce trzymał buzdygan. Hadobard spokojnie skrzyżował ręce na piersi, nie dotykając broni.

— Poczekajcie, poczekajcie! — poderwał się Dorin i jeszcze kilku krasnoludów. — Co się z wami dzieje? Tego jeszcze brakowało, żebyśmy się bili z powodu elfów. Torinie! Hadobardzie! Przestańcie!

Hadobard uśmiechnął się spokojnie i skierował do drzwi.

— Niech ci będzie, Torinie — powiedział, odwracając się w progu. — Jeszcze porozmawiamy na ten temat. Może wtedy będę mógł cię przekonać. Żegnaj na razie!

Przekroczył próg, trzasnęły drzwi.

— Niepotrzebnie się tak rozżłościłem, Torinie — rzekł Hornborin. — W niektórych sprawach Hadobard, moim zdaniem, ma rację. Poczekaj, nie gorączkuj się! — Uniósł pokojowo rękę otwartą dłonią do góry. — Ale jeśli dokładnie przypatrzeć się sprawie, to kto się bił na Polach Pelennoru? Ludzie. Kto zginął pod Dale? Ludzie i tangarowie!

Torin, czerwony z gniewu, przerwał:

— A kto się bił w Czarnej Puszczy? Kto odparł trzy szturmy Lorientu? Kto w końcu trzy tysiące lat walczył z nieprzyjacielem? Czy nie elfy? Aż nieprzyjemnie was słuchać!

— Nikt nie przeczy — przemówił Dorin wciąż pokojowo. — Chwała i sława tym z Pierworodnych, którzy dzielili nasz los, rzeczywiście walczyli, nie szczędząc siebie — ci mieli co tracić! Sam osądź, wszystkich nas czekają Grzmiące

Morza, nie uniknie tego nikt ze śmiertelnych; oni są nieśmiertelni, nad nimi czas nie ma władzy! Po co mają się wplątywać w tę zawieruchę? Rzeczywiście więc wielka chwała tym, co walczyli i polegli w Śródziemiu! Dlatego ja do tych, co po zwycięstwie odeszli za Morze, nie mam żadnych pretensji, nie — to ich sprawa. Ale ci, którzy uciekli tchórzliwie, którzy ratowali swoją nieśmiertelność — do tych, rzecz jasna... Mogę zrozumieć Hadobarda.

Torin ponuro milczał, pochyliwszy głowę. Krasnolud poczerwieniał, gryzł wargi, ale nie mógł w żaden sposób odpowiedzieć.

— Dobra, zostawmy to — zaproponował Hornborin, napełniając kufle. — Wypijmy; już pora się rozejść, wkrótce zacznie świtać.

Napięta cisza rozpadła się na poszczególne westchnienia ulgi, stukot kufli, brzęk naczyń i ciche słowa. Folkowi w końcu udało się ułożyć Malca na ławce i wreszcie mógł zmienić niewygodną pozycję — przeciągnął się, rozprostował ścierpnięte ramiona.

Ostatnie słowa Hornborina zakończyły spór. Zebrani znowu jedli, pili, zastanawiali się, co będą robić jutro, odpowiadali na pytania Torina, który usiłował się dowiedzieć, czy jacyś znani mu tangarowie przebywają w Annuminas. Padały nic niemówiące imiona i przezwiska, ktoś skarżył się na skąpego właściciela kuźni, ktoś narzekał na kiepski węgiel, jakby wszyscy się zmówili, że nie będą dzisiaj poruszać najbardziej drażliwych problemów. Zarzucali pytaniami również Folka, ciekawi, jak się sprawy mają w jego rodzimym Hobbitonie. Kiedy ten opowiadał o panujących w osadzie zwyczajach, słuchali go, kiwając głowami.

Malec w tym czasie spokojnie drzemał, od czasu do czasu pochrapywał, ale wtedy któryś z najbliższych siedzących towarzyszy bezceremonialnie trącał go i chrapanie ustawało na jakiś czas.

Towarzystwo siedziało do późna i kiedy krasnoludy zaczęły jeden po drugim wychodzić, Folko zauważył, że Torin ukradkiem wypytuje niektórych, a potem zapisuje coś na deseczce. Wsłuchawszy się, zrozumiał, że krasnolud zbiera adresy tych, którzy w ogóle je mają. Tak było w przypadku Dorina, Hornborina, Opalonej Brody i jeszcze kilku innych; z pozostałymi Torin pożegnał się, składając zwykły, krasnoludzki pokłon. Wkrótce w opustoszałej gospodzie, prócz kilku nocnych hulaków, odpoczywającego przez chwilę patrolu i dwóch sług, pozostali tylko Folko, Torin i śpiący Malec.

— No to co, bracie hobbicie, idziemy na górę? — zaproponował Torin. — Oczy już mi się kleją.

— A co zrobimy z Malcem? — zapytał Folko, dotykając ramienia śpiącego. Malec odpowiedział niezrozumiałym mamrotaniem.

— Zanieśmy go do nas. Przecież go tu nie zostawimy!

Przyjaciele z trudem dotaszczyli po wąskich i stromych schodach niewysokiego, ale ciężkiego krasnoluda. W przestronnej izbie z dużym oknem, którą wynajął

dla nich Torin, znajdowały się tylko dwa łóżka, zmuszeni więc byli zrobić dodatkowe postanie na podłodze.

— No to dobranoc — ziewnął Torin. — Nareszcie jesteśmy w Annuminas...

Ranek następnego dnia zaczął się od kłopotów z Malcem. Obudziwszy się, mały krasnolud długo nie mógł skojarzyć, gdzie się znajduje i jak tu trafił; w ogóle z wczorajszego wieczoru zachował szczątkowe wspomnienia.

— Posłuchaj, gdzie ty mieszkasz? — zapytał go Torin.

— Nigdzie — odpowiedział Malec smętnie. — Nie mam pieniędzy, gospodarz wyrzucił mnie po tej historii z toporem. — Krasnolud westchnął. — A topór muszę przecież jakoś wykupić. Gdziekolwiek bym poszedł, smutek dopadnie mnie wszędzie. — Zaczął zbierać z podłogi jakieś szmaty, zastępujące mu odzienie.

— Nie, mały. Wyrzuć to. Nie mogę patrzeć na tangara w takim stanie! — powiedział Torin. — Gdzieś to wygrzebał? Zdjąłeś z jakiegoś strażnika?

— Kiedy się biliśmy, rozdarłem jednemu płaszcz — wyjaśnił Malec. — Strażnik go wyrzucił, a ja wziąłem; muszę się przecież w coś odziać...

Torin, marszcząc się, gwałtownie przeszukiwał swój worek.

— Weź to. — Podał mu ciemne ubranie. — Pójdiesz dzisiaj do krawca, niech ci dopasuje.

— Och, dzięki. — Malec zarumienił się. — Odpracuję, Torinie, oddam, zobaczysz! Nie będziesz żałował!

— Dobra, dobra, zobaczymy — machnął ręką Torin. — Jeszcze jedno, mały. Trzymaj się bliżej mnie i Folka, bo znowu coś porąbiesz. Przynies tutaj swoje rzeczy, jeśli rzecz jasna, coś ci jeszcze zostało. Sądząc po ubiorze — niewiele.

Malec oddalił się, przysięgając wrócić jak najszybciej. Minęła chyba godzina, którą spędzili na porządkowaniu rzeczy, gdy ktoś zastukał do drzwi.

— Otwarte! — krzyknął Folko.

Na progu pojawił się Rogwold.

— Witajcie, witajcie, przyjaciele! — Wyglądał na bardzo zadowolonego. — Cieszę się, że was widzę, choć rozstaliśmy się niedawno! Nasze sprawy są w najlepszym porządku, oddałem karzełka pałacowej ochronie do rąk własnych, pogadałem z kim trzeba, napisałem pilny list do Namiestnika — po starej znajomości udało mi się umieścić go w skrzynce ze szczególnie ważną pocztą, co znaczy, że będzie przeczytany nie później niż za siedem dni. W pałacu i kancelarii nadal mam niemało dobrych znajomych i przyjaciół, dowiedziałem się wszystkiego, więc nie powinniśmy mieć problemów z audiencją. Wiedzą, gdzie mieszkam, to dadzą nam znać. A co u was? Urządziliście się? Wszystko w porządku?

— Chwała Durinowi — odpowiedział Torin. — Co mamy teraz robić, Rogwoldzie? Jak długo będziemy czekać? Powiedziałeś, że co najmniej tydzień, ale kiedy nas przyjmą?

— Nie wiem — wzruszył ramionami łowczy. — Namiestnik nie lubi się spieszyć... Dadzą znać, nie martw się. Ale trochę to, niestety, potrwa.

Rozmawiali jeszcze długo. Rogwold wypytywał Folka, czy podobało mu się miasto, i mrużył oczy z zadowolenia, gdy wysłuchiwał naiwnych zachwyków hobbita. Wraz z Torinem powzdychał nad losem krasnoludów, które straciły cel i sens życia, opowiedział ostatnie nowiny. Nie zadziwiały różnorodnością: na północnym wschodzie rozbito oddział Angmarczyków, zapędziwszy ich do wąskiego parowu; na południu zbójcy rozpędzili ochronę i ograbili bogatą kupiecką karawanę; na wschodniej granicy po długiej walce wybito, nie wiadomo skąd przybyły, oddział górskich trolli; mogli łamać bale gołymi rękami, ale pod gradem strzał musieli się poddać. W Fornoście zgładzono kilku handlarzy, którzy skupowali od rozbójników zrabowany dobytek. Rogwold zauważył, że sprawy naprawdę mają się lepiej — Angmarczykom i rozbójnikom ciągle siedzą na karku drużyny Namiestnika, plony zebrano obfite i krążą słuchy, że w zimie zaczną się wielkie polowanie na miejscowych bandytów. Folko poczuł wielką ulgę.

W tym czasie wrócił Malec, niosąc na grzbiecie ciężki, brzęczący stalą skórzany miech ze swoim dobytkiem. Usadowił się w kącie i od razu wytrząsnął na podłogę mnóstwo mieczy, sztyletów i niewielkich siekier różnej wielkości; wszystko bardzo starannie wykonane ze świetnej krasnoludzkiej stali o błękitnawym odcieniu.

Wkrótce przez drzwi zajrzał piegowaty, chudy chłopiec służący i zaprosił gości na śniadanie. Zeszli na dół. Po posiłku Folko zauważył, że płacąc, Torin jakoś dziwnie poruszył wargami; hobbita nieprzyjemnie ukłuła myśl, że żyje na koszt przyjaciela.

Malec pozostał w izbie, dojadając śniadanie, a Torin i Folko wyszli, żeby odprowadzić Rogwolda, który spieszył się do domu.

— Przestań, dokąd tak pędzisz! — chciał zatrzymać druha Torin. — Posiedź jeszcze z nami, pogadamy, napijemy się piwka. . .

— Nie mogę, przyjaciele, nie mogę. Wybaczcie wielkodusznie. Ale z Oddrun, no wiecie, jak to jest. . .

Rozłożył ręce, demonstrując własną bezsilność.

— Co to za jedna, do licha!? — wybuchnął Torin. — Przepędź ją na cztery wiatry! Od czasu gdy tu przyjechaliśmy, jesteś zupełnie inny! Co to, zabrania ci widywać się z nami? Czy może powinieneś się jej spowiadać, dokąd idziesz i z kim się spotykasz?!

Rogwold uniósł głowę i spojrzał smętnie na Torina. Na jego ustach pojawił się słaby uśmiech.

— Nie sądzę pochopnie, przyjacielu Torinie — powiedział cicho. — Czy potrafisz sobie wyobrazić, jak smutny jest powrót do domu po miesiącach wędrówek po głuchych lasach i błotach, do pustego i zimnego domu, gdzie wszystko pokryła gruba warstwa kurzu? Oddrun też nie było lekko w tym życiu, póki nie przystała do mnie. . . Nie chcę jej sprawiać przykrości. Jestem już stary, przyjaciele, stary,

dzieci nie mam, więc żyjemy tak sobie razem. Przynajmniej ktoś na mnie czeka po podróży. Tak więc nie myśl, że jestem ślepy, Torinie.

Krasnolud wzruszył ramionami, ale nie odpowiedział. Folko poczuł, że kiedy patrzy na oddalającego się ulicą łowczego, napływają mu do oczu łzy wzruszenia. Jak mu pomóc?

Z tyłu dał się słyszeć jakiś hałas. Hobbit odwrócił się i zobaczył Malca; był w skromnym, ale porządnym ubraniu, już dopasowanym do sylwetki. Do szerokiego skórzanego pasa miał przytroczony miecz w czarnej pochwie oraz krótki sztylet.

— No, teraz całkiem, całkiem — pochwalił go Torin, przyjrzawszy się tak odmienionemu towarzyszowi. — Jakie masz plany, tangarze?

— Co tu myśleć: gdzie wy, tam ja — odpowiedział Malec bez chwili zwłoki i skrzyżował ręce na rękojeściach broni.

Dopiero teraz Folko zauważył, że Malcowi u lewej dłoni brakuje dwóch palców: małego i serdecznego; drgnął, patrząc na nienaturalnie gładkie kikuty, lecz nie zadawał żadnych pytań.

— Rozumiem, że będziecie musieli się bić — ciągnął Malec. — Nie wiem na razie, z kim, ale ktokolwiek to będzie — jestem z wami. Nie zważajcie, że jestem mały. Pokażę wam sztuczkę z mieczami. . .

— Poczekaj, chodźmy na podwórko. . .

Malec nagle przysiadł, wydał z siebie rozpaczliwe, przeszywające wycie i gwałtownie się wyprostował. Folko nie mógł rozróżnić ruchów jego rąk — były błyskawiczne; ostrza śmigły w promieniach niezbyt mocnego jesiennego słońca. W następnej sekundzie powietrze przed Malcem wypełniły świst i błysk wściekle wirującej stali. Przeguby małego krasnoluda kręciły się, a ręce przy tym pozostawały niemal nieruchome. Nie dałoby się podejść do niego w tej chwili. Mały krasnolud zrobił krok do przodu i w tej samej chwili jego prawa ręka, niczym proca, wystrzeliła do przodu z szybkością rzucającej się na zdobycz żmii, błękitnawa błyskawica jego miecza śmignęła w gwałtownym uderzeniu i natychmiast wróciła za zasłonę z wirującego ostrza sztyletu, osłaniającego ciało Malca. To ostrze jakby żyło swoim własnym życiem. . . Osłupiały Folko patrzył na niebywałe widowisko, podobnie jak i inni widzowie, którzy wzięli się nie wiadomo skąd. Torin chrząknął z aprobatą.

— No jak? — zapytał Malec niecierpliwie, opuściwszy ręce.

Zebrani nagrodzili go gromkimi okrzykami. Mały krasnolud natychmiast odwrócił się i uroczyście podziękował wszystkim, nisko kłaniając się, z rękoma przyciśniętymi do piersi.

— Wspaniale! — powiedział Folko. — Gdzie się tego nauczyłeś, Mały?

— Rozumiesz, w dzieciństwie byłem znacznie słabszy od swoich rówieśników, na dodatek, widzisz, zostałem zasypany w sztolni, zmiażdżyło mi palce. . . nie potrafię trzymać topora jak należy, musiałem ćwiczyć z mieczami. Krasnolu-

dy nie bardzo szanują podobne umiejętności, uważają, że takie coś — wykonał kilka krótkich wypadów — to domena słabych. Do hirtu mnie nie wzięli, więc sam do wszystkiego doszedłem. Torin z toporem przeciwko mojemu toporowi to, rzecz jasna, jak taran przeciwko trzcinie.

— Nie bądź taki skromny — wtrącił się Torin.

— Ale na miecze pokonam każdego!

— No to może poćwiczysz z naszym młodym hobbitem? — Na ramieniu Folka spoczęła dłoń Torina. — On lubi w tawernie pomachać sobie mieczem.

— Torinie! — jęknął Folko.

— Dlaczego nie! Podejmuję się! — Malec uważnie przypatrywał się hobbitemu. — Wyglądasz mi, Folko, na zręcznego, szczupłego i ruchliwego. Spróbujemy zrobić z ciebie wojownika.

* * *

Tak zaczęło się ich życie w Annuminas. Na razie hobbit nie mógł uskarżać się na los. Nikt nie kazał mu wstawać skoro świt i nie pędził do roboty, nikt nie donosił na niego, nikt nie targał za uszy. On i Torin wstawali wcześniej, umyślnie zostawiając okna na noc otwarte, żeby budziły ich pierwsze promienie słońca. Potem myli się, budzili Malca, który jak zwykle chrapał, i szli na śniadanie. Później Folko i mały krasnolud udawali się na tylne podwórko, gdzie hobbit aż do wyczerpania ćwiczył z ciężkimi drewnianymi mieczami, a Torin w tym czasie zazwyczaj zamykał się w izbie i czytał Czerwoną Księgę, robiąc jakieś notatki. Potem wracali zmęczeni i spoceni Folko z Malcem. Hobbit ledwo powłóczył nogami, dowlekał się z trudem do łoża i zazwyczaj walił się na nie jak kłoda. Jego ręce i nogi pokrywały siniaki. Malec, który ciągle był na utrzymaniu Torina, starał się z całych sił i nie pobłażał hobbitemu, ucząc odpierać najszybsze i najbardziej perfidne ciosy; zmuszał go do walki drewnianym mieczem, o wiele cięższym niż prawdziwy. Do bólu od uderzeń dołączyły urazy nieprzyzwyczajonych do takiego obciążenia stawów.

Nie było łatwo wytrzymać to wszystko, jednakże hobbit okazał się wytrwałym uczniem, o wiele wytrwalszym, niż sobie wyobrażał; w najcięższych chwilach, kiedy przed oczami migwały mu zielone i czerwone kręgi, a z daleka docierały zły i ochrypy, rozkazujący głos małego krasnoluda, w świadomości Folka pojawiał się garbus. Wtedy mocniej zaciskał zęby, a ręce, które już omdlewały, nagle unosiły w górę ciężki drewniany miecz.

Odpocząwszy, Folko zazwyczaj wyruszał na przechadzkę po mieście wraz z Torinem i Malcem. Po Annuminas można było wędrować bez końca: żaden dom

nie stanowił kopii innego, każdy czymś się wyróżniał i odróżniał od pozostałych. Znajdowały się tu domy z wieżyczkami i z kolumnami, z kamiennymi posągami i mozaikami na całą szerokość ściany; domy z oknami półokrągłymi i ostrołukowymi, z kamiennymi i żelaznymi gankami, domy z rzeźbionymi okładzinami okien i kalenicami, przypominające wiejskie chaty. Różne były też brukowane ulice: w centrum miasta wyłożono je szerokimi sześciokątnymi płytami w szarym kolorze, wypolerowanymi do połysku; przy czym zostały one wycięte z tak odpornego na ścieranie kamienia, że ani kopyta, ani koła nie zostawiały na nich najmniejszej rysy. Inne ulice zostały pokryte drobnym jasnoróżowym kamieniem, rozdzielonym szeregami czarnego; różnokolorowe linie przeplatały się, tworząc skomplikowany ornament. Widywał także idealnie śnieżnobiałe kwadraty, co rano szorowane do połysku przez specjalne drużyny sprzątaczy. Folko dawno już stracił rachubę, usiłując zapamiętać wszystkie rodzaje bruków w tym zadziwiającym mieście. W obrębie dzielnic często trafiały się przestronne sady, teraz, niestety, ponure i ogołoczone z liści. Przez sploty nagich gałęzi widać było ciemne powierzchnie stawów, po których niespiesznie pływały majestatyczne, podobne do łabędzi ptaki o różowym upierzeniu. Na miejskich placach, bez względu na pogodę, sypały srebrnymi iskrami wysokie fontanny; szemrząc, woda ściekała specjalnymi kanałami, wyłożonymi czarnym i perłowym marmurem.

Hobbit wstępował do mrocznych sklepików z antykami, jego dłonie ostrożnie dotykały okładek starych foliałów, o wiele starszych niż te przechowywane w bibliotece rodzinnego Brandy Hallu, a wiele z nich w ogóle napisanych było w nieznanym Folkowi językach. Ostatecznie cicho wzdychał i ostrożnie odkładał księgi na miejsce, odprowadzany nieprzychylnymi spojrzeniami handlarzy. Krasnoludy nie podzielały jego zainteresowań. Torinowi wystarczała Czerwona Księga, Malec natomiast w ogóle twierdził, że czytanie psuje wzrok.

Natomiast nie dało się ich odciągnąć od kramów, gdzie handlowano artykułami żelaznymi, zwłaszcza bronią. Obaj tangarowie mogli godzinami grzebać w hałdach stali i palce ich nabywały tej miękkości i delikatności, co ręce Folka, kiedy przekładał sztywne, pergaminowe kartki. W takich chwilach zupełnie ich nie rozumiał — żonglowali niezrozumiałymi słowami, z błyskiem w oku oglądali jakieś ostrze lub zachwycali się szczególnie wymyślnym wzorkiem na klindze, który świadczył o mistrzostwie kowala. Znali cechy wszystkich płatnerzy swojego narodu i najlepszych kowali wśród ludzi. W tych kramach hobbit ziewał, stojąc z boku.

Potem budził się w nich apetyt i wstępowali do jednego z licznych szynków, gdzie zawsze witano ich z radością i wspaniale ugaszczano. A w dodatku trafiali najczęściej na towarzystwo krasnoludów, na rozmowach z którymi przyjemnie mijał czas, i wymieniano najnowsze wiadomości; czasem wybuchały spory, jednakże teraz krasnoludy starały się trzymać nerwy na wodzy. Nie przyzwyczaili się do pozostawiania toporów w domach i jakby się zmówili, nosili teraz w nadmia-

rze wszelaką inną broń, co chwilami wywoływało wręcz komiczny efekt. Kilka razy Folko zauważył, że Torin ukradkiem rozmawia z którymś z napotkanych krasnoludów, robiąc jakieś notatki w swojej książeczce.

Rogwold nie zapominał o nich przez cały ten czas. Były setnik wstępował do przyjaciół co dwa, trzy dni, informując, jak ma się sprawa z ich petycją o audyencję, jednak nigdy nie pozostawał długo.

Mijały dni, minął wrzesień, upływała druga dekada października, nad miastem coraz częściej wył zimny północny wiatr i hobbit musiał wyciągnąć ciepły płaszcz — jesień w Annuminas okazała się o wiele chłodniejsza niż w Hobbitonie. Nie było tu bariery w postaci długich falistych szeregów wzgórz, które osłaniały ojczyznę Folka od północy, dlatego w arnorskiej stolicy oddech lodowatych pustyń dawał się odczuć o wiele mocniej.

Potem hobbit wspominał owe czasy jako najlepsze, najjaśniejsze i najradośniejsze w swoim życiu. Wszystkie troski i lęki minęły, wieści z granic nie były tak niepokojące jak dawniej i Folko, ukołysany stałym widokiem spokojnego, pewnego siebie i swej mocy Północnego Królestwa, niemal zapomniał o chwilach trwogi i rozpacz, które kiedyś przeżywał. Nie chciało mu się teraz nigdzie ruszać z tego miasta, a czasem, wstydząc się swoich myśli, marzył, by osiedlić się w bajkowym mieście na zawsze, wraz z przyjaciółmi, i wieść żywot, pozbawiony smutków i lęków.

Ale beztróskie życie zawsze się kiedyś kończy. Torin coraz częściej wzdychał, marszcząc brwi, kiedy zaglądał do trzosu.

Pewnego razu Folko przypadkowo usłyszał niezbyt głośną rozmowę na podwórzu, kiedy wracał do izby po kolejnej lekcji z Malcem. Głosy rozlegające się za rogiem sprawiły, że zatrzymał się.

— Jak cię przyjął Eymund? Bardzo cię chwalił — powiedział Rogwold.

— Przyjął bardzo dobrze — odparł Torin. — W sumie nie jest tam źle, pracować można. Są znakomite klingi, ale mało jest dobrego żelaza, i niemal nikt nie potrafi dobrze zahartować stali. Zresztą, teraz zajmują się przede wszystkim naprawami. Łatam kolczugi, lutuję hełmy. Wesoło nie jest, ale dobrze płacą.

— Cóż, rad jestem, że mogłem ci jakoś pomóc. . .

Wkrótce rozeszli się, a Folko długo jeszcze stał za rogiem z płonącymi ze wstydu policzkami.

Torin musi zarabiać na życie! A oni z Malcem wiszą mu u szyi; nic nie robią, żeby siebie wyżywić! Ale nic to. Od dzisiejszego dnia będzie inaczej, pomyślał hobbit, zaciskając zęby.

* * *

Ich życie zmieniło się teraz. Torin zniknął na cały dzień i wracał dopiero pod wieczór, zmęczony, z twarzą pokrytą sadzą, a na jego rękach pojawiły się świeże oparzenia. Folko, milcząc, cierpiał, i mimo że się bardzo starał, nie zdołał znaleźć dla siebie żadnej roboty. Malec zaś żył sobie beztrąsko i nie martwił się niczym, uważając zapewne, że tak właśnie powinno być.

Jednakże los w końcu uśmiechnął się do hobbita. Niespodziewanie znalazł to, czego potrzebował.

Pewnego razu — rzecz się miała w połowie października, mniej więcej tydzień po tym, jak Torin zatrudnił się w warsztacie płatnerskim — Folko i Malec, skończywszy lekcję, udali się do oberży, żeby coś przekąsić. Czekając, aż przyniosą im skromny posiłek, hobbit obserwował, co się dzieje w kuchni. Dwoje sług zajmowało się dopiero co przywiezionymi grzybami. Folko wprost je uwielbiał. Kiedy się wreszcie na nie doczekał, już po pierwszym kąsie był rozczarowany. Czego jak czego, ale grzybów nie umiano tutaj przyrządzać. To, co wychodziło spod rąk miejscowych kucharzy, nawet nie przypominało owych wyrafinowanych dań, zaprawek i sosów, przyrządzanych przez hobbitckie gospodynie. Folko skrzywił się i splunął ukradkiem, co zauważył przechodzący nieopodal oberżysta.

— Cóż to, szanowny hobbitcie, czyżby grzybki nie posmakowały? — zapytał oburzony.

— Nie ma co ukrywać, rzeczywiście nie nadają się do jedzenia! — palnął Folko, — Może Dryblasom, to znaczy ludziom, smakuje, ale w Hobbitonie nawet psom czegoś takiego by się nie dało.

— Ach tak?! A jak należy je, twoim zdaniem, przyrządzać? Może nauczysz nas, głupców, drogi mistrzu? — Zdenerwowany oberżysta nawet zapomniał, że zawsze przedtem używał formy „wy”.

— Mogę nauczyć... jeśli dogadamy się co do ceny! — Hobbit zmrużył oczy. Był już gotowy pod niebiosa wychwalać mądrość wujaszka Paladyna, który nie szczędząc obelg i klapsów, wprowadził swojego niezbyt pilnego siostrzeńca w arkaną sztukę kucharskiej.

Przybili z oberżystą. Folko przypasał pospiesznie przycięty fartuch i wziął się do roboty. Przede wszystkim, sam dziwiąc się swojej nieustępliwości, pogonił służących na targ po wybrane zioła, każąc kupować je u przybyłych na targ hobbitów, natomiast sam przebrał grzyby i zalał wodą. Męczył się z tym dość długo, robiąc skomplikowane mieszanki, mocząc i odciskając, gotując i przyprawiając; od pieca odszedł dopiero przed świtem. Natomiast następnego ranka oberżysta, ostrożnie i nieufnie włożywszy do ust pierwszą łyżkę przygotowanego dania, tylko wywrócił oczami, a potem, nawet tego nie zauważając, wymiół cały talerz.

— Posłuchaj mnie, czcigodny mistrzu Folko — uczeplił się hobbita natychmiast po serii długich i głośnych ochów i achów. — Zaczynaj pracować dla mnie, co? Takich sosów i solonek nie uświadczysz nigdzie w Annuminas! A ja ci zapłacę sprawiedliwie. . . Nie skrzywdzę!

Folko najpierw opierał się, chcąc wytargować jak najlepsze warunki, potem wyraził zgodę i wkrótce oberża „Pod Rogiem Aragorna” nie mogła narzekać na brak gości.

Folko okazał się wspaniałym kucharzem — teraz, władczo usunawszy najpierw z kuchni samego gospodarza, przypominał sobie wszystko, czego nauczyła go ciotunia. W końcu nastał ten dzień, kiedy hobbit, zarumieniony z dumy, z obojętną miną położył przed oniemiałym Torinem ciężki trzosik ze złotymi monetami.

Zapracowani, ledwie zauważyli, że mija październik; teraz Folkowi rzadko udawało się wyrwać na spacer po cudownym mieście, z trudem wykrawał czas na codzienne zajęcia z Malcem, który nadal nie chciał nawet słyszeć o żadnej pracy. Jednakże jego lenistwo nie było uciążliwe; miał wesołe usposobienie, niewyczerpany zapas śmiesznych opowieści i wykazywał się nieporównywalnym mistrzostwem walki, które z takim trudem opanowywał hobbit.

Ich sprawy teraz układały się lepiej, ale termin audiencji u Namiestnika ciągle nie był znany; Folko, zmęczony życiem „nie na własnych śmieciach”, rozmyślał, czy nie byłoby lepiej kupić sobie jakiś domek, zamiast łożyć tak ciężko zapracowane pieniądze na wynajmowanie kwatery.

Zaprzyjaźnił się już z właścicielem oberży „Pod Rogiem Aragorna”, który bardzo sobie cenił niedużego pomocnika. Kiedy oberżysta miał wyjątkowo dobry humor, po przeliczeniu dziennego utargu, hobbit, jakby zupełnie nie przydając temu znaczenia, zapytał czcigodnego gospodarza, czy nie wie, gdzie można by znaleźć skromny lokal dla trzech osób.

— Folko, no co ty?! Folko? — natychmiast wystraszył się gospodarz. — Czyżbyś chciał odejść? . . . Czy ja cię jakoś skrzywdziłem? Jeśli tak, wybac mi, proszę! Może cię te kłaczaste uszy skusiły do „Gwiazdy Arwen”?

Wysłuchawszy wyjaśnień hobbita, na chwilę zamyślił się, a potem nagle plasnął dłonią w czoło.

— Posłuchaj! . . . Chodź no ze mną! . . .

Wyszli na podwórko oberży, gdzie z boku, w pewnym oddaleniu od szop i magazynu, wśród rozrośniętego głogu, stał niewielki, lekko pochylony budynek, najbardziej przypominający spichlerz, tyle że nie drewniany, lecz murowany.

— Oto! . . . — powiedział z dumą gospodarz. — Można tu mieszkać! Będzie świetny domek, tylko trochę trzeba się przyłożyć do remontu. . .

Folko ostrożnie zajrzał do wnętrza. Rozeschnięte drzwi zaskrzypiały żałośnie, kołyszac się na jednym zawiasie, okna były wyłamane, podłoga się zapadła. Zamiast pieca widniała sterta kamieni.

— Trzeba tu trochę popracować, na pewno nikt nie powie, że to pałac — ciągnął oberżysta. — Ale jeśli wszystko odnowicie, sprzedam go wam, oddam prawie za darmo... i wymienię rzeczywiście bardzo niską cenę.

Niewiele myśląc, Folko pognął do Torina.

Wiele widziały oczy krasnoluda, ale aż stęknął, gdy zobaczył rudere. Pogwizdując pod nosem, Torin starannie obejrzał wszystkie kąty, potem, nie odzywając się, klepnął Folka w ramię i odwrócił się do gospodarza:

— Bierzemy. Za trzy dni wszystko będzie jak nowe.

Puściwszy oko do zdumionego hobbita, szybkim krokiem wyszedł na ulicę. Po chwili wrócił, a minę miał bardzo zadowoloną.

— Potem pytania, potem — zbywał ciekawego szczegółów hobbita. — Niech tylko minie noc, ranek da rad moc, jak mawiał stary Gandalf...

* * *

Następnego dnia, kiedy Folko z Malcem kończyli kolejną lekcję, hobbit zobaczył, że po ich ulicy wędruje około tuzina krasnoludów; rozglądali się wokół, jakby czegoś szukali.

— Widziałeś? — odezwał się Torin. — To jedenastu braci Gungnirów, miałem wczoraj fart, że ich spotkałem. Pomogą nam.

Folko, targany wątpliwościami, przyjrzał się walącym do drzwi oberży braciom: wyglądali na trochę „wymiętych”, a jeden z nich, podtrzymywany za łokcie, usiłował przez cały czas oprzeć się o cokolwiek i zasnąć; gdy tylko udawała mu się ta sztuka, nawet na chwilę, natychmiast dawał się słyszeć odgłos pracujących na całego kowalskich miechów, starych na dodatek i dziurawych: pochrapywanie krasnoluda rozlegało się w całym domu.

— To nic, nie zwracaj uwagi. — Torin dostrzegł pełne wątpliwości spojrzenie hobbita. — Oni tylko teraz tak wyglądają, ale jak już się wezmą do pracy, nie poznasz ich. Ten, którego prowadzą pod ręce, to wielki znawca kanonów rzeźby, nie znam lepszego. A kanony, bracie, to taka rzecz... — Krasnolud nagle przerwał i podrapał się po głowie, chyba przypomniał sobie coś, o czym dawno chciał zapomnieć.

Tymczasem zgodną gromadą dotarło do nich jedenastu braci, sądząc po zachowaniu, zdążyli już tego ranka uradować brzuchy mocnym piwem, którego aromat roztaczał się wokół. Niektórzy byli nieco osowiali i śpiący; ci najwyraźniej z dużym trudem oderwali się od stołu. Najstarszy z braci, niemłody już krasnolud z posiwiąłą brodą i świeżym zadrapaniem na uchu, hałaśliwie powitał Folka i Torina, którzy bez dłuższego gadania poprowadzili gromadę do zakupionego dom-

ku. Na jego widok bracia podzielili się w ocenach: część drapała się po głowach, część po brodach, większość na dodatek wypowiedziała nieokreślone „taaa...”, po czym zaczęli bez zwłoki rozwiązywać swoje obszerne worki, w których mieli wszystko, czego potrzebowali do pracy. Folko przyglądał się z niedowierzaniem — w Hobbitonie takich patałachów gromadnie wygnano by z podwórka, nie pozwoliwszy wesolutkim mistrzom przystąpić do pracy. Jednakże Torin nawet nie mrugnął okiem.

I rzeczywiście, wystarczyło, że bracia zabrali się do roboty, by niepożądane efekty zniknęły jak ręką odjął. Nie byli już senni i nieruchawi; wzrok, cudownym sposobem, przejaśnił się, a robota zawrzała. Tylko znawca kanonów siedział, oparłszy się plecami o stary głóg, oświadczył wszem i wobec z niezachwianą pewnością siebie, że nosić kamieni wcale nie zamierza, a najlepsze, co może zrobić, to zająć się swoją pracą. Najstarszy z Gungnirów coś szepnął na ucho dwóm młodszym, ci znikli na chwilę, po czym wrócili, taszcząc na plecach olbrzymią dębową kłodę. Położyli ją przed uparciuchem i bez słowa przyłączyli się do pozostałych braci.

— Co on będzie robił? — zapytał szeptem Torina hobbit.

— Jak to?! Schronienie każdego prawdziwego tangara musi zdobić wizerunek Świętej Brody Durina. Har Gungnirling, mówiłem ci, jest najlepszym rzeźbiarzem brody w Górach Błękitnych! Brodę można rzeźbić dokładnie według kanonu, każdy włoszek i każdy lok jest od dawna obliczony i poświęcony... To wielka sztuka! Zresztą, dość tego gadania, zabierajmy się i my do roboty, bracie hobbicie, nie wypada stać z boku!

Później Folko nieraz przyznawał, że bez braci Gungnirów nigdy nie udałooby się im doprowadzić do używalności zakupionego domu. Krasnoludy wyrzuciły wszystkie śmiecie, wyłamały ze ścian spękane kawałki, a potem na podwórze zajechał wyładowany kamieniami wóz i budowniczy wzięli się za kamieniarskie młotki. W tym czasie Har pokrył wszystko dokoła warstwą brązowych wiórów, a Święta Broda Durina przybrała wygląd spłaszczonej jaszczurki z oderwanymi łapami, jak — bez specjalnego szacunku — myślał o niej hobbit.

Minęły trzy dni ciężkiej pracy, czasem tylko przerywanej turkotem kolejnego antańka piwa, wytaczanego z piwnicy przez czujnego Torina.

Wkrótce rudera zmieniła się nie do poznania. W kącie bracia postawili wymyślne palenisko z kunsztownie wykutą kratą, ułożyli nową podłogę, wstawili ramy i szyby, naprawili ściany, podłożyli pod rogi budynku ogromne głazy, żeby nic się nie waliło i nie osiadało, a na nowych, również dębowych drzwiach uroczyście umocowano wielką na pół sążnia Świętą Brodę Durina.

Tego samego wieczora Torin, Folko i Malec w milczeniu patrzyli na płaszące w kominie ich nowego domu jęczyczki ognia. Hobbit doznał dziwnego wrażenia — po raz pierwszy czuł się gospodarzem, prawowitym właścicielem domu; było to

przyjemne, ale jakieś dziwne przeczucie, nagromadzone w duszy, podpowiadało mu, że niedługo tu miejsce zagrzeje, niedługo. . .

Rozdział 10

Namiestnik

Mijał październik; zimny suchy wiatr dawno już zerwał ostatnie bure liście z poczerwiałych gałęzi drzew, a po jasnym, czystym niebie ciągnęły setki błękitnawych smug dymu. Na ulicach Annuminas coraz częściej można było spotkać wozy wyładowane drwami; wszelkie znaki zwiastowały długą i ciężką zimę. Nieliczne kałuże na podwórzu oberży już zamarzły. Trójka przyjaciół mieszkała w nowym domu. Życie płynęło im spokojnie i niespiesznie. Torin ciągle machał młotem w kuźni, Folko w pocie czoła kręcił się przy piecu w oberży. Malec uczył hobbita sztuki walki i wyliczał zalety piwa w różnych zajazdach stolicy. Hobbitowi podobało się to nowe swobodne życie i w duchu z lekkim uśmiechem przypominał sobie własne naiwne marzenia, gdy z mieczem przy pasie, w targanym przez wiatr płaszczu jechał prowadzącą na północ drogą do Wrót Bucklandu. Jak poprzednio, często odwiedzał przyjaciół Rogwold, ale ich sprawa na dworze Namiestnika wcale nie posuwała się do przodu, i hobbit nawet cieszył się z tego. Wszystko jeszcze przed nimi! Torin rozważa marsz do Morii... To dobrze, rzecz jasna, ale będzie lepiej, jeśli wyprawa zostanie odłożona na później. Annuminas to takie wspaniałe miasto!

Folko był szanowany i ceniony w oberży, jego umiejętności przyciągnęły wielu nowych gości; gospodarz okazał się sprawiedliwy i hobbit nie mógł się uskarżać na brak pieniędzy. Pewnego dnia odwiedziła ich starszyzna cechu kucharzy stolicy, skosztowała przygotowanych przez hobbita potraw i wkrótce Folko, wpłacisz odpowiednią kwotę, stał się pełnoprawnym członkiem tego znakomitego bractwa, z pominięciem okresu ucznia i czeladnika. Nie bez dumy nosił więc teraz na rękawie kurtki i płaszcza herb cechu: stojący na ogniu trójnóg na czarnym polu wydłużonej tarczy, podtrzymywanej z obu stron przez barana i byka.

Przez miasto przetoczyły się jesienne jarmarki, gromadzące tłumy z całego Królestwa — od Gór Księżycowych do Mglistych i od północnego skraju Wzgórz Evendim do Południowych Wzniesień. Do Miasta ze wszystkich stron przybyło jeszcze więcej krasnoludów, niektórzy przyjechali aż z Ereboru. Pojawili się rów-

niez hobbici. Nieśmiało okupowali kąty ogromnego placu targowego, niepewni, z dość śmiesznymi minami. Kiedy Folko zbliżył się do nich, żeby poplotkować i trochę się pochwalić, w porządnym miejskim odzieniu, z herbem cechu, mieczem przy pasie, wywołał burzę pełnych zachwytu ochów i achów. Dowiedział się, że w jego ojczyźnie wszystko idzie po staremu, a znajomy hobbit z Bucklandu opowiedział, że rodzina mocno się zasmuciła, gdy jej nieprzystosowana latorośl zaginęła, wujaszek zaś przykazał wszystkim mieszkańcom Bucklandu, jeśli gdziekolwiek spotkają Folka, przekazać mu, że nikt się na niego nie gniewa i wszyscy oczekują jego powrotu.

Nie można powiedzieć, by Folka nie poruszyły te wieści. Nie, czasem i on odczuwał tęsknotę, gdy wspominał stare ściany Brandy Hallu, potężną Brandywinę pod oknami, gościnną karcznię w Spichlerzach i towarzyszy z okolicznych farm. Ale zdarzało się to nieczęsto — hobbita pociągało inne życie.

* * *

Ten dzień zapamiętał na długo — dwudziesty listopada według kalendarza Annuminas. Z samego rana wpadł do nich podniecony Rogwold, odziany w swoje najlepsze szaty.

— Zbierajcie się! — rzucił zdyszany od progu. — Namiestnik oczekuje nas w południe!

Niemal biegiem pokonali wspaniałe ulice i znaleźli się w centrum miasta, gdzie na brzegu jeziora stał otoczony wysokimi murami z wieżami i fosą pałac Namiestnika. Dwa kroki odeń szumiał swoim życiem plac targowy, a tu panowała uroczysta cisza. Bram strzegły liczne straże, odziane nie w biało-niebieskie, lecz w szare płaszcze z jedną ośmioramienną gwiazdą na lewym ramieniu — na pamiątkę Lunadończyków, którzy przez dziesięciolecia strzegli pokoju i spokoju północnych narodów. Wielu znajdujących się w szeregach osobistej gwardii Namiestnika wywodziło swój ród właśnie od nich, i tym chyba można było wyjaśnić ich wysoki wzrost i to szczególne spojrzenie — wzrok ludzi niosących niepostrzeżalne przez innych brzemię. Jeden ze strażników, na którego hełmie widniały po bokach skrzydła morskiej mewy, wysunął się do przodu. Rogwold wypowiedział hasło. Wysoki żołnierz w skrzydlatym hełmie ukłonił się z godnością.

— Proszę za mną. — Głos miał dźwięczny i mocny. — Namiestnik was oczekuje.

Przemierzywszy długi tunel, znaleźli się na niewielkim wewnętrznym dziedzińcu. O ile dziedzińiec za pierwszym murem zadziwiał pustką — za pierścieniem muru znajdowała się tylko wybrukowana pusta przestrzeń — o tyle tu wszędzie

widniały budynki, przeplatane dziwacznie wygiętymi kamiennymi i żelaznymi schodami; długie galerie ciągnęły się od jednej przybudówki do drugiej, tworząc złożony splot nad ich głowami. Przed nimi prowadziły do góry ogromne paradne schody, zbudowane z wielkich bloków czarnego kamienia. Folko natychmiast wspomniął Orthank, ale krasnolud tylko nieco pogardliwie zmarszczył nos.

— Zwyczajny kamień, tyle że ciemny. Mamy tego w górach pełno.

Pojawili się następni strażnicy. Skrzydła mew na ich hełmach były nieco posrebrzone, jak gdyby pióra ptaków tarł świeży morski wiatr, oznaki — położone. Przewodnik zatrzymał się, oddał honory mieczem. Jeden ze strażników powtórzył jego gest i wydał cichą, niezrozumiałą komendę. W odpowiedzi przewodnik odwrócił się i odmaszerował, nie zaszczycając gości ani jednym spojrzeniem.

Czarne schody wyprowadziły ich na balkon drugiego poziomu, przed szerokie trójskrzydłowe drzwi, od których we wszystkich kierunkach biegły galerie. Żołnierz odwrócił się i pomaszerował główną galerią, która prowadziła przez cały dziedziniec z powrotem do bramy i dwóch wysokich wież nad nią. Nad ich głowami ciągnęły się inne galerie, węższe od tej, po której szli, a z drugiego poziomu do góry prowadziły liczne kręte schody. Jeszcze wyżej zaś, na poziomie dachów, niebo przecinały wąskie przejścia wartownicze, podtrzymywane przez grube łańcuchy i stalowe liny. Po tych wiszących pomostach przez cały czas przechadzały się strażę.

Minęli galerię i zatrzymali się przed niepozornymi drzwiami w jednej z wież nad bramą. Drzwiczki te były tak wąskie i niskie, że krasnolud i Rogwold musieli przeciskać się bokiem. Folko zdołał zauważyć, że brwi łowczego uniosły się ze zdziwienia: do tego momentu wyglądał na człowieka, który przemierza znaną sobie drogę.

Kręte schody niczym olbrzymi wąż wiły się w cieple wieży, wznosząc się coraz wyżej i wyżej. Stopnie okazały się tak strome, że hobbit, by iść, zmuszony był pomagać sobie rękami. Z tyłu słyszał ciężkie sapanie Rogwolda.

Ale w końcu schody skończyły się i przyjaciele stanęli na placu pod samym dachem wieży.

— Tędy. — Przewodnik wskazał wąskie przejście po prawej, między strzelnicami.

W oświetlonym dziennym światłem korytarzu Folko dojrzał następne schody, tym razem wiodące w dół.

Raz do góry, raz na dół... Dlaczego nie od razu do celu? — pomyślał niezadowolony, nurkując za strażnikiem w korytarz.

Jednakże teraz mieli do przejścia niewiele. Minęli jeszcze jeden posterunek i znaleźli się w niedużej jasnej sali bez okien, ze ścianami przesłoniętymi biało-niebieskimi płótnami. Przy ścianie naprzeciwko wejścia, na podwyższeniu stał czarny drewniany fotel z wysokim oparciem i długimi podłokietnikami; nad nim

wisiał duży herb Zjednoczonego Królestwa. Folko najpierw zdziwił się, nie widząc okien ani świeczników, ale zerknąwszy do góry, zrozumiał, że światło przenika tutaj przez specjalne szczeliny, wycięte w dachu. Sala była pusta, tylko przy bokach fotela, czy też może tronu, stali dwaj strażnicy w pełnym uzbrojeniu.

— Poczekajcie tutaj — zwrócił się do nich przewodnik. — Ja muszę wracać na posterunek. Jego Wysokość zaraz się zjawi.

Strażnik złożył uroczysty ukłon i wyszedł, nie zwróciwszy uwagi na Rogwolda, który usiłował doń zagadać. Przyjaciele zostali sami.

— Ładne! — powiedział cicho Torin.

Stał z zadartą głową i przyglądał się rzeźbionym kamiennym belkom, podtrzymującym pokryty sztukaterią sufit. Sześć zbiegających się w centrum belek wyrzeźbiono na kształt smoków, wczepionych w swoje paszcze. Były też inne nieznanne hobbitowi zwierzęta i ptaki oraz kunsztowny ornament z motywów kwiatowych. Nie dało się zauważyć, jak ozdobione są ściany — kryły je tkaniny, a podłoga wyłożona była ośmiobocznymi perłowo-srebrzystymi gwiazdami na czarnym tle; znakomicie obrobione kamienie sprawiały wrażenie, że podłoga świeci. Torin nawet przykucnął, by lepiej się przyjrzeć.

— Dziwne — mruzczał do siebie. — Zwyczajny granit, ale chciałbym wiedzieć, co oni z nim zrobili.

Nie zdążył znaleźć odpowiedzi na swoje pytanie. Rozległy się kroki, biało-niebieskie zasłony drgnęły i do sali weszło siedmiu ludzi. Torin poderwał się pospiesznie. Cała trójka przyjaciół skłoniła z szacunkiem głowy. Człowiek, który pojawił się w sali pierwszy, wolno wszedł na podwyższenie i powoli usiadł w fotelu. Dało się słyszeć westchnienie, a potem w sali rozległ się spokojny, chłodny głos starego człowieka:

— Podejdźcie bliżej, nie stójcie przy drzwiach. — W jego głosie można było wyczuć zmęczenie i obojętność.

Pierwsze spojrzenie Folka, gdy podniósł głowę, skierowane było — naturalnie — na człowieka na tronie. Parzył na niego leciwy starzec, bardzo wysoki, zupełnie siwy, jego długie włosy opadały na ramiona, na czole ujęte, jak i u łowczego, opaską ze zwykłej skórzanej plecionki. Twarz była pokryta siatką głębokich zmarszczek, wysokie czoło przecinała stara biała blizna, dobrze widoczna na zbrązowiałej skórze. Chude starcze ręce spoczywały na podłokietnikach.

Namiestnik ubrany był zwyczajnie: w miękki szary płaszcz, nieróżniący się niczym od płaszczy strażników, bez żadnych ozdób i klejnotów. Tak samo proste było odzienie towarzyszących mu ludzi, również w podeszłym wieku. Jedyne różnica między nimi polegała na tym, że cała towarzysząca mu szóstka miała broń — bogatą, piękną i różnorodną. Długie miecze w ozdobionych kamieniami szlachetnymi pochwach, czekany, buzdygany, topory — wszystko zdobione srebrem i złotem, z misternymi inkrustacjami. Ale tym, co najbardziej zdumiało hobbita,

było znanie wieczystego, nieprzemijającego zmęczenia i tyleż wieczystej obojętności, które malowały się na ich spokojnych, niewzruszonych twarzach.

Przyjaciele podeszli do podwyższenia. Wyblakłe oczy Namiestnika stały się odrobinę cieplejsze, gdy zwrócił się do Rogwolda:

— Witaj, stary druhu, dawno cię nie widziałem w Annuminas. Czy udane były twe łowy?

— Polowanie było udane, Potężny, ale jeszcze bardziej udane były spotkania... Przynieśliśmy ci ważne wieści!

— Tak, tak, czytałem twój list — skinął głową Namiestnik. — A więc, od czego się to zaczęło?

Torin trącił łokciem Folka, ale ten nawet nie drgnął — zbyt bał się rozmowy z dumnym i majestatycznym władcą.

Krasnolud opowiedział o tym, jak wraz z obecnym tu przyjacielem, odważnym Folkiem Brandybuckiem, synem Hemfasta, schwytali w hobbitańskim lesie karzełka, który złamał zakaz Wielkiego Króla, i jak wywieźli się, że znalazł się on w Hobbitanii nieprzypadkowo.

Namiestnik słuchał cierpliwie i uważnie; Folkowi przyszła do głowy myśl, że jest to nic innego, jak często używana maska zmęczonego nieskończonym potokiem petycji człowieka. Kiedy krasnolud skończył, oczy Namiestnika wolno zwróciły się na hobbita.

— Czy tak wszystko się odbywało, jak opowiedział czcigodny syn Dartha? Może chciałbyś coś dodać?

Folko nic nie miał do powiedzenia. Namiestnik w milczeniu skinął głową, wymienił spojrzenie ze swoją świtą, po czym rzekł:

— Widzicie, my, rzecz jasna, przepytaliśmy karzełka. On jednakże twierdzi, że okrutnie napadnięto go z zasadzki na granicy Starego Lasu, gdzie wraz z pięcioma towarzyszami rozłożył się na biwak. Upieracie się przy swoich zeznaniach? Powiedz zatem, jaki uszczerbek poniósł twój kraj, czcigodny hobbicie? Milczysz... Nie, nie mogę w tym przypadku nic zrobić. Nie ma trzeciej strony, mogącej potwierdzić racje jednego z was dwóch. Dlatego — Namiestnik wyprostował się i podniósł prawą rękę — w imieniu Siedmiu Gwiazd rozkazuję: karzełka zwolnić.

— Dlaczego zwolnić? — zakrzyknął Torin. — Przecież wysłano go na poszukiwanie orków!

— Wierzę wam — powiedział Namiestnik spokojnie — i podjąłem pewne kroki. Nasi ludzie odwiedzili rodzinną wieś karzełka; nikt tam niczego nie wie. Naturalnie, o wszystkim powiadomiliśmy Króla, a także Edoras, ponieważ sprawa wiąże się z Isengardem.

— Ale przecież sprawa dotyczy naszych odwiecznych wrogów! — nie ustawał Torin, ignorując ostrzegawcze gesty Rogwolda.

— Co tu mówić o waszych odwiecznych wrogach, czcigodny krasnoludzie! — Brwi Namiestnika odrobinę zbliżyły się do siebie. — Są to wasze podziemne sprawy i wasi podziemni wrogowie. My nie mieszkamy się do tego. Ale rzekłem, będziemy uważnie obserwować Isengard.

Oszołomiony Torin zamilkł; Rogwold zrećcznie sprowadził rozmowę na inny temat. Ponaglany przez niego Folko, jękając się, opowiedział o zabitym hobbicie, którego ciało znalazł na Zachodnim Trakcie. Przez czoło Namiestnika przebiegła chmura.

— Ech, Erster, Erster! Nie dość tej nieudanej bitwy, to jeszcze zabójstwo! Źle pilnuje; znowu pod samym nosem rozboje! No. Nic to, pomożemy. Kronie! Dodaj dwa szwadrony do Przygórza! Niech dowodzi. . . Diz. I. . . niech przejmie dowództwo.

Jeden ze stojących przy tronie starców skłonił się i coś odnotował.

— Ale to nie wszystko: jest coś ważniejszego — kontynuował tymczasem Rogwold. — Mijając Mogilniki. . .

I szczegółowo zrelacjonował wydarzenia pamiętnego wieczora i równie pamiętnego dnia.

— Nikomu nie zakazuje się odwiedzania Mogilników — powiedział z westchnieniem Namiestnik. — Docierały do nas informacje, że dzieje się tam coś niedobrego.

— Ci, którzy tam byli, też stanęli przeciwko Ersterowi — powiedział Rogwold niezbyt głośno. — Wydaje mi się, że mają tam punkt zborny. Czy nie należałoby wzmocnić straży?

— Mądrze mówisz, mądrze — skinął głową Namiestnik. — Ty, stary przyjacielu, zawsze myślisz i radzisz mądrze. Tak właśnie postąpimy. Kronie! Każ włączyć do rozkazu dla Diza polecenie, by rozstawił łańcuch dokoła całego Pola Mogilników; i nie spuszczać z nich oka. Podejrzanych, którzy wchodzą tam w większych grupach i są uzbrojeni, zatrzymywać. Jak również uważniej obserwować Trakt! Szczególnie uważać na Białe Wzgórza i Hobbitanie. Rozkazów Wielkiego Króla przestrzegać przede wszystkim. Karawany hobbików mają otrzymywać konwoje w pierwszej kolejności! — Odwrócił się do przyjaciół. — No to jak, jesteście zadowoleni?

Krasnolud i Folko przestępowali z nogi na nogę.

— A co z upiorami? Co z tym mieczem wyjętym z popieliska, po który sięgał upiór, unicestwiony przez odważnego syna Hemfasta? — odezwał się zdenerwowany Torin.

Namiestnik westchnął, rozłożył ręce.

— Upiory są poza władzą ludzi — powiedział z żalem. — Żyją według własnych praw. Nikt, jak na razie, nie poniósł uszczerbku z powodu tych istot. Co proponujesz, żebym z nimi zrobił? Arnorska drużyna nie może walczyć z bezcielesnym przeciwnikiem.

— Hobbit zabił jedną z tych istot.

— Skąd wiesz? Takich istot nie unicestwia się strzałami, potrzebne są moce i wiedza elfów, którzy nas porzucili. . . Uspokój się, nie zostawimy tej sprawy bez należącego zainteresowania, i jeśli nasze strzały rzeczywiście mogą na coś się przydać, niech Wielka Elbereth błogosławi rękę i oko sprawnych łuczników! Niestety, dziś musimy bardziej myśleć o walce ze zbójami, z wrogami z krwi i kości. A co do tego miecza — Namiestnik nagle uniósł ciężkie powieki — to zostaw go sobie, czcigodny krasnoludzie. Prawdę mówiąc, nam się do niczego nie przyda, a i kto lepiej niż wy, krasnoludy, zrozumie jego kształt i ducha żelaza? Jeśli się dowiesz, gdzie przebywają ci zbójcy czy ich sprzymierzeńcy, którzy sprzedają, wbrew edyktowi, broń osobom postronnym bez specjalnego zezwolenia, przekaż to jak najprędzej naszej kancelarii; będziemy wdzięczni i potraktujemy sprawę z należąną uwagą. Natomiast zanim się rozstaniemy, albowiem wzywają mnie sprawy niecierpiące zwłoki, chcę zapytać was, dokąd się teraz udajecie. Pytam nie z próżnej ciekawości. Rzadki, niemal niemożliwy to w naszych czasach przypadek, kiedy hobbit i krasnolud wraz z człowiekiem przybyli do Annuminas, żeby uprzedzić nas o niebezpieczeństwie! Co was połączyło?

Torin podrapał się po głowie.

— Annuminas to tylko pierwszy etap naszej długiej i trudnej drogi — powiedział. — Niepokoją nas wydarzenia z niedawnej przeszłości i przede wszystkim to, że Szkutnik zabrał się do wznoszenia nowego muru. Po co mu, niezwykłemu, nowy mur?

Namiestnik uśmiechnął się.

— Wiem o tym i również się zdziwiłem, ale ponieważ Szare Przystanie to nasz stały łącznik z Gondorem, wkrótce dowiedziałem się od swoich ludzi, a potem potwierdził to sam Szkutnik, że czuje się on zmęczony życiem w Śródziemiu, czuje zew Morza i rozumie, że będzie musiał kiedyś odpłynąć na Samotną Wyspę, do Błogosławionego Królestwa w Najdalszym Zachodzie. Chce on, by narody Północy, i nie tylko Północy, wspominały go z miłością. Za część takiej pamiątki uważa to wspaniałe miasto, wznoszone właśnie na brzegu Zatoki Księżycowej. Stąd mur! Czy zaspokoilem waszą ciekawość? Mniej się obawiacie?

Rogwold skinął głową, ale Torin nie był zadowolony.

— Może to jest tak, a może inaczej. . . — bąknął powątpiewająco i ciągnął, podnosząc wzrok na Namiestnika: — Nie to jest najważniejsze. A oto co zmusiło mnie do wybrania się w drogę. Dochodzą nas jakieś dziwne słuchy z Morii.

Namiestnik ponownie skinął głową.

— Tak, tak, słyszałem. Meldowano mi o tym, do czyich powinności to należy. Zgoda, wydarzenia są dziwne. I bardzo dobrze, że wśród krasnoludów w końcu pojawił się ktoś, kto chce zbadać rzecz do końca! Nie będę krył, że jestem tym zainteresowany, dlatego przejdźmy do szczegółów. Jakie są wasze plany? Czy macie już umówioną drużynę, czy chcecie iść we trzech? Czy macie środki na wyprawę?

Mówcie śmiało i bez skrępowania. Postaram się wam pomóc, jeśli tylko będzie to w mojej mocy.

— Zamierzamy wyprawić się do Morii na wiosnę, kiedy spłynie śnieg z przedgórze Gór Mglistych — odpowiedział Torin, najwyraźniej ucieszony, że przynajmniej tą sprawą zainteresował się Namiestnik. — Czy mamy oddział? I tak, i nie. Ze dwudziestu moich rodaków już się zgłosiło, i szlachetny Rogwold, syn Mstara, okazał nam zaszczyt, towarzysząc w wyprawie, i Folko, syn Hemfasta. Termin wymarszu nie został ustalony, nie poczyniliśmy jeszcze specjalnych przygotowań. Jednakże mam nadzieję, że uda nam się przeniknąć do Morii i wyjaśnić raz na zawsze, co się tam dzieje.

— Czy to znaczy, że i Rogwold postanowił zamienić miecz na oskard? — uśmiechnął się Namiestnik. — Cóż, to dobrze. Jego mądra rada zawsze się wam przyda. Będą wam potrzebne pieniądze, broń, narzędzia, i wszystko to możecie otrzymać tutaj: pieniądze w skarbcu, a całą resztę w arsenale. Trodzie, wydaj polecenie! Czcigodny Torinie, mówiłeś o dwudziestu towarzyszach, ale jeśli wśród Arnorczyków znajdą się ochotnicy, nie będę się sprzeciwiał. Rogwoldzie, możesz zwrócić się bezpośrednio do mojej gwardii, jestem pewien, że chętni się znajdują.

— Dziękujemy ci, szacowny Namiestniku. — Torin złożył ukłon. — Nie bierz moich słów za wyraz nieufności do twojej męznej drużyny, ale ludzie nie są najlepszymi pomocnikami w podziemnych sprawach. W Morii ważniejsze są umiejętności. Tam są potrzebne krasnoludy.

— Cóż, wiesz lepiej, czcigodny Torinie — zgodził się Namiestnik. — Dam wam list podróżny na cały Arnor. Dostaniecie i kuce, i konie, i powozy, jeśli będą potrzebne. Mimo wszystko, Torinie, kiedy wyruszyacie, postarajcie się utrzymać łączność z Annuminas. Nikt nie wie, co czeka was w Morii, a ludzie mogą się przydać na powierzchni... Nie będę jednakże nalegał. A więc sprawa zdecydowana. — Skreślił kilka słów na małym kawałku pergaminu i podał go krasnoludowi. — Mając ten rozkaz, otrzymasz wszystko przed wyruszeniem na wyprawę, a wtedy powtórnie się spotkamy. Czy macie jeszcze jakieś pytania?

— Posłuchaj, panie! — nagle odważył się Folko i natychmiast się skonfundował. — I wybacz... Chciałem się tylko dowiedzieć, czy nie spotkałeś takiego człowieka, garbusa o imieniu Sandello? Zawsze zwyciężał w turniejach.

Na obliczu Namiestnika nagle pojawił się ponury, niedobry uśmiech, jego wzrok stał się ciężki jak ołów.

— Skąd go znasz? — Bezbarwne oczy wpatrywały się w Folka, ale młody hobbit wytrzymał to spojrzenie.

— Spotkałem go przypadkowo, na szlaku do Annuminas — odpowiedział możliwie spokojnie.

— Spotkałeś Sandella? — W nieruchomych oczach Namiestnika błysnęły zimne iskry, jak gdyby jakieś dawno zapomniane wydarzenia wypłynęły na powierzchnię jego pamięci. — Rozmawiałeś z nim?

— Nie, dowiedziałem się tylko, jak ma na imię i że znakomicie włada bronią. Folkowi z trudem udało się zachować spokój. Namiestnik wolno kiwał głową; zastanawiał się nad czymś.

— Znam Sandella — odpowiedział w końcu. — Dawno temu, jako zupełnie młody człowiek, Sandello przybył do Annuminas i nieoczekiwanie dla wszystkich wygrał turniej szermierczy. Mamy taki stary obyczaj, zwycięzcę czeka honorowa służba w arnorskiej drużynie i Sandello niewątpliwie liczył na to. Rozmawiałem z nim, wiem, że pochodzi z południa, zza Południowych Wzgórz, wcześniej został osierocony. Gdzie się nauczył sztuki walki, jest dla mnie zagadką, chociaż on sam twierdził, że do wszystkiego doszedł sam. Nie wziąłem garbusa do drużyny. Myśli tylko o sobie, nie obchodzą go losy jego ojczyzny. Zapytał mnie wprost, jakie dostanie wynagrodzenie jako zwycięzca turnieju. Poza tym, już wtedy, w młodości — a nie widziałem go od bardzo dawna — wydał mi się pełen zimnej, pogardliwej złości i zawiści. Jest wielkim mistrzem fechtunku, ale to za mało. Sandello i później pojawiał się w Annuminas, jeszcze trzykrotnie zwyciężał w turniejach, hardo odmawiał przyjęcia nagród i pieniędzy. Byłem nim zaintrygowany, nie będę ukrywał, lubię mistrzów, którzy osiągnęli doskonałość w jakiejś dziedzinie. Ale... — Namiestnik rozłożył ręce — zniknął; nie wiem, w jaki sposób i za co żył przez cały ten czas. Tak więc nie potrafię w pełni zaspokoić twojej ciekawości, czcigodny hobbicie. A teraz pora nam się pożegnać. Czekają mnie inne sprawy! — Namiestnik podniósł się i lekko skinął głową. — A ty, Rogwoldzie, nie zapomnij o mnie. Wkrótce zamierzam wybrać się na łowy, czekaj więc znaku ode mnie. Niech czuwają nad wami Siedem Wiecznych Gwiazd i Królowa Gwiazd!

Ochrona odprowadziła przyjaciół do zewnętrznego muru. Audiencja skończyła się, a w głowie Folka panował zamęt. Cóż dała im ta wizyta? Co naprawdę ważnego przekazali Namiestnikowi? Nie zainteresowała go historia karzełka, spokojnie potraktował Upiory Mogilników! Po co więc spieszyli do Annuminas, kogo obchodzą przyniesione przez nich wieści?! Folko zerknął na Torina. Doświadczony krasnolud maszerował, patrząc pod nogi. Rogwold był wesoły i ożywiony.

— No to jak, zadowoleni? Mam nadzieję, że was uspokoił?

— Uspokoił... — mruknął Torin. — Gadać potrafi, to pewne. Ale mnie nie opuszczają wątpliwości. Jasne, nic nie mam przeciwko wytrzebieniu zbójców, niech Durin ma nas w opiece! Ale dlaczego on nie rozumie, że karzełki to tylko ogniwo jakiegoś łańcucha, wiążącego niezrozumiałe dla nas wydarzenia?

— To nie jest takie proste — zaprotestował Rogwold. — Jakie masz dowody przeciwko karzełkowi? Tylko niedobre opowieści dotyczące ich plemienia. Nie mogą one jednak prowadzić do jakichś poważnych wywodów! Powiadasz, że posłano ich do Isengardu po orków. A skąd wiesz, że wysłał ich właśnie ten twój niewidzialny, żądny władzy nikczemnik?

— Masz inne wyjaśnienie? — zmrużył oczy Torin.

— Oczywiście. Karzełka przekupili i posłali sami orkowie, którzy jakimś cudem ocalili na północy i teraz szukają spokojnego miejsca. Isengard im bardzo odpowiada, na dodatek tam mieszkają ich ziomkowie. . . Nie pasuje?

Torin przygryzł wargę.

— Uważam, że powinniśmy nastawić się na najgorsze i przygotowywać do walki z nimi! — powiedział, pochyliwszy głowę.

— No to zamknijmy na głucho bramę miejską, każ kowalom w dzień i w nocy kuć sterty broni, zmuś wszystkich, by włożyli zbroje i chwycili za miecze, wyślij wszystkich mężczyzn i młodzieńców na granice, zacznij budowę wałów obronnych, przekształć kraj w jeden olbrzymi obóz wojskowy. — Rogwold mówił to z chmurą na czole, zagniewany. — Przecież każesz spodziewać się wszystkiego co najgorsze, a więc należy przygotowywać się na całego! Zobaczmy, co z tego wyjdzie. . . Ludzie chwycą za topory, dlatego że przywykli żyć po ludzku, odpowiadać za swoje życie i zajmować się przede wszystkim nim. W takim przypadku wszystkie przedsięwzięcia będą usprawiedliwione.

— Nie przekraczaj moich słów, Rogwoldzie! — W ciemnych oczach Torina błysnął gniew. — Nie chcę sprzeczać się z tobą tak głupio, ale przygotowywać się na najgorsze w moich ustach znaczyło tylko: nie machaj ręką na niepokojące wieści, tylko staraj się przynajmniej je sprawdzić!

— Namiestnik sprawdził twe słowa, Torinie, nie powinieneś w to wątpić — powiedział Rogwold cichym, pełnym złości głosem i już zamierzał dodać coś, gdy zaskoczony początkowo kłótnią Folko rzucił się między krasnoluda i człowieka, stojących twarzą w twarz.

— Przyjaciele, co z wami?! — Patrzył błagalnie z dołu do góry to na jednego, to na drugiego. — Co się stało? Opamiętajcie się! Przestańcie! Dość!

Czerwony jak rak Torin pierwszy odetchnął i odwrócił wzrok. Umilkł, opuściwszy oczy, Rogwold. Nastąpiła niezręczna cisza. Widać było, że i człowiekowi, i krasnoludowi było głupio.

— Pewnie oczekiwaliśmy zbyt wiele po tej rozmowie, a każdy z nas czegoś innego — wykrztusił w końcu Torin. — Wybacz mi, Rogwoldzie, obaj się rozgoryczkowaliśmy.

— Masz prawo myśleć i postępować, jak chcesz — wzruszył ramionami Rogwold. — Ale, Torinie, synu Dartha, jeśli chcesz zachować naszą przyjaźń, wystrzegaj się w przyszłości wymawiania nierozumnych słów o Namiestniku. Mogą cię dużo kosztować.

Łowczy stał, trzymając się pod boki i dumnie zadzierając brodę. Zaniepokojony Folko zauważył, że na policzkach krasnoluda zadrgały mięśnie i rumieniec znów wypłynął na jego oblicze.

— Proponuję, byśmy skończyli tę głupią kłótnię, czcigodny Rogwoldzie — rzekł krasnolud, wyraźnie zmuszając się do ugodowego tonu. — Jak mawiał Gandalf Szary, nasza kłótnia tylko raduje Mordor.

Rysy dumnego oblicza starego łowczego zmiękły; propozycja ugody, wydało się, zaspokoiła jego nieco naiwną starczą ambicję. Teraz on wyciągnął rękę do Torina:

— Dobrze, że zrozumiałeś to, Torinie, synu Dartha — oświadczył uroczyście. — Zapomnijmy o kłótni, tak będzie lepiej. Ale co tam ja?! — Niespodziewanie chwycił się za głowę. — Już południe! Muszę spieszyc do domu. Oddrun czeka. . .

Pospiesznie uklonił się i szybko oddalił, gwałtownie wymachując lewą ręką, bardzo zaniepokojony i trochę, w tej chwili, śmieszny. Krasnolud i hobbit długo odprowadzali go wzrokiem.

— Jak on się zmienił, tu w mieście — westchnął Folko. — Wiesz co, Torinie, tacy jak on powinni raczej przemierzać lasy.

— Skąd wiesz, gdzie jest prawdziwy Rogwold: teraz czy wtedy na miedzy, kiedy pomagał rozdzielić bijących się — mruknął Torin. — Dobra, chodźmy gdzieś, gardło całkiem mi wyschło.

* * *

Znowu płynęły tygodnie. Nad Annuminas wyły już pierwsze grudniowe zamiecie. Nocami w okna waliły śnieżne strzały, specjalne zespoły sprzątaczy przystąpiły do wywożenia śniegu z miejskich ulic. Folko poznał wszystkie radości bitew na śnieżki, z których zawsze wychodził zwycięsko dzięki swojej niezwyklej celności, ale z powodu mrozu musiał uszyć sobie buty. Do kilku zaledwie godzin skróciła się jasność dnia. Rogwold przedstawił im pierwszych myśliwych, którzy zamierzali iść z nimi do Morii, a gdy zajdzie potrzeba, i dalej. Wtedy Folkowi przydarzyła się dziwna historia.

Mieszkając w Annuminas, znalazł mnóstwo kramików, gdzie handlowano różnymi antykami oraz starymi księgami, i stał się ich głównym klientem. Handlarze dobrze go znali, za niewielką opłatą pozwalali czasem poczytać tę czy inną księgę. Hobbita szczególnie interesowały rękopisy traktujące o historii Pierwszej Ery i czasach założenia Arnoru. Najczęściej odwiedzał mieszczący się dwie ulice od ich domu kram, gdzie właściciel, ponury i nierozmowny, posiadał najstarsze księgi; trafiały się u niego nawet kopie dokumentów z archiwum, które pozostawił Wielkiemu Królowi sam Elrond.

Tego dnia Folko, wróciwszy z pracy, przygotowywał się do kolejnej wyprawy po kramach z książkami i nagle zauważył, że zapinka na jego ciepłym płaszczu zniknęła. Po kilku nieudanych próbach umocowania płaszcza na ramieniu za pomocą podręcznych środków nagle przypomniał sobie znaną w lesie zapinkę. Sięgnął do worka i jego palce natychmiast natrafiły na niewielki, twardy okrągły

przedmiot. Wyjął fibulę, zerknął na nią, znów dziwiąc się nieznanemu wzorowi, przypiął nią płaszcz, wziął sakwę z przyborami do pisania i wyszedł, dokładnie zamknawszy drzwi. Torin jeszcze siedział w kuźni, a Malec, jak zwykle, ciągnął piwo w jakiejś gospodzie.

Zasłaniając się ramieniem przed mocnymi uderzeniami kłującego i zimnego wiatru, wymieszanego z twardymi krupami śniegu, hobbit dotarł bez żadnych przygód do znajomych wąskich drzwi, nad którymi, poskrzypując na łańcuchu, kiwał się wykuty dziwny smok.

W kramie panował jak zawsze półmrok, z lekka tylko rozpraszany kilkoma świecami. Folko przywitał się z właścicielem, jak zwykle położył na ladę wcześniej odliczone srebro, a gospodarz, przyzwyczajony do jego wizyt, podał mu z półki gruby foliant w drewnianej oprawie. Gdy Folko odbierał księgę, wydało mu się, że ręce właściciela drżą. Jednakże patrzył na księgę i dlatego nie widział twarzy handlarza.

Usiadłszy w kącie, na swym zwykłym miejscu przy niewielkim stoliku, hobbit rzucił płaszcz i już smakując ciągle sprawiającą mu przyjemność lekturę, otworzył księgę; natychmiast pogrążył się w skomplikowanych perypetiach walk w Arnorze Trzeciej Ery. Nie zauważył, jak właściciel ostrożnie podszedł i pochylił się nad jego ramieniem. Kramarz był czymś bardzo zaniepokojony. Szybko i cicho wyszeptał do ucha hobbita kilka niezrozumiałych słów, coś jakby „Dale i Niebieski Ogień!”. Folko oderwał się od pożółkłych stron i zdziwiony popatrzył na handlarza.

— Co powiedziałaś, czcigodny Arharze?

Ten drgnął, a na jego twarzy pojawiło się zakłopotanie.

— Skąd masz tę rzecz, czcigodny hobbicie?

— Znalazłem w lesie — odpowiedział Folko, nie wdając się w szczegóły. — Dlaczego tak cię niepokoi, czcigodny Arharze?

— Widzisz, czcigodny Folko, to bardzo rzadki wyrób. Wiesz, że kolekcjonuję takie białe kruki, i akurat mam kilka przedmiotów podobnych do tej zapinki. — Zanurkował pod ladę i wkrótce pojawił się, trzymając w ręku srebrną sprzączkę z podobnym wzorem i ciężki okrągły kolczyk z brązu, z kilkoma identycznymi, tyle że niewielkimi, srebrnymi inkrustacjami. — To jest określony styl, który interesuje mnie w ostatnim czasie. Powiedz, czy bardzo jesteś do tej fibuli przywiązany? Nie chciałbyś jej sprzedać? Zapłaciłbym ci tyle, że mógłbyś sobie kupić, na przykład, pełne wydanie dzieła „Wyciąg Gerlada, wykonany przezeń z elfijskich pergaminów, подарowanych władcy naszemu, Wielkiemu Królowi Elessarowi, przez Elronda Półelfa, władcę Rivendell”! Co? Zgadzasz się?

Folko siedział oszołomiony. Od dawna marzył o posiadaniu tej księgi, ale właściciel bardzo ją cenił i był dumny z faktu jej posiadania. I oto nagle proponuje wymienić ją na jakąś zapinkę, nawet jeśli jest rzadka i cenna.

Folko zaniepokoił się i w tej samej chwili zrozumiał, że nie odda fibuli. Decyzja przyszła nie wiadomo skąd i wydawała się absurdalna, ale przecucie podpowiadało hobbitowi, żeby się nie spieszyć z odstąpieniem leśnego znaleziska.

— Czcigodny Arharze, nie mogę skorzystać z twojej propozycji. Przecież to nie moja rzecz, a prawa Hobbitanii zabraniają dysponować znalezionymi rzeczami, sprzedawać je czy wymieniać. Mam nadzieję, że znajdę właściciela tej zapinki i oddam mu zgubę.

Na obliczu handlarza wykwitł dziwny uśmiezek.

— Uważasz, że go odnajdziesz?

— Bardzo łatwo — odpowiedział hobbit, dziwiąc się własnej bystrości. — Będę nosił ją przy ubraniu i jeśli ktoś ją rozpozna, oddam z radością właścicielowi utraconą własność.

— A skąd będziesz wiedział, że cię nie okłamuje?

— Tylko ten, kto ją naprawdę zgubił, będzie mógł określić miejsce, gdzie ją znalazłem.

— Cóż, czcigodny Folko, twoja sprawa. Nie śmiem nalegać, chociaż, przyznam, żałuję. Moja propozycja jest ciągle aktualna, tak więc gdybyś się namyślił, zapraszam. — Właściciel pochylił głowę w ukłonie i oddalił się.

Akurat wtedy skrzypnęły drzwi i wszedł nowy klient. Arhar zajął się nim.

To zajście na długo pozostało w pamięci Folka. Opowiedział o nim Torinowi, który pochwalił jego decyzję.

— Dobrze zrobiłeś, Folko. Jeśli zapinka jest mu tak potrzebna, to może i nam się przyda — zauważył.

Tak zakończyła się owa historia, i wtedy nikt jeszcze nie mógł przewidzieć, że będzie miała dalszy ciąg.

Rozdział 11

„Pod Pochwą Andurila”

Minął grudzień, nadszedł nowy rok, minął styczeń. Nic się nie zmieniało: Folko w pocie czoła trzymał się w kuchni, Torin w kuźni, i — dziwna sprawa! — nawet Malec poszedł po rozum do głowy. Już dwukrotnie prosił Torina, by ten wziął go ze sobą, a w kuźni zadziwił mistrzów umiejętnością grawerowania i tłoczenia. Pokrył zwyczajną klingę pięknymi wzorami i to tak szybko, że słuch o jego sprawności rozszedł się po pracowniach Annuminas. Wkrótce wieczorami Torin i Folko mogli obserwować, jak przed płonącym kominkiem, pogwizdując pod nosem, siedział Malec, z ułożonym na pniaku długim stalowym ostrzem, i nie spiesząc się wykonywał wzory swoimi dziwacznymi narzędziami, które do tej pory leżały na samym dnie wora.

W miarę jak upływały tygodnie obfitej w śniegi zimy, z zaspami na wysokość człowieka, w ich domu coraz częściej zbierały się krasnoludy, których Torin wybrał jako przyszłych towarzyszy wyprawy. Przychodzili po dwóch, trzech, wieczorami, starannie zakrywając twarze kapturami. Wśród nich znaleźli się: Dorin i Hornborin, stary Wjard, który odrzucił swoje poprzednie obawy, Opalona Broda, czyli Bran; młody krasnolud Skidulf, ten, który pierwszy wszczął rozmowę z Torinem owego pamiętnego wieczora w Annuminas, trzej współplemieńcy Torina z Gór Księżycowych — Grani, Gimli i Tror: znalazło się także dwóch Moryjczyków — Gloin i Dwalin. Dwaj następni towarzysze pochodzili z Gór Mglistych — byli to Balin i Stron. A pewnego wieczora na progu ich domostwa pojawił się Hadobard. Folko nie słyszał, o czym Torin rozmawiał z nim w sieni, ale kiedy wrócił, twarz miał pociemniałą, a spojrzenie pełne złości. Hadobard już więcej się nie pojawił. Tymczasem Rogwold znalazł jedenastu ochotników z grona doświadczonych tropicieli, którzy dobrze orientowali się nie tylko w lasach, ale także w górach oraz jaskiniach.

I w końcu nastał ten dzień, gdy Torin, westchnąwszy z zadowoleniem, oświadczył, że skład drużyny został skompletowany. Stało się to w pierwszych dniach lutego, gdy w Annuminas panowały szczególnie okrutne mrozy. Nieprzwyacza-

jony do nich hobbit starał się jak najmniej wychodzić na dwór, Malec udzielał mu teraz lekcji nocami, w obszernej gościnnej izbie gospody. Hobbit okazał się zdolnym uczniem i szybko przyswajał trudną naukę dzięki wrodzonej zręczności i szybkości. Łuk także był w użyciu, a i noże do miotania nie leżały zapomniane.

Przez całą zimę Folko, Torin i Malec zachłannie wyłapywali każdą wiadomość z za rubieży, jednakże najczęściej wieści okazywały się zwyczajnymi plotkami, wierzyć zaś można było tylko temu, co przekazał Rogwold.

Mrozy i zasypane śniegiem nie sprzyjały penetracji lasów na koniach, w poszukiwaniu zbójów, jednakże okazało się, że zimno wyгнаło niektóre bandy z leśnych kryjówek. Kilka razy wpadali w urządzone przez żołnierzy zasadzki, a wtedy na głównym placu Annuminas, przy dużej liczbie widzów, odbywały się publiczne kaźnie hersztów, skazanych za zabójstwa i grabieże. Hobbita mdliło na samą myśl o tym, i w takie dni jak najszczelniej otulał się kocem, żeby niczego nie widzieć i nie słyszeć.

A tymczasem na granicy Angmaru, zamiast zwyczajnych konnych kuszników, pojawiły się szybkie lotne oddziały narciarzy; Folko miał kłopoty ze zrozumieniem, co to są narty — w jego ojczyźnie nie były znane. Oddziały te pojawiały się i znikwały jak nocne widma. O wiele trudniej było walczyć z nimi niż z jazdą — umiejętnie stosowały pozorowane wycofywanie się i niespodziewane uderzenia z zasadzek. Walki na północnym wschodzie toczyły się ze zmiennym powodzeniem.

Przed zimą liczba krasnoludów w mieście zmniejszyła się — wielu powróciło w ojczyste góry, zostali tylko ci, którzy nie mieli dokąd iść. Wszyscy żądni byli wieści z Morii, jednakże zamiast tego nadeszły wiadomości o potyczkach na wschodzie między krasnoludami z Żelaznych Wzgórz i nieznanym plemieniem, niższym od ludzi, który przybył skądś ze wschodu. Przybyszom spodobały się wygodne podziemne mieszkania krasnoludów i bez długich wstępów zaczęli wojnę. Do podziemi, oczywiście, nie przedostali się; krasnoludy poradziły sobie z próbami wykonania podkopów, ale napastnicy otoczyli Żelazne Wzgórze szczelnym pierścieniem i zaczęli przechwytywać kierujące się tam tabory z żywnością, a część hordy podążyła na zachód, omijając Samotną Górę z północy. Nad Żelaznymi Wzgórzami zawisła groźba głodu.

Półtora miesiąca minęło w dręczącym oczekiwaniu. Torin chodził nieswój, przebywające w Annuminas krasnoludy coraz głośniejszym głosem mówiły o konieczności zorganizowania wyprawy, aż nagle goniec z Gór Mglistych przyniósł radosne wieści. Krasnoludy z Samotnej Góry przyszły na pomoc swoim współplemieńcom wraz z ludźmi z Esgaroth, Dale i innych miast, wchodzących w skład królestwa Łuczniców. Nie wytrzymałszy naporu połączonych oddziałów, wrogowie uciekli gdzieś za Morze Rhun, ich wojsko przebiło się między Szarymi Górami i Lasem, po czym zniknęło bez śladu. Krasnoludy odetchnęły z ulgą.

— Tak, na wschodzie jeszcze pamiętają, którym końcem trzyma się miecz — zauważył Torin, wysłuchawszy tych wieści.

Pewnego jasnego dnia w końcu marca, gdy nad miastem świeciło opadające ku horyzontowi słońce, Folko znalazł się w oddalonej od centrum części Północnej Strony, której wcześniej nie odwiedzał. Nie można powiedzieć, by ta część była gorsza od innych, ale różnicę w poziomie życia mógł dostrzec. Budynki pomalowano nie tak starannie, ozdób na nich było mniej, porządek nie taki jak w centrum. Ludzie ubierali się biedniej, a w gospodach serwowano gorsze jedzenie.

Folko minął kilka przecznic, a potem, chcąc skrócić sobie drogę, ruszył wąską ścieżką, biegnącą tyłami podwórka. Dzielnica była rozległa, obejście jej zajęłoby zbyt dużo czasu, i hobbit postanowił pójść na skrót.

Wszedł już dość daleko w głąb dzielnicy, gdy nagle, jak uderzony, znieruchomiał, a potem runął na ziemię, nie zwracając uwagi na rzadkie błoto pod stopami. Usłyszał cichy, ledwie słyszalny śpiew, który dochodził z podwórka domu, stojącego nieco na uboczu. Tego śpiewu nie pomyliłby z niczym — słyszał go owej nocy podczas podchodzenia do Przygórza, gdy kryli się w przydrożnym rowie, a w poprzek drogi, w głąb Pól Mogilnych, maszerował Czarny Oddział!

Trzęsąc się ze wzburzenia, podkraść się bliżej do obsadzonego jakimś krzewami płotu. Wkrótce udało mu się znaleźć szparę, przez którą mógł widzieć całe podwórze.

Pośrodku ogrodzonej ścianami i płotem przestrzeni, obok kilku jabłoni szeroko rozpościerających gałęzie na ziemi siedzieli kręgiem ludzie. Niewielkie ognisko nie zdołało odeprzeć naporu wieczornego mroku, hobbit nie mógł więc dojrzeć ich twarzy. Siedząc ze skrzyżowanymi nogami, ciągnęli smętną pieśń w nieznanym języku.

Jeden z nich wstał, wolno sięgnął w przepastne poły płaszcza i wyjął niewielką skrzyneczkę. Śpiew przycichł, ale teraz dały się słyszeć smutek i gniew, i wezwanie, i niedobra nadzieja. Człowiek otworzył skrzyneczkę i postawił na ciemnej kępcie w pobliżu gasnącego ognia. Siedzący obok, jak na rozkaz, wyciągnęli ku niemu ręce i pochylili się w pokornym błaganiu. Pieśń umilkła, kilka chwil trwała cisza, a potem wierzchołek kępki niespodziewanie rozjarzył się. Folko drgnął; dojrzał niewielki trójgraniasty przedmiot, przypominający piramidkę w dobrze mu znanym widmowo-białym kolorze; nie mógł pomylić tego przedmiotu z niczym innym, ponieważ przebywał w sercu Mogilników. Domysł hobbita natychmiast potwierdził się: pieśń wybuchła z nową siłą, a piramida zmieniła kolor na krwawopurpurowy, krawędzie rozjarzyły się purpurowo-rudymi liniami. Nie było wątpliwości, Folko miał przed oczami kawałek Mylnego Kamienia! Siedzący poderwali się na równe nogi i podnieśli niezauważoną wcześniej broń — krótkie, grube miecze oraz zakrzywione sztylety. Postacie zawirowały dokoła pełgającego ognia, wysoko unosząc połyskujące purpurą ostrza.

Wkrótce kamień przestał świecić, tańczący znieruchomieli. Znowu opadli na kolana, wyciągając ręce do gasnącego ognia, a potem, jak gdyby coś chwyтали z powietrza i przyciskali dłonie do twarzy. Jakiś mężczyzna wstał i schował dziwny kamień; pozostali natychmiast podnieśli się z klęczek i skryli za drzwiami wychodzącymi na podwórze.

Odczekawszy chwilę, Folko wyszedł z krzaków, kilka razy obejrzał się, chcąc dobrze zapamiętać budynek, i co sił pognął do domu. Nie było sensu wzywać straży — trzeba jak najszybciej powiadomić Torina!

Oblicza przyjaciół zmieniały się, w miarę jak zdyszany Folko nieskładnie opowiadał o wydarzeniu, którego był świadkiem. Chwycili za broń.

— Malec, żywo po Rogwolda! Chociaż nie, poczekaj, zanim mu wyjaśnisz co i jak, siedem sztolni bym wykopał. . . Dobra, spróbujemy sami!

Z tymi słowami Torin wyskoczył na ulicę; za nim, w biegu przypinając dagę, sztylet o trójkątym ostrzu, biegł Malec. Folko westchnął i podążył za nimi. Po drodze zabrali Dorina i Brana, którzy mieszkali nieopodal, po czym już w piątkę pognali na Północną Stronę.

Folko bez trudu odnalazł podejrzany dom.

— Jesteś pewien? — zwał Torin. — Cicho dokoła. . . I nie różni się od innych.

Zamiast odpowiedzi hobbit dał nura w krzaki obok płotu i bez trudu odnalazł znaki, które powycinał nożem. Torin skinął głową z zadowoleniem.

— Kto tu mieszka? — zapytał Bran, chwytając oddech, i poprawił siekiere przy pasie. — Wilkołaki?

— Nie — odpowiedział Torin szeptem. — Ci, których widzieliśmy w Mogilnikach. . .

— No to zabawimy się! — syknął Dorin, nieuchwytnym dla wzroku ruchem wyszarpując zza pasa topór, który wziął ze sobą mimo zakazu. — Stęskniłem się za robotą, niemal całe życie na to czekałem.

— Poczekaj, zrobimy tak — przerwał mu Torin. — Ja, Folko i Malec włączymy przez płot, zobaczymy, co tam jest na ziemi. A ty i Bran w razie czego będziecie nas osłaniali.

Zręczne ręce Malca w jednej chwili oderwały kilka desek i Torin pierwszy przedostał się na podwórko. Folko, drżąc z ogarniającej go gorączki bitewnej — nie bał się niczego, wszak przyjaciele byli obok! — ruszył za nim. Wszystko odbyło się cicho, nikt ich nie zauważył.

— Gdzie ta rzecz? — zapytał szeptem Torin czołgającego się za nim hobbita. — Tu rzeczywiście jest jakieś popielisko. . .

Pęzli wolniej, starając się nie hałasować, i dokładnie obmacywali rękami ziemię. Pierwszy znalazł coś Malec — nagle jęknął cicho i przywołał pozostałych.

— Ciszej bądź! — syknął na niego Torin. — Znalazłeś coś — zuch; potem zobaczymy. To twoje syczenie obudzi pół miasta!

Czułe palce hobbita wycacały na kępce niewielkie, ledwo wyczuwalne trójkątne zagłębienie. Torin przejechał po nim dłonią i westchnął.

— Tak, coś tu jest. . . Teraz poszukajmy dokoła. Aha, gdzie oni znikli? W tych drugich od prawej drzwiach? Zaraz zobaczymy. Hej, Mały, pełnij za mną, a ty, Folko, zostań tutaj. My za chwilę. . .

Folko zamarł, rozpaczliwie wpijając się szeroko otwartymi oczami w mrok. Nie ośmielił się złamać polecenia, aż do bólu ścisnął w garści łuk i już szacował, jak pośle strzałę w głowę pierwszego wroga, który stanie w drzwiach, gdy nieopodal rozległ się szelest i pojawili się Malec oraz Torin.

— Ciekawa sprawa — oświadczył Torin. — To dość duża szopa, stoi na uboczu. Obeszliśmy całą dokoła, ale wszystkie drzwi są zamknięte od zewnątrz! Malec zerknął do środka, tam jest pusto! Nie ma nikogo!

— Może przeszli do domu? — zastanawiał się hobbit.

— Nie sądzę — odpowiedział Torin. — Doczołgaliśmy się do ścieżki. Jest stratowana ciężkimi buciorami, ale jasne, że goście szli nie do domu, lecz w kierunku furty na zewnątrz! Wygląda, że goście — fru! Poszukajmy więc jeszcze, a potem. . . Potem wpadniemy na chwilkę do tutejszych gospodarzy!

Zaczęli znowu przeszukiwać mokrą ziemię dokoła przygniecionego kopczyka. Niespodziewanie palce hobbita, przyzwyczajone już do zimna i wilgoci, natrafiły na coś miękkiego, suchego i jeszcze ciepłego. A więc natknął się na popielisko. Już chciał skrócić w bok, gdy wycacał coś twardego i płaskiego. Szeptem zawołał krasnoluda:

— Torinie! Coś tu jest w popiele!

To był mały nożyk, długi mniej więcej jak jego dłoń, z prostą rękojeścią — na dotyk wydawała się zupełnie gładka — i bardzo ostry; później znalazł w popiele jeszcze dwa takie same nożyki.

Po kilku bezowocnych próbach dojrzenia czegoś w otaczającym mroku, Torin cicho zaklął, a w końcu polecił hobbitowi i Malcowi, żeby osłonili go połami płaszczy; szybko skrzesał iskrę i zapalił jedno z zawsze noszonych w kieszeni smołowanych powróseł. W migoczącym świetle małej pochodni mogli dokładnie przypatrzeć się znalezisku.

Nie było wątpliwości — trzymali w rękach dokładne kopie tych mieczy, na które natknęli się w dużym popielisku na Polu Mogilników. Torin przetarł ostrze rękawem, przysunął ogienek i zobaczyli tę samą zagadkową cechę z łamaną linią, podobną do widzianych z boku schodów. Splunął ze złością i zgasił pochodnię.

— Czy nie ma tu kości? — zapytał cichutko i włożył rękę do popieliska.

Nie szukał długo. Wkrótce trzymał pełną garść opalonych połamanych kostek. Musieli znowu rozpalić pochodnię i występujący w charakterze znawcy przedmiotu hobbit określił, że są to kości ptaków, najprawdopodobniej kurze.

— Do pełnego szczęścia brakuje nam teraz tylko tych szarych — syknął krasnolud Folkowi do ucha. — Dobra, tu już nie mamy nic do roboty, najważniejsze

już wiemy. Teraz wracajmy, doprowadzimy się do porządku i wpadniemy do domu.

Wyczołgali się na zewnątrz. Dokładny Torin ręką buzdycanu przybił nawet na miejsce wyrwane wcześniej deski.

Teraz całą piątką ruszyli dokoła obejścia. Wkrótce znaleźli się przy domu, drzwi były wypaczone, rozeschnięte, okna ciemne i tylko w jednym, na poddaszu, słabo migotał ledwie widoczny płomyk. Przyjaciele oczyścili ubranie z błota, ukryli broń pod płaszczami i Torin, zbliżywszy się do drzwi, mocno i pewnie zastukał.

Na przekór oczekiwaniom drzwi otworzyły się od razu. W ciemnościach za progiem pływał trzymany niewidzialną ręką świecznik z palącą się świecą. Ręka należała do owinętej w płaszcz niskiej chudej postaci, która stała nieruchomo i w milczeniu przyglądała się Torinowi.

— Prosimy o wybaczenie czcigodnych gospodarzy — zaczął krasnolud. — Chcemy się widzieć z kimś z goszczących w szopie...

— Odeszli — padła obojętna odpowiedź; Folko nie wiedział, czy głos należy do mężczyzny, czy do kobiety, ile ma lat, czy jest to osoba starsza, czy młoda.

— Odeszli nie tak dawno — ciągnął głos. — Zatrzymali się tu na kilka dni, na czas handlu w mieście...

— A skąd oni byli, nie wiecie, gospodarzu, przypadkiem? — obojętnie zapytał Torin.

— Skąd mam wiedzieć... — W głosie mówiącej postaci dał się słyszeć tłumiony śmiech. — Czasem puszczam do siebie tych, którzy nie mają pieniędzy na kwaterę w centrum. A imionami się nie interesuję, byle mieli pozwolenie na handel i myto opłacone.

— Ile czasu tu gościli? — dopytywał się krasnolud.

— Trzy dni.

W głosie nie słyhać było ani zdziwienia, ani irytacji. Wydawało się, że gospodarz przywykł odpowiadać na takie pytania każdemu, kto ni stąd, ni zowąd interesuje się jego gośćmi. Torin westchnął i przygryzł wargę.

— Co to byli za ludzie? W jakim języku mówili, jak byli ubrani? Jakby nieumyślnie poruszył potężnym ramieniem i przysunął się do drzwi.

— A wyście co za jedni? Straż miejska? Od kiedy to obywatele Zjednoczonego Królestwa powinni opowiadać się przed krasnoludami!?

Postać dość bezceremonialnie odepchnęła Torina, który zaskoczony odrobinię się cofnął. To wystarczyło, by drzwi z trzaskiem zamknęły się przed nosem pytających. Rozległ się stłumiony głos:

— Spróbujecie się włamywać, to zakosztujecie strzał!

Po krótkiej naradzie krasnoludy uznały odwrót za uzasadniony, szczególnie że najważniejsze już wiedziały. Folko przekonał ich jeszcze, żeby wrócili na podwórko i zakopali znalezione w popielisku noże.

Z powrotem szli wolno. Dorin rwał się do zawiadomienia wszystkich znajomych krasnoludów i puszczenia z dymem tego gniazda żmij. Przyjaciołom z trudem udało się go uspokoić.

— Wiemy i tak już wystarczająco dużo — uspokajał go Torin. — Ludzie z Czarnych Oddziałów mają dostęp do miasta. Kim są, nieważne. Służą Złu z Początku Dni, a to znaczy, że czas nam chwycić za topory.

Niewesoły był ten wieczór w Annuminas. Mniej niż dwa tygodnie zostało do dnia wymarszu, a tu — proszę! Posłany po Rogwolda Malec wyciągnął łowczego z łóżka mimo wściekłych protestów Oddrun. Były setnik wysłuchał ich opowieści i chwycił się za głowę.

— Jutro rano pójde do Namiestnika — wycedził przez zęby. — Tego już za wiele! Ale nic to! Wzmocnimy strażę, nie pozwolimy temu plugastwu bezkarnie przechadzać się po naszej stolicy! Zapamiętaliście dom? Zajmą się nim bezwzględnie.

— Został tam Bran — wtrącił się Torin.

— Mądrze, bardzo mądrze — pochwalił Rogwold. — Zaraz udam się do strażnicy, niech otoczą dom. Nikt nie może umknąć!

Jednakże świt przyniósł przyjaciołom rozczarowanie. Torina, Folka i Malca wyrwał ze snu zły i niewyspany Rogwold. Wszedł, ze złością zdarł z siebie płaszcz i zwinawszy go w kłębek, cisnął w kąt.

— Znaleźli tam tylko na poły ślepą staruszkę, wdowę po drobnym handlarzu — zaczął ponurym głosem. — Rzeczywiście wynajmuje przyjezdnym swoją szopę oraz pokoje w domu. Tego wieczora poprosili o kwaterę dwaj zwyczajnie odziani obcy, niewysocy. Powiada, że przyłynęli łódką z drugiej strony jeziora. Według jej słów mieli opłacone myto i dlatego ich przyjęła. A teraz — łowczy uśmiechnął się — dziękuje Wszechpotężnym Gwiazdom, że im nie odmówiła! W nocy, powiada, do drzwi ktoś walił, lecz goście, za co jest im wdzięczna, powiedzieli: „Siedź tu, matulu, sami to załatwimy”, a potem na dole ktoś z tych włamujących się ryczał nieludzkim głosem. Najadła się strachu!... Ci nieznani oznajmili: „Pójdziemy po straż”. I poszli. Przychodzimy do niej, a ona mówi: „Jak to dobrze! Moi goście was przysłali?”. Ja udałem, że tak. Ale ona nic więcej nie wie i nie widziała. Dziwna ta starucha. Ale w mieście ją znają... Jednym słowem, owinęli was wokół małego palca, przyjaciele!

— Trudno — warknął Torin. — Nie będziemy przecież siedzieć w Annuminas do końca świata i czyhać na tych szubrawców! Mamy spraw po czubek głowy. Jeszcze trochę i wyruszamy, a kuce niekupione, wozy nienaprawione, zapasy niespakowane... Rogwoldzie, postaraj się jakoś wbić do głowy miejscowym strażnikom, żeby nie tylko krasnoludom odbierano topory!

Po tych wszystkich niespokojnych wydarzeniach należało solidnie splotkać gardło i posilić się należycie, więc wieczorem Torin, Malec i Folko siedzieli w przytulnej niewielkiej gospodzie „Pod Pochwą Andurila” nieopodal miejskiej

bramy. Według opinii Malca, której nikt nie śmiał podważać wobec jego olbrzymiego doświadczenia, podawano tu najlepsze w Annuminas piwo. Sala gospody była podłużna, pod oknami znajdowały się szerokie ławy; drzemało na nich już kilka osób, owiniętych w zniszczone płaszcze. Gości nie było zbyt wielu: czworo przy długim stole na środku, przy którym zasiadła również trójka przyjaciół, oraz kilku przy małych stolikach wzdłuż ściany bez okien. Folko już widział, że niemal we wszystkich gospodach Annuminas, prócz wielkich wspólnych stołów, było kilka mniejszych, żeby chętni mogli porozmawiać bez świadków.

Przyjaciele siedzieli sobie, od czasu do czasu wymieniając jakieś uwagi. Krasnoludy moczyły brody w gęstej śnieżnobiałej pianie. Folko rozkoszował się małymi łykami. Malec miał rację — tu rzeczywiście podawano najlepsze piwo w Annuminas! Było spokojnie i nawet zmarszczone czoło Torina trochę się wygładziło.

Nieopodal przy małym stoliku pod ścianą siedzieli dwaj pogrążeni w rozmowie mężczyźni. Folko bezmyślnie wodził wzrokiem po izbie i dopiero ci dwaj zwrócili jego uwagę. Trudno powiedzieć, co było tego powodem, jednakże poczuł zaskakujący i nieprzyjemny chłód w piersi, który przypominał mu przeżycia w Mogilnikach. Obudziła się w nim czujność i zaczął ich bacznie obserwować.

Hobbit nie widział ich twarzy: jeden siedział do niego plecami, a twarzy drugiego nie widział; przesłaniała ją sylwetka pierwszego. Ten odwrócony plecami miał długie siwe włosy, a ubrany był w szary kaftan ze zwykłym białym kołnierzem. Przygarbione plecy zdradzały podeszły wiek, potwierdzała to spoczywająca na stole brązowawa, pomarszczona dłoń prawej ręki ze skromną srebrną bransoletą na przegubie. Obok jego krzesła stała oparta o stół czarna laska. Sądząc po wyglądzie, był mieszkańcem miasta, leciwym i zapewne dość majątnym; przyjrawszy się uważniej, Folko zauważył między palcami prawej ręki starca czarną plamę, co oznaczało, że musi dużo pisać.

O drugim człowieku nie dało się powiedzieć nawet tyle. Siedział nieruchomo, róg szynkwasa rzucał cień na jego twarz, i hobbit mógł tylko zobaczyć krótką jasną brodę i tego samego koloru włosy opadające na ramiona. Stół przed nimi zastawiony był talerzami i półmiskami; goście pili nie piwo, tylko czerwone gondorskie wino.

Mówili głośno, i Folko słyszał ich rozmowę. Odezwał się jasnobrody:

— Dzięki ci za wszystko, co powiedziałeś, czcigodny Teofraście. Bardzo mi pomogły rozmowy z tobą, choć wydaje mi się, że nie masz do końca racji. Wiem, w swoim życiu napisałeś pewnie więcej ksiąg, niż ja przeczytałem, ale klnę się na stopnie Wielkich Schodów (Folko drgnął) — nie bój się, schody mogą prowadzić do nieba — że napisałeś swoje księgi, nie ruszając się poza granice tego miasta, a ja, z tego czy innego powodu, zmuszony byłem dużo wędrować, i wiedz, że w bezkresnych zielonych stepach i lasach Estlandu do tej pory śpiewają pieśni o śmiałkach, którzy padli pod murami Minas Tirith, a przez równiny Haradu co roku ciągną szeregi rycerzy, żeby pokłonić się Czarnej Skale, na której złotem

wypisane są imiona wodzów, walczących pod Białym Królem na Polach Pelennoru!

Folko nie widział twarzy mówiącego, słyszał tylko jego głos, miękki, ale dźwięczny, pełen utajonej siły; wyczuwało się w nim doświadczenie przeżytych lat. Głos przykuwał uwagę czającą się w nim potęgą, ale mimo to Folko nagle zadrżał, gdy sens wypowiedzianych słów dotarł do jego świadomości.

Jak to, jest zwolennikiem Czarnego Władcy czy co? — pomyślał oszołomiony. — Co on plecie?!

Trącił łokciem Torina, a gdy krasnolud odwrócił się do niego, przyłożył palec do ust i pokazał wzrokiem gości, jednocześnie nieznacznie dotykając ręką ucha. Torin zrozumiał, zaniepokoił się i również zaczął przysłuchiwać się rozmowie.

— Ale wszystkie wspomniane przez ciebie ludy szły w bój, podporządkowując się obcej całemu Śródziemiu woli, szły po łupy, szły palić i grabić — nie zgodził się z jasnobrodym ten, którego nazwano Teofrastem.

Starzec mówił spokojnie, tonem nieco pobłażliwym. Popijał wino, pod białym kołnierzem można było zobaczyć złoty łańcuch.

— Wola? — uśmiechnął się jasnobrody w odpowiedzi. — Każda wola, czy to obca, czy swoja, jeśli prowadzi mężów do godnych tej nazwy czynów czy nawet do pięknej śmierci, tak czy owak, jest słuszna. A co do łupów? Wiesz nie gorzej niż ja, który tam bywałem, że lasy Estlandu są niezmiernie bogate w zwierzyńnię i ptactwo, a i konie ichniejsze nie ustępują tym, które się pasą na równinach Rohanu. Natomiast rzeki Haradu niosą złota więcej, niż mogą wydobyć wszystkie krasnoludy Śródziemia! I ta obca wola nie odebrała im ani szlachetności, ani dumy. Bywałem i w jednym kraju, i w drugim, dzieliłem z nimi jadło i mieszkanie, w lasach, w przedgórzach, i ze spotkanymi tam mężami śmiało poszedłbym w każdy, nawet ostatni bój. Jest tam wielu godnych ludzi! Nawet wśród Dunlandczyków, którzy jakby zapomnieli o swych starych sporach z Rohanem, spotkałem ludzi gardzących tymi, którzy przyjęli życie z rąk zwycięzców, którzy prosili o litość w bitwie pod murami Hornburgu, i to samo dotyczy ich potomków.

— Co ty mówisz?! Przecież nieśli śmierć i zniszczenie, koniec wolności Zachodu, zabijali niewinnych, bezbronnych, nie szczędząc ni kobiet, ni dzieci, ni starców!

Teofrast odchylił się na oparcie krzesła, w jego głosie wyczuwało się zdziwienie.

— Wybacz, dostojny nauczycielu, ale twe słowa po prostu mnie śmieszają. Wojna jest rzeczą okrutną, to prawda stara jak świat. Któż jak nie ty, najznakomitszy kronikarz Śródziemia, wie, że w pomroce dziejów giną krwawe porachunki między narodami. Nie myśmy zaczęli, nie my zakończymy.

Głos jasnobrodego stał się twardszy, chłodniejszy.

— Ale od początku waśni walczyli o niesłuszną sprawę. Chcieli zniszczyć to najjaśniejsze, co jest w Śródziemiu, jego wielki cud — Pierworodne Elfy, które nigdy nie uczyniły zła ludziom!

— Elfy? Ta żywa, śpiewająca nieśmiertelność? Są nam obcy z natury. Owszem, to Pierworodni, ale kto im pozwolił kierować naszym losem, losami całych narodów?! Rzucali nam okruchy swej wielkiej wiedzy, jak my rzucamy psom kości w czasie wielkiej uczy!

Teraz w głosie jasnobrodego rozbrzmiewała długo powstrzymywana złość, już niemal krzyczał.

— Opamiętaj się, przecież tyle razy walczyli ramię w ramię z ludźmi, ratując Śródziemie przed władzą Nieprzyjaciela! Przypomnij sobie moje opowieści o Pierwszej Erze!

— Nawet wtedy o wyniku wojny zdecydowali właśnie ludzie. Ta walka była przede wszystkim walką ludzi, a ty sam mi powiedziałeś, że na Polach Pelennoru ludzie bili się z ludźmi.

— Ale walka z elfami oznacza, że sami pozbawiamy się odchodzącej wraz z nimi wielkiej wiedzy!

Teofrast, oszołomiony i zdumiony, słabo się bronił. Natomiast głos jasnobrodego wskazywał na żelazną pewność i niewzruszoną wolę. Odpowiedział, wolno cedząc słowa:

— Wcześniej czy później ludzie sami posiadą całą tę wiedzę, uczynią to własnymi rękami. Nie potrzebujemy jałmużny!

— Twe serce jest z kamienia — westchnął smutno Teofrast.

— Być może — odpowiedział jasnobrody, ścisząc głos. — Ale skamieniało ono, gdy patrzyłem na ponury za sprawą elfów świat Śródziemia!

— Nie mogę się z tobą zgodzić... Co będzie z innymi ludami, żyjącymi w naszym świecie? Co będzie z tymi dobrodusznymi krasnoludami? Popatrz na tę wspaniałą kratę przy kominku, ich robota! A co do brody Durina, którą ozdobili kratę, to wszak każdy naród ma prawo do własnych podań i legend.

Głos jasnobrodego stał się odrobinę cieplejszy, gdy odpowiedział:

— Masz rację, to dobry lud. Szczególnie gdy zamieni kilofy na bojowe topory!

Słyszac te słowa, Torin poderwał się i szepnął na ucho Folkowi:

— Dobrze mówi o krasnoludach! Rozumie nas! To rzadki przypadek!

Tymczasem jasnobrody ciągnął:

— Jednakże to my ich karmimy! W roku głodu worek złota jest tańszy od worka pszenicy i jakoś nie słyszałem, żeby w podziemiach nauczyli się uprawiać zboże! Krasnoludy mogą żyć tylko z nami, ludźmi, i od nas teraz zależy, jak potoczą się ich losy.

Skrzypnęły drzwi wejściowe i do sali weszli dwaj strażnicy miejscy w swoich biało-niebieskich płaszczach. Mieli na głowach hełmy, przy pasach miecze; wydawało się, że kogoś szukają, ponieważ przyglądali się gościom siedzącym w go-

spodzie. Nagle jeden z nich trącił drugiego łokciem, wskazując podbródkiem stół, przy którym siedzieli Teofrast i jasnobrody. Teofrast zaczął coś gorączkowo tłumaczyć wygodnie siedzącemu rozmówcy, gdy strażnicy dość bezceremonialnie wtrącili się do ich rozmowy. Jeden z nich stanął za plecami Teofrasta, drugi podszedł do jasnobrodego z prawej.

— Czcigodni, musimy na pewien czas wstrzymać waszą rozmowę — zaczął stojący obok jasnobrodego strażnik. — Musimy zadać jednemu z was kilka pytań. Posłuchaj, wędrowcze, czy to nie twój koń stoi przy koniowiązie, jabłkowy z brązowym siodłem z czerwonym łąkiem?

— Pewnie, że mój, skoro na nim przyjechałem — odpowiedział spokojnie jasnobrody, nie ruszając się z miejsca.

— Więc dlaczego... — zaczął strażnik.

Nagle jasnobrody wykonał błyskawiczny ruch, odrzucając do tyłu krzesło. Nad zastawionym stołem błysnęła obleczona w pancerną rękawicę pięść i pechowy strażnik runął na ziemię. Zanim ktokolwiek zrozumiał, co się stało, również drugi strażnik, który wywrócił stół i ruszył na jasnobrodego, nagle zachwiał się, chwycił za głowę, jęknął i osunął na podłogę — to jakiś człowiek, drzemający do tego czasu na ławce, celnie ugodził go w twarz ciężkim garnkiem, który znajdował się pod ręką. Miotający rzucił się do drzwi, poły jego płaszcz rozwiały się gwałtownie, a Folko z uczuciem zdziwienia i strachu rozpoznał w tym człowieku garbusa Sandella.

W drzwiach garbus zatrzymał się na moment, ale tylko po to, by przepuścić przed sobą jasnobrodego. Znikli, a z dziedzińca rozległy się krzyki, szczęk broni, potem słychać już było tylko tętent końskich kopyt.

Leżący dotychczas na ławkach zaczęli się podnosić, ktoś usiadł, ktoś otworzył oczy. Do sali wpadł tłum uzbrojonych strażników, spieszących z pomocą swoim towarzyszom. Jeden z nich, widocznie najstarszy stopniem, pomógł podnieść się kronikarzowi.

— Jak to! — zakrzyknął dowódca, zerknąwszy na twarz starca. — Czy to możliwe? Czcigodny Teofrast! Nigdy bym nie pomyślał, że do pisania swoich kronik potrzebujesz towarzystwa koniokrada! Będziesz musiał o tym opowiedzieć dowódcy straży Skibaldowi! A w przyszłości wystrzegaj się nieodpowiednich znajomości! — Odwrócił się do powalonego strażnika. — Co tu zaszło, Fritz? Jak mogłeś dać się tak zhańbić?

— Kapitanie... — wychrypiał błagalnie nazwany Fritzem i splunął krwią. — Jestem winien... Ale kto mógł przypuszczać?

— Dobrze! — przerwał mu kapitan. — O wszystkim opowiesz Skibaldowi. Chodźmy, chłopcy! A ty, czcigodny — znów zwrócił się do Teofrasta, który wciąż trzymał się za bok i pojękiwał — pojutrze masz się stawić przed Skibaldem. Niech ta historia będzie dla ciebie nauką. A na razie żegnaj!

Kapitan wyszedł energicznie, za nim ruszyli pozostali strażnicy. Wystraszeni goście, w tym i ci, którzy drzemali pod ścianami, pospiesznie opuszczali gospodę. W opustoszałej sali pozostali tylko niczego nierozumiejący gospodarz, poturbowany kronikarz i trójka przyjaciół.

Folko siedział oszołomiony i zdezorientowany.

Sandello jest w mieście! — myślał rozgorączkowany. Razem z jasnobrodym! Czy nie jemu właśnie służy?! Starzec pewnie zna jasnobrodego! Nie wolno go spuścić z oka!

— Torinie, ten starzec! . . .

— Słusznie. Też o tym pomyślałem.

Wstali i podeszli do Teofrasta, który ciągle siedział i masował obolały bok.

— Widzimy, że nie czujesz się dobrze, czcigodny. — Torin usiłował włożyć w te słowa możliwie dużo szacunku. — Czy możemy w czymś ci pomóc? Może odprowadzimy cię do domu?

Teofrast miał bladą, pomarszczoną twarz o inteligentnym wyrazie, w której wyróżniały się głęboko osadzone czarne oczy, przenikliwe i uważne; wraz z latami nie straciły blasku i bystrego spojrzenia.

— Niech się wam odwdzięczą Wielkie Gwiazdy — powiedział cicho. — Zawsze wiedziałem, że wy, krasnoludy, jesteście szlachetnym ludem. . . Tak, jeśli możecie, odprowadźcie mnie. Z trudnością się poruszam. . .

Torin i Malec z obu stron podtrzymywali starego kronikarza, Folko szedł z przodu, trzymając torbę Teofrasta oraz jego kostur. Starzec początkowo pojękiwał przy każdym kroku, ale stopniowo odzyskiwał siły, tak że mógł odpowiadać na pytania krasnoluda i hobbita.

— O tak, czcigodny krasnoludzie i nie mniej szlachetny hobbitcie, zwą mnie Teofrast, syn Argeleba, a jestem nadwornym kronikarzem Północnej Korony. Od wielu lat gromadzę porozrzucane po starych księgach wiadomości z historii Śródziemia, prowadzę również kroniki, w których odnotowuję wszystkie wydarzenia dziejące się w Arnorze, przepytuję świadków, zbieram opowieści i zapisuję to wszystko w kronikach, których kopie są odsyłane do Minas Tirith, do samego Króla. Prowadzę również inne poszukiwania z jego polecenia. Teraz w prawo, proszę, o — ten dom na rogu. Oj, oj, nie miałem szczęścia. . .

Zatrzymali się przy schludnym piętrowym domu w jednym ze spokojnych zaułków, nieopodal Głównej Ulicy. Dom był pomalowany na jasnobrazowo, na rozrośniętych krzewach żywopłotu pękały już pąki. W drodze nie rozmawiali dużo, a kiedy stojąc już na ganku starzec zaczął rozpływać się w podziękowaniach, Torin oświadczył, ścisząc głos:

— Czcigodny panie, zainteresowała nas ta historia. Pozwól nam przyjść i porozmawiać z tobą. Być może dowiesz się czegoś nowego z naszych opowieści.

— Cóż — rzekł Teofrast — drzwi mojego domu zawsze są otwarte dla ludzi, którzy chcą czegoś się dowiedzieć i zrozumieć wydarzenia, jak i dla tych, którzy

sami chcą mi coś opowiedzieć. Przyjdźcie jutro wieczorem, będę na was czekał. A teraz — muszę się położyć, żeby dojść do siebie po całej tej historii. . .

Przyjaciele nisko skłonili się przed starcem, a ten, odpowiedziawszy na ukłon, skrył się za drzwiami. Folko i jego druhowie wolno zeszli z ganku i ruszyli przed siebie, po drodze opędzając się od pytań Malca, który nic nie rozumiał i wściekle żądał wyjaśnień. Tłumacząc mu istotę wydarzeń, nawet nie zauważyli, kiedy doszli do domu. Torin zaczął rozpalać w kominku. Malec poszedł po wodę, a Folko wstąpił do gospody. Gospodarz od razu rzucił się do niego:

— Ratuj, Folko! Twój sos się skończył, a tu akurat przytrafiła się jakaś kompania z Południa, żądają sosu i grożą, że rozwalą gospodę! — Karczmarz był błądy i wystraszony. — Obiecałem im, że jak tylko wrócisz, od razu zrobisz. . . Pomóż mi, Folko!

Hobbit westchnął i zgodził się. Mniej więcej godzinę poświęcił na przygotowywanie smakowitego dodatku i gdy wreszcie go podano, okrzyki w sali natychmiast ucichły. Folko odetchnął, zdjął fartuch i poszedł umyć ręce.

— Poczekaj, dokąd idziesz? — zatrzymał go nieoczekiwanie gospodarz. — Ci południowcy, czekając na ciebie, z głodu pogryźli palce do kości i teraz koniecznie chcą poznać mistrza! — Błada chwilę temu twarz szynkarza teraz promieniała radością. — Chodź, chodź, nie wypada się chować!

Karczmarz niemal siłą powlókł opierającego się hobbita do sali. W kącie, przy kilku zsuniętych razem stołach, siedziało dziesięciu czy dwunastu krzepkich mężczyzn, smagłych z powodu letniej jeszcze opalenizny, w krótkich skórzanych kurtkach. Ich włosy, w odróżnieniu od większości Arnorczyków, były krótko przycięte. Powitali Folka chóralnymi okrzykami zadowolenia. Jeden z nich, wysoki, z orlim nosem i czarną brodą, całkiem jeszcze młody, wstał ze swojego miejsca i podszedł do Folka, wpatrując się w niego przenikliwymi szarymi oczami.

— Jesteśmy ci wdzięczni, czcigodny mistrzu, za twą sztukę — powiedział, pochyliwszy lekko głowę. — Teraz widzimy, że mistrzostwo nie zależy od wzrostu.

Mówił z nieznaną Folkowi wymową, czasem stawiając dziwny akcent na pierwszych sylabach słów. Hobbit zarumienił się z zadowolenia i wymamrotał coś w odpowiedzi.

— Ja i moi towarzysze na znak naszej wdzięczności prosimy, byś przyjął to. — Wyciągnął do Folka otwartą dłoń, na której leżała niewielka srebrna moneta, jakiej ten jeszcze nie widział. — Weź, darujemy ci ze szczerego serca.

Mężczyzna z orlim nosem ponownie skłonił głowę. Folko nieśmiało wyciągnął rękę i wziął monetę, przyjemnie odczuwając jej ciężar. W oczy rzuciły mu się dziwne odciski na dłoni nieznanego — dwa proste długie wzgórki, prowadzące dokładnie w poprzek dłoni. Próbował zgadnąć, o jakim zawodzie mogą świadczyć takie ślady, ale nie potrafił nic wymyślić.

Czarnobrody tymczasem skinął mu głową i dał jakiś znak towarzyszom. Ci wstali całą gromadą i skierowali się do drzwi, za nimi kroczył ich przywódca z orlim nosem.

Folko poszedł rozpytać gospodarza, ale ten nic nie potrafił o gościach powiedzieć: ani kim są, ani skąd przybyli. W rozmowie z nim nazwali siebie południowcami, i była to jedyna rzecz, której się o nich dowiedział. Hobbit wrócił do domu i opowiedział o wszystkim Torinowi.

— Stajesz się sławny, bracie hobbicie — zażartował krasnolud. — Co cię martwi? Powinieneś być dumny! Na twoim miejscu podskakiwałbym do sufitu z radości.

— Torinie, jak można się dorobić takich odcisków? — Folko wyrysował palcem na swojej dłoni kształt widzianych zrogowaceń skóry.

Krasnolud zastanawiał się chwilę, potem pokręcił głową:

— Takie coś może powstać, kiedy kręcisz coś w ręku. Ale co można tak wytrwale kręcić... A przy okazji, co oni ci podarowali?

Folko podał druhowi monetę. Torin wpatrywał się w nią przez minutę, a gdy w końcu podniósł wzrok, hobbit wystraszył się z powodu zmiany, jaka zaszła w przyjacielu, usta krasnoluda wykrzywił grymas, w oczach stały łzy; z piersi wyrwało się ciężkie, smutne westchnienie. Folko oniemiał, nie wiedział, co powiedzieć i jak pocieszyć przyjaciela; Torin zaczął mówić sam; co jakiś czas wycierał nos rękawem i wstydliwie krył zażawione oczy.

— Znam tę monetę... Poznałbym ją spośród tysiąca, zresztą, jak mam jej nie poznać, skoro sam zrobiłem na niej ten karb i przewierciłem otwór, gdy darowałem ją swojemu przyjacielowi Terwinowi, który zaginał bez wieści cztery lata temu! To stary skilding ostatnich Dunedaińczyków, który mi się dostał po moich przodkach. Strzegłem tej monety jak oka w głowie, a kiedy rozstawaliśmy się, podarowałem ją Terwinowi, który udawał się do Erebor. Tę monetę mogli mu odebrać tylko razem z życiem! Spieszmy do bram, może jeszcze ich przechwycimy!

Jednakże przy bramie czekało ich gorzkie rozczarowanie. Nieznajomi nie zamierzali zatrzymać się w gościnnej stolicy Północnej Korony. Według słów jednego ze strażników, niedawno wyjechał z miasta konny oddział, składający się z ludzi podobnych do widzianych w karczmie, i galopem skierował się na południe.

— Mieli zapasowe konie, i to po kilka — dodał strażnik. — Nie dogonicie ich, zmarnowaliście czas...

Rozdział 12

Stary kronikarz

W drugiej połowie następnego dnia nierozłączna trójka wybrała się do domu Teofrasta. Wiosna coraz pewniej sięgała po swoje — nad miastem lśnił oślepiająco błękitny nieboskłon bez jednego obłoczka, a jasne słońce szczerze polewało strumieniami ożywczego ciepła otrząsający się po długich zimowych mrozach świat. Ulicami pomykały mętne strumyki, pod płotami i w zacienionych miejscach jeszcze leżały poczerniałe, zapadnięte zasy, ale wiosna nadeszła, a wraz z nią nadzieja na lepsze.

Folko wesoło mrużył oczy, podstawiając twarz pod ciepłe promienie; Malec pogwizdywał beztrzesko, a Torin od czasu do czasu nawet podśpiewywał. Hobbit chwilami ze zdziwieniem zerkał na przyjaciela. Gdzie się podziała głęboka rozpacz, jaka ogarnęła go przy miejskiej bramie?

Gdy szli Główną Ulicą, na prośbę Torina wstąpili do kantoru wymiennego. Odczekawszy, aż kolejny klient wymieni swoje srebro na jasne annuminaskie złoto, Torin z szacunkiem zwrócił się do ważnego, brzuchatego właściciela, podając mu monetę Terwina:

— Szanowny panie, potrzebujemy twojej pomocy i rady. Zerknij na tę monetę. Powiedz, czy nie trafiła ci się podobna? A może ta właśnie przeszła przez twoje ręce? Popatrz na nią, jest znaczna.

Senne oblicze właściciela kantoru nie zmieniło się, gdy zerknął na wyciągniętą dłoń Torina, jednakże jego oczka, małe, wtopione w tłustą twarz, lecz mimo to przenikliwe i czujne, wwierciły się w monetę jak dwa małe wiertła. Zaczął wolno mówić, obracając w palcach krążek:

— Stary skilding z czasów Arathorna II. Rzadka, bardzo rzadka w naszych czasach rzecz. Moneta rzeczywiście jest znaczna, ma otworek w kształcie siedmioramiennej gwiazdki i grawerkę... Nie, czcigodny krasnoludzie, mogę powiedzieć dokładnie, przez mój kantor ta moneta nie przechodziła, zresztą przez inne kantory w mieście też nie. Wiedziałbym o tym, uwierz mi. A tak w ogóle, to ciekawe. Dunedaińscy przecież mieli bardzo czyste srebro, takie jest obecnie

rzadkością. A wazono je niezwykle dokładnie; jeszcze za czasów mojego ojca w najlepszych kantorach monety te służyły za wzorzec wagi drogocennych metali. Poza tym ówcześni mistrzowie dodawali do stopu białe srebro, które kiedyś przywoziły krasnoludy zza wschodnich gór.

— Mithril? — zapytał Malec, uważnie słuchający handlarza.

— Mithril? — uśmiechnął się lekko właściciel. — Wtedy nie zrobiłbyś w niej otworu. Mithril, mój dobry krasnoludzie, ceni się o wiele wyżej niż złoto, i gdyby była tu nawet jedna dziesiąta mithrilu, to za ową monetę można by kupić pół miasta. Nie, to był również metal, nadający monecie twardość i trwałość. Tak — z widocznym żalem oddał Torinowi monetę — nie jest to rzecz powszednia. Wyszły już z obrotu i zachowały się tylko w skarbcach. Nie chcecie przypadkiem rozmienić jej na zwyczajne pieniądze? Dodałbym do dwunastu i jednej trzeciej pełnowartościowych trialonów nominału jeszcze sześć i pół na czystość srebra, i trzy i jedną czwartą za rzadkość. Więcej nie dadzą wam w żadnym kantorze, klnę się na wagę i nożyce!

— Nie, nie zamierzamy ani sprzedawać, ani wymieniać tej monety. — Torin ukrył ją w zanadrzu. — To jest pamiątka po moim zabitym przyjacielu, a pokazałem ci w nadziei, że znajdę jakiś trop. . . Szkoda, że nie wyszło.

— Takiej znacznej monety nikt by nie wymieniał, tym bardziej w stolicy — uśmiechnął się handlarz. — Już prędzej ktoś postarałby się sprzedać ją w tajemnicy jakiemuś zbieraczowi antyków. Radziłbym ci wpaść do Arhara, jego kram znajduje się nieopodal gospody „Pod Rogiem Aragorna”.

Folko przygryzł wargę i zapamiętał słowa zasmuconego odmową sprzedaży handlarza; podziękowawszy mu, przyjaciele wyszli z kantoru i pomaszzerowali dalej, do ogromnego domu kronikarza.

Torin trzykrotnie uderzył młoteczką w zawieszony po lewej stronie drzwi gong z brązu. Po chwili w głębi domu rozległ się odgłos kroków, drzwi otworzyły się i zobaczyli stojącą w progu zgrabną dziewczynę, niemal dziewczynkę, w skromnym ciemnym stroju. Jediną jej ozdobą była przepaska, ściągająca bujne złociste włosy.

Torin odkaslnął zaskoczony, ale dziewczyna odezwała się pierwsza:

— Gospodarz oczekuje was w gabinecie. Płaszcz, worki, jak również noże i topory zostawcie w przedpokoju. Tu nic się im nie stanie. W naszym domu nie chodzi się z bronią.

Powiedziawszy to, odsunęła się nieco, przepuszczając ich; weszli do przestronnego, dość ciemnego pomieszczenia o ścianach pokrytych ciemnobrązowym drewnem. Jedną z nich zajmował oryginalny wieszak — rzędy szabel dzików umieszczone na różnych poziomach, tak że każdy gość mógł bez kłopotu powiesić płaszcz czy kaftan.

Malec i Torin, chrząkając i przygryzając wargi, niechętnie powiesili na szablach swoje pasy — Torin z kiścieniem i buzdyanem, Malec — z mieczem i dagą.

Folko natomiast przełożył noże pod kurtkę, tak jak zawsze czynił w Annuminas; przyzwyczaił się do broni i bez niej czuł się niepewnie.

Krasnoludy rozwiesiły w końcu swoją broń, a dziewczyna wykonała zapraszający gest ręką i skierowała się ku schodom.

Tu jest jak w pokoju Starego Tuka w jego głównej kwaterze — pomyślał Folko, idąc za przyjaciółmi. Tu chyba nic się nie zmieniało od wielu, wielu lat.

Schody nawet nie skrzypnęły pod ciężarem przysadzistych krasnoludów. Weszli na piętro, na pierwszy rzut oka nieróżniące się od parteru — taki sam przestronny korytarz, również sześćcioro drzwi po obu stronach, i tylko zamiast głównych drzwi Folko zobaczył szerokie, zajmujące całą ścianę, okno. Słońce już opadało i pokój był zalany jasnym światłem; wyszedłszy z półmroku parteru, teraz mrużyli i przymykali oczy.

— Witam was — rozległ się obok nich znajomy głos kronikarza; oślepieni słonecznymi promieniami nie zauważyli, kiedy pojawił się w drzwiach. — Zapraszam do siebie, do gościnnego.

Otworzył szeroko drzwi i przepuścił gości przodem. Znaleźli się w niewielkim pokoju z kominkiem na przeciwległej ścianie, z trzema oknami, zasłoniętymi okiennicami. Ściany pokrywała ciemnobrazowa tkanina. Obok kominka stał niski stół, cztery wygodne fotele i wysokie biurko, przy którym można było pisać na stojąco. Podłoga w gościnnym pokoju została ułożona z ciemnych, szczelnie połączonych desek. Po lewej od kominka w ścianie bez okien widniały jeszcze jedne niewielkie drzwi, a nad samym kominkiem wisiał gobelin z wizerunkiem wysokiego starca o królewskiej postawie, z długimi, rozpuszczonymi włosami, odzianego w śnieżnobiałe ubranie, z czarnym kosturem w rękę i długim mieczem w niebieskiej pochwie przy pasie. Stał na pół odwrócony, ale zwracało uwagę poważne i przenikliwe spojrzenie niemal żywych oczu. Twarz mężczyzny wyrażała zmęczenie i smutek. Oczarowany Folko nie wytrzymał i zaczął od pytań.

— Och, to doprawdy zadziwiające — powiedział Teofrast z wyraźnym zadowoleniem. — To jest, szanowny hobbicie, sam wielki mag Gandalf Szary! — Kronikarz rzucił szybkie, pełne satysfakcji spojrzenie na oszołomionych gości. Po chwili kontynuował: — Nieznany artysta przedstawił go na tle Szarych Przystani, krótko przed tym, jak wszechpotężny czarodziej porzucił nasz świat. Gobelin ten otrzymał Wielki Król, następnie panujący wnuk Elessara Elfa nagrodił nim waszego pokornego sługę. — Lekko rozłożył ręce i uklonił się uroczyście. — Od tego czasu wisi tutaj, nad moim kominkiem. Ale dlaczego stoimy? — oprzytomniał nagle. — Proszę, siadajcie przy ogniu, nabijajcie fajeczki i zacznijmy rozmawiać.

Rozsiedli się i wydobyli kapciuchy. Wkrótce po pokoju rozpląnął się aromatyczny dymek. Teofrast, uśmiechając się, mierzył gości przenikliwym spojrzeniem. Widząc, że fajki rozpałyły się bez kłopotów, nieoczekiwanie zwrócił się do hobbita:

— Jaką miałeś podróż ze stolicy swojego pięknego kraju? Jak się mają sprawy w Hobbitanii? Nieczęsto udaje mi się porozmawiać z kimś z waszego ludu — do Annuminas hobbici trafiają rzadko, a ja sam jestem już za stary na długie podróże. Tak więc, co się wydarzyło u was w ostatnich latach?

Szczerze mówiąc, Folko był zaskoczony. Ale spokojny głos starego kronikarza i przytulność jego domu sprawiły, że odzyskawszy kontenans, zaczął opowiadać Teofrastowi o wszystkim, co działo się w Hobbitanii za jego krótkiego życia i co zapamiętał z hobbitańskich kronik, które hobbici zaczęli prowadzić po Odnowieniu Hobbitanii.

Teofrast spokojnie pociągnął za sznurek ukryty w draperii. Gdzieś w głębi domu zadźwięczał dzwonek. Za niewielkimi drzwiami, znajdującymi się, jak zauważył Folko, z lewej od kominka, rozległy się lekkie kroki i do pokoju gościnnego weszła dziewczyna, która otworzyła im drzwi. Niosła w ręku gruby zeszyt w oprawie z miękkiej czarnej skóry.

— Satti pomoże mi lepiej zapamiętać twoją opowieść, czcigodny hobbicie.

Teofrast usiadł w wolnym fotelu, a dziewczyna stanęła za pulpitem. Folko odetchnął i kontynuował. Nawet nie zauważył, jak za oknami zgasł purpurowy zmierzch; stopniowo przeszedł z historii Hobbitanii na własne losy, żeby — tak jak uzgodnił z Torinem — doprowadzić rozmowę do wydarzeń w Mogilnikach. Teofrast słuchał bardzo uważnie, wolno głąskał smukłymi palcami rzeźbiony podłokietnik i przez cały czas patrzył hobbitowi w oczy.

Powoli opowiadanie doszło do opisu spotkania z Torinem; co prawda, Folko rozważnie opuścił prawdziwą treść ich nocnych rozmów. Opowiedział o Bucklandzie, o Starym Lesie i w końcu doszedł do Mogilników. Kątem oka widział, jak krasnolud nieznacznie kiwa głową — wszystko szło zgodnie z ustaleniami. Torin najpierw zamierzał sam zacząć rozmowę, ale hobbite poradził sobie nadspodziewanie dobrze.

— I teraz chcielibyśmy prosić cię, czcigodny Teofraście — wtrącił się do rozmowy krasnolud, gdy Folko na chwilę przerwał, by odetchnąć i zwilżyć gardło łyżką piwa ze stojącego na stole dzbana — czy nie mógłbyś wyjaśnić nam, co się dzieje na Polach Mogilników? To, co widzieliśmy, jest dziwne i... straszne, powiedziałbym. Same upiory by wystarczyły!

Dziewczyna drgnęła i podniosła zaokrąglone, dziecinne w tym momencie szare oczy. Natomiast Teofrast spuścił wzrok, a jego brwi odrobinę zbliżyły się do siebie.

— Pewnie to jeden z tych zagadkowych śladów ciemnej przeszłości, pozostawionej nam przez Wielkie Ciemności — powiedział cicho. Wydało się, że nawet drwa w kominie zaczęły trzeszczeć ciszej i jakby bojaźliwie. — Nikt dokładnie nie wie, jak to się zaczęło. Wiadomo, że w Mogilnikach pochowani są zabici w licznych wewnętrznych wojnach królowie Kardolanu, niewielkiego królestwa na południowych rubieżach włości Północnego Berła. Wtedy to Arnor był podzie-

lony na kilka części, których władcy walczyli ze sobą, przelewali krew rodaków i zaczęli skłaniać się ku złu. W archiwach Elronda Półelfa, władcy Rivendell, który odszedł za Morze — wiecie, gdzie to jest? — znalazłem legendę o tym, że władcy owi nie znaleźli spokoju za Morzem, a wspierani wielką siłą Saurona, przekształcili się w złe, bezcielesne duchy, odżywiające się ciepłem i krwią żywych. Jednakże były one stworzone — czy też powstały samorzutnie — zanim został wykuty Jedyń Pierścień, i nie były mu podporządkowane, jak rozumiem. Zapewne stwory te nie mają teraz swojego pana... A może istnieje inne wytłumaczenie. — Wzruszył ramionami. — Sądzę, że tylko Kirdan wie, a i to nie jest pewne, bo on nigdy nie interesował się sprawami Śródziemia, zdecydowanie woli podporządkowane jego narodowi Morze. Tak, te upiory są straszne, więc czcigodny nasz hobbit wykazał się wyjątkową odwagą!

Folko zarumienił się przy tej pochwalie.

— Ale nie jesteście pierwszymi, którzy pytają mnie o Mogilniki — oświadczył nagle Teofrast po krótkiej chwili namysłu. — Przed laty to samo pytanie zadał mi pewien człowiek. Zresztą wyście go też widzieli. — Z uśmiechem popatrzył na zdumionych przyjaciół, właściwie na dwóch z nich, dlatego że trzeci, Malec, już spokojnie spał, oparłszy głowę, jak pierwszego wieczoru znajomości, na ramieniu hobbita. — Widzieliście go wczoraj, był ze mną w gospodzie „Pod Pochwą Andurila” — ciągnął Teofrast. — Zwał go Olmer, jest poszukiwaczem złota z Dale. Znam go już dwanaście lat, często opowiadał mi o wielu ciekawych sprawach dotyczących wydarzeń na Wschodzie. A pewnego razu zapytał właśnie o Mogilniki. To było podczas jego ostatniej wizyty; w ogóle Olmer rzadko pojawia się w Annuminas, mniej więcej raz na rok, a nasze spotkanie odbyło się po pięcioletniej przerwie. Olmer opowiedział mi o zadziwiających wydarzeniach! Na przykład o niezwyklej ośmiodniowej bitwie na brzegach Morza Rhun, w której on sam walczył po stronie Easterlingów przeciwko nieznanemu mu narodowi, przybyłemu z południa, zza Mordoru. Według jego słów dopływy Morza Rhun przez trzy dni spływały krwią, ciałami ludzi i koni... .

Widać było, że stary kronikarz rozpałił się, i Folko postanowił to wykorzystać.

— Ale dlaczego w takim razie ścigali go strażnicy? — zapytał, starając się wyglądać na bardzo zainteresowanego opowiadaniem Teofrasta, a jednocześnie nie chciał zdradzić do odpowiedniego momentu swoich prawdziwych zamiarów.

— To mnie nie dziwi — wzruszył ramionami kronikarz. — Wszyscy trudniący się wydobyciem i sprzedażą złota, niech nie weźmie tego do serca czcigodny krasnolud, wcześniej czy później zaczynają łamać przepisy Wielkiego Króla, które nie zawsze przewidują wszystkie okoliczności... . A o Mogilnikach opowiedziałem mu niemal to samo, co i wam; nowych danych nie miałem skąd otrzymać, ale teraz, po waszej opowieści, będę odpowiadał, że nie należy bać się purpurowych ogni czy szarych widm; trzeba tylko mocno trzymać w ręku łuk i mieć odważne serce, jak pewien znany mi hobbit o imieniu Folko Brandybuck!

— Był jeszcze jeden hobbit, który nie bał się okrutnych sił podziemia — zaproponował skrepowany Folko. — Oczywiście Frodo, słynny Frodo Baggins, Po-wiernik Pierścienia!

— A miał do czynienia z tymi widmami? — zapytał zdziwiony Teofrast.

Teraz hobbit otworzył ze zdumienia usta.

— W Hobbitanii wie to każde dziecko! Zresztą w Czerwonej Księdze dużo jest o tym. . .

— Czerwona Księga?! — poderwał się kronikarz. — Któż z moich rodaków nie słyszał o tej zadziwiającej opowieści, która przetrwała do naszych dni tyl-ko w krótkich, niewiarygodnych i niepełnych wypisach oraz późniejszych prze-kazach! Czerwona Księga, skryte marzenie każdego dziejopisa! Czy czytałeś ją, czcigodny hobbitcie?

W głosie Teofrasta rozbrzmiewało błaganie. Wydawało się, że byłby gotów oddać wszystko za to upragnione, niemal bajkowe dzieło. Pochylił się do przodu, jego palce splotły się, na czoło wystąpiły kropelki potu. Dlatego Folko zdecydował się powiedzieć prawdę:

— Tak, czytałem ją — oświadczył wolno. — I nawet mogę ci ją pokazać, czcigodny Teofraście!

Torin poderwał się z fotela, a zaskoczona dziewczyna aż krzyknęła; Teofrast, stary, szanowany kronikarz, podskoczył tak, jak zapewne nie potrafiłby w naj-lepszych latach młodości, i wczepił się w ramię zaskoczonego hobbita, po czym zaczął wraz z nim wirować po pokoju, nie tyle śpiewając, ile wręcz powrzasku-jąc z radości. Poły jego obszernego płaszcza rozwiały się, włosy splątały, ale nie zauważał tego. Hałas obudził Malca, który nie bardzo rozumiejąc, co się dzieje, chwycił za pogrzebacz.

W końcu Teofrast uspokoił się i ciężko dysząc, puścił hobbita.

— Jestem twoim niespłacalnym dłużnikiem, czcigodny Folko — powiedział, a przyjaciele musieli odwrócić się, bo na pomarszczonej twarzy kronikarza błysnęła krępująca ich łza. — O losie błogosławiony, który zesłałeś mi na starość taką radość! Ale — oprzytomniał trochę i spoważniał — jeśli tylko mi ją poka-żecie, będzie to tak, jak dać głodnemu pajdę chleba, a następnie wyrwać mu ją z ręki, zanim odgryzie choćby kawałeczek! O Folko, synu Hemfasta, niech cię ma w opiece Królowa Gwiazd Elbereth, mógłbyś dokonać wielce szlachetnego czynu, gdybyś pozwolił mi ją skopiować!

— Ale my niedługo wychodzimy z miasta — zaproponował hobbit słabo. — Nie mogę zostawiać jej w obcych rękach, czyichkolwiek, wybac, czcigodny Teofra-ście.

— Tak, tak, wszystko rozumiem. — Kronikarz pospiesznie kiwał głową. — Któż by zostawił taki skarb! Ale nie proszę o to! Bądźcie moimi gośćmi przez następne siedem dni, a w tym czasie pod waszym nadzorem dziesięciu najlep-szych kopistów przepisze ją, pracując w dzień i w nocy! Delikatnie podzielimy

ją na fragmenty, a następnie zszyjemy. Nie powinniście obawiać się o całość — wyciągnął dłonie w uspokajającym geście — robiliśmy tak nawet z oryginałami najważniejszych manuskryptów! A wy możecie w zamian żądać ode mnie wszystkiego, co tylko jest w mojej mocy. . .

Kronikarz opuścił ręce i zamilkł, jakby ten wybuch wyczerpał wszystkie jego siły. Głowa opadła mu na pierś. Folko słuchał ze zdziwieniem i czuł się niezręcznie. Ale nie potrafił odmawiać, i dlatego powiedział „dobrze”.

Kiedy umówili się, że hobbit przyniesie mu Czerwoną Księgę następnego dnia, niecierpliwie oczekujący końca tej rozmowy Torin zapytał wreszcie o to, co interesowało przyjaciół:

— Czcigodny Teofraście, niechcący słyszeliśmy część twojej rozmowy z Omerem z Dale. Jedno mi utkwiło w głowie: dlaczego ów, jak twierdzisz, niezwykle człowiek z taką złością mówi o elfach?

Kronikarz milczał chwilę.

— Nie rozumiem, dlaczego on tak was zainteresował, ale według mnie właśnie tacy silni ludzie czasem szczególnie ostro wyczuwają beznadziejność losu Śmiertelnych, świadomość końca naszego bytu. A obok znajduje się rasa Pierworodnych, Nieśmiertelnych, których wodzowie w nieskończenie odległych czasach przyłożyli się do Przekleństwa Człowieka, które wszak, jeśli dobrze się temu przyjrzeć, doprowadziło do zagłady Numenoru! Powinniście znać tę historię lepiej ode mnie. Jego dumne serce sprzeciwia się temu, że nasze losy są w jakimś stopniu określone przez Nieśmiertelnych. Stąd zapewne jego niechęć do Starszej Rasy. Nie podzielam jego poglądów — dodał Teofrast — ale uważam, że ma prawo mówić, co myśli.

— A co to są „wielkie schody”? — zapytał Folko.

Przypomniał sobie, jak kronikarz w gospodzie drgnął, słysząc te słowa. Teraz twarz starca też ściemniała. Mówił cicho i wolno, jakby z trudem dobierał słowa:

— To jest bardzo stara i niezbyt zrozumiała legenda. Mało kto ze śmiertelnych Śródziemia ją zna. Przeczytałem o niej w elfijskich pergaminach, w części, która jest napisana jeszcze w staroelfijskim języku. Kiedyś wśród Pierworodnych istniało podanie, w którym mówi się, że cały nasz świat jest przenicowany olbrzymimi, niemal nieskończonymi schodami, biorącymi początek w podziemnym świecie lęku i pierwotnego zła, zwanego dziś Ungoliant. Stamtąd wznoszą się do góry, przechodzą przez nasz świat i wchodzą w przestrzeń nad chmurami, w wiecznie błękitne niebo i tam, na niebieskich równinach, kończą się gwiazdną przystanią, do której, zmęczony się niemającymi końca wędrówkami po ścieżkach nieba, przybija czasem statek Earendila, z błyszczącym Silmarillem na czele. Stopnie tych schodów zostały wykonane z czystego mithrilu. Podanie nie mówi, kto był budowniczym schodów, ale zostało powiedziane, że Sauron, w rozkwicie swej potęgi, potrafił rozebrać znajdujący się blisko ziemi fragment i wykorzystał go do Budowy Barad-Duru, Czarnej Wieży. Dlatego Earendil może teraz schodzić w dół

i obserwować życie w Śródziemiu, dla którego skazał siebie na wieczną wędrówkę po nieboskłonie. . . Jakaż szkoda, że to wszystko to tylko piękna bajka! — Teofrast westchnął. — Elfowie kiedyś uważali, że przysięga na Wielkie Schody, czy to Pierworodnych, czy Śmiertelnych, jest najsilniejszą z możliwych. Słudzy Zła natomiast, przeciwnie, klęli się na jej dolną część. Dlatego byłem tak zdziwiony, słysząc od Olmera tę starą przysięgę. Chciałbym wiedzieć, skąd ją zaczerpnął ten poszukiwacz złota. . .

Rozmarzony Teofrast pokiwał głową i zamilkł. W pokoju zapanowała cisza. W piersi Folka nagle pojawił się nieznany wcześniej ssący ból, beznadziejna tęsknota za niezwykłością, za tym wszystkim, co odeszło wraz ze starym światem, za jego magią i jego cudami. . . Malec podejrzanie pociągnął nosem.

— Tak, niełatwo jest teraz nam, dziejopisom — ciągnął Teofrast, jakby rozmyślał na głos. — Ludzie mało interesują się minionymi sprawami, wybierając drobne i terażniejsze kłopoty naszych czasów. Rzadko, bardzo rzadko zdarza się trafić na prawdziwego rozmówcę. Olmer do takich należy. Jego życie jest tajemnicze i niezrozumiałe, ale on myśli i ocenia, wiele wie i wiele opowiada, dlatego zawsze z radością spotykam się z nim. . . Tyle że teraz już nie w moim domu, ponieważ — jak zauważyłem — jest tu para oczu, która śledzi każdy jego ruch uważniej, niż trzeba! — W jego głosie pojawiły się nieznajome zrzędlawe i trwożne nutki. — Tak, tak, chodzi o ciebie, Satti, nie odwracaj się, zauważyłem to, gdy tylko Olmer przekroczył próg tego domu!

Dziewczyna zarumieniła się i szybko ukryła twarz w dłoniach. Teofrast jeszcze milczał przez kilka ważkich chwil, grożąc swojej pomocnicy haczykowatym starczym palcem.

— Dlatego, gdy zaprosił mnie — ciągnął po chwili — zdecydowałem, że od-tąd będę się z nim spotykał gdzieś w innym miejscu, i los mi sprzyjał!

Uśmiechnął się do przyjaciół; wydawało się, że wesoły promyk wiosennego słońca przemknął po korze starego dębu.

— A czy słyszałeś, czcigodny Teofraście, coś o ludziach, którzy czczą Mogilniki? — Torin wrócił do sedna sprawy. — Spotkaliśmy wchodzący tam oddział, znaleźliśmy dziwne ślady równie dziwnych obrzędów. . . I nie tylko w Mogilnikach.

Teofrast otrząsnął się, wyprostował i dał znak Satti. Dziewczyna pospiesznie otworzyła zeszyt i lekkie pióro w jej zręcznych palcach pomknęło po stronach, zapisując słowa Torina.

— Tak, tak. Docierały do mnie rozmaite wieści — powiedział wolno kronikarz. — Przeważnie pochodziły od ludzi, którzy przemierzali Przygórze, ale nie były pewne i różniły się między sobą! Jednak stare kroniki Dunedaińczyków głoszą, że jeszcze przed Wojną o Pierścień na południe od Pola Mogilników istniały jakieś na poły zapomniane osiedla dziwnego ludu, bardzo zresztą nielicznego. Nie próbowali wejść w sojusze czy przynajmniej w handlowe kontakty z Przygórzem,

nigdy tam się nie pojawiali. Natrafiali na nich Tropiciele, prawdziwi Tropiciele Północy. Czasem lud ten pomagał im w tropieniu sług Mroku, ale według mnie robili to raczej ze strachu czy chciwości, żądali bowiem za swoje usługi zapłaty. Było ich, jak mówiłem, niewielu, a Dunedaińscy gardzili nimi. Po zwycięstwie ludzie zaczęli szybko zajmować i uprawiać wszystkie nadające się do tego celu ziemie, pierścień arnorskich wsi zaczął się zacieśniać również dokoła Mogilników, i tajemniczy lud opuścił owe ziemie. Nikt nie wie, dokąd się przenieśli, kroniki nie podają żadnych informacji o potyczkach z nimi. Odeszli sami. Oczywiście, nie ma to żadnego związku z tym, co widzieliście, ale nic więcej o tym miejscu nie wiem. Lepiej opowiedzcie dokładnie waszą przygodę!

Torin, Folko i Malec, przerywając sobie nawzajem, opowiadali o tajemniczym domu w Dzielnicy Północnej i o wszystkim, co tam znaleźli i widzieli. Satti ledwo nadążała z maczaniem pióra i zapiskami.

— Dziwne to i niezrozumiałe — rzekł kronikarz, wysłuchawszy ich uważnie. — Ale straż miejska o wszystkim wie, i to mnie trochę uspokaja. Tak... kawałek Mylnego Kamienia świeci tak samo, jak na szczycie Kurhanu. — Uniósł głowę. — Dziękuję wam za bezcenne zaiste wieści. Wszystko będzie spisane w annałach, już moja w tym głowa.

— Czcigodny, a czy przypadkiem nie znasz przyjaciół albo towarzyszy owego Olmera? — zapytał wprost Torin, i Folko znowu zauważył zdziwienie na obliczu Teofrasta.

— Ma on wielu towarzyszy swego zawodu — odpowiedział kronikarz, ale niezbyt chętnie. — To są odważni i zuchwali ludzie, nie bardzo przestrzegający prawa. Dużo im się wybacza, ponieważ złota w Śródziemiu jest niewiele, prawie wszystko mają twój współplemieńcy, czcigodne krasnoludy, i ludzie zajmują się teraz wydobywaniem ze skąpych i powierzchniowych żył. Powiadają, że zdarzają się wam z nimi potyczki?

— Oni nie szukają żył! — wtrącił się niespodziewanie do rozmowy oburzony Malec. — Nie szukają żył, tylko naszych skarbów, tych, co są bliżej powierzchni. Zdarza się, że trafiają na nie. Co prawda, mało komu z takich szczęściarzy udaje się skorzystać z ich zawartości. Oto, na przykład, nie tak dawno...

— Poczekaj, Mały! — przerwał mu bezceremonialnie Torin, krzywiąc twarz w grymasie niezadowolenia. — Szukają również naszych starych zapasów, o których same krasnoludy już zapomniały w trakcie straszliwej ostatniej wojny. A co do tego, że bywają potyczki, zdarza się...

— Może nie roztrząsamy tego teraz. — Teofrast podniósł ugodowo rękę. — Przy okazji, wasze słowa naprowadziły mnie na ciekawą myśl: dlaczego Olmer tak uparcie wypytywał mnie o wszystko, co dotyczy Niebiańskiego Ognia!

Folko znieruchomiał, ale Teofrast nie zauważył tego i kontynuował:

— Domyślam się, że Olmer nie jest zwykłym poszukiwaczem złota. Wydawało mi się, że bardziej interesują go stare skarbcce, stąd pytania o Mogilniki: prze-

cież tam, jeśli wierzyć legendom, zakopane są ogromne skarby władców z przeszłości — stąd też Niebiański Ogień. Według pokutujących wśród poszukiwaczy złota wierzeń, zakopane pod ziemią złoto przyciąga do siebie Niebiański Ogień, który najczęściej uderza właśnie w takim miejscu. Tak, teraz to pojąłem, a wcześniej łamałem sobie nad tym głowę!

Zadowolony Teofrast spoglądał z uśmiechem człowieka, któremu udało się rozwiązać trudne zadanie.

— A co to jest Niebiański Ogień? — znowu wtrącił się do rozmowy Malec; najwyraźniej zdążył się wypaść podczas pierwszej części ich rozmowy.

— Niebiański Ogień — wyjaśnił Teofrast cierpliwie — to bardzo rzadkie i zadziwiające zjawisko. Podczas jasnych gwiazdzistych nocy, a czasem również w dzień, nieboskłon nagle przecina bezgłośna ognista strzała. Widać ją w całym Arnorze, ale określenie miejsca upadku jest bardzo trudne. Powiadają, że są to spalone gwiazdy, ale nie mam pewności. Tak uważają elfy. . . Zazwyczaj pojawienie się Niebiańskiego Ognia oznacza początek albo, odwrotnie, zakończenie jakichś ważnych wydarzeń, dotyczących całego Śródziemia. Tak było, na przykład, zaraz po śmierci Wielkiego Króla i krótko przed objęciem tronu przez niego. Stare kroniki głoszą, że Niebiański Ogień widziano w roku śmierci ostatniego króla Gondoru Trzeciej Epoki, po nim zaś zaczęli rządzić Minas Tirith Namiestnicy, których linię przedłużają dziś potomkowie wspaniałego Faramira, syna Denethora, pana na zamku Eryn Arnien. Przykłady można mnożyć.

— Czy zostają po nim jakieś ślady? — dopytywał się Malec.

— Co do śladów, to gorzej — pokręcił głową kronikarz. — Widzisz, czciogodny krasnoludzie, za każdym razem są inne, a i wiadomo o nich bardzo mało. Bywa, że w takim miejscu, gdzie upadnie, znajduje się stopiony kamień albo strzaskane drzewo, jakby uderzył w nie olbrzymi piorun. Znany jest przypadek, gdy Niebiański Ogień podpalił dach szopy w jednej z naszych wsi. To właściwie wszystko. Nikt niczego nie wie na pewno — powtórzył.

Za oknami zapadł zmierzch. Widać było, że stary kronikarz jest już zmęczony, a hobbitowi też od dawna burczało w brzuchu. Przyjaciele podnieśli się i zaczęli żegnać, umawiając się, że przyjdą jutro i przyniosą ze sobą Czerwoną Księgę. Teofrast i Satti odprowadzili ich do drzwi.

Ruszyli w powrotną drogę do „Rogu Aragorna”; szli w milczeniu, i każdy pogrążony był w innych myślach. Folko zadarł głowę i popatrzył w rozgwieżdżone niebo. Błyszczała na wschodzie Remmirat, Gwiazdna Sieć, a przez cały nieboskłon ciągnęła się usypana z drobnego gwiazdnego pyłu Ścieżka Earendila. Skądś z tych odległych miejsc przybywa cudowny Niebiański Ogień, o którym kazał pamiętać Pelegast. Dlaczego? Co to oznacza? Dlaczego interesuje się nim ów zagadkowy Olmer, któremu służy garbus? Czy jest jakiś związek między jasnobrodym poszukiwaczem złota i właścicielem tego władczego głosu, który powstrzymał Sandella w Przygórzu? Folko pamiętał tamten głos bardzo dobrze, i ten, należą-

cy do jasnobrodego, jakby do niego nie pasował. Poszukiwacz złota... Przecież Rogwold powiedział kiedyś, że Sandello na jakiś czas zbliżył się do takiej kompanii, może Olmer rzeczywiście tylko poszukuje kruszcu, może jest przywódcą oddziału poszukiwaczy, żyjących wedle własnych praw, i dlatego unika spotkania z królewską strażą? A w ogóle dlaczego tak się do niego przyczepiliśmy?! Zgoda, gadał nie wiadomo co... Zgoda, Sandello znalazł się obok niego... Zgoda, interesował się Niebiańskim Ogniem i Mogilnikami... To wszystko można wyjaśnić. Teofrast właśnie to dobrze wytłumaczył. Kto ich tam wie, tych Dużych Ludzi, w co oni wierzą?

— Właściwie niczego się nie dowiedzieliśmy — mruknął ze złością Torin, gdy przyszli do domu i ulokowali się przy kominku. — Sandella nie zna, Olmera też niezbyt dobrze. Mogilniki to nic pewnego, a o ich czcicielach powtarza jakieś stare ploty... Żadnych dowodów! W sumie wszystko jasne: Księgę niech sobie kopiuje, jest twoja, Folku, nie mogę nią rozporządzać. I od razu wyruszamy! Zasiadzieliśmy się tutaj, a powinniśmy przed jesienią obrócić.

— A co z Niebiańskim Ogniem? — Malec próbował bronić Teofrasta.

— Co nam do niego? — błysnął oczami Torin. — Do naszych kuźni jakoś dotąd nie dotarł i, wspomóż nas, Durinie, może nigdy nie dotrze! Proponuję, żebyśmy jutro dopytywali się jak należy. Musimy wyjaśnić, co się dzieje w międzyczasy Brandywiny i Gwathlo i wzdłuż Sirannony, jak wygląda sytuacja na Zielonej Ścieżce, kto mieszka wzdłuż tej drogi, czy są zbóje, jak żyją Dunlandczycy; od nich przecież wrota Morii są na wyciągnięcie ręki! Na dodatek z głowy mi nie wychodzą te wilkołaki. Strażnicy odparli ich atak dzięki sile maga, my będziemy musieli polegać tylko na sobie. Dobra, ranoć mądrzejszy od wieczora, idziemy spać!

Torin zakończył przemowę i pierwszy dał przykład, zawinąwszy się z głową w koc; wkrótce w izbie rozległo się ciche pochrapywanie. Folko posiedział jeszcze przy dogasającym kominku, poruszył w nim węgle. Nie chciało mu się spać, więc wyszedł na ganek odetchnąć świeżym powietrzem. Przykucnąwszy na progu, zapalił fajkę. Wypuścił pierwsze kółka dymu i zaczął w zamyśleniu obracać w rękę jeden z noszonych stale przy sobie noży do miotania; wpatrywał się w grę srebrzystych księżycowych promyków na wypolerowanym ostrzu. I wtedy usłyszał wycie.

Rodziło się gdzieś zupełnie blisko, ale choć było niemal niesłyszalne, czuło się w nim beznadziejny smutek i rozpaczliwą złość. Hobbit poderwał się na równe nogi, ściskając w garści gotowy do rzutu nóż, i rozglądał się na boki. Znane już z wyprawy do Mogilników uczucie przypomniało o sobie; ból był mocny i ostry. Folko zrozumiał, że tym razem on sam jest celem. Wytężył cały swój hart, nakazując niewidzialnemu przeciwnikowi odwrót, jednocześnie rozglądał się w poszukiwaniu wroga. Poddawszy się niezwykle silnemu naporowi strachu, odstąpił o krok w kierunku drzwi i szukał trzęsącą się bezwiednie dłonią przymocowane-

go do nich pierścienia. Nacisk był o wiele mocniejszy niż w Mogilnikach; praktycznie nie sposób było mu się sprzeciwić. Coś bezkształtnego wolno wypełzało w jego kierunku z głębin ciemnego podwórka i wydawało się, że zaraz zwali go z nóg, rozdepcze, zmiążdży i wycisnie z niego życie, jak krew, kropla po kropli, póki na progu nie pozostanie zimne, martwe ciało.

Zęby Folka szczękały, czoło pokryło się zimnym potem, oczy wyszły mu z orbit. Nie mogąc przeniknąć mroku nocy, daremnie wypatrywał czegoś na podwórku. Jego przeciwnik nie musiał się ujawniać. Chciał tylko unieszkodliwić stojącego na progu strażnika i wejść do środka.

Gdy tylko w udręczonym umyśle Folka pojawiła się jasna, zimna, jakby wciśnięta weń cudza myśl, jego zdławiony duch nieoczekiwanie i nagle wzmocił się i rozpałił. Odczytał propozycję, by ratować życie ucieczką, i w tej samej chwili zrozumiał, że to niemożliwe. Tam, za drzwiami, spokojnie śpią jego przyjaciele, którzy czują się zupełnie bezpiecznie; tam jest potężny, dobry i wielkoduszny Torin, odrobinę pocieszny, ale wierny i oddany Malec, jego druhowie, gotowi dla niego na wszystko. Nie, nie może odejść i niech się dzieje, co ma się dzieć. Jak walka, to walka. Musi wytrwać. Tym razem samotnie.

Nogi jakby wrosły w drewniany próg, plecy oparty się o twarde pierścien Świątej Brody Durina, w rękę połyskiwał nóż. Folko czekał w milczeniu, z całych sił sprzeciwiając się naciskowi złej, nieludzkiej siły. Jak na jawie widział napierającą na niego szarą, rozdętą półokrągłą czaszę, splecioną z powstałych chwilę temu szarych nici; i wtedy z całej siły cisnął przed siebie nóż; pragnął ze wszystkich sił, by pękła ta pętająca wolę sieć, a potem... niech się dzieje, co chce...

Nóż bezgłośnie i bez śladu zniknął w mroku nocy, nawet nie błysnąwszy odbitym od księżyca promieniem. Wydawało się, że na zawsze wsiąkł w szare błoto, które zacierało wszelki ruch.

Jednakże chwilę później rozległ się odgłos wbitego w drewno ostrza; i ten dźwięk, taki cielesny, żywy i realny, mocniej od najcięższego młota uderzył w pętającą umysł hobbita ciszę; przez podwórze przemknął syczący, świszczący odgłos, jakby pojedynczy powiew zimnego wiatru rwał zwisające gibkie gałązki. Szara kurtyna, rozcięta na dwoje, zaczęła powoli rozchodzić się na boki, a przed sobą hobbit zobaczył znajomą szarą postać. Jej kontury drżały, jakby tając w otaczającym mroku. Postać wolno ruszyła na niego, Folko znowu poczuł, że cudza wola próbuje usunąć go z drogi — teraz coś spętało pierś, utrudniając oddychanie, ale wróg stał przed nim i Folko wiedział, co ma zrobić.

Czego chcesz? — jęknął w myślach, udając, że jest złamany, choć starał się, by wyglądało to możliwie przekonująco.

W odpowiedzi rozległo się coś podobnego do krakania kruków ścierwników, ale słyszał je tylko on. Nie rozróżniał słów, ale zrozumiał dokładnie rozkaz:

— Zejdź z drogi. Muszę wejść. Inaczej śmierć.

Hobbit nie ustępował, a wtedy szare kontury poruszyły się i wolno popłynęły na niego.

— Nie stawaj na drodze Pierścieniorek!

— Łziesz, dawno już ich nie ma! Jesteście tylko bladym cieniem ich minionej potęgi! — wściekle wrzasnął Folko i ruchem wypracowanym podczas setek powtarzanych ćwiczeń, tak jak na zajęciach z Malcem, cisnął drugi nóż dokładnie w czarne pasmo, znajdujące się nieco poniżej tego, co można by nazwać czołem istoty.

Jednocześnie z posłanym przed siebie ostrzem jego wola naniosa uderzenie: „Cóż możesz uczynić mnie, żywemu i silnemu, z ciała i krwi, ty, szary cieniu przeszłości? Jesteś tu bezsilny! Ukryj się w swoim podziemiu i czekaj godziny, kiedy nie moja, ale stokrotnie silniejsza wola rozniesie po polach twe ostatnie strzępy! Dlaczego zwlekasz? Oto jestem, chodź tu!”.

Nóż zniknął, niczym ciśnięty w porośnięty szarą rzęsą staw, a widmowy błękitny płomień, niczym odległa błyskawica, rozjaśnił podwórze i natychmiast zgasł. Wola Folka darła na strzępy, dławiła i rozrzucała resztki atakującego chwilę wcześniej wroga, rozplaszczony na ziemi szary cień odpełzał jak rozlana woda; wewnętrznym słuchem hobbit odbierał tylko bezdźwięczne syczenie. Cień z Mogilników był bezsilny. Folko odparł jego napór, zwyciężył!

Folko zachwiał się, pozbawiony sił; przygnieciony gwałtowną falą zmęczenia, zaszlochał, nogi ugięły się pod nim i niemal upadł w progu, opierając się czołem o ościeżnicę drzwi.

— Folko! Dlaczego walisz do drzwi! — W progu stał rozzłoszczony, zaspany Torin z łuczywem w dłoniach. — Jak się tu znalazłeś? Co się stało?

Hobbit milczał, staniając się na nogach przeszedł przez podwórko i pozbierał noże. Rękojeści, oplecione paskami cienkiej skóry, były z lekka nadpalone — skóra poczerniała, zmarszczyła się, a gdzieś tam nawet się zwęgliła. Folko zaczął przecierać je rękawem.

— Wyjaśnij mi, co się tu wydarzyło? — Torinowi chciało się spać, zbudził go hałas i teraz usiłował wszystko jak najszybciej załatwić i wrócić do łóżka.

— Torinie... — zaczął hobbit, znowu bezsilnie opierając się plecami o drzwi. — Nie, nie będziemy tutaj rozmawiać... chodźmy, chodźmy stąd! — Pociągnął krasnoluda za rękaw i zaskoczony, ziewający potężnie Torin wszedł za nim do domu.

Przerywanym szeptem, drżąc przy każdym szeleście czy skrzypnięciu, Folko zdał relację z niedawnego pojedynku. Teraz, kiedy wszystko już miał za sobą, nie mógł się opanować i nerwowo dygotał.

W nierównym świetle łuczywa widać było nachmurzone czoło krasnoluda i zaciśnięte szczęki. Sięgnął po topór leżący na kloku przy wezgiłowiu.

— A więc znalazł nas — powiedział Torin ze złością, ale radośnie mrużył oczy. — Przyszedł! Pierścienioreki, znaczy! — Krasnolud pospieszenie sprawdzał,

czy całe jego uzbrojenie znajduje się na właściwym miejscu. — A co się z nim w końcu stało? Nie bardzo wierzę, żeby upiory zniknęły po uderzeniu zwykłym nożem.

— Nóż nic mu nie zrobił, według mnie — pokiwał głową hobbit. — Po prostu przeleciał na wylot, i tyle. Już prędzej potrafiłem go czymś odepchnąć, tak mi się wydaje. Natomiast zasłona rzeczywiście została rozcięta nożem.

— Cóż, wszystko jasne — westchnął krasnolud. — Miałeś chyba wtedy rację, Folko! Nie powinienem był brać tego miecza. Przeklęty, przyszedł po niego! A może i nie, kto wie. Chyba zapamiętali nas w Mogilnikach... — Westchnął. — Dobra, teraz już nic na to nie poradzimy. Będziemy czuwać i walczyć ostro, gdy znowu się pojawi... Chodźmy spać. Chociaż... lepiej ty śpij, a ja popilnuję.

Folko położył się i wsłuchiwał w siebie. Nie, już się uspokoił, nic nie zapowiadało nowego ataku mogilnego widma, i hobbit nieco się odprężył.

Pojał nagle, że nie pojawi się dzisiaj, i znowu nie wiedział, skąd wzięła się ta niezachwiana pewność. Jeszcze się spotkamy, a trzecie spotkanie będzie ostatnim... dla jednego z nas.

Potem wszystko ściemniało i Folko pogрузił się w niezwykle kojącym, spokojnym śnie.

* * *

Następnego ranka, jak zwykle, poszedł do kuchni — według umowy miał jeszcze przez siedem dni pracować, akurat tyle, ile wyprosił Teofrast. Nocne lęki, ku własnemu zdziwieniu, zniknęły bez śladu, pojawiło się jednak coś innego. Hobbit nagle zrozumiał, że tak naprawdę wcale nie chce mu się iść do tej nieznannej Morii. Już mógł spokojnie przypominać sobie nocną przygodę i rozumiał, że uratował go tylko cud; wróg nie był specjalnie silny, a i tak omal nie zabił hobbita. A jeśli będzie ich kilku? Co wtedy? Zresztą, nawet jeśli nie marnował czasu podczas ćwiczeń z Malcem, co może zdziałać w prawdziwej walce? Ciemność, strach, głód i chłód... Wszystko to zwały się jednocześnie, pozbawiało go sił; w duchu jęczał, myśląc o miłej, przytulnej izdebce, do której tak chciał wrócić i która wydawała się teraz najbezpieczniejszym miejscem na ziemi. Wieczorem zastał go w takim stanie Torin, który już spieszył na spotkanie z dziejopisem. Widząc przygnębioną minę przyjaciela, uważnie popatrzył mu w oczy, a potem przez jego twarz przebiegł skurcz; Torin odwrócił się i również nachmurzył, jednakże nie powiedział ani słowa.

Niespokojnie oglądając się, doszli do znajomego domu kronikarza. Satti otworzyła drzwi i uśmiechnęła się do nich jak do starych znajomych. Ulokowali się

w tym samym gościnnym pokoju. Dziewczyna, jak i wczoraj, stanęła za pulpitem, przygotowując się do zapisywania ciekawej historii któregoś z gości.

Teraz częściej pytał Torin. Ale zanim zaczęli rozmowę, Folko, jeszcze się wahając, przekazał w drżące chude ręce kronikarza swój skarb.

— Woziliście ją w przysiodłowych sakwach, nie zawinawszy przynajmniej w pergamin? — jęknął kronikarz. — A to co?! Który to z was ośmielił się chleptać piwo, czytając to wielkie dzieło?! — krzyknął oburzony, gdy otworzył tom i znalazł na jednej z pierwszych kart podejrzaną plamę.

Folko uśmiechnął się. Kronikarzowi księgi zastępowały wszystko inne na tym świecie i o los Czerwonej Księgi chyba można było się nie martwić. Przeprosiwszy, Teofrast wyskoczył z izby, a zza drzwi rozległ się jego szybki władczy głos, którym wydawał jakieś dyspozycje. Wkrótce wrócił, zacierając dłonie z zadowoleniem.

— Introligator już się zabrał do roboty — zakomunikował. — Księga nie dozna u nas uszczerbku.

I zaczęła się rozmowa, podczas której przyjaciele dowiedzieli się, że Zielona Ścieżka, która wiedzie przez wszystkie dzielące Arnor i Rohan ziemie, jest dobrze zagospodarowana i zadbana. Tylko w połowie Zielonej Ścieżki, zaraz za przejściem przez Gwathlo, przy zachodnich granicach Dunlandu, leżą wzdłuż niej niezamieszkałe obszary, ale żaden nie ciągnie się dłużej niż na jeden, dwa dni drogi. Wzdłuż całego Traktu znajdują się duże wsie, w których wędrowcy zawsze mogą znaleźć przyjazny stół i bezpieczny nocleg — bezpieczny, rzecz jasna, o ile to możliwe poza granicami Północnego Królestwa. Wsie zamieszkują przede wszystkim Arnorczy, którym przypadły do gustu soczyste i obszerne tamtejsze łąki, znakomicie nadające się na pastwiska dla bydła. Ten wąski pas zasiedlonych ziem wzdłuż Traktu na długim odcinku płaci daninę Arnorowi, a mniejsza część, mniej więcej od granicy z Dunlandem — Rohanowi. Lud tam mieszka krzepki i niebojący się znoju, ale teraz nadeszły niełatwe czasy. Całego Traktu chronią drużyny Arnoru na północy i Rohanu na południu, życie stało się niebezpieczne. W obszerne południowe stopy i lasy uszło wielu zuchwałych ludzi; po porażkach na północy również przeniosło się tam wielu rozbójników.

— I tam, w cichych przyleśnych okolicach — ciągnął Teofrast — są ukryte osiedla, których mieszkańcy nie uznają władzy królewskiej i żyją, nie podporządkowując się nikomu. Są główną podporą tajemniczych lotnych oddziałów na południu, ponieważ zaopatrują w żywność rozbójników. W takich wsiach mieszka się z reguły w półziemiankach, pola uprawne znajdują się w pewnej odległości od domów, często też w samych lasach kryją się niewielkie poletka. Trudno jest tych zbójców znaleźć, chociaż teraz, rzecz jasna, chyba drużyny dobierają się do nich energiczniej. Zeszłej jesieni, jak słyszałem, spalono tam dziesiątki takich wsi... Tak, przyjaciele moi, chociaż od zwycięstwa minęło trzysta lat, Trakt jest nadal tylko cienką niteczką, przeciągniętą przez ocean dzikich i niezamieszkałych

ziem. Właściwie nie powinno się ich nazywać niezamieszkanymi, bo są skupiska ludzkie w Minhiriath i Enedhwaith, ale o tych ludach wiadomo bardzo niewiele, i są one nieliczne. Są też rybackie osiedla na brzegach, są i rolnicy, i myśliwi... Na wschodzie zaś, między Traktem i Górami Mglistymi, ziemie wyludniły się i nikt już nie zasiedla brzegów Siranny. Wcześniej była szlakiem wodnym krasnoludów, spławiających swoje towary na zachód i południe, jednak po tym, jak w ostatnich latach Moria opustoszała, ustało życie również w tych krainach.

— A w Dunlandzie? Co tam się dzieje? — dopytywał się Torin.

— O! Dunland, przyjaciele moi, to zadziwiający kraj! Jest bogaty w żyzne pola i piękne lasy, także w rudy żelaza. Górale z kraju w przygórzu Gór Mglistych są ludem licznym i wytrwałym. Jak pamiętacie, doszło do zatargów i nawet wojny z Rohanem w przeszłości, byli wrogami również w czasie Wojny o Pierścień. Po bitwie pod Hornburgiem górale uspokoiли się i zawarli z Rohanem traktat pokojowy. Pozwolono im żyć wedle własnych praw, ale daninę muszą płacić po dzień dzisiejszy. Wśród nich niemało jest lekkomyślnych młodych wojowników, którzy czasami urządzają zasadzki i napadają na Trakcie, ale zazwyczaj łapią ich i przekazują władzom sami górale, ponieważ bardzo sobie cenią obecny spokój. Olmer powiedział, że nienawidzą oni potomków tych, którzy się poddali, i gardzą nimi. To do nich podobne, są dumni i często honor przesłania im rozum. Radziłbym wam trzymać się od ich kraju jak najdalej i mieć oczy szeroko otwarte, jak będziecie wędrować wzdłuż ich rubieży.

— A Marchia Rohanu? Jak tam się mają sprawy? — dociekał krasnolud.

— Kwitnie, jak i inne krainy Zjednoczonego Królestwa — wzruszył ramionami kronikarz. — Na tamtych granicach jest, jak na razie, spokojnie, chyba że na zachodnich, we Wrotach Rohanu, czasem pojawi się jakiś oddział rozbójników. Ale z jeźdźcami Rohanu nie mają wielkich szans w otwartej bitwie, a ukryć się w stepach nie ma jak. Lud tam potrafi trzymać mocno miecze! Każdy dorosły mężczyzna jest doświadczonym wojownikiem, taki jest ich stary obyczaj, i nie zamierzają od niego odstępować, chociaż bogactwami znacznie ustępują Arnorowi i — tym bardziej — Gondorowi. W Edoras wznosi się Złoty Dwór i król Brego, szósty następca Theodena Wielkiego, rządzi wraz z wybieralną radą swoimi włóściami. Rohan jest niewielki, lud nieliczny, żyją tak samo od wieków — z hodowli koni, ale uprawiają też ziemię. Z tamtych stron przychodzą wieści przede wszystkim dotyczące nowych budowli w Edoras, Dunharrow i Hornburgu. Życie toczy się tam niespiesznie i w rytmie starych tradycji. Przy okazji — uśmiechnął się nagle Teofrast — Rohirrimowie zaczęli brać sobie za żony dziewczyny z Dunlandu, które słyną z urody. Z krasnoludami z Błyszczących Jaskiń Aglaronu przyjaźnią się i żyją w pokoju, zresztą o tym czcigodni goście wiedzą lepiej ode mnie.

— Powiedziałeś o ichniejszych zachodnich granicach — wtrącił Torin. — A co się dzieje na północnych, wschodnich i południowych?

— Co do południowych, wszystko jasne — odpowiedział kronikarz. — To są włości Gondoru. Na północnych rubieżach znajduje się Las Fangorn, z jego niezwykłymi mieszkańcami.

— Entowie? — zakrzyknął ucieszony Folko, ponad wszystko kochający w Czerwonej Księdze opowieści o cudach Fangornu i zwycięskim marszu entów na Isengard. — Oni żyją?

— Jak najbardziej — zapewnił go kronikarz. — Po zwycięstwie ludzie dowiedzieli się o nich. Rohirrimowie najpierw przyjaźnili się z nimi, ale potem drogi Śmiertelnych i Długowiecznych rozeszły się, jak to zwykle bywa. Entowie nie wkraczali na zasiedlone przez Rohan ziemie, ruszyli na północ i wschód, sadząc na pustynnych wcześniej ziemiach nowe gaje i lasy, które zwały się z czasem w olbrzymi masyw leśny, wielkości niemal połowy starego Fangornu; co się dzieje w jego ostępach, nie wiem, ale dzisiaj Rohirrimowie boją się Mocy lasów i nie ufają jej. Kilka razy usiłowali oczyścić w południowych okolicach nowe pola, jednakże entowie dali im do zrozumienia, że nie doprowadzi to do niczego dobrego. Oczywiście, obeszło się bez przelewu krwi, ale nie wzmocniło to przyjaźni między Lasem i Stepem. Lasy teraz ciągną się od samego Isengardu wzdłuż podnóża Methedrasu i przez stary Fangorn, nieco na północ od Pustynnego Płaskowyzu, wzdłuż rzeki Limlighth prawie do Anduiny na wschodzie, na północy natomiast Fangorn połączył się niemal z bezludnym dziś Lorien. Entowie nie marnowali czasu! — powiedział kronikarz.

— Ale, tak po prawdzie — ciągnął po chwili milczenia, łyknąwszy zimnego piwa i odsapnąwszy — interesuje mnie dziś przede wszystkim Isengard, i trochę się dziwię, że nie zapytaliście dotąd o niego. Entowie, jak pamiętacie, otoczyli najpierw jego ruiny gęstym młodym lasem, i ludzie powoli zapomnieli drogę do tego niedobrego miejsca. Entowie je otoczyli, ale, według mnie, potem przestali się nim zajmować, całkowicie oddawszy się rozszerzaniu swoich terenów na wschód i północ. A tymczasem wśród arnorskich myśliwych i tropicieli, którzy wędrują daleko na południe w poszukiwaniu nowych bogatych terenów i nie boją się wkroczyć do Fangornu — entowie przecież tak naprawdę są dobrymi istotami i nigdy nie krzywdzą nikogo, na odwrót, pomagają, gdy człowiek zwróci się do nich z należnym szacunkiem i nie będzie wymachiwał siekierą — tak więc, wśród tych odważnych ludzi od niedawna zaczęły krążyć jakieś dziwne pogłoski. Otóż w otaczających Isengard górach jakoby pojawiły się nieznane dotąd istoty — pół ludzie, pół zwierzęta, nieszczędzące niczego żywego, ale niewchodzące do lasu. Zainteresowałem się tym, dlatego tak chciałem się dowiedzieć od was czegoś o schwytanym karzełku, któremu ktoś polecił odszukać na południu ocalałych orków. Podejrzywałem coś takiego. — Jego głos zabrzmiał głucho; Teofrast pochylił się ku rozmówcom. — Orkowie Sarumana ciągną do starego legowiska... Teraz przejdźmy do granic wschodnich. Tam w tej chwili jest dziwnie spokojnie. Lewy brzeg Anduiny stopniowo zasiedliły różne ludy — z Rohanu, z Gondoru,

i z północy, i z północnego wschodu. Niegdyś pustynne Brunatne Ziemie są dziś niemal całe zaorane i obsiane. Na prawym brzegu, w przedgórzu Eryn Muil, odkryto wspaniałe owcze pastwiska, panuje tam cisza i spokój...

Długo jeszcze wypytywali Teofrasta o Gondor. Mocarstwo Wielkiego Króla Elessara Elfa rozkwitło w ciągu długich stu dwudziestu lat jego panowania, a zapobiegliwi następcy jeszcze pomnożyli odziedziczone bogactwa. Minas Tirith został ozdobiony wyrobami najlepszych krasnoludzkich budowniczych, którzy nawet wykuli bramę z mithrilu. Uwolniony spod władzy wroga Ithilien przekształcił się w ogród, w którego powstanie wielką pracę włożyli elfowie z Mrocznej Puszczy. Wszystkie okręgi od Pinnath Gelin aż po Wielką Rzekę Południa, płynącą przez Harondor z Gór Szarych, są gęsto zaludnione. Pod koroną Białego Drzewa w pałacu twierdzy kraj cieszy się pokojem i dobrobytem od wielu, wielu lat. Wojny zdarzały się, ale rzadko. Dwa czy trzy razy ruszał z wielką armią na wschód i na południe sam Wielki Król, dając Haradrimom i Easterlingom poznać, co znaczy gniew Gondoru; bajkowy Imrahil stał się znany w całym Śródziemiu, i długo jeszcze po tych wyprawach kobiety Easterlingów straszyły dzieci imieniem niezwycięzonego Władcy Zachodu. Ostatnia wojna zakończyła się pięćdziesiąt lat temu, gdy, już za obecnego króla, Haradrimowie postanowili wypróbować los i zemścić się za stare krzywdy. Jednakże płonne były ich nadzieje. Król szybko zwołał liczną drużynę, wezwał Rohirrimów i na brzegach Poros odniósł miażdżące zwycięstwo. Trupy ludzi i koni przegrodziły rzekę, przez kilka dni, póki nie rozebrano tej straszliwej grobli, woda była czerwona od krwi, a z rozkazu króla przez całą noc płonęły ogniska z zebranych na polu bitewnym włóczyń wroga — tak wielu ich było! Potem w Haradzie nastąpił pokój, a mieszkańcy wysłali nawet posłów z hołdem i zobowiązali się płacić wysoką daninę, jednakże małe graniczne wojny wciąż toczą się i na południu, i na wschodzie. Mimo wszystko Gondor jest obecnie naprawdę błogosławionym krajem, i oby tak było na wieki, póki świecą na niebie Wieczne Gwiazdy!

Pochłonięci rozmową nie zauważyli nawet, jak zapadł zmierzch. Goście podnieśli się niechętnie i zaczęli żegnać. Do rozpoczęcia wyprawy został mniej niż tydzień.

Minęła noc, dzień zastąpiła cicha, przedwieczorna godzina, i przyjaciele ponownie zastukali do drzwi domu Starego Kronikarza, jak zaczęli nazywać go między sobą. Wypytywali go o różne sprawy, rozmowa zesłała na losy innych narodów, wspomnianych w Czerwonej Księdze. Zarówno Torina, jak i Folka szczególnie interesowały te, które walczyły po stronie Czarnego Władcy lub znalazły się poza obszarami walki. Krasnolud ostrożnie skierował rozmowę na królestwo Beorningów, leżące między Wielkim Zielonym Lasem i Górami Mglistymi. Znał je trochę, ponieważ był tam w młodości; interesowała go teraźniejszość i porównywał wiadomości kronikarza z tymi, które przynosiły wędrowni krasnoludy.

— Żyją pod władzą wybieranych królów — oświadczył Teofrast. — Co prawda królestwo nazywa się Królestwem Beorningów, a tak się złożyło, że wszyscy królowie są członkami liczego klanu Beorna, pamiętnego z bitwy Pięciu Armii. Zawarli sojusz z Arnorem i nie przepuszczają przez swoje ziemie żadnych wrogów, ale teraz bardziej są zajęci przemieszczaniem się na południe. Dbają o lasy, ale co robić, skoro liczba ludności w dolinie Anduiny rośnie, potrzebne są nowe ziemie orne i łąki. Ciekawe, co będzie, gdy spotkają się z idącymi na północ entami?

Z Beorningów rozmowa jakby sama przeszła na Zielone Lasy i Folko zapytał, czy są tam jeszcze elfowie.

— A dlaczegoż by nie? — wzruszył ramionami Teofrast. — Mają co robić w Śródziemiu, więc nie wybierają się jeszcze za Morze.

— A co z ich nieśmiertelnością? — powtórzył hobbit zadane kiedyś Torinowi pytanie.

— Czytałeś uważnie Czerwoną Księgę? — odpowiedział pytaniem kronikarz. — Po waszym odejściu wczoraj, a także dzisiaj, w pierwszej kolejności zwróciłem uwagę właśnie na przekłady z elfijskiego dokonane przez czcigodnego Bilbo Bagginsa, zawierające najważniejsze informacje o Dawnych Dniach. I oto jaki obraz się wyłania: Sauron niemałą część swej starej mocy włożył w stworzenie Pierścienia Władzy i dlatego zginął, gdy Pierścień został ciśnięty w ogień Góry Przeznaczenia. Jednocześnie zniknęła moc Trzech Pierścieni Elfów, połączonych Jedynym w pewien magiczny czarny łańcuch. Ale w legendach o Dawnych Dniach doczytałem się, jak brzmiały warunki, postawione przez Valarów po Pierwszym Zwycięstwie pozostającym w Śródziemiu elfom. Tak więc, powiedziano tam wyraźnie: mogą tu żyć, aż zmęczą się sąsiedztwem Śmiertelnych. Wtedy odpłyną z Szarych Przystani do ojczyzny. Potomstwo Elronda miało trudniejszy wybór — albo odejść, zachowując przynależność do ludu Pierworodnych, albo zostać Śmiertelnymi, i tym samym pozostać w Śródziemiu. Arwena Undomiel wybrała drugą możliwość... Wiesz, Folko, to nie jest takie proste. Galadriela mówiła o wszechogólnym podporządkowaniu wszechpotężnemu czasowi, ale popatrzcie na Kirdana Szkutnika! To znaczy, że wszechwiedząca władczyni mogła w czymś się mylić. W tym świecie nikt nie zna prawdy do końca, błędzą najmądrzejsi z mądrzejszych. A co do mnie, to myślę, że bez Trzech Pierścieni elfowie, którzy włożyli w nie wiele mocy, rzeczywiście nie mają co robić w Śródziemiu, ponieważ życie Nieśmiertelnych nabiera sensu tylko w takim wypadku, jeśli mają Wielki Cel, dla osiągnięcia którego potrzebne są wielkie środki. Ci, co go utracili, porzucili nasz świat, a ci, co nigdy nie władali Pierścieniami albo byli niezależni — zostali. Sam Kirdan, który władał kiedyś Pierścieniem Ognia, ale sam podarował go Gandalfowi, też, jak sądzę, pewnego dnia ruszy w Zamorze. Ale kto wie, kiedy to się stanie? A co się tyczy Thranduila, to i teraz można odnaleźć jego pałac, idąc od Esgaroth w górę rzeki Leśnej.

— Prawdę mówiąc — westchnął Folko — świat bez elfów jest jakiś niepełny. Zbyt szary i nudny.

— Thranduil nieraz zamawiał broń i różne ozdoby u krasnoludów z Samotnej Góry — dodał Torin. — Słyszałem to niedawno od współplemieńców, którzy stamtąd przybyli.

Teofrast krótko opowiedział o Jeziornym Królestwie, i w ten sposób stopniowo, krok po kroku, zbliżyli się do terenów Nadrunia, ogromnej przestrzeni, przylegającej do wewnętrznego Morza Rhun, gdzie od dawna zamieszkiwał potężny i wojowniczy naród Easterlingów, który sprawiał Południowemu Królestwu nie mało kłopotów.

— Według słów Olmera Nadrunie jest bogatym krajem — ciągnął Teofrast. — Easterlingowie są po trosze koczownikami, po trosze rolnikami. Ich osady ciągną się od południa Zielonych Lasów aż po łuk rzeki Runy, gdzie rozciągają się Wielkie Stepy; tam wypasają swoje bydło. Ziemie wokół Morza są zaorane, a Pogórze Nadruńskie obfituje w żelazo. Ich włości rozciągają się również na dalsze Nadrunie — cały miesiąc drogi na południe i wschód. Easterlingowie są liczni i uparci, ale po tym, jak w odległej przeszłości trafili pod panowanie Czarnego Władcy, nie potrafili już wykarczować ze swych dusz głęboko wrośniętego korzenia zła. Mówiłem już, że również po Wielkiej Bitwie nieraz uderzali na Gondor — i zawsze ponosili straty. Wielki Król sam nachodził ich kraj, pustosząc ziemię, a mimo to nie ukorzyli się. Mają świetną jazdę, szybką i nieuchwytną, a także piechotę, uzbrojoną w niewielkie topory, podobnie jak czcigodne krasnoludy; Olmer widział u nich prawdziwych konnych pełnozbrojnych rycerzy. O wszystkim decydują rody; Easterlingowie nawet do boju stają rodzinnymi klanami. Nie mają państwa, tylko wodzów poszczególnych miejscowości; z reguły są to przywódcy wielkich rodzin, które nierzadko skupiają tysiące ludzi. Jeśli młodzian z jednego klanu poślubia dziewczynę z innego, wówczas rodziny łączą się. Tak stopniowo powstają poszczególne plemiona, które jednak przestrzegają klątwy danej kiedyś ocalałym po pochodzie Wielkiego Króla — nigdy nie walczą między sobą. Są niebezpieczni!

— Czy to znaczy, że ci, co napadli na nich z południa, mogą być naszymi sojusznikami? — zapytał Folko.

— Tak, mamy szczęście, że między ludami wschodu wybuchają jeszcze wojny, ale pomyśl sam, co by się działo, gdyby dogadały się one i razem ruszyły na zachód? Wojna byłaby długa i krwawa... Nie, nie mamy na wschodzie przyjaciół, mogą być tylko czasowi sprzymierzeńcy — odpowiedział Teofrast. — Teraz Easterlingowie są osłabieni, i to dobrze, ale przez ostatnich kilka lat mieli ciepłe zimy, lata w miarę deszczowe, stepy porosły soczystą zieloną trawą, więc szybko nadrobią straty.

Torin zapytał o Mordor. Folko z niepokojem oczekiwał echa tej złowieszczej nazwy w izbie, jednakże nic się nie stało.

— Mordor jest niemal bezludny — odpowiedział Teofrast. — Kto by tam żył po wszystkim, co zaszło! Wieża Złych Czarów została zburzona, a w Zębach i w Przełęczy Pajęczycy stacjonują mocne załogi. Łańcuch posterunków na wschodzie chroni spokój martwych ziem, i niech tak będzie do końca wieków.

— A w Haradzie? — zapytał Torin.

— Ich piechota jest uzbrojona, jak już mówiłem, w duże sześciokątne tarcze i miecze, krótkie i grube, którymi potrafią przebić każdą kolczugę, prócz krasnoludzkich, rzecz jasna. Mają również specjalne oddziały oszczepników i łuczników, bez pancerzy, którzy atakują przeciwnika na początku bitwy i wprowadzają zamęt w jego szeregi deszczem strzał i oszczepów; są procarze, zasypujący gradem ciężkich pocisków z wypalanej gliny. Nie zapominają też o bojowych olifantach, które wywołały taki zachwyty czcigodnego Sama Gamgee. To są groźni przeciwnicy! Ostatnie zwycięstwo kosztowało nas wiele!

— Wyjaśnij jeszcze, co to jest Czarna Skąła, o której wspominał Olmer — poprosił Folko.

— Nikt z moich gondorskich znajomych, odbywających pochody z wojskiem i poselstwem na południe, nie widział jej, tylko o niej słyszał. Jest to, o ile dobrze zrozumiałem, coś jakby świątynia tego ponurego narodu. Płonie tam pierścienią nigdy niegasnących ognisk... Tak, naprawdę nigdy niegasnących, ponieważ, jeśli wierzyć Olmerowi, żywi je sama ziemia. Nie pytajcie mnie, czym są, bo nie wiem, a on nie chciał powiedzieć. Ale, wiercie mi, właśnie tam ich przodkowie przysięgali wierność Czarnemu Władcy, który umieścił w głębi skały pewien talizman; w decydującym dniu ma on wypłynąć na powierzchnię i dać im władzę nad wszystkimi przylegającymi ziemiami.

— Poczekaj, czcigodny Teofraście, powiedziałaś, że Umbar jest teraz w naszych rękach — odezwał się krasnolud. — Korsarzy przegoniliśmy, więc dlaczego nie wystawimy posterunków jeszcze dalej na południe, żeby mieć na oku cały Harad? A przy okazji, co tam jest dalej na południe?

— Na twe pytanie nie odpowie nikt w Śródziemiu, może prócz wzmiankowanego już Kirdana — uśmiechnął się kronikarz. — Nikt nie dotarł dalej na południe niż jego okręty. A z korsarzami wydarzyła się ciekawa historia. Przetrzebieni przez oddział pod wodzą samego Wielkiego Króla, wydawało się, że znikli na zawsze. Nic podobnego. Nie wszyscy oddali się Złtu, niektórzy byli po prostu przeciwnikami Gondoru, ale w decydującej chwili nie wystąpili otwarcie po stronie Saurona. Kiedy flota Gondoru przybyła do Umbaru, nasi wodzowie zastali wrota do tej najpotężniejszej twierdzy otwarte, samo miasto zaś okazało się porzucone, a w twierdzy czekała na nich wiadomość, pozostawiona przez korsarzy. Mniej więcej taka: „Odchodzimy na południe. Nie ma sensu walczyć z wami”. Wielki Król był miłosierny i postanowił nie ścigać wygnańców. Jednakże po jego śmierci wszystko się zmieniło. Korsarze rzeczywiście uszli na południe i nie usiłowali zdobyć dla siebie twierdzy Umbar, jednak ich liczebność wzrosła, a poza

tym dołączyli do nich inni. Przyjmują wszystkich, Haradrimów i gondorczyków, którzy z jakiegoś powodu opuścili nasze ziemie. Korsarze zamknęli dla nas południowe morza i wyprawy tam oznaczają teraz wielką wojnę. Pojedyncze okręty pojawiają się i na naszych wodach, czasem napadają na przybrzeżne osady, ale przede wszystkim grabią okręty na szlaku z ujścia Anduiny do Szarych Przystani. To najprostsza i najszybsza droga z Arnoru do Gondoru, po niej wędruje niemało towarów, co wykorzystują korsarze. Jak i sam Kirdan, pływają oni także na północ i na południe. Słyszałem, że bardzo ich interesują sprawy na zachodzie. Sami stopniowo przekształcili się w Morski Lud; nie wszyscy zajmują się grabieżą i rozbojem; są znakomitymi i doświadczonymi marynarzami, zatem nawet sam Kirdan musiałby się z nimi namęczyć. Ich okręty są szybkie, a wyposażono je w żagle i wiosła.

— Poczekaj, powiedziałaś wiosła? — wykrzyknął Torin, a potem uderzył się otwartą dłonią w czoło. — Więc stąd u twego znajomego, Folko, takie dziwne odciski! A ja, głupi, nie skojarzyłem! Oczywiście, takie bruzdy powstają od długiej pracy wiosłami!

— O czym ty mówisz, czcigodny Torinie?

Krasnolud szybko opowiedział mu historię z monetą Terwina. Kronikarz po kiwał głową i dał Satti znak, żeby zapisała.

— To, że twój prezent znalazł się w rękach Morskiego Ludu, jeszcze o niczym nie świadczy — zauważył. — Srebro zmienia dziesiątki i setki właścicieli, i to, że moneta została oddana lekką ręką, świadczy o tym, że nie należała do specjalnie cenionych. Wydaje się, że ostatni posiadacz nic nie wiedział o jej pochodzeniu ani prawdziwej wartości.

— A co się stanie, gdy ktoś z Morskiego Ludu popłynie na Zachód? — naiwnie zapytał hobbit.

Teofrast odpowiedział mu, uśmiechając się zagadkowo:

— Nie popłyną daleko. Błogosławione Królestwo po upadku Numenoru odsunęło się od naszego świata i Morze jest przedzielone tajemniczą Zasłoną. Tylko elf może ją przekroczyć, innych czeka. . .

— Śmierć? — wtrącił Torin, ale kronikarz pokręcił głową.

— Po prostu zostaną zawróceni i nawet nie zauważą, że płyną w odwrotnym kierunku. Dowiedziałem się tego przed wielu laty, jeszcze w młodości, kiedy w Szarych Przystaniach rozmawiałem z tamtejszymi elfami. To zadziwiający naród, powiadam wam! — W głosie Teofrasta pojawiła się ta sama miękkość jak wtedy, gdy kronikarz opowiadał legendę o Wielkich Schodach. — Nie widziałem Kirdana, ale rozmawiałem z wieloma bliskimi mu osobami. Nie powiem, żeby chętnie rozmawiano ze mną, ale jeśli już się zdecydowano, wydawało mi się, że słyszę nie słowa, lecz czarującą muzykę. To właśnie one opowiedziały mi o Zasłonie i o wielu wydarzeniach dotyczących historii elfów Śródziemia, i dopiero gdy domagałem się wyjaśnień, czym jest Błogosławione Królestwo, albo zaczynałem

dopytywać się szczegółowo o Valarów, unikali wyraźnych odpowiedzi, mówiąc tylko to, co i tak już wiedziałem. Już wtedy zamierzałem napisać pełną historię Dawnych Dni i Drugiej Epoki. Pracuję nad tym po dziś dzień, dużo już zrobiłem, ale wiele rzeczy mi przeszkadza i odrywa od pracy... Pilne rozkazy króla, na przykład. — Teofrast pokręcił z niezadowoleniem głową. — Nie tak dawno posłaniec przywiózł dużą sumę w złocie i otrzymałem pilne polecenie zbadania starych kronik; chodziło o sporządzenie wykazu wszystkich dawniej stosowanych środków i leków przedłużających życie! Zlecenie interesujące, ale strasznie czasochłonne. Takie i podobne sprawy opóźniają pracę...

Stary dziejopis okazał się nieocenionym źródłem wiadomości. Dopiero jednak podczas ostatniego spotkania — wymarsz drużyny wyznaczono na wczesny poranek następnego dnia — opowiedział im obiecaną historię późniejszych losów orków.

— Tysiące orków zginęło po śmierci Wielkiego Pierścienia i upadku Saurona — opowiadał Teofrast. — Uważnie zbadalem wszystko, co mówi o nich Czerwona Księga, a to świetnie uzupełnia liczne świadectwa naocznych świadków, zapisane przez kronikarzy Wielkiego Króla. Orków ogarnęło wtedy potworne szaleństwo — znikła potęga, która kierowała nimi i podtrzymywała ich byt. Rzucali się ze skał, wszczynali szaleńcze, straszliwe walki między sobą. Tysiące, powiadam wam, tysiące tysięcy dało głowy. Jednakże nie wszyscy zginęli. Niektórym, szczególnie orkom z Gór Mglistych i Szarych, udało się przeżyć; tym najsprytniejszym, którzy dali początek nowym rodom. Jednakże ich pierwotne ograniczenie nie zniknęło. Są przecież wytworami Wielkiego Mroku stworzonymi przez Zło w jego ciemnych celach, nie można więc od orków wymagać poprawy. Nie bacząc na swoją rozpaczliwą sytuację, gdy, jak by się wydawało, konieczna jest jedność, nie ustają w kłótniach i sporach.

— Skąd to wiadomo? — zainteresował się Torin.

— Od karzełek — odpowiedział Teofrast krótko. — Wleżą w każdą dziurę, węszą, wszystkiego się dowiedzą. Czasem przynoszą bezcenne zaiste wieści. Ale teraz zajmują mnie przede wszystkim nie orkowie z Mordoru, z nimi sprawa jest mniej więcej jasna. Siedzą, jak powiedziałem, gdzieś w Górach Mglistych i Szarych, mają też kolonie w górach Mordoru. Pamiętacie, wspominałem o nieznanym istotach, które pojawiły się w okolicach Isengardu? Otóż one, przyznam, bardzo mnie zainteresowały. Chodzi o to, iż kroniki Rohanu i Gondoru mówią, że po stronie Saurona walczyli jacyś szczególnie orkowie, niebojący się światła słonecznego. Zainteresowało mnie to, a wkrótce natrafiłem w rohańskiej bibliotece na informacje o tajemniczych zaginięciach dzieci, chłopców i dziewczynek, które zaczęły się mniej więcej w pięćdziesiątym roku naszej Epoki. Sarumanowi orkowie wyraźnie różnili się od innych, a nie były to jakieś poszczególne plemiona orków, żyjące na południu Gór Mglistych. Powstała nowa rasa! Stworzył ich Saruman, a jak tego dokonał, można było domyślić się z dobrze zor-

ganizowanych porwań dzieci w sąsiednim królestwie. Natomiast po przeczytaniu Czerwonej Księgi nie było żadnych wątpliwości — do takiego samego wniosku doszedł mądry Stary Ent Drzewobród, inaczej Fangorn. On już wtedy pojął, że Saruman z naprawdę niepojętą zręcznością dokonał, wydawać by się mogło, rzeczy niemożliwej: połączył rasy orków i ludzi! I wyszło mu coś, co — przyznam — spędza mi sen z powiek. Saruman nie zawsze był nędznikiem, pozostały w nim ślady dawnego dobra. Świadomie czy nie, włożył w te istoty wiele człowieczeństwa. W rezultacie jego orkowie służyli mu tak, jak nie służyli Czarnemu Władcy orkowie z Mordoru: ci pierwsi bez wahania oddawali życie, walcząc nawet z takimi, którzy tylko niezbyt pochlebnie wyrazili się o ich władcy. Odwagi Uglukowi i jego feralnemu oddziałowi mogliby pozazdrościć niektórzy ludzie. A Helmowy Jar. Często wspominam Ostatnią Wyprawę: to, jak zachowywali się tam orkowie, wcale do nich nie pasuje. Żeby te stwory Mroku poświęcały siebie dla swoich dzieci?! Natomiast tego właśnie należałoby się spodziewać po dziedzictwie Sarumana! Przyznaję, ta myśl spędza mi sen z powiek. Ci pół orkowie, pół ludzie, którzy nie są do końca oddani służbie Mrokowi, znaleźli się między dwoma światami, a prawdziwi, rdzenni orkowie nienawidzą ich i gardzą nimi, uważając za niemal główną przyczynę ówczesnej klęski i aktualnego, nędznego losu. A co do ludzi, to wiadomo. Sekretne górskie twierdze zajęte są przez starych orków, ich dawnych właścicieli; resztki tego nieszczęsnego Sarumanowego plemienia i tak wędrują więc po świecie, jeszcze nie ludzie, ale już nie orkowie, i nie mogą przystać ani do jednych, ani do drugich. Aż mnie ciarki po grzbiecie przechodzą na myśl, że znajdzie się ktoś, kto skłoni ich do służby sobie i rzuci do walki przeciwko całej reszcie. Te istoty są tak przepełnione nienawiścią, że walka z nimi będzie kosztowała morze krwi — co się zresztą stało podczas Ostatniej Wyprawy. Strzeżcie się ich! Uciekajcie przed nimi! Oto moja rada. A jeśli traficie na nich, dajcie mi znać do Annuminas. . .

Odchodząc, Folko odwrócił się; na progu starego domu, w drzwiach skąpo oświetlonego holu, stała wysoka, choć przygarbiona wiekiem postać, z ręką uniesioną w geście pożegnania.

Rozdział 13

Początek drogi

Folko został nagle wyrwany z głębokiego snu przez kogoś, kto bezceremonialnie nim potrząsał. Niechętnie otworzył oczy — powieki kleiły się, był bardzo śpiący — i przypomniał sobie, że nastał poranek ich ostatniego dnia w Annuminas. Nad nim pochylał się już ubrany Torin; w kącie stały worki podróżne, spakowane wczorajszego wieczora; z podwórka dochodziły głosy oraz stukanie kopyt i skrzypienie kół wózków.

— Wstawaj, bracie hobbitcie. — Torin patrzył na niego, głos miał poważny. — Już czas. Wyruszamy. Myj się i chodźmy do gospody, już zarządziłem śniadanie. Wszyscy czekają.

Drżąc z zimna, hobbit wyszedł spod koca. W domu było chłodno, kominka nikt już nie rozpałał. Za oknem w porannej mgłę poruszały się postacie ludzi i krasnoludów, zajętych ostatnimi przygotowaniem. Folko westchnął i poszedł zjeść śniadanie.

W znajomej sali przy długim stole zebrali się wszyscy uczestnicy wyprawy. Czternastu krasnoludów, dwunastu ludzi i jeden hobbit, strasznie w tej chwili samotny i zakłopotany. Niektórzy cicho rozmawiali, ale wszyscy byli zatroskani i dość ponurzy. Nikt nie wygłaszał pięknych mów, nawet Hornborin, skory zawsze do perorowania, tym razem milczał. Śniadanie minęło w niezbyt miłej atmosferze. Folko nie potrafił uwolnić się od mrocznych myśli, chwilami ogarniały go fale niepojętego strachu. Dokąd się wybierają? Co on tu robi, jak się tu znalazł? Od przebudzenia poruszał się bezmyślnie i mechanicznie, podporządkowując się po prostu ogólnej krzątaninie. Teraz, gdy otwarto bramę gospody i krasnoludy zaczęły wyprowadzać na ulicę jeden po drugim kryte wózki z zapasami, hobbit poczuł się naprawdę źle. Zagubiony i niepotrzebny, odszedł na stronę i usiadł na kamieniu przy ganku. Z bramy wyskoczył ubrany już na drogę Malec, z mieczem i daga przy pasie oraz toporem na plecach.

— Folko! Idziemy, Torin już woła, trzeba zamknąć dom i pożegnać się. Hobbit wstał niechętnie i powlókł się za żwawym małym krasnoludem.

Torin stał na ganku ich domu, w płaszczu i uzbrojony. Okiennice były zamknięte, a krasnolud trzymał w ręku klucze od drzwi. Malec i Folko podeszli doń, inni tangarowie zgromadzili się w pewnej odległości. Ludzi wyprowadził z podwórza Rogwold, nie chcąc przeszkadzać przyjaciołom. Oblicze Torina było zatroskane i nieprzeniknione.

— Oto w końcu nastał dzień, do którego przygotowaliśmy się przez całą zimę. Przed nami droga, trudy i niebezpieczeństwa; jakie, nikt nie może przewidzieć. Pożegnajmy się z miejscem, które dawało nam do tej pory schronienie.

Wolno pochylił głowę przed drzwiami, Malec i hobbit powtórzyli jego pokłon. Torin głęboko westchnął, włożył klucz w dziurkę i kilka razy wolno przekręcił. Zamek cicho szczyknął. Drzwi zostały zamknięte. Torin zdjął z kółka dwa klucze i dał po jednym Malcowi oraz Folkowi.

— Niech każdy z nas, gospodarzy tego domu, ma przy sobie klucz do niego — powiedział. — Albowiem nie wiemy, któremu z nas sądzone będzie tu wrócić.

Folko drgnął, jakby przejęty chłodem; miał przeczucie, że już nigdy nie zobaczy ich przytulnego domku.

Torin odwrócił się do oczekujących go towarzyszy i machnął ręką. Wszyscy tłumnie ruszyli na ulicę.

Obok gospody już czekał niewielki tabor. Ludzie stali w grupie dokoła Rogwolda. Stary łowczy nie wyglądał rześko — na jego twarzy ciemniały bruzdy zmarszczek, a cienie pod oczami świadczyły, że i on nie spał tej nocy. Podeszedł do Torina.

— Daj znak, Torinie, synu Dartha — powiedział cicho. — Nic nas tu już nie trzyma.

— Hej, hej! Na koń! — krzyknął Torin, machnąwszy ręką.

Chwila krzątania, i ludzie siedzieli w siodłach, krasnoludy rozsiadły się, kto gdzie miał miejsce, jedni na kucach, inni na kozłach wózków. Wierzchem jechali Folko, Malec, Dorin i Hornborin; oni też jakoś od razu znaleźli się na czele. Torin trącił wodze i kuc zaczął iść. Stukot jego kopyt po chwili został zagłuszony tętentem koni i skrzypieniem żelaznych osi. Oddział wolno ruszył.

Zostawiali za sobą zasobne ulice Annuminas i w końcu zbliżyli się do bramy miasta. Uprzedzeni przez Namiestnika strażnicy z szacunkiem powitali wybierających się na trudną i niebezpieczną wyprawę towarzyszy. Minęli bramę, a wtedy w twarze niespodziewanie uderzył mocny, świeży i ciepły wiosenny wiatr, rozwiewając im poły płaszczy i burząc włosy. Folko głęboko odetchnął i w tej samej chwili usłyszał, jak jadący obok niego Rogwold mruczy pod nosem:

— Jakoś duszno mi było w Annuminas. . .

Hobbit uniósł się w strzemiączkach, rzucił pożegnalne spojrzenie na potężne mury oraz wieże wielkiego miasta, westchnął i odwrócił się. Teraz na długie miesiące jego wzrok będzie uczepiony południa i wschodu.

Oddział poruszał się wolno, oszczędzając siły na następne odcinki drogi. Drużyna przemierzała ten sam Zielony Gościniec, po którym przybyli do Annuminas jesienią; pierwszy dzień minął bez przygód. Na noc zatrzymali się w jednym z licznych przy Trakcie zajazdów. Furgony zostały wprowadzone na dziedziniec, konie rozprzężono, bez pośpiechu spożyto posiłek i wypito piwo. Potem wszyscy ułożyli się do snu. Do ponurego Folka, siedzącego przy kominku, niespodziewanie podszedł Torin.

— Są jeszcze węgle? — Krasnolud zręcznie wydobył tłącą się głownię i rozpałił fajkę. — No, to jesteśmy w drodze.

Torin usiadł, opierając się plecami o ścianę z bali, prawie całkowicie skrył się w panującym tu mroku, tak że widać było tylko purpurowy ogienek jego fajki.

— Tylko czym to się skończy — westchnął Folko, w zamyśleniu grzebiąc w czerwonych węglach.

— Coś się tak zasmucił, bracie hobbicie? — zapytał krasnolud nieoczekiwanie twardym głosem. Pomyśl dobrze, Folko, to nie zabawa! — Głos Torina ścisł. — Co nas tam czeka, nikt nie wie, może przyjdzie się bić. Czy nie stchórzysz? Przecież wiem, od samego początku nie chciało ci się włączyć pod ziemię. Ja rozumiem, to nie sprawa hobbita, ale też nie ludzi. Hobbitania trzyma cię mocno! Przy naszym pierwszym spotkaniu w twojej osadzie widziałem, gdy spałeś, że do okna zaglądała jakaś ślicznotka, na pewno nie bez powodu. . . Jak ona się nazywa? Pomyśl, Folko, nie potrzeba nam tylko ofiar i bohaterstwa. Jeśli nie starczy ci sił albo stchórzysz, to nawet nieważne jest, że sam zginiesz, ale polegną również ci, którzy ci zaufali, ci, których miałeś osłaniać od tyłu! Nie myśl, że ja czy Malec jesteśmy tacy odważni. Myślisz, że mnie ciągnie do Morii? Ha, z ogromną przyjemnością zostałbym w Annuminas, założyłbym własny warsztat. Albo poszlibyśmy na południe, do Błyszczących Jaskiń Aglarondu, albo ruszyli do Erebor; tam wojna skończyła się niedawno, a doświadczeni i niestrachliwi są potrzebni w Żelaznych Wzgórzach. Zrozum, nie z własnej chęci idziemy! Ani ja, ani Malec. Mówię ci więc jeszcze raz — wszystko dobrze przemyśl! Żebyś nie był dla nas ciężarem. Daję ci czas do Przygórza.

Torin nagle przerwał, gwałtownie podniósł się i skrył w ciemnościach.

Krasnolud odszedł, a Folko znieruchomiał obok wygasłego kominka. Policzki i uszy płonęły mu żywym ogniem, ledwie powstrzymywał łzy. Nie ma co, Torin ma rację. Co noc śni mi się Milicenta. . . Buckland, wujaszek. Co robić, co robić?!

W końcu łzy wyrwały się na zewnątrz.

Który to już raz? — pochlipywał. — Widocznie zupełnie się nie nadaję. . . Tylko rzepę mi hodować, nic więcej.

Popłakując, po omacku doszedł do swojego miejsca, ułożył się i przykrył płaszczem. Łzy wyschły; teraz czuł urazę: Skąd mu przyszło do głowy, że stchórzę czy zawiodę?! Co by w Mogilnikach beze mnie zrobili? Eirik omal go pałą nie stuknął. Kto pospieszył z pomocą? Kto pokonał upiora na podwórzu? Nie ucie-

kłem przecież. A skoro tak, to śpij spokojnie, Folko, synu Hemfasta, i nie zwracaj uwagi na głupie gadanie. Będziesz miał jeszcze okazję udowodnić, że nie jesz chleba nadaremno! — Hobbit przewrócił się na drugi bok i postanowił więcej nie myśleć o tym, co powiedział Torin. To nic. Nic! Frodo, Sam, Meriadok i Peregrin szli na bardziej niebezpieczną wyprawę, właściwie na śmierć, i nic, nie szlochali, nie jęczeli! Więc niech sobie krasnolud mówi, co chce. On też nie zawsze ma rację. . . Ech, żeby tak stary Gandalf nie siedział za Morzem, tylko był tutaj z nami. . . O wiele bylibyśmy silniejsi. . .

Folko wolno zapadał w czule otulającą go powłokę spokojnego snu, z warg uleciało mu raz jeszcze wyszeptane imię maga, powieki zamknęły się, i sen w końcu zapanował nad ciałem.

Nie wiedział, ile minęło czasu, ale niespodziewanie zobaczył białe ściany na różowej skale, otoczone wspaniałymi sadami. Miraż zniknął, więc wyteżył wolę, żeby utrzymać widzenie. A potem brzeg, drzewa i skały nieoczekiwanie pomknęły mu na spotkanie, jakby na plecach wyrosły skrzydła, a po krótkiej chwili rzeczywiście zobaczył je. Skrzydła morskiej mewy! Na dole przemknęło pasmo przybrzeżnej piany, mignęły zielone korony i zlały się w jednolity dywan. Folko szybował, wszystko migotało przed oczami, i nagle znalazł się w wypełnionym lśnieniem obszernym pomieszczeniu, w którym nie można było określić, gdzie jest podłoga, gdzie sufit, a gdzie ściany. Nie zauważył nawet, kiedy zieleń dokoła niego znikła, ustąpiwszy miejsca miękkiemu, świecącemu zasłonom. Tak zapewne mógłby wyglądać ożywiony i wypełniony ogniem marmur. I z tej jasności na spotkanie mu wyszła wysoka, odziana w biel postać starca z długim białym kosturem w lewej ręce. Z prawej zwisał dziwnie znajomy miecz w niebieskiej pochwie. Jeszcze nie widząc twarzy, Folko poczuł, jak wali mu serce, i zrozumiał, że człowiek przed nim to Gandalf.

Hobbit znieruchomiał, właściwie znieruchomiało wszystko dokoła, i tylko starzec powolnym krokiem szedł mu na spotkanie. Folko zobaczył gęste brwi, głęboko osadzone jasne oczy, które promieniały niebywałą siłą, potęgą i dobrocią, i w tej samej chwili usłyszał spod śnieżnobiałej brody głos tego, który tak naprawdę był Olorinem:

— Wołałeś mnie, więc się spotkaliśmy. Mów zatem, słucham, ale nie zwlekaj, czasu mamy mało.

— Gandalfie. . . — wymamrotał hobbit, a właściwie zrozumiał, że wymamrotał. — Jesteś teraz w Najdalszym Zachodzie, tak?

— Czy to wszystko, co chciałeś mi powiedzieć?

— Nie, oczywiście, że nie — zaczął szybko mówić Folko. — Ale, Gandalfie, bardzo nam brakuje twojej pomocy! Tu się dzieją takie. . . Jak mamy poradzić sobie bez ciebie? Dlaczego jesteś tam, a nie tu?!

Uśmiech zniknął z twarzy starca.

— Co się w Śródziemiu dzieje, mniej więcej wiem. Ale musicie teraz decydować o wszystkim sami. Ja i inni odeszliśmy właśnie dlatego, że ludom Północy nie są już potrzebni pasterze; mogą żyć, kierując się własnym rozumem. Dlatego jestem tu, u elfów, na ziemi mojej młodości. Moją epoką była Trzecia. Przeciwwsta-
wiłem się Sauronowi, a wykonawszy nałożone na mnie zadanie, mogłem wrócić. To jest moja odpowiedź na pierwsze pytanie.

— A czy możesz nam coś podpowiedzieć, poradzić? Nie wszystkie nasze lęki i obawy zrodziły się teraz, niektóre pochodzą, tak mi się wydaje, z Pierwszej Ery!

— Nie mogę udzielać rad — dało się słyszeć głębokie, pełne smutku westchnienie. — Po prostu nie potrafiłem odzegnać się całkowicie od Śródziemia, i chociaż mam teraz inne sprawy i troski, zachowałem możliwość porozmawiania co jakiś czas z kimś z żyjących w Śródziemiu. Z tymi, w których żyje jeszcze odblask Pierwszego Ogniska, czyli ze starożytnymi, to znaczy z elfami, krasnoludami i z wami, moi mili dziwacy hobbici. Ale nie proś o rady — tu się kończy moja Moc. Dlatego że wszechwiedzących nie ma i nie może być, a tylko poprzez ciągłą pracę Mądry może zasłużyć sobie na prawo do sądu i rad. Kiedyś miałem takie prawo i skorzystałem z niego.

— A zatem nie możesz nam pomóc? — Folko niemal wykrzyknął te słowa.

— Mogę podnieść na duchu w chwili ciężkiego zwątpienia — odpowiedział Gandalf. — Co do wiedzy podanej na tacy, to jest ona niewiele warta. Mogę tylko domyślać się przyczyny waszych obaw, a opowiadać o Zamorzu po prostu mi nie wolno. Przecież słyszałeś o Szalach? Na każdą wiedzę trzeba sobie zasłużyć, nie spiesz się więc z poddawaniem rozpaczy! Wszechwiedzących w naszym świecie nie ma i nie było. Nawet Najjaśniejsza Królowa nie jest wszechmocna.

— Ale zapytać cię o przeszłość, o Wojnę o Pierścień, o losy hobbitów, którzy odeszli wraz z tobą, o Valarów i Earendila mogę?

— O hobbitów możesz — uśmiechnął się Gandalf. — Możesz ich nawet zobaczyć. A co do reszty... A Wojna o Pierścień? Wszystko, co powinni wiedzieć Śmiertelni, znajduje się w Czerwonej Księdze. O Earendilu również opowiedziano tam wystarczająco, a o Valarach... wystarczy ci wiedzieć, że istnieją i służba ich szybko się nie zakończy. Zrozum, to nie moja zła wola, a owe Szale. Za wiedzę trzeba płacić. Czasem nawet sobą.

— Ale dlaczego on nie mógł wrócić po swoim bohaterskim czynie do Śródziemia? Czy istnieją naprawdę Wielkie Schody? Gdzie podział się Sauron? Dlaczego pozostał Thranduil?

— Co do jednej rzeczy, wy, hobbici, rzeczywiście się nie zmieniliście — uśmiechnął się znowu starzec. — Jesteście nadal nieznośnie ciekawscy. Nie mogę ci odpowiedzieć, na razie nie mogę. Już to, że nasze myśli się spotkały, pokonawszy olbrzymie odległości, wiele mówi. Będiesz mógł w przyszłości wznieść się jeszcze wyżej... Jeśli się nie potkniesz. Tylko ja mam prawo do rozmów ze Śmiertelnymi Śródziemia, a i to wiele mnie kosztowało. Jeszcze pokażę ci tych,

których chcesz zobaczyć. I pamiętaj, nasze spotkanie nie było ostatnim. I jeszcze jedno: trzymaj się Pelegasta! A na razie żegnaj!

Gandalf odsunął się o krok i znikł. Folko zobaczył okno w ścianie złocistego lśnienia. Przy oknie siedziały trzy osoby, i przyjrzawszy się im, Folko rozpoznał, że są to hobbiti. Dwaj z nich byli w podeszłym wieku, jeden bardzo stary, a najbliżej Folka znajdował się krzepki hobbit w średnim wieku. Pochylali głowy, więc nie mógł dojrzeć ich twarzy, ale od razu zrozumiał, kogo ma przed sobą. Widzenie trwało krótką chwilę, potem wszystko zniknęło.

Rano obudził się nad podziw świeży i spokojny. Znikły wszystkie mroczne myśli, nawet oblicze Milicenty, które nie dawało mu w ostatnich dniach spokoju, nie tyle zbladło, ile oddaliło się. Pamiętał słowa Gandalfa ze snu: możesz wznieść się wyżej, jeśli się nie potkniesz. To akurat jest jasne, przecież Gandalf wzniósł się na szczyty po zwycięstwie nad Balrogiem! I kto wie, czy on, Folko, zobaczyłby maga, gdyby nie było wcześniej Mogilników...

Mijał pierwszy tydzień kwietnia, ale wszystko dokoła zaczynało wspaniale zielenić się i kwitnąć. I mimo że niebo szczerlnie zasnuwały szare chmury, hobbitowi wydawało się, że jest to jeden z jaśniejszych dni w jego życiu. Przemierzali prastare ziemie Arnoru, nie obawiając się napaści, ale w nocy zawsze ktoś pilnował wierzchowców i furgonów.

Od czasu do czasu Folko przechwytywał przyjazne spojrzenia Torina; zmiana w jego nastroju nie uszła uwadze przywódcy drużyny. Nikt wprawdzie nie pasował go na wodza, ale jakoś tak wyszło, że wszyscy pytali go o zdanie, nawet Rogwold. Łowczy również bardzo zmienił się po tym, jak opuścili stolicę. Jego krok znowu stał się swobodny, czujny i pewny. Podobnie zachowywali się jadący z nim ludzie — w średnim wieku, krzepcy, mocni, doświadczeni. Wcale nie kryli się z tym, że nie zamierzają wchodzić do Morii; ich zadaniem było pozostać na powierzchni i utrzymywać łączność z Annuminas. Ludzie i krasnoludy maszerowali spokojnie i w przyjaźni, nie zwracając uwagi na pochodzenie i rasę, ważna była sprawa. Tak minęły cztery dni.

Piątego dnia drużyna wkroczyła do znanej trzem wędrowcom doliny, gdzie jesienią — hobbitowi teraz wydawało się, że było to bardzo dawno temu, czas od opuszczenia Hobbitanii mierzył już latami — przyszło im rozdzielać bijących się na polnej drodze wieśniaków. Dzień dogasał, gdy przekroczyli grzbiet pasma, postanowili więc zanoćować w Hagal. Do Przygórza, idąc wolnym krokiem, dotrą w cztery dni.

We wsi niewiele się zmieniło; chyba tylko przybyło kilka nowych chat na skraju. Wieśniacy nie zapominali o ostrożności i ich ochotnicza straż zatrzymała oddział przy mocnych wiejskich wrotach. Na szczęście rozpoznano Torina oraz Rogwolda, i wkrótce wędrowcy zostali serdecznie powitani. Usłyszawszy o ich przybyciu, z jakiegoś odległego posterunku przybiegł Eirik, słudzy w gospodzie

już zsuwali stoły, ktoś wysłał chłopców do Harstanu, i uczta przeciągnęła się do późnej nocy.

Przyjaciele dowiedzieli się, że zima minęła spokojnie, jeśli nie liczyć trzech potyczek hagalskich ochotników pod wodzą Eirika z rozbójnikami. Oddziały Angmaru ani razu nie niepokoiły wieśniaków i wszyscy uznali to za dobry omen. Folko długo się wahał, zanim ośmielił się zapytać o Suttunga, a wtedy mu odpowiadano, że jeszcze przez kilka miesięcy człowiek ten uparcie jątrzył i namawiał harstańczyków do zemsty za krzywdy i do puszczenia z dymem wsi sąsiadów, żeby potem przenieść się na północ; że tam niby są ich prawdziwi przyjaciele i będą mogli żyć swobodnie i bogato, mając pewną ochronę. Najpierw ludzie namawiali go, żeby się uspokoił, grozili nawet, że go wydadzą do Przygórza, nowemu kapitanowi, Dizowi, bowiem Erster popadł w niełaskę i był mocno rozżalony. Jednakże Suttung nie czekał, aż wieśniacy stracą cierpliwość, i pewnej pięknej nocy znikł wraz z rodziną oraz kilkoma bliskimi przyjaciółmi, równie opętanymi jak i on sam. Nikt o nich dobrze nie mówił.

Eirik powiedział hobbitowi, że wiejski oddział zwiększył się dwukrotnie, gdy doszli doń sąsiedzi. Po dobrych żniwach dokupiono trochę broni, co nieco wykuli sami miejscowi mistrzowie. Drużyna rozrosła się do niemal dwustu mieczy i służy teraz za pewną ochronę całemu okręgowi.

— Właśnie! — Eirik klepnął się w czoło. — Jeszcze krążą plotki o Hraudunie. Jak pamiętacie, uciekł wtedy. A trzy dni temu pojawiły się pogłoski: dwie wsie, jakieś trzydzieści mil na wschód od nas, pokłóciły się na śmierć, doszło do prawdziwej bitwy, spalono kilka domów... Powiadają ludzie, że w jednej z nich osiedlił się jakiś dziwny starzec, jakoby pomagający swojej wsi, a za to zniechęcili ich sąsiedzi. Znana sprawa! Nie inaczej, jak znowu Hraudun, cudotwórca przeklęty! — Eirik walnął w stół ciężką pięścią. — Ach, chciałoby się go złapać, chwycić za brodę! Już byśmy wiedzieli, co z nim zrobić!

— Wiecznie, Eiriku, pchasz się w cudze sprawy — powiedział z wyrzutem Rogwold. — Zima minęła, zbóje pobici, angmarczycy przegnani. Napisałbyś lepiej do szeryfa, a sam pilnował siewu!

Eirik poczerwieniał, zamilkł na chwilę, po czym mówił dalej:

— Wieś, gdzie on się osiedlił, zwyciężyła. — Ale stała się solą w oku całego okręgu, nadszła miejscowa drużyna, a ci ze zwycięzców, którzy zostali, musieli iść w lasy, a tam co, tylko rozbój pozostaje. Oto dzieła Hrauduna!

O świcie, gdy wyruszali dalej, Eirik długo towarzyszył im konno, a Folkowi kołatały się w głowie słowa wypowiedziane przez przywódcę Hagal:

„Coś ciężko mi na duszy, druhu Folko. Nie bez powodu to wszystko się dzieje, i Hraudun też nie pojawił się przypadkiem. Wiele krwi się poleje, zapamiętaj moje słowa, wiele krwi...”.

Drużyna szła na południe po spokojnej, dobrze strzeżonej drodze. Wszędzie trwały prace polowe; wiosna odsłoniła przyjazne oblicze. Minęły jeszcze cztery dni i przed oczami wędrowców pokazały się długo oczekiwane dachy Przygórza.

Przez wszystkie te dni Folko miał wspaniały humor, czuł się pewny po cudownym widzeniu Zamorza. Często i długo rozmyślał nad słowami Gandalfa, i im dłużej to trwało, tym więcej w nim rodziło się pytań. Dlaczego, skoro nie może niczego mu opowiedzieć, mag w ogóle rozmawia z kimś ze Śródziemia? Może wysłuchuje ich opowieści? Ale jego o nic nie pytał. . .

Okazawszy po raz ostatni list podróżny konnemu patrolowi przy północnych wrotach Przygórza, wjechali w osiedle. I, rzecz jasna, ich ręce same skierowały wierzchowce do gościnnych drzwi gospody „Pod Rozbrykanym Kucykiem”.

Nic się nie zmieniło w znajomej sali, i nawet goście, jak w pierwszej chwili wydało się Folkowi, byli ci sami co w ów pamiętny wieczór, brakowało tylko ludzi w zielonych ubraniach. Niemało wypito piwa i niemało pieśni odśpiewano; krasnoludy co rusz intonowały swoją słynną „Poza góry niebieskie, poza białe mgły”, ludzie z kolei zaczynali „Siedział król wieczorem samotnie”, i dopiero gdy wieczór zgęstniał, hobbitowi udało się wymknąć i pójść tam, gdzie, jak bezbłędnie przewidział, był oczekiwany. Poszedł do kramu Pelegasta.

Okna kramu były ciemne, ale gdy cicho zastukał do drzwi, okazało się, że są tylko przymknięte. Wkroczył w ciemny prostokąt.

— Drzwi zamknij — rozległ się spokojny znajomy głos, i Folko zobaczył przed sobą słaby drżący płomyk świecy i w jej skąpym świetle pochylonego nad księgą człowieka. — Idź dokoła, prawą stroną. . .

Hobbit ostrożnie zbliżył się. Pelegast podniósł na niego swoje jedyne oko, a Folko drgnął. Oko wydawało się przepastną czarną studnią, na której dnie, podobna do słabego płomyka świecy, drżała niezrozumiała dla innych myśl. Leżące na starej księdze ręce Pelegasta zdawały się suchymi gałęziami drzewa, ramiona i pierś ginęły w mroku. Słabe odbłaski światła padały na pomarszczone policzki.

— Siadaj tutaj, na ławce — powiedział Pelegast. — Od dawna czekam na cię. Opowiadaj po kolei. Nie martw się, że coś zapomnisz: jak będzie trzeba, zapytam.

— Ale. . . kim jesteś? — wykrztusił hobbit. Dopiero teraz przyszło mu do głowy, że należy zadać siedzącemu przed nim człowiekowi to proste i naturalne pytanie. — Mówił mi o tobie. . . — Umilkł, przypomniawszy sobie, że wszystko, co widział, mogło być zwyczajnym snem.

— Sam Gandalf, to znaczy Olorin? — uśmiechnął się słabo Pelegast. — Domyślałem się, że prędzej czy później znajdzie ciebie. Zawsze miał do was, hobbitów, słabość. Widziałeś go, powiadasz! Oczywiście nic ci nie powiedział, powołując się na Wagę?

— Tak było. . . Ale skąd. . . — zaczął zaskoczony Folko i zamilkł, czując, że pytanie nie byłoby na miejscu.

— Przeklęte Szale — westchnął Pelegast. — Ale nic nie poradzimy. Co do mnie... czyżbyś jeszcze się nie domyślił? Przecież czytałeś Księgę. Zresztą, to nie takie ważne. Przyszedłeś, to znaczy, że wiedziałeś, choć może nie umyśłem. O mnie jeszcze porozmawiamy, a na razie czekam na twoją opowieść.

I Folko, podporządkowawszy się władczo brzmiącej w tym spokojnym głosie mocy, zaczął swoją opowieść. Trwała długo, Pelegast żądał szczegółów. Dokładnie wypytywał o wszystko, co się wydarzyło w Mogilnikach, zainteresował się Hraudunem, przy czym, słuchając, jeszcze bardziej spochmurniał i coś szepnął. Folkowi wydało się, że powiedział coś jakby „znowu działa po staremu”. O przygodach w Annuminas słuchał nie tak uważnie, zainteresowawszy się tylko historią z widmem. W milczeniu kiwał głową, jakby potwierdzało to jakieś jego przypuszczenia, a potem nagle strzelił palcami i w kącie błysnęło dwoje dużych żółtych oczu. Zaskoczony hobbit krzyknął.

— Nie bój się — odwrócił się do niego Pelegast. — To jest Glin, mój puchacz.

Skrzydlaty cień bezszelestnie spłynął prosto na jego ramię. Folko zobaczył okrągłą głowę, duże oczy, przysłonięte w świetle ciężkimi powiekami. Pelegast coś cicho powiedział do ogromnego ptaka i ten wzleciał bezgłośnie, natychmiast znikając w ciemnościach. Hobbit poczuł na twarzy uderzenie fali powietrza. I w tej chwili przez jego głowę jakby przemknęła błyskawica, nagle pojął, kogo ma przed sobą. Zanim zdążył pomyśleć, co powinien zrobić, jego plecy już się zginały, już się pochylał w niskim, pełnym szacunku ukłonie.

Pelegast uśmiechnął się.

— Zrozumiałeś w końcu... Tak, byłem kiedyś Radagastem Burym, jednym z Pięciu. A teraz jestem handlarzem broni w Przygórzu... Jestem ostatnim z Pięciu, który pozostał w Śródziemiu. Gandalf odszedł i pozostali też... Saruman podobno zginął... A ja zostałem. Nie mam nic do roboty w Zamorzu, Folko, synu Hemfasta. Nie byłem niczym wrogiem, służyły mi rośliny, zwierzęta i ptaki. Jeden jedyny raz dałem się wciągnąć w ludzkie sprawy, gdy na nieszczęście przekazałem Olorinowi zaproszenie Sarumana; nie wiedziałem jeszcze, że ten splótł już mroczne sieci zdrady i podstęp. Powiedziałem potem sobie: Radagaście, nie twoja to rzecz mieszać się do Wielkich Wojen, zajmij się swoimi sprawami! Ale nie udało się... Stary Gandalf odnalazł mnie po zwycięstwie, wołał, bym szedł z nim. Ale odmówiłem: w Błogosławionych Królestwach nie mam nic do roboty, a odpoczynku nie potrzebowałem.

„Więc jesteś zdecydowanie przeciwny? — zapytał mnie Gandalf, a jego oblicze pociemniało z gniewu. — Rozumiesz, co się czeka?”

„Cóż może mnie czekać? — odpowiedziałem beztróska. — Ty masz swoje sprawy, Biały, a ja, Bury, swoje. Wróg padł, i to jest wspaniałe. Twoje trudy się skończyły, moje natomiast będą trwały wiecznie, póki istnieje świat. Zdecydowałem, zostaję”.

„Oczywiście sądzisz, że zachowasz wszystko, czym władałeś, i całą swą starą Moc?” — zapytał mnie Gandalf, zmrużywszy oczy.

Zrozumiałem, że jest zły, ale wtedy jeszcze nie wiedziałem, że życzy mi dobrze, tylko na swój sposób. Najpierw, przyznaję, pomyślałem, że świeżo upieczony przywódca kończącej swe istnienie Białej Rady chce ostatni raz zaprezentować swój słynny charakter.

„Cokolwiek zachowam — odpowiedziałem — nie namówisz mnie. Nigdy nie zamienię nieskończoności życia na nieśmiertelność”.

„Więc posłuchaj, Radagaście Prostaku, jak określił cię kiedyś Saruman! — zakrzyknął rozgniewany Gandalf. — Przyjdzie ci wziąć na siebie całe to rozsiane zło, które pozostało jeszcze w Śródziemiu. Biała Rada więcej nie będzie zwoływana, nasz zakon przestał istnieć, Saruman zginął, a ja odchodzę. Twój kostur traci Moc! Nawet ja ci nie pomogę. Wiesz, kto tak zarządził, i dlaczego nie może być inaczej. Będziesz musiał iść między ludzi i ciężką pracą zarabiać na chleb. Zachowasz nieskończoność życia, zachowasz mądrość, ale zmniejszy się twoja Moc, i czy w ogóle coś z niej zostanie, nie wiem ani ja, ani ta, która nas wysłała, Jasna Królowa. Nie chcesz zmienić swojej decyzji?”

Przyznam, poczułem się niepewnie, ale silna wola zwyciężyła i dumnie odpowiedziałem, że zostaję. Cokolwiek się stanie. Gandalf od razu jakoś przygaśł, skurczył się, niewiarygodnie postarzał.

„Żegnaj, Radagaście — powiedział, idąc wolno do drzwi. — Kto wie, może właśnie ty masz rację. Zostań! Wierzę, że znajdę sposób, by cię jeszcze zobaczyć. Ale błagam cię, przypilnuj hobbitów! Są mi bardzo drodzy, porzucam ich z bólem w sercu. Obiecujesz mi to? Wtedy będę mógł odejść spokojnie”.

„Czy kiedykolwiek nie dotrzymywałem obietnic?” — odpowiedziałem mu.

Gandalf objął mnie i zniknął za progiem. Potem dowiedziałem się, że porzucił Śródziemie wraz z Elrodem i Galadriellą. A później — Pelegast westchnął — wszystko odbyło się tak, jak on przepowiedział. Mój kostur złamał się. — Radagast drgnął, twarz wykrzywił mu grymas przeżytego niegdyś potwornego bólu. — I zostałem tym, kogo teraz widzisz, Pelegastem, kramarzem z patentem Króla Zjednoczonego Królestwa! Straciłem co nieco, rzeczywiście, ale jednak nie wszystko. Spełniając daną Gandalfowi obietnicę, zacząłem szukać dla siebie nowego miejsca zamieszkania, gdzieś bliżej jego kochanej Hobbitanii, gdy na mój niewielki dom na wschodnim brzegu Mrocznej Puszczy napadli Easterlingowie. Wtedy zrozumiałem, że moja Moc rzeczywiście osłabła. Nie mogłem obronić domu i ledwie się uratowałem. Teraz mieszkam tutaj. — Radagast westchnął ciężko. — Dawno temu zauważyłem coś niedobrego, ale rozbójnicy mało mnie interesowali; to są ludzkie sprawy. Miałem do czynienia z resztkami innego zła, ale i w tym niewiele mogłem. . . Chyba że w odpowiedniej chwili dać potrzebną radę. Dlatego tak się zainteresowałem tobą. Musisz więcej zobaczyć, żebyśmy mogli zdecydować, dokąd iść dalej. Przyniosłeś mi bardzo ważne wieści. Hraudunem

zajmę się sam, a na Mogilniki na razie nie mamy sił. Ich stwory na razie nie są szczególnie niebezpieczne, jednakże koniecznie muszę się spotkać ze starym Bombadilem — on z pewnością znajdzie na nich sposób. A ten upiór rzeczywiście przybył do Annuminas po miecz zabrany przez Torina. Powiedz mu, żeby go nie wyrzucał — w ten sposób upiory gromadzą Moc, oddawaną im przez ludzi czczących Mogilniki.

Naprowadzę Diza na pomysł, żeby uważniej pilnował Kurhanów. A co do Morii... Niewiele mogę dodać do twoich przypuszczeń. Trzeba tam iść, i im szybciej, tym lepiej. Bądź pewien — posłuszne mi zwierzęta i ptaki pomogą wam, uprzedzą o niebezpieczeństwie, one również przyniosą mi wieści o was. A po Morii postaraj się zobaczyć ze mną, razem wszystko przemyślimy. Poślę też wieści Kirdanowi i Thranduilowi, ale wszystko będzie zależało od tego, czego ty się dowiesz. Ale, widzę, chcesz o coś zapytać?

— Co znaczą twe słowa o Zachodzie, Wschodzie, Północy i Południu? — zapytał Folko, oblizawszy wyschnięte wargi.

— To twoja droga — odpowiedział Radagast, smutno się uśmiechnąwszy. — Nie wymagaj ode mnie więcej, zwykle ten, kto przepowiada, nie może wytłumaczyć rodzących się w jego umyśle słów. Ja też na razie nie mogę. Ale bądź pewien: gdziekolwiek się znajdziesz, moje myśli pozostaną z tobą. Jesteś pierwszym hobbitem od czasów słynnej czwórki, który zaryzykował wplątanie się w sprawę Dużego Świata, i to już jest groźnym znakiem.

Radagast opuścił głowę i umilkł.

— Opowiedz, proszę, opowiedz coś o Valarach i o Zamorzu! — błagał Folko.

Radagast, uśmiechając się, popatrzył na niego swym jedynym okiem.

— Opowiem, gdy przyjdzie czas. Nie spiesz się! Do tego jeszcze dojdiesz. Twoja droga prowadzi teraz na południe. Przy okazji, nie bardzo mi się podoba ten Olmer z Dale. Jest w nim coś, jeszcze trudnego do określenia, ale podejrzanego. Dobra, może będziemy mogli wyjaśnić i to... A ty na razie idź i nie opowiadaj towarzyszom o naszym spotkaniu! Na wszystko przyjdzie czas. Jeszcze się spotkamy, Folko, synu Hemfasta. Na razie żegnaj...

W jasny, rześki poranek opuszczali Przygórze. Za nimi zostały solidne domy i wysoki częstokół. Wyprzedził ich kolejny patrol, składający się z dziesięciu konnych strażników, którzy pogalopowali gdzieś na południe. Tabor zjechał ze wzgórza i wolno ruszył drogą na południe. Trzy dni podróży minęły bez przygód, a wieczorem trzeciego, gdy słońce, zabarwiając pół nieba purpurą, już zbliżało się do zachodniej części horyzontu, jadący na czele Rogwold i Dorin nagle unieśli ręce, wskazując na wystający ze szczytu przydrożnego wzgórza samotny czarny głąz. Folko i Torin podjechali bliżej. Trójgraniasta kamienna szpila o wysokości dwóch ludzi była wbita w ziemię, a niżej, gdzie parowem między dwoma wzgórzami prowadził Trakt, Folko zobaczył arnorską strażnicę. Rozejrzał się, tu i tam dostrzegł na równinie punkciki odległych wsi: w rozmieszczonych wzdłuż

Traktu osiedlach wędrowcy otrzymywali gościnę i poczęstunek. Zaległ już gęsty, smolisty mrok. Ziemie przed nimi zaścielały wieczorne mgły i nie widać było najmniejszej isierki. Folko popatrzył na Rogwolda i nagle zrozumiał, co oznaczało kamienne ostrze. Dotarli do rubieży Arnoru. Przed nimi rozpościerało się Pustkowie.

CZEŚĆ II
Los Arnoru

Rozdział 14

Zielona Ścieżka

Wiał wiatr i nocny deszcz miarowo bębnił w rozciągnięte nad furgonami płótna żaglowe, zsyłając słodki sen. Folko otworzył oczy i kichnął — przez szczeliny wpadały do środka zimne strugi powietrza. Obok sapały pod kocami krasnoludy; świtało już, więc trzeba było wstawać. Hobbit westchnął i usiadł, obejmując rękoma kolana.

Mijał trzeci dzień od pamiętnego wieczora, gdy przekroczyli granicę Arnoru, a szósty — od wyjścia z Przygórza; Folkowi wydawało się, że upłynęły długie miesiące. Cały świat skurczył się do szerokości wąskiego pasa pobocza; jednostajna wstęga starego Południowego Traktu, zwanego również Nieprzetartym albo Zieloną Ścieżką, przecinała rzadkie lasy i zagajniki, oddzielone od siebie niewielkimi poletkami, pastwiskami i łąkami. Dwukrotnie przegradzały im drogę ciągnące się z zachodu na wschód zalesione łańcuchy wzgórz, niewysokich i mocno wygładzonych przez czas — forpoczty Południowych Wzgórz; Trakt przecinał je niczym olbrzymi miecz.

Ponure jodłowe bory północnego arnorskiego płaskowyżu ustąpiły miejsca szeregom dziwacznie pomieszanych ze sobą klonów i jesionów; niczym wieże strażnicze na poboczach widniały olbrzymie stare dęby. Trafiały się buki i graby, wzdłuż przydrożnych rowów czerwieniły się już jaskrawe kwiaty. Ciepłe południowe wiatry niosły aromatyczny zapach dzikich równin Minhiriathu, tak intensywny, że Folko odczuwał czasem zawroty głowy. Puste, bezludne przestrzenie wspaniale rozkwitły, uniknąwszy troskliwych, ale czasem dokuczliwych, ludzkich rąk. Dzisiaj, co prawda, nagle powiało z północy; hobbit nie mógł spać, kilka razy budził się, drżąc z zimna.

Tak, otoczenie uległo zmianie, wsie stały się rzadkością, odległości pomiędzy nimi sięgały już całego dnia marszu; pamiętając o złej sławie Zachodniego Traktu, Torin nie ryzykował rozbijania obozu w niezaludnionych miejscach. Spotykali na swej drodze coraz mniej ludzi, a ci łączyli się w duże obozy, liczące po kilka setek furmanek i powozów.

Wsie również się zmieniły, były większe i ludniejsze. Każdą otaczał już nie zwykły częstokół, lecz prawdziwe mury twierdz, co prawda z drewna, a nie z kamienia. Każda mogła wystawić co najmniej stu wojowników; w każdej znajdowały się specjalne stacje pocztowe z wierzchowcami do wymiany, by królewska sztafeta mogła możliwie szybko dotrzeć do wrót Rohanu. Z początku wsie wydały się Folkowi pewnymi przystaniami, jednakże dwa dni później trafili na duże, rozmyte już przez deszcze i porośnięte bujną trawą pogorzelsko; hobbit zrozumiał, że nie zawsze mogą ochronić je mury czy wojownicy. Jednakże na razie los im sprzyjał, droga nie była zbyt męcząca — niewiele trudniejsza od drogi do Annuminas. Na duszy było mu lekko, czuł się spokojny; wątpliwości i wahania minęły; poddał się urokowi chwili i na razie nie zastanawiał się nad przyszłością. Pamiętając o wyprawach Bilba i Froda, zapisywał starannie codzienne wydarzenia, nawet drobne sprzeczki pomiędzy towarzyszami wyprawy.

W krótkim czasie dobrze poznał ich wszystkich: wybuchowego Dorina, gadatliwego Hornborina, ostrożnego Brana znał z Annuminas, z pozostałymi zaznał się dopiero w drodze. Wjard był nieco tchórzliwy, ponad wszystko uwielbiał piwo, natomiast okazał się mistrzem hartowania metalu i rzeźbienia w kamieniu; znał też zadziwiająco dużo starych krasnoludzkich opowieści. Młody Skidulf po raz pierwszy wybrał się poza swoje jaskinie w Górach Księżycowych, we wszystkim podporządkował się Torinowi, więcej słuchał i patrzył, niż mówił. Folko uważał, że ten krasnolud jest zbyt pewny siebie, ale był mocny i dokładnie wykonywał polecenia. Trzej rodacy Torina — milczący Grani, Gimli i Tror — rzadko włączali się do ogólnych rozmów, porozumiewali się za pomocą krótkich i jednoznacznych słów. Szli do Morii bić się i nie kryli tego, a z kim — według Trora — było im wszystko jedno. Balin, krasnolud w średnim wieku, z północy Gór Mglistych, okazał się bardzo towarzyski, często rozmawiał z Folkiem, wypytywał go o elfy, sam opowiadał dużo historii z przeszłości swego ludu; jednakże gdy trzeba było wykonać jakąś ciężką lub nieprzyjemną pracę, albo też przychodziła jego kolej na rąbanie drewna czy szorowanie kotłów — nie spieszył się do tego. Natomiast nieźle władał toporem, co przyznał nawet taki mistrz jak Torin. Krajan Balina Stron słynął ze znajomości obyczajów orków. Szybko zaprzyjaźnił się z nim Malec — mieli podobne charaktery: obaj weseli, beztroszy, tyle że Stron, jak ocenił Folko, potrafił dostrzegać i rozumieć więcej niż Malec, samo jego spojrzenie zdradzało niemałe, chyba również gorzkie, życiowe doświadczenie.

Moriańczykom — Gloinowi i Dwalinowi — hobbit przyglądał się szczególnie uważnie i wypytywał ich częściej niż innych. Jednakże niewiele się dowiedział; porzucili Khazad-Dum dawno temu i nie byli świadkami owych przerażających wydarzeń, z powodu których oddział podążał do Morii. Jednakże znakomicie pamiętali rozmieszczenie wszystkich podziemnych komnat i, co najważniejsze, system sekretnych znaków, pozwalających krasnoludom na niezaprzątanie sobie głowy zapamiętywaniem rozkładu splecionych podziemnych korytarzy. Gloin nieco

przypominał Hornborina swym darem pięknej mowy, ale nigdy nie przemawiał nadaremnie. Dwalin nie przestawał wzdychać do tych pięknych czasów, kiedy krasnoludy z Morii przyjaźniły się z elfami, razem zdobywali wiedzę i doskonalili się w sztuce obróbki metalu. Szczerze żałował przeszłości, która ciągle pozostawała dla niego żywa, a za to, by kolejny raz Moria się odrodziła, albo za wieści o niej, gotów był oddać życie. W jego szarych oczach — barwa rzadko spotykana u krasnoludów — rysowała się niezłomna wola, która w niczym nie ustępowała zdecydowaniu Torina; hobbit nabrał do krasnoluda wielkiego szacunku. Nie trzeba dodawać, że obaj Moriańczycy, jak przystoi krasnoludom, wspaniale władali bronią.

Krasnoludy opowiedziały zachłannie słuchającemu ich hobbitowi wiele ciekawych historii; Folko dowiedział się o tym ludzie zapewne więcej niż ktokolwiek, więcej nawet niż stary Bilbo — w czasie jego wypraw współtowarzysze zbytnio się nie rozgadywali.

Hobbit starał się zapisywać wszystko, co opowiadali. Najbardziej spodobały mu się dwie legendy. Jedną usłyszał chyba pierwszego dnia drogi i opowiedział mu ją Wjard, po tym jak Malec zastąpił go na koźle, a on przesiadł się na siodło. Mówił wolno i spokojnie, starannie dobierając słowa, wspominał niewyobrażalnie odległe czasy Dawnych Dni, o których legendy zachowały się tylko wśród Krasnoludów. Wtedy świat był młody, a Wielkiego Durina otaczały nieme skały bez nazw. Pierwszy Krasnolud zaczynał z niewielu towarzyszami; Pierworodni pomagali im, a w otoczeniu Króla Czarnej Otchłani rozumem, umiejętnościami i cierpliwością wyróżniał się krasnolud o imieniu Tror. Wiele czasu spędzał z elfami i niemało nauczył się od nich. Powiadano, że i jego oczarowała nieziemska uroda Galadrieli i żeby mogła otrzymać godny jej prezent, zaczął gromadzić złoto i mithril. Jednakże wtedy daleko jeszcze było do wielkiej sławy Czarnej Otchłani, jej mieszkańców dopiero czekały dni wielkiej chwały, na razie musieli przerabiać ogromne ilości niewydajnej rudy, i Trorowi znudziło się to. Wymyślił i wykonał cudowne sito, mające właściwości wybierania złota z wszystkiego, co się w nie wrzuciło. Wystarczyło sypać doń bez przerwy nawet najlichszą rudę, by pod koniec dnia wyjąć złoto, rozsypane dotąd w pyle wśród górskiego piachu i kamiennego żwiru. Praca stała się tysiącokrotnie łatwiejsza; krasnoludy zaczęły szybko się bogacić, do Morii ciągnęli przesiedleńcy z Gór Księżycowych, gdzie w tym czasie zrobiło się niespokojnie, ponieważ wybuchła kolejna wojna między ludźmi i orkami. Tror zgromadził potrzebną mu ilość szlachetnego metalu, wykuł z niego bajecznie piękny diadem, zdobiony misternie rzeźbionymi berylamy, i podarował go Pani. Sito przestało mu być potrzebne i po prostu zapomniał o swoim „dziecku”. Jednakże inni pamiętali. Przez sito omal nie wybuchła w Czarnej Otchłani najprawdziwsza wojna, a wtedy Wielki Durin nakazał Trorowi, by zniszczył swoje dzieło. „Akurat! — odpowiedział Tror. — Lepiej pójde sobie z nim, skoro jego istnienie grozi naszemu braterstwu!”. Wszyscy zaczęli błagać go, by

został, i w końcu, po długich wahaniach, zgodził się, ale ukrył sito tak, że aż do przebudzenia Demona Mocy nikt o nim nie słyszał, a potem, wiadomo, co innego zaprzętało jego uwagę. Od tej pory nie opuszcza Krasnoludów marzenie o odnalezieniu magicznego sita; wiele posadzek i ścian zryli wytrwali poszukiwacze, ale na próżno. . .

— I bardzo dobrze! — rzucił Wjard, który słyszał tylko koniec opowieści, ale nie wyjaśnił, dlaczego tak uważa.

Drugą legendę, a właściwie krótką przypowieść, przekazał hobbitowi Balin.

— Dlaczego Khazad-Dum jest tak obszerna, jak sobie wyobrażasz? — zapytał kiedyś Folka, uśmiechając się. — Myślisz, że pracowało tam mnóstwo Krasnoludów? Nic podobnego! Większa część powstała jeszcze za Durina, kiedy Krasnoludów było bardzo mało. Więc posłuchaj! Krasnoludy i góry mają te same korzenie. Kamienie również mogą mówić, a niektóre nawet się poruszają. Zdarzało się coś takiego w Dawnych Dniach, i podobno w tych legendarnych czasach wielkie królestwo pod górami Pierwszemu Krasnoludowi pomagały tworzyć same góry, posławszy mu do pomocy Rollstein.

— A co to takiego?

— Ha, Rollstein! To jest, mój panie, taka rzecz, która może cały świat zmienić, i bez żadnych takich. . . — Obejrzał się i szybko dodał: — Bez żadnych pierścieni i magów. Rollstein wyglądał jak zwyczajny kamień, co prawda, dość duży; powiadano, że był wielkości młodego byczka. Toczył się sam, panie Folko, turlał się i wybijał sobą tunel w najtwardszej skale. Tangar szedł tylko za nim jak oracz za pługiem. Tak powstała większość korytarzy i galerii w Morii. . . Ale Rollstein mógł toczyć się nie tylko przez skały, lecz i na powierzchni. Opowiadają, że właśnie on pomógł Wielkiemu Durinowi odeprzeć pierwszy atak orków.

— Co się z nim stało?

— Nikt nie wie — westchnął Balin. — Długo i wytrwale go szukano, i to nie tylko krasnoludy. Przecież domyślasz się, jak wygodnie byłoby kruszyć nim mury twierdz! Ale wszystkie usiłowania spełzły na niczym, a wśród Krasnoludów krąży powiedzenie: Jeśli zobaczysz toczący się kamień, zanim krzykniesz, że to Rollstein, sprawdź, kto go popycha!

Deszcz w międzyczasie ucichł, obok cicho mrucał i przewracał się z boku na bok Torin — wiedział, że pora wstawać. Zaczynał się nowy dzień wędrówki: według obliczeń krasnoluda mieli dzisiaj przebyć co najmniej dziesięć mil.

— Już wstałeś, Folko? — dziwił się krasnolud, drżąc z zimna. — Biegnij do gospodarza, niech stawia śniadanie. A ja obudzę resztę.

Hobbit pospiesznie ochlapał się w beczce z deszczówką i poszedł szukać gospodarza, leciwego, chytrego przygórzanina, który od trzydziestu lat mieszkał w tej niegościnniej okolicy. Po wyjściu na ganek zatrzymał się i rozejrzał.

Na obszernym podwórku, które otaczał mocny i wysoki płot, stały ich wozy, tonąc w porannej siwej mgle. Na prawo, nad płotem, wznosiła się wysoka wieża

strażnicza, na lewo — dwuspadowe dachy sąsiednich domów. Słońce nieśmiało wysuwało się spod horyzontu, nieboskłon był czysty, dzień zapowiadał się upalny. Od strony furgonów zaczęły rozlegać się głosy, pojawiła się wysoka postać Rogwolda; Malec oraz jeden z myśliwych, Glen, ruszyli do gospody po śniadanie, a ludzie i krasnoludy wyprowadzali ze stajni konie i kuce. Zza rogu wyszli Torin z Branem, obok nich szedł Strażnik w czarnym oksydowanym hełmie.

— Więc zdecydowaliście, że ruszacie dzisiaj? Nie lepiej poczekać tydzień, z północy zmierza ku nam duży obóz. . . — mówił, idąc, Arnorczyk.

— A co się dzieje? — odpowiedział pytaniem na pytanie Torin. — Niespokojnie na drodze?

— Może nie tak bardzo — zawahał się Strażnik. — Niedawno nadeszły wieści, że kawałek na południe zauważono podejrzany oddział żołnierzy. Ścigano ich, ale rozpiechli się w lasach — jak ich tam dopaść? A dalej na Trakcie znajduje się Szary Żleb, ulubione miejsce banitów na zasadzki!

Zainteresowawszy się rozmową, stopniowo otoczyli ich krasnoludy i ludzie, wśród nich także Rogwold.

— Ile trzeba czekać na obóz? — zapytał Forg, towarzysz łowczego.

— Tydzień, może dziesięć dni — odpowiedział Strażnik. — Obozy gromadzą się dość wolno.

— Nie możemy czekać — Dorin zmarszczył czoło.

— Nie możemy — potwierdził Torin. — Chodźcie, porozmawiamy!

Zebrali się na niewielkim terenie między wozami, rozstawiając wartowników, by uniknąć ryzyka podsłuchiwania. Usiedli w ciasnym kręgu, dotykając się ramionami, i mówili półgłosem; nikomu nie trzeba było przypominać o ostrożności.

— Lepiej poczekać, tydzień czy nawet dziesięć dni zwłoki nie ma znaczenia, przecież nie pędzimy do pożaru! — zaczął Rogwold. — A tamci na pewno obserwują. Jak wystąpimy w małej liczbie, bez ochrony, ci szubrawcy będą mieli wspaniałą okazję, by uderzyć na nas w Szarym Żlebie. Bywałem tam, Forg i Alan też, to złe miejsce. Wyobraźcie sobie wąską przestrzeń między dwoma wysokimi i stromymi wzgórzami, porośniętymi ciemnym lasem o gęstym podszyciu. Żleb ciągnie się przez dobrą milę, może półtorej — jeśli rozstawią łuczników wzdłuż drogi, to wystrzelają nas bez trudu. Uważam, że nie należy ryzykować.

Rogwold umilkł; popatrzył na słuchających go z aprobatą ludzi i nieco sceptycznie nastawionych krasnoludów.

— Dziś jest osiemnasty kwietnia — odezwał się Dorin cicho, powstrzymując gniew, i Folko zauważył, że Torin ukradkiem położył dłoń na rękę przyjaciela. — Do Khazad-Dumu mamy jeszcze ze dwadzieścia dni drogi, może nawet dwadzieścia pięć. To prawie cały maj. Lato, według wszelkich oznak, czeka nas upalne, zaczną topnieć górskie śniegi, dolne piętra Morii mogą być podtopione. . . Co nam pozostanie? Kto wie, jak długo trzeba będzie siedzieć w Czarnej Otchłani, zanim

czegoś się dowiemy? Potem się okaże, że trzeba pilnie zwoływać ruszenie — a jak zdążymy przed zimą? Nie, skoro zdecydowaliśmy się na taką wyprawę, w ciemno, nie ma co zwlekać. Jeśli stanie ktoś na naszej drodze, przebijemy się! Jest nas czternastu, was dwunastu, i znakomity łucznik Folko. Jak mądrze uderzymy, a strach ma wielkie oczy, to i nasza liczebność wzrośnie dziesięciokrotnie!

Dorina niespodziewanie poparł Alan, najmłodszy ze wszystkich arnorskich myśliwych.

— Byłem w Szarym Żlebie zeszłej jesieni — zaczął, odgarniając z czoła kruczoczarne włosy. — Rzeczywiście, trudno tam urządzić zasadzkę. Las wzdłuż Traktu jest wyrąbany i spalony, a na lewym wzgórzu znajduje się posterunek. Rogwold ma rację, mówiąc, że z łucznikami nie poradzimy sobie, ale oni też nie mogą podejść blisko do Traktu, poza tym nie słyszałem, żeby rozbójnicy dobrze strzelali z łuków. Owszem, uderzyć zza węgła, w plecy, proszę bardzo, ale regularnych walk to oni nie prowadzą. Zawsze możemy wysłać przodem kogoś sprytnego, by nie iść na oślep. I żeby nie było wątpliwości, od razu mówię: jestem gotów iść.

— Poczekaj, Alanie, masz rację, ale teraz najważniejsze jest coś innego — podniósł rękę Torin. — Jeśli pójdziemy, to jak najlepiej się obronić? Wy, ludzie, jesteście w tym doświadczeni, poradzcie!

— Najlepiej nie pchać się na rożen — burknął Rogwold. — Ale jeśli, jak mówi Dorin, Morię rzeczywiście zacznie zalewać, to chyba należałoby zrobić tak: ruszamy natychmiast, a ze trzy mile przed nami idą zwiadowcy. Trzeba iść na wschód. — Odwrócił się do Alana. — Tam zaczynają się dąbrowy i parowy, ciągnące się aż do samego Żlebu, gdzie można się dostać niezauważalnie. Wszyscy pozostali w tym czasie idą bez pośpiechu — i włożcie pancerze pod płaszcze! Jeśli nie będzie nikogo, przechodzimy Żleb ostrożnie i najszybciej jak się da, jeśli przeciwnie... myślę, że najlepiej przestraszyć zbójów, przepędzić, gdyby okazało się, że jest ich wielu. Boję się, że tak właśnie będzie. — Łowczy westchnął. — Nie poruszają się teraz małymi oddziałami. A my też nie możemy w dwudziestu walczyć z kilkoma setkami!

— Mimo wszystko wolę mieć do czynienia z wodą niż strzałami — powiedział Glen, jeden z tropicieli, pochylając głowę. — Przecież nie będzie lepiej, jak nas wystrzelają jak kaczki?

— Według mnie najważniejsze jest dowiedzieć się, czy siedzący w Żlebie mają łuki i ilu ich jest — wtrącił się Dwalin. — Jeśli łuczników jest mało albo w ogóle nie ma, możemy iść śmiało.

— Myślę, że teraz nie ma co się sprzeczać! — Forg gwałtownie wychylił się do przodu. — Będziemy gadali, kiedy to sprawdzimy! Na razie musimy zdecydować, ruszamy czy nie?!

Nastąpiła cisza. Torin i Rogwold wpatrywali się w oblicza towarzyszy. Jedni patrzyli im prosto w oczy, inni odwracali wzrok. W końcu łowczy przerwał milczenie:

— Cóż, policzmy głosy. No, po kolei. — Odwrócił się do milczących ludzi i krasnoludów.

— Idziemy — poważnie sapnął Grani, a Gimli z Trorem pochyłili głowy na znak zgody.

— Poczekać — rzucił nachmurzony Glen.

— Może rzeczywiście poczekajmy, co tangarowie? — nieśmiało zaproponował Wjard. — Rogwold przecież ma rację. . .

— To hańba kryć się przed rzezimieszkami — oświadczył Grimnir, wysoki, ponury przyjaciel Alana. — Powinniśmy się z nimi policzyć. . .

— Głupio wsuwać głowę do paszczy żywego smoka — wzruszył ramionami Balin.

— Wstyd mi za was, tangarowie! — błysnął oczami Stron. — Malec, dlaczego milczysz?!

— A dlaczego ja? — niemal oburzył się nagabnięty, który chyba się zdrzemnął podczas cichej sprzeczki. — Iść to iść. To lepsze niż siedzieć.

— Lepiej siedzieć niż leżeć. . . w grobie — odezwał się Igg, kolejny tropiciel, niemłody już druh Rogwolda.

— I tak będziemy tam leżeć wcześniej czy później — wzruszył ramionami Reswald, gibki, zręczny niczym kot, o dziwnych zielonych oczach.

— Nie mamy na co czekać. — Bran stuknął w kolano pięścią. — Idziemy!

— Zgoda — spokojnie pokiwał głową Weort.

— Ginąć przez taką głupotę. . . Nie, nie zgadzam się! — poderwał się Dowbur, a jego siwa broda nastroszyła się gniewnie.

— Przestań, przyjacielu — położył mu rękę na ramieniu rudobrody Gotor. — Co to, mało się rąbaliśmy? Nawet nie wiemy, czy w Żlebie w ogóle ktoś się przyczął. Uważam, że trzeba to wyjaśnić. Zgadzam się z Grimnirem, że wycofać się to hańba.

— Powinniśmy trochę uważać — niespodziewanie oświadczył Gloin. — Cel jest zbyt ważny, a życie złożyć w ofierze zawsze zdążymy.

Dwalin w milczeniu skinął głową na znak zgody; Folko zauważył, że Torinowi ze zdziwienia drgnęły brwi.

— A ja uważam, że należy iść naprzód — powtórzył Alan.

Wysoki, bardzo silny Golf, który od niechcienia wyginał grube podkowy, silniejszy nawet od Torina, uśmiechnął się i rozłożył ręce.

— Trzeba iść, co tu gadać — burknął pod nosem, jakby nie mając odwagi mówić głośno.

Gerdin, który nie rozstawał się z długim myśliwskim łukiem, westchnął i smutno pokiwał głową. W Annuminas została jego liczna rodzina. Widać było, że wstydzi się własnych słów.

— Należałoby jakoś ostrożnie. . . — wykrztusił i nisko pochylił głowę.

— Nie widzę potrzeby, żeby się zastanawiać. Naprzód! — przeciął powietrze okrzyk Dorina, a Hornborin po raz pierwszy zgodził się ze swoim adwersarzem.

Forg pokręcił wolno głową.

— Większość jest za tym, żeby się nie zatrzymywać — podsumował Torin. — Zostało niewiele do zapytania. Ja, na przykład, uważam, że trzeba iść, ale bardzo ostrożnie. Przypuśćmy, że ten jeden raz nam się uda, a co będzie, jak zejdziemy ze szlaku? Co powiesz, Rogwoldzie? Dlaczego milczysz, Folko?

— Ja? — przestraszył się hobbit. — A co ja? Czy ja mogę coś doradzić? Będzie tak, jak zdecydują wszyscy.

— Większość jest za tym, żeby iść — nachmurzył się Rogwold. — Rozumiem Dorina, zwlekać nie wolno. Ale pięciu ludzi jest przeciwnych pchaniu się w zasadzkę. Mnie też się to nie podoba, ale skoro tak wyszło. . . — Rozłożył ręce.

Przeciwni szarzy ludzie zaczęli głośno protestować.

— Umawialiśmy się, że idziemy do Morii i potem czekamy na powierzchni, a nie że kładziemy głowy pod topory w potyczkach z jakimiś włóczęgami! To nie nasza sprawa, od tego są drużyny! — poderwał się oburzony Glen.

— Niech tam — mruknął Forg. — W końcu wiedzieliśmy, na co się porywamy, i że będzie nas mniej niż krasnoludów. Postanowiliśmy, to idźmy. Sześciu naszych też jest za tym, żeby ruszać. Nie traćmy więc czasu!

Rogwold poderwał się jak młodzik.

— No to ładujmy furgony i wyprowadzajmy — zaczął poganiać ludzi i krasnoludy. — Do Żlebu mamy kawał drogi, a słońce już wysoko.

Zakończywszy spory, ludzie i krasnoludy szybko wyprowadzili niewielki tabor za bramę. Torin poszedł rozliczać się z oberżystą za nocleg i żywność, dołączył do niego Folko.

— Co, ruszacie? — zapytał gospodarz. — Słusznie, nie ma co tu siedzieć. Jarmark w Rohanie wkrótce się skończy, musicie się spieszyć ze swoimi towarami. A co do tych rozbójników, o których gadają, nie wierzcie w to. Strażnikom każdy włóczęga wydaje się całą armią. Ruszajcie śmiało! Przy okazji, jeśli to nie sekret, broń pewnie macie?

Folkowi zrobiło się niedobrze, jak słuchał mdlącego głosu brzuchatego oberżysty. Jego oczka błyszczały niczym podlane masłem.

— Co wieziemy, to wieziemy, wybacz, ale to nasza sprawa, czcigodny gospodarzu — powiedział Torin. — Przyjmij pieniądze i żegnaj.

— Szerokiej drogi, szerokiej drogi — pokłonił się nisko oberżysta.

Szybko pozostawili za sobą pola uprawne, minęli ostatni posterunek strażników — żołnierze pomachali im na pożegnanie — i ruszyli dalej na południowy

wschód, między szerokimi, połyskującymi świeżą zielenią łąkami i niskimi, płaskimi wzgórzami, gdzieś porośniętymi głógiem. Słońce wznosiło się, robiło się cieplej, i tylko z północy, jak poprzednio, wiał zgoła nie wiosenny, zimny wiatr. Z rzadka napotykali niewielkie zagajniki; stopniowo stawały się coraz obszerniejsze, a na horyzoncie pojawiła się niebieska zamglona linia.

— To jest Zapomniane Pasma — wskazał linię hobbitowi i Torinowi jadący obok nich Alan. — A tam, gdzie wiedzie Trakt, znajduje się właśnie Szary Żleb. Według mnie pora na postój.

Również były setnik odwrócił się do Rogwolda i skinął głową na znak zgody.

— Nakładajcie pancerze, przyjaciele — polecił cicho łowczy. — Zwiadowcy, ruszamy. A reszta, lepiej będzie, jeśli dostaniecie się do tamtych drzew, nieco z lewej od Traktu. — Wskazał miejsce. — Dotrzecie tam w jakieś dwie godziny. Zatrzymajcie się, postawcie wozy wkoło i oczekujcie nas. Gdybyśmy... — zamilkł — ...nie wrócili, to idźcie do wsi i czekajcie na idący w tamtą stronę tabor.

— Więc kto idzie? — odezwał się nagle Hornborin. — Akurat o tym nie rozmawialiśmy.

— Powiedziałem, że pójdę. — Alan wystąpił o krok. — Kto ze mną?

Nie wahając się ani chwili, Reswald, Grimmir i Grolf dołączyli do niego.

— Ale wy będziecie potrzebni tutaj — zaproponował Rogwold. — Krasnoludy odpadają; zupełnie nie potraficie chodzić po lasach, czcigodni, nie obraźcie się.

I wtedy stało się coś nieoczekiwanego. Nieśmiało stojący z boku Folko, którego rozmowy o rozbójnikach wprawiły w popłoch i który rozmyślał, jak najlepiej się schować, żeby nie znaleźć się na drodze czyjejś klingi, nagle wystąpił na środek.

— Ty, Folko? — zdziwił się Torin.

Malec mruknął do hobbita, żeby ten przestał się wygłupiać, ale Rogwold podniósł rękę uspokajającym gestem.

— Nasz hobbit, choć nie jest wysoki, ale zręczny i szybki — powiedział surowo, gasząc uśmiešky na twarzach ludzi. — Podziwiam jego hart ducha. Na dodatek hobbici chodzą ciszej niż koty, a co do umiejętności strzelania, tego nie pokona żaden myśliwy Arnoru! Będziemy bardzo ostrożni — zapewnił usiłującego zaprotestować Torina i wskoczył na siodło. — Czekajcie na nas wieczorem! — krzyknął do pozostałych i trójka zwiadowców skierowała wierzchowce w lewo, do przydrożnego zagajnika.

Uszy paliły Folka ze wstydu, bowiem pamiętał tchórzliwe myśli, które niedawno go opanowały. Gdzieś w głębi duszy nawet teraz żałował nierozważnego czynu, ale nie mógł już się wycofać. Poprawił kolczugę pod płaszczem, przesunął miecz w wygodniejsze miejsce, poprawił uprząż z nożami, wyżej na plecach miał umieszczony łuk i kołczan ze strzałami.

Jechali, nie spiesząc się, ostrożnie, głębokim, mocno zarośniętym starym parowem. Nad ich głowami zamknęło się sklepienie z leśnych koron; jednakże nawet tu słońce stało wyżej niż o tej porze roku w jego rodzinnej Hobbitanii i parów wcale nie wyglądał ponuro. Dno pokrywały młode paprocie; wyżej, w jaśniejszych miejscach, bujnie rozrosły się maliny i pokrzywy.

Rogwold i Alan jechali przodem, od czasu do czasu wymieniali kilka słów, zerkając na słońce.

Parów wyprowadził ich na dość szeroką nieckę pomiędzy trzema wzgórzami. Z lewej, od północy, widniały młode brzozy i jarzębiny — kolorowy las liściasty. Z północnego wschodu na południowy zachód na ukos od nich ciągnął się pierwszy grzbiet Zapomnianego Pasma, pokryty wysokim ciemnym lasem.

Prowadzący teraz Alan nagle uniósł rękę i Rogwold pospieszył do niego. Hobbit wstrzymał oddech i ściskając rękojeść miecza, podjechał do dwóch pochyłych nad ziemią ludzi.

— Ostrożnie! — syknął Rogwold. — Nie zادةcz śladów!

Folko wpatrywał się w niewielkie, ledwie widoczne wgłębienia; od razu zaczął wypytywać myśliwych.

— Było tutaj kilku konnych — wyjaśnił Alan. — Dzisiaj rano, jechali z północy na południe, o tam. — Machnął ręką, wskazując ledwie widoczną w gęstwinie drzew ścieżkę. — Jakie to podkowy, nie można się zorientować, ale konie były niezbyt duże. Niedobrze, że tędy ktoś przejechał, miejscowi znają ścieżkę i zapewne jest strzeżona. A my tu sterczymy na widoku!

Pospiesznie skryli się w zaroślach, kładąc się niemal na końskich grzywach; najłatwiej ten manewr wykonał niewysoki hobbit. Pozostawili za sobą słoneczną polanę i zagłębili się w las Zapomnianego Pasma.

Trudne do pokonania były tylko pierwsze sążnie, potem gęstwina ustąpiła miejsca wysokim leśnym trawom. Pod szczelnym dachem listowia cicho nawoływały się ptaki. Tropiciele podejrzliwie wsłuchiwali się w te odgłosy, ale w końcu uznali je za naturalne.

Od Traktu do polany jechali półtorej godziny; drugie tyle kierowali się na południowy zachód, kryjąc się w gęstym borze, póki Rogwold nie zarządził postoju.

— Dalej nie wolno jechać — powiedział szeptem. — Zostawimy tu konie; trudno, musimy zaryzykować, innego wyjścia nie mamy.

W zaroślach na dnie niewielkiej rozpadliny ukryli wierzchowce, zdjawszy z nich to, co mogło powodować hałas. Pełznąąc za tropicielami po stoku wąwozu, Folko obejrzał się; kuc patrzył na niego z niemym wyrzutem. Hobbit pospiesznie odwrócił się.

Teraz posuwali się powoli i przekradali krótkimi przebieżkami od pnia do pnia, zgięci we dwoje. Dokoła wszystko tchnęło spokojem i ciszą; hobbitowi wydawało się, że uczestniczą w jakiejś dziwnej, ale wciągającej grze. Stracił poczu-

cie czasu i dopiero gdy przez zielony dach przebiło się słońce, widział, że minęło południe.

Nagle idący przodem Alan runął jak ścięty w trawę obok potężnego korzenia. Folko i Rogwold ostrożnie podpełzli do niego.

— Patrzcie! — szepnął Alan. — Widzicie? Tam, prosto, pod drzewem. Ich kryjówka? Nie tacy znowu prostaczkowie z tych panów rozbójników. . .

W zielonym mroku trudno było cokolwiek dostrzec; hobbit wysiłał wzrok aż do bólu i nic nie widział. Jego towarzysze posuwali się ostrożnie do przodu. Pierwszy pełzł Alan, gibki jak młoda żmija, prześlizgując się niczym kret pod kępkami liści i korzeniami, za nim przyklejony do ziemi hobbit, ostatni Rogwold.

Zmęczenie już dawało o sobie znać, pot zalewał im oczy, dotkliwie bolały plecy. „A jeśli siedzą na drzewach?”. Lodowaty strach ścisnął wnętrzości hobbita. Jednakże minuty płynęły i nic się nie działo. Folko, widząc tylko trawę i owady przed własnym nosem, ciągle nie rozumiał, co chcą wypatrzeć ludzie. Wkrótce już nie miał wątpliwości — wszyscy usłyszeli głosy, nieopodal toczyła się rozmowa. Zamarli. Nie można było zrozumieć słów, musieli przysunąć się bliżej. Alan bardzo ostrożnie poczołgał się do przodu, gestem nakazując hobbitowi zrobić to samo. Folko drżał, wydawało mu się, że za chwilę zostaną wykryci; jednakże nadal pełzli i w końcu ukryli się w paprotniku, skąd mogli widzieć i słyszeć mówiących. Dopiero teraz hobbit odważył się unieść lekko głowę.

Na wprost, pod potężnym bukiem, niedbale oparci o pień siedzieli dwaj mężczyźni. Wyglądali na zwyczajnych arnorskich wieśniaków; jeden był podstarzały, w cienkim płaszczu, z długą włócznią i nieporęczną siekierą drwała, drugi — młody, w skórzanej czapce i porządnym kaftanie, zapewne nie swoim, przepasany sznurkiem, z mieczem i włócznią.

— Ech-he-he. . . — mówił starszy, drapiąc się po siwej brodzie — parszywe to nasze życie! Żyjemy gorzej niż zwierzęta po lasach, szwendamy się jak dzikusy. Ani się obejrzymy, jak drużyna przyjdzie i na gałąź nas. . . Och, życie! Co za los przeklęty!

— Przestań jęczeć — przerwał mu młodszy, mrużąc oczy ze złości. — Ciesz się, Broda, że jeszcze żyjesz! Co złego jest w naszym życiu? Buty masz z najlepszej rohańskiej skóry. A skąd? Wcześniej nosem ziemię orałeś, a teraz sam sobie jesteś panem! Żyjemy jak ludzie! A co do lasu. . . Nie myśl, że tak zawsze będzie. Pieniążków nazbieramy i skoczemy na północ. Ludzie mówią, że tam ziemi dużo, bierz sobie, ile chcesz, ile obrobić zdołasz. . . więc cierp i nie jęcz, bo żyć się od tego odechciewa.

Młody zaczął gwizdać jakąś wesołą melodię.

— Dobrze ci mówić, jesteś mocny jak byk — zrzędził starszy. — A ja już ledwo nogami powłóczę, boki mnie bolą. Niedawno tak mi przyłożyli pałą przez plecy! Już myślałem, że grzbiet mi przetrącili! Ty ciągle swoje, nazbieramy pieniążków, a ile jeszcze tego zbierania? Dożyję do tego czasu? Pytam się na przy-

kład, po co tu teraz siedzimy? Który to już tydzień z górki na górkę, z bagna do bagna. Cały trzęsawiskiem śmierdzą, jak ropuch jakiś. Ani łaźni, ani pieca... Po co tu siedzimy? Pustej drogi pilnujemy? Nikt po niej teraz w pojedynkę nie chodzi.

Młody marszczył nos, w końcu nie wytrzymał gderania i przerwał staremu:

— Ale z ciebie stary pień! Chcesz wiedzieć, po co tu siedzimy?! Nie słyszałeś, że Grubas przysłał gołębia z wieścią? Idzie w naszą stronę obóz, dziesięć wozów i trzydziestka z nimi — połowa to krasnoludy, pozostali są ludźmi. Spieszą na jarmark! — Młodemu zawładnęła chciwość. — Na pewno wiozą dobry towar! Ot, gdzie się pożywimy!

— Akurat! — wzruszył ramionami stary. — Krasnoludy, wiesz, swoich pieńżków tak łatwo nie oddają. Jak zaczną toporami machać, to!...

— Machać! — przedrzeźniał go młody. — Nie za bardzo się namachają, jak nas tu setka stoi. Nie mają szans. A ty, wiesz co, kończ to kwękanie, bo, odstukać, dotrze do Arra i jego mieczników!

Nagle obaj zaczęli nasłuchiwać i rozglądać się; nie zauważywszy nic podejrzanego, młody ciągnął:

— Siedziałem niedaleko od ich ogniska, kiedy przyleciał gołąb. Siedzieli tam wszyscy, cała czternastka; Arr klasnął w dłonie i powiedział coś jakby „nareszcie!”. Siedz więc spokojnie, Broda, czasu mamy niewiele, niedługo te bęcwały do Żlebu dojadą...

Starszy westchnął, ale zmilczał. Jednak nie czuł się pewnie i starał się zagłuszyć niepokój rozmową.

— A nie wiesz, jak się rozstawimy? Gdzie my będziemy? Znowu nas pogonią przodem, pod strzały, a sami zabiorą całą zdobycz?

— Słyszałem, że z obu stron się zasadzimy — odpowiedział młody, popluwając. — Wyskoczymy z przodu i z tyłu, a i z boków się zwalimy.

— Z boków? — jęknął ze smutkiem stary. — Znaczący, z samej góry, po odkrytym?

— A jak inaczej? — błysnął złymi oczami młody. — Masz inne miejsce? Dokoła pola...

— Ja tam nic nie mówię — odparł stary ponuro i wciągnąwszy ramiona, opuścił ręce na kolana.

Leżący w ukryciu zwiadowcy wymienili spojrzenia.

— Wszystko jasne — szepnął niemal bezgłośnie Rogwold. — Ich jest stu dziesięciu czy coś koło tego. Wracamy!

— Poczekaj, a co z łukami? — zapytał Alan. — I kim jest ten Arr i jego miecznicy? Pełniemy dalej!

— To niebezpieczne — wyszeptał łowczy. — Pewnie pod każdym drzewem siedzi para. Możemy wpaść...

— Ja dam radę, ja mogę — zaproponował nagle Folko, płonąć z niecierpliwości; ogarnęła go beztroška zuchwałość.

Nie czuł strachu przed rozbójnikami — łatwo im ucieknę! Ludzie popatrzyli na siebie sceptycznie.

— Będę cicho — przekonywał ich błagalnie hobbit. — Nikt nie usłyszy, poczekajcie, to zajmie mi tylko małą chwilę.

— Dobrze — zdecydował Rogwold. — Tylko wróć, Folko, proszę cię, bo Torin posieka mnie na kawałki, że cię puściłem... Będziemy tu czekać. Zapamiętałeś miejsce?

Folko szybko pokiwał głową i ostrożnie zaczął pełznąć. Paprocie bezgłośnie zamknęły po nim przejście i ludzie popatrzyli na siebie ze zdziwieniem; już po chwili nie potrafili powiedzieć, gdzie zniknął ich mały przyjaciel.

Folko pełzł szybko i zręcznie, złapawszy rytm; czasem, kiedy pojawiała się gęsta trawa i poszycie, podnosił na krótko głowę i zamierał, przysłuchując się i rozglądając. Wkrótce wypatrył jeszcze trzech rozbójników, którzy grali w kości. Potem natrafił na następnych. W końcu znalazł się w samym środku tymczasowego oddziału leśnych ludzi. Na środku, w dużym wykopie, płonęło ognisko; do hobbita dochodził trzask gałęzi i leciutki zapach spalenizny, ale dymu nie było widać; musieli palić tylko chrust. Na brzegach niewielkiej polany rozmieścili się pozostali z tej bandy; Folko przyglądał się im bardzo uważnie, ale naliczył tylko pięć łuków. Mieli sporo włóczni i mieczy, wypatrył parę koślawych, drewnianych tarcz i kilka prawdziwych, takich jakie mieli arnorscy strażnicy; nie zauważył hełmów ani kolczug. Większość zbójów to byli mocni arnorscy chłopcy wczoraj jeszcze wieśniacy, i dlatego uwagę hobbita od razu zaprzętnęła siedząca w ciasnym kręgu nieopodal ogniska grupa ludzi w zielonych ubraniach. Zaniepokoił się. Zobaczył sterczące z trawy rogi sześciu czy siedmiu kusz oraz masywne tarcze; głowy ludzi „zielonych” chroniły prawdziwe hełmy. Pozostali zbójcy wyraźnie czuli przed nimi respekt i za każdym razem, przechodząc obok, kłaniali się. Folko nie mógł usłyszeć rozmowy, ale to, co zobaczył, wystarczyło.

Naliczył stu trzech mężczyzn i czterestu wojów w zieleni. Ostrożnie odwrócił się, tak że nie drgnęła ani jedna gałązka i nie trzasnął kawałek chrustu, i ciągle kryjąc się w wysokiej trawie, ruszył z powrotem.

Kosztowało go niemało trudu odszukanie przyjaciół, którzy z niecierpliwością oczekiwali jego powrotu. Wysłuchawszy pospiesznej relacji, Alan mocno uściskał hobbita, Rogwold uśmiechnął się i pogłaskał go po głowie. Razem zaczęli pełznąć z powrotem.

Bez przygód wydostali się z Zapomnianego Pasma i co koń wyskoczy pognali do obozu. Słońce już zachodziło i trzeba było się spieszyć, żeby zanim się ściemni, pokonać pierwszy szereg wzgórz. Po pięciu godzinach od czasu spotkania z oddziałem ponownie zobaczyli rozstawione w krąg wozy.

Rogwold szczegółowo opowiedział o wszystkim, co widzieli i czego się dowiedzieli, wcześniej zgasiwszy burzliwą radość z powodu ich szczęśliwego powrotu.

— Co robimy? — zapytał, kończąc opowieść.

Zapadła cisza. Przez kilka chwil wszyscy siedzieli wpatrzeni ponuro w ziemię; pierwszy odezwał się Hornborin:

— Nie mamy przewagi liczebnej — zaczął wolno, dostojnie głaszcząc brodę.

— A to znaczy, że musimy pokonać ich przebiegłością.

— Bardzo świeża myśl! — parsknął Dorin, ale wszyscy zaczęli na niego syceć, więc zamilkł.

— Jak tu by ich sprytnie podejść? — ciągnął Hornborin. — Jeśli dobrze zrozumiałem czcigodnego Rogwolda, większość oddziału tworzą niedawni wieśniacy, w sprawach bitewnych niewprawni, a na dodatek bojący się i strażników, i swoich tajemniczych dowódców. Dlatego zapewne przestraszymy ich, atakując pierwi. Posłuchajcie! — Podniósł ręce, starając się uciszyć wzburzonych towarzyszy. — Wiążemy nasze furgony po trzy i zostawiamy z obozem czterech, którzy poprowadzą tabor prosto przez Żleb, a w tym czasie reszta, wcześniej przedostawszy się przez las, zajdzie zbójców od tyłu. Jak tylko nasz tabor wejdzie do Żlebu, zanim oni uderzą, uczynimy to my. Najważniejsze to wrzeszczeć jak najgłośniej, strzelać, ciskać pochodniami, niech myślą, że za plecami mają całą armię. Większość z nich, jestem przekonany, rzuci się w dół na łeb na szyję. Będziemy musieli uporać się z tymi zielonymi i sami dotrzeć do taboru. Zanim oni się opamiętają, zrozumieją, co się dzieje, my wyrwiemy się na otwartą przestrzeń, a tam zaatakować nas będzie o wiele trudniej! No, jak wam się podoba mój plan?

— Chciałem zaproponować niemal to samo — uśmiechnął się Rogwold. — Widać dobre pomysły jednocześnie przychodzą, że tak powiem, do myślących głów.

Ludzie i krasnoludy dyskutowali z ożywieniem, wymieniając mocne i słabe punkty planu. Grimnir strzelił palcami.

— Mogą rozdeptać tych, co pójda z taborem — powiedział z właściwym sobie brakiem wiary w powodzenie. — Mamy ze dwadzieścia kusz. Niech każdy, kto idzie z furgonami, weźmie po pięć sztuk! Załadowanych, rzecz jasna — uściślił.

— Ale nie mamy tyle sił, by uderzyć z obu stron — odezwał się Igg. — Na pewno zasadzą się po pięćdziesięciu z prawej i lewej. A my nie możemy się dzielić.

— Słusznie — skinął głową Torin. — Dlatego uderzmy, kiedy tylko zrobią pierwszy krok, i kiedy nie będą mogli już się zatrzymać. Pójdziemy wszyscy z jednej strony, powiedzmy z lewej. Zresztą, z jakiej strony zaatakujemy — nie ma różnicy, ale z lewej są lepsze podejścia i drogę tam znamy. — Popatrzył na twarze słuchających go w napięciu towarzyszy. — Musimy zdecydować.

Jak zazwyczaj w takich chwilach zapadła cisza, bo nikt nie chciał mieć ostatniego słowa; wszyscy przeciągali milczenie i pierwszym, który się odezwał, był, o dziwo, Malec. Zaczął mówić, kiedy szedł już w stronę wozów i wyciągał z kieszeni gruby motek mocnej linki:

— No to chodźcie... Torin, podprowadź wóz...

Wszyscy poruszyli się jednocześnie, jakby strząsając z siebie okowy. Krasnoludy połączyły furgony po trzy i ustalały, kto zostanie z taborem.

— Potrzebni są najlepsi wojownicy — oświadczył Rogwold ponuro. — Tu będzie najtrudniej. Kto się zgłasza?

Wystąpił Malec, a z nim Alan, Reswald, Dwalin, Gloin, Igg i Stron.

— Nie, tak nie można — pokręcił głową Torin. — Potrzebujemy tylko czterech.

Nie było czasu na spory, więc rzucono losy. Wypadło na Malca, Igga, Strona oraz Reswalda, i ci wybrańcy od razu oddzielili się od pozostałych. Igg i Stron spokojnie ładowali kusze, Malec zapalił fajkę, a Reswald wydobył z worka osełkę i starannie ostrzył miecz, nie patrząc na pozostałych, już siedzących w siodłach.

— Ruscacie za trzy godziny, gdy cień tego dębu sięgnie szarego głazu — powiedział ochryłym głosem Rogwold, i nie odwracając się, kłusem poprowadził oddział w głąb zarośniętego parowu.

Jechali w milczeniu. Alan i Rogwold prowadzili. Słońce już siadało, miękkie leśne cienie gęstniały, ale do końca dnia było jeszcze daleko. Drogę do okrągłej polany w leśnym parowie przebyli bez przygód. Nie wyjeżdżając na otwartą przestrzeń, Rogwold osadził konia i powiedział cicho:

— Nie możemy wierzchem przedostać się blisko obozu, ale konie musimy trzymać gdzieś w pobliżu. Kto je przypilnuje?

Alan pokręcił głową.

— Kogo zostawisz z nimi, Rogwoldzie? Lepiej wypuśćmy najpierw kilku pieszych, a sami podprowadzimy konie możliwie blisko.

— Uderzymy, gdy tylko zaatakują — rzucił Dorin, głaszcząc topór. — A na razie ktoś musi iść przodem, żeby unieszkodliwić ich wartowników, wtedy będziemy mogli podprowadzić konie blisko. Ruszam natychmiast i pytam: kto idzie ze mną?

Folko, podobnie jak i na pierwszym postoju, nabrał odwagi. Chwycił łuk i w milczeniu uniósł nad głowę. Jednakże zaraz rozległy się syknięcia.

— Nie, Folko, teraz już cię nigdzie nie puszcę — oświadczył zdecydowanie Torin. — Sam idę! Balin, za mną!

Po chwili trójka krasnoludów znikła w zaroślach. Podążyli za nimi Alan i Grimnir. Pozostali w milczeniu czekali, siedząc w siodłach. Odczekawszy z pół godziny, Rogwold ostrożnie poprowadził oddział śladem idących przodem towarzyszy. Poruszali się długim łańcuchem, prowadząc konie na postronkach: minęło

tak następne pół godziny. Według obliczeń Rogwolda, powinni już znajdować się tuż przy obozie rozbójników.

Gałęzie przed nimi nieoczekiwanie zakołysały się, Folko omal nie krzyknął i nie wypuścił strzały, ale pojawili się Torin i pozostali. Ubranie miał w dwóch miejscach zachłapane czymś ciemnoczerwonym. Krasnolud był spokojny, ale wyraz twarzy miał zawzięty.

— Droga wolna — zakomunikował ochryple, oblizawszy wargi. — To już pod bokiem. . . Złazcie z koni, niech potrzyzyma je Folko i ktoś jeszcze. Idźcie za mną. Jest tu jedno świetne miejsce. . .

Ze wstydu i poczucia krzywdy Folko stracił głos, a kiedy się otrząsnął, otaczały go już tylko spokojne końskie pyski, wielkie oczy patrzyły przyjacielsko i niespokojnie. Z Folkiem został Dowbur, który wydawał się bardzo zadowolony.

— Nie stój tak! — obsztorcował hobbita szeptem. — Przywiążuj uprząż, inaczej jak je poprowadzimy?

W oczach Folka zakręciły się łzy, znowu poczuł się małym, wystraszonego i nikomu niepotrzebnym hobbitem; takim jakim był przed poznaniem Torina. Zostawili go z tyłu, nie wzięli ze sobą, i teraz zajmuje się uzdami, przywiązuje je do długiego sznura, a przyjaciele, tam, przed nim, i kto wie, co z nimi będzie? Nie mógł się z tym pogodzić. Pokręciwszy się kilka minut w miejscu, nie wytrzymał i ostrożnie popętlął przed siebie, opuszczając płytki parów, gdzie ukrywał się z Dowburem. Zapomniawszy o wszystkim, parł przed siebie i nieoczekiwanie znalazł się na krawędzi zbocza, skręciwszy bardziej w prawo, niż zamierzał. Ostrożnie rozsunął gałęzie krzewów i podniósł głowę nad trawę.

Przed jego wzrokiem otworzył się Szary Żleb — wąskie, proste przejście między dwoma wysokimi i stromymi wzgórzami. Las na stokach rzeczywiście był wypalony, ale zbocza pokrywała bujna, wysoka trawa; gdzieniegdzie sterczały czarne zwęglone pnie. W dole szarą taśmą wiła się droga: stoki wzgórz były puście, wzdłuż brzegu lasu na grzbiecie Żlebu widniała gęsta, zwarta ściana krzewów. Żadnych śladów człowieka. Folko spojrzał w prawo i drgnął, widząc, że ich tabor niespiesznie zbliża się do gardzieli Żlebu. Hobbit sięgnął po łuk i strzały. Niech się dzieje, co chce, ale nie zostawi przyjaciół! Niech Dowbur sam tam siedzi. . .

Ostatnie minuty rozciągały się na godziny. Wydawało się, że tabor nigdy nie przebędzie jednego, dzielącego ich od fatalnego parowu sążnia. Folko odruchowo wyciągnął rękę, chcąc wytrzeć ją o spodnie, i nagle usłyszał z lewej podejrzany szmer. Wcisnął się w ziemię i napiął mięśnie. Jednakże nikt nie zbliżył się do niego. Ktoś, sapiąc, sadowił się obok niego w krzakach i robił przy tym tyle hałasu, że chyba było go słychać na całym Trakcie. Hobbit odważnie wyjrzał. Trzymając w mocnych, spracowanych dłoniach długą włócznię, za krzakiem przycisnął się ten sam leciwy rozbójnik, którego rozmowę z młodym udało się podsłuchać. Rozglądał się dokoła niezdecydowany i wystraszonego, wiercił się, chrząkał, stękał, bez przerwy poprawiał pas, ale włóczni z ręki nie wypuszczał. Hobbit już nawet

wycelował w niego — na wszelki wypadek, gdyby ten go zauważył, ale wozy weszły do Żlebu, i gdy ostatni wóz zrównał się z Folkiem, ciszę nad Traktem przeciął gwałtowny modulowany, zuchwały zbójcecki gwizd.

I natychmiast ściana krzewów wzdłuż leśnych ścian runęła; z lasu wynurzyły się dziesiątki ludzkich postaci: wielogłose ryk i wycie zalały okolicę. Trzasnęły gałęzie i obok hobbita, wystawiwszy do przodu włócznię, coś wrzeszcząc, rzucił się na dół leciwy rozbójnik, kierując się ku furgonom. Jednak nie przebiegł więcej niż kilka kroków; rozległo się melodyjne brzęknięcie cięciwy, twarda linka smagnęła skórzaną rękawicę na lewej ręce hobbita, świsnęła strzała i stary zbój poturlał się po ziemi, straszliwie wrzeszcząc i chwytając się rękami za przebite biodro. Kolejny raz Folko nie potrafił mierzyć tak, by zabić. Staruch był żalony, a nie straszny, wywoływał litość, a nie nienawiść.

Gdy zbójce z obu stron Żlebu runęli w dół, ich wrzaski zagłuszyło czyjeś głośne zawołanie; gdzieś z lewej hobbit usłyszał szczęk broni i przenikliwe krzyki grozy i rozpacz. Rozległ się niski, groźnie brzmiący głos wydającego komendy Torina, rozbójnicy z lewej niczym groch spadali w dół, wywracając się i turlając w kierunku Traktu. Ci, którzy kierowali się ku wozom z prawej strony Żlebu, stanęli, nie wiedząc, co się dzieje; tymczasem za rozbójnikami z krzaków wynurzyły się krasnoludy oraz ludzie w jasnych zbrojach, z błyszczącymi, przyprawiającymi wrogów o trwożę mieczami i toporami w rękach. Na dole rozległo się dźwięczne pobrzękiwanie cięciw — to idący z taborem towarzysze hobbita uderzyli na biegnących z kusz. Przed szykiem krasnoludów cofała się niewielka grupa odzianych w zielone stroje wojowników, było ich tylko pięciu czy sześciu. Nagle błysnął topór jakiegoś krasnoluda i jeden z „zielonych” zwałił się w trawę; pozostali, nie stawiając oporu, rzucili się na dół, za haniebnie uciekającymi rozbójnikami. Niektórzy padli z bełtami w ciałach; nikt nawet nie próbował uderzyć na strzelających z wozów, biegnący szerokim łukiem omijali tabor z przodu i z tyłu. Czterej spośród ocalałych „zielonych” dobiegło do Traktu, rzucili się między wozy, jednakże drogę przegrodziła im niewysoka, przysadzista postać w kolczudze i hełmie, ale z mieczem oraz dągą zamiast zwyczajnego w ręku krasnoluda topora. Sekunda, coś błysnęło, jakby język płomienia wyrwał się z ręki Malca — i jeden z napastników runął na ziemię, trzech uciekli. Tymczasem do wozów dotarli pozostali towarzysze Folka; rozbójnicy rzucili się na przeciwległy stok, pospiesznie wdrapywali na zbocze i ginęli w zaroślach; widać było, jak „zieloni” usiłowali ich zawrócić.

Konie! Czas przyprowadzić konie! — pomyślał nagle hobbit, biegnąc pospiesznie z powrotem, do Dowbura. Ten już wyprowadzał konie z parowu. Wskoczyli w siodła i popędzili zwierzęta w lewo, starając się możliwie skutecznie ściąć łuk. Na dole nie cichły krzyki, ale nie słychać było szczęku broni, jednakże raz po raz rozlegało się brzęczenie cięciw kusz.

Gałęzie smagały hobbita po twarzy, musiał więc przede wszystkim chronić oczy. Szybko minęli zarośla i wypadli na stok. Nad wozami kłębił się pył, krasno-

ludy i ludzie nie żałowali batów; rozbójnicy miotali się bezładnie po przeciwnym zboczu.

— Pędź! Pędź je! — rozległ się wściekły wrzask Torina.

Nagle przy uchu hobbita coś ostro i nieprzyjemnie świsnęło — od tej strony Żlebu „zieloni” bili z kusz. Nie zastanawiając się ani chwili, Folko szarpnął cięciwę. Jeden ze strzelających runął w trawę i hobbit wiedział, że tym razem trafił jak należy. Był już na Trakcie, dostrzegł szare boki furgonów i woźniców smagających batami wierzchowce. Nie świstały już strzały, z przodu widoczne było wyjście ze Żlebu; wzgórze gwałtownie rozchodziły się i droga wypadała na przestrzenie wolnych równin Minhiriath. Z tyłu jeszcze przez chwilę rozlegały się jakieś wrzaski i jęki, ale szybko cichły. Wiatr ciał po twarzy. Szary Żleb został z tyłu; tabor przebił się.

Rozdział 15

Puste Ziemie

Opadła gorączka pierwszej bitwy, dawno już zniknęły w zapadającym zmierzchu Szary Żleb i Zapomniane Pasma, na ciemnym niebie zapłonęły iskierki gwiazd. Tabor przemierzał pustynne równiny szarą wstęgą Traktu; siedzące zaś na koźle ostatniego wozu krasnoludy nie spieszyły się z rozładowaniem kusz — wróg mógł ich ścigać. Zapomniano o strachu i wątpliwościach; w marszu wybito szpunt z beczki z piwem, po raz kolejny wspomniano szczegóły potyczki. Oczy Folka błyszczały, słuchał opowiadających, wstrzymując oddech, a potem zaczął zapisywać bezładnie rzucane informacje.

Kiedy wszyscy dotarli do legowiska rozbójników, zastali je porzucone. Ostatni zbóje wychodzili z obozu, kierując się na skraj lasu nad Traktem. Ludzie i krasnoludy poszli za nimi. Rzeczywiście, w bandzie o wszystkim decydowało kilku „zielonych”; teraz poganiali swoich ludzi, szli na końcu oddziału i pilnowali, żeby nikt nie stchórzył przed walką. Przez kilka minut trwała cisza, a potem rozległ się gwizd; było jasne, że napad się zaczął, a wtedy poderwały się krasnoludy i ludzie. Zgodnie z propozycją Rogwolda chóralnie krzyknęli „Arnor!”, żeby zbić z pantafyku napastników; były setnik po drodze głośno wydawał polecenia nieistniejącej jeździe, a za jego plecami krasnoludy wrzeszczały z całej mocy potężnych piersi.

Rozbójnicy naprawdę się złękli! Ani jeden nie odważył się odwrócić, by stawić czoło nieznanemu zagrożeniu; biegli na łeb na szyję, starając się przedostać przede wszystkim do kolegów na przeciwległym zboczu wąwozu; tylko „zieloni” nie stracili ducha. Chwycili za miecze i ruszyli do przodu; jednakże było ich zaledwie dziewięciu, nie zdołali więc ani zatrzymać, ani powstrzymać nawet na chwilę towarzyszy Folka. Krasnoludy szły w zwartym szyku, ramię przy ramieniu; zetknąwszy się z „zielonymi”, bez zwłoki uderzyły. Jednego wroga zabił Dorin, drugiego zwałił Balin; pancerze krasnoludów okazały się zbyt mocne jak na miecze ludzi w zieleni, chociaż Dorin otrzymał silne uderzenie w ramię. Przeciwnicy pospiesznie wycofali się, nie przestając jednak nękać. Na granicy lasu jeszcze jeden zginął z ręki prowadzącego szyk Rogwolda, sześciu pozostałych zrozumia-

ło, że opór nie ma sensu, jednakże zanim zdolali oderwać się od prześladowających ich krasnoludów, Stron, zręcznie sparowawszy rozpaczliwe uderzenie, spokojnie opuścił topór na odsłoniętą szyję przeciwnika.

Jadący z taborem towarzysze nie ponieśli żadnych strat; Malec zdążył chwycić za miecz, pozostali używali tylko bełtów.

— Porwali się z motyką na słońce! Z motyką! — powtarzał Alan, zachłystując się śmiechem, jakby nie wierzył w to, co widział. — Przecież mogli nas wytłuc jak pluskwy!

— No, gdyby nie zatrzymali się ci z prawej, mielibyśmy się z pyszna! — przytaknął Dorin. — Dlaczego rzucili się tak na oślep?

— Przywykli nie napotykać oporu — zauważył Rogwold, łyknawszy porządnie dobrego przygórzańskiego piwa, które zabrał na drogę zapobiegliwy Malec. — A jak trafili na coś nieprzewidzianego, to się pogubili. Wiadomo, wieśniacy, gdzież im...

Folkowi od razu przypomniał się Eirik i jego nieliczni towarzysze.

— A co to za „zieloni” zwalili się nam na głowy? — zdziwił się Igg. — Ci, jak się wydaje, są prawdziwymi wojownikami...

— Zgoda — skinął głową Rogwold. — Wydaje mi się, że są z Angmaru.

— Zaraz sobie wyjaśnimy, skąd są — ożywił się nagle Malec i skoczył w głąb wozu.

Dały się słyszeć odgłosy szamotaniny, ktoś sapał, wydawał nieartykułowane dźwięki, i po chwili pojawił się Malec; ciągnął za kołnierz rozbójnika, który kręcił na wszystkie strony głową — niewysokiego mężczyznę w średnim wieku, z gęstą, na poły siwą brodą.

Rozległy się okrzyki zdziwienia. Nikt nie zauważył, kiedy i jak mały krasnolud pojmał jeńca: ze wszystkich stron posypały się pytania. Jadący konno ludzie i krasnoludy momentalnie znaleźli się przy furgonie Malca. Jeniec, mile połączony, z dumą opowiadał, że nie wskoczył sam na wóz, lecz uczynił to na szczególną prośbę Malca właśnie, prośbę popartą pewnym ważkim argumentem, po czym uprzejmie się zgodził, żeby nie doszło do jakichś przykrych nieporozumień, na związanie mu rąk i nóg jego własnym pasem. Jak się okazało, ów zbój wyskoczył na krasnoluda akurat w chwili, gdy ten wchodził na wóz po potyczce z „zielonymi”; chłop widocznie zwariował ze strachu i zamierzał przemknąć obok, ale Malec zręcznie pochwycił go za kołnierz, przystawiwszy do gardła dagę.

— Świetnie! — ucieszył się Rogwold. — Zaraz go przepytamy.

Były setnik przesiadł się z siodła na kozioł i szarpnięciem odwrócił do siebie przerażonego wieśniaka.

— Ktoś ty? Skąd pochodzisz? Jak trafiłeś do bandy? — Głos łowczego brzmiał stanowczo. — Odpowiadaj i nie bój się, nie jesteśmy strażnikami ani sędziami.

— Jestem Dron, Dron, syn Rifa z Aldrina — wymamrotał więzień. — Mieliśmy nieurodzaj, padały deszcze, zboże nie obrodziło. Pisaliśmy do szeryfa, żeby jakąś pomoc przysłał; mieliśmy puchnąć z głodu? Ani słowem się nie odezwał. A jeść trzeba! No... A potem przyjaciel podsunął mi pomysł. Chodźmy, powiada... No to poszedłem. Co miałem robić? Od nas pół wsi poszło z oddziałem. Szczególnie jak usłyszeliśmy, że urządzą nam we wsi strażnicę, na naszym utrzymaniu.

— Zręcznie śpiewasz — uśmiechnął się łowczy. — Twoim zdaniem, wszystkim są winni przyjaciele? A gdzie miałeś głowę? Nieurodzaj... Jeśli po każdym nieurodzaju wszyscy będą się garnać do zbójów, to co będzie, he?

— Poczekaj, Rogwoldzie, wypytaj go o nasze sprawy, a nie o to, jak zszedł na złą drogę. — Torin, marszcząc się, trącił w łokieć setnika.

— A ja co, nie o sprawę pytam? — odgryzł się łowczy, ale zmienił temat. — Ilu was było? Gdzie siedzieliście, gdzie się ukrywaliście?

— Niby gdzie tam się kryć... — zabełkotał Dron. — Siedzieliśmy po domach, a kiedy było trzeba, powiadamiano nas.

— No to skąd się tu wzięłeś, pięćdziesiąt mil od domu? — zapytał Rogwold, uśmiechając się okrutnie.

— Zebrali nas... miesiąc temu — odpowiedział Dron. — Powiedzieli, że na południu będą duże zdobycze. Wszyscy poszli, a kto nie chciał, dostał kije. Przebyliśmy Zapomniane Pasma, chodziliśmy sobie wzdłuż Traktu...

— Kto był waszym dowódcą? Kto wymyślił, żeby iść na południe?

— No ci, ludzie z północy Arra, niech ich licho. — Oblicze Drona wyrażało ostatni stopień rozpacz. — Kierowali wszystkim, o wszystkim decydowali. Wielu, być może, by i uciekło, jak ja, ale oni pilnowali uważnie. Dostawali rozkazy i wiadomości. Rozkazy przynosiły gołębie.

— Komu podlegali ci z północy? — wypytywał dalej Rogwold. — Co to znaczy „z północy”? Z Angmaru?

Szeroko otwarte oczy więźnia stały się podobne do dużych miedzianych monet; drżał, jakby siedział goły na mrozie, zająkując się odpowiedział, że owszem, rzeczywiście są z Angmaru i podlegali, jak zrozumiał z ich rozmów, jakimś wielkiemu wodzowi, którego imienia nigdy nie wymieniali; czasem mówili o nim „on”. Torin i Folko popatrzyli na siebie.

— A kim jest Grubas? — zapytał Rogwold.

— Nie wiem, nigdy o nim nie słyszałem — jęknął Dron. — Wiem tylko, że jest jednym z tych, którzy żyją na Trakcie i przysyłają nam wieści. A jak się naprawdę nazywa, zabijcie mnie, nie wiem!

— Dobra, nie wie, to niech nie wie. Co z nim robimy? — zwrócił się łowczy do towarzyszy.

— Wiadomo co: pętla przez gałąź i sznur na szyję! — burknął Grimmir. — Nie ma co żałować tego gada... Ilu ma na sumieniu, bydlak!

— To nieuczciwe zabijać bezbronno! — zakrzyknął Dorin. — To nie jest twój jeniec, tylko Malca, a poza tym Annuminas i sąd królewski są daleko stąd!

— No to jak, proponujesz go wypuścić, żeby dalej grabił i mordował? — aż pisnął oburzony Grimnir. — Och, jak miło i szlachetnie! A gdyby tak tobie...

Nagle zamilkł i odwrócił się. Wtedy odezwał się Rogwold; mówił wolno, waząc każde słowo:

— Dorin ma rację, to nie Annuminas, nie mamy sędziego i świadków, nie możemy decydować o życiu tego człowieka. Do wsi jest niedaleko, doprowadzimy go tam i oddamy w ręce strażników. Niech wszystko będzie zgodnie z prawem.

— Poczekajcie! — wtrącił się nagle Folko. — Według mnie, on już ukarał się sam, i to surowo. Uczciwie nam wszystko opowiedział. Puśćmy go! Przecież strażnicy mogą nie doczekać się królewskiej sprawiedliwości...

— Wypuścić?! — popatrzył ze zdziwieniem na hobbita Rogwold. — Możemy puścić... Kto jeszcze tak sądzi?!

Grimnir nadal milczał, odwrócił się, pognął konia, wymijając pozostałych; Dorin wzruszył ramionami, Reswald rozłożył ręce, jednocześnie skinęli głowami Gimli, Grani i Tror. Torin ściągnął lejce, furgon zatrzymał się, a Malec szybko przeciął krępujące Drona kawałki jego własnego pasa.

— Idź, dokąd chcesz, Dronie — powiedział do jeńca Rogwold. — Jak już powiedziałem, nie jesteśmy katami ani sędziami. Jeśli chcesz, wracaj do domu i postaraj się odkupić swoją winę. Jeśli nie, zmiataj, dokąd chcesz.

Oszołomiony wieśniak mrugał oczami i usiłował coś powiedzieć. Potem zeskoczył na ziemię, jak błyskawica pomknął przez pobocze drogi i natychmiast zniknął w ciemnościach.

— Żeby przynajmniej podziękował, prostak — westchnął Malec.

Księżyc załał już zimnym światłem wszystko dokoła, gdy na Trakcie zamigotały słabe światełka. Zbliżali się do wsi, co łączyło się z noclegiem i kolacją; wierzchowce również poczuły kwaterę — zmęczone całodniową drogą podniosły głowy i przyspieszyły. Wkrótce wędrowcy zauważyli belkę przegradzającą drogę i drewnianą wieżę na poboczu — kolejny posterunek strażników. Tabor zatrzymał się przed zaporą; z góry władczy głos polecił podać swoje imiona i oświetlić siebie.

Torin i krasnoludy, pomrukując z niezadowoleniem, zaczęli krzesać ogień i rozpalać smoliste pochodnie. Rogwold usiłował przekonać strażników, żeby przepuścili zmęczonych podróżnych i nie robili ceregieli, jednakże z wieży rozległ się tylko śmiech. I dopiero gdy w drżącym świetle pochodni wszyscy podróżni byli widoczni i ustawili się u podnóża wieży, a Rogwold wydobył z kieszeni list podróżny, pozwolono im wejść. Były setnik i Torin od razu zażądali widzenia z dowódcą; pozostali, myśląc już tylko o dobrej kolacji, szybko poprowadzili tabor w kierunku oberży. A mniej więcej po półgodzinie, gdy jeszcze nie zdążyli osuszyć pierwszego antałka, za oknami rozległ się tętent dziesiątków kopyt i po-

brzękiwanie broni — to arnorska drużyna wtargnęła do Zapomnianego Pasma. Kilka minut później do oberży weszli Torin z Rogwoldem.

Pamiętając zajazd i zagadkowego Grubasa, wędrowcy umówili się, że nie będą rozmawiać w zajazdach i na pytania dociekliwego gospodarza odpowiadali: wędrowaliśmy cały dzień i bardzo jesteśmy zmęczeni.

Po kolacji, gdy wszyscy poszli spać, Torin, Folko, Dorin, Hornborin i nigdy nieopuszczający ich Malec odbywali naradę.

— No to mamy nowiny, co się zowie — powiedział Torin, ścisząc głos do szeptu. — Zbójce, jak się okazało, są w sojuszu z Angmarem! I nie pętają się po kraju w pogoni za łupami, tylko wykonują czyjeś rozkazy! Chciałbym wiedzieć, czyje...

— Czy to takie ważne, bracie Torinie? — odezwał się ponuro Dorin, ostrząc topór i nie podnosząc głowy. — Ludzie mają swoje drogi, my swoje. Angmarczycy, jakkolwiek by tego pragnęli, nigdy nie przedostaną się do podziemnych komnat, a broni i złota potrzebują wszyscy. Więc niech sobie walczą! My jeszcze nie wiemy, kto ma rację.

— Mój czcigodny współtowarzysz i współplemieniec mówi, jak zwykle ze szczerego serca, ale bez sensu — odezwał się Hornborin, głaszcząc złoty pierścień na palcu. — Prawdziwy tangar nie sprzeda swojego wyrobu niegodziwcowi. Od dawna łączy nas przyjaźń z Arnorem, wiesz to nie gorzej ode mnie, i dziwią mnie twoje słowa, Dorinie!

— Nigdy nie handlowałem ze zbójckim nasieniem! — odgryzł się Dorin. — Nie to miałem na myśli! Nasz najważniejszy cel to Moria! Jeśli Arnor rzeczywiście znajdzie się w niebezpieczeństwie, wiesz, co się stanie w Górach Księżycowych! Ale sprawy ludzkie to sprawy ludzkie. Całe zamieszanie w Północnym Królestwie to właśnie sprawa czysto ludzka i na razie nie powinniśmy się do tego mieszać, bo możemy niechcący zaszkodzić. A co wynika z tego, że rozbójnicy mają takich przywódców?!

— To wynika, że ich tajemniczy przywódcy, jak się wydaje, są związani z pewnym naszym niedobrym znajomym — zauważył Torin. — Dobrze, jeśli podobnego związku nie znajdziemy między tymi wieśniakami, którzy przypadkowo trafili do rozbójników, i tymi, którzy służą upiorom z Mogilników!

Świeca zamigotała, jakby ktoś lekko dmuchnął na płomień.

— Mogilniki? — uniósł brwi Hornborin. — Nie wiem, Torinie, nie wiem. Nie mamy żadnych dowodów.

— Nie mieliśmy też żadnych dowodów związku rozbójników z Angmarem, aż do dzisiaj — odpowiedział Torin.

— No to co? — zapytał zniecierpliwiony Dorin, odkładając na bok topór. — Masz jakieś nowe pomysły, jak znaleźć Palenisko Durina?! Czy z tego wszystkiego można wyciągnąć jakieś pewne zaklęcie przeciwko Demonowi Mocy?!

Rozmowa się nie kleiła. Torin interesował się sprawami ludzi, a Dorin wyraźnie tego nie pochwalał; Hornborin, jak zawsze, popisywał się retoryką, ale nawet dla niego wszystko to wydawało się czymś odległym i nieznaczącym. Posprzecząc się jeszcze trochę, obudzili Malca i poszli spać.

Folko zawiąnął się w koce i już układał się do snu, gdy nagle zobaczył, że Torin siedzi, trzymając jeden but w ręce, ma dziwnie nieruchomą twarz i coś mruczy pod nosem.

— Co jest, Torinie? — zapytał hobbit i zamilkł; krasnolud wyraźnie wypowiedział słowo „Rollstein”. — No, powiedz mi! — nie wytrzymał Folko i usiadł.

— Rollstein, Folko... — rzekł głucho krasnolud. — Wiesz, co to jest? Gdy zobaczysz toczący się kamień, nie krzycz, że masz przed sobą Rollstein, najpierw przyjrzyj się, kto go podważa! Ktoś podważa Śródziemie, Folko!

Hobbitowi ciarki przebiegły po skórze, ale nie z powodu słów krasnoluda, tylko właśnie z powodu jego grobowego głosu i dziwnego wyrazu twarzy. Zamierzał coś powiedzieć, ale wcześniej odezwał się Torin; mówił, patrząc przed siebie:

— Ktoś kołysze Śródziemiem! Wszak Zło nie ginie bez śladu, Folko. Jego resztki rozlatują się na wszystkie strony, i odnaleźć je nie jest łatwo. Ale gdyby ktoś miał coś takiego jak sito Trora... Sito, które odsiewałoby zło, jakie pozostało po Sauronie! Nic nie mija samo z siebie, wszystkie rozruchy mają swoich podżegaczy, a ci na pewno wywodzą się spośród Dużych Ludzi! Trzeba szukać wśród ludzi!

— Dlaczego? — zapytał Folko.

— We wszystkich Wielkich Wojnach od Dawnych Dni tylko ludzie walczyli po jednej i po drugiej stronie — odpowiedział krasnolud. — Elfowie, tangarowie, a i wy, hobbici, zawsze byliśmy po jednej stronie; orkowie, trolle, karzełki — zawsze po drugiej. A pośrodku znajdowali się ludzie! Tylko wśród nich można znaleźć takiego, który chce odtworzyć Czarną Wieżę. W ludziach wszystko jest tak dziwnie wymieszane, nie lubią słuchać cudzych rad i nauk, od dawna nie lubią elfów, nie wszyscy, rzecz jasna, ale wielu. Olmer z Dale jest tego dowodem. Ktoś niewidzialny prowadzi wojnę z Arnorem i nie wiadomo, jak daleko sięgają jego plany. A co, jeśli naprawdę odnajdzie się jakieś sito Trora, gromadzące resztki Zła?! — Głos Torina stopniowo się zmieniał, wrócił do normy; krasnolud zgarbił się i westchnął. — Napadły mnie niewesołe myśli, bracie hobbicie. Nie wiem, co się ze mną dzieje... Wcześniej nie miałem takich napadów, kładłem się i spałem jak zabity. Cóż, podziękujmy Wielkiemu Durinowi i Jasnej Królowej, którzy dali siłę naszym toporom i mieczom! A teraz kończmy już to gadanie...

* * *

Kończył się długi dzień, osiemnastego kwietnia 1772 roku od zamieszkania w Hobbitanii.

I znowu pod skrzypiące koła wozów wpełzała wielka droga Śródziemia. Następnego dnia spotkali idący z południa duży handlowy obóz; pod Tharbadem znowu było niespokojnie. Ostatni mieszkańcy porzucili miasteczko Nolk, trzydzieści mil od twierdzy; słuchy o czarnej zgrozie, płynącej z opuszczonej przez krasnoludów Morii, rozpełzały się coraz dalej i dalej. Twarze ludzi stawały się mroczne; krasnoludy wymieniały spojrzenia, ale milczały.

Zbliżali się do twierdzy Tharbad, dawno temu zbudowanej na styku dwóch rzek przez rycerzy z Zamorza... Teraz wsi przy Trakcie było więcej; Szary Żleb rzeczywiście uchodził za najniebezpieczniejsze miejsce. Zanim słońce stanęło w zenicie dwudziestego trzeciego kwietnia, przed nimi pojawiły się wysokie szare wieże i mury z blankami starej twierdzy. W płomieniu wojen Trzeciej Epoki Tharbad została zburzona; po Zwycięstwie Wielki Król nakazał jej odbudowę. Twierdza stała na długim cyplu między Gwathlo i Sirannoną; z lądu dostęp do niej odcinała głęboka fosa. Dokoła twierdzy stacjonował duży oddział jazdy Arnoru; tutaj było bezpiecznie. Do Tharbadu napływały wieści ze wszystkich krain Dwurzecza, z przedgórza Gór Mglistych, z rubieży Dunlandu. Gdyby ktoś zechciał poznać najnowsze handlowe i wojskowe plotki, wystarczyło, żeby poszwendął się po miejscowym targu albo posiedział trochę w którejś z tawern czy zajazdów.

W Tharbadzie oddział Torina i Rogwolda spędził dwa dni, dając wytchnienie sobie i wierzchowcom. Rozpytując i podsłuchując, unikając pytań wprost i jednoznacznych odpowiedzi, dowiedzieli się, że okolica na wschód od twierdzy jest wyludniona, bowiem wszyscy przenieśli się na zachód albo na północ. Na pomoc nie było co liczyć. Gorzej, dowiedzieli się, że stamtąd odeszli również strażnicy. Jaki sens miało pilnowanie opuszczonych domostw?! O Morii mówiono szeptem i opowiadano takie bzdury, że krasnoludy tylko się krzywiły i zatykały uszy.

Wszystkie plotki kończyły się jednak podobnym stwierdzeniem: niech tylko wrota Morii runą, a nastąpi koniec, dlatego należy uciekać jak najdalej.

Dwudziestego szóstego kwietnia, w jasny, prawdziwie letni ciepły dzień, drużyna opuściła Tharbad. Ruszyli przez stary Gościniec Południowy, żeby zmylić ciekawskich, a potem pod skrzydłem nocy zamierzali skręcić na północ i wyjść na starą drogę, przetartą jeszcze przez elfy Eregionu wzdłuż lewego brzegu Siranny; Gloin i Dwalin zaklinali się, że znają sekretny bród o dziesięć mil od twierdzy, gdzie drużyna może przepłynąć na drugi brzeg.

Ziemia nieopodal Tharbadu była gęsto zasiedlona; jedna wieś przechodziła w drugą, i przez jakiś czas Folkowi wydawało się, że nadal są w Arnorze; jednak-

że przed wieczorem znaleźli się na pustej, lekko pofałdowanej równinie, gdzie-
niegdzie przecinanej lasami i wąwozami. Poza nimi został posterunek, a ze słów
strażników wynikało, że dalej, na południe, w odległości trzech dni jazdy nie ma
siedzib ludzkich i dopiero dalej pojawiają się osady, chronione już przez jazdę
Rohanu, chociaż łańcuch arnorskich strażnic ciągnie się aż do samej Iseny.

O mrocznej północy skręcili z przetartej drogi i starając się pozostawiać po
sobie jak najmniej śladów, ruszyli na północny wschód.

Po przejściu jakichś dwóch mil zatrzymali się. Ustawili furgony w koło i złą-
czyli je na wszelki wypadek łańcuchami, opuścili drewniane tarcze z boków, wy-
stawili warty i położyli się spać, po raz pierwszy od początku długiej drogi po-
zbawieni ochrony arnorskich mieczy i murów.

Folkowi warta przypadła dwie godziny po północy, wraz z nim miał pełnić
straż Weort. Tropiciel przypasał miecz, włożył hełm i kolczugę, hobbit wziął łuk
i kołczan. W ciemności nie rozstawiano obozu w głębi zagajnika, lecz wybrano
płytki parów, po którego dnie płynął niewielki strumyk. Ognisko wygasło, ale wę-
gle jeszcze się tliły, w zapasie było dużo chrustu — na wszelki wypadek. Folko
dobrze pamiętał przygodę z wilkołakami, które omal nie pożarły oddziału straź-
ników nieco dalej na wschód od tej okolicy!

Weort ruszył w obchód; hobbit wdrapał się na skrzyżowanie dwóch łuków, na
których rozpięta była płachta chroniąca jeden z furgonów. Nad zębatą krawędzią
Gór Mglistych pojawił się księżyc, ale szybko przesłoniły go pełnzące z południa
niskie chmury. Mrok zgęstniał; teraz na tle gwiaździstego nieba Folko mógł tylko
odróżnić zarysy najbliższego zagajnika. Nagle poczuł się dziwnie i ogarnął go
lęk. Kroków Weorta nie było słyhać i hobbit zaniepokoił się. Gdzie się podział
tropiciel? Balansując ciałem, ryzykując upadek, wstał. Nic, ani odgłosu kroków,
ani odbicia zbroi.

Wystraszony, już zamierzał zeskoczyć na dół i budzić Torina, gdy nagle po-
czuł znajome, choć już nieco zapomniane uczucie przygnębienia. Ale teraz nie
wywołało ono w nim panicznego strachu.

— Budź wszystkich! Rozpalaj ogień! — rozległ się stłumiony okrzyk Weorta.
— Widziałem coś!... — Głos człowieka drżał. — Idzie przez wzgórze na mnie
coś szarego, jakby płachta ze zgrzebniny, tylko lśniącej, niby jakaś postać. Ja do
niej powiadam — „stój”, a ona jak nie zasyczy! Cały skamieniałem, zapomniałem,
z której strony mam miecz... Ani chybi jakieś czary, nie inaczej! Poczekaj... Tam
jest! — Weort aż popiskiwał.

Stojący z mocno zamkniętymi oczami Folko sam już widział — nie oczami,
tylko jakimś wewnętrznym spojrzeniem — że z północnego wschodu, spod gę-
stwiny młodych wiązków płynęło w ich kierunku szare lśnienie, słabe, niemal nie-
zauważalne; hobbit poczuł zbliżanie się tej samej siły, która próbowała złamać go
w Annuminas; wtedy nie poddał się, a teraz owa Moc pełzła znowu — już nie jako
napastnik, lecz jako żebrak. Wychwycił tę okropną prośbę, rodzącą się z niewy-

obraźalnych dla żyjącego cierpień. Obok jęknął zduszonym głosem Weort; Folko otworzył oczy i zobaczył szary cień kilkadziesiąt sążni od nich.

Wtedy wyszarpnął starannie owinięte w pergamin i skórę łuk oraz kołczan ze strzałami elfów. Cienki i długi grot nagle załśnił, niczym mała gwiazda, odpędzając mrok, i Folko usłyszał, jak szcęknęły zęby stojącego obok tropiciela i jak zgrzytnął jego wyciągany z pochwy miecz. Hobbit naciągnął cięciwę.

Zbliżające się widmo chyba coś wyczuło; i niewątpliwie знаło broń elfów. Szara plama zawahała się i zatrzymała. Rozległ się zmijowaty syk.

Mrużąc lewe oko, Folko naprowadził gwiaździsty grot na falującą w słabym świetle postać i w myślach rozkazał jej: Odejdź! Odejdź i nie nachodź nas więcej! Widzisz tę strzałę?!

Odpowiedź przyszła natychmiast: tęskny jęk, zagrobowa rozpacz, bezdźwięczny i nieartykułowany szloch:

„Jestem niewolnikiem tego, co wy macie. Nie odejdę, jestem bezsilny, jestem skazany na wędrówkę za wami, póki to macie. . . Oddaj mi go!”

— Na co czekasz?! — żarliwie wyszeptał w ucho hobbita Weort. — Strzelaj szybciej! Dlaczego stoisz? Strzelaj!

Twór Mogilników nie poruszał się, sam wystawiając się na strzał. Ale w ostatniej chwili Folkowi żal się zrobiło strzały elfów i zmienił ją na zwyczajną, cisową.

Mrok i strach natychmiast zwały się nań ogromnymi, bezkształtnymi głazami, ale w tej samej chwili brzęknęła cięciwa, w powietrzu świsnęła strzała i równinę na mgnienie oka rozświetlił błękitny błysk, który natychmiast zmienił się w rude języki ognia, płonącego tam, gdzie przed chwilą znajdowało się widmo. Weort krzyknął ucieszony, ale hobbit słyszał ochryple wycie, przepełnione bólem i bezmierną nienawiścią. Przyjrząwszy się, zobaczył coś małego i wijącego się, co pospiesznie odpętało, ale nie na wschód, tylko na północny zachód.

Biegli już do nich obudzeni krzykiem tropiciela ludzie i krasnoludy. Rozpalało pochodnie, brzęczała broń, wypolerowane ostrza, wydobyte z pochew, rzucały purpurowe błyski. Folko uniósł rękę w uspokajającym geście.

— Co się stało? — Torin wpadł na nich jak burza.

— Widmo — odpowiedział Folko. — Znowu przyszło. . .

Ludzie patrzyli na nich, nic nie rozumiejąc, tylko zmarkotniały Rogwold przysunął się bliżej.

— Posłałem w upiora strzałę — ciągnął hobbit. — Odpędziło go to, ale nie zabiło, a ja już wiem, co musimy zrobić, żeby nigdy więcej się nie pokazało. — Pochyliwszy się w stronę Rogwolda i Torina, wyszeptał: — Miecz z Mogilników trzeba stopić w palenisku Morii!

— Słusznie — skinął głową Torin. — Od dawna męczę mnie, że tak wożę go ze sobą. . .

Tej nocy już nie zasnęli. Długo, ze szczegółami opowiadali o spotkaniu z upiorami z Mogilników, potem o drugim spotkaniu w Annuminas i o wszystkim, co

w ten czy inny sposób dotyczyło widm. Słuchacze achali, ochali, roztrząsali, wychwalali Folka, dyskutowali, czy zwyczajna strzała może skrzywdzić upiora, i dlaczego taki znika sobie na jakiś czas, a potem znowu się pojawia, i po co im owe miecze, o tak dziwnej cesze. . . Rozmowy ciągnęły się i noc przeminęła jak chwila. Dopiero gdy pierwsze oznaki świtu pokonały olbrzymi mur Gór Mglistych i starły rzucane przez nie cienie, wędrowcy postanowili trochę się zdrzemnąć.

Folko powlókł się do swego pośłania, szeroko ziewając i pocierając klejące się oczy, gdy nagle nieoczekiwanie zawołał doń Torin.

— Jest jeszcze jedna sprawa — zakomunikował ponurym głosem. — Malec spisał się znakomicie, zuch tangar! Zobacz, co zostawił nasz jeniec, ten Dron!

Torin trzymał krótki — na szerokość dwóch dłoni — prosty sztylet z szarawej stali, z prymitywną drewnianą rękojeścią. Wyglądało na to, że wykonano go w pośpiechu, ale Torin zwrócił uwagę na co innego. Jego palec wskazywał cechę na ostrzu przy jelcu — znajomy znak: linia przecinająca ośmiobok, łamana na podobieństwo schodów!

— Rozumiesz? — zapytał Torin, chowając zdobycz Malca. — Widzisz, dokąd prowadzi nitka? Nieczysta sprawa z tymi zbójcami!

— Widocznie ludzi z północy i oddział z Mogilników coś łączy — zauważył Folko, patrząc pod nogi. — Czarny oddział, upiór, rozbójnicy. . . Angmar. A my idziemy do Morii. . .

— Tak, właśnie, do Morii! — rzucił Torin z goryczą. — A powinniśmy ruszyć śladami tej cechy! Przecież znasz moich rodaków. — Przysunął się blisko i zaczął gorączkowo szeptać hobbitowi do ucha. — Nie obchodzą ich sprawy ludzkie, póki niebezpieczeństwo będzie groziło ich rodzinnym górcom. Żaden, może z wyjątkiem Dorina i Malca, nie zgodziłby się z nami, gdybyśmy zaproponowali, żeby zawrócić i zająć się nową sprawą. Wszyscy chcą iść do Czarnej Otchłani. Mam nadzieję, że znajdziemy tam coś, co zmusi naszych towarzyszy do pójścia nowym tropem. I kto wie, może rzeczywiście istnieje związek między Morią i czcicielami tego znaku?

Torin zamilkł. Chrust cicho trzeszczał w ognisku, nad wschodnimi górami szarzało niebo. Krasnolud podniósł głowę i popatrzył prosto w oczy hobbita.

— Czuję, że ta wyprawa nie jest ostatnia — powiedział, smutno kiwając głową. — Cokolwiek znajdziemy w Morii, nasza droga będzie prowadzić dalej. . . Tak mi się wydaje. Przecież nie zapomniałem twych snów, bracie hobbicie.

Spali tego ranka dłużej i wyruszyli dość późno, kiedy zbliżało się południe. Zaskrzypiały osie wozów, tabor ruszył dalej, na północny wschód. Mijały godziny, zostawiali za sobą coraz to nowe wzgórza, strumienie i zagajniki. Okolica zaczęła się zmieniać: w zielonej trawie pojawiły się czerwone kamienie; na zboczach parowów cienkie plastry żyznej ziemi ustępowały miejsca czerwonemu gruntowi. Coraz rzadziej rosły drzewa; natomiast kilka razy trafili na porzucone osady. Tropiciele nie lenili się i zaglądali za wysokie płoty; wracając opowiadali,

że ludzie odeszli stąd niedawno, zeszłej jesieni, ale ktoś odwiedzał puste domy, ktoś, kto nie zadał sobie trudu zdobycia kluczy do drzwi i bram. Wysłuchawszy ich, Torin oświadczył, że sprawa zaczyna wyglądać poważnie, i jeśli nie chcą stracić życia z powodu przypadkowej strzały, muszą jechać w pancerzach oraz wysłać zwiadowców w różne strony.

Dzień drogi do Siranny minął spokojnie. Okolica wydawała się cicha, teren był dość równy. Niewielkie parowy łatwo dawały się ominąć, gdzieniegdzie natykali się na nieuczęszczane polne drogi. Trafili również na wieżę strażniczą. Krasnoludy z Morii natychmiast wdrapały się na nią i długo przepatrywały okolicę. Potem zeszły i zebrali wokół siebie towarzyszy wyprawy.

— Do Siranny mamy nie więcej niż osiem mil — powiedział Gloin. — Widzieliśmy nawet bród. Jednakże za rzeką mignęli nam jacyś jeźdźcy, ale zaraz skryli się w zaroślach. Było za daleko, żeby dojrzeć, kto to taki. Jeśli znaleźli bród i pilnują go, mogą nam urządzić gorące powitanie!

Po krótkiej naradzie postanowiono wysłać naprzód zwiad. Dwalin, Reswald i Igg pojechali przodem, pozostali po ich śladach. Teraz prowadził Gloin. Żarty i rozmowy ucichły, twarze stężały. Nikt nie zlekceważył pancerza, a hobbit przygotował łuk. Szukał w sobie i dokoła oznak obecności wczorajszego widma, ale na próżno; wyglądało na to, że pozbyli się tego wytworu Mogilników na dłużej.

Mijały godziny. I kiedy według obliczeń Gloina do brodu zostało nie więcej niż dwie mile, z krzaków niespodziewanie wynurzył się Dwalin.

— Dojechaliśmy do samego brodu — oświadczył. — Nawet przeprawiliśmy się na drugi brzeg. Weort i Reswald zostali tam na wszelki wypadek.

Bujne stepowe trawy ustępowały krzewom o żółtych liściach; pod ich kępami widniały placki czerwonej ziemi, wzgórze stały się jeszcze bardziej wygładzone; Folkowi wydawało się, że jada po olbrzymiej tarze do prania, raz w górę, raz w dół. Słońce już zeszło dość nisko i między wzgórkami zaległy długorekie przedwieczorne cienie. Dopiero wtedy usłyszeli z oddali szum wody; pokonawszy ostatnie wzgórze, znaleźli się na brzegu Siranny.

Niegdyś niemal wyschnięta, rzeczka dzięki ciągłemu trudowi krasnoludów z Czarnej Otchłani płynęła dziś wąskim kanionem o czerwonych ścianach; brzegi na dole pokrywał bury żwir. Południowy brzeg w tym miejscu łagodnie obsuwał się do niewysokiego progu; srebrzyste strumienie wody spadały z wysokości dwóch sążni. Rzeka na progu rzeczywiście nie była głęboka, sięgała po kolana krasnoludowi, po pas hobbitowi. Na północnym brzegu, bardziej stromym i spadzistym, droga między dwoma wzgórzami wiodła głębokim parowem, prowadzącym prosto na północny wschód. Z krzaków obok kanionu wyłonił się Weort.

— Tu nic się nie dzieje — oświadczył tropiciel. — Reswald jest na tamtym brzegu, tam też chyba spokój.

— A mówiłeś, że Sirannona była splawna? — zdziwił się Folko, odwracając do Torina i wskazując pienisty grzbiet w korycie.

— Poczekaj trochę — uśmiechnął się Gloin. — Zaraz się dowiesz, dlaczego ten bród jest sekretny. Ale najpierw przeprawmy się!

Weszli do wody, prowadząc konie za uzdy i walcząc z dość mocnym, zwałającym z nóg prądem. Wkrótce ostatni furgon wjechał w żleb na północnym brzegu, a Gloin i Dwalin nieoczekiwanie zniknęli, skrywszy się za przybrzeżnymi kamieniami. Cała reszta zatrzymała się i czekała, nic nie rozumiejąc.

Rozległ się głuchy podziemny łoskot, jakby ogromny zbiornik wody znalazł wreszcie dla siebie ujście, i w tej samej chwili próg, po którym przebyli rzekę, zaczął się obniżać. Płaska płyta szybko osiadała, póki zupełnie nie znikła w ciemnej głębi. Rzeka wygładziła się, jej wody płynęły teraz spokojnie i równo; ucichł również łoskot.

— To dzieło tangarów z Morii — powiedział Gloin, uprzedzając pytania. — Urządzenie powstało nie tak dawno, jakieś półtora wieku temu. Wiedzą o nim mieszkańcy Morii, ale jest tajemnicą dla wszystkich innych. Nie prosicie nas, żebyśmy zdradzili wam sekret jego działania, ponieważ składaliśmy przysięgę, że nigdy, w żadnych okolicznościach nie zdradzimy tej tajemnicy.

Dziwiąc się niezrównanemu mistrzostwu krasnoludów, wędrowcy forsowali niełatwe podejście żlebem, prowadzącym między wzgórzami. Czerwone ściany były porośnięte małymi krzewami, lekki wiaterek kołysał gałęziami zaczynającego kwitnąć epilobium. Tabor rozciągnął się w długą kolumnę: Folko zauważył zaniepokojenie Rogwolda, gdy kilku ludzi wdrapało się po zboczach i zniknęło za grzbietami. Żleb rozgałęził się. Skręcili w prawo; drugie odgałęzienie prowadziło na wschód. Droga wznosiła się łagodnie i wkrótce wyszli na równinę. Po pokonaniu kolejnego pagórka weszli na wijącą się między wzgórzami szeroką i gładką drogę, wybrukowaną czerwono-burymi płytami, dopasowanymi do siebie tak dokładnie, że w szczeliny między nimi nie dałoby się wsunąć nawet szydła; droga prowadziła dokładnie z zachodu na wschód.

— To Gościniec Nadrzeczny — wskazał ręką Gloin. — Wytyczyły go elfy w niepamiętnych czasach, a potem o nim zapomniano. Teraz jest zadbany, dzięki nam; prowadzi od Wrót Morii aż do samego Tharbadu.

Jazda po gładkiej i równej drodze była przyjemnością, nawet konie wydawały się zadowolone.

Po trzech godzinach natrafili na przydrożną osadę — pustą i porzuconą. Okna solidnych drewnianych domostw były starannie zabite deskami, mniejsze budowle z bierwion — rozebrane, a w niektórych sadach czerniały dziury — ślady po wykopanych drzewach owocowych. Wydawało się, że porzucano te ziemie nie w pośpiechu, ale wywożono wszystko, co się dało.

We wsi spotkali arnorski konny patrol, dwudziestu milczących jeźdźców w pełnym uzbrojeniu; nie uniknęliby męczącego przesłuchania, ale dowódca od-

działu okazał się synem starego druha Rogwolda. Od strażników dowiedzieli się, że okolica przed nimi wcale nie jest bezludna, ponieważ widziano tam oddziały po dziesięciu, dwunastu jeźdźców, przemieszczające się w różnych kierunkach.

— Nie przypominają zwykłych rozbójników — powiedział dowódca. — Zbyt dobrze siedzą w siodłach i władają łukami. Wyglądają na Dunlandczyków, ale nie wszyscy. Bądźcie ostrożni!

— A dlaczego ludzie stąd uciekli? — zainteresował się Rogwold.

— Niebezpiecznie tu — przyznał niechętnie dowódca straży. — Nieopodal są legowiska wszelkiego licha. Napadają niewielkimi oddziałami, a w każdej wsi nie może stacjonować po tysiąc żołnierzy. Nie dają się więc złapać. A posterunki zostały zlikwidowane! Tylko my jeszcze krążymy po tej ziemi tam i z powrotem, patrzymy, obserwujemy, próbujemy jakoś się przeciwstawiać, ale muszę przyznać, że wyniki są dość mizerne.

Patrol ruszył na zachód, do twierdzy, a oddział Rogwolda podążył na wschód. Reszta dnia minęła bez przygód, pod wieczór zatrzymali się w płytkiej dolinie pod gęstymi koronami wiązów i jesionów. W krzewach nieopodal ulokowały się straże; Folko od razu wziął się do kucharzenia. Pozostali w oczekiwaniu kolacji rozsiedli się przy ognisku.

Igg opowiadał starą legendę z czasów Wielkiego Króla, potem Weort zaśpiewał nową, niedawno ułożoną gdzieś na granicy pieśń. Hobbita zadziwiły przepęnlone żalem i brakiem nadziei słowa. Wszystkich ogarnął smutek, ale rozpędziły go krasnoludy, które chórem odśpiewały kilka ballad. Tymczasem Folko przygotował prostą kolację, w kuflach zapieniło się piwo i pod ciemnymi koronami zrobiło się zadziwiająco przytulnie i spokojnie. Ognisko sypało skrami, a po skąpanych w purpurze twarzach pląsały rozbłyski ognia. . .

Rano hobbit obudził się wypoczęty. Śniło mu się coś miłego, ale nie pamiętał co.

Dwa następne dni minęły spokojnie. Zapanowało już lato, mimo że był dopiero pierwszy maja. Otaczająca Gościniec Nadrzeczny zieleń mogła stanowić doskonałą kryjówkę. Drużyna, obawiając się niespodziewanego ataku, wysyłała we wszystkie strony patrole. Hobbit bardzo chciał w nich uczestniczyć, ale nie puszczano go na zwiady.

— Siedz — perswadował Rogwold. — Każdego z nas można zastąpić, ale gdzie znajdziemy takiego kucharza jak ty?

W południe pierwszego maja na czele jechali Grimnir i Alan — patrole zazwyczaj składały się z ludzi, potrafiących poruszać się bezszelestnie w zaroślach — i ze szczytu pokrytego lasem wzgórza udało im się zobaczyć, że przez dolinę szybko przemknęła dziesiątka jeźdźców na niskich, ale żwawych konikach, z łukami na plecach. Patrol zaalarmował resztę. Przez jakiś czas Folko gapił się na pospiesznie przygotowujących się do walki ludzi i krasnoludy. Kusze zostały załadowane, patrole boczne i tylny zbliżyły się do gościńca.

Ostrożnie ruszyli przed siebie, w każdej chwili oczekując ataku z zarośli. Nad gościńcem zawisło pełne napięcia milczenie.

Folko siedział wepchnięty bezlitosną ręką Torina między worki, wyglądał przez niewielką szczelinę w pokryciu furgonu. Na kolanach trzymał przygotowany do strzelania łuk, jednakże zielone ściany trwały nieruchomo, a rozlegający się od czasu do czasu krzyk sójki świadczył o tym, że zwiadowcy również nie zauważyli czegoś podejrzanego.

Jednakże wieczorem, gdy ustawili krąg z wozów, połączyli je łańcuchami, opuścili tarcze i zaczęli kopać dół pod ognisko, dołączył do nich spóźniony tylny patrol. Igg zeskoczył z siodła i stanął w środku obozu.

— Widzieliśmy ich — powiedział szybko. — Konni. Trzydziestu. Idą za nami, ale nie drogą, tylko wzdłuż niej, po lewej. Ubranie i uzbrojenie mają różne; są wśród nich łucznicy, są włócznicy. Tarcze mają i okrągłe, i owalne, bez żadnych herbów ani znaków.

Glen i Forg w milczeniu skinęli głowami.

— Jak ich zauważyliście? — zapytał Rogwold.

— Forg postanowił słuchać ziemi co jakiś czas — wyjaśnił Igg. — I usłyszał. Najpierw myśleliśmy, że to kopyta waszych koni, ale potem wsłuchaliśmy się wszyscy trzej. Wtedy poszliśmy im na spotkanie; schowaliśmy się w parowie, w takim miejscu, żeby musieli omijać wiatrołom, no i zobaczyliśmy ich.

— Słyszeliście, po jakimu mówią? — Rogwold już próbował na palcu ostrość miecza.

— Nie. Jechali w milczeniu, ale wyraźnie za nami! Jeden skierował się na prawo, zboczył na drogę, potem wrócił i coś powiedział reszcie, ale tak cicho, że nie usłyszeliśmy. No to żeśmy z wiatrołomu wyleźli i cofnęliśmy się. Nie wyśpimy się dzisiaj, bracia — zakończył Igg i przykucnąwszy, zaczął wecować ostrze.

Pozostali w milczeniu patrzyli na siebie. Folko znowu poczuł chłód w piersi.

— Na straży po sześciu lu... tfu, po trzech ludzi i trzech krasnoludów — zarządził Rogwold. — Sprawdzić kusze! Nie zdejmować kolczug! Bierzcie kożuchy; są w zapasie, inaczej zamarzniemy nocą w żelastwie. Ognisko niech gaśnie...

Powoli zakradła się noc. Gęste niskie chmury zaciągnęły niebo; po koronach drzew przemknęło lekkie westchnienie wiatru. Strażnicy udali się na swoje miejsca; pozostali ułożyli się w środku kręgu i usiłowali zasnąć. Jednakże mijały godziny, w pobliżu odezwał się puchacz, nad polaną nierównym trzepotliwym lotem przemknęły cienie nietoperzy, ale poza tym nic się nie działo. I Folko, mimo że obiecywał sobie nie spać tej nocy, nie zauważył, jak zamknęły mu się powieki.

Rankiem drugiego maja starannie rozejrzeli się wokół miejsca postoju, i Grolf zauważył kilka świeżych odcisków butów bez obcasów. W trzech miejscach w pobliżu kręgu wozów, za wygodnymi do obserwacji krzewami, trawa była zgnieciona, co świadczyło o tym, że obserwacja trwa.

— To ci z Zapomnianego Pasma, żeby ich mór wytłukł! — odezwał się Igg. — Ostrzegali nas: nie pchajcie się na rożen! Po co się spieszyliśmy? A teraz siedzimy i czekamy, zza którego drzewa wyleci strzała.

— Po co tak skowyczeć i jęczeć?! — rozżłościł się Dorin. — Nie ma co czekać na atak, musimy być pierwsi! Uderzymy z zaskoczenia na tych, co się za nami wloką, pomacamy ich żelaznymi ostrzami!

Krasnoludy przyjęły jego słowa z aprobatą, niektórzy z ludzi dołączyli do nich. Rogwold najpierw chciał zaoponować, ale zmilczał. Wstał Grolf.

— Los się uśmiecha do odważnych — powiedział, mierząc zebranych ciężkim spojrzeniem. — Dość tego drżenia przy każdej poruszającej się gałązce. Skoro oni nas śledzą, odpowiemy tym samym! Niech myśliwi staną się zdobyczą. Urzadzimy zasadzkę i postaramy się schwycić któregoś z nich, jak poprzednio. Ja mogę iść na zwiady. — Wysunął do połowy miecz z pochwy i z trzaskiem włożył go z powrotem.

Szybko zwinawszy obóz, popędzili wierzchowce, żeby choć trochę oderwać się od swoich prześladowców. Z marszu przebyli niewielki żleb, o gęsto zarosniętym wschodnim zboczu. Odprowadziwszy wozy dalej, przyczaili się po obu stronach drogi. Zaczęło się męczące oczekiwanie.

Prześladowcy nie mogli ominąć żlebu niezauważeni, jego dno było widoczne w całości, od odległego błękitnego blasku Siranny z lewej do ciemnoniebieskiego pasma puszczy po prawej, znajdującej się w odległości co najmniej dwóch i pół mili. Obejście trwałoby zbyt długo, zdecydowali uczestnicy zasadzki; ci, którzy deptali im po piętach, będą musieli albo stracić немало czasu na okrężną drogę, albo iść prosto.

Zaczerwieniony z emocji hobbit zerknął z niezadowoleniem na leżących obok krasnoludów, którzy sapali, drapali się, wiercili, hałasowali, a jemu wydawało się, że zaraz zbiegną się tu wszyscy rozbójnicy z całego Arnoru. Przygryzł wargi, rozejrzał się dokoła, a potem popęzł do przodu między niewysokimi krzewinkami. Postanowił przedostać się do samotnie rosnącej na zboczu lipy i tam przysiąść. Udało mu się tego dokonać bez najmniejszego hałasu. Wtuliwszy się w niewielkie wgłębienie, przygotował łuk. Od leżących z tyłu towarzyszy dzieliło go około czterdziestu kroków.

Wolno, bardzo wolno przesuwiał się ciemny cień rzucany przez osłaniające Folka drzewo. Hobbit zaczął już wątpić, czy uda mu się zauważyć kogoś, gdy nagle jego wyczulony słuch wyłapał słaby, niemal niesłyszalny szelest gdzieś z boku, tuż-tuż. . .

Długie i męczące lekcje Malca przydały się. Hobbit zdążył odwrócić się szybciej, niż pomyślał, co należy zrobić. Nie zdążył ani się zdziwić, ani wystraszyć, kiedy zobaczył, jak rozsuwają się gałęzie nad jego głową i z zieleni wyłania się pysk ogromnego czarnego psa, który wydał mu się dwukrotnie większy od zwy-

czajnego wilka. Z uniesionych warg psa spływała gęsta ślina. Na mocnym karku miał obrozę z długimi ostrymi kolcami.

Strach nie pozbawił hobbita sił, jego ręce zrobiły wszystko, co musiały, zanim pomyślała głowa. Krótki ruch i miecz rozciął pysk ruszającego do ataku psa; rozległ się rozpaczliwy skowyt i zwierzę zniknęło w zaroślach. Folko podniósł się i zobaczył pospiesznie zawracających na północ jeźdźców, którzy dopiero co wyjeżdżali zza drzew na zachodnim zboczu. Kilka chwil później nad zlebem znowu zapanowała cisza. Zasadzka nie udała się.

— Ale historia — rozłożył ręce Rogwold. — Mają psy tropiące! To nie rozbójnicy, przyjaciele moi, mamy godnych przeciwników. Nie ma co czekać, idziemy dalej.

Kolejne dwa dni minęły w męczącej niepewności. Jeźdźcy nie pokazywali się; jednakże oglądając miejsca swoich noclegów, tropiciele znajdowali ślady obserwatorów, którzy nie spuszczały z nich uważnych oczu. Musieli spać w pancerzach, ale bardziej męczyło oczekiwanie na zdradziecki cios. Podskakiwali przy każdym szeleście czy trasku dobiegającym z pobocza drogi, po wodę do Sirannony chodzili niemal połową swych sił, rozstawiając ludzi i krasnoludów po całym szlaku, krócej też spali — każdy miał dwugodzinną wartę. Najciężej było tropicielom, wciąż penetrowali okolicę Gościńca Nadrzecznego, w nadziei odnalezienia jakiegokolwiek śladu tajemniczych prześladowców. Ślady znajdowano, ale wystarczało to tylko, żeby potwierdzić nieustającą obecność nieznanymi przeciwników.

Jednak posuwali się do przodu i szóstego maja od Morii dzielił ich najwyższy tuzin etapów. Okolica znowu zaczęła się zmieniać. Pokazały się porzucone, zarastające pola, opuszczone wsie, ферmy i warsztaty. Krasnoludy opowiedziały hobbitowi, że kiedyś, pięć lat temu, żyło tu niemało wolnych rolników, którzy sprzedawali pszenicę krasnoludom i znajdującym się pod opieką wojsk Morii ludziom, ale po tym, jak zaczęły się tajemnicze wydarzenia w Czarnej Otchłani, osiadłych tu ludzi ogarnęło przerażenie, porzucili swoje pola i uciekli na zachód.

— Słyszeliśmy też — powiedział hobbitowi Gloin — że zeszłej jesieni z Morii odeszli ostatni tangarowie.

Widok tej ponurej okolicy działał przygnębiająco. W oddziale myślano tylko o jednym — żeby dojść do zbawczych Wrót. Ludzie już mniej wyraźnie okazywali niechęć do wejścia do środka. Folko był pewien, że wszyscy mieli ochotę jak najszybciej ukryć się za murami nie do zdobycia.

Była połowa maja. Sirannona, wijąca się nieopodal gościńca, stała się widocznie węższa i płynęła szybciej. Zbliżali się do jej źródła.

Olbrzymy Gór Mglistych od dawna zakrywały cały wschód, a wprost przed nimi wznosił się ogrom Caradhrasu, we Wspólnym Języku zwanego Czerwonym Rogiem, który hobbit i krasnolud pamiętali z opisu próby przejścia strażników przez przełęcz.

Kiedyś wieczorem Folko i Torin rozmawiali o tym, co może w dzisiejszych czasach kołysać Śródziemiem i jakie mogą być skutki.

— Dobrze, przypuścimy, że to ktoś z ludzi — mówił Torin. — Odważny, zręczny, któremu los sprzyja. . . Niech to będzie nawet któryś z angmarskich wodzów. Twardą ręką wybił rozbójnikom z głowy ich swobody, wszedł w pakt ze stworami z Mogilników, wszczął wojnę na rubieżach. No i co z tego?! Jeszcze rok, dwa, cierpliwość Namiestnika się skończy, zwoła ruszenie na Angmar. I co wtedy?! Jakieś wojsko, rzecz jasna, wystawi, ale co są warci rozbójnicy, już sami widzieliśmy; idą w rozsypkę, gdy tylko się ich postraszy. Wiele z takimi nie zwojujesz! Co najwyżej mogą ograbiać kupców.

— A mówiłeś coś o sicie? — przypomniał przyjacielowi Folko.

— O sicie? Przecież nikt nie wie, że można tak zbierać Zło, a w dodatku czy w ogóle można! Nie, Arnoru siłą oręża nie da się pokonać, chociaż nie podoba mi się ten ich pomysł — „każdemu, co mu się należy”.

— A gdyby znalazł sojuszników na wschodzie? — przypomniał Folko.

— Na wschodzie! — Krasnolud prychnął lekceważąco. — Tam, po pierwsze, i tak każdy z każdym wojuje, przypomnij sobie, co mówił Teofrast, a po drugie, to by już oznaczało wielką wojnę! Wtedy i Gondor musiałby wkroczyć, i Rohan. I krasnoludy chyba też! Masz pojęcie, jaka jest potrzebna armia, żeby z nami wszystkimi sobie poradzić? Nie, nie da się nas tak łatwo rozbić! Przekonasz się, w przyszłym roku leśnych zuchów przycisną mocniej, i wtedy zobaczymy, co się stanie.

Najdziwniejsze, że Torinowi udało się niemal uspokoić hobbita. I tak sobie rozmawiali, aż przysła pora warty. Nadszedł dwudziesty maja.

Rozdział 16

Wrota Morii

Wędrówka dobiegała kresu. Co dnia byli bliżej Wrót Morii, według obliczeń Gloina i Dwalina zostały im trzy, cztery dni marszu. Nieznani prześladowcy jakby zostawili ich w spokoju czy też po prostu trzymali się w bezpiecznej odległości. Ludzie wydali się Folkowi trochę zmieszani, krasnoludy natomiast — skoncentrowane i zdecydowane: w wolnych chwilach sprawdzały kilofy i przebijaki, a ze swoich przepastnych worków wydobyły kamieniarskie młotki. Torin dokonał przeglądu wszystkich zapasów i oświadczył, że nadeszła pora, by zaciągnąć pasa, jeśli nie chcą później głodować. Okolica sprawiała coraz smutniejsze wrażenie z powodu mnogości porzuconych domów i pustych wsi; przez ostatnie dwa dni naliczono ich około dziesięciu. Uczestnicy wyprawy jak i uprzednio byli ostrożni, ale dokoła nic nie zakłócało spokoju.

Folko dopiero teraz zaczął się poważnie zastanawiać, co właściwie miałby robić w Morii i czy nie lepiej zostać z ludźmi na powierzchni; humor znowu mu się popsuł. Niemal co noc starał się wywołać w myślach postać Gandalfa albo Radagasta, ale na próżno. Jego wysiłki tłumiała szara, lepka mgła, w której tonęły wspomnienia, i hobbit nagle ze zdziwieniem pojął, że z trudem przypomina sobie rysy Milicenty. Jeszcze bardziej przywiązał się do swojej broni, Malec nie przerywał z nim zajęć, i trzeba przyznać, że młody, zręczny hobbit doszedł do niezłych wyników. Przeszłość zasnuwała mgła, przyszłość była jeszcze bardziej niewyraźna i nieprzenikniona, a teraz zaś można było liczyć tylko na siebie i na zimną stal, która dobrze leży w ręku! Sprawnie posługiwał się bronią, co czyniło go silniejszym, i był jej wdzięczny jak żywej istocie.

Folko wyliczył, że jest już dwudziesty ósmy maja; on i Torin wyprzedzili nieco drużynę, która zatrzymała się na południowy popas. Wraz z krasnoludem sprawdzali okolicę, penetrując dość odległe od drogi miejsca. Torin usiłował znaleźć przynajmniej ślady tych, którzy ich śledzili, złościło go, że do tej pory żadnego nie schwytali. Najpierw hobbita zajmowało pełzanie po okolicznych krzakach, ale w miarę jak czas płynął, a zdarta skóra na kolanach i podrapane sęczkami ręce

dawały o sobie znać coraz dotkliwiej, tropienie przestawało go interesować; kiedy krasnolud wlaź w jakiś kolejny zarośnięty krzakami wąwóz, Folko się zbuntował i oświadczył, że poczeka na górze.

Torin zniknął w zielonej gęstwinie; przez jakiś czas do hobbita dochodził głośny, stopniowo się oddalający trzask łamanych gałęzi. Rad z odpoczynku usiadł na ziemi i oparł się plecami o splot gałęzi głogu. Minęło kilka minut, Torin nie wracał. Hobbit wstał, przeszedł się po niewielkiej polanie. Rósł tam potężny grab, na którego pniu Folko dostrzegł dziwną narośl; i w przypływie dobrego humoru, dla rozrywki, cisnął w nią nożem. W tej samej chwili usłyszał za sobą z lekka ironiczny i — jak mu się wydało — znajomy głos:

— Nieźle, czcigodny hobbicie, całkiem nieźle... Tylko po co?

Nim przypomniał sobie, gdzie słyszał ten pełen utajonej mocy głos, z przerażeniem zrozumiał, że owo „po co” uniemożliwia mu użycie broni, że czy sięgnie po nią, czy nie, i tak nie będzie miało znaczenia... Folko odwrócił się, zbyt oszomiony, by obmyślać jakiś plan działania.

Na przeciwnym końcu polany dostrzegł dwu mężczyzn; gałęzie krzewów jeszcze kołysały się za ich plecami. Hobbit drgnął i ledwo powstrzymał okrzyk.

Przed nim, w odległości jakichś dziesięciu kroków, trzymając ręce na rękojeści długiego miecza, zastygł w napiętym oczekiwaniu garbus Sandello. Przyglądał się Folkowi zimnym, bezlitosnym wzrokiem. A obok niego, w mocno zużytym szarozielonym płaszczu podróżnym, skrzyżowawszy ręce na piersi, stał wysoki postawny człowiek z jasną brodą i długimi, opadającymi na ramiona włosami. Na jego ustach błąkał się lekki uśmiech, gęste brwi niemal przysłaniały oczy, których koloru nie można było określić, ale ich spojrzenie miało jakąś osobliwą moc. Ten wzrok nakazywał — i rozkazy były respektowane, a podporządkowywanie się im było nawet przyjemne... Mężczyzna miał regularne rysy twarzy: wysokie czoło, gładkie kości policzkowe, równą, jakby wyciętą linię ust; można by o nim powiedzieć, że jest szczerzy i dumny. Czuło się, że mężczyzna jest obdarzony niemałą siłą, nieujawniającą się na pierwszy rzut oka. Miecza nie miał, i dopiero gdy zrobił krok i jego płaszcz nieco się rozchylił, hobbit zauważył wiszący na szerokim skórzanym pasie długi prosty szept.

Pamięć Folka eksplodowała; przypomniał sobie Przygórze, Annuminas, obrzę i starego kronikarza. Zrozumiał, czy też domyślił się, że przed nim stoi Olmer, poszukiwacz złota z Dale!

Zamarł, nie wiedząc, co zrobić — uciekać czy wrzeszczeć „alarm!”, czy chwycić, mimo wszystko, za miecz?!

Olmer zrozumiał to. Zrobił krok do przodu, przyjaźnie uśmiechnął się do hobbita, odwrócił się do Sandella i pokręciwszy głową, powiedział z lekkim wyrzutem w głosie:

— Nie, Sandello, nie. Rzemiosło nie może stać się przyzwyczajeniem...

— Jestem posłuszny! — wychrypiał garbus, pochylając się jeszcze niżej i nie spuszczać z Olmera spojrzenia pełnego uwielbienia.

Emanowało z niego takie oddanie i tyle zaufania, że Folko nabrał przekonania o pomyłce starego kronikarza; takich uczuć nie można kupić za żadne pieniądze...

— Nie pozwalaj, żeby zapanował nad tobą strach, czcigodny hobbitcie — ciągnął tymczasem Olmer, odwracając się do Folka. — Nie każdy, kogo spotkasz, jest zbrojcem; przestałeś, jak widzę, ufać nawet sobie. Podejdź tutaj, nie bój się, nie wyrządzimy ci krzywdy, klę się na Wielkie Schody!

I Folko podporządkował się. Już się nie bał. Jakoś od razu uwierzył Olmerowi, chociaż w głębi duszy jeszcze nie do końca roztajała mała grudka wcześniejszego strachu. Powoli zbliżał się do stojących nieruchomo Olmera i Sandella.

Idąc do nich, przyjrzał się poszukiwaczowi złota. Patrząc z dołu do góry, widział nad zapinkami płaszcz mocną szyję z przecinającymi ją wyraźnymi zmarszczkami, zdradzającymi przeżyte przez Olmera lata — więcej, niż można by mu dać po jego opalonej twarzy. Olmer postąpił o krok do przodu i hobbit zwrócił uwagę na jego wysokie skórzane buty, z wyraźnie wytartymi na podbiciach łukami od strzemion. Sandello ani na krok nie odstępował od swego pana.

— Cieszę się, że cię spotkałem, człowieczku — powiedział Olmer, przyjaźnie uśmiechnąwszy się — choć nawet nie znam twego imienia. Mnie zwą Olmer. Chcę zwrócić ci stary dług. Tak, nie dziw się, w Przygórzu postąpiono z tobą niesprawiedliwie, i ten, który pierwszy cię skrzywdził, poniósł już karę. Ty, kochany Sandello, również nie miałeś racji, broniąc kpiarza awanturnika!

Garbus drgnął i pochylił głowę.

— No a ty, czcigodny hobbitcie, popełniłeś błąd, idąc z mieczem na człowieka, który rzucił stal. Jesteś bardzo młody i nie winię cię, ale w przyszłości przeciwko pałce bierz kufel. — Znowu uśmiechnął się lekko. — Sandello! Masz szczęście, że hobbit obnażył miecz, bo w przeciwnym wypadku, kto wie, jak by się to wszystko skończyło?! Ale to już przeszłość; teraz chcę, żeby nie dzieliło nas to stare nieporozumienie.

Folko stał w milczeniu, patrząc gdzieś w bok; nie miał siły spojrzeć Olmerowi w oczy. Nikt nigdy nie rozmawiał z nim z takim szacunkiem i tak szczerze jak z równym; nikt, nawet Torin, nawet Malec. Głosu Olmera przyjemnie było słuchać: hobbitowi nie schlebiano, po prostu ktoś silny uznał jego siłę i przyznał, że popełnił błąd; Folko poczuł się prawie usatysfakcjonowany. Zniknęły resztki strachu, nie bał się nawet Sandella, patrzącego teraz ze zdziwieniem i zainteresowaniem. Hobbit nie wiedział, co powiedzieć, i tylko przestępował z nogi na nogę, jednakże głęboko w umyśle zrodziła się niespokojna myśl: po co Olmerowi to wszystko?

Nastąpiła cisza. Olmer patrzył wyczekująco, a Folko zrozumiał, że powinien przynajmniej się przedstawić w odpowiedzi na pełną szacunku przemowę. Z tru-

dem zwalczając oszołomienie, wypowiedział swoje imię. Olmer przyjaźnie skinął głową, a potem zerknął na Sandella. Ten zrobił szybki krok do przodu i spokojnie wyciągnął rękę do hobbita.

— Nie wspominaj mnie źle, synu Hemfasta — powiedział wolno, dotykając dłoni Folka smukłymi, zimnymi i jednocześnie niewiarygodnie mocnymi palcami; dłoń hobbita drgnęła. — Przyznaję, że nie miałem wtedy racji. . .

Wypowiedział to z trudem, ale Olmer uważnie mu się przypatrywał, i Sandello mówił dalej. Folko patrzył mu prosto w oczy, co kosztowało go wiele wysiłku, i ponownie, jak w Przygórzu, dostrzegł w nich jakby zrozumienie i ukrytą gorycz.

Garbus mówi szczerze — pomyślał nagle hobbit — chociaż duma mu w tym przeszkadza.

— Walczyłeś dobrze — ciągnął Sandello. — Prawdę powiedziawszy, przy drugim razie ledwo uniknąłem ciosu. Zresztą, teraz to nie jest ważne. Proszę cię, postaraj się zapomnieć.

— Ja. . . Ja nie wiem. . . — wymamrotał hobbit, tracąc nagle odwagę pod wpływem badawczego spojrzenia garbusa. — Podobnych spraw tak po prostu się nie zapomina.

Sandello wciąż trzymał jego prawą rękę; Folko poczuł się nieswojo. Garbus westchnął.

— Co mogę zrobić, żeby odkupić swoją winę? — zapytał.

— Wydaje mi się, że mogę ci w tym pomóc, czcigodny Sandello — wmieszał się nagle Olmer. — Jesteś winny, bez dwóch zdań, dlatego przynieś tu nasze trofeum z Gundabadu!

— Nasze?! — Garbus podniósł oczy ze zdziwieniem.

— Tak, nasze — odpowiedział Olmer — ponieważ wykorzystałem twoją sztukę, walcząc z przeciwnikiem. Przynieś to, a być może, spodoba się czcigodnemu hobbitowi.

Sandello skinął głową, odwrócił się i szybko zniknął w zaroślach. Po chwili pojawił się znowu, trzymając w ręku niewielką skórzaną torbę, i podał ją Olmerowi. Ten rozwiązał troczki, wsunął do środka rękę i wyjął krótki sztylet w prostej czarnej pochwie, z krawędziami okutymi wąskim paskiem czarnej stali. Do pochwy przymocowano kilka rzemyczków, ale po co, tego Folko nie potrafił odgadnąć. Olmer trzymał broń płasko, palce jego prawej dłoni kryły rękojeść, a hobbita nagle ogarnęło dziwne uczucie. W tym pozornie zwyczajnym sztylecie kryły się jakieś magiczne proporcje; nie dałoby się go wydłużyć ani skrócić, poszerzyć ani zwięzić. Gładka, czarna skóra, pokrywająca pochwę, powinna być niezwykle przyjemna w dotyku — pomyślał nagle Folko. Jaki będzie spokojny i pewny siebie, gdy tylko jego dłoń dotknie tej rzeczy. Nieświadomie uczynił krok w przód, zapominając o ostrożności.

— Widzę, że już cię woła. Bierz! — mówił tymczasem Olmer. — Niech ci wiernie służy! — Zamilkł na chwilę, ale potem, podając hobbitowi sztylet, do-

dał: — Godne mężczyzn jest dawanie sobie takich podarków, albowiem co lepiej zaspokaja nasze ukryte marzenia?

Jego palce rozwarły uchwyt, a dłonie Folka przejęły sztylet. W tej samej chwili las, Sandello i Olmer przestali dla niego istnieć, bo on patrzył na prezent.

Pochwa miała długość jedenastu palców, do jej dolnego końca przymocowany został pierścień, przez który przechodził wąski rzemyk. Taki sam pierścień znajdował się na górze, również z rzemykiem. Zanim Folko zdążył się zdziwić, jego wzrok padł na rękojeść, wykonaną z nieznanego mu białego tworzywa, w dotyku nie było ani gładkie, ani szorstkie; hobbitowi wydawało się, że dotyka skóry nieznanego zwierzęcia, mającego zdolność stroszenia albo wygładzania jej tak, że palce nie wyczuwają najmniejszej nierówności. A obok niebieskiego jelca z lekko wygiętymi końcami w białą powierzchnię rękojeści wpasowano gładko wypolerowany kamień. W pierwszej chwili wydał się Folkowi skromny i niepozorny — nie błyszczał i nie świecił, kolorem przypominał wyblakłą perłę, z lekka pociągniętą szarą mgiełką — ale wystarczyło, by popatrzył nań nieco z boku, i wówczas kamień nagle stawał się na poły przezroczysty, a w jego jakby drżącej głębi mógł dojrzeć ciemny krzyż. Hobbit jak zaczarowany długo nie odrywał wzroku od niezwykłego kamienia. Jego powierzchnia wydawała się malutkim oknem na niewiadome, oknem mającym nawet swoją krzyżownicę.

Z ciemnoniebieskiego jelca wysuwało się płynnie zwężające się ostrze o długości dziesięciu palców. Matowa szara stal wydawała się rozwalcowanym przedłużeniem wprawionego w rękojeść kamienia. Na klindze, pozostawiając tylko gładkie, wąskie paski wzdłuż ostrza, ciągnęły się dziwne wzory z zadziwiająco splecionych niebieskich kwiatów; hobbit gotów był przysiąc, że te kwiaty były podobne do już widzianych w jakimś śnie, ale na czym polegało podobieństwo, nie potrafił powiedzieć.

Sztylet od pierwszej chwili znakomicie ułożył się w dłoni nowego właściciela, który trzymał go mocno, jakby się bał, że upuści cenny dar.

— Tak, jest akurat dla ciebie. — Do oszołomionego hobbita dotarł głos Olmera. — Pozwól, że ci pomogę go nałożyć. . .

Folko drgnął, jakby budząc się ze snu; czując jakąś straszliwą niemoc, pozwolił człowiekowi przerzucić górną pętlę pochwy przez szyję, a dolną opasać nieco powyżej talii. Pochwa ściśle przyległa do ciała.

Olmer cofnął się o krok, jakby ciesząc oko efektami własnej pracy, jego dłonie kryły się w wytartych skórzanych rękawicach, choć dzień był upalny.

— Dziękuję. . . — z trudem wykrztusił Folko. — Dziękuję ci, panie. . .

Nisko się pokłonił. Prostując się, napotkał spojrzenie Olmera i poddany jakiemuś nagłemu przecuciu, zrobił krok do przodu, by uścisnąć dłoń Sandella.

— Bardzo dobrze — usłyszał słowa poszukiwacza złota. — Niech przeszłość pochłonie zapomnienie. Usunęliśmy to, co nam przeszkadzało, i teraz możemy

porozmawiać. Jaki wspaniały masz łuk! — Głos Olmera ledwo zauważalnie zmienił się, stał się twardszy. — Pozwól mi go obejrzeć.

Folko zawahał się, podniósł oczy. Olmer stał nad nim niczym wieża, patrzył poważnie i przenikliwie. I chociaż Folko poczuł jakiś wewnętrzny niepokój, ręka, jakby walcząc z wolą, sięgnęła do futerału i wyjęła elfijską broń.

Co robisz?! — W jego głowie kłębiły się niespokojne myśli. — Jak można oddawać w cudze ręce, i to TAKIE, tę rzecz?!

Widać coś się zmieniło w wyrazie twarzy i spojrzeniu hobbita, bo po obliczu Olmera przemknął nagle jakiś twardy uśmiezek. Jego potężne, osłonięte czarną skórą rękawic dłonie chwyciły łuk. Podniósł go bliżej oczu, żeby się przyjrzeć, przysunął się doń i Sandello.

Twarz poszukiwacza złota nagle postarzała się o dobre dwadzieścia lat, stała się okrutna i ponura, jakby odezwał się w nim jakiś zadawniony ból. Lewy kącik warg drgnął i powędrował do góry, nadając twarzy pogardliwy i współczujący zarazem wyraz. Hobbit odruchowo cofnął się o krok.

To, co się działo z Olmerem, nie uszło również uwadze garbusa — jego spojrzenie, choć pełne wyrzutu, było czułe, kiedy położył dłoń na przedramieniu swego pana. Folkowi wydawało się, że to jakaś, może niezręczna, ale próba pieśczo-ty i uspokojenia zarazem. Garbus spoglądał tak, jakby chciał powiedzieć swemu przyjacielowi i panu: „nie trzeba”.

Olmer westchnął głęboko, dokładnie obejrzał łuk, spróbował naciągnąć cięciwę i już chciał coś powiedzieć, gdy za plecami hobbita rozległ się nagle szelest i trzask gałęzi przemieszany z niewyraźnymi okrzykami. Folko zadrżał, uświadomiwszy sobie, że zupełnie zapomniał o Torinie. Pospieszenie obejrzał się i zobaczył pod przeciwległą ścianą krzaków krasnoluda, który stał z otwartymi ze zdziwienia ustami. Wszystko zamarło, jakby czas się zatrzymał; hobbita przygniotła otaczająca cisza, tylko krew szumiała w uszach. Chciał krzyknąć — i nie mógł. Otworzywszy gamoniowato usta, przypatrywał się Torinowi, którego twarz wyrażała teraz upór i zaciętość; widział, jak krasnolud błyskawicznie wyszarpnął zza pasa topór i miękkiem krokiem wojownika ruszył przez polanę.

Hobbit nie miał czasu, by podziwiać zimną krew Olmera. Nie odezwawszy się, poszukiwacz złota zwrócił mu łuk, drugą ręką odsunął w bok, pokazał krasnoludowi otwartą dłoń i spokojnie poszedł mu na spotkanie, wystawiając pod strzałę Folka szerokie, odsłonięte teraz plecy. Kątem oka Folko zauważył jakiś ruch i obejrzał się. Ręka Sandella wśliznęła się pod płaszcz, mięśnie szyi napięły się; był teraz gotów na wszystko, ale nie wykonał żadnego ruchu i — wydawało się — nawet nie patrzył w stronę hobbita.

Folko natomiast zebrał już tyle sił, by móc krzyknąć do Torina, ale nagle odezwał się Olmer. Dzieliło go od krasnoluda nie więcej niż dziesięć kroków.

— Witaj, Torinie, synu Dartha — rozległ się spokojny głos. — Wiele wody upłynęło od czasu ostatniego spotkania, ale nie zapomniałem tego śmiałka, któ-

ry skrócił kiedyś o całą dłoń Świętą Brodę Durina, zdobiącą wieżę nad bramą Arthedain! I tego, co stało się potem.

Folko ze zdziwieniem zauważył, że policzki Torina pokrył ciemny rumieniec. Krasnolud opuścił topór.

— Poczekaj no, poczekaj! Czy nie ciebie znałem w swoim czasie pod przezwiskiem Okrutnego Strzelca?! Oto spotkanie, klnę się na Moriańskie Młoty!

Krasnolud nie krył zdumienia. Olmer stał plecami do hobbita i ten nie widział twarzy człowieka, ale słyszał jego głos, spokojny i pewny siebie.

Oszołomienie Torina nie trwało długo, opuszczony przed chwilą topór znowu pewnie legł w jego mocnych dłoniach. Ruszył na Olmera.

— Hej, co wy tu robicie i czego chcecie od mojego przyjaciela hobbita?! — Głos krasnoluda brzmiał głucho, ale chrypka, zdradzająca jego niepewność i zdziwienie, zniknęła. — Folko! Co tu robisz?!

Torin podszedł niemal na odległość ciosu do nieruchomo stojącego Olmera.

— Wyjaśnialiśmy fatalne nieporozumienie, do którego doszło między nami w przeszłości — powiedział ugodowo poszukiwacz złota. — Miałeś w tym i ty pewien udział, czcigodny synu Dartha. Mój przyjaciel i towarzysz wędrówki — Olmer odwrócił się twarzą do hobbita i garbusa, wskazując na Sandella — pogodził się z czcigodnym hobbitem, którego wzrost nijak się ma do jego hartu i odwagi. Syn Hemfasta przyjął przeprosiny Sandella oraz prezent, od nas, którym potwierdziliśmy zawarty pokój.

— Co?! Pokój?!

Oczy krasnoluda błysnęły, Torin wychylił się do przodu, ale Olmer powstrzymał go władczy gestem i hobbit ze zdziwieniem zobaczył, że krasnolud podporządkował się.

— Jeszcze nie skończyłem, synu Dartha — odezwał się Olmer, a jego głos stał się bardziej suchy i ostry. — Pamiętam, że podczas naszego pamiętnego spotkania w Przygórzu między tobą i Sandellem również wybuchł spór. Hobbit już zawarł pokój z Sandellem. Czy nie postąpisz tak samo i ty, czcigodny Torinie? Zwłaszcza że właśnie ty nie miałeś racji, odrzuciwszy zaproponowaną wtedy zgodę!

Torin jeszcze niżej pochylił głowę, patrząc spode łba na Olmera. Krasnolud trzymał topór w gotowości, człowiek zaś, wydawało się, był bezbronny. Sandello wciąż stał, słuchał uważnie i lekko kiwał się na czubkach palców z boku na bok. Folko przechwycił w końcu rzucone w jego stronę spojrzenie krasnoluda: było w nim zaniepokojenie, nieufność i zdziwienie — dlaczego jego brat hobbit nic nie mówi?

— Nie zrobili mi nic złego, Torinie — odezwał się Folko. — Sandello powiedział, że jest winien... I zobacz, jaki dostałem sztylet!

Wyjął sztylet z pochwy, uradowany, że może pochwalić się przed przyjacielem. Jednakże Torin nawet nie spojrział. Jego czoło nie wygładzało się, a mięśnie zuchwy zadrgały.

— Otrzymałeś odpowiedź na swoje pytanie, Torinie, dlaczego on tu jest — oświadczył Olmer, wciąż stojąc plecami do hobbita i garbusa. — Co zaś do tego, co my tu robimy, sędzę, że mam nie mniejsze podstawy zapytać o to również ciebie, ale skoro chcesz, odpowiem. Pędzimy tabun rohańskich wierzchowców półkrewi na północ i dopiero co przeprawiliśmy się przez rzekę. Jesteś zadowolony? Czy teraz opuścisz topór i porozmawiasz z nami po ludzku, o Skracający Brody?

Znowu Folko zobaczył, jak Torin drgnął, słysząc te słowa, i jeszcze niżej opuścił głowę. Coś za tym stało, jakaś ponura tajemnica, znał ją Olmer, a nie powinien znać nikt.

— O czym mamy mówić? — zapytał ochryplym głosem krasnolud, wciąż trzymając topór przed sobą.

— No, na przykład o tym, czy nie powinni uścisnąć sobie dłoni — krasnolud Torin, znany powszechnie wojownik, mistrz topora, i człowiek Sandello, również znakomity we władaniu mieczem? Jakiej jeszcze żądasz satysfakcji?

— Folko! — zawołał nagle do przyjaciela Torin, nie zwracając uwagi na słowa Olmera. — Chodź tu do mnie. Będzie nam łatwiej rozmawiać z Okrutnym Strzelcem.

Hobbit poruszył się, chcąc podejść do druha, ale nie mógł zrobić kroku. Nagle uznał, że nie może pokazać pleców garbusowi; ślepy, paniczny strach pojawił się nie wiadomo skąd i skuł jego członki.

— Nie ufasz mi, synu Dartha? — Teraz głos Olmera zadźwięczał metalicznie. — Czego się boisz? Gdybyśmy chcieli zrobić cokolwiek tobie czy twojemu przyjacielowi, to klnę się na Wielkie Schody, już dawno byśmy to zrobili!

Folko zobaczył, jak po tych słowach krasnolud poczerwieniał jeszcze bardziej, a jego usta wykrzywiły się w dwuznacznym uśmiechu; w tej samej chwili zrozumiał, że boi się nie Sandella, ale Torina! Boi się i nie rozumie go — po raz pierwszy od wielu miesięcy wspólnie przebytej drogi. Dlaczego krasnolud tak się upiera?! Dlaczego szuka zwady?! Przecież stoi przed nim para wyśmienitych, doświadczonych wojowników... Ale co robić? W rozterce przygryzł wargi i niechętnie rzucił spojrzenie na garbusa.

Sandello patrzył na niego życzliwie, z lekkim, ale nie ironicznym uśmiechem. Nagle wyciągnął rękę i lekko popchnął Folka, jednocześnie rozpinając i rzucając na trawę swój pas z długim mieczem, znany już hobbitowi z oberży w Przygórzu.

— No idź, głuptasie!

Na sztywnych nogach hobbit pokuśtykał do oczekującego w milczeniu krasnoluda. Tymczasem Olmer zaczął mówić znowu:

— Obrażasz nas, podejrzewając, że jesteśmy zdolni do mordowania słabszych. To niegodne ciebie, synu Dartha!

— Torinie! — zasyczał ze złością na przyjaciela Folko. — Dostałem jedną lekcję z powodu własnej głupoty i nie chcę drugiej z powodu twojej! Nie czynią nam nic złego, uwierz mi!

Torin spojrział zezem i powiedział, zwracając się do Olmera:

— Język obraca ci się znakomicie, Okrutny Strzelcze, ale twe słowa są puste jak szlaka. Zabić słabszego, powiadasz? A zapomniałeś Przygórze?

Olmer westchnął.

— Więc jak mam ci udowodnić, że nie zamierzamy wyrządzić wam krzywdy?

— Bardzo prosto, zejździe nam z drogi! — odpowiedział ponuro krasnolud. — Nie wierzę w takie przypadkowe spotkania. Idźcie sobie swoją drogą, a my pójdziemy swoją. Ale pamiętaj, Sandello, jeszcze pogadamy, kiedy będziemy sam na sam.

— Zaryzykujesz walkę z Sandellem, mając taki nic niewart topór jak ten? — niespodziewanie roześmiał się Olmer.

— Mnie ten topór pasuje, a czy jest dobry, rozstrzygniemy innym razem i w inny sposób — odgryzł się Torin.

Zamiast odpowiedzi Olmer rozwiązał troczki płaszcza pod szyją i zrzucił go na ziemię, potem odpiął i położył na płaszczu swój sztylet. Odszedł na bok i skinął na krasnoluda.

— Czyżbyś się bał podejść do mnie, nawet kiedy jestem bez broni? — rzucił niedbale poszukiwacz złota, widząc wahanie Torina.

Ten zgrzytnął zębami i jednym skokiem znalazł się przy Olmerze.

— Podaj mi swój topór — poprosił nagle człowiek.

Olmer powiedział to zwyczajnym tonem, jakby prosił krasnoluda o krzesiwo i hubkę. Wyciągnął rękę, a Folko zamarł, kątem oka widząc, jak garbus napiął mięśnie. W ciszy słychać było tylko ciężki oddech krasnoluda.

— Sandello! Przynieś no mi mój kostur — powiedział poszukiwacz złota, a potem, gdy za garbusem zamknęła się ściana gałęzi, dodał, zwracając się do Torina: — Ciągle jeszcze się boisz?

Folko otworzył szeroko usta, gdy zobaczył, że Torin niepewnym ruchem podaje broń Olmerowi, i cofnąwszy się o dwa kroki, zamiera. Olmer tylko lekko się uśmiechnął, a potem nagle chwycił za oba końce toporzyska i zerknął na Torina.

Za plecami Folka zaszeleściły krzaki i hobbit zobaczył Sandella, który w jednej ręce trzymał biały kostur, a w drugiej pękata brązową manierkę. Hobbit zauważył też, że krasnolud nerwowo oblizuje językiem wyschnięte wargi. Garbus podszedł do ciśniętego na trawę płaszcza Olmera i delikatnie ułożył obok niego kostur, potem, ciągle trzymając w ręku manierkę, stanął w odległości dwu kroków od poszukiwacza złota.

— Cóż — powiedział Olmer, w zadumie przyglądając się toporowi — to, co stworzono pod ziemią, zawsze znajdzie przeciwwagę na powierzchni. . .

Z tymi słowy wolnym, płynnym ruchem podniósł topór, wysunął do przodu zgiętą w kolanie nogę, przesunął jakoś w bok... rozległ się trzask, i w rękach człowieka zostało złamane toporzysko. Olmer westchnął, przymknąwszy powieki, jego czoło zrosił pot, ręce opadły wzdłuż boków. Złamany topór wypadł mu z rąk.

Wydawało się, że Torin stracił dar mowy. Zdumiony do granic wpatrywał się w spokojnie uśmiechającego się człowieka, który już odzyskał siły. Ręka krasnoluda wolno sięgała do ciężkiego buzdygana, ale Olmer, nie mówiąc ani słowa, odkorkował podaną przez garbusa manierkę, pociągnął kilka długich łyków, wysoko zadzierając głowę, uśmiechnął się i podał ją osłupiałemu Torinowi. Ten wziął naczynie, zamrugnął, a potem podrapał się po głowie i — nie spuszczać oka ze szczątków swej broni — podniósł do ust manierkę; łyknął, a chwilę potem zakrztusił się i rozkaszał. Tymczasem Sandello zrobił krok, jak gdyby nigdy nic wyciągając rękę po manierkę; Torin, nawet nie spojrzawszy na garbusa, oddał mu ją. Ten pochylił z wdzięcznością głowę i sam łyknął, po czym spojrzeniem i gestem zaproponował, by hobbit uczynił to samo.

Osołomiony nie mniej niż jego przyjaciel, Folko przyjął z rąk Sandella manierkę. Znajdowało się w niej wino, gęste, aromatyczne, jakiego nigdy jeszcze nie próbował; żadne hobbitańskie wina nie wytrzymałyby porównania z tym, smakowałyby jak woda. W sercu hobbit poczuł lekkość, po całym ciele rozlało się przyjemne ciepło.

— Oto wypiliśmy w koło — powiedział Olmer z uśmiechem. — To dobrze, tak pieczętują przyjaźń prawdziwi mężczyźni na wschodzie, daleko stąd, gdzie rosną Błękitne Lasy Nadrunia. Widzę w tym dobry omen... Kto wie, może spotkamy się jeszcze z tej strony Grzmiących Mórz?... Zresztą, po co teraz gadać o tak odległych sprawach. Torinie, zamiast złamanego toporzyska chcę ci podarować mój kostur — zrób sobie z niego nowy, dla takiego mistrza jak ty nie będzie to trudne. Ręczę ci, że posłuży ci wierniej i lepiej niż stary. Sandello! Podaj no go!

Torin, nieco oprzytomniawszy, popatrzył na Olmera bez lęku, ale z szacunkiem i jakimś zainteresowaniem, jednakże — i Folko czuł to — przed krasnoludem stali wrogowie, którzy okrutnie go poniżyli, ale na razie byli od niego mocniejsi.

Garbus tymczasem podał poszukiwaczowi złota długi biały kostur, wykonany z jakiegoś nieznanego hobbitowi materiału — nie z drewna, nie z żelaza i nie z kamienia. Jego powierzchnia matowo połyskiwała, poza tym w niczym nie różnił się od wielu porządnie pomalowanych drewnianych pałek. Olmer nieznacznie pokręcił głową, więc garbus odwrócił się do krasnoluda.

— Przyjmij to od nas, czcigodny Torinie — oświadczył.

Wyciągnął kostur przed siebie, podając krasnoludowi, a ten, wolno wyciągnąwszy ręce, przyjął go.

— Spróbuj teraz złamać go, czcigodny Torinie — powiedział z uśmiechem Olmer. — Ale powiem od razu: w swoim czasie mnie się to nie udało.

Folko odetchnął z ulgą, widząc, jak w oczach krasnoluda pojawiła się ciekawość.

Torin chwycił kostur za końce — musiał szeroko rozłożyć ręce — i napiął mięśnie. Kostur sprężynował w jego rękach, i krasnolud, specjalnie się nie natężając, opuścił go.

— Skróć go sobie odpowiednio — poradził Olmer. — Daje się dobrze strugać.

— Czego chcesz od nas? — zapytał Torin wciąż ochrypłym głosem.

— Ja? Od was? Nic. Spotkaliśmy się, nie będąc w zgodzie, ale rozstajemy się, chcę w to wierzyć, rozumiejąc wzajemnie.

— Po co nam darujesz to wszystko?

Twarz poszukiwacza złota pozostała poważna.

— Chcę, żebyście szli po wybranej przez siebie drodze właściwie uzbrojeni — powiedział bez cienia uśmiechu. — Nie kryję, nasze spotkanie nastąpiło nie z woli ślepego losu, od dawna chciałem do tego doprowadzić. Dziś w Śródziemiu niewielu znajdzie się śmiałków, którzy zamierzają wejść w trzewia Morii!

— Skąd wiesz, jakie mamy plany? — Torin wściekle sapał. — I co ci do tego?

— Powtarzam jeszcze raz: nic. Ale cenię sobie odwagę i oddaję jej cześć, kokolwiek się nią wykazuje. A co do tego, skąd wiem o waszych zamiarach... przymerzaliście się przez całą zimę, a piwo w oberżach Annuminas rozwiązuje język niejednemu... — Olmer uśmiechnął się. — Ale nawet gdybym nie wiedział nic o waszych planach, dokąd jeszcze może się kierować trzydziestka odważnych krasnoludów oraz zaprawionych w podrózach i bojach ludzi, jeśli znajdują się o kilka dni podróży od Wrót Morii? Chciałbym żyć w zgodzie z tymi, którzy odważyli się na coś takiego, na co ja sam bym się nie odważył. Zauważ, że nie dopytuje się, co chcecie tam robić, ale cokolwiek zdziałacie, będzie to godne prawdziwych mężów.

— Dziękujemy za dobre słowa — powiedział nieco rozzłoszczony Torin. — Chciałbym ci odpowiedzieć podobnymi życzeniami powodzenia, ale twe sprawy i zamiary nie są nam znane, a to, czego niechcący byliśmy świadkami... — Zamilkł, jednak patrzył Olmerowi prosto w oczy.

— Cóż, życie nie zawsze jest podobne do lotu strzały — zauważył niedbale Olmer. — Domyślam się, o co ci chodzi. Ale posłuchaj: wszystkie ustawy, prawa, zakazy i nakazy nigdy nie są bezwzględnie dobre czy bezwzględnie złe. Jeśli będziesz przestrzegał wszystkich, to zostanie ci tylko jedno, zamknąć się w czterech ścianach i nie patrzeć na świat! Nie, czcigodny Torinie, nie osądzam spraw innych ludzi, nie ważę, czy odpowiadają one jakiemuś zapisanemu kawałkowi pergaminu. Mężczyzna żyje dla odważnych i wielkich czynów, tylko tak można żyć honorowo i zyskać sławę.

— Ale odwaga i poświęcenie zasługują na chwałę tylko w tym wypadku, kiedy służą dobrej sprawie! — wtrącił hobbit nieoczekiwanie dla samego siebie. — Ofiarny rozbójnik to nie odważny mąż, tylko nikczemny zabójca, który staje się z powodu swojej odwagi jeszcze bardziej niebezpieczny!

Olmer uśmiechnął się.

— Jesteś odważny, człowieczku, nie pomyliłem się co do ciebie. Ale wydaje mi się, że przemawia przez ciebie to, czego cię nauczono, a nie to, co przeżyłeś sam. Dobro i Zło! — Ponownie uśmiechnął się. Folko ze zdziwieniem zauważył, że cień tego uśmiechu odbija się też na twarzy garbusa. — Dwa ostrza jednej klingi, nierozdzielne, jak światło i cień! Od dawna wiadomo, że nie może być powszechnego dobra, jak i powszechnego zła.

— No to co z moimi rodakami, którzy walczyli w bitwie na Polach Pelennoru? Czy tego, co uczynili, nie uczynili dla powszechnego dobra?! — nie ustępował hobbit.

— Powszechnego, powiadasz? Czyli takiego, które jest dobre dla wszystkich? — uśmiechnął się Olmer. — A czy można bronić takiego dobra za pomocą kłamstwa? Nie rozumiesz? Wyjaśniam. . . Nikt nie czynił wyrzutów hobbitowi, wspomnianemu przez ciebie, za to, że poraził Czarnego Króla ciosem w plecy, więc dlaczego w pieśni o Eowainie mówi się, że spotkali się twarzą w twarz? Niegłupio, klnę się na Wielkie Schody!

— Czy uważasz więc, że Wielki Meriadok miał ginać, czy jak? — obruszył się Folko, ale Olmer uniósł rękę uspokajającym gestem.

— Nie mówiłem tego, człowieczku. Nie, ten hobbit walczył odważnie. Ale po co wstydliwie to skrywać?

Zapadła cisza. Folko nie wiedział, jak odeprzeć zarzut, sam nieraz słyszał tę starą pieśń o pojedynku pod murami Minas Tirith, i znając prawdziwą historię, najpierw sam dziwił się, ale potem przywykł, uznał, że nastąpiła jakaś pomyłka, i więcej się nad tym nie zastanawiał. Nieoczekiwanie zapytał:

— Powiedz, czcigodny Olmerze, dlaczego nazywasz nas człowieczkami?

— Tak mówi się o was w mojej ojczyźnie, na wschodzie, gdzie zachowała się pamięć o Dniach Wędrówek, gdy świat był jeszcze młody. Wiem, że na południu, w Gondorze, nazywają was niewysoczkami, w Rohanie holbytlanami, a na wschodzie, jak mówiłem. Cóż. . .

Olmer zrobił krok, jakby w kierunku leżącego na trawie płaszcza i sztyletu, a w tym czasie Sandello nagle wyciągnął rękę do Torina. Poszukiwacz złota zmarł, nie odrywając spojrzenia od stojących naprzeciwko siebie krasnoluda i człowieka; Folko poczuł raptowny zawrót głowy, jakby patrzył w dół z ogromnej wysokości. W następnej chwili Torin wolno uścisnął szeroki i płaski przegub garbusa.

— Nie warto walczyć o powody głupich kłótni, nieprawdaż? — rzekł cicho, ale z naciskiem Sandello, a Torin, jak echo, powtórzył:

— Nie warto... Cóż, jeśli mój druh ci wybaczył, będziemy uważali, że i ja nie mam do ciebie żalu.

— Bardzo dobrze — powiedział Olmer i stanął między krasnoludem i garbusem, kładąc im na ramiona ręce.

Hobbit zdziwił się, widząc, jak Sandello pochylił się do ziemi, a Torin nieoczekiwanie zatoczył się, jakby dźwigał na plecach zbyt wielki ciężar, jednak trwało to tylko chwilę. Olmer cofnął ręce, pochylił się, podniósł z ziemi kawałki toporzyska i podał je Torinowi.

— Teraz się pożegnamy — powiedział cicho, ponownie kładąc dłoń na ramieniu garbusa. — Cokolwiek będziecie myśleli o mnie i moim towarzyszu, życzę wam, byście wrócili tacy, jakimi jesteście teraz.

Trudno powiedzieć, co się zmieniło w jego głosie, ale Folko w tej chwili nie spuszczał wzroku z Olmera, chłonał każde jego zdanie; ostatnie słowa, wypowiedziane z jakimś ponurym zdecydowaniem, spowodowały, że drgnął.

Z krzaków na polanę wyszedł człowiek w krótkim podróżnym płaszczu; z szacunkiem uklonił się Olmerowi.

— Już, już, idziemy — odpowiedział na nieme pytanie poszukiwacz złota. — Przyrowadź konie...

Powstała sekundowa pauza i nagle Sandello podszedł do hobbita.

— Pozwól twój nóż — powiedział nieoczekiwanie. — Nie do końca prostujesz dłoń, popatrz, o tak!

Błyskawiczny, niezauważalny okiem ruch ręki garbusa, w którą zdziwiony, ale nie wystraszony hobbit włożył jeden ze swych noży do miotania, sprawił, że ostrze z ciężkim, dźwięcznym odgłosem wbiło się w narośl tuż obok pierwszego noża.

Sługa przyprowadził wierzchowce. Olmer dosiadał wysokiego cisawego ogiera, Sandello — gniadej kobyły. Garbus nieoczekiwanie, już siedząc w siodle, pochylił się do stojącego nieruchomo Folka i w milczeniu podał mu wypełnioną jeszcze w trzech czwartych manierkę.

Olmer i Sandello trącili piętami konie i nie oglądając się, znikli w zaroślach. Kilka chwil kołysały się jeszcze poruszone przez nich gałęzie, a potem na polanę wróciły cisza i spokój.

— Uff — odetchnął ciężko krasnolud, gwałtownie rozwiązując troczki kurtki i obnażając mokrą od potu pierś. — Co, zostawił wino? Dawaj szybko! Skądkolwiek pochodzi, muszę się napić po takim...

Torin zabalgotał, a Folko rzucił się do drzewa: w narośli tkwił ciśnięty przez niego nóż, a obok, w odległości mniejszej niż grubość palca, tkwił drugi, posłany przez Sandella z taką siłą, że wszedł w drzewo niemal do połowy. Hobbit męczył się, ale nie dał rady go wyciągnąć. Pomyślał o słowach Rogwolda, wypowiedzianych przy okazji pierwszego spotkania z Sandellem, że ten ostatni mógł zabić hobbita, nie wstając od stołu. Podszedł do Torina, chcąc poprosić go o pomoc.

Krasnolud tymczasem opróżnił dużą część manierki, trochę się uspokoił i tylko wywracał oczami. Burcząc coś pod nosem i machając rękami, poszedł z hobbitem do drzewa.

— Ten? Nie ma co, rękę to on... — Torin podrapał się po głowie. — Cóż, spróbujemy...

Jednakże próbował długo, i dopiero zebrawszy całą swoją siłę, wyszarpnął rzucony przez Sandella nóż. Parsknął i otarł pot.

— Taak... — skomentował. — Ma łapę ten garbus, żeby mu uschła! Wydał mi się bardzo zręczny już wtedy, w Przygórzu, ale gdybym wiedział, że ma taką... klnę się na Brodę Durina, byłbym ostrożniejszy...

Torin ciężko westchnął i legł na trawie, obejmując głowę rękami. Folko ostrożnie usiadł obok niego, szukając wzrokiem spojrzenia przyjaciela, ale krasnolud uparcie wpatrywał się w ziemię. Na krótką chwilę zapanowała głucha cisza, nagle krasnolud jęknął, jakby z niewypowiedzianego wstydu, nawet zgrzytnął zębami. Wystraszony hobbit przywarł do ziemi.

— Kimże jest ten Olmer, który złamał mój topór jak słomkę! — mówił Torin porywczo i ze złością. — Po co patrzyłem na niego? Dlaczego oddałem topór? Dlaczego uścisnąłem rękę tego zabójcy?! — Dłonie krasnoluda zaciskały się w pięści, a przez twarz przebiegł skurcz, podobny do grymasu obrzydzenia. — Co się ze mną działo, Folko? Byłeś obok, widziałeś, co się ze mną działo?!

Poderwał się, policzki mu płonęły, mocne żółtawe zęby przygryzły wargi.

— Co tobie, Torinie? Co się z tobą dzieje?! — krzyknął wystraszony hobbit. — Dlaczego wrzeszczysz?

— Dlaczego? — Oczy krasnoluda zwięzły się w szparki. — Widziałeś, jak położył mi rękę na ramieniu? Myślałem, że walnę nosem w ziemię! Dobra, wśród tangarów mógłbym znaleźć dwóch, trzech, którzy mogliby mi to zrobić, podobnie jak złamać toporzysko, ale żeby to potrafił człowiek?!

— Opamiętaj się, Torinie! Po prostu jest mocny, bardzo mocny, i co z tego?! Dlaczego człowiek nie miałby być taki mocny?

— Mocny... — uśmiechnął się krasnolud z goryczą. — Nie, coś tu jest nie tak, bracie hobbicie. Coś się ze mną działo dziwnego... Zresztą, rozważmy wszystko od początku. Naprawdę nic ci nie zrobili? Oszalałem, jak zobaczyłem cię z nimi!

— Nie, Torinie, nic się nie działo — zaczął z przekonaniem Folko i opowiedział o wszystkim, co się wydarzyło na polanie.

— Przyjąłeś jego przeprosiny?! — zapytał z niedowierzaniem Torin. — Dlaczego nagle stałeś się taki dobry?! Czy zapomniałeś Przygórze?

— Nie zapomniałem — burknął Folko, czerwieniąc się i opuszczając głowę. — Po prostu to było nieporozumienie, Sandello pokajał się. Podarowali mi sztylet...

— Pokaż mi go — poprosił krasnolud, wyciągając dłoń. — Chcę popatrzeć, czym cię tak wzruszyli.

Hobbit, sięgając w zanadrze, uświadomił sobie, że trudno mu, nawet na chwilę, rozstać się z owym przedmiotem. Ale Torin to Torin, i Folkowi udało się pokonać niechęć.

Krasnolud ostrożnie wziął sztylet z niebieskim kwiatami na klindze. Obracał go w dłoniach, próbował ostrze, usiłował wygiąć, dłużył palcem rękojeść, długo wpatrywał się w kamień. W końcu usatysfakcjonowany, nie odzywając się, zwrócił sztylet hobbitowi; ten szybko go schował i poczuł niespodziewaną ulgę — ostrze miało nad nim jakąś dziwną władzę.

— Nigdy nie widziałem czegoś podobnego — przyznał Torin, rozkładając ręce. — To nie nasza robota, stał też. Wyśmienita, nawiasem mówiąc, trwała i giętka... A jak wykonano rysunek, mogę się tylko domyślać. Nasi tak nie potrafią. Kamień, co prawda, wydaje mi się znany, krzyżowniki nie są drogocenne, są dość kruche, łatwo dają się obrabiać, ale taki duży i z bardzo wyraźnym krzyżem to rzadkość. Chciałbym wiedzieć, dlaczego podarował ci go! Tobie sztylet, mnie kostur... Jak z niego zrobić toporzysko?

Zamilkł. Przed oczami obaj mieli tę zadziwiającą parę, Olmera i garbusa. Każdy wspominał szczegóły niezwykłego spotkania; w ten sposób przeszli całą polanę, a wtedy Torin nagle uderzył się w czoło.

— Dobrzy z nas zwiadowcy! Zdeptaliśmy ślady kopyt!

— Ktoś zdeptał, a ktoś przyjrzał się i zapamiętał! — Hobbit pokazał przyjacielowi język. — Podkowy z pięcioma hufnalami, między pierwszym i drugim, od lewej licząc, taka trójramienna gwiazda... Zresztą masz je tu, czyżbyś nie widział? Ale odłóżmy rozmowy na później, pewnie już się o nas martwią.

Dotarli do obozu w chwili, gdy zaniepokojony Rogwold wysyłał we wszystkie strony jeźdźców na poszukiwanie przyjaciół. Hobbit i krasnolud musieli zbywać wszystkich pospiesznie wymyślonymi opowieściami, i dopiero w nocy, kiedy obóz zatrzymał się na biwak na skraju lasu obok porzuconej przez ludzi wsi, zwołali naradę w kręgu najbliższych przyjaciół.

Siedzieli w ciemnościach, starannie uszczelnivszy szpary w okryciu furgonu i owinąwszy się w koce; przed wieczorem od gór pociągnął lodowaty wiatr. Uczestniczyli: Malec, Rogwold, Dorin i Bran. Znali już opowieść o wydarzeniach w obozisku „Pod Pochwą Andurila”, o Olmerze z Dale i starym kronikarzu; Folko i Torin wtajemniczyli ich we wszystkie szczegóły wydarzeń.

— Zaczniemy od tego, co wiemy — zagaił Rogwold; Folko umilkł i oblizał wyschnięte wargi. — Ślady podków są rzeczywiście niezwykle.

— Niezwykle, z taką gwiazdką!? — zaprotestował Bran.

— Szkoda, że ich nie widziałem — westchnął Rogwold. — Jednakże taka cecha nie jest mi znana. Co może znaczyć gwiazda?

— Gwiazda, wiadomo — odezwał się Torin. — Zwą ją Iselgrid i w przeszłości oznaczała jedność trzech podziemnych żywiołów: Kamienia, Ognia i Wody. Ale nie słyszałem, żeby któryś z tangarów używał takiej cechy!

— A czy któryś z ludzkich kowali nie mógł sam wymyślić takiego prostego symbolu? — zapytał Rogwold.

Nagle do rozmowy wtrącił się Malec:

— Jeśli dacie mi kufelek przygórzańskiego piwa, powiem wam, skąd są te podkowy! — uśmiechnął się tajemniczo.

— Ty?! Skąd? Gadaj! — rzucili się na niego wszyscy, ale Malec trwał przy swoim.

— Najpierw piwo! Ale nie ten naparstek, cały mój kufel!

Kręcąc głową i wykrzywiając usta, Torin spełnił jego życzenie. Mały krasnolud wypił wolno, stęknął, otarł brodę... Nastąpiła cisza. Chytrze przyjrzał się wpatrzonym w niego przyjaciółom.

— Ten znak — Iselgrid — stawia na swoich wyrobach pewien rangtor z Ereboru — rzucił niedbale. — Znam go trochę. Pokłócił się ze swoimi z Samotnej Góry i poszedł na północ, na Płaskowyż Smoka. On właśnie robi takie podkowy, przy czym dodaje do nich miedź, dlatego są cięższe, ale bardziej miękkie i lepiej przylegają do kopyta... .

— Rangtor? — zapytał zdziwiony Rogwold, ale Torin wyjaśnił, że tak krasnoludy nazywają tangarów samotników, żyjących i pracujących na własne ryzyko, odszczepieńców.

— To jest dość ponury osobnik — ciągnął Malec — ale wspaniały mistrz. Poznałem go, kiedy chadzałem do Ereboru, z pięć zim temu.

— Podkowy z Ereboru... — powiedział w zamyśleniu Torin. — Teofrast też mówił, że on jest z Dale. Cóż, może i prawda... Ale co nam z tego?

— Chociażby to, że jeśli nawet łże, to nie zawsze — wtrącił się Folko.

— Racja — skinął głową Rogwold. — Nasz hobbit ma całkowitą rację. To znaczy, że w niektórych sprawach możemy wierzyć słowom Olmera.

Torin tylko wzruszył ramionami.

— Teraz dalej — ciągnął były setnik. — Jego prezenty. Sztylet naszego Folka to przedmiot absolutnie zadziwiający i tajemniczy. Skąd się wziął taki sztylet? Kto mógł go wykonać? — W odpowiedzi krasnoludy rozłożyły ręce. — Jeśli to nie jest wasze dzieło, w takim razie czyje?

— Możemy zgadywać bez końca — mruknął Bran. — Mogli wykonać go potomkowie rycerzy z Zamorza jeszcze przed upadkiem Wroga. Albo wykuto go gdzieś na wschodzie, o którego cudach krąży tyle legend.

— Powiedział, że to ichniejsze gundabadzkie trofeum — przypomniał Folko.

— Gundabadzkie?! Zastanówmy się, co tam się działo przez ostatnich kilka lat. — Rogwold przeczesywał palcami brodę. — Nic mi nie przychodzi do głowy. Może krasnoludy coś słyszały?

Teraz Torin i Bran rozłożyli ręce, jednak Dorin nagle pochylił się do przodu.

— Coś słyszałem — zaczął wolno, marszcząc czoło. — Gdzieś w tamtych krainach zniknął bez wieści oddział, który napadł na Erebor ubiegłej jesieni, pamię-

tacie? W Annuminas spotkałem kiedyś znajomka, co wędrował przez królestwo Beorningów akurat w tym czasie; słyszał, że graniczna straż została zaalarmowana i duży oddział leśnych ludzi ruszył na północ. Nic więcej nie wiem, ale tak czy inaczej ci, którzy przyszedli ze wschodu, znikli bez śladu.

— Może tak było — niepewnie zgodził się Torin. — Tylko coś dużo tych „może”!

— Na razie nie mamy nic więcej — wzruszył ramionami Rogwold. — Cóż, niewykluczone, że Bran ma rację, że sztylet jest rzeczywiście ze wschodu. A twój kostur, Torinie?

Krasnolud wyciągnął spod zwalonych na dnie furgonu worków długą ni to tyczkę, ni to laskę, żółtą w mętym świetle kaganka. Długo obracali ją w rękach, wzruszali ramionami. Malec nawet spróbował laskę na ząb, a najlepsze ostrza krasnoludów cięły ją z trudem i szybko się tępiły. Krasnoludy skwitowały prezent wzruszeniami ramion. Nikomu nie udało się domyślić, co to jest i skąd się wzięło.

— Co zamierzasz z tym zrobić, Torinie? — zapytał w końcu Rogwold, zwracając zagadkowy prezent poszukiwacza złota.

— Zrobię toporzysko — mruknął krasnolud.

— A właśnie, Torinie, znałeś Olmera wcześniej? — zapytał Folko. — Co to za przezwisko Okrutny Strzelec?

— Znałem go... Dawno temu — odpowiedział niechętnie krasnolud, odwracając twarz. — Poznaliśmy się — uśmiechnął się krzywo — przed trzydziestu laty, kiedy obaj byliśmy młodzi. Oprawialiśmy w Arthedain nową miejską bramę, a on... On też był obcy w tym mieście; pokazano mi go, gdy strzelał o zakład do fruujących gołębi na placu targowym; ani razu nie spuścił łuku. Za to dostał swoje miano, a imię jego szybko zapomniałem... Nie od razu go też poznałem; w końcu bardzo się zmienił, chociaż na twarzy się nie postarzał. Ale my skończyliśmy swoją robotę i wróciliśmy w góry; co się stało z Okrutnym Strzelcem, prawdę mówiąc, mało mnie interesowało.

— Powiedz, a co to było ze skracaniem Brody Durina? — dopytywał się hobbit, jednak Torin, który nagle jakby zamknął się w sobie, nie odpowiedział.

— Nie rozmawiajmy teraz o tym — poprosił po chwili milczenia. — Właśnie z powodu brody pokłóciłem się swego czasu ze starszyzną... No, dość tego!

— Pędzili tabun dojrzałych czterolatków, gotowych pod siodło — wtrącił zamysłony setnik. — Nie możemy o tym zapomnieć, kiedy będziemy pisali do Namiestnika, pamiętaj, drogi Torinie, że Olmer jest poszukiwany.

Krasnolud nachmurzył się.

— Znalazł nas sam, my mamy z nim porachunki, nasze porachunki — odparł tamten ponuro. — To nie dotyczy Annuminas!

— Może być poszukiwany za coś zupełnie innego — zaproponował Rogwold. — Nie wolno ukrywać tego, który powinien stanąć przed sądem. Niewinnych nie zamykamy!

— Ale i tak nie pojmuję: po co mu to było? — wymamrotał Donn. — On powiedział, że spotkanie nie było przypadkowe?

— Co tam deliberować — rzucił Bran. — Chciałbym wiedzieć, co Olmer miał na myśli, mówiąc: „Życzę wam, byście wrócili tacy, jakimi jesteście teraz”? Czyżby wiedział coś i o Morii?

— Dowiemy się, kiedy do niej dojdziemy — skwitował jego słowa Torin.

— Mimo wszystko do czegoś mu jesteśmy potrzebni — mówił Rogwold. — Dlaczego chciał pogodzić garbusa z wami? I pogodził! Kto wie, czy to ostatnie spotkanie?

Rozmawiali jeszcze długo, ale nie ustalili, jakie korzyści mógł odnieść Olmer i dlaczego ten zagadkowy człowiek interesuje się ich wyprawą. W końcu przestali sobie łać głowy i położyli się spać; do Wrót Morii zostało niewiele, tylko dwa dni drogi.

Folko spał niespokojnie. Męczyły go niejasne, przerywane sny; zwidowały mu się albo nieznanne wysokie wieże, objęte dziwnym błękitnym płomieniem, albo wypełnione purpurową mgłą zapadliska i cienie, poruszające się w tej krwawej mgle, innym razem widział, jak na jawie, czarne rękawice na potężnych dłoniach Olmera, które łały wydawałoby się niezniszczalny topór Torina. Folka ciągle dręczyła myśl, że Olmer miał w tym wszystkim jakiś ukryty cel, być może chciał, żeby hobbit i jego współtowarzysze rzeczywiście przedostali się do Morii i podarowany sztylet mógł tam się przydać; jednakże czuł też, że Olmer działał w natchnieniu, jakby kierując się jakimś impulsem. . .

Ostatnie dni minęły w pełnym napięcia oczekiwaniu. Lasy znikły, ustąpiwszy miejsca smutnej, pełnej porzuconych domostw i dziczących sadów równinie. Si-rannona skręcała tutaj w prawo, odchodząc na południe wzdłuż Gór Mglistych. Folko nie zsiadał ze swego kuca, trzymając się obok Gloina, Dwalina, Rogwolda i Torina jadących na czele taboru. Wzmocnili środki ostrożności, tu nie było gdzie się kryć, więc starannie omijali puste osady i farmy, unikając patrzenia w czarne okna opustoszałych domów, przypominających trupy z wydziobanymi przez kruki oczodołami. Spotkanie z Olmerem i Sandellem przez cały czas nurtowało hobbita, ale, mimo że wciąż się nad tym zastanawiał, nie potrafił znaleźć wytłumaczenia, co sprowadziło tego niezwyklego człowieka na ich ścieżkę i do czego były potrzebne wyjaśnienia na polanie. Jednakże owe problemy zajmowały chyba tylko jego: na podejściach do Wrót Morii krasnoludy zapomniały o wszystkim. Ich oczy płonęły, wydawały niezrozumiałe okrzyki w nieznanym hobbitowi języku. Krasnoludy zbliżały się do najważniejszej świątyni swego ludu. „Nieprzenikniona jest woda Kheled-Zaramu i zimne niczym lód źródła Kibil-Nalu. . .”

Ostatniego dnia wędrowni droga prowadziła grzbietem pasma wzgórz, północnym brzegiem Nadrzecznej Doliny. Zostawili za sobą przystań, zniszczoną przez pożar; Folko i Torin nie wytrzymali — doszli do kamiennych stopni, schodów prowadzących przez Próg Morii. Na początku Nowej Epoki krasnoludy oczy-

ściły za pomocą swych płaskodennych łodzi i tratw drogę w dół rzeki i wytyczyły nową do stolicy, ponad doliną. Błotniste jezioro, które niegdyś tak wystraszyło Froda, znikło; dnem doliny wesoło płynęła Sirannona, zbocza nadrzecznych wzgórz porastały zapuszczone sady jabłoniowe.

— To była wielka praca. . . — powiedział Torin cicho, jakby do siebie, wzdychając. — I wszystko na próżno. . .

Usłyszeli za sobą kroki — od strony zatrzymanych na górze wozów zbliżał się do nich Gloin. Krasnolud włożył najlepsze ubranie, jego potężną pierś okrywała błyszcząca kolczuga, za szerokim pasem miał zdobiony topór i kolczasty buzdygan. Moriańczyk zatrzymał się przy nich i położył dłoń na ramieniu Folka; hobbit czuł drzenie ciała Gloina. Wygnaniec stał na progu domu rodzinnego.

Kilka chwil milczeli, wpatrując się w szare ściany urwiska, w którym ukryte były Wrota. Potem Gloin uśmiechnął się i lekko trącił hobbita.

— Podoba ci się, Folko? Więcej zobaczysz, gdy wymieciemy to plugastwo, które znowu pojawiło się w Czarnej Otchłani! Klnę się na Brodę Durina, już nigdy ludzie nie będą musieli porzucać swych domostw obok naszych Wrót!

— Pięknie tu — westchnął zachwycony hobbit, patrząc na błękitną wstęgę Sirannony. — Poczekaj, Gloinie, słyszałem, że wcześniej był tu jakiś staw, w którym żyły potwory?

— Prawda — skinął głową Gloin. — Co tu się działo! . . . Krasnoludy po zwycięstwie oczyściły jezioro, ale najpierw splotły sieć z resztek mithrilu i wyłowiły Chrzastolapa oraz całe jego potomstwo, spuściły wodę i zamknęły gardziel podziemnej rzeki, a potem przywróciły rzece jej dawny bieg.

Folko chciał rozpytać Moriańczyka o szczegóły tego polowania, ale już wołali ich towarzysze. Słońce opuściło się nad horyzont. Wrota znajdowały się kilkaset kroków od nich, a w pośpiesznie rozbitym obozie już rozpalano ognisko. Hobbit westchnął i powlókł się przygotowywać wieczorny posiłek. Szturm na Wrota odłożyli na następny dzień.

Rozdział 17

Khazad-Dum

Czegóż to ci Duzi nie naplotą! — myślał wieczorem Folko, układając się do snu. — O jakiej trwodze oni paplali? Ziemia jak ziemia, skały, wzgórza, rzeka... wspaniałe sady... Tylko, oczywiście, popracować trzeba by tu trochę. Westchnął, przypomniawszy sobie ogrody i pola Hobbitanii. Jego dłonie zdążyły odzwyczaić się od motyki, i teraz nagle poczuł chęć, ot tak, po prostu, by pójść i podciąć czy okopać jabłonie nad rzeką.

Jednakże noc, którą spędził pod Wrotami Czarnej Otchłani, zmusiła go do porzucenia czarnych myśli. Zapadł od razu w ciężki, mroczny sen; obudził się pośród nocy zlany lepkim, zimnym potem. Nie pamiętał, co mu się śniło, wiedział tylko, że były to jakieś obrzydliwe i wstrętne aż do mdłości rzeczy. Leżąc na plecach, otworzył oczy i nie mógł odetchnąć; powietrze w furgonie było stęchłe i ciężkie, dusiło jak zwalone na pierś worki z piaskiem, a na dodatek kurtyna ciemności, wydało mu się, zebrała się w dziesiątki i setki czarnych kłębków, a z każdego na Folka patrzyło czyjeś zimne, martwe oko. Hobbit znieruchomiał i zadrżał; nie miał siły się poruszyć, sięgnąć po broń, krzyknąć. Gdzieś w głębinach świadomości zaczął się rodzić, wyczuwalny ciałem, nie tylko słuchem, dziwny łoskot, furgon podrygiwał nieznacznie. Skąd dochodził ów odgłos, nie wiedział, po prostu zrozumiał, że jeszcze chwila i przestanie oddychać; nie czuł strachu. Potem hobbita ogarnął niebyt...

Obok rozległ się ciężki jęk, i ten dźwięk nagle dodał mu sił. Rozrzuciwszy w niedobrym śnie ręce, z szeroko otwartymi, ale niewidzącymi mętnymi oczami, obok Folka głucho jęczał Torin. Jego ręka wolno, ale uparcie pełzała do toporzyska, które zrobił z kostura podarowanego mu przez Olmera.

Hobbit szarpnął się, poczuł ból we wnętrzu i rozpaczliwym ruchem podsunął broń bliżej do rozwartej, drżącej ręki krasnoluda. Palce Torina wpiły się w rękociecz; wsparty na toporze, zaczął wolno się prostować.

Włosy na karku Folka zjeżyły się, ponieważ nigdy dotąd nie widział u Torina takich oczu. Prawie wyszły mu z orbit i nawet w absolutnych ciemnościach

pod pokryciem furgonu dostrzegł w nich słaby odblask wpadającego przez jakąś szczelinę promienia księżyca. Te szeroko otwarte oczy o nieobecny spojrzeniu nie zmieniły wyrazu — były takie same jak kilka chwil temu, gdy Torin leżał i wydawało się, że śpi. Krasnolud wstał i ruszył do zasznutowanego wyjścia; runąwszy całym ciałem na płótno, wypadł na zewnątrz. Rozległ się głuchy odgłos i to wyrwało hobbita z osłupienia. Jego palce mocno trzymały w zaciśniętej, mokrej od potu dłoni sztylet, prezent od Olmera. Duszność stopniowo ustępowała. Zebrawszy siły, rzucił się na pomoc Torinowi.

Ten leżał na ziemi, bezładnie rozrzucając dziwnie wykręczone ręce, obok walał się topór. Hobbit rozejrzał się przerażony — przez pożółkłe chmury przebijało blade oblicze martwego księżyca; mrok otaczał ich ze wszystkich stron, widmowe światło tylko zaznaczało cieniami upiorną czerń dokoła. Folko dojrzał jeszcze bok furgonu obok siebie, ale dalej wszystko tonęło w przepastnej i bezdźwięcznej ciemności. Zimne, obojętne spojrzenie niezliczonych niewidocznych oczu wciąż obmacywało postać hobbita, ale teraz trzymał w ręku broń i czuł się bezpieczniej. Gdyby miał czas, na pewno przypomniaby sobie Annuminas i upiora Mogilników, ale przeciwnik tutaj, teraz, był inny, zupełnie inny.

W ciemnościach rozległ się ochrypliwy jęk. Hobbit drgnął i zrozumiał, że to nie Torin jęczy, ale ktoś inny. Strach tak go sparaliżował, że nie miał nawet siły, by pochylić się i sprawdzić, co się dzieje z przyjacielem. Jęk dochodził z furgonu, cierpiał więc inny krasnolud. Lęk Folka wywołał w nim niemożliwą do opanowania chęć ucieczki; uciec, nie patrząc na drogę, precz, byle dalej od tego dzikiego miejsca. Przed oczami wirowała purpurowa mgła. Kolana ugięły się pod hobbitem i runął obok Torina. Nic więcej nie widział.

Ocknął się z zimna i otworzywszy oczy, od razu je zamknął — z góry lała się na niego lodowata woda. Czyjeś ręce troskliwie go uniosły, ktoś ocierał mu chustką twarz, dokoła rozlegały się głosy, znajome głosy przyjaciół i współtowarzyszy. Wolno wypływał na powierzchnię z przepastnych głębin niepamięci. Chciał coś powiedzieć, ale z gardła wyrwał się tylko jęk, spróbował usiąść i to się udało, bo ktoś mu pomógł. Teraz rozglądał się i nie mógł pojąć, co się wydarzyło.

Był jasny poranek, Folko leżał na płaszczu, rzuconym przez kogoś na mokrą od rosy trawę. Obok, obejmując głowę rękami, siedział Torin, pomiędzy jego palców sączyła się woda, głowę oblepiały mokre pasma włosów. Dokoła zgromadzili się ludzie i krasnoludy; te ostatnie, jak jeden, były potwornie wystraszone, wszystkim zaś po tej nocy zapadły się policzki, zaogniły oczy, a u niektórych pojawiły się siwe włosy w brodach. Ludzi ogarnął niepokój, ich twarze zdradzały, że przeżyli koszmarną noc.

Malec podtrzymywał Folka za ramiona, obok niego wyżymał mokrą chustę Rogwold, pozostali otaczali ich ciasnym pierścieniem. Stary setnik pytał o coś Folka, ale minęło jeszcze kilka minut, zanim ten zrozumiał ich sens.

— Co to było? Co się działo w nocy? Co się z wami stało?!

Folko skinął głową i chciał odpowiedzieć, ale otworzywszy usta, nagle poczuł, że nie zdoła przekazać tego, co się wydarzyło. Mógł tylko wykrztusić, że obudził się w środku nocy, że było źle, tak źle, jak nigdy dotąd, nic nie mógł zrobić, a potem Torin zaczął jęczeć i powiedział coś, sięgnął po topór i chciał wyjść, Folko włókł się za nim, a na zewnątrz działo się coś dziwnego, on też upadł, i potem już była tylko ciemność. . .

Słuchający popatrzyli na siebie, a Rogwold zadał te same pytania Torinowi. Krasnolud odpowiadał z trudem, zmuszał się do mówienia; poszczególne słowa wypowiadał tak, jakby usiłował się zemścić na niewidzialnym wrogu, który zaatakował nocą.

— TO wyszło z Wrót Morii. A potem przysunęło się do mojego serca, i ono stało się zimne jak śnieg na szczycie gór; miałem się pogrążyć w wieczny sen w Komnacie Oczekiwania na granicy między snem i śmiercią, ale poczułem ból i ocknąłem się, a potem TO nakryło hobbita, ale okazało się, że złamać go było trudniej, potrafił się opanować i nawet podsunął mi topór. Widziałem TO tak wyraźnie, że mógłbym je przeciąć toporem — błękitnawy niekształtny obłok, kawałek galaretowatej mgły — usiłowałem nawet sięgnąć po to COŚ, obudzić was, ale wszystko we mnie się pomieszało i nie potrafiłem zdecydować, co zrobić. Wiedziałem tylko, że muszę TO przegnać, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa i TO zważyło mnie w mrok, chociaż nie mogło zamrozić i pozbawić życia. Leżałem, i ani ręce, ani nogi nie słuchały mnie, ale widziałem, że hobbit idzie mi na pomoc, i widziałem, jak TO stopniało, potrafiwszy biedaka Folka.

Zapadła cisza, Folko osłupiał, nigdy bowiem wcześniej nie słyszał, żeby Torin tak mówił; lodowaty robaczek strachu ponownie poruszył się gdzieś w głębi jego świadomości. Torin z wysiłkiem podniósł się, oparł o topór i mówił dalej, ciężkim wzrokiem patrząc na towarzyszy:

— Zapytacie mnie, jak TO wyglądało, czego chciało, jak atakowało, jak można się przed nim obronić?! Odpowiem: TO wyglądało nijak. Nie miało rąk ani nóg, ani głowy, ani ciała — wyglądało jak strzep mgły, którego właściwie oczami nie widziałem, wyczuwałem tylko jakoś inaczej. O ile dobrze zrozumiałem, TO nie polowało specjalnie na mnie czy na nas. TO w ogóle nie ma żadnej woli, rozumu, a tym bardziej celu. Wyrwało się z Morii i rozplynęło w niebie, rozplynęło jak dym z ogniska. Zapytacie: dlaczego tylko Folko i ja straciliśmy przytomność? Chyba dlatego, że spaliśmy nie tak mocno jak inni, a kiedy się poderwaliśmy, na pewno przeniknęła do płuc jak trujący dym trucizna, pochodząca od TEGO. . . Tyle że nie było to powietrze, oczywiście. . . Nasze myśli usiłowały znaleźć sposób na stawienie oporu TEMU, dlatego TO wpiło się w nas, podczas gdy nad umysłami innych, śpiących i nieopierających się, przemknęło jak wichur, który przelatuje nad kimś zagrzebanym w piasku, a wali z nóg usiłującego utrzymać się na nogach. Domyślałem się, że z powodu czegoś podobnego tangarowie porzucili Morię. Mu-

simy nauczyć się walczyć, a co najważniejsze, zrozumieć naturę TEGO. Przecież TO działa na nas, tangarów, o wiele mocniej niż na ludzi!

— Mylisz się — wolno powiedział Rogwold. — Ja również nie zapomnę tej nocy do końca swoich dni, i niech mnie strzeże duch Wielkiego Króla przed czymś podobnym w przyszłości! Teraz wiadomo, dlaczego odeszli stąd mieszkańcy... No więc, co robimy?

Niczym od dawna powstrzymywany przez tamę strumień wody, który wreszcie znalazł sobie ujście, tak że wszystkich stron rozległy się krzyki wystraszonych, zdezorientowanych ludzi. Folko aż przysiadł i zatkał uszy; wrzaski w pierwszej chwili ogłuszyły go. Rogwolda wiele trudu kosztowało uspokojenie towarzyszy. Hobbit z niepokojem i zdziwieniem obserwował wykrzywione złością i zwierzęcym strachem twarze ludzi, o których odwadze i zdecydowaniu mógł wcześniej przekonać się sam.

— Wszystko jasne! — gorączkował się Igg, pryskając śliną. — Nieee... Niech kto chce, zostaje, ja wracam. Nie mamy tu nic do roboty, kopniemy w łopatę i nawet tego nie zauważymy, opętani tymi krasnoludzkimi sztuczkami.

— Uzgodniliśmy, że idziemy do Morii, i doszliśmy! — wrzeszczał Dowbur. — Możemy się bić i biliśmy się, jesteśmy gotowi walczyć z każdym, ale z żywym przeciwnikiem, jeśli tylko miecz może go sięgnąć! A z tymi podziemnymi widmami — nie, dziękuję bardzo, nasze ostrza do tego się nie nadają! Może czcigodne krasnoludy mają coś lepszego?!

— Dowbur ma rację, ma rację! — poparło go kilku ludzi.

Wśród nich byli również Alan, Weort i Reswald — najmłodszy, najodważniejszy i najzuchwalszy ze wszystkich. Po jakimś czasie podzielili się na dwie grupy: ludzie po jednej stronie, krasnoludy po drugiej, a pośrodku — wystraszony, oszłomiony hobbit, i ponury, poważny Torin. Wydawało się, że nie słyszy wściekłych okrzyków swoich niedawnych towarzyszy, ale widzi, jak stężały spojrzenia krasnoludów, a ich dłonie wolno zaczęły zbliżać się do broni. Gerdin krzyknął, że nie zamierza ginąć za krasnoludzkie złoto, zdobyte nie wiadomo kiedy i jak.

— Dość tych wrzasków! — rozkazał Grolf. — Zbierajmy worki i na koń! Nie mamy tu nic do roboty. I wy, krasnoludy, też. Jeśli chcecie, wracajmy razem!

Rogwold w milczeniu przygryzał wargi, opuścił głowę, palce zacisnął na rękojeści miecza. Hobbit rzucił na łowczego pełne błagania spojrzenie, Rogwold był przecież jego ostatnią nadzieją. Tymczasem ludzie rzeczywiście rzucili się do pakowania bagaży, wyciągając je z furgonów. Torin, jak poprzednio, stał w milczeniu; krasnoludy wymieniały zdziwione spojrzenia, widząc jego niezwykle spokojny. Tymczasem Rogwold podniósł głowę:

— Krasnoludy przyszły tu nie po pieniądze, czcigodny Gerdinie; spełniają swój krasnoludzki los, i nie wolno nam podejrzewać ich o chciwość. Podziemie to ich świat, i wcale nie zmuszali nas, żeby z nimi iść, ale z TYM, co nie jest z powierzchni ziemi, powinniśmy walczyć my! Nieważne, kim będzie nasz wróg,

skąd wyjdzie, ponieważ, o ile trzewia ziemi należą do krasnoludów, to cała reszta do nas, ludzi. Jak oderwiesz powierzchnię od wnętrza, dom od fundamentu? Nasz świat jest całością, i to, co dziś zagraża krasnoludom, jutro zwali się na nas, a my powinniśmy potrafić przeciwstawić się temu. Hańba nam, tropicielom, jeśli porzucimy tu przyjaciół, z którymi walczyliśmy ramię przy ramieniu! Róbcie, jak chcecie, okryjcie swoje imiona hańbą, ale beze mnie, zostaną tu nawet samotnie.

Rogwold skończył i stanął w szeregu z krasnoludami. Ludzie nachmurzyli się, drapali po głowach, odwracali spojrzenia, ktoś coś mruknął, ale tylko Igg zaczął się sprzeczać:

— Przemierzyliśmy z tobą wiele mil, Rogwoldzie, synu Mstara — zaczął — nie zarzucaj nam więc tchórzostwa! Wyjaśnij tylko, jak można walczyć z tym bladym koszmarem? Czym, skoro ja, który nigdy nie podałem w boju tyłów, nie potrafię poruszyć ani ręką, ani nogą, nie mogę unieść miecza ani zasłonić się tarczą, gdy TO się zbliża? Gdy zimno śmierci przenika do kości i czuję, że życie wycieka ze mnie niczym woda z sita? I jeszcze jedno, dlaczego uważasz, że TO zagraża naszemu światu? Przecież zrodziło się w głębi, gdzie niepodzielnie królują krasnoludy. To one swoją krzątaniną wywołały tę potworność! Więc kto ma się TEMU przeciwstawić, my czy oni? Odpowiedz!

Igg ciężko opadł na leżący obok niego worek.

— To coś nie mogło zabić Torina i Folka — odpowiedział Rogwold, nie odwracając od niego spojrzenia. — Wynika więc, że można mu się przeciwstawić. A co do tego, czy zagraża nam, popatrz dokoła! Czy porzucone wsie i zarastające niwy nie są odpowiedzią?

Wśród ludzi przetoczyły się ciche pomruki ni to zgody, ni to zdziwienia.

— Tracimy w tej chwili czas — odezwał się zwyczajnym, spokojnym tonem Torin. — Tangarowie muszą iść do Wrót, ludzie rozbijać obóz, jeśli, oczywiście, ktoś zechce zostać. Ale wszyscy i tak nie mogą zostać, jedna część naszej wyprawy dobiegła końca i pora nam wysłać wieści do Annuminas, jak to było umówione z Namiestnikiem. Wy, ludzie, musicie sami zdecydować, kto pojedzie do stolicy, a my w tym czasie spakujemy swoje toboły.

Torin, nie oglądając się, ruszył do furgonów. Za nim bez słowa podążyły krasnoludy. Ludzie zaś zbili się w ciasną gromadę, znowu dały się słyszeć ich zaniepokojone głosy, ale teraz coraz mocniej przebijał z nich wstyd. Po jakimś czasie Folko zobaczył, że Dowbur i Igg siodłają dla siebie cztery konie i przytracają sakwy. Rogwold, usiadłszy na płaskim kamieniu, coś szybko pisał na kartce żółtawego pergaminu. Pozostali ludzie stali dokoła odjeżdżających. Nieco później podeszły do nich również krasnoludy.

Pożegnali się spokojnie, z powagą, bez zbytecznych słów. Gońcy mieli przekazać Namiestnikowi list i opowiedzieć o wszystkim, co zaszło w drodze. Zamierzali ruszyć na północ nie Zieloną Ścieżką, ale na wprost, przez opuszczony

przez ludzi Eregion, a następnie wyjść na Zachodni Gościniec o kilka dni jazdy na wschód od Przygórza.

Jeźdźcy po raz ostatni pomachali rękami, w powietrzu uniół się tuman pyłu i po kilku minutach postacie na koniach skryły się w zieleni zdziczałych sadów. Za jakieś trzy tygodnie wieści powinny dotrzeć do stolicy Północnego Królestwa.

Resztę dnia wypełniła nieustanna krzątanina. Tropiciele wyszukali dla siebie odpowiednie miejsce w niewielkim parowie, gdzie stało kilka starych, ale jeszcze mocnych szop, i postanowili przysposobić je na mieszkanie; krasnoludy przepakowały swoje rzeczy w worki, wywlekły z dna furgonów narzędzia; przygotowywały pochodnie, nie zapomniano też o długich cienkich linkach, żeby rozwijać je w ciemnym podziemnym labiryncie oraz, na wszelki wypadek, wzięto duże kawałki białego wapienia, którym można rysować znaki na ścianach. Dobre dwie trzecie prowiantu przeniosło się do krasnoludzkich worków; nie można było liczyć na to, że uda się coś upolować na dole. Malec uparcie nie chciał się rozstać z pękatem antańkiem piwa; Torin długo przekonywał przyjaciela, w końcu splunął wściekły i machnął ręką; jeśli Malec chce nieść piwo na własnych plecach, niech niesie. Mały krasnolud ucieszył się bardzo i nie minęły dwie godziny, jak miał gotową uprząż, założył ją na antańka, zarzucił na plecy i raźnie przemaszerował z bagażem.

Cała ta krzątanina, biegania, pośpiech zmęczyły Folka. Siedział z opuszczoną głową obok swojego niewielkiego worka, a strach zawładnął nim ponownie; teraz ze smutkiem myślał o tym, co będzie robił pod ziemią, w tej strasznej i — jak się wydawało — rzeczywiście zasiedlonej jakimiś widmowymi potworami Morii. Z dwojga złego wolał Mogilniki, setkę upiórów zamiast tej jednej istoty! Zabawa się skończyła, po ciele hobbita przebiegał lodowaty, nerwowy dreszcz, chociaż dzień był ciepły. Folko patrzył na zieleni sadów i błękit rzeki. Ile czasu przyjdzie mu zadowalać się widokiem czarnych ścian podziemia?

W takim nastroju zastał go pętający się bez celu po obozowisku Rogwold — młodszy towarzysz nie pozwolili mu ciężko pracować. Stary setnik usiadł obok hobbita i delikatnie położył mu dłoń na ramieniu.

— Jesteś na rozdrożu, mały — powiedział ze smutnym uśmiechem. Folko drgnął. Głos Rogwolda brzmiał jak głos leciwego starca, pojawiły się w nim nieznanne dotąd hobbitowi delikatne nutki. — Posłuchaj, mały, posłuchaj człowieka, który wiele widział i wiele przeżył. Nie idź tam.

Folko rzucił krótkie spojrzenie na starca i opuścił oczy. Rogwold dokładnie odgadł jego myśli.

— Pozostaw krasnoludom to co krasnoludzkie — ciągnął setnik. — Jesteś hobbitem, ty i twoi współplemieńcy jesteście bliżsi ludziom niż to dziwne podziemne plemię. Co ty będziesz tam robił? Jak im pomożesz? A tu jesteś nam potrzebny, bardzo potrzebny! Kto lepiej niż ty potrafi poruszać się po lesie? Kto

lepiej strzela z łuku? Czekają nas tu niełatwe dni, ale i tak łżejsze niż tam, na dole... No i jeśli zginiesz, nigdy sobie tego nie wybaczę, synku.

Łowczy zamilkł i odwrócił twarz. Folko siedział skonfundowany, czuł się niezręcznie i niepewnie. O czym mówi Rogwold? Jakże nie chce się iść... Jednak właśnie w tej chwili hobbit zdecydował się. Nie do pomyślenia, żeby tu pozostał, zwłaszcza po tej rozmowie, po prostu nie może! Skazałby siebie na wieczne męki wyrzutów sumienia.

— Powiniennem iść, Rogwoldzie — wykrztusił.

Setnik, wciąż zapatrzony gdzieś w bok, drgnął.

— Cóż... — rzekł wolno. Odwrócił się do hobbita i kilka chwil patrzył mu prosto w oczy; Folko wytrzymał to spojrzenie, łowczy opuścił głowę. — Cóż, ty też stałeś się niewolnikiem słowa... — Nagle wyprostował się gwałtownie. — Ale skoro zdecydowałeś, idź. Tylko pamiętaj, pójdę za tobą wszędzie, żeby cię wyciągnąć.

Rogwold odwrócił się i pomaszerował dokądś, wysoki, wyprostowany, poważny, wcale jeszcze nie stary. Hobbit otarł pot z czoła.

Wieczorem, kiedy słońce zaszło i dolina utonęła w przedwieczornym zmroku, nagle okazało się, że wszystko zostało przygotowane i krasnoludy nie mają już co robić na powierzchni. Byli w rozterce, wpatrując się w olbrzymie urwiska, oświetlone purpurową wieczorną zorzą; stało tam kilka potężnych dębów widocznych teraz szczególnie wyraźnie, a między nimi znajdowały się Wrota.

— Idziemy?! — rzucił Torin na poły pytająco, na poły twierdząco.

Krasnoludy, popatrując na siebie i cicho rozmawiając, zarzucały na plecy potwornie ciężkie wory. Ludzie im pomagali, zapanował rozgardiasz, ale wszystko zostało załadowane i oddział krasnoludów zgrupował się, teraz już niecierpliwie zerkając na Torina. Ten westchnął głęboko i dał znak uniesioną ręką:

— Ruszamy!

Ciasną grupą pomaszerowali w stronę Wrót. Ludzie szli obok, Folko jeszcze raz przechwycił błagalne spojrzenie Rogwolda i pospiesznie odwrócił wzrok. Przeszli jak pod łukiem — nad ich głowami stykały się korony stuletnich dębów, a droga wbiła się w gładkie skaliste urwisko, w szarą kamienną ścianę jednego z olbrzymów Gór Mglistych. Dalej nie było już drogi. Torin odwrócił się do Moriańskiej Ściany, uniósł prawą rękę i głośno, wyraźnie powiedział:

— Mellon!

Szarą gładką powierzchnię skały przecięły w różnych kierunkach cieniutkie srebrzyste linie, które splotły się w znany Folkowi i Torinowi wzór z gwiazdą Feanora i herbem Durina, młotem i kowadłem. Jednakże kamienne wierzeje Wrót nie poruszyły się. Krasnoludy osłupiały.

— Mellon! — jeszcze głośniejszym głosem wykrzyknął Torin, przyciskając zaciśnięte pięści do piersi.

Rozległ się głuchy podziemny łoskot, powierzchnię kamienia w centrum rysunku przecięła wąska czarna szczelina, rysująca krawędzie skrzydeł, ale Wrota pozostały zamknięte.

Krasnoludy rzuciły worki, zgrupowały się wokół Torina. Ludzie, zdumieni i zaniepokojeni, wymieniając niespokojne spojrzenia, półkolem stanęli za ich plecami. Wiele razy Torin powtarzał magiczne słowo, Moria odpowiadała przygłuszonym łoskotem, ale Wrota nie otwierały się. W końcu ogarnięty rozpaczą Torin odwrócił się i usiadł na kamieniach, opuszczając głowę. Zaległa przytłaczająca cisza.

W pierwszej chwili wszyscy zwrócili się do krasnoludów z Morii, ale Dwain i Gloin rozłożyli ręce. Coś się stało z powstałym już w dniach Drugiej Epoki dziełem krasnoludów i elfów; droga do Morii była zamknięta.

— Może są zamknięte od wewnątrz? — nieśmiało odezwał się Dorin, jednakże Gloin pokręcił głową.

— Kiedy zasuwy są opuszczone, ten występ powinien być ukryty — dotknął palcami skały — a wystaje, jak zwykle. To coś innego...

— A co? — rzucił Dorin.

— Kto wie, może osłabła moc elfijskiego zaklęcia? — odparł Gloin. — Tylko dlaczego? Dwanaście lat temu, gdy opuszczaliśmy Morię, wszystko było jak zwykle.

— No to co, idziemy z powrotem? — zapytał któryś z tropicieli.

Mrok gęstniał. Słońce utonęło w otulających zachodni horyzont kosmatych chmurach, nastąpił krótki południowy zmierzch, w wyrwie obłoków pokazały się pierwsze gwiazdy. Wszyscy przestępowali z nogi na nogę przed Wrotami, nie wiedząc, co robić, krasnoludy zbyt dobrze znały potęgę swej twierdzy, by próbować przebić się do jej wnętrza siłą.

I nagle z szeregu krasnoludów wystąpił Hornborin. Miał skamieniałą twarz, błyszczące oczy, szedł wolno w kierunku Wrót, jak na spotkanie śmiertelnego wroga; władcym gestem wyciągnął przed siebie rękę; hobbit zobaczył złociście światło, jakim, na krótką chwilę, rozjarzył się pierścień na palcu krasnoluda. Światło rozbłysło i zniknęło, a Hornborin przysiadł, jakby zwałono mu na plecy potworny ciężar, ale cofnął rękę, jakby chwycił za niewidzialną klamkę. Niezbyt głośno wypowiedział „mellon” i nagle z trzech dziesiątków gardeł wyrwał się radosny okrzyk. Wierzeje poruszyły się i nieco rozsunęły! Szczelina rozszerzyła się i pogłębiła, a Hornborin, oblewając się potem, wciąż ciągnął skrzydła do siebie, pierścień na jego ręku lśnił, a czarny kamień zaczął promieniować słabym światłem. Wrota otworzyły się jeszcze trochę, w szparę można już było wsunąć palec, ale w tym momencie coś się stało z Hornborinem: nagle znieruchomiał, zachwiał się... Wierzeje zaczęły się zamykać.

W tym momencie hobbit podbiegł do Wrót; działał instynktownie, jak we śnie, a może po prostu niespodziewanie poczuł ciepło przenikające przez wiszący na

piersi sztylet ozdobiony błękitnymi kwiatami, i cudownym sposobem zrozumiał, że powinien coś zrobić. Jakaś siła pchnęła go w kierunku Wrót, przypadł do czarnej szczeliny całym ciałem.

Sztylet z Gundabadu sam znalazł się w jego ręku, błyszczące niebieskim światłem ostrze wśliznęło się w szczelinę, Folko przejechał nim od góry do dołu i Wrota znowu zaczęły się otwierać. Coraz mocniej i pewniej ciągnął je do siebie Hornborin, a gdy sztylet znalazł się na poziomie oczu hobbita, coś skrzypnęło za wierzejami, szczęknęło głucho i skrzydła rozwarły się, odrzucając i Folka, i Hornborina. Gdyby hobbit stał nieco dalej, a krasnolud nieco bliżej, wierzeje zmiażdżyłyby im głowy. Jednakże skończyło się na kilku stłuczeniach i siniakach.

Krasnoludy oraz ludzie, zapomniawszy nawet o Wrotach, rzucili się na pomoc leżącym; hobbit i krasnolud podnieśli się w końcu, i dopiero teraz wszyscy, jak na komendę, zamilkli i odwrócili głowy. Wrota Morii ziały mrokiem niczym przepaść bez dna. Za nimi widniał wysoki łuk, a dalej wszystko tonęło w nieprzeniknionej czerni.

Gloin i Dwalin przekroczyli próg, płomień ich pochodni rozświetlił mrok za czarnym łukiem i zobaczyli niewielki placyk, a za nim podwójne szerokie, strome schody. Starannie obejrzeliby rozwarte wierzeje od środka i nie znaleźli niczego szczególnego; nie wiadomo było nadal, dlaczego Wrota nie chciały się otworzyć.

Teraz przed nimi było otwarte wejście do Czarnej Otchłani. Przełożyli przez ramiona pasy ciężkich tobołów, trzeszczały rozpalające się smolne pochodnie. Krasnoludy stłoczyły się na progu, ludzie cofnęli się nieco; między dwiema grupami zawsze istniała owa niewidzialna, ale wyraźnie wyczuwalna krecha, która zawsze dzieli odchodzących i pozostających. Nagle Rogwold zrobił gwałtowny krok naprzód, pochylił się i objął hobbita.

— Pilnuj się — powiedział cicho stary setnik, wyprostował się gwałtownie i wycofał.

Folko przez chwilę dreptał w miejscu przed progiem Morii, ale w tym momencie Torin wysoko uniósł syczącą, tryskającą iskrami pochodnię i pewnie ruszył pod pierwsze sklepienie; za nim pospieszyli inni, Folko szedł na końcu. Torin, Gloin i Dwalin wchodzili po stopniach, hobbit obejrzał się ostatni raz.

W czarnym półowalu wieńczącego Wrota łuku, w ostatnich promieniach zachodu, w szarym świetle nadchodzącej nocy stali tropiciele, unosząc ręce w ostatnim pożegnalnym geście. Kto wie, jak długo potrważą ich podziemne wędrówki?

Hobbit potknął się o pierwszy stopień i pospiesznie odwrócił — tu nie można było się zagapić. Usiłował wygodniej rozłożyć ciężar na plecach; odciągał szelki rękami, korzystając z tego, że nie miał pochodni. Musiał natomiast trzymać się blisko pełgającej plamy światła z pochodni Brana, który go wyprzedzał. Nie myślał o niczym, liczył stopnie i sapał, oblewając się potem, zapomniawszy na jakiś czas o wszystkich swoich lękach.

Pokonawszy schody, krasnoludy stanęły przed długim łukowatym korytarzem. Przemierzano go w milczeniu, tylko z przodu od czasu do czasu dochodziły ciche głosy Gloina i Dwalina, którzy wymieniali jakieś niezrozumiałe uwagi. Teraz Folko maszerował przedostatni; chwilę wcześniej Bran obejrzał się i nachmurzywszy, przepuścił hobbita. Wkrótce minęli pierwsze rozwidlenie i w świetle pochodni Folko zobaczył jedne schody prowadzące w dół, drugie w górę. W głębi za nimi majaczyły ledwo widoczne zarysy korytarzy. Chwilę potem owionął ich słaby, ale wyczuwalny strumień chłodnego powietrza. Hobbit przypomniał sobie, że w skałach nad Morią wyrąbane zostały liczne szyby wentylacyjne. Na razie wędrowali szlakiem Drużyny Pierścienia; pamiętając opis z Czerwonej Księgi, Folko zdziwił się, dlaczego na ich drodze nie ma szczelin, których tak się bał Peregrin. Od czasu do czasu skądś z dołu dochodził plusk wody, która płynęła niewidzialnymi chodnikami; raz przeszli po prawdziwym moście, przerzuconym przez głęboką jaskinię, której sklepienia nie sięgało światło pochodni.

Jak zapowiadała Czerwona Księga, tunel łagodnie skręcił i zaczął się wznosić, a także rozgałęziać. Zwolnili. Folko zauważył, że prowadzący drużynę Moriańczycy częściej zatrzymują się na rozwidleniach, a zamykający pochód od czasu do czasu robi znaki na ścianach. Hobbit, mimo że jego lud przywykł do życia pod ziemią, dawno zginąłby w tym labiryncie; z trudem utrzymywał w myślach kierunek — najpierw szli na północ, teraz zaczęli skręcać na wschód.

Porównując to, co widzi, z informacjami zawartymi w Czerwonej Księdze, Folko kolejny raz przekonał się, jaki ogrom pracy i starań włożyły krasnoludy, żeby załatać wszystkie szczeliny, wyłożyć podłogi gładkimi płytami i przekształcić ponure pieczary w sale, których sklepienia zdobiły górskie kryształy. Minęli amfiladę takich sal, chyba pięć jednakowych, jak wydawało się hobbitowi. Nieoczekiwanie skręcili z szerokiego korytarza i zaczęli wspinać się po stromych schodach. Zeszli ze szlaku Drużyny Pierścienia i szli pod górę.

Podejście trwało długo. Z każdego placyku oddzielały się wciąż nowe przejścia, wąskie i kręte. Ciężar na plecach hobbita coraz bardziej go przytłaczał. Oczy zalewał mu żrący pot, szelki werżnęły się w ramiona. Kiedy zaczął odczuwać zawroty głowy, zrozumiał, że dziś już daleko nie zajdzie.

Jednakże krasnoludy zauważyły to i natychmiast zarządziły postój. Zatrzymali się na jednym z balkonów, z którego prowadził i ginął w nieprzeniknionym mroku wąski, niedbale obrobiony korytarz. Kilka kroków od balkonu zakręcał; światło pochodni oświetlało szarą powierzchnię zaokrąglających się przy podłodze i suficie ścian. Gloin i Dorin poszli na zwiady; kiedy wrócili, Moriańczyk wyglądał na zadowolonego.

— Trafiliśmy akurat tam, gdzie należało — powiedział, siadając. — To jedne ze schodów prowadzących z Pierwszego Poziomu na Siódmy. Siódmy Poziom był zamieszany, jak i Szósty. Sztolnie zaczynają się pod Pierwszym. A balkony, czyli spoczniki, to odgałęzienia prowadzące do magazynów. Musimy wejść na Siódmy

Poziom i dojść do Komnaty Kronik, która teraz się znajduje obok mogiły Balina, syna Fundina.

Folko usiłował wyobrazić sobie, gdzie to może być, ale nie potrafił; z Czerwonej Księgi wynikało, że Drużyna Pierścienia szła do Komnaty Kronik dwa dni, oni natomiast szli dopiero kilka godzin.

Zapadła cisza. Szczerze mówiąc, hobbit oczekiwał jakichś uroczystych, pasujących do okoliczności przemówień Torina, Gloina czy Hornborina, jednakże krasnoludy tylko zrzuciły z ramion worki, porozkładały się pod ścianami i zapaliły. Folko wiercił się niecierpliwie, a jego towarzysze wyglądali, jakby weszli nie do wielkiego Moriańskiego Królestwa, Khazad-Dumu, tylko do jakiejś mizernej oberży gdzieś między Przygórzem i Górami Mglistymi. Ktoś rozwiązał i puścił w koło zawiniątko z suszonymi owocami, ktoś odszpułował manierkę. Folko już zamierzał zapytać Hornborina o to, co pomogło mu otworzyć wierzeje, gdy nagle przypadkowo popatrzył w dół, w czarną głębię wydającej się nie mieć dna sztolni schodów i za krawędzią drżącego światła pochodni zobaczył wolno unoszące się do góry błękitnawe lśnienie, zimne, podobne do nieoczekiwanej ożywionej i pełzającej do góry studziennej wody. W tej samej chwili, zapomniawszy o wszystkim, wrzasnął rozpaczliwie i rzucił się w bok; nic już nie widział i nie rozumiał. Jego wola zgasła, ślepy bezkształtny strach pogonił go przed siebie, zanim zrozumiał, czego się boi... Przed oczami mignęły mu ściany korytarza, i hobbit z całego rozpędu uderzył pierś w kamienne drzwi, które zamykały przejście. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa, opadł na szorstką podłogę i zwinął się w kłębek, osłaniając rękami głowę. Czyjeś ręce pochwyciły go, jakieś głosy rozlegały się dokoła, ale Folko niczego już sobie nie uświadamiał. Ktoś przyłożył mu do czoła dłoń i hobbit poczuł się nieco lepiej; jakieś dziwaczne sceny przemykające przed oczami z ogromną prędkością ustąpiły miejsca ponurym sklepieniom korytarza; dostrzegł też Torina, który zatroskany pochylał się nad nim.

— Tak, znowu coś z Głębin — wyszeptał krasnolud, odpowiadając szybko na niezadane pytanie.

Dłoń Torina przesunęła się na tył głowy hobbita, który teraz mógł się rozejrzeć. Paniczny strach powoli ustępował, ale ręce Folka nadal drżały. Z trudem odwrócił głowę. Gloin i Dwalin już otworzyli drzwi, o które walnął z rozbiegu; za nimi pochodnie skąpo oświetlały przestronne puste pomieszczenie z niskim sufitem. Hobbit z trudem przeniósł wzrok na spocznik; dokoła niego zgrupowali się gotowi do walki przyjaciele, a na samym końcu korytarza stał Hornborin, z wysoko uniesioną pochodnią w jednej ręce i opuszczonym toporem w drugiej. Lśnienie znikło, ale strach, który również zeszklił oczy znajdującego się obok hobbita Malca, nie mijał tak szybko.

Upłynęło sporo czasu, zanim doszli do siebie po tym wydarzeniu. Nie wdając się w długie rozmowy, Gloin i Dwalin szybkim krokiem poprowadzili wszystkich

do góry; Hornborin zamykał teraz pochód, a krasnoludy zerkały na niego z zainteresowaniem, szacunkiem i nieco bojaźliwie.

Naliczyli niemal trzysta stopni prowadzących do góry, zanim schody nieoczekiwanie się skończyły. Pod hobbitem ugięły się kolana, ale za żadne skarby nie zgodziłby się teraz zatrzymać na popas tu, przy tej mrocznej przepaści, w której ginęły niemające końca schody. Wyszli na szerokie i wysokie przejście, i ku swojemu zdumieniu hobbit odkrył, że ciemność tu nie jest tak nieprzenikniona jak na niższych poziomach. Przestronną galerię zalewało miękkie różowe światło zachodu słońca; okazało się, że gdzieś w skałach wyrąbane są okna. Drużyna ruszyła korytarzem na południe, jak zrozumiał Folko, wzdłuż krawędzi Moriańskich Skał. Z lewej strony co chwila napotykali puste sale, szeregi niskich kamiennych drzwi, w galerii natrafiali na zęcznie obrobione ławki. Liczne drzwi prowadziły do pomieszczeń mieszkalnych. Zajrzeli do jednego z nich.

Pochodnie oświetliły przestronną komnatę z wysokim sufitem; wspaniale obrobione skamieniałe strugi, zwisające z sufitu, przypominały bajkowe potwory, które nagle wysunęły z kamieni połyskujące w świetle głowy. Pokryte misternymi wzorami białe płyty kontrastowały z szarym i z czarnym żyłkowaniem. Wysoko nad drzwiami widniało wąskie łukowe okno. Wzdłuż ścian ciągnął się szereg głębokich nisz; pośrodku stał duży kamienny stół, jego blat był rozłupany i kawałki walały się po podłodze. Nisze wypełniały stopy porzuconych w pośpiechu ubrań wymieszanych z narzędziami, miednicami, kuframi, drewnianymi ławkami i połamanymi krzesłami, jakby ktoś w ataku szału tłukł nimi o ściany. Gliniane garnki i szklane naczynia przemieniły się pod czyimiś ciosami w kruszywo, dywany, którymi niegdyś nakrywano kufry, były pocięte na kawałki, a ciemnopurpurowe strzępy porozrzucane po całej jaskini.

Oszołomione krasnoludy przemierzały pomieszczenie od ściany do ściany i w każdej z nisz było podobnie. Ktoś znalazł stertę rozbitych zabawek; rozdeptane odłamki glinianych oraz drewnianych lalek i ze szczególną nienawiścią połamane na kawałki małe miecze i tarcze.

Gdyby zajrzeli do jaskini tylko od progu, pewnie odeszliby spokojnie, uznawszy, że bałagan w komnacie jest wynikiem pospiesznej ucieczki. Jednak teraz wszystkie wątpliwości zniknęły; ktoś zły, tępy i mściwy, wykorzystując nieobecność gospodarzy, okazał swą do nich nienawiść, niszcząc naczynia i zabawki. W ten sposób zaznaczył też swoją obecność.

Krasnoludy, z poszarzałymi twarzami, ciężko dysząc z gniewu, sprawdzały jedną jaskinię po drugiej — wszędzie chaos, pogrom, ruina. . .

Tymczasem nad Śródziemniem zapadła lekka letnia noc, światło w galerii zgasło całkowicie, znowu trzeba było zapalić pochodnie; postanowili, że dzisiaj już nie pójda do zachodniego odgałęzienia północnego skrzydła, gdzie znajduje się Komnata Kronik. Wyszukawszy niewielką przytulną jaskinię ze sklepionym sufitem, który podtrzymywany był szeregiem rzeźbionych kolumn, zdecydowali

się na nocleg. Znalazł się tu i stół, i szerokie skrzynie z płaskimi wiekami, które mogły służyć za łoża, a — co najważniejsze — obok w galerii pod kamiennym, misternie rzeźbionym daszkiem biło ze skały źródło. Struga kryształowo czystej wody, tak zimnej, że aż bolały od niej zęby, spadała do kamiennej misy, skąd brał początek wyłożony białym kamieniem wodociąg, który znikał w kamiennych trzewiach gór, płynąc w dół, na niższe poziomy.

Rozpalili ogień i zjedli w pośpiechu, potem zalali płomień, który mógł zdradzić ich obecność. Pochodnie zgaszono, tylko w ciemnościach słabo migotał znaleziony wcześniej przez Malca miedziany kaganek, zalany olejem ze znalezionej butli. Były to jedyne dwa ocalałe przedmioty, na jakie natrafili wśród odłamków.

Kamienne drzwi zamknięto od środka ciężką stalową zasuwą; jak wyjaśnił Gloin, zwyczaj zamykania wewnętrznych drzwi zrodził się po pierwszych oznakach niepokoju na Głębokich Poziomach. Potem zsunęli kufry i zaczęli rozmawiać; mieli wiele spraw do omówienia.

Po pierwsze, wszystkie krasnoludy, jakby pękła tama powstrzymująca ich ciekawość, zarzuciły gradem pytań hobbita i Hornborina, próbując wyjaśnić, co się stało w dotąd bezbłędnie działającym mechanizmie Wrót. Hornborin został zmuszony do pokazania pierścienia.

— Opowiadaj wszystko. — Dorin położył mu rękę na ramieniu. — Coście tam obaj wyczyniali przy Wrotach?

Zadał pytanie lekkim tonem, ale hobbit wyraźnie wyczuwał w jego głosie napięcie. Hornborin rozłożył ręce i jakby dostosowując się do gry Dorina, odpowiedział przygnębionym tonem:

— Cóż, widzę, że niczego nie da się ukryć przed wami. Będę musiał się przyznać i liczyć na wasze miłosierdzie. Wszystko przez ten pierścień!

Zapadła cisza. Folko poczuł chłód w piersi, na jego oczach odżywała Czerwona Księga!

Hornborin drgnął, pogłaskał brodę, jakby zbierał myśli. Ostrożnie zdjął pierścień z palca i położył na środku stołu. Hobbitowi wydało się, że mrok na mgnienie oka zniknął, znikły ściany, i góry stały się przezroczyste jak szkło, jakby patrzył przez kamień, widząc jednocześnie cały olbrzymi splot moriańskich korytarzy; tylko najgłębsze poziomy zakrywała purpurowa zasłona. Tu, na górze, wszystko nagle wydało się przyjazne, zamieszkane i bezpieczne, na dole zaś królowała wściekła nienawiść.

Folko nie zdążył zastanowić się nad swoimi widzeniami, zbyt szybko wszystko przemknęło; w tej chwili wpatrywał się w pierścień, w głębinach czarnego kamienia ledwo widoczna była drobnutka iskierka, jakby blask bardzo odległego paleniska. A Hornborin mówił i jego słowa układały się w bajkową opowieść, i przeszłość stawała się jawą, odżywała przed oszołomionym hobbitem. . .

Hornborin otrzymał pierścień od swojego ojca, ten, z kolei, od swego dziadka. Umierając, stary krasnolud kazał usunąć się wszystkim stojącym przy łożu śmier-

ci, zostawił tylko Hornborina, swego starszego syna. Ojciec opowiedział Hornborinowi, że jego dziad był jednym z tych nielicznych zuchwałych krasnoludów z Gór Mglistych, którzy chadzali na Dol Guldur z elfami — władcami Lorien, kiedy Pani Galadriela rozbiła w pył miry mrocznej twierdzy Nazgulów. Ciekawskie krasnoludy następnego dnia po zwycięstwie wybrały się na gruzy; wśród zburzonych ścian dziad Hornborina, naonczas jeszcze zupełnie młody krasnolud, zobaczył czarne wejście do jakiegoś podziemia i nie zastanawiając się długo, wszedł do wnętrza. Przez dziury w dachu do wnętrza przenikało światło, a na podłodze wśród odłamków zauważył wspaniały, błyszczący jak gwiazda pierścień. Nie potrafił oprzeć się pokusie i podniósł go, a włożywszy na palec, nie zdołał już zdjąć. Jednakże królowa nie mogła nie zauważyć znaleziska i, według ojca Hornborina, powiedziała dziadowi, że jego zdobycz jest, być może, jednym z siedmiu krasnoludzkich Pierścieni, dokładniej, jednym z trzech ocalałych, ponieważ pozostałe cztery zniszczyły smoki. Trzy zachowane wpadły w ręce Nienazwanego, i nikt nie wie, jak i do czego ów ich użył. Ze słów Galadrieli wynikało, że pierścień Hornborina kiedyś należał do Throra, jednego z ostatnich władców Królestwa Pod Górą, pana Samotnej Góry. Jego wnukiem był osławiony Torin Dębowa Tarcza, towarzysz Bilbo Bagginsa!

— Kto wie, jak to było naprawdę — ciągnął półgłosem Hornborin. — Kto wie, jak w rzeczywistości wszystko się odbyło, ale tak czy inaczej, przez długie lata nosiłem pierścień i nie zauważyłem w nim nic szczególnego. Znam to stare elfijskie zaklęcie: „Trzy pierścienie dla królów elfów pod sklepieniem nieba. Siedem dla krasnoludów, królów w kamiennej koronie. Dziewięć ludziom, tym, co zginą wraz ze swym ludem, a jeden dla władcy na przeklętym tronie...”. I to, co dalej o Mordorze. Ale trzy elfijskie, trzy najpiękniejsze pierścienie straciły swą moc, a ich właściciele odeszli na zachód. Z pewnością, tak uznałem, straciły również moc pierścienie krasnoludów. Ale okazało się, że nie... — Rozłożył ręce. — A pod Wrotami jakby mnie nagle coś użądliło. — Pokręcił głową, siłąc się, żeby wypowiedzieć to, czego nie da się wypowiedzieć. — Ciągnąłem do siebie Wrota z całych sił, ale bez hobbita nie dałbym rady. Coś ty zrobił, Folko?

— Poczekaj, najpierw wyjaśnijmy, jak to jest z pierścieniem. — Torin zmarszczył czoło, stuknął dłonią w stół. — Jeśli to jest naprawdę Pierścień Krasnoludów, jaką ma moc? I jeszcze jedno. Kto i kiedy go wykuł? Wróg czy nie? Śmiertelny, nałożywszy jeden z pierścieni, powinien stać się niewidzialny... A tu co? Lecz najważniejsze jest ustalenie, czyje ręce go stworzyły. Jasna czy ciemna wola?

— Czyjakolwiek, pierścień okazał swą moc — zauważył Wjard. — Jeśli to jeden z Siedmiu, kto wie, czy nie z powodu bliskości do serca naszego świata, świata tangarów, odżyła w nim część starej mocy?

— Ale na czym polegała ta moc? — odpowiedział pytaniem na pytanie Hornborin, ściskając głowę rękami. — W żadnej z naszych legend nie mówi się o jego mocy!

Zapadła cisza. Bezszelestnie migotał płomyk kaganka, w ciemnościach ledwo można było dojrzeć twarze najbliższej siedzących. Hornborin odezwał się ponownie:

— Kiedy z dołu zaczęło się podnosić to sine lśnienie i poczułem się nieswojo, pomyślałem nagle, że mogę jakoś się temu przeciwstawić. Kiedy wszyscy uciekli, ja zostałem, chociaż w środku dygotałem, po prostu stałem, a lśnienie nagle zatrzymało się, zaczęło opadać i znikło. Wtedy zrozumiałem, że to znowu sprawa pierścienia. Nie poczuliście, jak rozwiął lęk?

— Słusznie. — Torin skinął głową po chwili namysłu.

— Cóż, przyjaciele, to dobry znak! — Krasnolud wyprostował się. — Skoro odżyła część naszych starych sił, niech więc posłużą nam za tarczę przeciw Koszmarowi Głębin, przeciw Demonowi Mocy! A przecież coś ma także hobbit! Bez niego Wrota by się nie otworzyły! Jak tego dokonałeś?

Hobbit powiedział, jak było. Wszyscy chcieli obejrzeć sztylet, a Folko niespokojnym i bezmyślnym spojrzeniem wodził po twarzach krasnoludów; gdy tylko zdjął sztylet, poczuł się dziwnie nieswojo. Krasnoludy cmokały, drapały paznokciami po klindze, wyginały sztylet i skonfundowane zwróciły go Folkowi. Jak i owi nieliczni, którzy widzieli sztylet w nocy po spotkaniu Folka i Torina z Olmerem, nikt niczego nie potrafił o nim powiedzieć.

— Jakby czyjaś wola trzymała Wrota — powiedział w zamyśleniu Gloin, podając hobbitowi sztylet. — Chciałbym wiedzieć czyja...

— Zejdziemy na dół, to się dowiemy — rzucił zdecydowanie Torin. — A co powiecie o tym? — Zatoczył ręką koło, wskazując niewidoczne w mroku ściany.

— Tylko jedno: mamy tu w Morii wroga — rzucił bez wahania Dwalin. — Czujemy obcy zapach od chwili, gdy wkroczyliśmy na Most Durina, a teraz wątpliwości zostały wyjaśnione, tu harcowali orkowie!

Wszyscy rozumieli, że nie można schodzić na głębokie poziomy, mając za plecami mocnych i licznych nieprzyjaciół. Po długich sporach postanowiono, że będą korzystali z tajnych przejść. Rozmowy mogłyby się ciągnąć bez końca, ale zaprotestował przeciwko temu Malec:

— Wystarczy już! Noc minie, rano poradzi — ziewnął szeroko. — Lepiej kładźmy się spać, rano poszperamy po innych poziomach, to może jeszcze coś zobaczymy? A teraz, jeśli jeszcze raz ziewnę, chyba rozerwę sobie gębę aż do uszu. Róbcie, co chcecie, ale ja się kładę.

Krasnoludy pokrzątały się jeszcze przez chwilę i ułożyły do snu. Balin i Skuldulf stanęli na warcie w zewnętrznym korytarzu. Folko wiercił się chwilę na twardej kufrze, póki czarna pustka nie połknęła i jego.

Noc minęła spokojnie. Czterokrotnie zmieniały się strażę, i nie na próżno. Przed świtem Gloin i Hornborin zauważyli ognik pochodni w odległym końcu korytarza; niosący ją skręcił w jedną z licznych poprzecznie prowadzących galerii. Sądząc po beztrosce tych, którzy tam byli, albo nie wiedzieli jeszcze o obecności

krasróludów, albo manewr Gloina i Dwalina zbił z tropu przeciwników, którzy mogli sądzić, że drużyna od razu zaczęła schodzić w dół. Trzeba było to wykorzystać, im prędzej, tym lepiej.

Krasróludy gorączkowo uzbrajały się, sprawdzały osadzenie toporów i siekier, wytrzymałość czekanów i buzdyganów oraz łańcuchów w kolczastych kścieniach. Każdy z nich taszczył broń. Twarze przyjaciół Folka znikwały za stalowymi przystonami hełmów, długie kolczugi przykryły ich piersi. Niektórzy mieli nawet niewielkie okrągłe tarcze. Uzupełniwszy ekwipunek o gruby pęk pochodni, zamknęli drzwi do swojego czasowego schronienia, a Gloin schował klucz. Rozciągnąwszy się w długi łańcuch, ruszyli na północ, tam gdzie migotał w nocy ogień cudzej pochodni.

Na czele maszerował Gloin, obok niego Hornborin, Torin i niecierpliwy, wojowniczy Dorin; pochód zamykali Bran, Balin i Dwalin. Folko znalazł się w środku obok Skidulfa i Strona. Za plecami hobbita rozlegało się lekkie sapanie Malca.

Pokonywali korytarze krótkimi przebieżkami z jednego ukrycia do drugiego; Folko trzymał w pogotowiu łuk, kilku krasróludów miało napięte kusze. Tak minęło pół godziny; niebo na zachodzie pozostawało jeszcze szare, ale do galerii wpadało sporo światła, co ułatwiło marsz.

Wkrótce skończyły się mieszkalne jaskinie, pojawiły się obszerne sale na przemian z czarnymi wlotami korytarzy. Krasróludy podwoiły środki ostrożności, Gloin i Torin po kolei przypadali uchem do podłogi, zamierali na długą chwilę, a inni stali nieruchomo, wstrzymując oddech. Za którymś razem Gloin oświadczył, że słyszy słaby odgłos kroków na szóstym poziomie, pod nimi.

— Idziemy na dół — rzucił. — Dwalin, gdzie jesteś? Chodź tu, trzeba znaleźć schody.

— Bardziej na prawo, na prawo, oślepleś, czy co? — odezwał się zrzędlawie Dwalin. — Naciśnij tę czarną żyłkę...

Gloin w milczeniu przejechał ręką po skale, rozległo się ciche skrzywienie i płyta opadła, odsłaniając wyjście na wąskie strome schody. Krasróludy wtopiły się w czerń.

— Nie zapalać pochodni — uprzedził Gloin. — Trzymajcie się ścian, tu nie ma nisz.

Hobbit naliczył ponad setkę stopni, zanim poczuł na twarzy słaby, ale świeży podmuch; weszli do dużej sali, słabo oświetlonej światłem z jedyne go okna tuż pod sklepieniem sufitu. Wychodziło stąd pięć korytarzy. Gloin i Dwalin rzucili się do ciemnych wejść. Po kilku sekundach Dwalin przywołał towarzyszy.

— Idą tu — wyszeptał łamiącym się głosem. — Nie mają gdzie uciec, tutaj zbiegają się wszystkie przejścia tej części poziomu.

— Rozejdźcie się! — polecił Torin. — Jeśli jest ich dwudziestu, trzydziestu, uderzamy, jeśli więcej, przepuszczamy. Malec! Trzymaj się bliżej Folka!

Torin chciał coś jeszcze powiedzieć, ale z głębi korytarza rozległo się wyraźne tupanie i krasnoludy pospiesznie się ukryły. Hobbit sprawdził cięciwę i wyjął dwie strzały z kołczana.

Minęło kilka męczących minut; Folko dostrzegł bojowy ogień w oczach przycazonego obok Malca. Pozostałe krasnoludy przywarły do granitowych ścian sali, znikły w szarej mgłę; ani skrzypnięcia, ani błysku światła. Na podłogę padły pierwsze odblaski światła pochodni, i po krótkiej chwili czoło oddziału orków ukazało się w korytarzu. Folko widział orków po raz pierwszy w życiu i na króciutką chwilę zapomniał o wszystkim, wpatrując się w nich szeroko otwartymi oczami.

Wysocy, barczyści, długoręcy, orkowie szli bezładnie, wszyscy z tarczami i krzywymi jataganami, w niskich rogatych hełmach, które różniły się od krasnoludzkich, wysokich i szczelnych; szerokie, płaskie twarze orków były odsłonięte. W skąpym świetle nie dało się obejrzeć dokładnie ich ubrań. Orków było niewiele ponad dwudziestu.

— Haza-ad! — uleciało pod sufit i odbiło się od niego dźwięczne zawołanie krasnoludów Północnego Świata.

W tej samej sekundzie ściany, zdało się, wypchnęły ze swego wnętrza starych gospodarzy Khazad-Dumu, i stare skały kolejny już raz usłyszały dźwięczny szczęk szabel orków i krasnoludzkich toporów.

Jaskinia od razu wypełniła się potwornymi wrzaskami i piskami; krasnoludy rzuciły się do ataku w milczeniu. Pojawiwszy się ze wszystkich stron naraz, zbijali orków w ciasną grupę, spychając ich do kąta sali bez wyjścia.

Otrząsnąwszy się z zaskoczenia i widząc, że Malec już rzucił się do przodu, Folko puścił cięciwę. Duży ork z pochodnią uderzył głową w podłogę. Hobbit nie widział, co się dzieje z innymi krasnoludami; widział tylko Malca.

Otoczeni orkowie bili się z zawziętością, jakiej Folko nie oczekiwał od tego plemienia, ale dzisiaj bój był wyrównany, jeden na jednego; dzisiaj los sprzyjał krasnoludom, mistrzom pojedynków, a orkowie nie zdążyli ustawić osłony z tarcz.

Hobbit naciągał cięciwę elfijskiego łuku z taką częstotliwością, jakiej wymagało znalezienie celu; ani jedna strzała nie zmarnowała się. Malec, z mieczem w jednej ręce i dagą w drugiej, nie dopuszczał blisko hobbita orków, którzy szybko zauważyli strzelającego bez pudła łucznika. Dziwne uczucie ogarnęło Folka: jego umysł cudownym sposobem rozjaśnił się, teraz wszystkie decyzje podejmował szybko i łatwo. Wyszukiwał kolejnego orka, określał poprawkę, a jednocześnie widział, jak błyszczący miecz w ręku Malca: oto ork, zasłaniając się tarczą, macha jataganem, ale ruch dagi, szybki, błyskawiczny, odchyła ruch wrażej klingi; Malec zwija się, nurkuje niemal pod tarczę wroga i leżąc uderza z dołu do góry, przebija orka swoim długim prostym mieczem i natychmiast zrywa się, by sparować cios kolejnego wroga, a daga już mknie w wypadzie i ork nie zdąża po-

stawić tarczy. . . Z prawej pojawia się kolejny przeciwnik, Malec dopiero odwraca się do niego, ale ten wali się z charkotem, a strzała hobbita tkwi w jego gardle. . .

I nagle wszystko się skończyło. Krasnoludy znieruchomiały; nie było już wroga, a na podłodze leżały nieforemne grudy ciał orków, ciemna krew, nie krzepnąc, rozlewała się po wypolerowanej posadzce.

Folko opuścił łuk. Co z przyjaciółmi? Czy wszyscy cali? Długo nie mógł policzyć krasnoludów. Ale nie, cała czternastka żyje, wszyscy stoją na nogach. . .

— Ech, brodacze, cośmy narobili! — wrzasnął nagle rozeźlony Torin, zrywając hełm. — Położyliśmy wszystkich, a kogo będziemy przepytawać? Zabawiliśmy się, nie ma co! Dorinie! Przecież wrzeszczałem do ciebie, że wystarczy! Ale nie, ty musiałeś tego ostatniego przyprzeć do ściany i łeb mu ściąć! Najpierw przesłuchalibyśmy, a dopiero potem byś sobie ciął. . .

— No to co teraz zrobimy?! — Gloin podszedł do Torina, w marszu wycierając ostrze topora. — Niedaleko stąd jest sztolnia, do samego dołu, do Siódmego Głębinowego; może tam ich. . .

Dorin, z którego oblicza nie zniknął jeszcze bojowy zapał, zdjął hełm, wytarł mokre czoło i pochylił się nad ciałem jednego z orków, przywołując znakami towarzyszy. Folko nagle poczuł, że jest mu niedobrze, szybko odwrócił się, nie mogąc patrzeć na leżącego z przepołowioną głową orka. Dotarły doń słowa przyjaciół:

— Dlaczego bez pancerza?

— Wszyscy? A ten, zobacz, co ma na plecach? Bracia, oni kolczugi nieśli w workach!

— Więc nie oczekiwali nas — rozległ się głos Torina. — Ho! A co tu mają na tarczach? Folko, chodź no tu!

Hobbit, starając się nie patrzeć na trupy, podszedł do przyjaciela, który stał w środku grupki krasnoludów, trzymając w wyciągniętej ręce okrągłą tarczę orka z brzegiem pokierszowanym toporem.

— Popatrz na znak. — Torin szarpnął hobbita za ramię.

Ten spojrzął i jęknął — na tarczy topornie namalowano tak dobrze mu znany jeszcze z Czerwonej Księgi wizerunek Purpurowego Oka Barad-Duru! Opanowawszy się, wyjaśnił przyjacielom, co kiedyś oznaczał ten znak. Zapadła cisza.

— Oto jest odpowiedź na twoje pytanie, bracie hobbicie — rzekł Gloin. — To są potomkowie mordorskich orków. Pewnie ktoś z tego osławionego plemienia uniknął zemsty i ukrywał w sekretnych legowiskach. Ale jak szybko się zwiedzieli! Może ktoś im w tym pomóc?

— Pytaj mnie jeszcze — mruknął w odpowiedzi Torin. — Teraz będziemy musieli znowu ich tu wyłapywać! A właśnie, po co im broń, skoro Moria jest pusta od tak dawna?

— Chyba nie jest taka pusta, jak nam się wydawało — rzucił Hornborin, rozglądając się na boki. — Musimy się dowiedzieć, kogo tu jeszcze licho przyniosło!

— Pogadamy o tym później — wtrącił się rozżłoszczony Tror. — Co z nimi zrobimy?

— Do szybu, tak myślę — rzucił Torin. — Bierzmy się, tangarowie. Nie kręćcie nosami!

Krasnoludy szybko przetaszczyły stertę ciał do odgrozonego niskim parapetem czarnego otworu, z którego wiało suchym podziemnym upałem. Gloin wciągnął powietrze nosem.

— Na Siódmym Głębinowym po staremu — zakomunikował przyjaciołom. — Żar z Płomiennych Oczu, jak zwykle... A kuźnie wygaszone.

— No to co, zrzucamy? — zapytał rzeczowo Bran, odwracając się do zamyślonego Hornborina, który stał obok z rękami skrzyżowanymi na piersi.

— Zrzucaj, nie mamy na co czekać! — krzyknął ze złością Torin.

Ciała orków, jedno po drugim, poleciały w ciemność; uważnie wsłuchany, Folko nie usłyszał odgłosu upadających ciał.

Drużyna wróciła do sali, w której spędziła noc, krasnoludy pospiesznie spakowały pozostawione tam rzeczy. Dłużej nie mieli po co zatrzymywać się na górnych poziomach. Po drodze do sypialni Gloin przypomniał sobie, gdzie znajduje się wejście do Tajnej Galerii, i teraz czekała ich niełatwa trzydniowa droga do wschodnich rubieży Morii.

— Jak tam topór, Torinie? — zapytał przy okazji Folko przyjaciela, kiedy obładowani wychodzili już na korytarz, a Torin, nie odzywając się, pokazał hobbitowi zaciśniętą pięść, co u krasnoludów było oznaką najwyższego zaufania do broni.

— Idziemy do Sali Kronik, jak się umówiliśmy — oznajmił Torin, kiedy wszyscy wyszli i drzwi zostały zamknięte. — Bardzo potrzebujemy języka.

Tajna Galeria okazała się rzeczywiście tajna. Wejście do niej zamykały złane z tłem kamienne wierzeje, które otworzyły się, gdy Gloin nacisnął ręką nieznaczny występ przy samej podłodze. Wewnątrz panował nieprzenikniony mrok. Krasnoludy poprawiły worki na plecach, odchrząknęły, łyknęły piwa z beczki Malca i ruszyły w drogę.

— No więc znamy przynajmniej jednego wroga — powiedział w marszu Hornborin Torinowi. — Jak myślisz, damy sobie radę?

— Jeśli cała reszta okaże się babskim gadaniem, to na jesień trzeba będzie zwołać ruszenie z Ereboru i Gór Mglistych — odparł Torin.

— Świetnie, a kto stanie na czele?

— Ten, kogo wybierze hird, czyżbyś nie wiedział? — nachmurzył się Torin.

— Oczywiście, oczywiście — zgodził się szybko Hornborin i zamilkł.

Tajna Galeria, różniąca się od innych niemal całkowitym brakiem odgałęzień — przez całą wielogodzinną wędrówkę hobbit widział tylko pięć odnóg — wyprowadziła ich na kolejne schody, tym razem spiralne. Gloin zatrzymał się, rzucił

worek z ramion i zaproponował odpoczynek przed schodzeniem po Nieskończonych Schodach. Po tych słowach hobbit poczuł, że brakuje mu tchu.

— Chcesz... Chcesz powiedzieć, że to są te same Nieskończone Schody, które prowadzą przez całą Morię od jej dna, dawno temu zapomnianego przez samych krasnoludów? Czy to właśnie je przemierzył swego czasu Gandalf? Przecież one prowadzą na szczyt Srebrnego Zęba...

— Zgadza się — potwierdził Gloin uroczyście. — To te same. Musimy nimi zejść o jeden poziom niżej — zejdziemy się na szóstym; Sala Kronik znajduje się na siódmym, ale Tajna Galeria w tym miejscu mocno skręca na południe, a nam wygodniej będzie pójść na skróty.

Mieli już za sobą jakieś sto stopni szerokich, na brzegach trójkątnych schodów i znaleźli się na innym spoczniku, który różnił się od górnego tym, że odchodziło z niego więcej korytarzy.

I znowu długie godziny monotonnej wędrówki; podziemną ciszę zakłócały tylko trzaski pochodni, ciężki oddech krasnoludów i z rzadka — miękki pomruk wody płynącej w ciemność kamiennymi rowkami. Zatrzymywali się dwukrotnie; hobbit stracił rachubę czasu, próbował liczyć kroki, ale pomylił się po trzech tysiącach. W końcu, gdy uznał, że za chwilę zwali się z nóg i nic nie zmusi go do powstania, Torin i Hornborin — szli teraz razem i przez cały czas naradzali się nad czymś, a dość często też kłócili się — ogłosili, że pora zatrzymać się na nocleg.

Zrzucili worki na podłogę tunelu. Zасыpiając, Folko widział przez przymknięte powieki dwie postacie, Torina i Hornborina, którzy siedzieli obok siebie i cicho rozmawiali, a potem Torin podniósł się i zgasił pochodnię.

Rano — zresztą, czy był to ranek, czy późniejsza pora, nikt, rzecz jasna, nie wiedział — kiedy się obudzili, Gloin i Bran krzesali ogień; w pośpiechu zjadłszy śniadanie, ruszyli dalej.

Czas płynął jak wczoraj, tyle tylko, że Moriańczycy, a z nimi Torin i Hornborin, coraz częściej przywierali uszami do skał, usiłując wychwycić nawet najłabsze dźwięki; czasem przyłączał się do nich Dorin, pozostali zaś złożyli swe losy w ręce przywódców. Teraz, po pierwszej bitwie, mogli już niemal bez lęku mówić o widmie spod Wrót i tajemniczej błękitnej poświacie, wzbierającej po schodach sztolni. Snuli domysły, i w końcu tak sami siebie wystraszyli, że omal nie pobili Malca, gdy ten powiedział coś o nowym Demonie Mocy.

Wkrótce hobbita znużył ten niekończący się marsz po straszliwie długim i ciemnym podziemiu, przypominającym trzewia jakiegoś skamieniałego pytona: bagaż na plecach ciążył coraz bardziej, aż zaczęło go ogarniać jakieś złe przeczucie, niepokój, który odczuwa się, oczekując czegoś nieprzyjemnego, co nieuchronnie musi nastąpić, ale nie wiadomo kiedy i nie wiadomo, jak temu zapobiec. Wróg był blisko, hobbit czuł to wyraźnie, ale wróg niezwykły, widmowy, choć i cielesny.

W manierkach kończyła się woda, a końca marszu po Tajnej Galerii nie było widać. Wreszcie zatrzymali się ponownie i ku wielkiej radości hobbita Torin oznajmił, że następnego dnia dojdą już do Sali Kronik, gdzie pozostaną, by zorientować się w sytuacji.

Folko znowu spał niespokojnie, ponieważ zaczęła dokuczać mu wilgoć, zmarzł i nie mógł się doczekać, kiedy Hornborin zacznie ich budzić. Oczy hobbita po bezsennej nocy kleiły się i piekły, nogi miał obolałe, z trudem rozprostowywał plecy. Do Sali Kronik było już niedaleko, a potem odpoczynek, odpoczynek, odpoczynek!...

Tunel kończył się ścianą bez drzwi. Gloin i Dwalin musieli zmitrężyć sporo czasu, a inni przeżyć pełne niepokoju chwile, zanim sekretne drzwi otworzyły się, i weszli w inny korytarz, znacznie szerszy, prosty i przestronny. Gładka podłoga i starannie obrobione ściany zdradzały jego przeznaczenie; światło pochodni oświetliło półokrągły łuk; było to wejście do dużej sali.

— To jest Dwudziesta Pierwsza Sala — powiedział Gloin, z szacunkiem ścisząc głos. — Pamiętne miejsce... My idziemy do północnych drzwi.

— Za nią powinien być korytarz, a po prawej ręce drzwi do Sali Kronik — uśmiechnął się hobbit, przypomniawszy sobie odnośne stronicie Czerwonej Księgi.

Nie mylił się. Drzwi, których niegdyś mężnie broniła dziewiątka strażników przed naporem orków i trolli, pozostawały szczelnie zamknięte. Podłoga przed drzwiami była czysta, a to zdziwiło doświadczonego Gloina: wszędzie w Dwudziestej Pierwszej Sali osiadł kurz, tak samo jak w całej zachodniej stronie jaskiń Morii, natomiast tu, przed drzwiami Sali Kronik, kurzu, nie wiadomo dlaczego, nie było.

Zbliżyli się i znaleźli odpowiedź. Kamienną płytę pokrywały białe rysy, pozostałe zapewne po uderzeniach jakimś ostrym metalowym narzędziem; wyglądało, że drzwi usiłowano otworzyć od strony korytarza.

— Ktoś bardzo chciał zajrzeć do wewnątrz — uśmiechnął się Dwalin.

— A drzwi są zamknięte? — zapytał Torin.

— I to nie na zwyczajny zamek — odparł Moriańczyk. — Popatrzcie dokoła, przyjaciele. Nie wolno, żeby to usłyszeli ci...

Krasnolud odwrócił się twarzą do drzwi i coś niezbyt głośno, śpiewnie powiedział. Otwierający się prześwit zalało szare światło. Wewnątrz Sali Kronik wszystko było tak, jak w czasach wędrówki Froda: kufry w niszach, a pod oknem biała płyta nagrobkowa na szarym kamieniu i znane Folkowi wiersze we Wspólnej Mowie i języku krasnoludów.

— Witaj, panie Balinie, synu Fundina — powiedział cicho Torin, i wszystkie krasnoludy uklękły, także Folko.

Oddawszy cześć pamięci Balina, rozeszli się po sali, oglądając kufry. Tu, w odróżnieniu od mieszkalnych jaskiń na zachodzie, ocalało wszystko, ale po

otwarciu pierwszego kufra natknęli się na list, rzucony na zawinięte w płótno księgi. Ktoś napisał:

Temu, kto przestąpi próg krainy przodków, kogo nie powstrzyma czarny lęk i rozpacz. Bracia! Wystrzegajcie się Płomiennych Oczu, które niosą śmierć, gdy góry zaczynają oddychać. Nie schodźcie niżej, bo strach pomiesza wam zmysły. Nie wiemy, co to jest, to idzie spod ziemi. W Lochach Morii pojawił się znowu Koszmar Otchłani, o którym nie słyszeliśmy od dwustu siedemdziesięciu lat. Do porzuconych jaskiń zachodu przedostali się orkowie; nas jest za mało, byśmy mogli z nimi walczyć. Wezwijcie elfów! Chyba tylko oni będą mogli nam pomóc. Mamy do czynienia ze starym złem, które nie poddaje się nam. W skrzyniach znajdziecie szczegółowy opis wszystkiego, co się wydarzyło w Khazad-Dum! I jeszcze jedno. Szukajcie mithrilu! Jest na Szóstym Głębinowym, zamurowany w ścianie Sto Jedenastej Sali. Droga doń wiedzie przez Salę Zamkową. Wyczekajcie chwili, kiedy Płomienne Oczy zasną, i niech bogactwa przodków znowu posłużą tanga-rom. Nam nie udało się ich uratować. Żegnajcie! Erebor zawsze powstanie na pierwsze wezwanie śmiałków. My będziemy zbierać siły i czekać. Nie nazywajcie nas pochopnie tchórzami...

W tym miejscu posłanie się kończyło. Nie było podpisu ani daty. Torin dokładnie obejrzał kartkę pergaminu, odchrząknął i puścił w koło. Kiedy powróciła do niego, odłożył ją na poprzednie miejsce, zamknął pokrywę kufra i usiadł na nim. Zmęczone krasnoludy, zrzuciwszy z ramion bagaż, broń, narzędzia i zapasy, rozlokowały się, gdzie kto mógł. Malec cicho wyjął szpunt swojego antałka...

Jednakże nie zdążyli zacząć narady ani wdać się w tak lubiane przez krasnoludy spory. Ledwo słyszalny szmer dobiegł ich od strony niedomkniętych drzwi, prowadzących z korytarza do Dwudziestej Pierwszej Sali. Hornborin poderwał się i natychmiast znalazł przy drzwiach. Nikt z krasnoludów nie zdążył niczego przedsięwziąć, gdy Hornborin z krótkim gniewnym okrzykiem zatrzęsął drzwiami dla pewności oparł się o nie plecami z całej siły.

— Orkowie, orkowie w korytarzu! — krzyknął, usiłując dosięgnąć topora. — Szybciej, Gloin, Dwalin!

Zza kamiennych drzwi dał się słyszeć tupot nóg i głuchy ryk, przepętniony taką nienawiścią, że Folka przeszył dreszcz. Drzwi, które blokowali teraz Hornborin, Grani, Gimli, Tror i Dwalin, zatrzęsły się, potem ktoś uderzył w nie czymś ciężkim; poruszyły się, ale nie otwały. Gloin pospiesznie zaczął szeptać słowa zaklęcia, w końcu westchnął z ulgą, drzwi nie ustąpiły. Napierano na nie z jeszcze większą siłą, ale trzymały mocno.

Hornborin otarł pot z czoła.

— Jest ich tam co najmniej setka — powiedział półgłosem. — To są jacyś inni orkowie, niepodobni do tych, których położyliśmy na Szóstym Poziomie. Ci są wyżsi, bardziej barczyści, ich twarze mają regularne rysy, tak mi się zdaje... Mieli pełno pochodni, widziałem taran.

— Co robimy? — Wjard patrzył jak zaszczute zwierzę.

— Otwieramy drzwi i naprzód! — Okrutny uśmiech wykrzywił usta Dorina.

— Żeby zrobili z ciebie poduszkę do igieł? — pisnął Wjard.

— Poczekajcie, poczekajcie! — uniósł rękę Gloin. — Raczej nie zdołają wyłamać drzwi. Możemy spokojnie wyjść przez wschodnie, te pod oknem.

— A potem? — burknął Bran, zezując na drgające pod miarowymi uderzeniami drzwi.

— Na dół — wzruszył ramionami Gloin. — W końcu nie przyszliśmy tu walczyć z orkami. Schody prowadzą do Pierwszego Głębinowego, stamtąd łatwo dostaniemy się do Sali Zamkowej i niżej.

— Nigdzie się nie przedostaniemy — oświadczył ponuro Torin, który podszedł do wschodnich drzwi. — Jesteśmy otoczeni, to pułapka... .

Nie umawiając się, krasnoludy runęły do przeciwległej ściany. Zza wschodnich drzwi dochodziło takie samo tupanie i ryki. Same drzwi były zamknięte za pomocą zaklęcia, i to gwarantowało, że wróg nie przedostanie się przez nie. Ale co dalej?

Lepki, zimny lęk oblał hobbita. Sytuacja wydawała się bez wyjścia. Widział, jak skamieniały oblicza krasnoludów, jak zasepiły się czoła... . Rozmowy ustały; wszyscy milczeli przygnębieni.

— Będziemy się przebijać — powiedział Hornborin ochryple. — Jeśli tylko nie wykurzą nas stąd jak szczury.

Nikt się nie odezwał. Nagle Torin powiedział, rozwijając swój koc:

— No to musimy odpocząć jak należy... Nie wyłamią drzwi, więc możemy spokojnie pospać kilka godzin, a potem... .

— Poczekajcie! Może dogadamy się z nimi? — odezwał się Wjard nieśmiało. — Może wykupimy się czymś?

— Chyba tobą! — błysnął oczami Dorin, i już więcej nie rozmawiano na ten temat.

Krasnoludy wydobyły koce, ułożyły się i zapaliły.

Walenie w drzwi nie ustawało. Nie było słychać krzyków ani ryków, orkowie walili w milczeniu, a to potęgowało strach hobbita; wiercił się na posłaniu. Obok niego sapał niewzruszony Malec, który zapadł w sen równie spokojnie, jak gdyby znajdował się w jakiejś oberży w Annuminas. Spojrzenie hobbita, bez celu wędrujące po ścianach i suficie, nagle trafiło na okno i w tej samej chwili poderwał się na równe nogi.

— Torinie, Torinie, a może tam? — Wskazał palcem niewielki kwadratowy otwór w ścianie, z którego sączyło się światło.

Krasnolud chwilę milczał, potem skoczył do okna, w biegu budząc innych.

Po minucie wszyscy patroszyli swoje worki, wydobywając z nich długie sznury z kotwicami na końcach; żeby dostać się do okna, trzeba było przebyć kilka sążni ukośnie biegnącym do góry szybem oświetleniowym. I nie wiadomo, ile w dół. . .

Wszystko odbywało się w ciszy. Gromadka krasnoludów stłoczyła się przy wschodniej ścianie. Gloin rzucił kotwicę, stalowe haki zaczepiły o krawędzie otworu okna. Krasnoludy popatrzyły po sobie, a wtedy do przodu zdecydowanie wystąpił Malec. Zrećźnie, jakby przez całe życie wspinał się po linach, zaczął pięć się do góry, zapierając stopami w ściany szybu. Wkrótce dotarł do okna i wysunął się na zewnątrz. Patrzył długo, nieskończenie długo, aż Dorinowi zbieleły palce zaciśniętych w pięści dłoni. W końcu Malec oderwał się od okna i odwrócił do niecierpliwie oczekujących towarzyszy.

— Trzeba zejść jakieś trzydzieści sążni, tam jest okno! — oznajmił szeptem. — Ale skała jest wyszlifowana jak lustro. . .

— Wiążmy sznury — zarządził Torin.

Wycelowawszy, Malec zepchnął w dół dwie grube szare wiązki, potem przechylił się, przyjrzał i radośnie klepnął w bok.

Cała operacja zajęła im sporo czasu. Najpierw zniknęli Torin i Hornborin. Za nimi pozostali — bez bagaży, w kolczugach i tylko z toporami. Pozostali przeparowali do nich worki i ruszyli sami. Ostatni opuścili salę Dorin i Folko. Nurkując w ciemność dolnego okna, Folko pożałował, że po pierwsze, w czasie schodzenia nie mógł oderwać wzroku od skały, a po drugie, nie wziął ze sobą ani jednej krasnoludzkiej kroniki.

I znowu czerń korytarzy Szóstego Poziomu, znowu pospieszny marsz w mroku, znowu w świetle pochodni pojawiają się i giną schody, łukowe przejścia, skrzyżowania, wysokie sale z kolumnami lub bez. . . Szli kilka godzin. Pokonali długie płynne podejście i znaleźli się, jak szeptem oznajmił Dwalin, ponownie na Siódmym Poziomie.

— Bez żywego orka nigdzie stąd nie pójde — pochylił uparcie głowę Torin, nie zwracając uwagi na namowy towarzyszy.

Po długich i ostrożnych poszukiwaniach znaleźli wejście do Tajnej Galerii i tam, za chronionymi zakłębieniem kamiennymi drzwiami, urządzili kolejny tymczasowy obóz. Odpocząwszy jeszcze trochę, krasnoludy i Folko ruszyli na polowanie.

Oczywiście, gdyby nie umiejętności Gloina i Dwalina, nigdy nie udałoby się im przedostać do orków bez zwracania na siebie uwagi. Liczba wrogów nie przekraczała chyba trzydziestu; rzeczywiście różnili się od tych napotkanych wcześniej. Byli więksi, wyżsi i poruszali się wyprostowani, mieli krótsze ręce i bardziej regularne rysy twarzy, choć oczy podobne, skośne. Zamiast ulubionych przez orków jataganów używali krótkich, grubych obosiecznych mieczy.

Sala, w której zaczęli się na wrogów, miała tylko jedno wyjście, i właśnie tam zasadziła się grupa zakutych w stal towarzyszy Folka. Do ich uszu dochodził odległy, tępy łoskot taranowania drzwi Sali Kronik. Torin bezszelestnie wyciągnął zza pasa topór i krasnoludy w milczeniu, niczym żelazna pięść, uderzyły na zaskoczonego wroga.

Wstrzymawszy oddech, Folko, tym razem pozostawiony ze swoim łukiem z tyłu, oczekiwał, że jego druhowie przejdą przez tłum wrogów jak poprzednim razem; łatwo, błyskawicznie, niepowstrzymanym klinem; jednakże zamiast wrzasku trwogi rozległ się wściekły ryk wielu dziesiątków gardeł i z sali, oświetlonej kilkoma ściennymi pochodniami, na tangarów ruszyli zakuci w szczelne zbroje orkowie pancerni; w powietrzu świsnęły strzały, z prawej i lewej na atakujących uderzyli miecznicy, stal dźwięcznie uderzyła o stal. Rozbity w pierwszej chwili szereg szybko zwierzał szeregi, zamykając wyłom, orków przybywało, było ich już co najmniej sześćdziesięciu, i bili się desperacko i umiejętnie, nie jak ci poprzedni. Folko wyszarpnął z kołczanu pierwszą strzałę.

Otoczone z trzech stron krasnoludy nie straciły jednakże ani męstwa, ani opowania; kąsając krótkimi skutecznymi błyskami toporów, zaczęły wolno cofać się do wyjścia z sali; Folko zobaczył, że w środku szyku towarzysze ciągną kogoś, kto wije się spazmatycznie i szarpie.

Orkowie napierali, z ich gardeł wydobywał się wściekły, zwierzęcy ni to ryk, ni to wycie, żadna ze stron nie ustępowała, ale ciał na podłodze było niewiele. Folko trafił tylko dwóch, jednego zranił, z dziesięć strzał zmarnowało się, odbijając od mocnych panczerzy. Między krasnoludami i orkami powstała pusta przestrzeń; orkowie następowali wolno, krasnoludy równie wolno cofały się; nagle rozpaczliwie wrzasnął ten, którego udało się krasnoludom spętać. W tej samej chwili orkowie, nie oszczędzając siebie, rzucili się wprost na krasnoludzkie topory. Strzały hobbita, wycelowane w szczeliny panczerzy między napierśnikami i hełmami, trafiły dwóch orków, ale wrogom udało się zburzyć porządek spokojnie cofającej się do tej chwili potężnej grupy krasnoludów. Wycofywanie przekształciło się w ucieczkę. Na szczęście krasnoludom udało się oderwać od prześladowców; wpadły do jakiegoś wąskiego korytarzyka i zniknęły w nieprzeniknionym mroku. Orkowie, którzy mieli tu tylko jedną pochodnię, przebiegli obok, a Folko i jego towarzysze przemknęli w stronę bezpiecznych drzwi Tajnej Galerii, gdzie mogli w końcu chwilę odetchnąć.

Krasnoludy ciężko dyszały, ich panczerze nosiły głębokie ślady wrażeń ciosów; Balin miał ranę na ramieniu, bo zawiodła kolczuga, Brana uratował przypadek, miecz orka omsknał się po jego przyłbicy, zostawiwszy w niej głębokie wgniecenie. Nie było słychać zwyczajnych krasnoludzkich przechwałek. Wszyscy odwracali wzrok i ponuro wpatrywali się w podłogę; zdawali sobie sprawę, że cudem ocaleli.

Krasnoludom udało się zabić tylko pięciu orków, a czterech poraziły strzały hobbita. Spojrzenia zwróciły się na leżącego na podłodze spętanego więźnia. Na znak Torina przyciągnięto go bliżej do płonącego ogniska.

Ork był duży, niemal o głowę wyższy od najwyższego z krasnoludów. W czerwonym świetle płomieni skóra na twarzy i rękach wydawała się brązowa, oczy były wąskie, skośne, jak u większości jego współplemieńców, jednakże nos przypominał ludzki, podobnie usta o twardych, wyrażście zarysowanych wargach. Miał wysokie czoło, nie takie jak u większości górskich orków. Patrzył z nienawiścią na krasnoludów, lecz w tym spojrzeniu nie było lęku, tylko wściekłość i jakaś zadziwiająca beznadziejność. Torin zaczął przesłuchanie. Zadawał zwykłe pytania: skąd się wzięli w Morii, czego tu szukają, ilu ich jest, jak nazywa się przywódca, jednakże jeniec uparcie milczał, obojętnie wpatrując się w kamienną podłogę. Torin, podnosząc głos, powtórzył pytania. Odpowiedzią, jak poprzednio, było milczenie.

— Rozgrzejcie żelazo — polecił ochryple krasnolud i Dorin ze Skidulfem wsunęli w płomień kilka długich żelaznych haków.

— No więc jak, będziesz mówił? — zapytał Torin złowieszczo, wpatrując się w jeńca.

Ten drgnął, ale nie odpowiedział. Nagle Hornborin zdecydowanie odsunął Torina i zbliżył się do orka. Folko zdziwił się, bowiem jeszcze nigdy gadatliwy i stateczny Hornborin nie wyglądał tak władczo i majestatycznie. Podniósł prawą rękę i złoty Pierścień nagle rozblęsnął niczym mała iskierka w wyciągniętej dłoni krasnoluda. Sekundę Hornborin wpatrywał się w orka, a potem ten zaczął wolno, z wysiłkiem mówić. Krasnoludy wymieniły zdumione spojrzenia. Ork posługiwał się Wspólną Mową, ale kiepsko, i hobbit rozumiał go z trudem.

Dowiedzieli się, że jego lud przebił się do Morii siłą, kiedy była już porzucona przez jej starych gospodarzy; musieli walczyć z orkami innego plemienia, którzy przebili się tu jeszcze w czasach ostatnich krasnoludów. Między plemionami zaczęła się walka. Z wykrzywionych ust orka sypały się niewyraźne przekleństwa kierowane do nich; nienawidził ich kto wie czy nie bardziej niż krasnoludów. Na pytanie Hornborina, skąd wzięli się ci orkowie i tamci, ich przeciwnicy, jeniec odpowiedział, że jego lud to ci, którzy służyli niegdyś wielkiemu magowi i czarodziejowi, a jego imię pamięta teraz tylko starszyzna. Tego dawno nieżyjącego, na nieszczęście, władcę nazywali Białą Ręką. Folko drgnął.

Ork opowiedział jeszcze mnóstwo ciekawych rzeczy o tym, jak nieliczni jego rodacy, ocaleli w ostatniej wojnie, ukryli się w wąwozach i dolinach Gór Mglistych, jak mieszkańcy Rohanu traktowali ich niczym zwierzynę, jak doszły ich słuchy, że Białoskórzy wybili wszystkich orków, usiłujących ukryć się na północy. Wtedy jego współplemieńcy postanowili spróbować szczęścia w podziemiach... Krasnoludy dowiedziały się także, że tu, do Morii, przedostało się prawie siedem tysięcy orków-bojowników i dwa razy więcej ich kobiet, starców i dzieci.

Hobbit pociągnął za rękaw Hornborina i szepnął mu na ucho kilka słów; krasnolud uniósł brwi ze zdziwienia, ale zadał podsunięte przez Folka pytanie. Ork szarpnął się gwałtownie i zaczął wywracać oczami! Ale nie miał wyjścia, jakaś siła zmuszała go do mówienia, i w końcu wykrztusił, że od niepamiętnych czasów w jego narodzie, wśród tych, którzy służyli Białej Ręce, zakorzenił się obyczaj porwania kobiet z ludzkich osiedli, żeby mieszać krew orków z krwią ludzi, wolnych od przymusu służenia Mrokowi. Na twarzach słuchających go krasnoludów pojawiło się obrzydzenie.

Dowiedzieli się także, że Sarumanowi orkowie żyją jeszcze w okolicach Isengardu, ale tam jest niebezpiecznie, bardzo niebezpiecznie: leśne potwory łapią nieuważnych i biada temu, na kogo padnie wzrok żyjących dębów i grabów Fangornu! Nie znają oni litości i walczyć z nimi nie sposób, dysponują olbrzymią siłą i są nie do pokonania. Na pytanie zaś, jak zdobywają żywność ukryci w Morii orkowie, Jeniec wychrypiął, że po staremu; napadają na wsie po obu stronach gór, unikają jednak palenia osiedli i wyrządzania krzywdy, inaczej pojawi się królewska jazda Rohanu albo oddziały mieczników z państwa Beorningów; orkowie po prostu starają się brać wykup, strasząc tchórzliwych wieśniaków. Jednakże ich wrogowie, górscy orkowie, niech przeklęty będzie ich ród aż do dwunastego pokolenia, jak szaleni grabią, palą i zabijają, i niedługo zacznie się wielka wojna. Jeniec powiedział, że jego plemię unika zbliżania się do straszliwego Lorien, znajdującego się na wschód od Morii; grabią na północy, w dolinie Anduiny. Ale być może wkrótce wszystko się zmieni. . .

— Co mianowicie? — zainteresował się Hornborin.

Ork wykrzywił straszliwie twarz; widzieli, że nie chce mówić, ale słowa padały jakby bez udziału jego woli.

— Podziemia teraz są nasze — chrypiął — zawładnęliśmy tym miejscem. Szkarłatny Mrok opanował Dolne. . . Ludzie z Północy kontaktują się z nami, a my chadzamy z nimi na Południowy Gościniec i na Zachodni też. Wkrótce przyjdzie koniec przeklętych elfów. Wróci Pan. . . I będzie wojna, i jeszcze zobaczymy, jeszcze pokażemy wszystkim — i przeklętym górskim robakom z pieczar Gór Mglistych, i Białoskórym — zabójcom! A to, co jest na dole, połączy wszystko. . . i będziemy razem. . .

Białka jego oczu błysnęły, głowa opadła na pierś. Hornborin pospiesznie pochylił się nad nim, potem rozłożył ręce.

— Koniec! Stracił przytomność. — Usiadł przy ognisku. — No, jak wam się to podoba, tangarowie? Szkarłatny Mrok na Dolnych Poziomach! Ludzie z Północy! I jeszcze „Pan”. . . Co robimy dalej?

— Nic nie możemy zrobić. — Wjard machnął beznadziejnie ręką. — Trzeba uciekać stąd, pókiśmy cali. . .

— Na pewno nie! — syknął Dorin. — Szkarłatny Mrok, powiadasz? Póki nie zobaczą na własne oczy, nigdzie nie pójde! Rozumiecie, do czego oni dążą? Ko-

niec z przekłętymi elfami! O nie, musimy iść na dół. Niech tu siedzi siedem czy nawet siedemdziesiąt tysięcy orków, nie wolno nam się wycofywać, póki wszystkiego nie sprawdzimy. Proponuję iść natychmiast w dół. Tam się wszystko rozstrzygnie.

— A co z nim? — nachmurzył się Torin, wskazując orka. — Patrzcie, chyba dochodzi do siebie, o, mruga oczami.

— Co to jest Szkarłatny Mrok? Dlaczego chcecie „skończyć z elfami”? — zapytał ostro jeńca Hornborin, ponownie unosząc rękę z Pierścieniem.

— Idzie To, Co Spało w Głębinach... — wycharczał ork. — Nadchodzi ich Godzina... I my idziemy z nimi... chociaż jesteśmy w jednej trzeciej ludźmi...

— Przestań, Hornborinie! — podniósł się Torin. — Przecież widzisz, że brakuje mu słów. On tylko wyczuwa to swoim specyficznym węchem, który przekazał jego przodkom Władca Wielkiego Mroku, ale wyjaśnić tego nie potrafi. Dorin ma rację. Trzeba zejść na dół. Czy teraz nie jest jasne, że nie tylko my, krasnoludy, ale cały Zachód jest w straszliwym niebezpieczeństwie? Nie możemy tracić czasu. Idziemy na dół! Tylko jeszcze jedno...

Pochyliwszy się nisko nad jeńcem, wrzasnął mu prosto w twarz:

— Kto to jest „Pan”? Gdzie on jest, tu czy na powierzchni? Kim jest, orkiem czy człowiekiem? Co o nim wiesz? Jeśli powiesz prawdę — milczał chwilę — puścimy cię, klnę się na Brodę Durina! Hornborinie, pomóż! Skąd wiesz, że on istnieje? Co jeszcze o nim wiesz?

— Nie widziałem go. — Więzień rozpaczliwie kręcił głową. — Wiemy, że on jest na ziemi, bo nithingowie przychodzili do nas z poleceniami od niego w ubiegłym roku... I wiem, że on istnieje... tego wy nie zrozumiecie. On jest tym, który zgromadzi wszystko, co zostało rozrzucone; Szkarłatny Mrok też się ruszy... Więcej nic nie wiem, klnę się na Białą Rękę!

— Dobrze — westchnął Torin. — Jak uważasz, Hornborinie?

— Nie kłamie — padła szybka odpowiedź. — Naprawdę nie wie.

— No to rozwiążcie go i niech sobie idzie — rzucił nachmurzony Torin, gestem powstrzymując zrywającego się z okrzykiem oburzenia Dorina, za którym okazało niezadowolenie jeszcze z pół tuzina krasnoludów. — Nie wolno łamać słowa. Niech idzie. Nawet jeśli naprowadzi na nasz ślad swoich... Najwyżej pomachamy toporami!

— Akurat — burknął Bran. — To nie to co ci z Północy.

Ork skrył się w ciemności, odgłosy jego szybkich kroków wkrótce ucichły.

Rozdział 18

Kuźnia Durina

— Kim są nithingowie, Torinie? — zapytał przyjaciela hobbit, gdy ostrożnie opuścili Tajną Galerię i ruszyli w stronę schodów.

— Nithingowie to właśnie karzełki, z których jednego złapaliśmy w Bucklandzie — odpowiedział ponuro Torin. — Wynika z tego, że nie oszukał nas, po trzykroć przeklęty! Orkowie Białej Ręki naprawdę komuś służą. I, być może, jego wola jest przyczyną całego zamieszania na górze. Ale kto to jest? Myślę, że jedynie Wielka Jasna Królowa mogłaby nam odpowiedzieć na to pytanie. Tylko co ona robi tam u siebie, za Wielkim Morzem? — Krasnolud westchnął i pokiwał głową, jakby dyskutując ze swoimi myślami.

Przemierzali ciemne korytarze, wybierając najbardziej wąskie i nierzucające się w oczy. Dwukrotnie obok nich przechodziły, pobrzękując bronią i oświetlając szare sufity pochodniami, duże oddziały orków z plemienia ich więźnia, jednak Gloin i Dwalin prowadzili oddział tak znakomicie, że wróg ani razu ich nie wyczuł. Krasnoludy przeczekiwały niebezpieczne chwile w ciemnych bocznych odgałęzieniach, za występami ścian, umyślnie, wydawało się, pozostawionymi właśnie po to, by móc ukryć się przed przeważającymi siłami nieprzyjaciela.

Wiele pięknych, zadziwiających swym wyglądem sal widział hobbit podczas ich krótkiego marszu do tajnych schodów. W jednych sufity znajdowały się na takiej wysokości, że nie docierało tam światło pochodni, a ocenić ową wysokość można było tylko po echu kroków; inne były podzielone długimi szeregami pokrytych wspaniałymi rzeźbami kolumn, w głębokich niszach stały posągi ludzi, krasnoludów i zwierząt, wykonane z niezrównanym mistrzostwem. Pochodnie oświetlały ogromne mozaiki, w których dominowało złoto, srebro i kamienie szlachetne, zadziwiające żelazne świeczniki, wykute w postaci splotów olbrzymich lin. Niestety, w wielu miejscach hobbit zauważał też ślady bytności orków — mnóstwo ozdób było zniszczonych, rzeźbione w kamieniu figury rozbite, z mozaik na ścianach prostackie łapy wyrwały wspaniałe kamienie. . .

Z lekkim zgrzytem zatrzasnęły się za nimi skrzydła Tajnych Drzwi. Pochodnie wydobywały z ciemności krótkie fragmenty wąskich schodów. Zaczęło się długie zejście. Hobbit naliczył sześćset stopni, zanim znaleźli się w krótkim korytarzu, który kończył się znajomym już ślepym zaułkiem Tajnej Galerii. Gloin i Dwalin naradzali się półgłosem.

— Jesteśmy na Pierwszym Poziomie — powiedział w końcu Gloin, zwracając się do reszty. — Tutaj zupełnie blisko przechodzi Główny Trakt. Do Drugiej Sali, tej właśnie, gdzie znajduje się Most Durina, zostały nam dwie godziny marszu. Tylko zastanówmy się, czy mamy po co tam iść.

— Jeśli w Morii są orkowie, już na pewno wpadli na to, że muszą zamknąć Główny Trakt i postawić strażę przy Wrotach i na Moście — podchwycił Dwalin. — A my musimy zejść niżej. Nie zapomnijcie tylko o mithrilu w ścianach Sto Jedenastej Sali!

— Może lepiej posiedźmy tu trochę i porozmawiajmy spokojnie — zaproponował niepewnie Torin. — Mamy tu dwóch wrogów: orków i to coś, dla czego tu przyszliśmy. Dwa razy zetknęliśmy się z tym i za każdym razem było bardzo, wręcz bardzo ponuro. Ale, być może, po pojawieniu się tej błękitnej poświaty ktoś coś zauważył na schodach? Może coś się wydawało, majaczyło? Mówcie wszystko, nawet jeśli wydaje się głupie; teraz jest ważny każdy drobiazg. Hornborinie? Co z Pierścieniem?

— On nie daje wszechwiedzy — odparł krasnolud z westchnieniem. — Czasem tylko podpowiada coś, ale to wszystko jest takie nieuchwytnie... Nie, teraz nic nie odczuwam.

Torin przygryzł wargę.

— Mamy zapasów na trzy tygodnie — powiedział. — W ciągu dwudziestu dni, niestety, będziemy je wyczuwali według burczenia w naszych brzuchach, musimy wyjaśnić, co tu się dzieje!

Odpowiedziało mu milczenie, jednakże gdy Torin dał rozkaz dalszego marszu, nie protestowano.

— Proponuję iść do Sali Zamkowej — powiedział Gloin, ładując worek na plecy — na Szósty Głębinowy Poziom; tam jest woda, a wcześniej były dobre miejsca do ukrycia się. No i nie jest to zwyczajna sala, według legendy wykuł ją Pierwszy Krasnolud. Powiadają, że gdy staniesz na Kamieniu Durina w chwili, gdy milczą wszystkie siły, zarówno Mroku, jak i Światła, i tylko góry patrzą na ciebie purpurowymi źrenicami Płomiennych Oczu — możesz zadać pytanie, a Dający Początek odpowie ci... Tak mówią, ale czy to prawda, kto może wiedzieć?

— Zanim dojdziemy do Kamienia, musimy iść Głównym Traktem — warknął Dorin. — A tam są orkowie i pewnie jest ich wielu! Musimy pchnąć kogoś przodem.

Krasnoludy i Folko czekały, jak im się zdawało, całą wieczność, w dręczącym oczekiwaniu, zanim z ciemności wynurzyli się Gloin, Dorin i Bran.

— Wiedziałem — rzucił Dorin, wycierając zabrudzony krwią orka topór. — Ich jest strasznie dużo, tych drobnych, mordorskich. Do Wrót nawet nie ma po co iść. Gdzie tu są schody, Gloinie?

— Trzeba będzie iść dokoła — westchnął tamten.

Znowu przejścia, schody, wąskie sekretne drzwi, gardłowe głosy kłócących się orków gdzieś za rogiem — wszystko przemieszało się w pamięci hobbita, którzy resztką sił walczył, by utrzymać się na nogach. Nie spali już dobę, ale jeszcze trzymali się jakoś na nogach. Weszli w ślepy korytarz i rozlokowali się na nocleg. Folko zasnął natychmiast.

Ciemny tunel jego snów, ponury i bezkształtny, nagle rozświetliło coś ognisto-rudego, wijącego się, jak bajkowa żmija; szare łapska wylazły wprost z kamienia i dopadły hobbita, zimne palce zacisnęły się na jego gardle... Nie miał siły, żeby krzyknąć ani poruszyć się... I nagle wszystko się urwało...

Zbudziły go krasnoludy, zbierające się do drogi. Folko, zmęczony sennymi widzeniami i ze straszliwym bólem głowy, poruszał się z trudem; jego towarzysze wyglądali nie lepiej. Jak się okazało, kamienne, upiorne ręce przywidziały się wszystkim co do jednego. Humory im nie dopisywały, hobbita zaś ponownie zaatakował obezwładniający strach przed niewiadomym. Zgnębiony, trzymając się blisko Hornborina, powłókł się za krasnoludami.

Moriańczycy długo nie potrafili odnaleźć wejścia do Tajnej Galerii; drużyna wędrowała bez końca zwykłymi, krótkimi schodami, łączącymi sąsiednie poziomy.

Głębinowe Poziomy wyraźnie różniły się od górnych — ich sale były przestronniejsze i nie tak wspaniale ozdobione, przejścia prostsze i szersze. Tu mieściły się niezliczone pracownie, w których panował chaos; czego orkowie nie zdołali zniszczyć, rozrzucał i przewracali: narzędzia, kowadła, tygle i ciężkie sprzęty.

— To jeszcze nic, niżej będzie gorzej! — szepnął hobbitowi na ucho Dwalin. — Tu pracowali jubilerzy i grawerzy, a kuźnie i rusznikarnie są o wiele niżej...

Natrafili również na mieszkalne jaskinie, i tu, podobnie jak na górze, rozrabiali orkowie. Schodów, przechodzących przez kilka poziomów naraz, nie mogli z jakiegoś powodu znaleźć, wędrowali więc pochyłymi sztolniami. Robiło się coraz gorzej; Gloin, Dwalin, Lorin, Torin i Hornborin kilka razy zamierali przy wąskich otworach wentylacyjnych, skąd waliły fale suchego, palącego żaru. Folko zaczął pojmować słusność słów Rogwolda.

Oto wloką się teraz, bez celu, bez wyraźnego planu, niemal na oślep, z wrogami za plecami i nieznanym ciemnym koszmarem przed sobą. Na co liczy Torin? Na Pierścień Hornborina?

Hobbit westchnął. Teraz wyraźnie wyczuwał niebezpieczeństwo — tuż przed nimi, za łagodnym zakrętem korytarza. To przecucie ogarnęło go nagle; nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

Również krasnoludy zaczęły się potykać, zatrzymały się. Nikt nie mógł pojąć, o co chodzi, ale spojrzenia były przykute do ledwie widocznych w świetle pochodni zarysów skręcającego przed nimi korytarza. Ogarnął ich nie mroczny, paniczny strach, który popycha do ucieczki, ale dziwnie wyraźne uczucie kresu, końca wszystkiego; wystarczy tylko minąć ten zakręt. Ale żaden nie potrafił zmusić się do jakiegokolwiek ruchu rozstrzygającego impas. Pierwsi zaczęli się cofać Torin i Hornborin, pociągając za sobą innych. Nikt o nic nie pytał, nikt nie potrafił wymówić nawet słowa; wszyscy wycofywali się powoli.

Tak minęło kilka minut, a może i godzina. Nagle za ich plecami rozległ się obrzydliwy śpiew i tupot dziesiątek ciężkich, podkutych żelazem orczych butów. Teraz mieli do czynienia z innym wrogiem.

— Do boju! — wychrypiał Dorin i odwrócił się, pospiesznie naciągając kolczugę. — Skoro mamy umrzeć, umrzyjmy godnie, jak potomkowie Durina!

— Poczekaj... — Hornborin chwycił go za rękaw. — Pójdę przodem. — Wskazał stronę przeciwną do tej, z której dochodził nasilający się z każdą sekundą odgłos kroków. — Idźcie za mną! Folko, będzie mi potrzebny twój łuk, przygotuj się! Szybciej, nie traćmy czasu!

Krasnoludy ruszyły do przodu zwartą grupą, przez cały czas walcząc z ogarniającą ich rozpaczą, a Hornborin wysoko uniósł rękę z Pierścieniem i ruszył w stronę zakrętu. Folko ścisnął pod kurtką rękojeść sztyletu z błękitnymi kwiatami na klindze. Nie czuł strachu, ale każdy krok kosztował go wiele wysiłku, jakby przedzierał się przez lepką glinę, w którą nieoczekiwanie zmieniło się otaczające powietrze.

Korytarz skręcał płynnie, każdy krok do przodu ukazywał nowy odcinek gładkich ścian. Przeszli niewiele, gdy Hornborin nagle zaczął chrypieć, jak gdyby brakowało mu powietrza, i stanął w miejscu. Pochodnia w jego ręku zadrżała.

Wygładzona powierzchnia ścian znikła pod grubą warstwą czarnych połyskujących ni to węży, ni to macek; obrzydlistwo wiło się niezmordowanie, splatało się i rozplatało, stale wysuwając we wszystkie strony tępe bezokie głowy z ledwo widoczną kreską, zapewne pyskiem. Chyba łatwiej byłoby zrobić krok, mając przed sobą przepaść — taki koniec wydał się wstrząśniętemu hobbitowi wybaczeniem! A może wycofać się, póki nie jest za późno, w uczciwej walce zabrać do grobu ileś tam orczych istnień, zanim krzywy jatagan... Byle nie do przodu, w żywe objęcia samej śmierci! Hobbit zdrętwiał z obrzydzenia i wstrętu.

Tymczasem bezładna plątanina węzowatych stworów spowolniała, wyciągające się w kierunku porażonych strachem krasnoludów i ludzi macki znieruchomiały, jakby udając dziwaczne narośle na ścianach, przez które przezierały nie-

widoczne zimne oczy mroku. Folko nagle odczuł, że ich przeciwnik również się zawahał, a to dodało hobbitowi sił.

Z osłupienia wyrwał ich tupot rozlegający się za plecami. Orkowie byli już blisko! I wtedy, nie umawiając się, drużyna ruszyła do przodu. Hornborin wysoko uniósł rękę z Pierścieniem i wszystkie macki wycelowały swe łby ku złotemu lśnieniu. Ale wystarczyło, że podeszli bliżej, gdy zimny ból w sercu, ból rozpaczy zmusił hobbita do desperackiego kroku: uchwycił krasnoluda za rękaw i powstrzymał go. Macki czekały na nich i Pierścień nie mógł ich zmusić do odstąpienia — oto co odczytał Folko w krótkim drzeniu, jakie przebiegło po niezliczonych szeregach czarnej żywej pleśni na ścianach, drzeniu słodkiego przeczucia. Wtedy jego ręka bez udziału świadomości wyjęła z pochwy bezcenny sztylet i błękitne kwiaty na stalowym ostrzu zapłonęły niczym języki magicznego płomienia.

Macki zakotłyły się jak smagane wiatrem pole pszenicy, pospiesznie zwijały się i przyciskały do ścian. Każda z nich usiłowała głębiej wcisnąć się w kamień, ukryć za innymi. Nie mogło być wątpliwości, macki znały podobne klingi!

Jedno krótkie spojrzenie do tyłu i Hornborin cicho gwizdnął na przyjaciół; jeszcze sekunda i tupot nóg zagłuszyło wycie i pisk orków — oddział został wykryty. Krasnoludy rzuciły się do przodu i zamarły na widok obsianych czarnymi mackami ścian i sufitu, ale Folko wysoko uniósł płonący sztylet i ulatujące z niego falami światło zmusiło krasnoludy, zbite w ciasną grupkę, do wejścia pod żywe sklepienie.

Hobbit nigdy nie zapomniał ich drogi między żywymi ścianami i z niczym nieporównywalnego strachu — nie o siebie, tylko o znajdujących się teraz pod jego ochroną przyjaciół.

Folko nie ciął czarnych porostów — teraz macki bały się jego, ale on nie czuł w sobie mocy wojowników z przeszłości, przed których cudownymi ostrzami uciekało to obrzydlistwo, teraz znowu odżywające w podziemiach. Gdyby hobbit wdał się w otwarty bój, macki też zaczęłyby walczyć... Dziwne, nieuporządkowane myśli, napływające nie wiadomo skąd, przemykały mu przez głowę. Tymczasem za nimi prowadzący oddział orkowie wypadli z za zakrętu i znaleźli się tuż przed pierwszymi szeregami macek. Folko odwrócił się i zobaczył, jak na spotkanie orkom rzuciły się setki czarnych żywych lin. Straszliwy, do niczego niepodobny, przedśmiertny ryk wstrząsnął podziemiem. Oplatane żywymi linami trupy orków były wciągane w górę, w ciemność, a nowi, wybiegający z za załomu, stawali się zdobyczą kolejnych czarnych macek... Pochodnie zgasty, ocaleli orkowie rzucili się do tyłu, i tego, co się działo dalej, krasnoludy już nie zobaczyły. Ruchome porosty nagle ustąpiły miejsca czystemu kamieniowi; minęli straszliwe miejsce i byli bezpieczni. Folko odwrócił się, potrząsnął lśniącym sztyletem; ostatnie szeregi skurczyły się, porażone strachem!

Ciężko dysząc, ocierając mokre czoła i rozglądając się dokoła, krasnoludy zwaliły się na podłogę za pierwszym zakrętem, gdy czarne porosty zniknęły im z oczu. Hobbit czuł straszliwe zmęczenie, ale rozpierała go także duma.

— Co to było? — padały ze wszystkich stron niecierpliwe pytania. — Jak daliście sobie z tym radę?

Małec podbiegł do hobbita i uściskał go, podejrzanie pociągając nosem. Torin, z niedowierzaniem kręcąc głową, poklepał go po ramieniu, pozostali patrzyli na Folka z szacunkiem i zdziwieniem. Nie pierwszy to raz, kiedy hobbit przewodzi tam, gdzie pasują najlepsi wojowie!

Folko nie potrafił odpowiedzieć na pytania przyjaciół.

— One. . . One są bardzo stare, chcę powiedzieć, że strasznie odległych dni — wykrztusił, na próżno usiłując zrozumieć i uporządkować splątane w świadomości mętne obrazy. — Nie wiem, skąd pochodzą, może z Podmoriańskich Szlaków, wiem tylko, że boją się tego ostrza. — Pokazał swój sztylet. — TO widziało go wcześniej, na pewno, a może podobne? TO nic nie wie o świecie zewnętrznym, TO wypęta z głębin, żeby pożerać. . . Ale co nim kieruje? Nie wiem. Nie wiem, skąd w ogóle cokolwiek wiadomo mi o TYM. . . Po prostu, jakoś tak mi się wydaje. . .

Słuchano go bardzo uważnie, a potem Wjard uderzył się w czoło i powiedział, że słyszał w swoich górach bardzo starą legendę o wielorękich, żyjących w podziemnym królestwie; już dawno temu krasnoludy stykały się z nimi. Więcej nic nie udało mu się wydobyć z pamięci, chociaż Dorin i Balin domagali się, by coś jeszcze powiedział.

— Czy nie o takich opowiadał kiedyś Gandalf, który przemierzył Podmoriańskie Szlaki? — szepnął Torin hobbitowi.

— Skąd masz taki cudowny sztylet? — pokręcił głową Stron.

Słowa te nadały inny kierunek wciąż jeszcze nieuporządkowanym myślom hobbita.

Dlaczego Olmer podarował mi ten skarb? — myślał. Czyżby nic nie wiedział? Nie, nie mógł nie wiedzieć, powinien był przynajmniej się domyślać. A może ten sztylet nie pomaga na powierzchni, przeciwko wrogom Olmera? Czy nie elfy wykonały to ostrze? Jest bardzo podobne do ich wyrobów, chociaż, kto to wie. . . Żeby tak porozmawiać z którymś z nich!

Folko westchnął, widząc niczym na jawie, zamiast ponurych szarych sklepień, zalane księżycowym światłem listowie, jaskrawe letnie gwiazdy, srebrzysty odbłask ubrań elfów i magiczny, tajemniczy, głęboko ukryty płomień w ich oczach — mądrych i smutnych. Folko nigdy nie widział elfa — Rivendell opustoszał dawno temu, dawno rodacy Pani Galadrieli porzucili piękny Lorien. O Pierworodnych czytał tylko w Czerwonej Księdze i innych kronikach hobbitów.

Coś twardego trąciło go w tył głowy i Folko ocknął się. Odczuwał smutek i tęsknotę za zielonym, jasnym światłem, pozostawionym tam, w odległej prze-

szości. Właściwie nie mógł zrozumieć, ocierając nieproszone łzy, za czym tak naprawdę tęskni — za światem trwającym teraz czy za tym magicznym światem przeszłości, który pograżył się w niebycie po zniszczeniu Wielkiego Pierścienia Władzy.

— Ruszajmy, tangarowie — ponaglił towarzyszy Torin. — Do Sali Zamkowej jeszcze kawał drogi.

— Co w niej jest? — zapytał Grani, wkładając szelki.

Torin nie odpowiedział i Folko zamyślił się: rzeczywiście, gdzie znajduje się ten zatapiający dolne poziomy lęk, którego nie mógł wytrzymać żaden z żyjących tu krasnoludów? Zeszli już dość głęboko, ale, jeśli nie liczyć cienia przy Wrotach i błękitu w sztolni, nie napotkali na razie nic, co łączyłoby się z celem ich wędrówki.

Do Sali Zamkowej dotarli następnego dnia, a dokładniej kilka godzin po tym, jak ruszyli w drogę. Noc, jeśli można tak powiedzieć, minęła spokojnie, nic ich nie niepokoiło, i wkrótce znaleźli się na Progu.

Ostatnich kilkadziesiąt sążni korytarz prowadził prosto, i hobbit, ku swojemu zdziwieniu, zobaczył nagle purpurowe światło. Wkrótce pochodnie stały się zbędne; krasnoludy niemal biegły, pragnąc zobaczyć jeden z cudów Podziemnego Świata.

Od razu ujrzeli salę w całej okazałości; hobbit zamarł, szeroko otworzywszy usta. Była to olbrzymia jaskinia, mająca dobrą miłę w poprzek i tak wysoka, że wzrok ledwo dostrzegał zarysy sklepienia. Zadziwiające twory wody i kamienia, olbrzymie kamienne sople zwisały z sufitu, a naprzeciwko wyrastały z podłogi ich bliźniaki — szare, czarne, purpurowe, tworząc prawdziwy kamienny las. Folko nie od razu wypatrył ścieżki, prowadzące przez tę gęstwinę; dróżki wiły się między słupami, pokrytymi stwardniałymi naciekami, podobnie jak w lasach jego Hobbitanii. Wszystkie ścieżki prowadziły do centrum Sali, gdzie wznosił się szarą bryłą właściwy Zamek. Niezliczone wieże i wieżyczki, galerie, przejścia, zębate ściany, potężne przypory — wszystko to splatało się, zostało związane rękami nieznanymi mistrzów w taki ciasny węzeł, że można było spędzić życie, przyglądając się Zamkowi z boku. Liczne wąskie strzelnice wyglądały z gładkich powierzchni ścian, spiczaste dachy wieńczyły żelazne tyki ze skomplikowanymi, niezrozumiałymi wizerunkami, najprawdopodobniej jakimiś herbami. Ciemną gardzielą, jako żywo przypominającą górne Wrota, wpatrywał się w nich otwór wejścia. Folko rozejrzał się w poszukiwaniu źródła tego purpurowego światła, rozświetlającego olbrzymią Salę, ale nic takiego nie dostrzegł. Już zamierzał o to zapytać, gdy obok cicho, jakby w obawie, że zakłóci spokój starożytnej komnaty, odezwał się Gloin:

— To jest Sala Zamkowa. . . Światło pochodzi z Płomiennych Oczu; od nich, z samego serca Gór, ciągną się położone jeszcze za Pierwszego Krasnoluda świetlne żyły. Ich kamienie są wypolerowane tak, że otrzymano olbrzymie lustra, które

zbierają światło i rozpraszają je potem tu, w Sali. A tam, widzisz, jest słynny Kamień Durina. . .

Folko zmrużył oczy, usiłując wypatrzeć to, co wskazywał Gloin; najpierw błędził wzrokiem po dziwacznych kamiennych drzewach, potem jego uwaga skupiła się na czymś innym: na pustym placyku wznosił się jakby zalany w tej chwili krwią biały graniasty głaz. W jego wygładzie było coś dynamicznego, w ostrych kantach, w przypominających włócznie występach. Kamień sterczał samotnie pośród szaro-purpurowego świata gigantycznej pieczary, i Folko zrozumiał, że ten głaz naprawdę zasługuje na nazwę Kamienia Pierwszego Krasnoluda.

W milczeniu, rozciągnawszy się w długi łańcuch, szli przez kamienny las. Folko zapytał Dwalina, po co mieszkające pod ziemią krasnoludy zbudowały tutaj Zamek.

— Ten Zamek nie został zbudowany przez krasnoludy. One tylko nadały mu zarysy, które widzisz. Jaskinię i Zamek stworzyły same Góry. . .

Zatrzymali się przed Kamieniem i patrzyli nań w milczeniu. Spod Kamienia wypływał mały strumyk; spokój ogromnej jaskini zakłócał tylko cichy plusk płynącej pośród kamieni wody.

— W chwili, gdy milczą wszystkie siły, i Mroku, i Świt, i tylko Góry patrzą na nas purpurowymi źrenicami Płomiennych Oczu, stań na Kamieniu Durina, poproś o radę, a Dający Początek odpowie ci. . . — wyrecytował Hornborin jak zaczarowany.

I zanim ktokolwiek zdążył go powstrzymać, jednym susem zdobył zaklęty Kamień. Podniósłszy prawą rękę, zaczął wolno i uroczyście mówić; słowa padały jak uderzenia dziesięciofuntowego młota. Oczywiście przemawiał w narzeczu krasnoludów, więc Torin przetłumaczył jego mowę Folkowi:

— O Durinie, Wielki Ojczy Młotów, dziś Twoi potomkowie zwracają się do Ciebie! Czarny Koszmar Głębin znowu opanował Twoje stare królestwo, górne poziomy są zajęte przez orków. Podpowiedz nam, skieruj nasze wysiłki we właściwą stronę!

Hornborin umilkł, przez kilka chwil w Sali panowała cisza i nagle w świadomości hobbita rozległ się cichy głos; Folko nie rozróżniał słów, potem odbierał jakieś mało wyraziste obrazy; zrozumieć można było tylko ogólne wezwanie: w dół!

Jednakże odpowiedź była słaba, ledwo wyczuwalna, jakby przysła z daleka. . .

A potem wszyscy skierowali się do przeciwległej ściany Sali; już nie zadawali pytań i nie rozmawiali o wydarzeniu. Hornborin z Torinem szli ramię w ramię i nie sprzeczekali się. Za nimi szedł Dorin, przygarbiony pod ciężarem worka na plecach, nie wypuszczając topora z ręki; następnie Malec, z obnażonym mieczem w prawej dłoni i sztyletem w lewej; oraz Folko, z łukiem i nałożoną na cięciwę

strzałą. Przecięli Salę, po czym weszli w kolejny korytarz, który prowadził stromo w dół.

Folko nagle poczuł, że coś jest nie w porządku. Wiszący na piersi sztylet stał się ciężki jak z ołowiu, a serce zaczęło kołatać. Widok przed nimi zakryła szara, lepka mgła, przez którą nie mogło się przebić światło pochodni. Mgielna zasłona zwarła się nad nimi, nogi odmawiały posłuszeństwa, ale wszyscy szli dalej. Coś na podobieństwo kolorowego obrazka trzepotało się, drżało przed wewnętrznym wzrokiem hobbita, widział siebie jakby z boku — złamanego, tracącego oddech z niewypowiedzianego strachu, którego nie da się opanować ani określić. Ale czuł też, że na razie chroni go przed lękiem własna wola oraz ta stara potęga, którą zakłęto w Pierścieniu Hornborina i jego sztylecie.

Mgła nieoczekiwanie ustąpiła i zobaczyli na poły zawalony odłamkami korytarz. Znajdowali się na Siódmym Głębinowym, ostatnim z poziomów Morii, poziomie magazynów i kuźni, poniżej którego znajdowały się już tylko sztolnie, dziesiątki mil starych korytarzy; ale błędzenie ich splotami nie miało sensu — nie było tam ani wody, ani kryjówek, nawet starych, porzuconych i zdewastowanych mieszkań. A mimo to Torin poprowadził ich w dół; musieli najpierw pójść do Sali Sto Jedenastej.

Zawalone sklepienie korytarza wyraziściej niż wszelkie słowa mówiło o tragedii, która się tu rozegrała: gdzieniegdzie ze sterty odłamków i gruzu sterczało stylisko kilofa; w jednym miejscu znaleźli wysmarowany czymś ciemnym krasnoludzki but. Maszerowali ostrożnie, nie chcąc niepokoić umarłych; Torin obawiał się, że dalej droga będzie zamknięta, ale nie — między zwałami kamienia i sufitem zawsze znajdowali wystarczająco dużo miejsca, by się precyzyjnie.

Sto Jedenasta Sala była nieprzytulnym miejscem. Kiedyś jej wysokie sklepienie podtrzymywało kilka rzędów spiralnych kolumn, teraz wszystkie leżały roztrzaskane. Z sali, w której niegdyś ważono rudę — w rogu zachował się jeszcze żelazny szkielet dużej wagi — wychodziły trzy korytarze. Jeden prowadził w dół do sztolni, skąd ciągnęło znajomym suchym żarem, drugi gwałtownie się wznosił, przechodząc w wąskie schody, prowadzące na drugi poziom; trzeci korytarz kończył się ścianą. Dorin najpierw ostukał przegrodę oskardem. Dźwięk był głuchy; za ułożoną ze starannie dopasowanych kamieni ścianą najprawdopodobniej znajdowała się macierzysta skała. Jak w wielu innych salach Morii, i tu była woda; ściekała do kamiennej niszy, wydobywając się z rur przenikających całą Morię niczym system krwionośny.

Dopiero teraz krasnoludy zaczęły rozmawiać. Należało iść do Płomiennych Oczu, na dno sztolni, bo tylko tam można znaleźć drogę do Podmoriańskich Dróg. Torin zaproponował, by się wyspali przed decydującym etapem, ale nikt nie miał ochoty na sen. Strach niczym mdłości sięgał gardła, i trzeba było dokładać wielu starań, by mu się nie poddać. Postanowili dać nieco wypocząć nogom i plecom, a potem od razu ruszyć w dół. Folko z ciekawości zamierzał przejść się po sali,

Bran i Skidulf postanowili pójść z nim. Gloin przypomniał pozostałym o mithrilu, schowanym gdzieś w ścianach; krasnoludy zaczęły od korytarza prowadzącego do sztolni, starannie ostukiwały ściany. Ledwie wzięły się do roboty, gdy Folko nieoczekiwanie zerknął w ciemną głębinę korytarza i krzyknął ostrzegawczo. Ściany i sufit jarzyły się purpurowymi odbłyskami rudych płomieni; ogień się zbliżał. Poderwali się na równe nogi i chwycili za broń. Folko skoczył po swój łuk.

Zdążył na czas. Światło rozbuchanego płomienia zalało najbliższe zakręty korytarza i osłupiałe krasnoludy zobaczyły, jak obok nich do sali wpełzło szybkie, wijące się ciało, dokoła którego jarzyła się aureola prawdziwego ognia. Istota zauważyła krasnoludy, zamarła, wygięła się jak atakujący wąż. Stojący blisko niej zobaczyli parę małych zimnych oczu na czarnej głowie, dokoła której wiły się rude języki bezdymnego ognia. Nagle rozległ się odgłos spuszczonej cięciwy elfijskiego łuku i strzała wbiła się pod lewe oko istoty; wyszła na zewnątrz, już płonąca. Ale dokonała tego, czego miała dokonać; zatrzymała atak stwora i ugasiła płomień. Chwilę później tylko krótkie niebieskie iskry przemykały wzdłuż długiego czarnego grzbietu, okrągła głowa uderzyła w podłogę.

Wszyscy zamarli na swoich miejscach, a w końcu odezwał się wstrząśnięty Gloin:

— Ognisty Czerw! Ognisty Czerw!

Krasnolud odstał o krok, unosząc dłonie do twarzy, ale zaraz otrząsnął się.

— Szybciej, bracia, potrzebna jest sieć! — krzyknął Dwalin. — Gdzieś tu widziałem...

Już ciągnął spod zwału żwiru splecioną z cienkich żelaznych linek dużą sieć do transportu worków z rudą. Na pomoc mu rzucili się Gloin, Gimli, Tror i Bran.

— Co chcesz zrobić? — Torin chwycił Gloina za rękaw.

— Puść!... Nie wiesz, czym rozpałał swoje Palenisko Wielki Durin?! Przecież to cud nad cudami! — Moriańczyk oddychał spazmatycznie. — Ogniste Czerwie żyły kiedyś w samym sercu gór, biorąc życie z ognia Płomiennych Oczu. Pierwszy Krasnolud łowił je i topił na nich żelazo, i wszyscy wiedzą, że nałożył na nie zaklęcie i że jeśli wypęłzają do góry, to ciągną do jego Paleniska. Palenisko jest gdzieś w pobliżu, szukajcie go, bracia! Powiadają jeszcze, że czerwie pełzną do tego miejsca, gdzie został zabity ich współplemieniec. Jeśli to prawda, wkrótce będą tu ich całe hordy!

— Co ty opowiadasz?! — wykrzyknął zdumiony Torin.

Ale Moriańczyk wyrwał się; wymachując rękami, rzucił się do ściany i zaczął gorączkowo obstukiwać ją oskardem. Pozostali dreptali w miejscu, nie wiedząc, co robić, póki Dwalin nie krzyknął na nich:

— Nie stójcie, łapcie sieć, ciągnijcie do wyjścia! One topią i żelazo, i kamienie, ale można je powstrzymać na jakiś czas!

— Zgłupiełście obaj czy jak? — wściekł się Torin. — Po co łowić? Gdzie będziemy trzymać? Jakie Palenisko?

W tej samej chwili ściana odpowiedziała na uderzenie Gloina głuchym echem. Krasnolud trafił w pustkę. W następnej chwili oskardy wgrzyły się w twarde kamień. Krasnoludy pracowały z nieprawdopodobną prędkością i dopiero teraz Folko zrozumiał, jak silne i wytrwałe są ręce gospodarzy Podziemnego Świata. W palcach Dorina błysnęło wiertło, z worków wydobyto ostre i ciężkie kliny, i wbijano je w szczeliny, czym się dało.

Szaleńczo pracowali ponad godzinę, kiedy oskard Torina nieoczekiwanie wpadł w przestrzeń za ścianą, a on niemal zwałił się z nóg. Przebili się na wylot i teraz poszło łatwiej. W ścianie powstał otwór, przez który można było przecisnąć się do środka. Hobbit zapomniał o strachu i zanurkował w ciemność zaraz za Torinem.

Pochodnie oświetliły niewielką komorę, aż po sufit wypełnioną białymi sztabkami, ułożonymi w dokładne sztaple. W pierwszej chwili wydały się hobbitowi sztabkami srebra, ale przyjrząwszy się dokładniej, zrozumiał, że to nie jest srebro. Srebro nie miało takiego odcienia ani połysku, ani czystości. Usłyszał chóralne westchnienie krasnoludów. Mithril, marzenie krasnoludów Północnego Świata, metal, który przyniósł Morii bogactwo i sławę, leżał teraz przed nimi i mogli nim dysponować. Dorin upadł na kolana przed sztabkami ułożonymi jak drewno, w sagi, przycisnął do nich twarz. Pozostali czule głaskali długie sztabki jak dzieci; Folko poczuł się niezręcznie. Odwrócił się. Dostrzegł wąskie przejście między sagami mithrilu. Trzymając pochodnię w ręku, ruszył przed siebie. Nie wiedział, dlaczego tak mocno wali mu serce.

Podszedł do gładkiej ściany, uderzył w nią kamieniem. Odgłos był głuchy... Ale już nauczył się nie ufać wzrokowi i uszom. Wyciągnąwszy z pochwy sztylet, kilka razy niezbyt mocno dźgnął wypolerowany granit i wyszeptał:

— O Elbereth! Giltoniel!

Nie zdziwił się, gdy kamienie wolno rozsunęły się na boki, odsłoniwszy niskie czarne przejście. Na klindze sztyletu wolno dogasało błękitne jarzenie...

— Folko! Folko, gdzie jesteś? — Za jego plecami wyrósł Malec z pochodnią i zamilkł w pół słowa, widząc otwarty korytarz. — Co to jest?

On, Folko i Torin zaczęli pełznąć niskim tunelem, który skręcał pod ostrym kątem w prawo, ich dłonie — dziwna sprawa! — grzęzły w grubej warstwie pyłu. Folko usłyszał, jak Torin mamrocze:

— Ciekawe, ile wieków nikt tu nie był?

Korytarz kończył się nagle i znaleźli się w niewielkiej sali, której podłogę pokrywała równie gruba warstwa pyłu. Pochodnie oświetliły niedbale wykończone ściany, proste kamienne ławy, niskie sufity bez żadnych ozdób, a na środku pomieszczenia ogromne kamienne kowadło i obok ciemne gigantyczne palenisko. Nad nimi w suficie widniał mały otwór wentylacyjnego komina. Torin i Malec runęli na kolana.

— Palenisko Durina... — wyszeptał niemal bezgłośnie Torin.

A potem zaczęło się dziać coś niewyobrażalnego. Do kuźni precyzyjnie się po zostali, zapalono nowe pochodnie i krasnoludy, usiadłszy w krąg, zaczęły śpiewać jakąś uroczystą pieśń w swoim języku. Folko nie rozumiał ani słowa, ale w gardłowych sylabach wyraźnie słyszał uderzenia młota. Oczy krasnoludów płonęły magicznym ogniem — nadeszła godzina ich triumfu!

Od chwili, gdy weszli do Sali Durina, minęło — jak się wydawało hobbitowi — sporo czasu, ale w rzeczywistości upłynęły tylko minuty. Potem Grani, wysłany z powrotem do Sali Sto Jedenastej, wszczął alarm i Folko na własne oczy zobaczył polowanie na Ogniste Czerwie.

Czerwie, jak przepowiedział Gloin, zaczęły wypęłzać z mroku korytarza, sunąc w stronę postrzelonego przez Folka towarzysza. Polowaniem kierował Gloin. Żelazna sieć spadła na płonące zawijasy ciała, czerw rozpaczliwie zwijał się, stalowa sieć rozżarzyła się do czerwoności, ale krasnoludy specjalnymi hakami, wyszukanyymi w kuźni, wlokły zdobycz do Paleniska. . .

A potem, kiedy w zamkniętym szczelnie kamiennym Palenisku złowieszczo syczało, zwijało się i pluło ogniem ponad dziesięć Czerwi, Folko z ciekawością przyglądał się pozostawionym przez nie śladom na kamieniach. Czerwie potrafiły topić kamienie i przebijać korytarze w skałach, dokładnie tak jak ich powierzchniowi kuzyni gdzieś w hobbitkim trawniku. Torin zebrał wszystkich krasnoludów w ciasnym kręgu. . .

Hobbitowi było trudno pojąć, o czym mówią przyjaciele. Wychwytyjąc poszczególne słowa, zrozumiał, że chodzi o to, by wykorzystać znalezisko i wykuć dla siebie niebywałą mithrilową broń, łącząc w niej siłę Pierścienia i siłę Pamięci Durina. Folko nie rozumiał, co to znaczy. Krasnoludy rozprawiły o czymś dobrze im znanym, jakby zaczęły się spełniać ich najskrytsze marzenia. Raz szybko, a raz wolno padały w ciszy Kuźni Durina słowa starych zaklęć i jasnym światłem płonęło złoto Pierścienia, który Hornborin zdjął z palca i przekazywał po kolei każdemu krasnoludowi, wygłaszającemu zaklęcie. A potem w żar, do Czerwi, został włożony kawałek mithrilu i kilka kawałków żelaza znalezionych za kuźnią. Krasnoludy nie pożałowały również jakichś wonnych specyfików ze starych butli z zielonego szkła, stojących na półkach wzdłuż ścian.

Nagle przeraźliwie jasno zapłonął ogień w Palenisku i krasnoludy ustawiły się w ciasny krąg, zasłaniając widok plecami. . . Potem bez przerwy dzwoniły młoty, a roztopiony metal wściekle miotał skry. W Palenisku można było nie tylko kuć, ale również wytapiać metal. Skądś pojawiły się skomplikowane formy, cudowny metal płynął ognistym strumieniem po wytyczonej ścieżce, a potem ponownie wkładano go do Paleniska, później zaś kuto, nie szczędząc sił. Krasnoludy robiły tylko krótkie przerwy, żeby w pośpiechu zjeść kawałek chleba i wychylić szklanice piwa, po czym wracały do kowadła. . .

Ale nie tylko kuły. Nadeszła chwila, kiedy Torin z obrzydzeniem cisnął w żar Paleniska miecz z Mogilników, który tak długo prowadził upiora po ich śladach.

Folko oczekiwał, że stanie się coś niezwykłego, ale wściekły płomień Czerwi, który tak rozżarzył ścianki Paleniska, że nie można było nie tylko ich dotknąć, ale nawet stać obok, bezgłośnie połknął wyrób nieznanego kowala, poświęcony martwemu światowi, i miecz stał się błyszczącą kałużą.

Jednak gdy Folko zamknął oczy i wsłuchał w siebie, powtórzyło się koszmarnie zagrobowe wycie, szaleńcze, przepełnione bólem i rozpaczą. Pojawiło się widzenie: ciemne wzgórza, drzewa na stokach oraz kołysana wiatrem biała istota w płaszczu i hełmie, stara, wstrętna, śmiertelnie niebezpieczna. I umierająca. Miecz, poświęcony upiorom Mogilników, szczeł, a wraz z nim znikł ośrodek staro Mroku. Podmuch wiatru porwał szary płaszcz na drobniutki, niewidzialne strzępy, hełm rozsypał się niczym próchno. . .

W końcu hobbita zmorzył sen. Krasnoludy jakby zapomniały o nim, praca pochłonęła je całkowicie, a on przestał słyszeć ciężkie uderzenia młota o kowadło. . .

Kiedy się obudził, w Kuźni panowała cisza; teraz krasnoludy uważnie wyciągały z ognistej masy długie i cienkie nici, związały pierścienie; z niezwykłą zręcznością pracowały ich palce — łańcuszki pierścieni na kolczugi rozrastały się błyskawicznie. . . Folko poczuł się zbędny i w milczeniu zajął się gotowaniem.

Minęło wiele godzin, póki nie zmęczyły się najwytrwalsze. Jednakże niełatwo było odciągnąć krasnoludów od Paleniska. Kilka godzin snu, pospiesznie spożyty posiłek — i znowu do roboty. . .

Upływały długie podziemne „dni”. Czas zwolnił bieg, Folko czuł, że śpią o wiele mniej niż na powierzchni. Krasnoludy oszczędzały żywność, starając się tak gospodarować zapasami, by starczyły na jak najdłużej. Hobbit nie był im przydatny. Zazwyczaj wciskał się w jakiś kąt Kuźni i obserwował, jak wzlatają i opadają ciężkie młoty. Krasnoludy wykuwały dla siebie nowe topory i krótkie grube sztylety, niskie, zakrywające całą głowę hełmy z ruchomymi przyłbicami, kolczugi o mithrilowej łusce. . . Niekiedy wyruszały w dół korytarzem do sztolni po nowe Czerwie; polowania na te stwory były niebezpieczne i trudne, musiały długo błądzić po pustych korytarzach w poszukiwaniu czerwonych odbłyśków na ścianach; jeśli stworzenia się pojawiły, szykowano sfatygowaną stalową sieć. Lęki znikły, przypominało o nich tylko stałe, niejasne poczucie niepokoju, do którego wszyscy już przywykli.

Minęło co najmniej siedem długich podziemnych „dni” od chwili, gdy otworzyli przejście do tajemnej Kuźni. W pewnym momencie Folkowi wydawało się, że ogłuchł — nagle w Kuźni zapanowała cisza. Praca była skończona i krasnoludy tłumnie podeszły do zdumionego hobbita. Torin wystąpił do przodu i w milczeniu, z szacunkiem pokłoniwszy się, położył mu na kolana niewielki hełm ze szczelną przyłbicą, kolczugę z naramiennikami, rękawice z płytkami, nagolenniki i nowe noże do miotania. Folkowi aż dech zaparło, gdy patrzył na prezenty; nie mogąc wykrztusić słowa, mocno przycisnął do piersi drogocenny ryszunek i drżącym

głosem, płacząc się, dziękował przyjaciółom; krasnoludy uśmiechały się z zadowoleniem, widać było, że pochwały szczerego hobbita sprawiają im przyjemność.

A potem Torin narzucił na wbity w ścianę hak swoją starą kolczugę i ciał ją swym nowym toporem. Ostrze wykrzesало iskry, a na ramieniu kolczugi pojawiła się dziura; krasnoludy były zachwycone. Wtedy Torin tak samo wypróbował na swoim nowym pancerzu stary topór — broń odskoczyła od mithrilowego rynsztunku z taką siłą, że wypadła z ręki krasnoluda i znalazła się na podłodze.

Po tych wydarzeniach już niedługo zostali przy Palenisku Durina. Zabrawszy ze sobą po kilka sztabek drogiego srebra, zeszli korytarzem Ognistych Czerwi w dół, kierując się w stronę niekończących się labiryntów sztolni Morii.

Było coraz bardziej duszno, męczyło ich pragnienie, w twarze biły fale gorącego powietrza. Folko zalewał się potem; a wody w sztolniach nie było.

Na chybił trafił wędrowali po niekończących się, bliźniaczo podobnych do siebie kopalnianych wyrobiskach. Dwa czy trzy razy trafiali na pospiesznie umykające Ogniste Czerwie; nadal nie wydarzyło się nic szczególnego. Torin coraz częściej marszczył czoło, Hornborin coraz częściej szedł do przodu, coraz częściej wzdychał z żalem Wjard.

Nie przyniosło ulgi również kilka godzin odpoczynku, podczas którego usiłowali się zdrzemnąć. Zostało im niewiele pochodni, kończyła się żywność, lada chwila mogło zabraknąć wody. A schodzenie wymagało nie lada kondycji, drogę co rusz przegradzały zapadliska; czasem między głazami było tyle miejsca, że udało się im precyzyjnie, ale częściej trzeba było szukać okrzężnej drogi, i gdyby nie wiedza Gloina i Dwalina, zostaliby na wieki w tym straszliwie jednostajnym labiryncie. Jednakże czas upływał, a drużyna nie potrafiła odnaleźć w pustych wyrobiskach niczego, co mogłoby przyczynić się do rozwiązania zagadki Morii. Niektóre krasnoludy straciły ducha, rozpacz chwilami opanowywała również Folka. Jakże nienawistne stały się mu te szare ściany i sklepienia! Jak męczyły się oczy w pozbawionym zieleni i życia świecie! Często śnił o Hobbitanii; jakież mieli plany, gdy z Torinem zaczynali wędrówkę!...

Jednakże Folko mylił się, sądząc, że wkrótce zawrócą i ostatnią przeszkodą na drodze powrotnej będą pułapki orków. Oddział uparcie przebijał się przez kolejną przegrodę, kiedy nagle idący na czele Dorin potknął się, zamachał rękami, usiłując utrzymać równowagę, a potem wrzasnąwszy coś, zniknął nagle. Krasnoludy pobiegły w tamtą stronę i zatrzymały się osłupiałe: między kamieniami widniała wąska szczelina ziejąca nieprzeniknionym mrokiem.

Przez kilka chwil wszyscy patrzyli ze strachem na kamienną paszczę, która z taką łatwością połknęła ich towarzysza; hobbitowi zdawało się, że ten nienasycony pysk rozciągnął się w złośliwym i triumfującym uśmiešku. Jednakże, gdy Torin szarpał troki swojego worka, żeby wydobyć sznur, usłyszeli dobywający się z ciemności głos Dorina:

— Hej, gdzie jesteście? Zejdźcie tu do mnie, Gloin, Dwalin! Nigdy jeszcze nie widziałem takich korytarzy...

Krasnoludy odetchnęły z ulgą, Hornborin pochylił się nad otworem:

— Dorinie? Głęboko tam?

— Jakież półtora sążnia — usłyszeli odpowiedź. — Cudem nie skręciłem kar-ku.

Torin rzucił w dół sznur, przywiązawszy go mocno do jednego z ostrych odłamków skały, i zniknął w szczelinie, a za nim Hornborin, Gloin i Dwalin. Przez kilka minut z dołu dochodziły stłumione głosy; Folko nie rozumiał słów, ale wydawało mu się, że mówiących chyba coś zaskoczyło. W końcu z dziury wyłoniła się głowa Torina.

— Schodźcie na dół! — zawołał. — Nie wiem co, ale coś chyba znaleźliśmy.

Ostrożnie i w ciszy krasnoludy pojedynczo znikwały w tajemniczej szczelinie. Zręczny hobbit zszedł na dół bez trudu, chociaż przeszkadzał mu worek na plecach. Czując pod nogami kamienną podłogę, Folko rozejrzał się.

Stali w niewysokim okrągłym korytarzu, bez obowiązującej w całej Morii prostej podłogi. Idealnie równe ściany tunelu nie były polerowane, gdzieś tam widniały niewielkie czarne zacieki.

— Ten korytarz nie został wyrąbany — przerwał ciszę Gloin. — Chyba wytopiony albo zupełnie się nie znam na tunelach!

Przerzucając się krótkimi zdaniem, krasnoludy obmacywały niezwykle ściany. W świetle pochodni widać było szczelinę w suficie i zwisającą linę. Torin poprawił topór za pasem i zawołał pozostałych.

— Korytarz prowadzi ze wschodu na zachód. Żar ciągnie z zachodu. Dokąd idziemy?

— Na zachód — odezwał się Hornborin.

Folko drgnął; w głosie krasnoluda wyczuł trwogę. Zawrócili i pomaszzerowali do przodu, by stawić czoło ziejącej żarem głębi.

— Gloinie, czy pod nami są jeszcze jakieś sztolnie Morii? — zapytał Moriańczyka Torin.

Ten pokręcił głową.

Szli w milczeniu, przygotowani na niespodzianki. Hobbit czuł się źle, nie opuszczało go przygnębienie, coraz bardziej osaczał lęk. Starając się opanować chaos myśli i zagłuszyć niepokój, zapytał cicho Torina:

— Słuchaj, a skąd wiedziałeś, że korytarz prowadzi ze wschodu na zachód?

Przyjaciel uśmiechnął się.

— Przecież zawsze wiesz, gdzie jest góra, a gdzie dół, bracie hobbicie, tak samo jak i wszyscy urodzeni na ziemi. A my, krasnoludy, nie rodzimy się na powierzchni... Tylko w jej trzewiach, i dlatego poczucie kierunku jest u nas instynktowne.

Rozmowa urwała się. Usłyszeli niski, skrzypiący, syczący dźwięk, dochodzący z ciemności przed nimi. Fala strachu spłynęła na hobbita i znowu, który to już raz, poczuł, że uderzenie przyjął na siebie Pierścień. Nie, nieprzypadkowo Widmo pojawiło się przed Wrotami Morii, i błękit w sztolni! Pierścień pomagał im, i byli pod jego opieką o wiele silniejsi. Ale teraz spotkali coś innego.

Zatrzymali się. Skronie im pulsowały, czoła pokryły się lepkiem potem; zniechęconiejszy, wpatrywali się w mrok — ponieważ właśnie tam znajdowała się potężna Moc. Folko wyraźnie wyczuł przed sobą jakby zwiniętą sprężynę siły, ale nie była to nienawiść. Torin wysoko uniósł pochodnię i ruszył do przodu, obok niego maszerował Hornborin, a za nimi Folko, który sam nie wiedział, jak znalazł się w pierwszym szeregu. Minęło sporo czasu, zanim przypomniał sobie o sztylcie. Nagle rozległ się syk; krasnoludy stanęły, a potem zaczęły się cofać, kroczyć po kroczeniu.

Dorin wysoko uniósł ręce, jakby chciał zatrzymać wahających się, a potem skoczył do przodu. Nie powiedział ani słowa, ale pozostali ruszyli za nim. Teraz już nikt nie wątpił, że znaleźli to, czego szukali.

Upał się wzmagał. Folko stracił wszelkie wyobrażenie o tym, co dzieje się dokoła. Pochodnie skąpo oświetlały gładkie czarne ściany; krasnoludy szły rozciągniętym szeregiem, ponieważ nie dało się iść inaczej po okrągłej podłodze. Ciemność dławiła, zwierzęcy strach tłukł się w każdym sercu, ale mieli jeszcze trochę siły; Hornborin maszerował dumnie wyprostowany, wyciągnąwszy przed siebie rękę z Pierścieniem.

Gdy dławiący ciężar w piersi stał się nie do wytrzymania, hobbit wyjął swój drogocenny sztylet, z purpurowym światłem smolistych pochodni zmieszał się błękitny blask cudownej broni. Krawędzie klingi płonęły jasnobłękitnym światłem, kwiaty błyszcząły ciemnoniebiesko. W ciszy tunelu rozdzwięczała się niewidzialna, cienka struna, ale w tej samej chwili rozległy się osobliwie brzmiące dźwięki, jakby wył zbudzony zwierzę; w tych odgłosach była nienawiść, której nie czuło się wcześniej. Oczy Mroku zobaczyły coś, co doprowadziło jego mieszkańca do szału.

Padając na kolana, zakrywając się rękami, gubiąc pochodnie, krasnoludy cofnęły się, i tylko Hornborin wciąż stał, trzymając w jednej ręce pochodnię; na drugiej promieniał światłem Pierścień.

Folko szybko schował sztylet i nawet nie zdziwił się, gdy podziemny ryk ucichł. Ale hobbit zrozumiał, że został „zauważony” i że teraz nie będzie mu łatwo.

Krasnoludy stłoczyły się za Hornborinem i zniechęconiejszy. Co powstrzymało je w tej chwili od ucieczki? Hobbit widział strach i rozpacz na ich twarzach, Wjardowi trzęsły się ręce, ale nikt nawet nie napomknął, żeby wracać.

Zapadła cisza, ale jeszcze było słychać zamierający głuchy ryk; gdy w końcu ruszyli, i nie przeszli nawet stu kroków, dostrzegli przed sobą znajome błękitnawe

świecenie. Serce hobbita załomotało, ale nie odczuwał jak poprzednio strachu tłumiącego wolę i rozum — przeciwnie, zbudziła się w nim jakaś zuchwałość, a oprócz tego z nieoczekiwaną jasnością pojawiła się myśl: „To nie jest przeciwko wam”.

Któryś z krasnoludów krzyknął coś ochryple, któryś upadł. Folko zapamiętał wściekle spojrzenie Dorina ściskającego w rękę topór i Malca, który nieoczekiwanie wyszedł na czoło z dwiema obnażonymi klingami; potem błękitna fala dotarła do nich, hobbit zawirował w gorącym, suchym wietrze, nie zdołał utrzymać się na nogach i zwałił na ziemię.

Jednakże nie trwało to długo. Kiedy uniósł głowę, dokoła panowała całkowita ciemność; pochodnie zgasły, tylko w jednym miejscu zauważył kilka tłących się węgielków. W mroku dokoła niego rozlegały się pochrząkiwania, sapanie, niezrozumiałe głosy... Odezwał się Torin:

— Cali? Wszyscy są? Dorinie, Hornborinie, gdzie jesteście?

Odpowiedzieli mu. Wszystkie krasnoludy były całe, wykpiły się tylko lekkim strachem, nieporównywalnym w żaden sposób ze wstrząsem, jaki omal nie wykończył ich na początku wędrówki po Morii.

W ciemnościach skrzესali ogień i rozpalili pochodnie. Bran zaproponował, żeby trochę odpocząć i spokojnie porozmawiać. Propozycję przyjęto, w ruch poszły manierki, zaszeleściły rozwiązywane skórzane kapciuchy.

Wszyscy mówili naraz, przekrzykując się nawzajem: dlaczego tym razem było inaczej? Niektóre krasnoludy już uznały, że nadeszła godzina ich śmierci, ale okazało się, że i to można przetrzymać.

Folko przyznał się, że — najprawdopodobniej — to jego sztylet wywołał wybuch podziemnego gniewu: na hobbita padło kilka niepewnych spojrzeń, a Wjard nawet odsunął się nieco dalej. Jak zwykle w takich wypadkach nikt nie miał nic szczególnego do powiedzenia: nagle rozległ się bardzo spokojny głos Malca, który do tej pory, wydawało się, drzemał pod ścianą:

— Według mnie, wszystko jest jasne — rzucił, nabijając fajkę. — Ten błękit pochodzi od nich, prawda? To coś jak wydech, według mnie. Tyle że nie zwyczajny wydech, tylko... żywy. Poczekajcie, posłuchajcie mnie! Tam, na górze, on sam się na nas rzucił, no, taka jego natura! Natomiast ci, od których szedł, nic do nas nie mają. Gdyby chcieli nas zmiażdżyć, dwadzieścia razy by już to zrobili! Nie mają do nas żadnej sprawy! A my możemy tu chodzić całe wieki!...

— No to co, do góry? — zapytał Dorin.

— Nie, dlaczego... — wzruszył ramionami Malec. — Ja tam, gdzie wszyscy...

Nikt nie sprzeczał się z Malcem, ale nie dlatego, że nie było argumentów przeciwnych — nikt nie potrafił udowodnić, że nie ma racji, a on nie potrafił poprzeć dowodami swej teorii; dlatego tylko odpoczęli i ruszyli dalej.

Ich wędrówka po Podmoriańskich Szlakach trwała jeszcze trzy pełne dni. Tajemniczy korytarz doprowadził ich do niewielkiej sali — wytworu starego ognia, i tutaj właśnie na własne oczy zobaczyli Płomienne Oko. Z powodu potwornego żaru nie można było podejść blisko, ale widzieli — zapewne jako jedyni ze Śmiertelnych — misterium narodzin Ognistego Czerwia w bulgoczącym purpurowym kotle, gdzie wrzała roztopiona skała. Boleśnie cięło w oczy światło emitowane przez Oko Gór i Folko przypomniał sobie ostatnie słowa listu: „Wystrzegaj się Płomiennego Oka”. Zrejterowali.

Zostawiając znaki na ścianach, ruszyli prowadzącym pod górę i na zachód korytarzem. Był to naturalny jaskiniowy korytarz, kiedyś wydrążony w skale przez cierpliwą wodę. Stanowił trudniejszy szlak niż wytopiona sztolnia. Drużyna natknęła znowu zarośla żywych czarnych porostów, przebili się przez nie z dużym trudem, mimo sztyletu hobbita niektóre z głodnych macek postanowiły wypróbować trwałość mithrilowego rynsztunku potomków Durina; Wjarda uratowały tylko kunszt i broń Malca. Zetknęli się również z olbrzymim Ognistym Czerwem, przed którym musieli uciekać co sił w nogach, a potem, gdy zeszli niżej i usłyszeli plusk płynącej gdzieś w pobliżu wody, w ciemnych przejściach obok brzegu Moriańskiego Rowu — a dotarli i do niego — Dorin zauważył słabo świecący grzbiet Strażnika Głębi w nieprzeniknionej wodzie; Folko uraczył potwora strzałą, po czym ten zniknął natychmiast w ciemnościach. Gandalf mówił o Rowie, że jego dno znajduje się poza światem i wiedzą, a oni zrozumieli, dlaczego wielki mag nie chciał zaćmiewać blasku dnia opisem tego, co przeżył w tunelach. Nie udało im się, mimo że próbowali, przedostać na zachód od Rowu. Z potwornym hałasem runęło sklepienie i ściana przed nimi, a w wyłomie pojawiło się coś, co w pierwszej chwili przypominało Ognistego Czerwia, ale natychmiast zrozumieli, że to nie jest Czerw: ciemnopurpurowy płomień rozjaśnił skały, rozżarzona gruda przepłynęła od jednej ściany do drugiej, rozległo się syczenie i coś zniknęło w jednym z odgałęzień. . . Krasnoludy długo zwlekały z opuszczeniem kryjówek.

Kolejny raz pomaszzerowali ku górze i w końcu natknęli się na jeszcze jeden wytopiony tunel; ucieszyli się z tego odkrycia, jakby to był Główny Szlak Morii. Prowadził ze wschodu na zachód; jak i w pierwszym, z zachodu dochodził żar: suche i gorące powietrze. Pozostawiwszy za sobą zagadki Podmoriańskich Szlaków — coś podpowiadało krasnoludom, że nie tam kryje się wyjaśnienie zagadek — ruszyli śliskim tunelem na zachód.

Wszystko się powtarzało. Znowu musieli walczyć ze sobą przy każdym ruchu; z popękanych warg sączyła się krew, a w twarze bił gorący wiatr. Trafiały im się rozgałęzienia, ale wszystkie tajemnicze tunele prowadziły w jednym kierunku — na zachód, choć odrobinę odchylały się na północ.

— Jak czerwie do przynęty, wszystko się kieruje w jedną stronę — zauważył Dorin ponuro po powrocie ze zwiadu, i jego słowa zapadły w pamięć hobbita.

— Koniec! — ogłosił Torin po sprawdzeniu manierek z wodą. — Dalej nie możemy iść, trzeba wracać!

— Poczekaj — powstrzymał go niespodziewanie Hornborin. — Jakoś tak czuję. . . mila czy dwie nie zmienią niczego, idźmy jeszcze kawałek.

Folko, który ani na chwilę nie zapomniał swojego widzenia w Sali Zamkowej, zaniepokoił się. W sercu hobbita napięła się niewidzialna struna, bowiem obok, blisko ich grupy, zalegało coś, co swoją mocą zmiatało moc starych magów i moc elfickich wojowników.

Niechętnie, ociągając się, krasnoludy zarzuciły worki na plecy. Jednak maszerowali dość krótko. Nie zrobili nawet stu kroków, gdy nagle nogi odmówiły im posłuszeństwa: z siłą tarana nieuchwytna siła Mroku uderzyła w ich dusze. Folko pojął, że Pierścień osłabił uderzenie i napór tej siły, ale całkowicie odeprzeć jej nie mógł. Zatrzymali się, rozszerzonymi oczami wpatrując w ciemność. Gorący powiew nagle ustał; Hornborin wolno, bardzo wolno oderwał nogę od podłoża, i w tej samej chwili skała dokoła nich zadrżała, rozległ się łomot, od przodu potoczyły się kamienie z walącej się ściany i Mrok wypełził im na spotkanie.

Nawet we śnie hobbit nie przeżył takiego koszmaru. Sparaliżowany, nie mając sił, żeby wykonać jakikolwiek ruch, stał jak zaczarowany, wyczuwając, jak zbliża się nicość; rozumiał, że to już koniec, że nie ma ratunku. Nie czuł nic. W nadciągającej nicości nie czuło się nienawiści, i to potęgowało strach. Znieruchomiełe źrenice hobbita zaszklily się.

I nagle coś jak błyskawica niespodziewanie przebiło niezniszczalny, wydawało się, kamienny strop, eksplodując w mroku podziemia niczym oślepiająca zorza. To Hornborin chwiejnie postąpił naprzód i Pierścień na jego prawej ręce załśnił jak małe słońce. Promieniał blaskiem, a krasnolud kroczył na spotkanie Mroku, pozostali zaś jakby zrzucili z siebie okowy nieznanego zaklęcia. Hobbit zadrżał; wierzył, że i tym razem Mrok odstąpi, że wyrwą się z jego śmiertelnych objęć!

Mrok rzeczywiście zatrzymał się. Płynący dotychczas niczym wielka czarna fala — w świetle pochodni widać było, jak połyskujące z lekka sklepienie znika pod jego żywymi falami — spiętrzył się, jakby trafił na niewidzialną przeszkodę; czarna ściana drgnęła. A potem wysoko spiętrzony wał czerni runął w dół, prosto na stojącego z wysoko uniesioną ręką Hornborina. Rozległ się głuchy, straszny odgłos — ni to szczęk, ni to chrzęst. Krasnolud zniknął pod masami żarłocznego Mroku, i w tej samej chwili nieznośny ból spowodował, że hobbit runął na podłogę. Zdążył tylko, tracąc przytomność, zauważyć, że straszliwa fala odpływa, zostawiając na podłodze rozpostarte ciało Hornborina. . .

Chwilę wcześniej Folko odruchowo chwycił rękę sztyletu ukrytego na piersi i chyba to dodało mu sił; widział, jak padają dokoła niego wszyscy jego towarzysze, i tylko Torin pełźnie do nieruchomo leżącego Hornborina, pochyla się nad nim, coś bezdźwięcznie krzyczy, a potem rozpaczliwym ruchem zrywa Pierścień z bezwładnie leżącej ręki i chowa gdzieś w zanadrze. . .

Potem już niczego nie widział.

* * *

Gdy krwawa mgła koszmarnych majaków w końcu odstąpiła i hobbit odzyskał świadomość, zobaczył, że leży w dobrze sobie znanej Sali Sto Jedenastej, a dokoła niego zgromadzili się przyjaciele. Przy wezglówiu, obok wsuniętego pod głowę zwiniętego płaszcza, siedział Malec, który właśnie zdejmował mu opatrunek z rozciętego czoła.

— Co się stało? Co z nami? — wykrztusił Folko, ale Malec odwrócił się. — Gdzie Hornborin?

Krasnoludy w milczeniu rozstąpiły się i hobbit zobaczył kamienny nagrobek pośrodku sali, przykryty czerwoną granitową płytą. Wszyscy milczeli i Folko poczuł, że szczypie go w nosie, a z oczu płyną łzy.

— Kiedy upadliśmy, Torin podpełzł do niego — Bran skinął głową w stronę grobu, unikając nazywania zabitego przyjaciela po imieniu — i dociągnął go do nas. — Westchnął przeciągle. — Nie pamiętam, jak wydostaliśmy się stamtąd, nigdy czegoś takiego nie przeżyłem. Nie, niesłusznie nazywaliśmy Moriańczyków tchórzami. Nic nie poradzimy, przyjacielu Folko, Moc tych podziemnych jest straszliwa. Nawet mithrilowa zbroja na nim została przebita! Pora wycofywać się, bracia. — Bran mówił coraz głośniejszym głosem, zwracając się już do wszystkich. — Tutaj nie mamy już nic do roboty. Co do mnie, uważam, że pora kończyć i wracać do swoich gór. Moria jest dla nas stracona.

— To się jeszcze zobaczy! — krzyknął Dorin. — Musimy walczyć, ale musimy wiedzieć jak. Nawet jeśli zginą setki, to oczyszczą drogę dla dziesiątków tysięcy innych!

Odpowiedziało mu ponure milczenie pozostałych, nawet Gloin i Dwalin stali pośpiesznie, wpatrując się w podłogę. Wszystkie krasnoludy były przygnębione, wstrząśnięte i zmieszane. Nawet Torin nie odpowiedział na namiętną przemowę Dorina.

— Kończą się nam zapasy — oznajmił ponurym głosem. — Musimy wracać na górę, tam o wszystkim zdecydujemy. Rogwold nie może się nas doczekać. . .

Powrót nie był łatwy, wydawało się, że orkowie podwoili swoją liczebność. Dwukrotnie niewielki oddział przebijał się przez szeregi wrogów, walcząc z taką zaciekłością, że nie powstrzymałby ich nikt. Nieśli ze sobą sporo mithrilu, a ich nowy rynsztunek okazał się naprawdę nie do przebicia. Uratował on życie również hobbitowi, gdy olbrzymi ork dźgnął go jataganem prosto w pierś. Cztery dni trwał powrót i w końcu znaleźli się przed Wrotami.

Rozdział 19

Wilczy Kamień

Torin owinął głowę hobbita czarnym materiałem, pozostawiając mu tylko wąskie szpareczki na oczy, to samo zrobiły inne krasnoludy. Grani pchnął skrzydła Wrót, te bezszelestnie otworzyły się i w prostokąt trysnęło oślepiające słoneczne światło — był wieczór i długie promienie słońca uderzały prosto w twarze wychodzących na powierzchnię krasnoludów; gdyby nie opaski na oczach, z pewnością oślepliby. Na stercie kamieni obok wejścia siedzieli dwaj tropiciele z łukami w ręku — Gerdyn i Reswald. Najpierw zaniemówili i tylko wytrzeszczali oczy, wpatrując się w drużynę, jakby widzieli przybyszów zza Grzmiących Mórz, a potem rzucili się ku nim. Słyszając ich radosne okrzyki, pojawili się również pozostali, ale krasnoludy nie spieszyły się z okazywaniem radości czy triumfu. Zrzucały worki i waliły się tam, gdzie stały, jakby delikatne słoneczne światło w jednej chwili przecięło niewidzialne pęta, utrzymujące ich siły i wolę w gotowości do natychmiastowego działania i walki. Niechętnie odpowiadali na niekończące się pytania tropicieli; ci najpierw patrzyli niepewnie, potem zdecydowali, że przyjaciele są po prostu nieludzko zmęczeni, i poprowadzili ich do obozu, gdzie już otwierano duże wory z zapasami i przygotowywano uroczystą kolację.

Folko od razu znalazł się w objęciach Rogwolda, potem inni też uznali, że muszą go przynajmniej poklepać po ramieniu czy pogłaskać po głowie. Krasnoludy powlokły się do obozu, wolno, ciężko, jakby z musu; hobbit miał tylko jedno marzenie: jak najszybciej zasnąć, choć na chwilę zapomnieć o bólu i — być może — we śnie zobaczyć Hornborina. Przecież nie pożegnał się z przyjacielem. Boleśnie odczuł gorycz straty; Hornborinie! Uratowałeś wszystkich i zginąłeś, powinieneś znaleźć godne miejsce w Komnacie Oczekiwania, obok samego Durina. . .

Trzaskały drwa w ognisku, jasna i ciepła noc lipcowa zawisała nad Górami Mglistymi, rozlegały się ptasie głosy, a na granicy drżącego czerwonego kręgu, rzucanego przez ognisko, siedzieli obok siebie ludzie i krasnoludy. Wzniesiono toast za Hornborina, złote wino z południa cierpkim strumieniem spłynęło przez gardło hobbita. Podniósł się stary łowczy, siedzący po drugiej stronie ogniska.

— Więc co tam widzieliście, przyjaciele? Znaleźliście to, czego szukaliście?

— Znaleźliśmy — odpowiedział Torin, ponuro wpatrując się w ziemię. — Znaleźliśmy i widzieliśmy wszystko, co może zobaczyć Śmiertelny. A ten, który z nas wszystkich podszedł najbliżej do Mocy Gór, tam właśnie został... Pisz do Namiestnika, Rogwoldzie! Pisz, że Pożeracze Skał ruszyli na zachód. To wszystko, co możemy powiedzieć.

Torin opuścił głowę i zamilkł. Obok niego krasnoludy zamarły niczym posągi, ich bezsilnie spoczywające na kolanach ręce wyglądały, jakby opuściło je życie. Milczały, wpatrzone w ziemię, ludzie wymieniali niespokojne spojrzenia; święto się nie udało.

— Dlaczego nie zapytasz, co się działo tu, na górze? — przerwał milczenie Rogwold.

Torin zerknął na niego.

— Trzykrotnie z Wrót uderzał na nas koszmar — powiedział stary łowczy. — Z trudem wytrzymaliśmy, nie sposób było nie poddać się mu, a ten, kto się sprzeciwiał, bywało, upadał bez czucia. Widzieliśmy odległe dymy na południu, jakby ktoś wysyłał sygnały. Na północy widzieliśmy zarzewie pożaru.

— Chodźmy lepiej spać — ziewnął Malec. — Noc minie, rano doradzi...

Markotni ludzie rozeszli się, krasnoludy szybko zasnęły; tylko dwaj wartownicy czuwali w opustoszałym obozie.

Dzień się kończył, gdy wycieńczone zaczęły się budzić. Wydawało się, że wszystkie siły uszły z nich tam, w ciemnościach moriańskich tuneli — tak puste i obojętne mieli spojrzenia. Bez apetytu zjadły przygotowane przez ludzi późne śniadanie, niechętnie ruszyły za Torinem wołającym ich gdzieś na ubocze. Tropiciele, odprowadzając ich zdziwionymi spojrzeniami, zostawili przyjaciół na jakiś czas w spokoju.

Torin przyprowadził swoich współplemieńców do niewielkiego parowu za obozem. Usiedli, gdzie kto mógł; hobbit zauważył, że krasnoludy siedziały, jak i wczoraj, obojętne i apatyczne, tylko spojrzenie Dorina płonęło, nawet Malec jakoś dziwnie niewzruszony oparł się o pień młodego grabu. Hobbita również stopniowo ogarnęła tępa i mroczna obojętność; wciąż jeszcze czuł się jak na dole, gdzie pogrzebane zostało zuchwałe marzenie Moriańczyków i Dorina o odrodzeniu królestwa Pierwszego Krasnoluda. Ziemskie sprawy wydawały się hobbitowi drobne i nieistotne; zaczynał rozumieć przyjaciół. Co mogli jeszcze zrobić?

Właśnie to pytanie zadał krasnoludom Torin.

— Po co tracić czas! — Dorin zacisnął pięści. — Pożeracze Skał wychodzą spod Morii. Mamy Pierścień, który pomoże zwalczyć strach. Trzeba zwołać ruszenie! Oczyszcimy stare królestwo z osiadłego tam plugastwa! A ci podziemni... niech sobie ryją, gdzie chcą! Musimy się rozdzielić, wysłać gońców do Ereboru i do Żelaznych Wzgórz — do wszystkich naszych osiedli!

Rozgorączkowany Dorin poderwał się na równe nogi, swoim zwyczajem gwałtownie machając ręką. Nikt mu nie odpowiedział.

Milczenie przeciągało się, a wtedy odezwał się Bran, stary i doświadczony krasnolud, którego nikt nie ośmieliłby się nazwać tchórzem:

— Aż do samej Sali Oczekiwania mam dość tego, co wycierpiałem w Morii — powiedział głuchym głosem. — Co poradysz przeciwko tej Mocy, Dorinie? Tak, wiem, nie ustąpisz i padniesz w chwale, ale co z tego przyjdzie tym, których poprowadzisz i którzy podzielą twój los? I kto pójdzie za tobą? Ja, w każdym razie, drugi raz się nie zdecyduję. . .

Dorin zgrzytnął zębami i powiedział, z trudnością panując nad wzburzeniem:

— Jeśli tak będziemy uważali, to koniec ze sławą i potęgą naszego ludu! Ani razu nie starliśmy się z Pożeraczami na serio, tego trzeba się nauczyć, jak powiedział Grani. Nie wiem, dlaczego teraz milczy! Być może na Pożeraczy trzeba zwalić sklepienie albo zrobić podkop, może puścić wodę! Ale coś zrobić trzeba.

Bran tylko machnął ręką i usiadł, nie wykazując ochoty do sporu z podnieconym towarzyszem. Zamiast niego odezwał się Balin:

— Skąd wiesz, Dorinie, że wszyscy podziemni wrogowie wyszli spod sztolni? Skąd wiesz, czy nie wrócą? — Krasnolud cedził słowa wolno i obojętnie. — Czy znasz granice ich mocy? Przecież niczego nie dowiedzieliśmy się o ich naturze i zamiarach ani tym bardziej o ich czułych miejscach! Przecież ta siła powaliła nas już przy pierwszym spotkaniu, nie dając pojęcia o sobie; nie pozwoliła też, żebyśmy cokolwiek zobaczyli. Masz nadzieję, że Pierścień nas obroni, ale ilu właściwie? — Balin wzruszył ramionami. — Uważam, że dla wszystkich nadeszła pora powrotu do Annuminas. — Jest tam jeszcze mnóstwo świętego żelaza, dobrej pracy i dobrego piwa. Ja nie mam już sił — drgnął — żeby zejść ponownie na dół.

— A myślisz, że ja mam? — Dorin obrzucił go ciężkim spojrzeniem.

— Wystarczy — wtrącił nagle Malec. — Nie zasłużyliśmy sobie na uwagę Pożeraczy Skał, jesteśmy im obojętni. Nie wiadomo nawet, czy zauważyli Hornborina, oby nigdy nie pękła płyta nad jego grobem! Patrzcie!

Uniósł do góry zgiętą w łokciu lewą rękę. Po brązowym rękawie pełzył zielonkawy błyszczący żuczek. Malec dmuchnął i mieszkańca trawiastej krainy zmiotło z rękawa. Mały krasnolud popatrzył na towarzyszy.

— Ale czy skrzywdziłem go? — zakończył Malec. — Mogłem go nawet nie zauważyć, i nawet to, że uniosłem rękę, o niczym nie świadczy. Wszystko mogło zdarzyć się przypadkiem.

— Pięknie mówisz — uśmiechnął się Grani. Jego wargi drżały i wykrzywił je grymas. — A pode mną jeszcze trzęsą się nogi, gdy sobie o wszystkim przypomnę! To nie miejsce dla nas, bracia, nie dla nas! Nie ma co machać pięściami po bójce! Niech ktoś silniejszy ode mnie próbuje. . . Ja idę z Balinem do Annuminas.

— I dlaczego tak uparcie przypominasz o Pierścieniu, Dorinie? — rzucił nieśmiało Wjard, patrząc w bok. — Czy to ty go masz? Czy to ty podpełzłeś do Hornborina? I w ogóle — dlaczego Torin milczy? Teraz on ma Pierścień, teraz wszystko zależy od Torina.

Torin westchnął ciężko i popatrzył na stojącego przed nim Dorina wzrokiem winowajcy. Jeszcze raz westchnął, pogładził toporzysko i powiedział cicho, niemal niedosłyszalnie:

— Ja nie pójdę ponownie do Morii, Dorinie. One są silniejsze od nas i coś mówi mi, że los naszego ludu tym razem rozstrzygnie się nie w podziemiach, ale tu, na powierzchni.

Słyszając pierwsze słowa Torina, Dorin straszliwie zbladł i zachwiał się; po raz pierwszy Folko widział go tak zrozpaczonego.

— Nie pójdziesz... — niemal jęknął przez zaciśnięte zęby. — Obyś był przekłety, ty i cały twój ród aż do dwunastego pokolenia!

Dorin oderwał przyciśnięte do twarzy dłonie, w jego oczach błysnęły łzy wściekłości, ale nagle zamigotał w nich płomień gniewu; topór ze świstem przeciął powietrze.

— Sam na sam, tchórze, sam na sam! — krzyknął do Torina. — Oddaj Pierścień, zdrajco, oddaj!

Skoczył do przodu. Nikt nie oczekiwał od niego takiej szybkości, ale tym bardziej nikt nie mógł spodziewać się, że Malec będzie jeszcze szybszy. Mały krasnolud zawisł na ramionach Dorina, objawszy go rękami i nogami; Dorin zważył się na trawę. Nie tracąc czasu, Malec wyrwał mu z ręki broń. Leżący twarzą do ziemi nie bronił się, jego plecy drżały.

Torin nie poruszył się, nie chwycił za topór, nawet nie drgnął, siedział bez ruchu.

— Zostaw go, Mały — polecił przyjacielowi.

Ten zamruczał coś, ale odsunął się od Dorina.

— Posłuchaj mnie, Dorinie — powiedział Torin łagodnie. — Nasze drogi rozchodzą się: dla mnie nadszedł czas, by zrozumieć, co się dzieje na powierzchni, ty zaś postanowiłeś walczyć o głębiny, ale czy musimy rozstać się jako wrogowie? Powiedzcie, tangarowie — zwrócił się do pozostałych — co chcecie teraz zrobić? Do Morii, prócz Dorina, nikt nie chce iść. Dokąd więc się skierujecie?

— My do Annuminas — rzucił Balin.

— Kto jeszcze? Stron, Skidulf, Wjard, Bran...

— My wracamy do Błękitnego Księżyca — rzucił Grani ponuro. Dołączyli do niego, jak zawsze, Gimli i Thror. Gloin, Dwalin i Dorin uparcie milczeli. Ten ostatni podniósł się w końcu, patrząc z dołu na Torina.

— Co będziecie robić, bracia? — zapytał Torin Moriańczyków.

Dwalin westchnął i rozłożył ręce.

— Ruszemy do Samotnej Góry.

— Dobrze! Dorinie, czy idziesz z nimi? — Torin zrobił krok i sięgnął w zana-
drze. — Jeszcze nie wiem, gdzie się skieruję, ale Pierścień raczej przyda się wam,
a nie mnie! Dorinie! Weź go.

Wstrząśnięte krasnoludy znieruchomiały. Dorin wpatrywał się w Torina sze-
roko otwartymi oczami. Ten podszedł jeszcze bliżej, podając mu leżące na dłoni
złote kółko. Dorin drgnął i bezradnie popatrzył na Moriańczyków.

— Bierz — odezwał się głuchym głosem Gloin. — Przysięgam na Moriańskie
Młoty — zasłużyłeś. My pójdziemy z tobą, uwierz nam!

Dorin drżącą ręką przyjął Pierścień i wolno wsunął go na palec. Stopniowo je-
go ramiona wyprostowały się, w oczach błysnął ogień; krasnolud złożył Torinowi
niski, pełen szacunku ukłon.

— Nie wiem, czy zasłużyłem sobie na to — powiedział cicho. — Ale klnę
się na wieczny ogień Paleniska i Świętą Brodę Durina, że przyjmuję go tylko
po to, by pomóc w odrodzeniu Morii. Przysięgam! — Zacisnął pięści, głos mu
zadrżał. — Teraz możemy ruszyć do Ereboru i sprowadzić stamtąd nie trzynaście,
ale trzydzieści setek tangarów. I wtedy zobaczymy, kto będzie górą!

— Cóż, tutaj my nie mamy już nic do zrobienia — podsumował Torin. —
Ludziom też pora wracać... Wyruszymy od razu dzisiaj!

— A dokąd ty się skierujesz? — Wjard zapytał nagle Torina.

— Długo by opowiadać — uśmiechnął się Torin. — I nie ma potrzeby. Za-
mierzam włączyć się w sprawy ludzi, Wjardzie, a przecież mało który z was to
pochwala. Zresztą, byłbym zapomniał. Mały! Nie powiedziałaś, co zdecydowa-
łeś...

— Ja już dawno zdecydowałem — odezwał się beznamiętnie, gryząc jakąś
trawkę, mały krasnolud. — Gdzie ty i Folko, tam i ja. Nie mam nic do roboty
w Annuminas. A wam może się przydam...

* * *

Wieczorem tego samego dnia, kiedy skończyło się zamieszanie spowodowa-
ne pakowaniem, Torin, Folko i stary łowczy siedzieli na kamieniach nieopodal
Wrót Morii, rozkoszując się wspaniałym widokiem zachodzącego słońca. Torin
opowiadał przyjacielowi o ich podziemnych przygodach.

— ... Ale najważniejsze, Rogwoldzie, były słowa schwytanego orka. Mówił,
że pojawił się nowy „Pan”, wokół którego gromadzą się dawni wierni słudzy Sa-
rumana Zdrajcy. Bełkotał coś o ostatnim boju z elfami, o tym, że do walki staną
wszyscy jego współplemieńcy. Nie zapomnij, przekazaj wszystko Namiestnikowi,
przekonaj go, żeby nie zwlekał! Burza nadchodzi; trzeba mieć na podorędziu spo-

ro wojska. Niech Namiestnik wyśle gońców do Gór Księżycowych, niech nie żałują złota i słów o starej przyjaźni i starym sojuszu między Zjednoczonym Królestwem i tangarami zachodu, niech przekona ich, żeby hird był w gotowości, żeby nasze oddziały mogły w każdej chwili ruszyć do stolicy. Hird osiągnie Annuminas w siedem dni! Siedem, nie mniej!

— Czyżby wojna? — szepnął łowczy, przygryzając z emocji wargi.

— Kto wie? — wzruszył ramionami krasnolud. — Chciałbym się mylić! Ale ten „Pan”... Wiem, że to człowiek, ale więcej, niestety, nic...

Milczeli chwilę, potem Rogwold ostrożnie zapytał:

— No dobrze, a wy dokąd idziecie — ty, Folko i Malec?

— Folka jeszcze nie pytałem — odpowiedział krasnolud. — Zaraz się dowiemy.

Hobbita przeszedł dreszcz. Dokąd teraz? Przed nim leżały niezmierzone przestrzenie; tak pragnąłby zobaczyć więcej!... Ale... komu się poskarżyć, że ma już dość tego byle jakiego spania, jak bezdomny pies! Zapomniał już, kiedy ostatni raz jadł normalny obiad — to znaczy z sześcioma daniami i na porządnym fajansowym talerzach, a nie z tych blaszanych misek! Rodzina, Milicenta, wujaszek... A właściwie dlaczego zajął się jakimiś wyliczeniami? Sprawa się nie skończyła, poszukiwania trwają i musi iść z przyjaciółmi...

— Idę z tobą — powiedział zdecydowanie.

— Świetnie! — ucieszył się Torin. — No to teraz posłuchaj: długo myślałem nad słowami orka i uważam, że ten „Pan”, kimkolwiek jest, musi dostać się do Isengardu, skoro mowa o Sarumanowej spuściźnie! Ów „Pan” albo już go opanował, albo przygotowuje się do tego. Wybieram się tam, przyjacielu hobbitcie. Może się okazać, że ta podróż będzie bardziej niebezpieczna niż ostatnia! To będzie zresztą nie taka znowu duża wyprawa — do Isengardu mamy stąd dwa tygodnie drogi. Za półtora miesiąca będziemy już z powrotem w Tharbadzie. Rogwoldzie, pošlemy ci stamtąd list. Przy okazji, nie zapomnij skreślić kilku słów na naszym liście podróжным, przyda się nam na rubieżach Rohanu.

* * *

Żegnali się rano — dziewięciu krasnoludów ruszało na zachód wraz z tropicielami; Dorin, Gloin i Dwalin zamierzali przepłynąć się przez Bramę Czerwonego Rogu i do Ziem Nadrzecznych, dalej do Eriadoru; Malec, Folko i Torin kierowali się na południe. Przed pożegnaniem krasnoludy i Folko zeszli się w ciasny krąg.

— Oto zakończyła się wyprawa naszej drużyny — powiedział Torin. — Ale nie powinniśmy tracić siebie z oczu. Dorinie! W jaki sposób będę mógł się dowiedzieć, jak przebiegają twoje sprawy?

— Dojdziemy do Esgaroth i stamtąd napiszemy do Annuminas, na „Róg Aragorna” — odpowiedział Dorin, który usiłował nie okazywać niepokoju. — Ale przed listopadem nie czekajcie wieści od nas! Zanim przejdziemy przez Góry Mgliste. . . No, a potem. . . wiecie, gdzie nas szukać.

Zamilkli. Hobbita w gardle coś dławiło — po raz pierwszy rozstawał się z tymi, z którymi walczył ramię przy ramieniu i dzielił się podróznymi sucharami. Pociągnął nosem i unosząc głowę, zauważył, że pozostali również, wstydząc się okazywania uczuć, odwracają głowy.

— I będziemy pamiętać o tym, co się wydarzyło tutaj — przyrzekł Torin z westchnieniem. — Niech nikt nie zakłóci spokoju jego grobu. . .

Krasnoludy w milczeniu pochyliły głowy. Pożegnanie zakończyło się, zaczęli się rozchodzić. Folko dosiadł swojego kuca i przywiązał do łąku siodła wodze drugiego konika, objuczonego zapasami. Malec — rzecz bez precedensu! — oddał z własnej woli tak długo chronione piwo przyjaciołom, zachowując dla siebie tylko niewielki dzban. Do siedzących już wierzchem Folka i Torina podjechał Rogwold.

— Najlepiej jeśli dotrzecie do rohańskich posterunków na Południowym Gościńcu — powiedział były setnik, kryjąc pod uśmiechem smutek pożegnania. — Oni wskażą najkrótszą drogę do Wielkiego Lasu wokół Isengardu, ale sami doń nie wejdą; las nie ma dobrej opinii, chociaż ja nie wierzę w babskie gadanie. Teraz kierujcie się dokładnie na południowy zachód, i nie minie tydzień, jak znajdziecie się na gościńcu. Stąd do Wrót Rohanu jeszcze około dwunastu dni.

— Zamierzałem wędrować na skróty — sprzeciwił się Torin. — W ten sposób dotrzemy w dwa tygodnie zamiast w trzy.

— Nie ryzykowałbym przecinać Dunlandu w dzisiejszych czasach — pokręcił głową Rogwold. — Kto ich tam wie, górale to dziwny naród.

— Jak będę miał do gór po lewej jakąś miłą, nie będę się bał żadnych Dunlandczyków — odpowiedział dumnie Torin.

Rozjechali się w różnych kierunkach. Trzaskały lejce, koniom zakładano uprząż. Często się odwracając, wędrowcy machali do siebie, posyłając ostatnie pozdrowienia. Niemal niewidoczna ścieżka skręciła w bok, w stronę Siranny, i Folko nie widział już ani ludzi, ani krasnoludów.

* * *

Torin nie usłuchał rady Rogwolda i skierował się prosto na południe wzdłuż nieprzystępnych skał Gór Mglitych. Smętna okolica z porzuconymi domami i zarastającymi drogami ustąpiła miejsca długim i stromym wzgórzom, pokrytym lasami przeredzonymi częstym wyrębem. Po zboczach wzgórz spływały biorące w górach początek czyste i wartko płynące rzeczki; nad kryształowymi wodami zwisały gęste korony buków i grabów. Długie tygodnie podziemnych wędrówek sprawiły, że oczy hobbita teraz musiały przywyknąć do wielobarwności świata.

Przez pierwsze trzy dni korzystali z zachowanych jeszcze gdzieś dróg; czwartego już nie napotkali śladów działalności człowieka, jednakże Torin bez lęku wprowadził ich w głąb przedgórzańskich lasów. Starali się trzymać góry po lewej stronie; mając taki punkt orientacyjny, nie można było zgubić drogi.

Najpierw hobbit obawiał się spotkania ze zbójczą bandą; pamiętał dokładnie słowa Teofrasta o tajnych osiedlach bandytów; mijały dnie, a wędrowcy trafiali tylko na zwierzęce tropy.

Kiedyś w nocy hobbit znowu poczuł męczącą duszność, nieokreślony strach, ściskający gardło; zrozumiał, że Głębiny wyrzuciły na powierzchnię jeszcze jeden twór, oni jednak byli już na tyle daleko, że nie musieli się obawiać; obudził się zlany zimnym potem, natychmiast chwycił za broń.

Piękne i swobodne były te dzikie krainy, zresztą wkrótce lasy się skończyły, ustępując miejsca szerokim trawiastym stepom. Wędrowcy zbliżali się do granic Dunlandu.

Jednakże wydostanie się z długich leśnych jęzorów na przestrzenie stepowych dróg okazało się wcale niełatwą sprawą. Wzdłuż granicy lasu powalone drzewa tworzyły długie, wysokie zasieki, ciągnące się daleko w prawo i w lewo, utrzymywane w idealnym porządku — nigdzie nie było próchna, a mech pokrywał tylko najniższe pnie.

— Ktoś tu się odgradza — rzucił zatroskany Torin, jadąc wzdłuż niewymyślnej fortyfikacji. — Pieszcy, rzecz jasna, przelezie. . . A co z nami?

— Czyja to robota? — zapytał hobbit, nerwowo rozglądając się na boki, jakby oczekiwał, że z zarośli wyskoczą niewidoczni w tej chwili wrogowie.

— Nie wiem — odparł Torin. — Może przyjaciół tego Drona, którego Mały schwytał. Dobra, nie ma co dywagować, trzeba jakoś się przedostać.

Jednak stracili sporo czasu, zanim udało im się sklecić coś na podobieństwo pomostu i przeprowadzić opierające się kuce przez zasieki. Wkrótce wyjechali na wysunięty ku przedgórzu jęzor stepowej równiny. Za nim na wzgórzu widniały zagajniki, ale dokoła już zaczynało się królestwo traw. Tu szerokie stopy Enedhwaith pięły się ku górze po łagodnych stokach ciągnących się daleko na zachód

przedgórzy Gór Mglistych, napierając wyżej na górskie lasy, i tu leżała kraina tych, kogo kroniki Śródziemia nazywały Dunlandczykami, a jak wcześniej nazywali siebie sami górale, nikt nie wiedział. Pamiętając o ostrzeżeniach Teofrasta, Torin wzmocnił środki ostrożności. Wkrótce minęli znak graniczny — rzeźbiony drewniany słupek, pociemniały od deszczu i wiatrów, pokryty rzeźbami szczyrzących zęby wilczych pysków.

Na wzgórzach można było zauważyć jakieś niskie budowle z bali, a przy wąskiej rzeczce w dolinie między dwoma pasmami wędrowcy zobaczyli niewielkie osiedle; ominęli je w odległości dobrej mili, ponieważ nie wydało im się pokojową osadą. Ze dwudziestu młodych mężczyzn ćwiczyło za wsią strzelanie z łuku i rzucanie oszczepem, mało kto zajmował się ogrodem; ludzie gromadzili się na ulicach, jakby o czymś ważnym rozmawiali. Wiatr przyniósł do przyczajonych w kryjówece przyjaciół szmer zaniepokojonych, podnieconych głosów. Nie zrozumieli ani słowa, ale nastroje mieszkańców wsi nie budziły wątpliwości.

Po kilku godzinach zauważyli siedmiu jeźdźców na przysadzistych koniach, za którymi podążało jedenastu pieszych, a następnie dwie furmanki, zaprzężone w parę ślepeków. Piechota niosła długie, przypominające koryta tarcze, ponad głowy sterczały krótkie, grube włócznie. Jeźdźcy mieli niewielkie okrągłe tarcze z ostrymi kutymi kolcami na środku, a włócznie dłuższe i cieńsze niż ich piesi towarzysze. Chyba cała ludność wioski wyszła żegnać oddział, ale zostało w niej jeszcze niemało mocnych mężczyzn i młodzieńców.

— Ciekaw jestem, dokąd się wybierają — mruknął Torin, odprowadzając niewielki oddział Dunlandczyków ponurym spojrzeniem.

Po tym wydarzeniu uznali, że powinni obejść bokiem ów niewyglądający przyjaźnie teren i tego samego dnia wyruszyli dalej, zostawiwszy góry za sobą. Trzeciego dnia rubież Dunlandu została daleko na południu, za dobrze osłaniającymi wędrowców zastłonami dębowych lasów.

* * *

Minęło południe, gdy niemal całkowicie zarośnięta leśna droga wyprowadziła ich na szeroką polanę, z której dojrzeli na poły rozwalony most nad spokojnym strumieniem; na drugim brzegu droga stromo pięła się w górę.

— Jakaś niedobra droga — burknął Malec. — Prowadzi cię, prowadzi, a nim się spostrzeżesz, już jesteś w takiej dziurze, z której nie wiadomo jak się wydostać. Torinie, skąd tu się wzięła droga?

— Mnie pytasz? — rzucił Torin, nie odwracając się. — Myślisz, że ja ją przecierałem czy co? Dzisiaj nam pasuje, a jutro skęcimy na południe. Stamtąd już niedaleko do gościńca.

— Miej nas w opiece, Durinie, i daj dotrzeć do gościńca — nie ustawał Malec. — Trzeba było jechać lasem! Ani się obejrzymy, jak się pojawia. . .

— I odgryzą ci nos — mruknął Torin.

— Ciszta tu też. . . jakaś dziwna — ciągnął Malec, kręcąc głową we wszystkie strony.

Nieoczekiwanie szarpnął wodze i zatrzymawszy się, zaczął pospiesznie naciągać na siebie rynsztunek. Torin powiedział „hm!”, wzruszył ramionami i odwrócił się do hobbita.

— Zauważasz coś, Folko?

Hobbit rozłożył ręce. Torin jeszcze raz popatrzył na uzbrojonego od stóp do głów Malca, coś mruknął pod nosem, machnął ręką i też zaczął wciągać na siebie kolczugę. Za przykładem przyjaciół poszedł nawet Folko, chociaż nie podzielał przeczuc Malca.

Minąwszy stary most, hobbit wysunął się na czoło, ale zaraz powstrzymał go cichy okrzyk Malca, który zatrzymał kuca na starych szarych kłodach.

— Oho! Ale ci historia!

Torin i Folko pospiesznie zbliżyli się. Malec siedział nisko pochylony w siodle i uważnie wpatrywał się w coś między kopytami swojego konia. Hobbit zauważył, że w tym miejscu przegniła i zarośnięta mchem krawędź kłody jest rozbita, wykruszyły się z niej ciemnobrązowe kostki, jak gdyby ktoś uderzył w nią czymś ostrym, i to zupełnie niedawno. W milczeniu wymienili spojrzenia i Torin, od niechcenia, wyjął zza pasa topór.

— Ktoś tędy przejechał. Może wczoraj, może jeszcze wcześniej, ale most przebył jeździec — oświadczył Malec, prostując się i również obnażając broń. — Ruszajmy, nie ma co tu sterczeć na widoku. . .

Ostrożnie wjechali na górkę i zatrzymali się nieco przed szczytem, żeby móc się rozejrzeć i nie być widocznym. Zobaczyli polanę, zarośniętą wysoką trawą; z prawej zsuwała się do rzeki, a z lewej przechodziła w młodniak. Tuż obok drogi, nad samym urwiskiem stał czarny kamień, wysoki na półtora sążnia i szeroki na dwa. Droga stromo wiodła w dół, a mniej więcej o milę stąd widniały dziwne przysadziste domy z płaskimi jednospadowymi dachami. Przez kilka minut przyjaciele w milczeniu przyglądali się niezwyklej osadzie; wyglądała na pustą i bez życia.

— No to jedziemy? — przerwał ciszę Torin.

— Ha! A może tam ktoś się zasadził? — zapytał ostrożny Malec.

— Nie kłóćcie się, wieś jest pusta — wtrącił uważnie przysłuchujący się Folko. — Możemy śmiało jechać.

— Skąd wiesz? — zdziwił się Malec. — Może pochowali się w piwnicach?

— Słyszysz, jak krzyczą ptaki? — zmrużył oczy hobbit. Słaby wiatr niósł do nich głosy mieszkańców lasu. — To są krasnogarlice, znam je. Są tak ostrożne, że nie zbliżymy się do nich bliżej niż na tę odległość. A one wrzeszczą niemal w samej wsi. Ludzi widzą o milę, podkraść się do nich będzie niełatwo!

— Hm! — wzruszył ramionami Torin. — Oto co znaczy mieszkaniec Powierzchni! Słuchaj, co to są za ptaki? Dlaczego wcześniej o nich nie słyszałem? Jak wyglądają? Duże, małe?

— Nie tylko duże, ale i smaczne — uśmiechnął się Folko, przysuwając bliżej kołczan. — Poczekajcie tu na mnie, pojedę przodem. Może się uda i będziemy mieli pieczone?

Jednakże zanim się rozstali, musieli minąć pozostający nieco z boku drogi czarny kamień. Torin uparł się, żeby go obejrzeć.

Na czarnej powierzchni kamienia widniały kontury dwóch postaci — zwierzęcej i ludzkiej. Szeroka w ramionach i biodrach kobieta o okrągłej twarzy klęczała na lewym kolanie, prawą rękę opierała na długim łuku, a drugą ułożyła na karku wysuniętej do przodu wilczycy z wyszczerzonymi zębami i zjeżoną sierścią. Głowy postaci, wykonane niezwykle starannie, zadziwiały kunsztem — ciała jakby zlewały się z kamieniem. Folko wpatrywał się w wizerunki jak zaczarowany; było w nich coś niedobrego, odstrasającego, ale to coś zmuszało do długiego i uważnego wpatrywania się w postacie. Hobbit dostrzegł, że kobieta ma oczy wilczycy, a zwierzę — ludzkie! Kiedy słońce wyjrzało zza białych kłębiastych obłoków, jego promienie padły na kamienne postacie; w tym momencie w ślepych oczach pojawiły się źrenice, skierowane prosto w słońce. Postacie jakby ożyły; zwierzęca czujność i nieludzka mądrość widniały w obudzonym przez promienie spojrzeniu kobiety, a ludzka głębia oraz rozum w źrenicach jej towarzyski.

Krasnoludy zgodnie i z zachwytem westchnęły, cmoknęły, jak zwykle, gdy podziwiały czyjaś znakomitą robotę.

— Jak im się to udało, wyjaśnijcie mi — mruczał Malec, podchodząc blisko do kamienia.

Popatrzyli jeszcze przez chwilę na zagadkowy wytwór nieznanymi mistrzów, po czym wolno i ostrożnie ruszyli naprzód. Wkrótce Folko opuścił swoich towarzyszy, zsiadł z konia i zaczął się skradać. Nałożył na lewą dłoń dobrze już podniszczoną rękawicę bez palców, wy dobył z kołczana dwie strzały i przygotował się.

Krasnogarlice poderwały się, gdy zostało mu jakieś sto kroków do wsi. Pół tuzina ciężkich ptaków o czerwonych piersiach, wypełniając powietrze odgłosami mocnych uderzeń skrzydeł, wyfrunęło z zieleni niewysokich giętkich krzewów i leciało nad samą ziemią, niewiele ustępując szybkością orłom. Ich ucieczka była tak zaskakująca, że żaden z łuczników Arnoru nie zdążyłby nawet zamknąć oka, żaden człowiek ani krasnolud, ale nie hobbit! Świsnęła długa strzała z białym upierzeniem i szaro-czerwona krasnogarlica uderzyła o ziemię.

Przytroczywszy ustrzelonego ptaka, Folko machnął ręką do oczekujących go przyjaciół. Póki jechali, a mieli do przebycia prawie milę, hobbit przyglądał się najbliższym budynkom. Wyglądały, prawdę mówiąc, żałośnie, wieś musiała zostać porzucona bardzo dawno temu. Wzdłuż przegniłych i wałących się płotów rosła bujna trawa; domy przechyliły się, wieńce osiadły, wiatr szumiał w rozschniętych gontach na dachach. Najbliższy budynek stał samotnie, obnażając czarne, obrośnięte mchem stropy. Domy te tchnęły śmiercią i pustką; wyglądały jak zapomniani przez dzieci starcy, którzy z nadzieją oczekują powrotu potomków.

Trzej przyjaciele wolno jechali po jedynej ulicy, smętnie spoglądając na ciemne wyrwy okien. Przy jednym z domów, większym od innych i mniej zniszczonym przez czas, Torin zatrzymał kuca.

— Wstąpimy?

Malec zgodził się od razu, natomiast Folko ciężko powlókł się za krasnoludami. Widok porzuconej osady przynębił go, w Hobbitanii coś takiego nie przyśniłoby się nawet w koszmarnym śnie.

Niskie drewniane drzwi okazały się otwarte, długie żelazne zawiasy, pokryte wieloletnią rdzą, zaskrzypiały przeciągle. Przekraczając wysoki próg, hobbit zerknął w dół i zobaczył, że zarówno próg, jak i ganek obok są pokryte gdzieś rdzawym pyłem. Dziwiąc się, skąd mogła się tu wziąć i komu się chciało zbijać rdzę z zawiasów, wszedł do wnętrza.

Było tam ciemno i niczym nie pachniało; hobbit oczekiwał zapachu pleśni, wilgoci czy czegoś podobnego, jednakże nic takiego nie wyczuł. Deski podłogi zgniły i ugięły się pod ciężkimi butami jego towarzyszy. Z lewej strony w ścianie z belek znajdowały się jeszcze jedne drzwi. Otworzywszy je, znaleźli się w długim, niskim pomieszczeniu z dużym paleniskiem pod prawą ścianą; okna były tylko na przeciwległej. Wzdłuż ściany stało kilka ławek, przy palenisku walały się jakieś szmaty, a w odległym kącie stał rzeźbiony drewniany słup, który od razu skojarzył się hobbitowi z granicznym znakiem; słup pokrywały wizerunki wilków, a wieńczyła go kunsztownie wyrzeźbiona wilcza głowa. Cały, ku zdziwieniu hobbita, został obwieszony zwierzęcymi szczękami — były wśród nich szczęki niedźwiedzia i borsuka, rysia i rosomaka, a także łosia i lisa. Nie było tylko wilczych. Hobbit musiał długo wyjaśniać krasnoludom, jaka szczeka należy do jakiego zwierzęcia. Nagle zamarł osłupiały, gdy wyciągnął rękę ku kolejnej kości. Przed nim na skórzanym rzemyku wisiała, zaczepiona o występ na słupie, biała, starannie wyplukana ludzka żuchwa!

Hobbit zapragnął znaleźć się na ulicy i — najlepiej — jak najdalej od tego miejsca. Krasnoludy na widok jego znaleziska od razu chwyciły za topory, ale, uspokoiwszy się, zmusiły Folka, żeby starannie wszystko obejrzał. Zajęło im to dużo czasu, sprawdzili wszystkie pomieszczenia od góry do dołu, ale nie natrafili na coś szczególnie interesującego. Mieli jednak pewne podejrzenia:

— Dom jest odwiedzany — sapał hobbit, gdy skończyli oględziny. — Miesiąc temu, może dwa. Z zawiasów osypała się rdza, ludzka żuchwa wisi na czystym rzemyku, a wszystkie inne na wełnianych sznurkach i są pokryte kurzem. Oprócz tego ktoś palił w palenisku.

— Świetnie! — wycedził przez zęby Malec. — Gdzieś ty nas przyprowadził, Torinie? Kto tu mieszka? Czy to Dunland?

— Nie wydaje mi się — pokręcił głową Torin. — Przynajmniej domy są zupełnie inne. Nie zdarzyło mi się też słyszeć, żeby górale zbierali ludzkie szczęki!

— No to kto? Folko, powiedz!

— Co mam powiedzieć? — Hobbit wzruszył ramionami. — Czytałem, że wśród żyjących w tych krainach byli też „jeźdźcy na wilkach”, ale kim są i gdzie się podzieli, nie wiem.

— A ludzkie szczęki? Skąd się wzięły?

— Przypomnij sobie, co powiedział Rogwoldowi Franmar na drodze do Annuminas — uśmiechnął się ponuro Torin. — Chyba nigdy tego nie zapomnę — o tych, co wycinali żuchwy jeńcom, arnorskim jeźdźcom!

— Chcesz powiedzieć... — zaczął Malec, chwytając za miecz.

— Chcę powiedzieć — przerwał mu Torin — że nocować tu nie będę za żadne skarby. Już lepiej w lesie! Chodźmy poszukać jakiegoś miejsca na nocleg, bo słońce już zachodzi.

Starając się zostawiać możliwie mało śladów, opuścili zagadkową wieś i ruszyli przez puste, zarośnięte pole do młodnika. Słońce, choć muskało już horyzont, było jeszcze wysoko, do zmierzchu zostało około godziny.

— Gapa! — uderzył się w czoło Malec. — Wody nie wzięliśmy!

— We wsi i tak byśmy jej nie brali — odpowiedział hobbit.

— A studnie? Powinny być studnie!

— W porzuconych wsiach studnie umierają pierwsze — westchnął Folko. — Studnia żyje tylko dopóty, dopóki bierze się z niej wodę, póki jest potrzebna. Kiedy się przestanie czerpać, studnia umiera. Powiadają, że zamieszkujący ją wodny pan obraża się i odchodzi, a wraz z nim i woda. Potem wali się zrab... .

— Patrz, strumień — trącił Malca Torin. — Tu nabierzemy wody.

Pojechali w górę strumienia. Strumyk rodził się w leśnym źródle, które było z wypłukanego leja na brzegu olszyny. Woda była smaczna, czysta, zimna, z jakimś szczególnie przyjemnym zapachem czy to świeżo osypanej ziemi, czy to pączkującej zieleni... Pili długo i nie mogli się oderwać, choć od dawna nie męczyło już ich pragnienie.

Przejechawszy setkę sążni w lewo od źródła brzegiem lasu, nieoczekiwanie natknęli się na dziwną półziemiankę, która zapewne kiedyś służyła jako piwnica. Wewnątrz było dość sucho, podłogę tworzyły grube stare deski, naprzeciwko drzwi znajdowało się małe prostokątne okienko. Przyjaciele postanowili tu właśnie spędzić noc. Póki Torin i Malec zbierali drwa na ognisko, hobbit przysto-

wywał posłania z trawy. Zrywając wysokie soczyste źdźbła, co rusz oglądał się za siebie, i mimo że dokoła panował spokój, nie opuszczało go dziwne przecucie.

Wróciły krasnoludy z wiązkami chrustu; hobbit bez pośpiechu i z wyraźną przyjemnością oskubał ptaka i zaczął go piec w ognisku. Po sytej kolacji siedzieli jakiś czas i w milczeniu pykali fajeczki, wpatrując się w wolno gasnący zmierzch, a potem poszli spać.

Hobbit pogrążył się w ciemnym śnie bez żadnych majaków, natomiast obudził z poczuciem, że powoli tonie w czymś zimnym i lepkim; rozpaczliwie machnął rękami, starając się uwolnić, i otworzył oczy.

Był wczesny ranek, obok chrapały krasnoludy, a z niedokładnie zamkniętego okna spływała na pierś hobbita mlecznobiała struga niezwykle gęstej mgły — mokrej, zimnej, oślizłej. Folko wyciągnął rękę, chcąc zamknąć okienko, ale nagle przez szparę usłyszał jakieś niewyraźne, prawie niesłyszalne dźwięki, które wzmożyły jego czujność. Ostrożnie podniósłszy się, wyjrzał na zewnątrz.

Biała zwarta okrywa zaciągnęła wszystko dokoła — pole, wieś, drogę, widać było tylko dachy domów. Hobbit zdziwił się — mgła przy ziemi była nieprzenikniona, natomiast powyżej piersi człowieka jej warstwa wydawała się ścięta, jak jakąś olbrzymią kosą, nieco dalej położone lasy były widoczne bardzo dobrze. Po tym mglistym pokryciu od wsi do lasu niemal bezszelestnie sunęły czarne postacie jeźdźców.

Najpierw Folko omal nie sturlał się na podłogę ze strachu, ale po wszystkich dotychczasowych przeżyciach tylko zacisnął zęby i patrzył. Patrzył i liczył: dwóch, pięciu, dziesięciu i jeszcze dwóch. . .

Jeźdźcy znikali w lesie na lewo od ich ziemianki, nie brzęczała broń, ludzie nie rozmawiali ze sobą — niedobra cisza zgęstniała nad bezimiennym polem. Hobbit przygryzł wargi, przypomniawszy sobie o kucach. Może zarzą i co wtedy? Pospiesznie obudził krasnoludów, starając się nie hałasować.

Torin, który ostatnio spał bardzo czujnie, obudził się od pierwszego dotknięcia; wystarczył mu jeden rzut oka na zaniepokojoną twarz hobbita, żeby poderwać się na równe nogi i przylgnąć do okienka. Gorzej było z Malcem. Zaczął coś mamrotać, że dopiero świta, a już go budzą, w dodatku nie ma jeszcze śniadania. . . Torin oderwał się od okna i niespodziewanie syknął coś w nieznanym Folkowi języku; Malec urwał utyskiwania w pół słowa i chwycił miecz.

— Kto to, Torinie? — szepnął.

— Nie wiem, może Rohirrimowie, ale kto wie? Lepiej poczekajmy i zobaczymy.

— Wy patrzcie, a ja lecę do kuców, zawiążę im głowy — rzucił w biegu Malec i zniknął w mlecznej mgle za drzwiami.

Folko i Torin podążyli za nim i we trzech podpełzli do skraju młodnika. Gdzieś tuż obok, w spowitym mgłą lesie, przyczaił się oddział nieznanymi konnych.

— A we wsi? — Torin odwrócił się do hobbita. — Co dzieje się we wsi?

— Nie widziałem — odpowiedział Folko. — Zauważyłem ich, gdy ją minęli.

— Może już pojechali? — zapytał Malec bez wiary we własne słowa.

— A jeśli nie? — odpowiedział pytaniem Torin, nie odrywając wzroku od mgły przed nimi. — Będziemy czekali!

Czekali. Stopniowo nad brzegiem odległego lasu na wschodzie, nad grzbietem jeszcze bardziej odległych Gór Mglistych wzniósł się dysk słońca, mgła znikła, odsłaniając łąkę, połyskującą poranną rosą. Jak na dłoni można było zobaczyć wieś, która stąd wydawała się opustoszała. Torin zerknął na przyjaciół.

— Poczekamy do południa — powiedział cicho. — W każdym razie, aż wyschnie rosa. Musimy popatrzeć, co się dzieje z prawej i z lewej, i czy nie da się wymknąć stąd bez hałasu.

Niespodziewanie gdzieś na lewo od nich rozległo się przygłuszone parskanie konia. Torin uśmiechnął się, ale ze złością.

— No i znaleźli się... Leżymy cicho!

Czas płynął. Nad polem zawisły lekkie obłoczki z unoszącej się w górę, wysuszonej przez słońce rosy. Powiał lekki południowy wiaterek, coraz głośniej ćwierkały ptaki, z listowia, niemal nad ich głowami, odezwała się wilga; następny podmuch wiatru znowu przyniósł rżenie konia; rozległo się daleko, za wsią, na niewidocznej stąd drodze między ostatnimi domami i lasem. Torin przycisnął ucho do ziemi.

— Inni konni — sapał, nie prostując się. — Wpadliśmy! Nie inaczej, mają tu zbiórkę.

I nagle ciszę przeciął świst dziesiątków strzał, po chwili rozległy się okropne krzyki, zmieszane z przeraźliwym końskim rżeniem, słychać było uderzenia stali o stal.

— Walka... — szepnął Malec i wyciągnął miecz z pochwy.

Zza pierwszych od tej strony domów wypadło może dziesięciu czy piętnastu jeźdźców — na wysokich, pięknych cisawych koniach, z zielonymi tarczami i zielonymi proporczykami na kopiach. Gnali, nie wybierając drogi, prosto przez pole do lasu, jeden za drugim przerzuciwszy przez plecy zielone tarcze z białym krzyżem. Za nimi zza płotów wynurzyli się piesi z łukami i kuszami, mignęły czarne strzały, jeden koń stanął dęba i runął, jeździec zręcznie zeskoczył z walącego się rumaka, ale natychmiast upadł, chwyciwszy za strzałę, która trafiła go od tyłu i przebiła na wylot. Pozostali pędzili dalej, odległość od wsi szybko się powiększała i wydawało się, że zdołają umknąć, jednak w lesie rozległ się dźwięk rogu, a następnie wypadła ukryta wśród drzew czarna jazda. Czarno-zieloni pochylili kopie, ale liczni kusznicy trafiali celnie w biegu; kilku jeźdźców i konie z uciekającego oddziału upadło, jednak ocaleli zwarli szereg z zadziwiającą zręcznością, kolano przy kolanie, głowa przy głowie; uderzyli w nie do końca ustawiony szereg przeciwnika. Chrzęst, szcęk oraz jednoczesny, jakby się wyrwał z jednej piersi, krzyk, i oto siedmiu, którym udało się przebić, zostawiwszy kopie w ciałach zwi-

jających się na trawie wrogów, pędziło do lasu, roztrzając na boki tych, którzy chcieli ich zatrzymać.

Jednakże kusznicy nie spali; uciekający konni znaleźli się w ruchomej sieci, utkanej z krótkich czarnych krech. Konie padały, usiłujący je podnieść jeźdźcy bezsilnie walili się na ziemię. . . Ostatni z uciekinierów padł tuż na skraju zbawczych zarośli.

Zwycięzcy pospiesznie objechali rozpostarte na ziemi ciała, dobijając dwóch rannych. Na polu walki zrobiło się nagle bardzo cicho; i dopiero teraz Folko zorientował się, że ze wsi nie dolatuje żaden dźwięk.

Jeźdźcy zsiadli z koni, zebrali osiem ciał swoich towarzyszy. Rozkazy wydawał przysadzisty mężczyzna w czarnym hełmie z wysokim i ostrym szpicem, z którego wychodził pęk czarnego końskiego włosia. Dowódca siedział na wysokim karogniadyim ogierze nieopodal kryjówki przyjaciół, którym udało się usłyszeć jego słowa, rzucane gwałtownie, porywczo, język jednak był całkowicie niepodobny do płynnej mowy mieszkańców Annuminas.

— Hej, Farag, powiedz helgi-baanowi, żeby jego Hazgowie przestali wyrywać zuchwy Słomianogłowym! Musimy się spieszyć, niech ich wyprowadzi ze wsi!

Jeden z żołnierzy popędził konia do wsi, a dowódca już odwracał się do kolejnego:

— Przynieś kosz z ulaghami, Gloruf! Pora wysłać wiadomości; wy wszyscy zbierajcie naszych, przestańcie grabić ciała, jeśli nie chcecie kruszyć kamieni w Dunharrow albo karmić sobą wędrownie dęby w Fangornie!

Podbiegł do niego odziany w ciemne szaty niewysoki mężczyzna z dużym plecionym koszem. Otworzywszy go, włożył weń rękę i wyciągnął coś, co przypominało zielonkawą jaszczurkę, długą na łokieć, z błoniastymi skrzydłami. Giętkie ciało wiło się na podobieństwo żmii, słychać było słaby, do niczego niepodobny poświst. Dowódca wyciągnął z zanadru jakiś przedmiot, włożył go do niewielkiej rurki na obroży stwora i podrzucił skrzydlatą istotę w górę. Skórzaste skrzydła z sykiem uderzyły w powietrze, stworzenie wzniosło się i odleciało na północ.

— Ależ potwora — wyszeptał leżący obok Malec.

Tymczasem ze wsi wolno szli piesi, i hobbit natychmiast zapomniał o dziwacznej latającej jaszczurce; zbliżali się ludzie, jakich nie widział nigdy dotąd, ani w Przygórzu, ani w Annuminas, ani na Południowym Gościńcu. Niscy, niewiele wyżsi od krasnoludów, niemal tak samo przysadziści, kołyszący się na grubych, krzywych nogach; pod opuszczonymi przyłbicami hełmów nie widać było ich twarzy. Za plecami sterczały im rogi niezwykle długich i grubych łuków. Niektórzy nieśli brązowe tarcze, niewielkie i okrągłe, z czerwonymi i czarnymi końskimi głowami; z lasu wyprowadzono im na spotkanie niskie i niezwykle długie wierzchowce. Jeźdźcy wskakiwali w siodła bez pomocy strzemion, z wprawą, zdradzającą duże doświadczenie. Bystre oko hobbita wypatrzyło przytroczone do łęków siodła krótkie włócznie.

Ich towarzysze wyglądali na zwykłych ludzi — wysocy, smukli, ciemnowłosi. Byli różnorodnie i dobrze uzbrojeni: mieli miecze, kopie, kusze, siekiery, kolczaste palice; na długich, zwężających się ku dołowi tarczach widniał nieznanymi znak, czarna trójzębna korona na środku białego pola.

Jeźdźcy dosiedli koni, i nagle hobbit, obserwujący uważnie wojowników, zobaczył tuż za nimi dziwnie znajome chuderławne postacie.

— Nithingowie... — syknął Torin, mrużąc oczy i wpatrując się w szeregi konnych. — Nithingowie wraz z konnymi kusznikami i jakimiś Hazgami, którzy wyrrywają szczęki zwyciężonym! Dobrane towarzystwo!

Tymczasem konnica ruszyła kłusem przez pole ku mostowi, po którym wczoraj przeszli trzej przyjaciele. Zwycięzcy schwytali około dziesięciu koni swych przeciwników; teraz wieziono na nich ciała własnych zabitych — było ich ledwie półtorej dziesiątki.

Wkrótce wszystko ucichło, oddział zniknął za grzbietem wzgórza, a hobbit i krasnoludy ciągle leżeli w swojej kryjówce, nie odważając się podnieść głowy.

— No i co? — zapytał Malec głośnym szeptem. — Co dalej?

— Trzeba by obejrzeć wieś — wychrypiał Torin, i widać było, że wcale mu się nie uśmiecha iść właśnie tam, ale rozumiał tę konieczność. — Może został ktoś żywy... Musimy przecież wyjaśnić, co tu się stało.

— Akurat, a jeśli oni jeszcze tam są? — sprzeciwił się Malec.

— No więc musimy podejść niezauważalnie, popatrzeć. Chociaż nie sądzę, przecież ten wódz naglił ich nie po to, żeby nas zbić z pantałyku!

Ostrożnie, bokiem lasu, podkradli się, jak mogli najbliżej do wsi. Panowała tam cisza, tylko od czasu do czasu słychać było powolny stukot kopyt.

— Konie się wałęsają... — szepnął Folko. — Konie chodzą koło martwych panów...

Westchnął i zadygotał, czując lodowaty dreszcz. Pierwszy raz widział prawdziwy bój z boku i wcale mu się to nie podobało. W naturze hobbita nigdy nie leżał brak litości, dlatego z trudem znosił zetknięcie się wprost z czymś takim. Śmiertelna walka nie przypominała pięknych rycin ze starych ksiąg, na których przedstawieni byli wielcy bohaterowie, powiewające sztandary i uciekający wrogowie.

Ostrożnie ominęli róg budynku i znaleźli się na jedynej wiejskiej ulicy. Dopiero tu wojna pokazała hobbitowi swe prawdziwe oblicze, nie takie, jakie oglądał w księgach i na obrazkach.

Na drodze leżało kilkadziesiąt martwych ciał — duże, skręcone trupy, ociekające krwią, która zebrała się już w zagłębieniach, niczym deszczowa woda. Nad poległymi z głośnym brzęczeniem krążyły roje dużych niebieskozielonych much. I zewsząd, z płotów, ścian, drzew i z ciał — sterczały długie, bardzo grube strzały. Wszyscy zostali przebici na wylot, jakby nie mieli na sobie żadnych pancerzy —

czarne zębate groty sterczały na zewnątrz. Folko poczuł mdłości, nie lepiej czuł się krasnoludy.

Ruszyli ulicą, starannie omijając ciała. Wszyscy zabici — hobbit poczuł się jeszcze gorzej — byli bardzo młodzi. Folko, który najpierw z trudem zmuszał się do patrzenia na nich, teraz, jak zaczarowany, nie mógł oderwać wzroku od tych pięknych twarzy o regularnych rysach, od rozsypanych w przydrożnym pyłe, zabrudzonych krwią jasnych włosów, od zaczynających już mętnieć oczu. Na poniewierających się tu i ówdzie tarczach widniał dobrze mu znany herb, biały koń w skoku na zielonym polu. Młodzi wojownicy, wszyscy co do jednego, byli Mistrzami Koni. Ziemia dokoła ciał była zryta, niektórzy leżeli z mieczami w dłoniach; przechodząc obok jednego z domów, przyjaciele długo nie mogli oderwać spojrzenia od przygwożdżonych do ściany trzech młodych wojowników, którzy nawet nie zdążyli wypuścić z rąk splamionych obcą krwią mieczy. Z ich piersi sterczały grube, czarno opierzone strzały, które tak głęboko weszły w drewno, że Torin z największym trudem wyrwał je, gdy w milczeniu, nie zmawiając się, przyjaciele zaczęli układać zabitych w cieniu.

— Ale historia! — mrucał krasnolud, obracając w rękach złamaną strzałę. — Wspaniali łucznicy z tych Hazgów, czy jak ich tam wołają.

Poszli dalej. Folko ledwo trzymał się na nogach i omal nie zemdlał, gdy napotkali straszliwie okaleczone ciała z wyciętymi dolnymi szczękami! Na widok okropnych ran hobbit zachwiał się i szybko uchwycił ramienia Torina.

— To ci z północy — wychrypiał krasnolud. — Aż tu dotarli!... Niech będzie, jeszcze się spotkamy!

— Patrzcie — pochylił się nagle Malec. — Co to za kusza? Czyja to robota? Wcześniej takich nie widziałem...

— Pokaż! — wyciągnął rękę Torin.

Kilka chwil oglądał w milczeniu podany mu przedmiot, przez cały czas na jego twarzy rysowało się obrzydzenie. Na pierwszy rzut oka hobbitowi kusza wydała się podobna do krasnoludzkich.

— O nie, bracie hobbicie — odpowiedział na jego pytanie Torin. — To jest, przyjaciele, angmarska konna kusza. Widziałem już takie. Patrzcie, tu są dwa zaczepy, ten żeby strzelać z ziemi stojąc albo, powiedzmy, siedząc. Żeby naciągnąć cięciwę, potrzebna jest tylko ta dźwignia. Sprytne, nie powiem! — Torin przyłożył broń do ramienia. — Wykonana też niezłe. Lekka, poręczna, cięciwę... — pociągnął dźwignię — ...naciągasz jednym ruchem. Ze zwykłych kusz nieporęcznie jest strzelać z siodła, a z tej... Kaszka z mlekiem. Ale to już widzieliśmy, a to... Popatrzcie! To rzeczywiście ciekawe!

W rękach Torina już leżał bardzo długi i gruby łuk, niezwykajnie i dziwnie wygięty, złożony z mnóstwa cienkich płytek, pomysłowo nałożonych jedna na drugą i złączonych. Cięciwa połyskiwała metalicznie, długość łuku sięgała niemal dwu wysokości przeciętnego hobbita.

— Takiego jeszcze nie widzieliśmy — powiedział wolno Torin. — Oto jest łuk Hazgów! No, zobaczmy... — Poszukał całej strzały, znalazł jedną, która weszła w ziemię aż po lotki, i nałożył ją na cięciwę. — Kiepski ze mnie łucznik, ale...

Zaczął naciągać cięciwę, jego twarz spurpurowiała z wysiłku, na rękach wyszły mu żyły, czoło pokryło się kropelkami potu, a w rezultacie naciągnął łuk zaledwie do połowy. Krasnolud zazgrzytał zębami, natężył się, dociągnął cięciwę do nosa, i w tym momencie jego palce nie wytrzymały. Czarna strzała, znacznie dłuższa i grubsza od widzianych wcześniej przez hobbita, prysnęła, wydając basowy odgłos, rozległo się dźwięczne uderzenie — drzewce niemal na jedną trzecią długości weszło w belkę stojącego naprzeciwko domu.

Ciężko dysząc, Torin opuścił łuk.

— Uff!... — Nie mógł odetchnąć. — A to ci!... — Obejrzał jeszcze raz łuk z mieszanymi uczuciami obrzydzenia i szacunku. — Nie chciałbym stać w hirdzie pod ostrzałem takich strzał — dodał.

Torin i Malec patrzyli teraz na łuk niemal z nienawiścią.

— Widziałeś, jak oni przeszywali z niego zbroję? — odwrócił się do Malca Torin. — To ci moc! Wyobrażasz sobie, co będzie, gdy zbierze się nie dziesięć setek takich łuków, ale dziesięć tysięcy?!

— Nic dobrego — odburknął zapytany. — A ty radziłeś Rogwoldowi, żeby Namiestnik wezwał naszych w razie potrzeby.

Torin nachmurzył się i nic nie odpowiedział.

— Milczysz — ciągnął Malec. — No właśnie, najpierw zdmuchnij pianę, a dopiero potem pij piwo.

Pozostawwszy smutne miejsce tak okropnego dla Rohańskiej Marchii boju, przyjaciele ruszyli dalej. Słońce stało już wysoko. W drodze mogli mówić tylko o jednym — jak do tego doszło.

— Doświadczeni ludzie, bardzo doświadczeni — cedził przez zęby Torin. — Patrz, jak się zasadzili! Ukryli się jeszcze przed mgłą, żeby na rosie nie zostawić śladów, i wciągnęli znakomicie w zasadzkę. Pamiętasz ślady przy lesie, Mały? Wszystko było tam zdeptane, ale wypatrzyłem angmarskie podkowy; muszę podziękować Rogwoldowi, że nauczył mnie czegoś. Więc tak, przed Rohirrimami jechało ich trzydziestu, nie więcej. A ci chłopcy, krew młoda, gorąca, pognali za nimi... — Odwrócił się i westchnął. — No, a we wsi ich przywitali. Strzały z każdego okna... I jak celnie, tylko jeden koń trafiony!

— Może trzeba było ich pochować? — zapytał hobbit.

— Pewnie, że należało — odpowiedział krasnolud. — Ale przynajmniej przynieśliśmy ciała w jedno miejsce, nakryliśmy gałęziami i postawiliśmy znak... Będą ich szukali i znajdą. A gdyby tak zastali nas podczas tego zajęcia?

— Ale dlaczego ci tak głupio?... — westchnął Malec z goryczą. — Nawet ja wiem, że nie wolno konnicy wpadać do wsi na łeb na szyję!

— Nie wskresimy ich — rzucił Torin.

Jechał nachmurzony i nie odrywał wzroku od niemal zapomnianej ścieżki, którą przemierzały ich kuce. Mniej więcej o pół mili po lewej biegła droga, ta, która doprowadziła sześćdziesięciu młodych jeźdźców do tak smutnego i nagłego końca.

— Poczekajcie! Słuchajcie!

Od drogi dochodził miarowy tętent wielu setek kopyt.

Przygięty, bezszelestnie krocząc przez gęsty zagajnik, Folko rzucił się ku drodze; krasnoludy zostały w gęstwinie. Hobbit dotarł do przydrożnych krzaków akurat w chwili, gdy zza zakrętu wychynęło czoło oddziału.

Nie szcędząc koni, po drodze pędziła jak huragan osławiona rohańska jazda, a w jej szeregach Folko dostrzegł już nie młodych, ale dojrzałych, doświadczonych wojowników; zielone proporce trzepotały na kopiach, nad pierwszym szeregiem wiatr rozwiewał zielono-biały sztandar Marchii. Za każdym z konnych podążał luzak. Hobbit naliczył pięć setek wojów.

Kopijnicy przeniknęli obok przywierającego do ziemi hobbita; w pierwszej chwili chciał wyskoczyć na drogę, ale potem przypomniał sobie, że z wojami Marchii lepiej się rozmawia nie na pustej leśnej drodze, ale w spokojniejszym miejscu. Poczekał, aż ostatni jeździec zniknie w oddali, i pobiegł do przyjaciół.

— No to właśnie ich znaleźli — skwitował Torin, wysłuchawszy hobbita. — Dobrze zrobiliśmy, że wycofaliśmy się na czas; jak moglibyśmy udowodnić, że nie mamy nic wspólnego z tymi, co wybili ich towarzyszy?

Tętent ucichł i przez pewien czas było cicho, a potem zza ściany lasu doszedł ich długi i niewypowiedziane żałobny dźwięk wielkiego rogu.

— Znaleźli — sapnął Malec.

W milczeniu słuchali tęsknego płaczu.

— Co mi się najbardziej nie podoba w tej historii — wypalił Malec — pamiętacie, to latające obrzydlistwo! Bo oni tak wymieniają wiadomości, Folko! Jak tylko zobaczysz takie coś, wal z łuku, a dopiero potem będziemy się zastanawiać.

Dalej jechali w milczeniu.

Rozdział 20

Isengard

Lato było upalne. Słońce wysuszyło step i ratując się przed spiekotą, przyjaciele trzymali się skraju stopniowo odchylających się ku wschodowi lasów. Ominąwszy z daleka Dunland, zmierzali ku Wrotom Rohanu, żeby potem ruszyć w górę Iseny, jedynej drogi do Isengardu. Południowy Gościniec zostawili o dwadzieścia mil na południowy zachód; zdecydowali, że nie będą marnować czasu na nakładanie drogi, zresztą w lesie łatwiej było znaleźć i schronienie, i żywność, i wodę. Okolica były wymarła: na wschodzie, między lasem i górami, leżał nieprzyjazny Dunland, na zachodzie — stepy Enedhwaith, na które często wypędzali swoje tabuny rohańscy pasterze, na południu ciągnął się strzeżony przez jeźdźców Marchii gościniec.

Według obliczeń hobbita, od Morii wędrowali już pełne dwa tygodnie. Po straszliwej zasadzce, urządzonej Rohirrimom przez ich wycinających żuchwy wrogów, przyjaciele, jadąc dalej, nie doświadczyli przykrych wrażeń.

Pewnego wieczora nad ich ogniskiem przemknął cień ogromnego puchacza, ale czy był to ten, który służył Radagastowi? Któż to mógł wiedzieć? Folko często wypytywał Torina, co zamierza robić w Isengardzie; krasnolud wzruszał ramionami i nieco zakłopotany odpowiadał, że na razie sam nie wie, ale ma nadzieję trafić na jakiś ślad owego „Pana”. Uważał, że powinni złapać jakiegoś tamtejszego orka i o wszystko wypytać. „A potem wykończyć!” — niezmiennie dodawał w takich wypadkach Malec.

Trzydziestego lipca hobbit obudził się w niezwykłym nastroju, którego doświadczył po raz pierwszy w życiu. Jakby stał przy wypełnionej kryształową wodą studni na pustyni, jakby zbliżał się do rogu szarej głuchej ściany, za którą radośnie płonie magiczna jasność; było to przeczucie czegoś promiennego, tak czystego, że cały otaczający świat wydawał się tylko mizerną oprawą wspaniałego i tajemniczego brylantu. Coś lekko ogrzewało pierś hobbita, czuł ciepło, którym emanował sztylet. Folko poderwał się, jakby posłanie parzyło go w plecy. Krasnoludy spokojnie spały; było jeszcze bardzo wcześnie, dopiero pierwsze promienie

świtu zajrzały pod zielone korony drzew. Coś ciągnęło hobbita w głąb bukowego lasu. Ruszył na chybił trafił, bez zastanowienia i natychmiast poczuł, że sztylet staje się chłodny. Cofnął się nieco i sztylet ponownie zaczął wydzielać słabe ciepło. Hobbit zadrzał w przeczuciu czegoś niezwykłego, i wolno, nie zdejmując ręki z cudownego prezentu Olmera, pomaszerował przez wysoki młody las, co chwila skręcając to w prawo, to w lewo, jak ślepiec; szukał tego jedyne go kierunku, który wskazywał mu sztylet. Nie odczuwał strachu. Los prowadził go ku czemuś niezwykle ważnemu, a Folko się nie sprzeciwiał.

Zarośla stawały się coraz gęstsze, a na dodatek grunt przechodził w głęboki parów. Folko odszedł już daleko od obozu i przelotnie pomyślał, że przyjaciele będą się niepokoić, ale w tym momencie gałęzie rozchyliły się na boki, a hobbit znalazł się na niewielkiej okrągłej polance na samym dnie wąwozu. Dno było zarosnięte szmaragdowo czystą, zadziwiająco miękką trawą. Nad polanką, niczym kopuła namiotu, zamykały się rozłożyste korony drzew; leśną komnatę przenikało delikatne zielonkawe światło przez listowie promieni słońca. Pośrodku polany hobbit zobaczył dwa stojące pionowo kamienie, otwierające się w jego stronę jak księga; między stojącymi kamieniami na ziemi spoczywał trzeci — płaski, przełamany na pół. Ze szczeliny wyrastał nieznany hobbitowi błękitny kwiatek. Jego korona przypominała różę, ale wydawała się co najmniej dwukrotnie większa, poszczególne zaś płatki tworzące kwiat były jakoś osobliwie zawinięte. Folko otworzył usta, a potem chwycił sztylet. O pomyłce nie było mowy. Kwiaty na klindze były identyczne. Pochylił się nad rośliną. Kwiatek wydzielał mocny, niespotykany aromat, którego gorycz dziwnie splatała się ze słodyczą. Od tego zapachu Folkowi zakręciło się w głowie, zachwiał się i przysiadł na kamieniu.

Dotychczas nieruchome gałęzie zaszeleściły lekko, po trawie przemknął wiaterek; błękitny kwiatek poruszył się, zadrzał, a jego płatki zaczęły odpadać jeden po drugim. Wolno kołując, przelatowały obok hobbita, i gdy tylko dotykały ziemi, nagle zajmowały się dziwnym przezroczystym płomieniem. Jak zaczarowany śledził ich lot, ich wirowanie i trzepotanie. Z boku wydawało się, że są to bezbronne żywe istoty, które ktoś wlecze na kaźń. Łodyga kwiatka gięła się, jakby usiłując utrzymać płatki, i hobbit, nagle przejęty chłodem, odczytał w jego ruchach namiętne, bezgłośnie błaganie, by nie dać mu umrzeć na ziemi, która — tak się hobbitowi wydawało — chciwie wyciągała swoje czarne wargi na spotkanie kolejnej ofiary. Poddając się owej prośbie, Folko wyciągnął rękę, i w tej właśnie chwili zwała się cała korona. Garstka błękitnych i jasnoniebieskich płatków upadła na dłoń hobbita — poczuł ostry ból, ręka mu zeszywniała, ale zacisnął zęby i mimo że na czole od razu wystąpił pot, a ból sięgnął już głowy i zaczął ze szczególną zawziętością przewiercać skronie, nie strząsnął płatków, wolno topniejących w błękitnym obłoczku między jego palcami. Folko wyczerpany oparł się o kamień, nie spuszczać wzroku z dłoni. Przez chwilę w błękitnawej mgiełce

mignęły mu zarysy czyjejs cudownej twarzy, obramowanej srebrzystymi włosami. Potem wszystko znikło.

Hobbit wolno wpełzł w utworzony przez dwa kamienie ką, oparł się o głazy plecami. Świat wokół niego zmieniał się, zniknęły las i polana; widział teraz wysokie białe wydmy z samotnymi brązowo-zielonymi rozłożystymi sosnami i bezkresną błękitną równinę; zrozumiał, że to Morze, nad którym nigdy nie był. Siedział na płaskim kamieniu tuż nad wodą, smętnie się wpatrując w nadbiegające fale. Gdy odpływała kolejna fala, z białej piany o dwadzieścia kroków od brzegu wynurzała się błyszcząca czarna krawędź wyszlifowanej przez wodę rafy, a on ciskał kamyki, starając się trafić w ten nierówny grzebień, zanim przykryje go następna fala. Przezroczysty język wody liznął miążki piasek tuż przy jego butach, które nosił po raz pierwszy od wiosny; Folko wiedział, że ma na sobie kolczugę, a na głowie hełm. Niespodziewanie zaboląa go lewa dłoń. Ból był mu dobrze znany i hobbit spokojnie sięgnął do pasa, a palce natrafiły na manierkę. Jego bliźniak, siedzący nad Morzem, wiedział, co w niej jest, natomiast Folko, ten z lasu, nie miał pojęcia, skąd się wzięła. Wolno odkręcił korek, nalał na bolącą dłoń trochę ostro pachnącego lekarstwa i wolnymi, płynnymi ruchami zaczął je wcierać. Wszystko to drugi Folko wykonywał mnóstwo razy, ale znajdujący się w tej chwili w jego ciele inny Folko mógł tylko się domyślać, co to oznacza. Spróbował się poruszyć, ale nie mógł; ciało nie poddawało się woli. Zrozumiał, że ma tylko patrzeć i słuchać, zaniechał więc bezskutecznych prób. Jego ręce poruszały się same, podobnie głowa. Co robi w tym miejscu? A przecież to był on, podobnie jak jego ręce, choć zauważył, że na prawej pojawiła się długa głęboka blizna, ale wszystkie znane od dziecka ślady upadków i stłuczeń też były na swoich miejscach. . .

Tymczasem z tyłu rozległy się ciężkie kroki, pod podszwami skrzypiał biały gorący piasek. Siedzący wcale się nie zdziwił — widocznie wiedział, kto nadchodzi — i nawet się nie odwrócił. Na piasek padł zniekształcony cień i znany dobrze hobbitowi głos powiedział z niezwykłym dla mówiącego współczuciem:

— Bardzo boli, Folko-wen?

— To nic — odpowiedział wolno zapytany. Wargi poruszały się bez woli hobbita. — Zaraz przejdzie. . . Długo jeszcze będziemy czekać?

Słowa były wypowiedane wolno; mówiący wiedział, czego oczekuje, podobnie ten, który siedział za jego plecami. Zamiast odpowiedzi, zza wysokiej diuny nagle dotarł do niego cichy odległy śpiew, potem plusk wiosła, a po chwili zza piaszczystego grzbietu wyłonił się okręt, którego hobbit również nigdy wcześniej nie widział; hobbit, ale nie ten siedzący nad Morzem. Okręt był długi, wąski, o wysoko wypiętrzoną dziobę, ozdobioną głową niedźwiedzia, z krótkim masztem, na którego reji został zrefowany żagiel. Płynął siłą wiosła wystających z otworów w górnej części burty, po czternaście z każdej strony. Na dziobie i rufie widniały małe postacie, wymachujące rękami.

Okręt zmierzał w ich kierunku. Gdy do brzegu zostało najwyżej trzydzieści sążni, do płytkiej wody z przeciągłym pluskiem wpadły umocowane na łańcuchach okrągłe kamienie, a zaraz potem ktoś z dziobu wskoczył do wody. Po chwili Folko, ku swojemu zdziwieniu, poznał Torina. Ale dlaczego jego przyjaciel jest taki siwy i taki niski? Krasnolud szedł, rozgarniając piersią wodę, spod hełmu wysuwały się srebrzyste włosy, straszliwa blizna przecinała twarz, ale oczy mu błyszczały i powitał stojących na brzegu, potrząsając wysoko uniesionym toporem. Za nim spieszył Malec, również wyraźnie niższy; krzyknął coś i zawadiacko gwizdnął, wsunąwszy do ust cztery palce.

Siedzący za plecami hobbita wstał i podszedł do wody.

— Znalazłeś ich? — zapytał, zwracając się do wychodzącego na brzeg Torina.
— Znalazłeś ich? Przyjdą?

Torin skinął głową, nadal uśmiechnięty. Zrobił jeszcze krok i wyciągnął do nich ręce. Jakże postarzał się jego druh! Wargi krasnoluda poruszały się, ale w tej chwili światło zgasło, dokoła zawirowały smugi błękitnej mgły, i Folko oprzytomniał...

Siedział jak i wcześniej, wtulony między dwa stojące obok siebie szare kamienne bloki, a nad nim znieruchomiały krasnoludy. Popołudniowe słońce uderzało prosto w ich twarze. Zawroty i ból głowy szybko ustępowały i hobbit czuł, że jego ciało wypełniają nowe siły. Nie od razu, przebijając się przez ustępującą kurtynę niepamięci, opowiedział przyjaciółom, co się wydarzyło.

— No tak, nienadaremnie podziwialiśmy twój sztylet — powiedział Torin, kręcąc głową. — W tym miejscu panują dobre czary, ktokolwiek je nałożył. Ale co znaczy twoje widzenie?

— Że przed nami jeszcze długa, bardzo długa droga, i że nie skończy się szybko — powiedział Malec w zamyśleniu.

— Hm, ciekawe. Widziałeś to, co będzie, czy to, co może być?

— Nawet magiczne zwierciadło Galadrieli pokazywało tylko to, co może się wydarzyć, jeśli będziesz działał tak, jak zamierzasz w chwili wróżenia — rozłożył ręce Folko. — Zresztą, bywa tak, że nie ma wyboru... Frodo i Sam, jak się wy daje, nie mieli wyboru, musieli dojść za wszelką cenę. A my? Czy nam również wyznaczono tak wyraźny obowiązek?

— Chciałbym wiedzieć, co to za zniekształcony cień, o którym mówisz — mruknął Malec. — Głos, powiadasz, też był ci znajomy?

— Dobra, możemy tak zgadywać w nieskończoność. — Torin wstał. — Jedziemy dalej, jak planowaliśmy, a sądzić będziemy według sumienia i zawsze próbować oddzielać dobro od zła; zobaczymy, do czego dojdziemy... Folko, dobrze się czujesz? Wystraszyliśmy się, kiedy zniknąłeś, ale znaleźliśmy cię po śladach, szczęśliwie rosa była obfita dziś rano.

— Ze mną wszystko w porządku — poderwał się hobbit. — Ale kto to tutaj ustawił?

— Może to grób? — zastanawiał się Malec. — Bardzo podobny, widziałem w...

— A może i nie — wzruszył ramionami Torin. — Ale dla mnie jest jasne, że nie obeszło się tu bez elfów! Bo kto, jeśli nie oni? Przecież nie Saruman...

Folko zamyślił się. Działo się z nim coś dziwnego, jakby ci dwaj hobbitci, których osobowości chwilę temu dzielił — jeden, ten starszy, doświadczony, i drugi „obecny”, nie mogli się stać jednym. Jego słuch i wzrok wyraźnie się wyostrzyły; już teraz mógł skoncentrować się na niesłyszalnym dla innych szeleście jakiegoś żuczka w trawie i wyłapać wszystkie różnice w tych odgłosach, a jego oczy widziały o wiele więcej niż kiedyś...

Spędzili jeszcze chwilę w tym zadziwiającym miejscu, chociaż już dawno powinni ruszać w drogę, ale czuli się tu wspaniale — powietrze było inne, przenikały je cudowne wonie, które nie wywoływały już zawrotów głowy. Jedyną rzeczą, która zaniepokoiła hobbita, był odcisk ogromnej wilczej łapy na rozmięklej obok strumienia ziemi... Ślad był stary i zatracił wyraziste kontury, ale i tak pozostał dobrze widoczny.

* * *

Minęły dwa dni. Lasy zostały za nimi, a olbrzymi, pokryty śnieżnobiłą czapą szczyt Methedrasu był coraz bliżej. Przebijali się wzdłuż południowej granicy Dunlandu do ostatnich odnóg Gór Mglistych. Widzieli tutaj sporo letnich obozów i strażnic rohańskich pasterzy, którzy pędzili bydło na rozległe pagórkowate łąki. Raz zatrzymał ich podjazd kopijników i wtedy przydał się list podróżny, troskliwie przechowywany przez Torina na własnej piersi.

— Dokąd wiedzie droga, czcigodni? — zapytał uprzejmie, ale z naciskiem dowódca, wysoki siwy wojownik na gorącym dereszku, zwracając pergamin.

— Zmierzamy do Isengardu — odpowiedział Torin. — Chcieliśmy zobaczyć to, co zostało z twierdzy Białej Ręki...

Żołnierz nachmurzył się, a jego dłoń spoczęła na rękojeści miecza.

— Cudzoziemcy, widocznie nie znacie rozkazu króla Marchii? Nikt nie powinien wchodzić do Zielonego Lasu otaczającego tę przeklętą twierdzę.

— Niby dlaczego? — zapytał krasnolud. — Kto może nam zabronić wchodzenia tam?

— Nie ty, czcigodny, będziesz osądzał polecenia władcy Marchii, ale zważywszy na pamięć o przyjaźni między naszymi ludami odpowiem ci. W Lesie bez śladu zaginęło wielu z tych, którzy ośmielili się wejść pod jego korony! Potęga Lasów, która niegdyś przysłała nam z pomocą, dziś stała się samowolna i nie

chce uznać żadnej nad sobą władzy. Dlatego król wydał taki edykt. Rozstawiliśmy strażnice wzdłuż całej Doliny Czarodzieja, żeby powstrzymywały nieostrożnych wędrowców przed zapuszczaniem się w te przeklęte miejsca. Tak więc lepiej będzie, gdy zavróćicie.

— Dlaczego Las zwrócił się przeciwko ludziom? — zapytał wystraszony Folko.

— Dlaczego... — Wojownik skrzywił się z niezadowoleniem. — Kiedyś, wiem to, byliśmy przyjaciółmi, ludzie Marchii i mieszkańcy straszliwego Fangornu. W naszych pieśniach zachowała się pamięć o wielkiej bitwie w Jarze Helma, kiedy Las pomógł rozbić nieczyste hordy orków. Ale potem... już po śmierci dzielnego króla Eomera, przyjaciela samego Wielkiego Króla Zjednoczonego Królestwa — wypowiedział te słowa z nabożeństwem — jego syn, król Elfwin, postanowił odbudować Isengard; czasy były niespokojne, trwała ostatnia wojna z orkami z Gór Mglistych i z jej powodu trzeba było wyrąbać część Zielonego Lasu. Od tego, powiadają, wszystko się zaczęło... Ale przecież mieliśmy prawo! Dolina Iseny to nasze ziemie, zawsze tam był step, i dlatego niby nasz król miał pytać o pozwolenie? Król jest panem na swojej ziemi, czyż nie tak? Zresztą, to są stare sprawy. My, oczywiście, nie sprzeczaaliśmy się z Fangornem. Las rozrastał się na wschód i północ, nie zachodząc na nasze ziemie, a my powstrzymaliśmy próby przejścia do Isengardu. Ale Las zawraca nie wszystkich, którzy do niego wchodzi. Niektórzy giną na zawsze! Dlatego stoją tam nasze posterunki. Lepiej, byście tam nie szli, czcigodni, tylko straciecie czas.

Torin zaczął sapać.

— Dobrze, czcigodny, nie znam twego imienia. Torin, syn Dartha, wysłuchał twych słów i dziękuje ci za nie. Zawracamy...

Folko z napięciem wpatrywał się w przyjaciela. Malec zacisnął pięści, ale Torin jednym spojrzeniem zmusił ich do milczenia. Dał przykład, odwracając się plecami do Methedrasu, i wolno ruszyli na południe, ku odległym wzgórzom, za którymi przebiegało koryto Iseny. Rohański podjazd przez pewien czas podążał za nimi, potem, pomachawszy na pożegnanie ręką, dowódca skręcił na zachód. Wspaniałe wierzchowce szybko zniknęły z oczu.

Torin natychmiast zatrzymał konia i przyłożył ucho do ziemi, znakami nakazując przyjaciołom zrobić to samo. Długo leżał bez ruchu.

— Nie jestem, rzecz jasna, tropicielem — mruknął, unosząc głowę — ale według mnie rzeczywiście odjechali gdzieś na zachód. Jak oni tak, to my owak! Poczekamy do nocy i pójdziemy na północ. Jeśli oni posprzeczaali się z entami, nas to nie dotyczy. Spróbujemy szczęścia!

— Innych dróg nie ma? — zainteresował się Malec, odkręcając szpunt manierki i puszczając ją w koło. — Może przez góry?

— Myślałem o tym — odpowiedział Torin, rozcinając wędzoną rybę. — Pewnie jakoś można przedostać się i z zachodu, ale nikt z nas nie zna tych dróg. Nie,

spróbujemy najpierw tędy. Zachowamy ostrożność i nie będziemy się pchali na łeb na szyję. Mam nadzieję, że w razie czego Folko jakoś dogada się z entami.

— Ja? — Hobbit stracił oddech, przycisnął dłonie do piersi. — Ja?!

— Przyjacielu! Nie czytałeś Księgi? Przypomnij sobie, jak zbliżyli się z entami Peregrin i Meriadok. Władcy Fangornu mają dobrą pamięć. Co to dla nich trzysta lat? Tak więc teraz przekąsimy coś i odpoczniemy sobie. O, mamy przyjemne krzaczki, możemy się tu rozlokować.

Gdy wzgórze przykryła noc i jasne południowe gwiazdy wysiały się na czystym niebie, Torin obudził drzemiących w ciepłe przyjaciół. Ruszyli na północ, ale wkrótce stało się oczywiste, że muszą kierować się bardziej w prawo, jeśli nie chcą wdrapywać się w górę i zjeżdżać w dół po stromych wzgórzach, i co rusz zsiadać z kuców i prowadzić je za wodze. Starając się nie tracić z oczu Remmirat, Gwiazdnej Sieci, skierowali się bardziej na wschód. Czarne kolosy Gór Mglistych stopniowo wznosiły się coraz wyżej, zakrywając pół nieba. Gdy księżyc zaczął zachodzić, wędrowcy zatrzymali się na krótki popas. Rozsiadłszy się obok starego głogu, zapalili fajki. Malec już zasypiał na siedząco, ale hobbit poczuł nagle pewien niepokój. Wsparł się na łokciu, usiłując rozejrzeć się, ale w parowie panował gęsty mrok, tylko grzbiet zachodniego stoku był skąpo oświetlony bladymi promieniami księżyca. Hobbit zaczął się nerwowo wiercić. Niepokój przeradzał się w pewność: z zachodu nadciągało niebezpieczeństwo... Na razie nieokreślone, ale z każdą chwilą wewnętrzny zmysł przenikał coraz głębiej w mrok i Folko poczuł tępą zwierzęcą złość, chciwą żądzę, szukania wśród pomiętych źdźbeł trawy resztek zapachu, szklitych oczu, wpijających się w noc, i innych oczu, pełnych nienawiści i żądnych krwi. Ręka Folka sięgnęła po broń; Torin zauważył jego ruch.

— Tam... tam... — Folko dusił się. — Stamtąd coś pełźnie na nas, Torinie! Czuję to! I ono nas też wyczuwa...

— Co ty mówisz? Skąd to wiesz? — zdziwił się Torin, ale hobbit z zaskakującą siłą wczepił się w poły krasnoludzkiego kaftana.

— Łap broń, Torinie! Mały, nie śpij! Zaraz się do nas zabiorą...

— Co, znowu z Mogilników? — Torin odłożył fajkę i zaczął wciągać koleczkę.

Zamarli. W tej chwili za pobliskimi wzgórzami rozległo się pełne złości i przeciągłe wycie, ale nie było to wycie, które przestraszyło krasnoluda i hobbita na samym początku ich uciążliwej wędrówki. To był głos żywej istoty; Folka olśniło, przypomniał sobie wilczy ślad obok ruczaju. Wystraszone kuce poderwały się i zachrypiały. Pospiesznie uzbroiwszy się, przyjaciele stanęli ramię przy ramieniu. Folko dygotał, do bólu w oczach wpatrywał się w ciemność. Przeczucie mówiło mu, że wróg jest tuż-tuż.

— Co robimy, Torinie? — ponuro rzucił Malec i splunął. — Jak długo wytrzymamy?

Zapytany nie zdążył odpowiedzieć. Na tle srebrzystego sierpa zachodniego grzbietu wzgórze pojawił się jakiś cień, za nim wyłaniały się kolejne... Płonęły zielonkawe ogniki oczu, słychać było głuchy, wściekły warkot; w tym momencie księżyc wynurzył się zza chmur i jego światło zalało zachodni stok. Przyjaciele zobaczyli szare cielska olbrzymich wilków, wysokich niemal jak hobbit, oraz dziwnych jeźdźców; przysadziści, krępi, w spiczastych czapkach, siedzieli na wilczych grzbietach mocno podkuliwszy nogi. Mieli włócznie i łuki.

— Ii-ia-heej! — rozległ się wysoki przenikliwy wizg, i ze wszystkich stron ku znieruchomiałym przyjaciołom skierowały się dziesiątki niezwyklej napastników. Potworne warczenie wilków mieszało się z wojowniczymi wrzaskami jeźdźców, świsnęły strzały. Malec nagle jęknął i zachwiał się, ale zaraz wyprostował, a spieszący mu z pomocą hobbit odpowiedział wrogowi pierwszą strzałą. Soczyście odezwała się kusza Torina, jeźdźcy zniknęli z dwóch siodeł, ale czy to mogło powstrzymać pozostałych? W mgnieniu oka — hobbit zdążył wystrzelić tylko trzy strzały — jeźdźcy znaleźli się tuż przed nimi.

Wszystko odbyło się tak szybko, że Folko nie zdążył naprawdę się wystraszyć. Coś bardzo mocno uderzyło go w lewe ramię i odskoczyło od łusek mithrilowej kolczugi. W tym momencie ogromny wilk rzucił się prosto na niego, w otwartej paszczy błysnęły kły, ale trwało to tylko chwilę, bowiem Folko, uchyliwszy się, ciął głowę stworu gondorskim ostrzem Wielkiego Meriadoka. Jeździec uskoczył w bok i wyszarpnął krótki miecz, jak oszalały rzucił się na hobbita.

Świat dokoła Folka zawęził się do wąskiej przestrzeni na wprost jego oczu. Bojowy zapach usunął strach; lekcje z Malcem nie poszły na marne. Odchylając klingę lekkim bocznym cięciem, wykonał głęboki wypad, i stał odległego przodka przeszyła odstonięte gardło wroga. Jednocześnie poczuł pchnięcie w bok, ale wyrób krasnoludów okazał się mocniejszy od miecza napastnika. Klinga bezsilnie przejechała po kolczudze hobbita, który błyskawicznym uderzeniem powalił jeszcze jednego atakującego.

Rzucił się na niego inny wilk, ale i ten nie dosięgnął hobbita; zwierz wpadł pod topór Torina, walącego od ucha z prawej i lewej. Jednakże hobbit poczuł nagle dziwny niepokój, odwrócił się i niczym w sennym koszmarze zobaczył wolno upadającego Malca, którego zwałił z nóg atakujący z boku kolejny wilk. Zęby potwora szczęknęły, ale nie dały rady przegryźć chronionego mithrilem gardła. Miecz hobbita natychmiast przebił bok zwierzęcia, które w konwulsjach padło na ziemię. Malec poderwał się, zanim napastnicy zdążyli wykorzystać tymczasowy sukces.

Wydawało się, że czas stanął w miejscu, walka nie ustawała. Ale łuczniczy napastników na próżno rwali cięciwy — strzały mimo ich wysiłków łamały się, trafiając w niepodatny na ziemską stal rynsztunek, próżno rzucały się wilki na krasnoludów, starając się powalić ich na ziemię. Malec i hobbit wykonywali zręczne uniki, Torin natomiast stał jak skała, a jego topór ciął potwory, zanim zdążyły go

sięgnąć. Jeźdźcy daremnie uderzali na przyjaciół — ich miecze nie mogły przebić niezawodnych kolczug.

Zostawiwszy na trawie ciała dwudziestu jeźdźców i czternaście zabitych wilków, napastnicy wycofali się. Walczących rozdzieliło trzydzieści sążni. Przez pewien czas z tłumu docierały do przyjaciół ochryple okrzyki w niezrozumiałym języku, potem jeźdźcy jeden za drugim powskakiwali na siodła. Jeszcze chwila i czoło oddziału znikło za krawędzią parowu.

Zapadła cisza. Na zdeptanej trawie, zalanej ludzką i wilczą krwią, czarnymi kopcami zastygły martwe ciała. Hobbit stał nieruchomo, zmęczony, opuściwszy ręce. Chwiał się i wpatrywał szklanym wzrokiem w Torina biegnącego stoikiem wąwozu. Malec, z zakrwawionymi klingami, skradał się, obchodząc polankę, i przypatrywał zabitym wrogom; jeśli trafił na rannego — krótki cios daga kończył jego żywot. Torin wrócił.

— Znikli — oświadczył ochryple, upuszczając topór na trawę. — Ale czy daleko, tylko Durin wie. Jesteś cały, Folko? A ty, Mały?

— Ze mną wszystko dobrze — odezwał się spokojnie mały krasnolud — ale nasz hobbit za chwilę straci przytomność!

Folko rzeczywiście poczuł się źle. Zadrzał, patrząc na zabitych wrogów; w księżycowym świetle poboju wyglądało okropnie. Ugięły się pod nim nogi i gdyby nie podtrzymał go Malec, niewątpliwie runąłby na ziemię. Trzymany przez przyjaciela, pociągnął nosem, bezskutecznie starając się wytrzeć policzki rękawem kolczugi. Popatrzył na ręce; były ciemne, pokryte cudzą krwią. Hobbit pospiesznie chwycił manierkę i nie zaprzestał mycia, póki dłonie nie stały się czyste. Dopiero teraz, trochę spokojniejszy, mógł rozejrzeć się dokoła. Najpierw zobaczył kuce, przeszyte dziesiątkami strzał.

— No to... No to... — powtórzył Torin. — Cóż, przyjdzie nam iść pieszo. Folko! Ile jeszcze mamy drogi do tej doliny?

— Ze trzy dni, jeśli na własnych nogach — odpowiedział ponuro wracający do równowagi hobbit.

Malec gwizdnął.

— Od ujścia doliny do Isengardu szesnaście mil — wyjaśnił Folko. — Przejdziemy w jeden dzień. Ale zanim tam się dostaniemy, musimy pokonać, moim zdaniem, dwa łańcuchy; tam będzie Isena.

— No to chodźmy — podniósł się Torin. — Ale nie możemy zostawić ani broni, ani narzędzi. Czyli że musimy pozbyć się czegoś z zapasów...

— Jak to z zapasów?! — wrzasnął hobbit. — Nie dość, że łażąc po tych urwiskach ścieramy nogi do krwi, to jeszcze mamy iść z pustym brzuchem?!

— Aby tylko dostać się do lasu — tłumaczył Torin. — A tam albo znajdziemy entów, albo poprosimy o pomoc w jakiejś rohańskiej strażnicy. Straszne z was, hobbitów, obżartuchy!

— Tak sobie siedzimy — wtrącił się Malec — a te zuchy na wilkach wcale nie musiały daleko odchodzić.

Po tych słowach przestraszony hobbit zaczął się nerwowo rozglądać. Bez zwłoki wyruszyli w dalszą drogę. Krasnoludy objuczyły się niemal wszystkim tym, co niosły ich zabite kuce; przyjaciele ruszyli w drogę, oglądając się co chwila za siebie. Hobbit z przyzwyczajenia trzymał łuk w pogotowiu. Ten środek ostrożności ustrzegł ich przed niebezpieczeństwem.

Przyjaciele nigdy nie zauważyliby wilka — taki zwierz potrafi pełznąć jak duch — gdyby nie jego jeździec, który zaczepił wysoką czapkę o gałąź głogu. Hobbit wystrzelił niemal nie celując, rozległo się wściekłe wycie i ranne zwierzę rzuciło się do ucieczki, unosząc niezręcznego jeźdźca.

Szli bardzo ostrożnie. Unikali oświetlonych księżycem miejsc, przemykali głuchymi parowami i wąwozami, przebijając się przez kolczaste krzewy. Hobbit poruszał się bezszelestnie, krasnoludy natomiast hałasowały na całego — zaczęły o gałęzie, sapaty, stękały, klęły pod nosem, tak że Folko niemal był pewien, że zaraz zostaną usłyszani i wytropieni.

Jednakże do rana nikogo nie spotkali. Hobbit wyraźnie czuł niewidzialną obecność wrogów za plecami, jednakże ci trzymali się z daleka od niebezpiecznych podróży. Folko powiedział o swoich odczuciach przyjacielom. Przyzwyczajone już do trafności przeczuć, krasnoludy słuchały jego słów bez zdziwienia.

— Ile jeszcze będą się wlekli za nami? — zasapał spocony Malec, uginając się pod ciężarem ogromnego tobołu. — Przecież tu są rohańskie ziemie, nie boją się czy co?

— Jest ich wystarczająco wielu, żeby dać radę małemu podjazdowi — odpowiedział Torin zmienionym z wysiłku głosem. — Pamiętaj, że my też powinniśmy omijać jeźdźców Marchii. Miej więc oczy na czubku głowy i ruszaj nogami, bo im prędzej znajdziemy się w Lesie, tym wcześniej będziemy bezpieczni. Cokolwiek mówią o Wielkim Lesie, ja w niego wierzę.

— Ja bym się tam nie pchał — zaprotestował Malec. — Czy może jesteś leśnym elfem, Torinie? Co? Można by pomyśleć, że wędrujesz po lasach przez całe życie.

— Całe, niecałe, ale się zdarzyło — odpowiedział Torin, nie zwracając uwagi na kpinę w głosie druha. — I tak nie mamy gdzie się podziać.

— Sam powiedziałaś, że trzeba zajrzeć do strażnicy.

— Żeby te miłe pieski wypruły flaki Rohirrimom? Nie, nie ma co wciągać innych w tę sprawę. Raz już próbowali z nami, nie udało się! Teraz się zastanowią, zanim na nas uderzą. Nie zdejmujcie kolczug, może jakoś się uda.

Nadejście świtu zaskoczyło ich; nagle do głębokiego jaru wpadły promienie słoneczne i oświetliły chwiejącego się ze zmęczenia hobbita i przyjaciół, których jednak nie zmogła ani bezsenna noc, ani ciężki bagaż na plecach.

Spędzili dzień, przyczajeni w gęstych zaroślach na samym dnie parowu między dwoma wzgórzami. Folko zasnął i spał mocno do samego wieczora, a po przebudzeniu zawstydził się, widząc, że przyjaciele trzymali wartę za niego. Ale przynajmniej odpoczął i mógł iść dalej.

Ruszyli o zmierzchu. Jak poprzedniej nocy niebo było jasne i piękne, spokojnie płynął po nim księżyc. Hobbit odwrócił się na zachód i poszukał Gwiazdy Earendila; Rodząca Ogień wschodziła nad wzgórzami, a jej blask dodawał sił i odpędzał lęki. Hobbit mocniej ścisnął rękojeść miecza i raźnie pomaszerował za Torinem.

Ranek zastał ich na brzegu bystrej Iseny. Pokonawszy grzbiet wzgórza, stanęli przed ścianą niewysokiego młodego lasu; krasnoludy chwyciły za topory, ale Folko ich powstrzymał.

— Poczekajcie! Przecież wybieramy się do lasu należącego do entów! Jak możecie rąbać myślące drzewa!

Krasnoludy sapały, ale w ślad za hobbitem weszły w gęstwinę młodych, giętkich gałęzi i pni. Przebijali się przez młodniak wolno, jednak w końcu zielona ściana ustąpiła i znaleźli się na płaskim dnie szerokiej doliny. Na wprost nich w wąskim korycie o stromych brzegach szumiała Isena; między zaroślami i brzegiem rzeki przez wysokie krzewy prowadziła na północ droga. Znalazłszy się na niej, przyjaciele zauważyli, że nie jest to zwyczajna polna droga, lecz pozostałość niegdyś szerokiego, brukowanego gościńca. Teraz jego pobocza zarosła gęsta zieleń, precyzyjnie dopasowane kamienne płyty porozsuwała natrętna trawa; na pozostałej wolnej przestrzeni mogli się minąć najwyżej trzej jeźdźcy. Po chwili namysłu hobbit wysunął przypuszczenie, że to być może jest ów Gościniec Sarumana, po którym niegdyś pędził do Isengardu oddział króla Theodena; wtedy przed oczami konni mieli zupełnie inny widok...

Wypalona pracowicie przez Sarumanowych orków ziemia odżyła i zazieleniła się. Przyjaciele przemierzali drogę, wiodącą do podnóża olbrzymiego Methedrasu. Wzgórza stawały się coraz wyższe, ich zbocza coraz bardziej strome, i wkrótce po obu stronach doliny spiętrzyły się nieprzystępne ściany szarych urwisk. Las po obu stronach był ciemniejszy, gęstszy i starszy.

Torin postanowił zaryzykować i pójść na skróty, o ile hobbitowi wystarczy sił. Dziwne, ale druga noc wędrówki wydawała się Folkowi znacznie łatwiejsza, jakby czyjaś niewidzialna ręka podtrzymywała jego bagaż, wzięwszy na siebie część ciężaru.

Dwukrotnie musieli kryć się w przydrożnych zaroślach przed rohańską konnicą; jeźdźcy przemierzali Trakt w tę i z powrotem dużymi, dobrze uzbrojonymi oddziałami. O zagrożeniu uprzedzał ich Folko; po spotkaniu z błękitnym kwiatem jego wyczucie niebezpieczeństwa wyraźnie się wyostrzyło. Hobbit nie raz i nie dwa zastanawiał się nad tym i nie znajdował innego wytłumaczenia dla swej nowej zdolności.

Mijały godziny, słońce stanęło w zenicie, zrobiło się upalnie i duszno. Powietrze w Dolinie Czarodzieja było nieruchome. Malec ponuro zauważył, że przed wieczorem na pewno rozpęta się burza.

Po drodze Folko usiłował wypatrzeć resztki czarnego słupa z Białą Ręką, pamiętał, że samą Rękę rozbili entowie, ale słup powinien się zachować, jednakże las wokół nich stał się tak gęsty, że zobaczyć cokolwiek było nie sposób.

Gościńiec urwał się zniechęca, o wiele wcześniej, niż to wynikało z obliczeń hobbita. Wędrowcy nagle poczuli w pobliżu lekki zapach dymu i pospiesznie ukryli się w gęstym podszyciu. Zrzuciwszy toboły, ostrożnie podpełzli do skraju podszytu, ale po chwili hobbit szeptem oświadczył krasnoludom, że w ten sposób zaalarmują cały podjazd, więc dalej będzie się posuwał sam. Torin coś wymrucał, ale musiał ustąpić.

Doczołgawszy się do skraju zarośli, hobbit wyjrzał. Pierwsze, co rzuciło mu się w oczy, to zwarta ściana leśnych olbrzymów, o bajecznych koronach, które pyszniły się na wysokości pół mili. Z zielonego tunelu wypływała Isena, a olbrzymie konary nurzały w wodzie listowie, tworząc coś na podobieństwo kraty, która przegradzała nurt rzeki, płynącej zwartym tunelem liści i pni. Las wypełniał całą dolinę, przed nim na niewielkim odcinku pustego brzegu stała strażnica jeźdźców, kilka niewielkich budynków, ogrodzonych palisadą; w niebo wzbijała się równa strużka błękitnawego dymu. Kilka koni, bez pęt, spacerowało obok ogrodzenia. Na wieży widać było postać strażnika.

Hobbit chciał odczołgać się z powrotem, ale nie mógł tak szybko oderwać wzroku od Lasu. Olbrzymie pnie stały nieruchomo jak szereg potężnych wojów, ich odziomki tonęły w siwym mchu, z kory zwisały bure porosty, ale nigdzie nie było widać zwyczajnego gdzie indziej podszytu. Wydawało się, że jakiś gigantyczny nóż odciął skraj starego lasu, obnażając jego ostoję. Hobbit długo przepatrywał brązowo-szare pnie, i stopniowo zaczynał rozumieć obawy Malca. Wielki Zielony Las nie wydawał się przyjazny. Wręcz przeciwnie, gdzieniegdzie w trawie widniały czarne plamy, ślady po ogniu, jak gdyby płomień dobierał się do pni, ale za każdym razem zatrzymywał się, natrafiając po drodze na wilgotne, nasyczone wodą mchy. Strażnica trwała w spokoju, ale czy uda się przemknąć obok niej, omijając bystre oko rohańskich wartowników? Folko długo łamał sobie nad tym głowę, ale nic nie wymyśliwszy, wrócił do niespokojnie czekających nań przyjaciół.

— W dzień nie dostaniemy się do Lasu — zameldował krasnoludom. — Jeźdźcy są w pogotowiu, a z wieży widać daleko. Wszystkie krzaki zostały wyrąbane, więc dopełznąć też się nie da. Musimy czekać do nocy.

— Mam pchać się tam w nocy?! — oburzył się Malec. — Znam dobrze te lasy, albo wpadnę w jakąś norę, albo drzewa skręcą mi kark!

— Przecież przeszedłeś z nami przez tyle lasów? — zdziwił się Torin.

— Ale co to były za lasy? — szeptem odpowiedział Malec. — Nie widzisz, że ten jest inny? Nie lubi intruzów! A my, na dodatek, mamy topory. Uduszą nas tam, klnę się na Moriańskie Młoty!

— A ja przysięgam na brodę Durina, że sam cię uduszę, jeśli nie przestaniesz jęczeć! — syknął Torin. — Po to ocieraliśmy sobie nogi? Po to cięliśmy się z wilczymi jeźdźcami? Czy wiadomości o „Panu” są nieważne?! Lepiej milcz albo daj piwa, bo w gardle wyschło. Musimy przejść i przejdziemy do Isengardu!

— Powiedz mi w takim razie, co będzie, jeśli nie przejdziemy. Rzucimy się do Moriańskiego Rowu czy jak? — odgryzł się Malec. — Czyżbyśmy mieli Pierścień Władzy? A przed nami Góra Przeznaczenia? Nie podjęliśmy się przypadkiem zbyt wielkiego zadania?

— Uspokój się, Mały — machnął ręką Torin. — Las ci się nie spodobał. No to zostań tutaj! Popilnujesz naszych worów, to i lepiej; ja i Folko pójdziemy bez ładunku.

Mały krasnolud aż podskoczył.

— Co to znaczy beze mnie?! — wyszczał wściekły. — Uznałeś, że zostanę tutaj tylko dlatego, że mi się Las nie podoba? O nie, kochany Torinie! Strori pójdzie za tobą wszędzie! A jeśli się wycofa, to tylko z tobą!

Oczy Malca płonęły, wargi mu drżały, był rozżalony i Folko nie od razu zrozumiał, że ten, którego stale nazywają niezbyt przyjemnym przewiskiem, ma na imię Strori. . .

— Nie gorączkuj się, bracie. . . — Torin opuścił oczy. — Oczywiście, że pójdziemy razem.

Wyszli o świcie, kiedy nad Iseną jeszcze utrzymywała się bardzo gęsta i zwarta mgła, przypominająca hobbitowi ów koszmarny poranek obok Wilczego Kamienia. W nocy obudzili się tylko raz, gdy południowy wiatr, nieco rozwiawszy zatechłe powietrze w dolinie, przyniósł odległe wilcze wycie. Czołgając się, nie ryzykując uniesienia głowy, ruszyli wzdłuż samej wody, gdzie młoda turzycza mogła osłonić ich w jakimś stopniu, jednak największą nadzieję hobbit pokładał we mgle.

Pół mili przeszli w ciągu godziny. I dopiero gdy pełznący na czele Torin westchnął z ulgą, obejmując rękami wystający z odziomka grubaśny korzeń, hobbit ośmielił się unieść głowę. Dokoła nich nadal wszystko pokrywała gęsta mgła.

— No i dotarliśmy — wyszeptał krasnolud.

Urządzili postój na skraju lasu pod potężnym jesionem; od czasu do czasu zerkali na przebyty parów. Folko usiłował przewidzieć, czy grozi im niebezpieczeństwo, ale nic mu nie wychodziło. Las wydawał się okrywą dla kupki tłących się w popiele węgli, ale węgle te były nie gorące, przeciwnie, zimne, i najbardziej przypominały zebrane razem odległe gwiazdy.

Czyjaś woła zakryła przed nimi tę ziemię. . . Tak chyba mawiał Legolas — pomyślał hobbit.

Wielki Zielony Las w pierwszej chwili nie wywoływał strachu ani nie wydawał się nieprzytulny. Przeciwnie. Miękki mech namawiał, żeby lec na nim i dać odpocząć zmęczonym stopom. Tu, na samym skraju, nie było tajemniczego mroku, nie czuło się w powietrzu stęchlizny, w każdym razie nie więcej niż w całej dolinie. Hobbit ostrożnie dotknął starej szorstkiej kory i poczuł, jak w ciepłym wnętrzu drzewa krąży strumień ożywczych soków. Wyłowił ledwie zauważaną zmianę w jednolitym rytmie życia potężnego olbrzyma i zrozumiał, że zostali nie tylko zauważeni, ale i przekazano o nich wiadomość — potężną siecią korzeni, daleko ku góróm. Nie można powiedzieć, żeby Folko się wystraszył, ale obudziła się w nim czujność.

Wypocząwszy i posiliwszy się, postanowili iść dalej, z nadzieją na sprzyjający los. Wstali, nałożyli szelki, zrobili kilka kroków.

— Żebyśmy tylko nie zabłądzili — powiedział ze zmartwioną miną Malec.

— Zielony Las ciągnie się stąd jeszcze najwyżej cztery mile — uspokoił go hobbit. — Z prawej są góry, z lewej rzeka. Jak możesz zabłądzić?

Wkrótce brzozone gładkie pnie zakryły przed ich wzrokiem światło polany i znaleźli się w tym właśnie leśnym królestwie, po którym wędrowali dwaj młodzi hobbici ponad trzysta lat temu. Nieruchome powietrze wypełniały nieznane aromaty. Światło niemal nie docierało tutaj, na dno oceanu listowia, a maszerować było coraz trudniej, ale wreszcie zauważyli przed sobą coś na podobieństwo ścieżki. Nie przegradzały jej olbrzymie korzenie, przypominające ogromne węże, a gęsto splecione po bokach gałęzie tworzyły jakby żywy korytarz. Ucieszeni pomaszzerowali przed siebie i szli tak jakiś czas, póki Torin nie zatrzymał się i nie powiedział, że chyba zatoczyli koło. Popatrzył na Malca, a ten potwierdził jego słowa kiwnięciem głowy.

— Rozumiesz — zwrócił się do Folka krasnolud. — Ścieżka ma swój sekrecik. Najpierw prowadziła prosto, potem zaczęła skręcać. Pomyślałem, że tak, po prostu, a teraz widzę, że wyprowadziła nas z powrotem na skraj lasu. Schodzimy!

Okazało się, że łatwiej jest powiedzieć, niż wykonać. Po szczytach koron przebiegł wiatr. Las zaszumiał, jakby oburzony, kiedy Torin, podrapawszy twarz i ręce, zszedł z mylnej ścieżki w gęstwinę. Wydawało się, że każdy sęczonek usiłuje o nich zaczepić, korzenie same wyłaziły z ziemi i wędrowcy potykali się co kilka kroków. Jednakże uparcie przedzierali się coraz dalej i równie uparcie nie sięgali do toporów. Zdziwiałe było, że krasnoludy nie gubią kierunku w tym niewiarygodnym kłębowisku. Płynął czas i mimo wielu przeszkód, mimo rwącego się oddechu i bolesnych zadrapań, posuwali się do przodu.

Nigdy wcześniej hobbit nie był w takim lesie. Wielki Las żył swoim szczególnym życiem; w każdej gałązce i w każdym paku czuło się ogromną życiową siłę; Folko wyczuwał dokoła tysiące uważnych bezokich spojrzeń, uważnie śledzących każdy ruch przybyszów. Zaczął zauważać, że drzewa w różny sposób reagują na jego zbliżanie się — jedne usiłują zahaczyć nogę korzeniem, inne za-

gradzają drogę gruzowatymi sękami, niektóre próbują cisnąć prosto w oczy nie wiadomo skąd biorące się w sierpniu suche martwe liście. Każdy krok kosztował ogromnie dużo trudu i hobbit rozumiał dlaczego: w Lesie znajdowały się tysiące huornów — na poły drzew, na poły entów, i ci byli szczególnie niebezpieczni. Przymknął powieki, starając się zobaczyć coś swoim wewnętrznym wzrokiem, ale widok migoczących pod warstwą popiołu zimnych gwiazd-węgielków nie zmienił się, chyba tylko przybliżyły się gwiazdy.

A drzewa wciąż napierały, dokoła korzeni zaczęła wypiętrzać się ziemia, gałęzie, skrzypiąc, pochyliły się ku głowom wędrowców, którzy w końcu teraz naprawdę zaczęli się bać. Wokół nich ze zgrzytem poruszała się zielona kurtyna, zamykając intruzów w śmiertelnych objęciach. W ręku Malca błysnął topór.

Hobbit zawisł na ręce przyjaciela.

— Stójcie! Stójcie! — zaczął ich błagać. — To nas zgubi! Toporami nic tu nie zwojujecie!

— A czym? — ryknął Torin, odpychając od siebie szczególnie natrętą gałąź. — Skoro wiesz, co robić, to rób, póki mamy jeszcze głowy na karkach!

— O Elbereth Gilthoniel! — wyszeptał hobbit imię Wielkiej Pani. — O Drzewobrodzie, Władco Fangornu!

Jego ręce wyszarpnęły z pochwy drogocenny sztylet. Natychmiast pod ziemią i na powierzchni, gdzieś w gęstwinie gałęzi, rozległo się przeciągłe skrzypienie; chyba był to jakiś rozkaz, bo na mgnienie oka wszystko zamarło. Jednakże po sekundzie Las znowu się poruszył. Przed nimi otworzył się niewysoki zielony tunel: pnie rozstały się, korzenie rozpełzły na boki, a gałęzie zaczęły nagle wyraźnie poszturchiwać ich w plecy. Podporządkowując się wyraźnemu rozkazowi, przyjaciele w milczeniu ruszyli naprzód, w duchu zastanawiając się, czym to wszystko się skończy. Torin usiłował skręcić z narzuconej drogi, ale gdzie tam! Od razu utworzyła się szczelna ściana, przez którą nie mieli szans się przebić bez użycia topora. Krocząc więc po wyznaczonej im drodze, zagłębiali się w ostoję lasu.

— To ci hobbit! — mruknął Torin. — Jak się domyśliłeś? Oczywiście, że trzeba im było wspomnieć o elfach... Ale dokąd nas wiedą?

Na odpowiedź nie czekali długo. Prowadząca ich ścieżka wyraźnie odchyłała się w lewo, ku krawędzi gór otaczających dolinę. Zrobiło się nieco jaśniej, drzewa uspokoiły się, jakby zobaczyły, że intruzi idą, gdzie trzeba. Jeszcze kilka minut marszu i ścieżka zaczęła się piąć w górę.

Niespodziewanie szlak się urwał. Znaleźli się na niewielkiej przestrzeni, otoczonej olbrzymami, które zamykały nad nimi potężne korony. Ze skały, stromo wznoszącej się ku górze, tryskał srebrzysty strumień, dając początek widzianemu wcześniej ruczajowi. Na jedwabistej trawie rozrzuconych było kilka głazów. W jednym miejscu skała zwisała nad zieloną polanką, i tam zobaczyli coś na kształt wielkiego łoża, wysłanego trawą, płaską płytę przypominającą stół i kilka kamiennych dzbanów wzdłuż ściany.

Wygląda to na Źródlaną Salę — pomyślał hobbit. Czyżbym naprawdę miał zobaczyć samego Drzewobroda?...

Krasnoludy przestępowały z nogi na nogę obok skały. Malec co rusz ochlapał sobie twarz zimną wodą z wodospadu, Torin mierzył krokami wąską przestrzeń i coś mruczał pod nosem. Folko zamknął oczy — zimne węgielki znajdowały się tuż obok!

W tej samej chwili gałęzie z cichym szelestem uniosły się i przez powstałe wrota w półkole polany weszła bardzo dziwna postać. Przyjaciele zamarli, wpatrując się w nią.

Tak, to mógł być tylko Stary Ent, nikt inny. Trzysta lat nie wpłynęło na jego piętnaście stóp wzrostu, nie pomarszczyło gładkiej brązowej skóry, może tylko siwa broda, której koniec przypominał stary porost, była nieco dłuższa. Palce — po siedem u każdej ręki — były giętkie i ruchliwe jak dawniej, i tak samo promieniały zielonkawym światłem cudowne oczy, które niegdyś wprawiały w zdumienie przybyłych do Fangornu dwóch młodych hobbitów. Ale wtedy były one zapewne odrobinę mniej spokojne, pomyślał Folko.

Zatrzymał się i bardzo uważnie przyglądał znieruchomiałym wędrowcom. Jego wydłużona głowa, z wysokim jasnym czołem, wolno obracała się wraz z całym potężnym tułowiem, gdyż entowie są pozbawieni szyi. Hobbit wytrzymał przenikliwe spojrzenie władcy Wielkiego Lasu. Niespodziewanie ogarnął go niezwykle spokojny i ze zdziwieniem popatrzył na ciężko dyszącego Torina, który, jak się wydawało, nie miał nawet siły, by otrzeć spływający po twarzy pot. Zanim starzec przemówił, hobbit pokłonił mu się nisko, z ogromnym szacunkiem.

— Huum-hom, huum-hom, ruum tut tum — rozległ się niski, dudniący niczym werbel głos Starego Enta. — Któż to znowu przedziera się przez Wielki Las bez naszego pozwolenia? Trzeba wypytać wszystkich szczegółowo. Korzenie i sęki! Widzę topory na pasie dwóch z was! Kim jest ten trzeci stojący obok, nosiciele toporów? Przypomina mi tego, który pewnego razu odwiedził Las i dokonał rzeczy niewykonalnej, namówiwszy do tego entów. Czy to nie hobbit?

— O Drzewobrodzie, masz rację — odpowiedział z szacunkiem Folko. — Ponieważ rzeczywiście jestem hobbitem z Hobbitanii, a zwą mnie Brandybuck. — Palce Starego Enta drgnęły na dźwięk tego nazwiska. — Jestem Folko Brandybuck, syn Hemfasta. A to moi przyjaciele, krasnoludy Torin i Strori, rodem z Gór Księżycowych. Co do ich toporów, odpowiem ci słowami, które niegdyś wypowiedział elf imieniem Legolas: ich topory nie są na drzewa, tylko na orcze szyje, i zrąbały ich niemało, gdy wędrowaliśmy przez podziemia, które zajęli orkowie!

— No cóż — zadudnił Drzewobród, podchodząc do Folka. — Widzę, że wiesz dużo o sprawach z dni tak niedawnych jeszcze dla mnie i pewnie bardzo odległych dla twych współplemieńców. To dobrze, bardzo dobrze, Folko. Były czasy, kiedy ci, których znałem jako bardzo młodych, Peregrin i Meriadok, często odwiedzali mój Las, i świetnieśmy sobie rozmawiali o odległych krajach i dziwnych wyda-

rzeniach. Ach, ile mieliśmy marzeń! Ale czas jest nieubłagany dla takich jak ty. — Stary Ent westchnął. — Nastął dzień, kiedy otrzymałem wiadomość, że obaj moi przyjaciele odeszli za Morze i ciała ich są pogrzebane w wielkim mieście ludzi, daleko na wschodzie od naszych lasów. I potem hobbiti przestali przychodzić do rubieży Fangornu. Ale zawsze wierzyłem, że przyjdzie czas i ktoś z nich, tak kochanych przez entów, znowu odwiedzi nasze dziedziny. Ten dzień nadszedł i jestem rad, bardzo rad, i z twojej obecności, i z twoich przyjaciół, skoro ręczysz za nich. . .

Krasnoludy szybko pokłoniły się.

— Bądźcie moimi gośćmi! Pokażę wam nowe zadrzewienia, młode górskie lasy, dziś szumiące tam, gdzie kiedyś były bezpłodne pustkowia. A wy opowiecie mi o wszystkim, co dzieje się na świecie. Lubię świeże wieści! Szczególnie gdy nie są zasmucające.

— A dlaczego uważasz, że nie będą zasmucające? — zainteresował się Folko.

— A dlaczego nie miałbym? — roześmiał się Drzewobród. — Nie tak dawno rzeczywiście były ponure i groźne, kiedy Czarny Władca zamierzał skończyć ze wszystkimi lasami i na wieki zatruć wolne ziemie. Ale zginął, zginął na zawsze, podobnie jak zginął zdrajca Saruman. Nie ma więcej orków w Isengardzie, nie ma ich toporów! Nikt więcej nie podnosi ręki na moje lasy, entowie zajęci są pielęgnowaniem nowych sadzonek. Gdyby elfy nie porzuciły tego świata, powiedziałbym, że entowi nic więcej do szczęścia nie jest potrzebne, chyba poza utraconymi żonami. Słyszałeś jednak o naszym nieszczęściu?

Stary Ent westchnął.

— Czytałem o nim, słyszałem — rzekł Folko ze współczuciem. — Nie udało się ich znaleźć?

— Niestety nie — westchnął znów Stary Ent. — Kiedyś istniała przepowiednia, że znajdziemy je dopiero wtedy, gdy i one, i my stracimy wszystko, co mamy. W czasie ostatniej wojny, kiedy spotkałem twoich młodych współplemieńców, wydawało mi się, że ów zapowiedziany czas lada chwila nastąpi, ale ludzie i elfy zwyciężyli. Sauron został pokonany, nasze lasy pozostały nietknięte i . . . prorocstwo się nie spełniło. Tak sobie więc żyjemy od tego czasu, w ciągłym trudzie znajdując lekarstwo na tęsknotę po zaginionych żonach. . . Ale dość o tym. Huum! Co to ja. . . ? Nie inaczej, jak znowu zaczynam się spieszyć, jak tego pamiętnego dnia — Drzewobród uśmiechnął się — gdy dodaliśmy nowe wiersze do Starych Podań. Ale teraz wasza kolej opowiadać. Co się dzieje dokoła? Co was tu sprowadziło? Hobbit i krasnoludy to dziwne towarzystwo.

Folko chciał zapytać Starego Enta, jak doszło do sporu z mieszkańcami Rohanu, ale rozmyślił się. Wraz z Torinem, przerywając sobie raz po raz, opowiedzieli o wszystkim, co wydarzyło się w ciągu niemal całego roku ich wędrówek. Starzec słuchał bardzo uważnie; w pierwszej kolejności chciał, żeby Folko przekazał

mu nowiny z Hobbitanii, dopiero potem zaczęli rozmawiać o spotkaniu hobbita i krasnoluda pewnej mglistej nocy na leśnej drodze. . .

Folko najpierw z ciekawości, potem raczej z niepokojem, obserwował zmianę wyrazu oczu Drzewobroda. Wydawało się, że zastępowały one całą mimikę jego nieruchomej twarzy. Oczy, niczym głębokie studnie, prowadziły w głąb jego zamysłów, których odgadnąć nie mógł, rzecz jasna, nikt ze Śmiertelnych. Ale za to Folko wyczuwał bardzo dobrze nastrój enta.

Drzewobród, najpierw życzliwie i z przyjemnością słuchający opowieści hobbita o wydarzeniach w jego ojczyźnie, które samemu Folkowi wydawały się teraz odległe i zupełnie nieważne, odrobinę zaniepokoił się na wieść o ożywających Mogilnikach, o ludziach służących dawno pogrzebanym złym siłom, ale dla enta wydarzyło się to niewyobrażalnie daleko od jego kochanych lasów i niczym nie mogło mu grozić.

Przyjaciele opowiedzieli również o swym życiu w Annuminas. Stary Ent słuchał wszystkiego z nieskrywanym zainteresowaniem, choć trochę jak o czymś mu obcym: przecież nie pochwalał miast. Zaniepokoił się, gdy hobbit wspomniał o Hraudunie i jego usiłowaniach, mających na celu skłócenie sąsiadujących ze sobą arnorskich wsi. To mu coś przypomniało, bo nawet ze złością coś mruknął, nagle błysnął niespokojnie oczami i zaczął szczegółowo wypytywać przyjaciół o wszystko, co wiedzieli o Hraudunie. W końcu, zadowolony z ich opowieści, wolno pochylił głowę i pogrążył się w rozmyślaniach.

— Humm-hom, hoom-kum, homum hom hum. . . — doleciało do przyjaciół jego zatroskane pomrukiwanie. — Ale nie należy się spieszyć. Posłuchamy, co było dalej! Opowiadajcie!

Opowiadali więc. Słońce już zachodziło, a przyjaciele wciąż opowiadali i opowiadali; o Rogwoldzie, o Namiestniku, o Starym Kronikarzu, o Olmerze. Drzewobród słuchał uważnie, ale wszystko to były sprawy ludzi, które mało go dotyczyły. Ożywił się dopiero, gdy zaczęli opowiadać o Ostatniej Wyprawie i o sojuszu Angmarczyków z orkami.

— Znowu ci burarum! — ryknął ent gniewnie, nisko. — Pojawiali się obok naszego Lasu. Chcieli przedostać się do Isengardu, ale nic z tego nie wyszło! Hurornowie znają się na rzeczy. Ale to znaczy, że plugastwo nie tylko tu podnosi głowę! — Oczy enta błysnęły gniewem. — Cóż, pora ludziom znowu wziąć się do roboty. — Wydając z siebie aprobujący pomruk, wysłuchał opowieści o wędrówce drużyny krasnoludów i tropicieli do Morii, o walce w Szarym Żlebie. — Huum, dawno czuliśmy, że w Morii dzieje się coś niespotykanego od czasów Pierwszych Dni — rzekł zamyślony. — Jednakże mogą sobie przypomnieć czasy, gdy siły, podobne do rozbudzonych pod górami, panowały nad całym wnętrzem. . . To są straszne siły. . . Korzenie i sęki! Straszne! I śmiertelnie wrogie lasom. Nasze szczęście, że nie wyłażą na powierzchnię.

— Ale kto nimi rządzi? — zapytał ochryple Torin.

— Kiedy świat był młody, rozkazywał im ten, który władał Kurtyną Mroku, kto walczył z elfami i ludźmi — odpowiedział poważnie ent. — Ileż wtedy lasów poszło na marne! A komu one podporządkowują się teraz, nie pytajcie mnie.

— A komu? — zapytał Torin, ocierając pot.

Stary ent uśmiechnął się.

— Dawno już odeszli, odeszli za Morze ci, co mogli wam odpowiedzieć — powiedział cicho. — Niemal nie ma już w Śródziemiu elfów, a bez ich Wiedzy podnosi głowę Mrok. Byli w naszych krajach również magowie, i niektórzy znali się na drzewach, troszczyli o nie, na przykład Gandalf. Ale oni też odeszli... Pozostał więc tylko jeden, który wie WSZYSTKO. Zapomnieliście o gospodarzu Starego Lasu, co to leży zaraz przy twojej ojczyźnie, Folko. Elfy nazywały go Iarwainem, a ja nazwę go tak, jak nazywamy go my, entowie — Sillorin; to jest, oczywiście, skrót. Zapytajcie go! On widział WSZYSTKO!

— Bombadil? — zdziwił się Folko. — Ale przecież jego nie obchodzą sprawy tego świata, zamknął się w swoich granicach, nigdy do niczego się nie miesza. Tak zapisali ci, co go widzieli w trakcie Ostatniej Wojny, mój pradziad, na przykład! Nad Tomem Bombadilem Pierścień Wroga nie miał władzy, ale Tom nie mógł chronić przed nim innych, i w ogóle nie rozumiał, po co pierścień istnieje. Tak mówił sam Gandalf.

— Nie wiem — pokiwał głową Drzewobród. — Możliwe, że on nie ma siły, by pomóc, ale dać radę i nauczyć może na pewno. On powinien wiedzieć, jak można walczyć z siłami Ungolianty!

— Schwytny przez nas ork coś bełkotał o jakimś „Panu” — ciągnął Torin. — O tym, że to będzie ostatni bój... Właściwie po to przyszliśmy do Isengardu, żeby zobaczyć, czy nie ma tu jakichś jego śladów.

— W Isengardzie? Huum, aleś mnie rozśmieszył! Nikt nie może przedostać się tam, nikt! O to szczególnie prosił nas sam Wielki Król Aragorn, kiedy odwiedził nasz Las po raz ostatni, zupełnie niedawno; ale dla was, oczywiście, bardzo, bardzo dawno, ponieważ liście zdążyły zmienić się dwie, trzy setki razy.

— Król Elessar prosił cię, żebyś nie wpuszczał nikogo do Isengardu? — zapytał zdziwiony Folko. — Ale dlaczego?

— Huum-hom, huum, przyznam, że i ja nie wiem. — Stary Ent rozłożył ręce. — Po prostu poprosił mnie o to ze względu na starą przyjaźń, powiedział, że ta Wieża może być niebezpieczna, jeśli przedostanie się do niej człowiek niemający wiedzy o tych ich magicznych sztuczkach... Nic więcej nie dodał, a ja, przyznam, nie rozpytywałem wielkiego władcy ludzi. Entowie wzmogli straż wokół ruin i teraz żadna żywa istota nie przedostanie się do Wieży!

Hobbit i krasnoludy wymienili spojrzenia.

— Czy to znaczy, że i my nie możemy na nią popatrzeć? — sapnął Folko. — A mieliśmy taką nadzieję, przeszliśmy tyle mil, walczyliśmy z jeźdźcami wilków...

Gdyby Drzewobród potrafił, pewnie by się nachmurzył, przemknęło przez myśl hobbitowi, gdy obserwował zmianę wyrazu oczu Starego Enta: ciepła ubyło, wydawał się niemile zaskoczony.

— Obiecałem Królowi Arnoru i Gondoru... — zaczął.

— Poczekaj, czcigodny Drzewobrodzie! — przerwał mu nagle Folko. — Obiecałeś nie wpuszczać do Wieży poddanych Korony, czy nie tak?

Stary Ent bez pośpiechu skłonił głowę.

— Ale krasnoludy nie są poddanymi Króla Ludzi — zauważył hobbit. — A moi współplemieńcy kierują się swoim rozumem, nie podporządkowując się nikomu! Wielki Król wydał nawet edykt, zakazujący wszystkim, nawet samemu królowi, przekraczania granicy Hobbitanii. Tak więc nie złamiesz danego słowa, czcigodny Drzewobrodzie, jeśli puścisz nas do Wieży!

— O tym nie pomyślałem — powiedział zdziwiony Stary Ent. — Ale skoro tak, huum, wymagacie ode mnie zbyt pospiesznych decyzji!

— To bardzo ważne, żebyśmy zerknęli na nią! — wciąż namawiał władcę Lasu Folko. — Bardzo nas niepokoi ten tajemniczy „Pan”, o którym dowiedzieliśmy się od orków, służących zdrajcy Sarumanowi. Teraz podporządkowali się oni nowemu władcy. Czyżby ten nie próbował położyć łapy na spuściźnie Sarumana? Czyżby nie zostawił tu gdzieś swoich śladów?

— Ci obrzydliwi orkowie, po prawdzie, usiłowali przedostać się do Wieży, mówiłem wam — oświadczył Drzewobród z rosnącym niepokojem. — Prawdę mówiąc, w ciągu ostatnich miesięcy znacznie więcej ich tu łązi niż rok temu! Aha, byłbym zapomniał! Niedawno ktoś podkopywał się pod górami. Kopał, kopał, ale bez skutku — ziemia ma tam same kości. Tak, było to zupełnie niedawno — powtórzył, ze zdziwieniem klepiąc się rękami po bokach. — Jak mogłem zapomnieć?

— Musimy zobaczyć Orthank! — oświadczył hobbit błagalnie. — Kiedy to było, to „zupełnie niedawno”, twoim zdaniem? Tydzień temu? Miesiąc? Rok? Musimy koniecznie to zobaczyć!

— Jeśli ktoś robił podkop pod twoje włości, Drzewobrodzie, władco Fangorskiego Lasu — rzekł z ponurą determinacją Torin — my znajdziemy to miejsce, potrafimy to zrobić, my, górskie krasnoludy. Nikt poza nami tego nie dokona.

— Podkop? — zagrział Drzewobród nagle. — Podkop? Ach, stary i spróchniały ze mnie pień! Idziemy! Chodźmy szybciej! Zresztą — nieco ochłonał — nie należy tak się spieszyć. Co się tyczy tego, kiedy to było, naprawdę nie wiem. My mamy swój kalendarz. Mogę powiedzieć tylko, że po tym, jak rozwinęły się liście, które teraz widzicie na gałęziach. Musicie odpocząć. Zaraz przyniosę wam naszego napoju, z najczystszych górskich źródeł.

Odwrócił się do skały i zaprosił przyjaciół do zastępującej stół kamiennej płyty, na której stały cztery również kamienne czary, jedna bardzo duża i trzy mniej-

sze. Drzewobród nappełnił je z trzech różnych dzbanów, mieniących się delikatnym światłem — jeden złocistym, drugi różowawym i trzeci szmaragdowozielonym.

— Złocisty dla mnie — oświadczył Drzewobród cicho. — To napój wieku starczego, dla tego, kto wiele widział i wiele przeżył, kolor jesiennych liści. Róż jest barwą dojrzałości, doda wam sił, czcigodne krasnoludy, i pomoże bystrzej patrzeć na świat. Napój zielony, czyli w kolorze młodości, to dla Folka; on, jak i jego zapamiętani przez wszystkich entów współplemieńcy, koniecznie powinni podrosnąć!

Westchnął i uniósł czarę. Pozostali chwycili za swoje. Drżący z podniecenia hobbit skosztował gęstego płynu; napój miał delikatny, cierpki zapach rozkwitających pąków i świeżej ziemi. Od tego aromatu zakręciło mu się w głowie i zrobiło lżej na duszy, jakby nie było długiego roku ciężkich prób i gorzkich rozczarowań. Folko osuszył swoją czarę wolno, rozkoszując się każdym łykiem osobliwego napoju, i gdy opuścił ją, zobaczył, jak pojaśniały twarze przyjaciół, a rozochocony Malec już chciał dolewać.

— Nie, nie! — powstrzymał go Drzewobród. — Nie wolno tego pić zbyt dużo. Jednej czary wystarczy ci na długo... Na bardzo długo. — Nieoczekiwanie uśmiechnął się smutno. — Jak wam smakowało? — Przyjaciele wszyscy razem dziękowali Staremu Entowi. — Bardzom rad, bardzo — Drzewobród uśmiechnął się ponownie. — Jeśli chcecie odpocząć, śpijcie, tu u mnie jest cicho i spokojnie.

— Nie — powiedział Torin, rzuciwszy okiem na niebo. — Czuję się, jakbym nie wędrował przez ostatni miesiąc! — Może chodźmy do Orthanku od razu, teraz?

Drzewobród zgodził się chętnie, posadził hobbita na łokciu swej potężnej ręki i pomaszzerowali na północ wzdłuż skraju gór, zielonym korytarzem, pospiesznie otwierającym się przed nimi w Lesie. Starzec szedł powoli, dostosowując swój krok do tempa krasnoludów. Folko zaczął ostrożnie wypytywać go o powód kłótni Lasu z ludźmi Rohanu.

— A tam! — machnął ręką ent. — Oni mają swoją drogę, i nie mam im tego za złe. Ale nie pozwolę, żeby ktokolwiek dotykał mojego Lasu! Oni patrzą na drzewa tylko jak na pożywienie dla ognisk i pieców, w najlepszym wypadku jak na materiał do budowy domostw. Oni nie rozumieją, że jest inaczej, i włączają tu ze swoimi toporami, niczym orkowie, których biliśmy podczas Wielkiej Wojny!... A tu ci jeszcze władca Kraju Koni, nie ten, rzecz jasna, nie dobry Theoden — Drzewobród westchnął — postanowił, że będzie władcą nie tylko swoich stepów, ale i gór, i od razu polazł do Isengardu. — On jest człowiekiem, i mimo że jest królem, poddanym Wielkiej Korony Zachodu — w oczach Drzewobroda na mgnienie oka pojawił się słabiutki uśmieszek — nie puściłem ani jego ludzi, ani jego samego. Głupcy, zaczęli robić świństwa mnie i innym entom, próbowali przedostać się do twierdzy niepostrzeżenie!... I teraz ludzie nie zapominają cisnąć pochodnią w krzaki, jeśli nie czują się bezpieczni. Niektórych huornowie zabili. — W gło-

sie enta pojawiło się szczere współczucie, ale też twardość i pewność. — Tak, niektórych zabiliśmy, i od tej chwili zaczęli się bać Lasu. Niewielu odważy się przekroczyć granicę, a my ich po prostu nie wpuszczamy w głąb. A bywają też tacy, którzy niosą ze sobą ogień! W takich wypadkach już się nie zastanawiamy! Śmierć podpalaczom! — Drzewobród wydał z siebie niski, groźny ryk. — Niedgdyś poczciwy Gandalf powiedział mi, żebym nawet o tym nie marzył, iż kiedyś lasy ogarną całą Ziemię i zduszą pozostałe wolne istoty, ale, szczerze mówiąc, czasami chciałbym, żeby nasze lasy ciągnęły się do samych gór Ered Nimrais!

Folko chciał jeszcze porozmawiać ze Starym Entem, ale drzewa nieoczekiwanie rozstały się i cała grupa znalazła się na skraju dużej polany, otoczonej w trzech czwartych gęstym lasem, a w jednej czwartej opierającej się o zbocza nieprzystępnych szarych skał. Na wprost widniał Isengard. Dostrzegli wysoką Wieżę Orthanku, samotnie stojącą pośród spokojnego i czystego leśnego jeziora, które powstało z woli entów od razu po zdobyciu twierdzy Sarumana. W porównaniu z tym, co widzieli bohaterowie Czerwonej Księgi, którzy skręcili do Isengardu w drodze na Zachód, zmieniło się tylko jedno: nad jeziorem zbudowano solidny kamienny most, wąski i długi, prowadzący wprost do Wieży.

Ale mimo wszystkich wysiłków entów czuło się w tym miejscu coś niedobrego, jakby cienie byłego Zła jeszcze odwiedzały swoją starą przystań. Cały problem tkwił, rzecz jasna, w Wieży. Jak czarny kolos, wznoszący się w górę potężnymi przyporami, pogardliwie patrzyła na świat dziesiątkami przymrużonych oczu strzelnic; jej głowę wieńczyło, niczym korona, dwanaście ostrych kamiennych rogów. Cały Orthank jak dawniej emitował siłę i potęgę, których nie osiągną Śmiertelni.

Nawet powietrze wydawało się inne. Pod koronami drzew chwilami było duszno, ale aromat życia, szczerze rozlany po całym lesie, tu został zamieniony na zapach śmierci, hobbit gotów był przysiąc, że czuje zapach rozkładu, czegoś gnijącego. Zerknął na Drzewobroda i zauważył na obliczu Starego Enta grymas obrzydzenia.

— Huum! — powiedział tamten, marszcząc się. — Idziemy szukać podkopu? W takim razie zawołam jeszcze kogoś.

Podniósł do ust złożone w konchę dłonie i dał sygnał — ni to krzyknął, ni to zaśpiewał coś melodyjnego. Hobbit jak zaczarowany wpatrywał się w Wieżę, krasnoludy natomiast rozglądały się, wymieniały krótkie uwagi, jakby zupełnie na nich nie działał przygnębiający widok tego miejsca, na pierwszy rzut oka tak spokojnego i pięknego. Po jakimś czasie z gęstwiny wynurzyło się kilku entów i zamarło, wpatrując się w gości. Drzewobród zaczął mówić w swoim języku, popłynął strumień przeciągłych, melodyjnych dźwięków, chociaż Stary Ent, wydawało się, tylko mruczy coś pod nosem. Jednocześnie takim samym mamrotaniem odpowiedzieli mu entowie. Pamiętając o Czerwonej Księdze i słynnej powolności mowy entów, Folko westchnął i przygotował się do długich pertraktacji, ale

wszystko skończyło się nadszpiewaniem szybko. Entowie długimi krokami zbliżyli się do nich i wszyscy razem ruszyli w stronę jeziora.

Hobbit wpatrywał się w okolicę ze szczególną uwagą; wyglądało na to, że entowie natrudzili się, lecz osiągnęli wspaniałe wyniki — nie dało się wyróżnić nawet śladów jakichkolwiek budynków czy wejść do podziemi. Drzewobród maszerował w milczeniu, pogrążony w jakichś niewesołych rozmyśleniach, ostrożnie stąpając między krzewami. Krasnoludy podążały za nim. Wkrótce znaleźli się przy czarnej, błyszczącej jak po deszczu podstawie Orthanku. Na nieprawdopodobnie gładkiej powierzchni Folko zobaczył mnóstwo niewielkich, ledwie widocznych uszkodzeń gładzi. Otworzył usta, chcąc o nie zapytać, ale Stary Ent odezwał się pierwszy:

— Oto Orthank — westchnął i ostrożnie opuścił hobbita na kamienie. — Myśmy chcieli zetrzeć go z oblicza ziemi, przemielić na pył, jak i całą resztę tej przeklętej twierdzy! Widzisz te ślady, Folko? To wszystko, co mogliśmy z nią zrobić.

— Owszem, czytałem, że jest w niej zaklęty jakiś czar, starszy i mocniejszy od Sarumanowego — odezwał się hobbit, odruchowo ścisząc głos, obrzucając Wieżę spojrzeniem. Orthank wcale się nie zmienił; te same na głucho zamknięte żelazne drzwi, te same dwadzieścia siedem stopni prowadzących do góry, wyciętych w skale w niewiadomy sposób przez nieznaną budowniczych.

Nad drzwiami Folko zobaczył balkon z wykrzywioną żelazną poręczą. Okno i jednocześnie drzwi nad balkonem były zamknięte.

— Powiedz, proszę, czy przez trzysta lat nikt nie wchodził do środka? — cichutko zapytał hobbit Starego Enta, który z ponurą miną przypatrywał się budowli niepoddającej się władzy jego narodu.

— Ostatni był tam Wielki Król Aragorn — odpowiedział Drzewobród. — A potem już nikt. On też wszedł do wieży sam, zostawiwszy całą ochronę na dole. Ja też nie wchodziłem, nie mam co tam robić. Tak więc, przyjaciele — odwrócił się do krasnoludów — chyba pora zacząć?

Torin i Malec powoli zdjęli z ramion swoje wory, spuścili głowy i wpatrując się pod nogi, ruszyli dokoła jeziora. Obeszli je raz, drugi, trzeci... Zaniepokojony Folko szybko oddychał. Drzewobród natomiast w żaden sposób nie zdradzał swoich emocji. W końcu krasnoludy zatrzymały się. Torin wolno uniósł głowę, rozłożył ręce i kiwał się na boki, ostrożnie przesuając się małymi kroczkami; Malec przysiadł na piętach i też usiłował wychwycić jakiś dźwięk, który słyszał może tylko on sam. Nagle Torin westchnął z ulgą i otworzył mocno zaciśnięte powieki.

— Tutaj! — Tknął palcem pod nogi. — Tu jest podkop!

Wskazane miejsce znajdowało się po przeciwnej stronie wejścia do Orthanku. Drzewobród dał entom znak i jego towarzysze, którzy do tej pory obserwowali wszystko w milczeniu, wzięli się do pracy. Teraz wreszcie hobbit miał okazję zo-

baczyć, jak entowie radzą sobie z niezdobytymi murami twierdz. Palce ich stóp jakby oddzieliły się od właścicieli i zaczęły żyć własnym życiem — rozgałęziały się; cienkie, ale niezwykle mocne kielki przenikały we wszystkie szczeliny między kamieniami, a na dodatek entowie zaczęli odgrzebywać kamienie swoimi ogromnymi stopami. Po chwili dziura miała już ze dwanaście stóp głębokości i dwa razy więcej szerokości. Entowie stanęli nad ukrytą do tej chwili pod warstwą kamiennych odłamków ziemią i natychmiast zaczęli ryć dalej, ale teraz poruszali się wolniej i ostrożniej. Minęło jakieś pół godziny, gdy z dziury rozległ się triumfujący głos jednego z kopaczy:

— Fangornie, znaleźliśmy! — Ent korzystał ze Wspólnej Mowy.

— No, to teraz wasza kolej. — Stary Ent odwrócił się do krasnoludów.

Torin, nie odzywając się, wyjął z worka motek linki, owinął się nią i podał koniec Drzewobrodowi. Poprawił hełm i kolczugę, poprawił topór przy pasie i zniknął za garbem wykopanej ziemi. Minutę później podążył za nim Malec, a potem Folko. Entowie tymczasem wyszli z wykopu.

Hobbit znalazł się na dnie dużego wykopu o głębokości jakichś dziesięciu stóp. Przyjaciele stali na kamiennej podłodze, wyłożonej sześciokątnymi płytami, mając przed sobą z jednej strony czarną ścianę zaokrąglonej podstawy wieży, osadzonej głęboko w ziemi, z drugiej strony — niskie wąskie przejście, pospiesznie wykopane od zachodu, od podstawy skał. Dokoła fundamentu Orthanku prowadziła galeria, na którą trafili wykonawcy podkopu.

— Obejdźmy dokoła — zaproponował Torin.

Ruszyli w prawo. Światło przestało docierać do tunelu, gdy tylko skręcił; dobrze, że Malec miał niewielką pochodnię, która została w worku jeszcze z moriańskich czasów. W regularnych odstępach do okrągłej galerii dołączały inne korytarze, prowadzące w różnych kierunkach; przyjaciele wkroczyli w jeden z nich, ale od razu trafili na zwały zawalonej od góry ziemi. Wszystkie Sarumanowe galerie były zamknięte na głucho. Wyrity przez nie wiadomo kogo podkop był jedynym otworem.

Po przejściu stu kroków nieoczekiwanie trafili na niskie drzwi w czarnej i gładkiej ścianie z lewej strony. Zatrzymali się zdumieni; drzwi nosiły ślady uderzeń, metal skrzydeł był w kilku miejscach wygięty. Próbowali ocenić uszkodzenia.

— To ślady uderzeń kilofów — stwierdził Torin. — Ktoś próbował wyłamać drzwi, to jasne jak słońce! Ale one wytrzymają nawet taran, jest w nich sporo mithrilu!

— No, co najmniej jedna trzecia — skinął głową Malec. — Ale kto mi wyjaśni, co oznacza ten znak?

Malec przysunął do drzwi pochodnię i Folko zobaczył dziwny rysunek na matowo połyskujących szarych skrzydłach drzwi: trzy płonące strzały wynurzały się z kipieli fal, podążając ku usypanemu gwiazdami niebu. Przyjrząwszy się, hob-

bit zauważył pośród bezładnie na pierwszy rzut oka rozsypanych gwiazd kontury znajomych gwiazdozbiorów, tylko nieco przesuniętych — Remmirat, Gwiezdna Sieć, były ledwo widoczne nad horyzontem, natomiast niebieski Miecznik, przeciwnie, stał niemal w zenicie.

— To niebo Numenoru — odezwał się niespodziewanie hobbit, z czcią dotykając drzwi koniuszkami palców. — Teraz rozumiem. Moi przyjaciele, tej twierdzy nie wzniesli rycerze z Zamorza. To jest robota Numenorejczyków, prawdziwych Numenorejczyków z czasów rozkwitu ich państwa. To Drugi Wiek!...

- A co znaczą te trzy strzały? — zapytał Malec szeptem. - Folko wzruszył ramionami. Za jego plecami Torin przestąpił z nogi na nogę:

— Ktokolwiek zbudował to wszystko, ważne jest, że ktoś tu usiłował grzebać i to zupełnie niedawno, jakieś półtora, dwa miesiące temu. Ale kim był ten „Pan”, którego śladów szukamy? — W głosie krasnoluda brzmiała niepewność. — Jak się tego dowiedzieć?

W milczeniu ruszyli dalej. Wkrótce, zamknąwszy koło, wrócili do wyłomu w dachu galerii i Malec zaczął już wspinać się w górę, ale Folko niespodziewanie zaproponował ponowne obejrzenie drzwi. Nikłe przeczucie, już nie raz przepowiadające ważne dla przyjaciół wydarzenia, pojawiło się znowu. Coś było w tej galerii, coś bardzo ważnego, co ominęli, pochłonięci poszukiwaniami czegoś zupełnie innego.

Malec burczał, ale Torin zgodził się z hobbitem, i wkrótce ponownie stanęli przed drzwiami nie do wyważenia, zamykającymi drogę do tajemnicy Orthanku. Folko wolno przyklęknął, uważnie wpatrując się w rysunek. Drzwi nie miały żadnych śladów zewnętrznego czy wewnętrznego zamka, nie widać było żadnych skobli, dziurek do kluczy i temu podobnych. Obracały się na wciętych w czarny kamień zawiasach, zamykały szczelnie, bez najmniejszych szpar. Folko ostrożnie usiłował wsunąć ostrze swojego cudownego sztyletu między skrzydło i kamień, ale szczelina po prostu nie istniała, a sam sztylet, jak się wydawało, stracił w tym miejscu swoje cudowne właściwości i leżał w jego dłoni niczym obojętny, zimny kawał metalu. Schowawszy go, przylgnął do drzwi czołem i natychmiast wychwytił jakiś dźwięk, dochodzący zza drzwi. Pospieszenie przyłożył ucho i aż podskoczył wystraszony; za drzwiami wyraźnie rozbrzmiewał ludzki głos.

Widząc jego przestraszony, krasnoludy chwyciły za broń, ale Folko tylko popchnął ich do drzwi, syknąwszy: „Słuchajcie!”.

Nasłuchiwali. W pierwszej chwili z trudnością powstrzymali krzyk, a w następnej wszyscy trzej przywarli do drzwi, usiłując zrozumieć słowa. Hobbit gotów był z pięściami rzucić się na entów; pniaki kudłatobrode, gdzie wasza czujność! Wróg przedostał się za niezniszczalne ściany, i co teraz można mu zrobić?!

Słowa były bardzo słabo słyszalne, ale udało mu się zrozumieć niektóre z nich. Wymawiający je głos brzmiał delikatnie, przymilnie i — może dlatego — jeszcze bardziej niezrozumiałe.

— Od siedmiu gwiazd ścieżką kwiatostanu. . . — Dalej niewyraźne mamrotanie. — . . . wróć, gdy spełnisz obietnicę. . . znajdź, zaklinam cię w imię Jedyne! — Znowu kilka złączonych i niezrozumiałych słów. — O świcie weź rosę z kwiatów nelbali, odmierz dziewięć sążni i wetknij. . .

Słuchali jeszcze długo, ale już nic nie potrafili zrozumieć z tych mętnych, splątanych fragmentów. Głos albo wieszczył o oddziałach jakichś mieczników, albo mówił o korze czarnego drzewa nur-nur, lecz ani hobbit, ani krasnoludy nie słyszeli o takich oddziałach ani o takim drzewie; mówił też o łabędzich okrętach, które miały dotrzeć do jakiegoś miejsca. . . Folko oblewał się potem, usiłując zrozumieć, co się dzieje za drzwiami, i dopiero gdy poczuł, że w głowie już mu się miesza, zaniechał bezowocnego podsłuchiwania.

— Nie odgadniemy tego — przyznał ochrypłym szeptem Torin. — To jakaś tajemnica Wieży. Nikt żywy tak nie mówi. . . Dlatego, żeby nie marnować czasu i sił, zajmijmy się tym, co mamy. Jest korytarz, zrobiony nie wiadomo przez kogo. Sprawdźmy, skąd prowadzi.

Krasnoludy z wielkim trudem oderwały hobbita od drzwi.

Przy wyrwie zawołał ich zaniepokojony Drzewobród. Torin krzyknął doń, że idą tunelem, poprosił entów, by zaczekali na nich, a jeśli długo nie będą wracać, by rozerwali tunel i szli za nimi.

Podziemny korytarz był wykopany pospiesznie, bez szalowań, niski strop groził w każdej chwili zawaleniem. Przemierzali wolno korytarz, uważnie oglądając pozostawione na podłodze ślady, i zastanawiali się, kto tu gospodarzył. Widzieli na poły zasypane przez opadający z góry piasek ślady dużych stóp, wielkich buciorów, które rozmiarem i konturem najbardziej pasowały do ludzkich, ale raz natrafili na szeroki ślad orkowego trepa. Od tego momentu Torin podwoił wysiłki.

Podkop ciągnął się długo, bardzo długo, aż w końcu wyprowadził ich do zwyczajnego parowu między dwiema wznoszącymi się ku niebu pionowymi skalnymi ścianami. W szczeliny wbite były prymitywnie wykute haki, z których zwisały kawałki sznura. Wątpliwości zniknęły: właśnie tutaj nieznajomi zeszli z gór i — nie zwracając uwagi entów — weszli pod ziemię. Na trawie pozostały ślady starego ogniska.

Przyjaciele przemierzali całą polanę na kolanach, wzdłuż i wszerz, po czym zmęczeni i ubrudzeni usiedli wypalić po fajeczce; wiedzieli na pewno, że byli tu zarówno ludzie, jak i orkowie, i to zaledwie dwa miesiące temu. Znaleźli strzępy ubrania, złamany nóż, młotek z pękniętym trzonkiem — przedmioty codziennego użytku i ludzi, i orków.

Wracali górą i wkrótce znowu znaleźli się pod Orthankiem. Drzewobród zarzucił ich pytaniami; opowiedzieli mu dokładnie o wszystkim, co widzieli. Stary Ent nachmurzył się.

— Zeszli ze skał. . . No cóż, drugi raz już im się to nie uda! Odwrócił się do pozostałych entów i coś wolno powiedział w swoim języku; najwyraźniej wydawał jakieś polecenia.

— Tu też pusto — rzucił z irytacją Torin, ponownie rozpalając fajkę. — Jak to rozumieć?! Był tu ów „Pan” czy tylko szperali jacyś zuchwalcy. . . Ja, oczywiście, sądzę, że to był on. No bo kto inny z ludzi pchałby się tutaj?

— Nie wiem, czy możesz mówić za wszystkich — zauważył Malec. — Folko, dlaczego milczysz?

Hobbit rzeczywiście rozmyślał o czymś, wpatrzony w ostre krawędzie i wąskie okna wieży Sarumana. Głos! Głos we wnętrzu. Co to może być? Kto zasiadł tam w środku, za niezniszczalnymi ścianami? Nagle chwycił Torina za rękę.

— Wejźmy do środka — zaproponował łamiącym się z przejęcia głosem.

Krasnoludy popatrzyły na niego szeroko otwartymi oczami.

— Czy ty masz dobrze w głowie, bracie? — zaczął nawet Torin, ale Folko mu przerwał:

— A głos? Czyżbyście zapomnieli o głosie w Wieży?! Co to za drzewo nur-nur? Co to jest ścieżka kwiatostanu i dokąd prowadzi? Kim jest ten Jedyny? Stoimy obok tajemnicy, której nie posiadał żaden Śmiertelny, ale czyż mamy w tym momencie tchórzliwie się odwrócić?! Musimy zaryzykować, musimy przedostać się do Orthanku!

— A drzwi przegryziemy własnymi zębami? — prychnął Malec. — Sam opowiadałeś, że w Orthanku Saruman był nie do ruszenia i nawet mógł przeciwstawić się Dziewięciu! No to może mi powiesz, jak zamierzasz się tam dostać?

— Przez okno! — natychmiast odpowiedział Folko. — Przez to, które jest nad balkonem. Trzeba trafić kotwą, ja się wespnę i zrzućę wam drabinkę sznurową.

— Chcesz wejść do Przekłętej Wieży? — zahuczał nad nimi głos Starego Enta. — Huum-hom, korzenie i sęki! Niebywała sprawa!

— Przecież nam pomożesz, Drzewobrodzie? — zwrócił się do niego Folko.

— W czym tylko będę mógł, ale właściwie w czym?

— Powiedz, czy wszystkie strzelnice Orthanku są zamknięte od wewnątrz?

— Huum, skąd mam wiedzieć? Ale powiem, że niektóre nie wytrzymały uderzeń kamieni, gdy weszliśmy do Isengardu i usiłowaliśmy rozwalić Orthank. Tak więc — uśmiechnął się chytrze — chyba będę mógł wam pomóc. Odejdźcie no!

Przyjaciele szybko się odsunęli. Drzewobród pochylił się, wybrał wśród leżących dokoła kamiennych głazów jeden, nie za duży, wielkości krasnoluda, przy mierzył, zważył go w dłoni, a potem jakoś się zgiął, z gwałtownym wydechem wyprostował, kamień świsnął w powietrzu i uderzył dokładnie w otwór okna. Zakurzyło się zeń, posypał drobny kamienny żwir. Rozległ się dźwięczny odgłos.

— To tyle — powiedział zadowolony Stary Ent. — Teraz można włązić.

— Zaryzykujmy, przyjaciele! — nawoływał Folko. — Sami sobie nigdy nie wybaczyacie, jeśli zmarnujecie taką okazję!

Torin i Malec popatrzyli na siebie. Przez chwilę jeszcze się wahali, ale potem mały krasnolud pierwszy machnął ręką i zaczął wyciągać ze swojego worka ostrą trójzębną kotwę i zwój mocnej liny.

— Teraz moja kolej — oświadczył głośno, mrużąc oczy i przepuszczając linę między palcami okaleczonej dłoni. Chwytał linę jakieś półtora sążnia powyżej kotwy, rozkręcił ją nad głową, aż zaczęła świstać, po chwili kotwa głośno uderzyła o kamień i trwale zaczepiła się o parapet okna. Dla pewności Malec szarpał linę, nawet uwiesił się na niej, ale kotwa trzymała mocno. Krasnolud odwrócił się do hobbita.

Folko przygryzł wargę. Jakoś odechciało mu się wspinaczki. Wieża zawisła nad nim całym swoim olbrzymim cielskiem, jakby groziła, że za chwilę runie i pogrzebie pod swoimi gruzami zuchwalców, którzy zakłócili jej odwieczny spokój. Obejrzał się na Drzewobroda. Ten zrozumiał spojrzenie po swojemu.

— Nie bój się — zadudnił. — Entowie staną pod oknem, więc w razie czego śmiało skacz w dół!

— Drzewobrodzie. . . A nie możemy wyłamać tych drzwi nad balkonem?

— Próbowaliśmy — odpowiedział z westchnieniem ent. — Mnóstwo razy, wspólnie. Ale nie dało się! Można wyłamać tylko górne okiennice, i tak wybrałem najniższe.

To „najniższe” okno znajdowało się jakieś trzydzieści sążni nad ich głowami; Folko zdziwił się, jak celne oko miał Malec; już za pierwszym razem dokładnie trafić kotwą!

— Dawaj worek! — Hobbit poczuł, że palce Torina mu pomagają. — Zostaw kolczugę, hełm i miecz. . . Nie wiadomo, co się może. . . Drabinkę przytroczyłem ci do pleców. Pamiętaj, nie rób nic, póki nie znajdziesz się wewnątrz! Stamtąd możesz rzucić drabinkę czy cokolwiek. Rozumiesz?

Wargi krasnoluda drgnęły, gdy pochyliwszy się, popatrzył w oczy Folkowi. Ten westchnął, zerknął na zgromadzonych pod ścianą entów, dostrzegł pokrzepiające spojrzenie Drzewobroda. W końcu poprawił miecz i chwycił linę w dłonie.

Wbrew pozorom wspinaczka nie była trudna. Krasnoludy mocno trzymały dolny koniec liny; entowie zamarli, podnosząc wielopalczaste dłonie, i hobbit poczuł przyływ odwagi. Przez rok trudów wędrówki jego mięśnie wyraźnie się wyrobiły i teraz wolno, bez szczególnego wysiłku, podciągał się w górę. Minał balkon, jedną, drugą, trzecią strzelnicę; interesowało go, jak skonstruowane są okiennice, ale lina nagle zaczęła się bujać i musiał skoncentrować się na wspinaczce.

Najtrudniej było wdrapać się na karnisz pod łukowym wykuszem strzelnicy; na dodatek hobbit bardzo się wystraszył, usłyszawszy niepokojący zgrzyt stalowych zębów na kamieniu; kotwa wolno, ale nieuchronnie się obsuwała. Zaciśnął zęby i pokonując ostry ból w przeciążonych mięśniach brzucha, podciągnął się i przewalił przez występ. Gdy tylko uchwycił się poszarpanej uderzeniem okien-

nicy, kotwa odczepiła się, i lina, wijąc się jak dziwaczna żmijka, poleciała w dół, pod nogi krasnoludów i entów.

— Wszystko w porządku! — krzyknął hobbit. — Okiennice są wybite, opuszczam drabinę! — Ostrożnie odpełził w głąb strzelnicy i przymocował koniec drabinki do grubego haka, na którym jeszcze przed chwilą wisały okiennice. Wkrótce z dołu dało się słyszeć sapanie, i Torin pierwszy wdrapał się na parapet, ledwie mieszcząc się w wąskiej ambrazurze. Potem wcisnął się do wewnątrz, a za nim wgramolił się Malec.

Stali w pustym, mrocznym pomieszczeniu z wysokimi drzwiami naprzeciw okna. Wokół unosił się pył, który grubą warstwą pokrywał podłogę. Na wszystkich ścianach kiedyś chyba znajdowały się płaskorzeźby, teraz zostały tylko szare prostokąty i ślady po kamieniarskich przecinakach; ktoś wyciął całe płyty. Popatrzyli do góry — sufit był czarny. Dokoła panowała martwa cisza, od której aż dzwoniło w uszach.

Torin ostrożnie podszedł do drzwi i nasłuchiwał. Po chwili dotknął klamki, a skrzydło drzwi poruszyło się i uchyliło. Zobaczyli słabo oświetlony korytarz. Wymieniwszy spojrzenia, przyjaciele wymknęli się z pokoju.

Głos uderzył w nich niespodziewanie, gdy tylko przekroczyli próg. Docierał jednocześnie ze wszystkich stron. To był delikatny i melodyjny głos, urzekający specyficzną niską tonacją, który po prostu zniewalał. Folko od razu przypomniał sobie opis ostatniej rozmowy Gandalfa z Sarumanem i sekret jego czarującego głosu.

— ...Nie, to nie tak, miły Renbarze — mówił głos. — Zdobędziesz to, o co prosisz, dokładniej — otrzymasz to, co od dawna się należało tobie, jesteś silny i mądry. Inni tracą bogactwo, które tylko ty będziesz mógł wykorzystać dla dobra i pożytku, nie od razu właściwie docenionego. . .

Głos nagle umilkł i po krótkiej chwili rozległ się ponownie, ale już nie był taki delikatny i przymilny. Teraz wydało się przyjaciołom, że dochodzi z dołu.

— Nie znalazłeś ścieżki? To wielka strata. . . Twoja strata, Meszdochu — perswadował surowy nauczyciel, zwracając się do niedbałego i leniwego ucznia. — Przecież pamiętasz warunki naszej umowy? — Ton głosu przypominał syk żmii. — I pamiętasz, co obiecałem, że z tobą zrob. . .

Ponownie nastąpiła cisza. Po chwili znów usłyszeli mówiącego, ale słowa były prawie niesłyszalne, i wypowiedane w obcym języku. Przyjaciele słuchali skonsternowani, usiłując opanować lęk.

— Kto to mówi, Folko? — zapytał Torin ochryłym ze zdenerwowania głosem.

Trzymał w pogotowiu topór i niespokojnie rozglądał się na boki.

— Mnie się wydaje, że to mówi sama Wieża — odpowiedział, zająkując się, Folko.

— A może ktoś tu siedzi? — rzucił Malec, najmniej, jak się wydawało, podatny na działanie magii. — Jeśli tak, to spróbujmy go wyciągnąć.

— Poczekajcie! — Folko uniósł rękę. — Tu nie ma nikogo, prócz nas... takich, co chodzą po ziemi...

W tym momencie głos rozległ się ponownie, brzmiał czysto i zdecydowanie. Pierwsze dźwięki spowodowały, że przyjaciele poczuli się zagrożeni; w desperackiej próbie obrony wystawili przed siebie klingi. Wydawało się, że wieża zdrząła od samego fundamentu; ten głos przepełniała ponura, ciemna i straszna siła, siła Wielkiej Władzy. Któż mógł mu się przeciwstawić? Później Folko nigdy nie mógł sobie przypomnieć, czy był to głos wysoki, czy niski, czy ktoś mówił wolno, czy szybko; słowa padały jak granitowe głazy, a słuchającemu zaczynało wirować przed oczami i stawał się całkowicie bezwolny. Hobbit wiedział, do kogo należy ten głos; wiedział, choć, oczywiście, nigdy jeszcze go nie słyszał, jak zresztą nikt spośród Śmiertelnych. Ze współcześnie żyjących chyba tylko Kirdan Szkutnik, Thranduil i może jeszcze Tom Bombadil słyszeli go, ale wtedy jego posiadacz jeszcze nie utracił ludzkiego oblicza.

— Tak więc, wasza Biała Rada — mówił ktoś ironicznym tonem — wasza Biała Rada postanowiła napaść na Dol Guldur? Nieźle! Postąpiłeś, jak należało, za co cię pochwalam. Namówiłeś Szarego, tego chwalipiętę, żeby przewodził tym, którzy chcą zrównać mój zamek z ziemią?

— Tak, o Potężny — przypochlebiał się znany już, miódopłynny głos. — Gandalf Szary osobiście wybiera się na wyprawę. — Dziwna sprawa, słowa brzmiały pokornie i uniżenie, a mimo to Folko wyczuwał w nich złośliwą satysfakcję, jakby nienawidzący swego pana sługa cieszył się, że może go oszołomić jakąś nieprzyjemną nowiną. — Ale wiedz, o Potężny, że idą z nim i Elrond z Rivendell, i Thranduil Leśny, i nawet sam Keleborn z Lorien! Zebrali niemałe siły...

— Niech idą! Skończymy ze wszystkimi jednocześnie...

Głosy urwały się niespodziewanie, podobnie jak poprzednio. Przez kilka chwil przyjaciele stali, nie mając sił, żeby się poruszyć, jakby ciężkie zagrobowe zaklęcie skłuło ich ciała. Głos milczał, w Wieży panowała nieznośna cisza.

Pierwszy otrząsnął się z odrętwienia Malec. Splunął z pogardą i siarczyście zaklął.

— Co tak stoicie?! — napadł na Torina i Folka. — Trzeba uciekać. Nogi mi się trzęsą! Jeśli ten Potężny znowu się odezwie, to ja chyba z okna wyskoczę ze strachu! Idziemy!

— Poczekaj, Mały — powstrzymał Torin przyjaciela. — Wydaje mi się, że Folko ma rację, rzeczywiście słyszymy głos Wieży, a dokładniej rzecz ujmując, te głosy, które niegdyś słyszała ona sama, słyszała i zapamiętała... Przecież to skarb, o jakim nawet się nam nie śniło! Teraz możemy dowiedzieć się wszystkiego, Mały. Rozumiesz, wszystkiego! Czego tylko zapagniemy! O podziemnych,

o magach, o elfach i o Dziewięciu, których się nie wspomina przed nocą, i o orkach, o trollach i... o wszystkim!

— Pewnie, dowiemy się... — uśmiechnął się krzywo hobbit. — Jeśli posiedzimy tu jeszcze jakieś tysiąc lat. Torinie, Wieża przecież gada, jak chce. Ile czasu trzeba będzie czekać, żeby sama powiedziała coś, co będziemy mogli zrozumieć i wykorzystać?

Torin skrzywił się.

— No dobrze, więc co proponujesz?

— Ciekaw jestem, czy Wieża zawsze gadała, czy to się dzieje za sprawą Sarumana? — rozmyślał na głos hobbit. — I czy właśnie nie z powodu jej zdolności Wielki Król zamknął wejście dla ludzi?

W tej chwili głos odezwał się ponownie. Porażeni strachem wędrowcy już rzucili się do ucieczki, gdy nagle usłyszeli mówiącego łagodnym przymilnym tonem:

— ... Ale co będzie, jeśli Baldor pójdzie Ścieżką Umarłych, o Potężny? Może stać się znacznie silniejszy, znacznie.

— Nie przejdzie. — W głosie Potężnego rozbrzmiała ironia, która wstrząsnęła hobbitem. — A jeśli nawet przejdzie... — Teraz Folko wyczuł jakby rezygnację i pogodzenie się z nieuniknionym... — Cóż, ten, który ją przejdzie, stanie się o wiele silniejszy i będzie mógł dużo zdziałać. Ale na próżno będzie się starał...

I znowu milczenie. Sekundy bez dźwięku. Hobbit, poddając się dziwnemu impulsowi nagle wyskoczył do przodu i piskliwym, łamiącym się głosem wrzasnął, potrząsając uniesionymi pięściami:

— Dlaczego na próżno? Dlaczego na próżno? Odpowiadaj, zaklinam cię w imię Jasnej Elbereth!

Wydawało się, że sklepienia starożytnej numenorskiej twierdzy zadrżały; dawno, bardzo dawno nie rozbrzmiewało tutaj to imię, ale kamienie poznały je i nowy głos, jakby wydobywający się spod ziemi, głos od dawna milczącego olbrzymia, wolno i wyraźnie wypowiadał słowa:

— Ścieżka Umarłych prowadzi tylko do Dróg Mroku. Przywołujący Śmierć przeciwko Życiu złamał zakaz Valarów...

Rozległo się głucho podziemne uderzenie i Wieża zamilkła.

Minęło trochę czasu, zanim głos Orthanku odezwał się ponownie. Najpierw przyjaciele słuchali z niesłabnącą uwagą, ale Wieża opowiadała o zupełnie niezrozumiałych dla nich sprawach. Jednakże hobbit usiłował zapisywać wszystko, co usłyszał, szczególnie starając się nie opuszczać niczego, co dotyczyło miejsca, gdzie zachowały się jakieś resztki starych, niepojętych — chyba — nawet dla Sarumana — mocy, lub rzeczy, które miały taką moc. Przesiedzieli w Wieży do samego wieczora, bez wypoczynku i bez jedzenia. Dwa razy z zewnątrz dochodził do nich gromowładny głos zaniepokojonego Starego Enta; Malec wysuwał głowę z okna i uspokajał go.

Kiedy zapadł zmierzch, krasnoludy niemal siłą wyprowadziły hobbita. Drzewobród spotkał ich na dole i był bardzo zdziwiony, wysłuchawszy opowieści przyjaciół.

— Huum-hom, korzenie i sęki! A to historia! — huczał, niosąc Folka do swojego przedgórskiego domu. — Jaka szkoda, że nie mogę tam wejść! Może udałoby mi się podsłuchać, gdzie mogę znaleźć Fimbrethil... Niebawem sprawa, korzenie i sęki!

Tę noc przyjaciele spędzili na pachnących trawiastych poduszkach w domu Starego Enta. Teraz dopiero hobbit zdał sobie sprawę, że zupełnie nie chce mu się jeść — czy to z emocji, czy tak działał cudowny napój...

Dowiedział się, że strzały wykonane z gałęzi drzewa nur-nur są niezastąpione w walce z nocnymi widmami Kriteriona; że wywar z orzechów drzewa nur-nur po-grąży w długotrwałym śnie każdego smoka, a kiedy następuje pora kwitnienia, do drzew nur-nur przybywają wodzowie Haradu — jedyny ślad wskazujący, gdzie może rosnąć owo drzewo — i wdychają jego aromat, bo jak powiadają, ich dusze i serca stają się twardsze od stali i granitu, dlatego Haradrimowie są tak odważni i wytrwali w boju. Usłyszał o straszliwych sekretach zadziwiających krajów na wschód od Mordoru, gdzie Czarny Władca ukrył część swojej niemożliwej do ogarnięcia wiedzy, jeszcze przed upadkiem Numenoru. Dowiedział się, że Orome Wielki, ostatni z Valarów, którzy ukazywali się w Śródziemiu Śmiertelnym, w czasie jednego ze swych polowań na Wielkim Zielonym Stepie przepowiedział, wskazując na odległy grzbiet Gór Mordoru: „Nastanie dzień, kiedy po świcie ponownie zgęstnieje wypluta przez Orodruinę mgła i Gromadzący Odłamki zakryje sobą światło...”. Usłyszał również, że Wielkie Schody rzeczywiście były kiedyś zbudowane; dowiedział się o Ungoliantce, o jej ciągnących się ku powierzchni wąskich czarnych tunelach, którymi podążają do naszego świata jej płody, podobne do pajęczycy Szeloby. Hobbit dowiedział się o strachu Sarumana przed Nienazwanym; o tym, że na wschodnich ziemiach można znaleźć domy dwóch nieznanych magów, towarzyszy Gandalfa, o których opowiedział hobbitowi Radagast. Saruman zamierzał je zająć, ale nie zdołał...

Rankiem, napiwszy się ze Starym Entem cudownego napoju, przyjaciele ponownie udali się do Orthanku. Po drodze Folko zapytał Drzewobroda, gdzie podziały się wyrabane przez kogoś mozaikowe płyty ze ścian, a ów prostodusznie odpowiedział mu, że Wielki Król po zwycięstwie przyjeżdżał tu dwukrotnie. Obszukał cały Orthank i wywiózł stamtąd mnóstwo rzeczy, między innymi kamienne mozaiki ze ścian.

Dokoła Wieży nic się nie zmieniło przez noc, bez przeszkód wdrapali się do okna i ponownie powitało ich niekończące się opowiadanie starożytnego kamienia, i ponownie przesiadzieli tam cały dzień. Kilka razy Wieża wspomniała o „ścieżce kwiatostanów”, o której mówiła już wczoraj; prawdopodobnie była to jakaś ścieżka, po której mógł przejść tylko ktoś silny duchem i czysty sercem. Pro-

wadziła do tajemniczego „Wysokiego Domu”, ale czym jest i gdzie się znajduje, tego już oczywiście się nie dowiedzieli.

Wieża opowiedziała o Magicznych Pierścieniach. Większość Pierścieni wykuli elfy w Drugiej Erze, włożyły w nie swoją wiedzę i moc, uważając, że po rozbiciu Thangorodrima i upadku Morgotha nie będą więcej stykać się z podobnymi wcieleniami Zła; pragnęły, by świat dokoła nich stał się czystszy i piękniejszy.

W końcu Torin miał dosyć. Kiedy wieczorem tego dnia Folko, układając się spać, powiedział marzycielskim tonem, że dobrze by było pomieszkać tu z miesiąć albo i dłużej, krasnolud oświadczył, że po pierwsze, dawno już na nich czekają na północy; po drugie, sam Folko mówił, że mogą tu siedzieć nieskończenie długo i nie dowiedzieć się nawet stutysięcznej części tego, co może powiedzieć Wieża; po trzecie, Sprawy nie wolno odkładać, a jego, Torina, serce czuje, że to jest sprawa najpoważniejsza i najpilniejsza, tak więc jutro muszą wyruszyć — i to nieodwołalnie!

Folko już gotów był się sprzeczać, ale w końcu spotulniał i zgodził się z krasnoludem, dodając, że sam ma niedobre przeczucie; przypuszcza, że na arnorskich rubieżach kiełkuje jakieś zło, i w związku z tym muszą spieszyć do Annuminas.

Następnego dnia przyjaciele pożegnali się ze Starym Entem. Drzewobród odprowadził ich do skraju Lasu; prosił Folka, by przyrzekł, że jeszcze kiedyś go odwiedzi. Przyjaciele wzięli bagaże, ostatni raz pomachali Drzewobrodowi i wyszli spod — teraz już gościnnej — kopuły Wielkiego Zielonego Lasu. Przed nimi rysowała się droga do domu.

Rozdział 21

Morski Lud

Zielony Las został za nimi. Szczęśliwie ominąwszy rohańskie posterunki, wędrowcy po dwóch dniach wydostali się z wąwozu Nan Kurunir; przed nimi znowu stanęła otworem przestrzeń niekończących się stepów. Trzeba było kierować się na północ.

— Pieszko to nawet za pół roku nie dojdziemy — mruknął Malec, gdy układali się spać nieopodal rzeki. — Kuców nie ma i nie będzie. Na koniach nie możemy jeździć...

— Przyjdzie wlec się do Brodów — westchnął Torin.

Hobbit chciał się dowiedzieć, co będą robić na przeprawie przez Isenę. Torin wyjaśnił, że tam, przy skrzyżowaniu dróg, najpierw powstała niewielka rohańska osada, potem ludzie wybudowali przystań dla barek z towarami, opanowawszy sztukę spławiania ich w dół, do brzegu Morza. Słyszał, że przy ujściu Iseny jest miasto portowe, założone przez Wielkiego Króla, skąd płyną okręty na południe, na północ, do Anduiny i do Zatoki Księżycowej. W handlowym miasteczku na Brodach Torin miał nadzieję zdobyć kuce.

Droga wzdłuż Iseny zajęła im trzy dni. Czwartego dnia dostrzegli na odległych jeszcze wzgórzach strażnicze wieże, a wkrótce potem spotkali pierwszy podczas całej wyprawy rohański podjazd. Torin dogadał się z nimi, ale uwadze hobbita nie uszło, że jeźdźcy byli bardzo nieufni i czymś mocno rozzłoszczeni. Przy wjeździe do miasteczka strażnicy przeczytali kilkakrotnie ich list podróżny, i dopiero potem wpuszczono ich za mury.

Na targu stragany trzeszczały pod ciężarem towarów, połyskiwało srebro zmieniające raz po raz właścicieli, a na wysokiej wieży trzepotał sztandar z herbem — galopującym białym koniem na zielonym tle. Rohański język mieszał się ze Wspólną Mową, słychać było również gondorski.

Znalazszy się w zamieszkanym miejscu, krasnoludy i Folko przede wszystkim ruszyli do tawerny, by przepłukać gardło piwem, a przy okazji posłuchać wieści ze świata. Nie były one pocieszające. Południowy Gościniec stał się nie-

bezpieczny jak nigdy dotąd: pojawiły się duże oddziały rozbójników i nowych, nieznanych ludzi zza gór, niewysokich, ale z takimi łukami, które przebijają każdy pancierz. Z ust do ust przekazywano nazwy spalonych wsi i imiona znanych kupców, ograbionych czy nawet zabitych. Ze smutnym zdziwieniem przyjaciele wysłuchali opowieści o swojej potyczce w Szarym Żlebie: odważnych krasnoludów stawiano na wzór arnorskiej drużynie, która nie poradziła sobie z inną napaścią. Opowiadano o oddziale młodej rohańskiej jazdy i o tym, jak głupio zostali wybićci, wpadając w zasadzkę wroga. Mówiono również o sukcesach, a niemal wszystkie dotyczyły Rohanu. Jeźdźców mocno dotknęła śmierć młodzieńców; oddziały Rohirrimów przeczesywały bez wytchnienia okolicę; rozgromiły kilka sporych band. Szeptano o pojawieniu się wilczych jeźdźców; jak zwykle w takich wypadkach prawda mieszała się z plotkami, niekiedy wręcz niesamowitymi. Jeszcze rok temu hobbit, zapewne, wbiłby się po takich opowieściach w najciemniejszy kąt: krew stygła od barwnych opisów rzygających płomieniami wilkołaków, którzy jednym ruchem szczęk przegryzają w połowie każdego, bez względu na trwałość kolczugi, od opisów ich panów, którym nikt nie sprosta, mordujących bez litości każdego, kto stanie im na drodze... Przyjaciele pogardliwie się uśmiechali, słuchając owych bajek.

Można się było uśmiechać, ale... Południowy Gościniec rzeczywiście stał się niebezpiecznym miejscem; można było to wszystko zlekceważyć i — obyczajem krasnoludów — polegać na celności ręki, mocy topora i liczyć na pomoc Wielkiego Durina, jednak ostrożność wzięła górę.

— Sądzę, że powinniśmy dołączyć do jakiegoś taboru — zauważył Torin. — Może trochę to potrwa, ale teraz jest nas trzech, a nie trzydziestu.

W tym momencie drzwi tawerny otworzyły się i do kiepsko oświetlonego pomieszczenia wszedł nowy gość — smagły, z krótką czarną bródką, o pociągłej twarzy z wysokim czołem. Zwracając się do gospodarza, użył Wspólnej Mowy, ale miał dziwny akcent; Folko, słysząc go, od razu przypomniał sobie zagadkowe spotkanie „Pod Rogiem Aragorna”, po którym została mu dziwna pamiątka — moneta Terwina, zaginionego przyjaciela Torina.

Nieznamomy rozejrzał się. Na chwilę zatrzymał wzrok na krasnoludach i hobicie, a potem przysiadł się do ich stolika.

— Hej! Krasnoludy! — zagadnął wesoło. — Skąd się tu wzięłyście, czcigodne?

— A co ci do tego? — wysapał Torin, który nie przepadał za taką bezpośredniością.

— Nic, po prostu chcę na was zarobić — błysnął tamten oczami. I nie dając przyjaciółom dojść do słowa, zaczął mówić, konspiracyjnie ścisząc głos: — Dokąd zmierzacie? Na południe? Bo jeśli na północ, to się dogadamy, jeśli na południe, podeślę do was przyjaciela. Gościniec w dzisiejszych czasach, ho, ho!

— Uśmiechnął się i puścił do nich oko. — A ja zaproponuję wam inną drogę. Szybka, bezpieczna, a co najważniejsze, nie trzeba machać nogami!

— W powietrzu czy jak? — zmrużył oczy Malec.

— Dlaczego w powietrzu, przyjacielu? Po Morzu! — szepnął tamten i uśmiechnął się szczerze, otwarcie, w taki sposób, że Folko nagle poczuł do nieznajomego bezgraniczne zaufanie, chociaż jego słowa i manieri mogły budzić podejrzliwość.

— Po Morzu? — zakrzyknęli chórem Torin i Malec.

— Właśnie. Wozimy towary, ludzi; wystarczy zapłacić, a wy, krasnoludy, wiem to, nie jesteście narodem biednym. Na workach, jak widzę, siedzicie, stroje niby północne. No, myślę sobie, mamy ładunek jak trzeba! — bezładnie gadał nieznajomy. — Zwą mnie Hjarridi, jestem pomocnikiem sternika. Wieziemy ładunek z Rohanu do Arnoru. To co, zmierzamy w jednym kierunku? Nie bójcie się, zapytajcie kogo chcecie, miejscowych kupców, Seorla czy Gweila, a jeśli ich nie znacie, to wypytajcie Eotajna, setnika. Ja rozumiem, rozumiem, krasnoludy to naród nieufny i wykiwać was niełatwo. Jak chcecie, jutro o świcie odcumowujemy, barka jest na przystani, jest tylko jedna, więc się nie pomylicie. Do zobaczenia!

Podniósł się, odwrócił na pięcie, wypatrzył kogoś w tłumie gości i pociągnął go w kąt, skąd do Folka dotarło: „Kierujecie się na południe czy na północ? Jeśli na północ, to się dogadamy...”. Przyjaciele wymienili spojrzenia.

— Kusi, jak nie wiem co, kusi — wycedził Malec. — Ech, trzepnąłbym go toporzyskiem w łeb, a potem przepętałbym skąd zacz i dokąd?!

— Lepiej popatrzmy, co to za barka i co za ludzie na niej pracują — podniósł się Torin. — Trzepnąć zawsze zdążymy.

Wy pytawszy pierwszego napotkanego przechodnia o drogę do przystani, przyjaciele wkrótce znaleźli się na brzegu Iseny, w tym miejscu wyraźnie szerszej i spokojniejszej. Obok zbudowanej z bali przystani stała długa barka z jednym wysokim masztem i dziesięcioma wiosłami z każdej strony; wszystkie zostały wyciągnięte i zamocowane wzdłuż prostych niewysokich burt. Z przystani na pokład przerzucony był trap z desek, łańcuszek ludzi przenosił z furmanek na barkę jakieś worki i pakunki. Załadunek obserwował, oparty o szerokie wiosło sterowe, niewysoki przysadzisty mężczyzna w znoszonej kurtce i zwykłych skórzanych butach; nie miał przy sobie broni. Folko oczekiwał, że ludzie na barce będą podobni do Hjarridiego, jednakże stojący przy sterze miał twarz zwyczajnego mieszkańca Północy; jasne włosy — nie siwe i nie złociste, jak u większości Rohirrimów — miał krótko obcięte i Folko przypomniał sobie, że w Annuminas tak zazwyczaj nosili się ci, którzy przewozili towary przez jezioro. Do człowieka przy sterze zbliżył się młody chłopak, równie smagły jak Hjarridi, ale o okrągłej twarzy i grubych wargach; zaczęli o czymś rozmawiać. Hobbit wyteżył słuch, lecz język nie był mu znany.

Zobaczyli członków załogi barki. Folka zdziwiła różnorodność twarzy: byli tu chyba ludzie wszystkich ras Świata Północnego.

W oberży, do której wrócili, czekały na nich nowiny z gościńca: wielki tabor, idący z północy, został przechwycony i rozgrabiony; garstka uratowanych, dokoła której zebrał się zwarty tłum podekscytowanych mieszkańców miasta, opowiadała, że wśród napastników byli zarówno ludzie, jak i orkowie, byli też wilczy jeźdźcy i ci z łukami. Rohańczycy już ruszyli w pościg.

— Wydaje się, że nie mamy wyboru, musimy płynąć z tym Hjaridim — burknął Torin. — Kogo mieliśmy zapytać o nich?

Eotajna, dowódcę szwadronu, zastali, gdy wydawał ostatnie rozkazy żołnierzom. Nie od razu ich wysłuchał, miał ważniejsze sprawy na głowie, i Folko aż poczerwieniał ze wstydu na myśl, że odrywają od ważnych spraw człowieka, który, być może, idzie zmierzyć się ze śmiertelnym niebezpieczeństwem.

— Hjaridi? A, znam — odezwał się Eotajn, ciągle lustrując szereg swoich jeźdźców. — To pewni ludzie, choć Morski Lud. . . Możecie płynąć z nimi śmiało.

Torin uprzejmie się skłonił, a setnik już odwracał konia.

Następnego ranka, gdy mgła jeszcze nie rozplynęła się nad sennymi ulicami, przyjaciele wyszli z podwórka skromnej oberży, w której spędzili noc. Od strony rzeki dochodził plusk wiosół, słychać było głosy; przygotowywano się do odcumowania. Hjaridi zauważył przyjaciół od razu, gdy tylko wynurzyli się zza węgła.

— Hej-ho! To moi! Moi, Farnaku! — krzyknął wesoło. Stojący przy rumplu jasnowłosego człowieka, ten sam, którego widzieli wczoraj, popatrzył na krasnoludów i Folka, którzy stali przy brzegu przystani.

— Do Arnoru droga prowadzi? — zapytał wyraźnie, wymawiając słowa z annuminaskim akcentem. — Za dziesięć dni będziecie w stolicy, moje słowo. Dwadzieścia sztuk złota od każdego i nasze wyżywienie. Pasuje?

— Pasuje! — odpowiedział Torin. — Gdzie będziemy spać?

— Coś się znajdzie — uśmiechnął się Farnak. — Na tym korycie płyniemy tylko do Tarnu, tam przesiadamy się na naszego „smoka”.

— Smoka? — zdziwił się hobbit. — Żywego?

— Tak nazywamy nasze morskie łodzie — odpowiedział Farnak z uśmiechem. — Nie stójcie na przystani, wsiadajcie, odcumowujemy. Ron! Pokaż im, gdzie się mają rozłokować.

Ron, wysoki długoręki chłopak z czarnymi oczami, o żywym spojrzeniu, mówił szybko i niewyraźnie, połykając końcówki słów; Folko uświadomił sobie, że w Annuminas podobną mowę słyszeli z ust urodzonych w odległych osiedlach Żłocistego Wybrzeża, Belfalas, leżących na południe od Gór Białych.

Przewodnik zaprowadził ich do niewielkiej komórki nad pokładem dziobowym; pomieszczenie zadowoliło przyjaciół: było tu czysto, sucho, pachniało smołą, wzdłuż ścian rozmieszczono leżanki, przy kwadratowym oknie stał zbity ze

starannie wygładzonych desek stół. Przyzwyczajeni w trakcie wędrówki do każdych warunków, zrzucili bagaże i wyszli na pokład, lecz żaden z nich nie zdjął kolczugi i nie odłożył broni. Farnak zauważył to i uśmiechnął się leciutko, ale nie skomentował ich ostrożności, tylko zapytał, czy są zadowoleni. Torin poinformował się, komu należy zapłacić, i otrzymał odpowiedź, że dopiero po przybyciu na miejsce. Hobbit tymczasem podszedł do burty.

Ludzie Farnaka odwiązali liny i postawili żagiel. Dobry wschodni wiatr popychał barcę i ta, niesiona prądem, wolno odbijała od przystani.

Przyjaciele stali na pokładzie do południa, przyglądając się mijanym brzegom. Zielone wzgórza ustąpiły miejsca niewielkim dębowym i bukowym zagajnikom, w schodzących do rzeki wąwozach ciągnęły się zarośla leszczyny, wśród której gdzieś soczystą czerwienią dojrzałych owoców wyróżniała się jarzębina, i dopiero teraz hobbit zauważył, że to już połowa sierpnia, zatem jesień tuż-tuż. Od spotkania z Torinem minął niemal rok. . .

Nie było łatwo, ale w końcu przyjaciele przyzwyczaili się i zaczęli rozmawiać z żeglarzami. Malec dowiedział się, gdzie można zdobyć piwo, i wkrótce, już pogodzony z całym światem, siedział, wolno pociągając ciemny rohański trunek. Z Torinem rzeczową rozmowę o zaletach okrętowych klamer i gwoździ wszczął pracujący w załodze Farnaka kowal, Folko zaś podszedł do Hjarridiego.

Młody pomocnik sternika chętnie wdał się w rozmowę, i nie dając nawet hobbitowi czasu na otwarcie ust, zaczął go wypytywać o sprawy na północy, o Hobbitanię, o upodobania i obyczaje mieszkańców. Folko odpowiadał wyczerpująco, i wreszcie skorzystawszy z okazji, zapytał:

— A gdzie jest twój dom, Hjarridi? Skąd pochodzisz?

Beztronski uśmiech, stale widniejący na twarzy jego rozmówcy, natychmiast zniknął, jak gdyby Folko dotknął jakiejś starej niezabliźnionej rany.

— Dom? Mój dom to Morze! Rodzimy się i umieramy na pokładach, i rzadko kiedy ciało kogoś z Morskiego Ludu, jak nas nazywają w Arnorze i Gondorze, przyjmuje ziemia.

Folko uznał, że lepiej będzie nie wspominać o tym, że Teofrast nazywał Morski Lud bandą piratów. Wypytywał dalej:

— Ale z czego żyjecie?

— Z Morza! Ono nas żywi i ubiera. Wozimy wędrowców i towary, łowimy ryby, polujemy na morskie zwierzęta, handlujemy. Zdarza się, że i wojujemy.

— Z kim?

— Z tymi, którym nie podoba się, że żyjemy wedle własnych praw, nie podporządkowując się nikomu! Zdarzało się, że i ze Zjednoczonym Królestwem! — Hjarridi wyprostował się dumnie. — O tym wiedzą wszyscy. Było tak, że król — i ten obecny, i jego ojciec — usiłowali trzymać nas w garści. Ale nie zdołali!

— Słyszałem — wtrącił Folko, na wszelki wypadek odsuwając się dalej — że Wielki Król zawładnął Umbarem, miastem korsarzy, za to, że służyli Mrokowi w czasie Wielkiej Wojny.

— Rzeczywiście — przyznał niechętnie Hjarridi. — Co było, to było, ale nie warto rozpamiętywać tych wydarzeń. . . Ojcowie naszych ojców zastali jeszcze prawdziwych korsarzy, którzy odeszli na dalekie Południe, dokąd nie sięgała ręka Gondoru. Wielu z nich służyło Mrokowi dlatego, że byli wrogami Gondoru; wśród korsarzy znajdowali schronienie ci, którym nie podobały się twarde rządy Władców! Zapłacili swoimi żywotami za to. . .

— A ty bywałeś na dalekim Południu?

— Zdarzało się — odpowiedział Hjarridi. — To są miesiące drogi stąd wzdłuż zadziwiających brzegów, o których opowiedzieć ci i tak nie mogę. Skały, lasy, piaszczyste diuny. . . nie, po prostu brakuje słów. To piękno trzeba zobaczyć! Tam, za południowymi rubieżami Haradu, wybrzeże należy do nas, a w głębi kontynentu żyją dziwne i ponure plemiona, które nie interesują się sprawami tego świata. Co prawda, ja tam nie trafiłem, sam ich nie widziałem, a powtarzać bajd, jakich wśród nas nie brakuje, nie będę.

— Tam, na Południu, jest wasze królestwo?

— My nie mamy królów! Nie mamy władców! Są morskie drużyny, swobodnie wybierające sobie przywódców, tych najbardziej doświadczonych, najmądrzejszych i najodważniejszych. Szacunkiem obdarzamy tego, kto potrafi przeprowadzić „smoka” przez oko burzy, kto potrafi w nieskończonej przestrzeni dokładnie określić według gwiazd swoje położenie, wyliczyć przebytą drogę, kto nie ustępuje przed siłą północnych królestw!

— A skąd bierzecie zboże? Broń?

— Zboże kupujemy, a w większości uprawiamy sami — powiedział Hjarridi. — Broń również mamy w większości swoją. W naszych górach nie ma krasnoludów, a ich wyroby rzadko trafiają do nas, tylko z północnych jarmarków.

— Nie złość się, Hjarridi, ale chcę cię jeszcze o coś zapytać. . .

— Nie kończ — uśmiechnął się pomocnik sternika. — Chcesz zapytać, czy nie walczymy z Gondorem? Teraz nie. Mamy pokój. . . Żyjemy w zgodzie niemal ze wszystkimi. Tylko dlatego jesteśmy tutaj, bo wieziemy towary z Rohanu, sojusznika Gondoru. Według umowy mamy kilka miejsc na postoje na wybrzeżu, w ujściach Iseny, Gwathlo i Brandywiny. My, drużyna Farnaka, szanujemy umowę, ale są i tacy, co napadają na gondorskie okręty. . .

— I mówisz o tym tak spokojnie? — oburzył się hobbit.

— A jak mam mówić? — uśmiechnął się Hjarridi.

— Ale oni. . . Oni łamią słowo!

— Słowo? Oni nie dawali żadnego słowa. Pokój zawarły drużyny Farnaka, Lodina, Khaputa, Bjelafa. . . My przyjęliśmy pokój, ponieważ posłowie Królestwa rozmawiali z nami i przekonali nas. Ale czy Farnak może odpowiadać za

Skilludra, Olma, Oria? Z nimi nikt nie prowadził pertraktacji! A takiego, który mógłby mówić w imieniu wszystkich, nie mamy... I nie będziemy mieli, jak sądzę. Póki wszyscy wodzowie naszego Ludu nie zawrą pokoju, nie będzie go, i nic na to nie poradysz. Gondorscy królowie niemało wyrządzili nam krzywd, okrutnie prześladowali i wyganiaли z miejsc, które nasi ojcowie usiłovali zająć. Wtedy nikt nie mógł nawet myśleć o wojnie, byliśmy osłabieni, nieliczni, ludziom brakowało odwagi. Tak więc porachunki są niewyrównane z obu stron i pochopnie nas nie osądzaj, hobbitcie!

* * *

Płynęli bez przerw, cały czas przy sprzyjającym wietrze, i po czterech dniach, po wyjściu na pokład, Folko, wzdrygając się z powodu porannej wilgoci, zobaczył, że brzegi rozsuwają się i między zielonymi wzgórzami na wprost dzioba błękitnieją bajkowe przestrzenie nieskończonego Wielkiego Morza.

Później, znacznie później, znalazł odpowiednie słowa, by opisać swoje pierwsze spotkanie z nieskończonością, ale teraz po prostu otworzył usta i gapił się na wielobarwną, błękitnoszaroniebieską równinę, zlewającą się na skraju nieba z bielą odległych obłoków. Usłyszał krzyki czarnogłowych mew, szybujących nad zalewem, do którego wpadała rzeka, zobaczył spiętrzone fale uderzające o brzeg, i już nie potrafił oderwać wzroku od horyzontu, który przyciągał z niepojętą mocą każdego ze Śmiertelnych. Tam, za turkusowym widnokregiem, leżało Błogosławione Królestwo, tam wznosiły się białe wieże Tirionu, tam złoty piasek Eressei zacięły pochylone gałęzie platanów; tak było w cudownych baśniach elfów, wywołujących zachwyt, a jednocześnie nostalgiczną tęsknotę za czymś pięknym, ale nieosiągalnym...

Krasnoludy już widziały Morze i nie reagowały tak emocjonalnie jak hobbit. Folko niedługo napawał się wspaniałymi widokami — barka przybijała już do przystani, zaczynał się wyładunek. Ludzie Farnaka szybko i sprawnie przetrzucili długie kładki na wysokie burty okrętu; już na pierwszy rzut oka hobbit rozpoznał w nim znane z niedawnego snu kształty i dumnie wznoszący się rzeźbiony dziób.

Podszedł do nich sam Farnak i polecił się pakować; teraz na barkę wejdzie inna załoga i natychmiast ruszy z powrotem, w górę rzeki.

— Odbijamy dzisiaj, jak tylko skończymy załadunek — dodał sternik. — Do miasta nie radzę iść, nie będziemy czekali na nikogo.

Folko na długo zapamiętał tę niespieszną mowę urodzonego gdzieś w Arnorze człowieka, który zamienił przestrzeń jego pól na bezmiar morza, sochę oracza na wiosło sterowe marynarza. Zapamiętał też jego wzrok, w którym nie było cie-

kawości ani niechęci, jaką zauważał niemal zawsze w oczach rozmawiających z nim ludzi. Nie, Farnak nie był ani zły, ani twardy, po prostu hobbit nic go nie obchodził. Miał swoje kłopoty i nikt nie powinien pchać się z głupimi i nic nieznaczącymi słowami współczucia czy próżnej ciekawości.

Po „smoku” oprowadzał ich również Hjarridi. Przyjaciele szybko urządzili się i spędzili resztę czasu do południa na rozmowach o Morskim Ludzie.

— Gdzież, niech mnie Durin oświeci, możemy się z nimi zejść? — Torin drapał się wściekle po czubku głowy, słysząc od hobbita, że ten rozpoznał okręt ze swojej wizji.

— Powinno się wydarzyć coś, co przemiesza wszystkie narody i wszystkie drogi — powiedział zamyślony Folko, który przeżywał w tej chwili dziwne doznania. Stał na dnie bardzo głębokiej studni, ale nad głową wciąż widział błękitny prostokąt nieba, a jakaś niewidzialna ręka przerzucała przed jego wewnętrznym wzrokiem stronicie nieznanej mu książki, na których znajdowało się mnóstwo niejasnych, dziwacznych symboli.

Nie schodzili z okrętu, wzięwszy pod uwagę radę Farnaka; a właściwie nie było dokąd iść. Wzdłuż rzeki ciągnęły się jednakowe, zbudowane z bali przystanie, za nimi przysadziste długie budowle bez okien, z płaskimi dachami, najprawdopodobniej magazyny, jak przypuszczał Folko. W górze rzeki, na szczycie nadbrzeżnego wzgórza, zauważył znajomą biało-niebieską chorągiew, obok niej zaś powiewała czarna z jakimś rysunkiem, którego nie potrafił rozpoznać. Na brzegu rzeczywiście pełno było uzbrojonych pancernych, bardzo podobnych do tych, których spotykał w Annuminas; ci z niedowierzaniem spoglądali na okręty. Żołnierze stali w niewielkich grupkach albo wolno się przechadzali; zakuci w pancerze, w rękach trzymali miecze i włócznie. Między nimi przez cały czas przemykali ci, których Arnorczycy nazywali Morskim Ludem. Wysocy i niscy, smagli i biali, czarno- i jasnowłosi, wszyscy wymieszali się w tym dziwnym plemienu. Większość nosiła proste i obszerne stroje w brązowym lub zielonkawym kolorze; byli nieuzbrojeni, i Folko nawet podejrzewał, że Hjarridi przechwalał się, mówiąc o ich waleczności, gdy zza rogu jednego z magazynów wyszedł oddział liczący mniej więcej pięćdziesięciu ludzi, wszyscy z tarczami, w hełmach, z mieczami przy pasach. Przyjrząwszy się dokładniej, hobbit zauważył również kolczugi, łuki, ale o ile żołnierze Arnoru byli uzbrojeni jednakowo, to pancerni Morskiego Ludu jakby starali się przelicytować jeden drugiego w dziwaczności swego rynsztunku. Torin naliczył dwanaście rodzajów hełmów, ze wszystkich stron Śródziemia; miecze także mieli różne: jedne takie jak w Arnorze, drugie o wiele krótsze i grubsze, inne wygięte lub tak długie, że można było ich używać tylko oburącz... Oddział ten przeszedł wzdłuż całej linii przystani i skrył się za budowlami.

Malec uważał, że ten Lud to nie żaden lud, tylko banda zuchwałych młodych ludzi z wszystkich możliwych plemion, którzy zgromadzili się na południowym wybrzeżu, żeby móc najeżdżać i grabić. Był wobec nich nieufny.

Kiedy ostatni toból wpadł pod pokład, Hjarridi natychmiast zaczął podnosić na maszcie dużą czerwoną kulę byczego pęcherza. Na pytanie Folka, po co to robi, pomocnik sternika rzucił tylko jedno słowo: „Odpływamy!”.

Nie minęło nawet pięć minut, gdy sam Farnak biegiem wpadł na pokład i stanął za sterem, wydając krótkie, niezrozumiałe rozkazy. Ludzie, którzy nie zeszli na brzeg, rzucili się do stawiania żagla i odwiązywania cum, inni chwycili za wiosła. Mocno wyładowany „smok” wolno odbił od przystani. Wiatr wypełnił żagiel, wiosła zanurzyły się w wodzie i okręt z nieoczekiwaną lekkością pomknął po spokojnej rzecznej gładzi ku otwartemu morzu. Ktoś z wiosłarzy zaintonował pieśń, którą zaraz podchwycili inni; śpiewali w jakimś swoim narzeczu, ale w jego osnowie leżała Wspólna Mowa i Folko zdołał część pieśni zrozumieć:

*Na Zachód od Słońca, od Księżycy na Wschód,
Tu nasze szlaki, do skończenia dni zamknięty nasz Lud.
Czy ktoś się zdecyduje, czy ktoś się odważy,
Ster na Zachód odwrócić i o podróży marzyć?
Pod sztandarami czyimi
Porzucą okręty brzeg tej ziemi?
I czy musimy zawsze przebywać
Tu w Śródziemiu? Kto nas tutaj trzyma?
Kim jest ten, którego dłoń zaciąga chmury?
Kto na Morzu tka mgły ponure?
Zamykając przed nami te regiony?*

Śpiewali jeszcze długo; Folka dziwił ból i niepojęty smutek, jakie rozbrzmiewały w tej pieśni...

Tymczasem „smok” minął zielony przylądek, o burtę uderzyła pierwsza morska fala. Zalew został za nimi, brzegi rozsuwały się, i teraz całą szerokość horyzontu na południu, zachodzie i północy zajmowało Morze. Wiosłarze przyłożyli się do wiosła, okręt odwracał się dziobem do fali. Zatrzepotał żagiel, zachłystując się całą mocą południowo-zachodniego wiatru. Farnak polecił złożyć niepotrzebne już wiosła. Płynęli na północny zachód wzdłuż brzegu Enedhwaitu. Najpierw Folko z zainteresowaniem oglądał krajobraz, ale wkrótce znudził go monotony widok wzgórz, łagodnie opadających ku krawędzi Morza.

— Słyszałeś, co oni śpiewali — odezwał się Folko do nadchodzącego Torina. — „Czy ktoś się odważy ster na Zachód odwrócić i o podróży marzyć?... Pod sztandarami czyimi porzucą okręty brzeg tej ziemi?”, tak to brzmiało według mnie. Dokąd oni się kierują, jak myślisz?

— Nie inaczej, jak do Błogosławionego Królestwa — uśmiechnął się krasnolud.

— Ha! A jakże! Numenorejczycy już próbowali. Ich potomkowie do tej pory gryzą własne łokcie... Nie sądzę, żeby Morski Lud o tym nie słyszał. Może między Śródziemem i Zamorzem, prócz Numenoru, są jeszcze jakieś ziemie?

Nie zauważyli, że Farnak bardzo uważnie przysłuchuje się ich rozmowie; sternik przekazał rumpel Hjarri diemu i stał przy burcie nieopodal przyjaciół.

— Powiadasz, że Numenorejczycy próbowali przepłynąć Morze? — zagadnął nagle hobbita.

Folko zamilkł zaskoczony, zaczerwienił się i nawet sięgnął do broni pod płaszczem, ale Farnak spoglądał przyjaźnie, i nawet więcej — z nieukrywanym zainteresowaniem. Zająkując się, hobbit potwierdził swoje słowa.

— A jak u was opowiada się o tych sprawach? — zapytał Farnak; pod maską uprzejmości gospodarza, który robi wszystko, by goście się nie nudzili, skrywał jakieś głęboko utajone życzenie.

Folko wymienił spojrzenie z Torinem i ostrożnie dobierając słowa — kto go tam wie, tego łazika — opowiedział mu o ostatnim królu Numenoru, o niezgodzie między zachowującymi przyjaźń elfami Zamorza i tymi, którzy wzywali do odebrania siłą władcom zachodu daru wiecznego życia. Tego chcieli o władnięci mocą czaru Saurona, żyjącego wtedy w niewoli, w Numenorze.

— ... Gdy Sauron napadł na elfijskie i ludzkie miasta Zachodniego Kraju — rozkręcał się hobbit — Numenorejczycy przyszedli na pomoc swoim współtowarzyszom w Śródziemiu. Ogromna flota przewiozła niezliczone armie w Harlindonie, gdzie już przedostały się oddziały Czarnego Władcy. Moc i blask Numenoru sprawiły, że sojusznicy Saurona zdradzili go, i poddawszy się Numenorejczykom, sprowadzili do nich swego byłego władcę. I król, tylko po co, po co to zrobić?! — polecił dostarczyć jeńca do pałacu, a wkrótce Sauron, dzięki mrocznej mocy swego umysłu, stał się najbliższym królewskim doradcą. Nałgał królowi, a ten uwierzył, że życie wieczne może stać się udziałem każdego, kto zdobędzie Błogosławione Królestwo. Król, mający niewiarygodnie silną armię, skierował flotę ku brzegom Eressei. Ale za ledwie postawił stopę na przybrzeżnym piasku, Valarowie, Opiekunowie Świata, zrezygnowali ze swych godności i wezwali Jedyne; i wtedy świat się odmienił. Numenor pochłonęły głębiny, a wraz z nim króla i jego pechową armię. Uratowali się tylko ci, którzy nie zerwali starej przyjaźni z elfami, a ich okręty dotarły do Śródziemia, gdzie rycerze z Zamorza, jak ich nazywali inni ludzie, założyli królestwa Arnoru i Gondoru...

— A co z Sauronem? — zapytał natychmiast Farnak z wielkim zainteresowaniem.

— Sauron... — Teraz hobbitowi nie sprawiało trudności wymawianie tego złowieszczonego imienia; nowe siły, rozbudzone w nim po przygodzie z niebieskim kwiatem, pokonały strach, który towarzyszył wspomnieniom o Wielkim Wrogu Trzeciego, na zawsze minionego Wieku... — Sauron, oczywiście, ocalał. Ale ocalał tylko jego duch, natomiast cielesna powłoka zginęła i od tej chwili nie

mógł już pokazywać się ludziom jako ktoś miły i wzbudzający zaufanie; podporządkowywał sobie innych tylko za pomocą strachu i kłamstwa. . .

— Skąd to wszystko wiesz? — Farnak patrzył badawczo na Folka.

Hobbit z trudem wytrzymał to spojrzenie.

— Przeczytałem w starych księgach.

— No to powiedz jeszcze, kim jest Jedyny?

— W takim razie zapytaj przy okazji, ile kotów miała królowa Beruthiel — roześmiał się hobbit, ale widząc, że Farnak zasepił się, szybko dokończył: — Wcale nie chciałem, czcigodny sterniku. . . Nikt nie zna odpowiedzi na twoje pytanie. Powtórzyłem dosłownie to, co głoszą przeczytane przeze mnie księgi, ale w żadnej nie było mowy o tym, do kogo zwrócili się Opiekunowie. Chyba to był Ten, z Czystej woli powstał Świat. . .

— No tak. . . — westchnął przeciągle Farnak.

Jego twarz nagle zrobiła się stara i zmęczona, uwidoczniły się głębokie zmarszczki; to nie był już twardy i dumny wódz wolnych marynarzy; przed Folkiem stał niemłody Arnorczyk, który wiele w życiu doświadczył. Jednak chwilę później wyprostował się, jakby zrzucając z siebie niewidzialny ciężar, i poprosił Folka, by opowiedział mu o Numenorze. Najpierw słuchał trochę roztargniony, myśląc o czymś innym, i hobbit uświadomił sobie, że historia walki z Morgothem była mu już znana, ale wzrok sternika wyostrzył się, gdy Folko przeszedł do historii Królestwa Wyspiarskiego z czasów rozkwitu.

— Elfowie Eldara byli częstymi gośćmi Numenoru i hojnie dzielili się z ludźmi swoją olbrzymią wiedzą. Dzięki ich pomocy, a także własnej mądrości, Numenorejczycy żyli dostatnio, a królestwo kwitło i szybko bogaciło się. Ich okręty przemierzały morza na dalekiej Północy i na gorącym Południu, a do Śródziemia pływali stale. Tylko Zachód był dla nich zamknięty. . .

— Poczekaj! — Farnak nagle chwycił Folka za rękę, jego oczy rozblęły. — Jak powiedziałeś? Dlaczego?!

Hobbit odsunął się odruchowo. Jego słowa, najwidoczniej, dotknęły głębokiej rany Farnaka. . . Odkaslnąwszy, żeby odzyskać kontenans, ciągnął:

— Śmiertelny nie może wstępować na ziemię Błogosławionego Królestwa, tak stało w księgach. Władcy Zachodu nie dopuszczali ludzi do swych ziem. . . A dlaczego, kto to wie? Przecież właśnie z tego powodu padł Numenor!

— Już wtedy się wystrzegali — powiedział z krzywym uśmiechem Farnak, a na jego twarzy zadrgały mięśnie. — To znaczy, że się bali. . .

Folkowi nie bardzo spodobały się te słowa, ale Farnak wypytywał dalej. Hobbit opowiedział o Przekleństwie Człowieka — skazaniu na Śmierć przez Stwórcę, o stopniowo narastającym wśród Numenorejczyków poczuciu krzywdy i złości na elfów i w końcu o podziale Królestwa i ostatniej wyprawie armii Wysp. . .

— Przecież postąpili jak podli zdrajcy — rzucił ze złością Farnak. — Nieźli przyjaciele z tych elfów! Tak się odwzięczyli tym, którzy walczyli wraz z nimi...

— Nie spiesz się z osądem — nachmurzył się Folko. — Nie nasza to sprawa, zbyt mało wiemy...

— No to dlaczego nie dają nam dowiedzieć się więcej? — rozeźlił się Farnak, potrząsając pięściami. — Dlaczego oni mają decydować, co nam wolno, a czego nie? Dlaczego zamknęli przed nami Zachód?! My, Morski Lud — wskazał trzęsącą się ręką odwracających się do niego wiosłarzy — chcemy pływać po wszystkich wodach świata, póki wiatr dmie w żagle, a ręce trzymają ster! Na Północy dotarliśmy do granicy wiecznego lodu, do błękitnych Kłów Olbrzyma, gdzie krople spływającej z wioseł wody stają się w powietrzu kryształkami lodu, a ludzie padają martwi po kilku oddechach, i gdzie skóra czernieje i spełza z rąk. Na południu nasze „smoki” dotarły do miejsc, gdzie brzeg skręca na wschód i znika w nieznanym przestrzeniach. Byliśmy na każdej z rzek Śródziemia Południowego i Północnego Świata, i tylko zachód jest dla nas zamknięty!

Oczy Farnaka płonęły. Folko nie wiedział, co powiedzieć.

— Zapytałem cię, czy w przeszłości żyli ludzie, którzy próbowali przepłynąć Morze — ciągnął sternik. — Opowiedziałeś mi więcej, niż usłyszałem przez całe swoje życie, ale to tylko potwierdziło to, co i my wiemy, że gospodarze Zamorza odgradzili się od nas, narzucają jednak ciągle swoje prawa! Komu wolno pozbawić człowieka wolności?!

Głos sternika nabrał mocy grzmotu, załoga powstała z miejsc, Folko widział rozpalone oczy, zaciśnięte pięści, niemal każdemu słowu sternika towarzyszył głuchy ryk.

— Ale dlaczego powiedziałeś, że elfy się wystrzegają? — słabo oponował hobbit. — Przecież nie wiesz, dlaczego tak postępują?

— Dlaczego tak powiedziałeś? — uśmiechnął się krzywo Farnak. — Dlatego, że się wystrzegają, i my to wiemy lepiej niż inni! Wiesz, co się stanie, jeśli — objął hobbita za ramię i odwrócił twarzą na zachód — przełożę ster na prawą burzę? Będziemy płynąć dzień, drugi, trzeci, miesiąc, dwa, dokoła nie będzie niczego prócz wody, słońca i gwiazd, a potem czas się zatrzyma i zobaczymy granicę.

Jakby niespodziewany podmuch zimnego wiatru zgasił nieostrożnie pozostawioną świecę, tak zamilkła i zasępiła się załoga, a sam Farnak, pogardliwie wykrzywiając wargi, spuścił głowę.

— Granica? — zapytał Folko ochryłym głosem. — Co to jest? Nigdy nie słyszałem o niej!

— Nic dziwnego — rzucił Farnak. — O niej wiemy tylko my i ci, co ją ustawili. Nasze okręty nie mogą płynąć dalej, są zawracane... Z boku jest to podobne do... — Zmarszczył czoło. — Jednakże widzieliśmy, jak przez nią przeszedł elfijski okręt; one są przepuszczane, nasze nie... Dobra! — urwał niespodzie-

wanie. — Hej, wy, lenie, nie widzicie, że wiatr nam ucieka?! Hjarridi! Gdzie się gapisz? — wrzasnął Farnak, odwracając się od hobbita.

Ludzie pospiesznie wracali na swoje miejsca.

Po tej rozmowie Farnak okazywał hobbitowi jeśli nie szacunek, to przynajmniej wyraźne zainteresowanie. Ich rozmowy stały się częstsze. Sternik opowiadał wiele i chętnie, jakby spiesząc się podzielić tym, co boli, z wyjątkowym, jak sam przyznał, rozmówcą. Opowiadał o wyprawach na Południe i na Północ. Na Południe po cenne drewno, złoty piasek i niezwykle owoce, trafiające na stoły gondorskich bogaczy; na Północ po kły zwierząt morskich i mocne, nieprzemakalne skóry, z których w Arnorze szyją ubrania dla pancernych. Przed oczyma zasłuchanego hobbita przesuwały się niekończącym szeregiem nieznane kraje i tajemnicze wyspy, niektóre pokryte wiecznymi śniegami zrodzonymi z lodowatego oddechu północnych wiatrów, inne spalone żarem, który spływa ze stojącego dokładnie na środku nieba słońca. . . O niezliczonych walkach, w których musieli uczestniczyć Eldringowie, jak nazywał siebie Morski Lud.

Farnak opowiadał o potyczkach z ponurymi, bezlitosnymi plemionami dalekiego Południa, gdzie w morzu zielonych wodorostów bezszelestnie i niechybnie dosięgają zuchwalców wypuszczone nie wiadomo przez kogo zatrute strzały, które ranią śmiertelnie; opowiadał, że nocą do miejsc postoju podchodzą niezwykle zwierzęta olbrzymie z ciałami byków i głowami niedźwiedzi, a rano z drzew wysokich jak góry spuszczają się olbrzymie pająki, zręcznie miotające na dziesiątki kroków swoją lepką pajęczynę. Tam trzeba być zawsze w pogotowiu, tam w każdej chwili można oczekiwać napaści. . .

Miał niewątpliwy dar opowiadania, i tylko jedno powodowało wzburzenie hobbita, gdy Eldring wspominał elfów. Dla niego byli to wrogowie. Powinni odejść, twierdził uparcie. Niech ludzie sami wybierają drogę, korzystając z rad swego umysłu. Słuchając sternika, Folko nieoczekiwanie przypomniał sobie Omera, i nagle w jego głowie rozbłysła jasna, zimna i oczywista, a dlatego straszna myśl: co się stanie, gdy zjednoczą się wszyscy ci nienawidzący elfów?

Ale myśli tych nie wypowiadał, na razie korzystał z okazji i obserwował Morski Lud. Mimo że „smok” nie wydawał się dużym okrętem, załogę tworzyło niemal stu czterdziestu wiosłarzy-żołnierzy: na wewnętrznej stronie burt w ścisłym porządku wisiało uzbrojenie każdego z nich, zawsze gotowego zamienić wiosło na rękojeść miecza. Hobbit zagadywał wiosłarzy, ale Eldringowie raczej uchylali się od rozmów. Folko przypomniał sobie monetę Terwina; wśród załogi było kilku podobnych do tych, od wodza których on otrzymał niezwykle dar, wszystkie jednak ostrożne próby wypytywania kończyły się fiaskiem. Na pytanie wprost, gdzie byli tej wiosny, Farnak, uśmiechnąwszy się, rzucił:

— Tam, gdzie kruk kości nie zanosí.

Opowiedział hobbitowi dziwną legendę, krążącą wśród Morskiego Ludu. Podobno starszy syn ostatniego Namiestnika Gondoru, Denethora, Boromir, który

zginął w potyczce z orkami przy Parth Galen, pozostawił po sobie potomstwo. Boromir miał syna z prostą, ubogą dziewczyną; ukrywał go przed surowym Denethorem, obawiając się jego gniewu. A po zwycięstwie w Wojnie o Pierścień młodzieniec, syn Boromira, zjawił się u Wielkiego Króla Elessara i doszło między nimi — nie wiadomo dlaczego — do kłótni. Wnuk Denethora opuścił Minas Tirith — może został wygnany, a może nie chciał uznać władzy nowego króla; jednym słowem poczuł się obrażony i jakoby złożył straszliwą przysięgę, że się zemści...

Opowieść ta najpierw mało zainteresowała hobbita. Co też ludzie plotą! Jednakże zapamiętał ją i postanowił przy okazji opowiedzieć Radagastowi i zapytać go o zdanie...

Dni mijały i Folko przywykł do stale otaczającego ich niebieskiego przestworza, stawał przy burcie i wpatrując się w spienioną przy dziobie wodę, rozpamiętywał wydarzenia ostatnich miesięcy. Co osiągnęli i co powinni jeszcze zrobić? Ile jeszcze czeka ich podróży? Zgubili ślady „Pana” orków; chyba popełnili błąd, wychodząc z Morii bez wyjaśnienia, kim jest; trzeba było za wszelką cenę schwycić jeszcze kilku orków i za pomocą Pierścienia wydobyć od nich prawdę. Zamiast tego poleźli na dół i oto Hornborin zasnął wiecznym snem pod ciężką płytą w Sto Jedenastej Sali, a Dorin z Pierścieniem zbiera pewnie teraz oddziały na Żelaznych Wzgórzach... Wiele ciekawego powiedziała Wieża Orthank, ale jak wykorzystać tę wiedzę? Do Annuminas chyba dotrą, lecz co dalej?

Pod burtą falowała stale burząca się białą pianą woda; hobbit, wpatrując się w nią, nieoczekiwanie przypomniał sobie niedawne widzenie przy niebieskim kwiatku, i nagle poczuł się tak, jakby go ktoś ugodził sztyletem: Torin był stary... A to znaczy, że będą się tułać jeszcze przez wiele lat... Czy więc sądzony jest mu w ogóle powrót do ojczyzny? Czyżby miał spędzić całe życie na niekończącej się wędrówce? I nie wahając się ani chwili, zadał to samo pytanie Torinowi, gdy zeszli pod krótki dziobowy pokład, by zjeść obiad.

— Ja wiem tylko jedno, będziemy się tułać tyle, ile trzeba — odpowiedział krasnolud.

— A ile trzeba? Dokąd się udamy z Annuminas? Nie zaszkodziłoby, gdybym wpadł do domu... Dawno mnie tam nie widzieli...

— Trzeba będzie tyle, ile będzie trzeba, by schwycić tego „Pana” i skończyć z nowym zagrożeniem — wzruszył ramionami Torin. — Z Annuminas pewnie wyruszymy do Angmaru.

Malec zakrztusił się, a Folko ledwo usiadł na ławce. Ta nazwa powiała nań dawno już zapomnianym chłodem i koszmarem ożywionych Mogilników. Patrząc na ich wytrzeszczone oczy, Torin uśmiechnął się leciutko i kontynuował:

— A gdzie jeszcze trzeba szukać tych, co pragną zmienić układ sił w Śródziemiu? Jeśli zobaczymy w Angmarze herb, trójzębną czarną koronę, uważajcie, że sprawa została niemal zakończona.

— A... a potem? — wydusił z siebie Folko.

— Potem będzie wojna — rzucił twardo Torin. — Czas zrozumieć powiązania, Folko. Zło znowu znalazło sobie miejsce u podnóża gór Angmaru! Im wcześniej wypalimy to gniazdo do szczytu, tym lepiej. Ale co tu gadać? Na razie musimy dostać się do północnej stolicy, gdzie czekają na nas przyjaciele, a może i od Dorina dotrą jakieś wieści?

Tymczasem minęło dziesięć dni, o których mówił Farnak, i dokładnie w wyznaczonym czasie jego „smok”, pomagając sobie wiosłami, zakotwiczył w ujściu Brandywiny, gdzie znajdowała się duża przystań okrętów Morskiego Ludu. Folko nawet nie podejrzewał, że owa rzeka, spokojnie płynąca pod oknami jego domu, może rozlać się tak szeroko, niosąc na swych wodach tak wiele i tak różnych statków. Tu przywiezione z Południa towary, przeniesione z ładowni na grzbie ty mułów, na skrzypiące wozy długich kupieckich taborów, ruszały w niezbyt odległą drogę w granicach Arnoru. Spotykało się również mnóstwo barek, spławiających towary po rzekach, barek podobnych do tej, którą przyjaciele płynęli po Isenie. Folko dowiedział się, że na południe od granic jego ojczystej, zamkniętej dla ludzi Hobbitanii, na przeprawie przez Brandywinę, gdzie zaczynająca się w Delwing droga przecina rzekę, również znajduje się duży ośrodek przeładunku towarów, z którego korzysta wielu.

Nadeszła pora pożegnania z Farnakiem i jego załogą. Folko, Torin, Malec i Hjarridi postanowili zejść do tawerny i przepłukać gardło po długiej wędrówce.

Szli brzegiem rzeki, przebijając się przez pstry tłum Eldringów i z szacunkiem omijali posępne arnorskie patrole, stojące na każdym skrzyżowaniu. Przyjaciele zwrócili uwagę na niezwykle długi, wąski okręt, błyskawicznie dobijający do brzegu siłą dwunastu par wiosł. Jego ostry, zadarty wysoko dziób zdobił wizerunek głowy nieznanego hobbitowi zwierza z dwoma długimi, wystającymi z paszczy kłami: przyspieszony mocnymi uderzeniami wiosł, okręt szybko się zbliżał. Na maszcie trzepotała czarno-czerwona flaga.

Hjarridi gwizdnął zdziwiony.

— A to ci historia! Sam Skilludr, klnę się na oko burzy! Zuchwalec!

Z okrętu już rzucano cumy, a po chwili z pokładu na przystań, nie czekając na ułożenie pomostów, zaczęli wyskakiwać ludzie. Skierowało się do nich kilku strażników, idący na czele jasnowłosego mężczyzna coś powiedział strażnikom, a gdy jeden z arnorskich żołnierzy zagroził mu drogę, ten wskazał na gładź rzeki, po której zbliżało się do przystani i przybijało do burty pierwszego okrętu pięć czy sześć nowych „smoków”. Zmieszany strażnik zszedł mu z drogi i przywódca spokojnie ruszył dalej. Za nim poszli jego ludzie, arnorscy żołnierze zaś pospiesznie rozeszli się, zostawiając tylko dwóch obserwatorów.

— Kim on jest? — zapytał hobbit Hjarridiego, wskazując ruchem głowy na oddalającego się jasnowłosego wodza Eldringów.

— O! Skilludr to potęga! — oświadczył poważnie i z szacunkiem pomocnik Farnaka. — Jest sam sobie królem i nie potrzebuje praw ani umów. Służy mu osiemset mieczy! I to jakich! Nie to, co ci arnorscy brzuchacze. Nie zawarł pokoju z Królestwem, ale jest na tyle silny, że w otwartym boju nie można go pokonać, a na Morzu nie da się doścignąć. . . Jednakże nie słyszałem, żeby był szczególnie okrutny, nie, on nawet nie walczy, po prostu żyje sobie, jak sam chce. Ale zdarza się, że łupi okręty Gondoru.

— No to jak się odważył przybyć tutaj?! Mogą go pojmać?

— Czy nie usłyszałeś, ile ma mieczy? Spróbuj go ruszyć! Z tego miasta nawet popiół nie zostanie! Poza tym dowódcy arnorskich pancernych wiedzą, że my, pozostali Eldringowie, którzy zawarli pokój, nie pomagamy Skilludrowi; jesteście wierni swemu słowu, ale też nie zamierzamy się bić po stronie Arnoru, więc będą musieli poradzić sobie sami! A do tego nie są zdolni. . . Hej! Co jest?

Jego okrzyk dotyczył hobbita, który zamarł nagle z rozdziawionymi ustami. Na przystań wychodzili coraz to nowi ludzie Skilludra, i nagle mignęła wśród nich znajoma smągła twarz. Folko nie zapomniał jej i nie pomyliłby z żadną inną. To był człowiek, który podarował mu monetę Terwina!

Torin, słysząc to, natychmiast chwycił za topór i rzucił przez zęby, że może sobie włóczyć miecz nawet osiemdziesiąt tysięcy mieczy, ale on chce porozmawiać z tym typem. Niewtajemniczony w całą historię Hjarridi zaczął ich ostrzegać; hobbit w dwóch zdaniach wprowadził go w sedno sprawy. Pomocnik sternika wzruszył ramionami.

— Skąd mógł wziąć tę rzecz, czcigodny Torinie? My nie bywamy w głębi cudzych ziem, a twój druh raczej nie był na wybrzeżu. Być może moneta zmieniła kilku właścicieli, zanim wpadła w ręce tego ostatniego?

— W takim razie chcę wiedzieć, od kogo ją otrzymał! — upierał się Torin.

Nie tracąc z oczu zapamiętanego przez hobbita marynarza, pospieszyli śladem tłumy żołnierzy Skilludra. Niespodziewanie dwudziestu z nich skreśliło do nierzucającej się w oczy piwiarenki; przyjaciele poszli za nimi.

W piwniczce było sporo ludzi, panował gwar i wisiały kłęby dymu. Między potężnymi stołami snuła się podejrzanie gorliwa służba, roznosząc tace z pieniącym się w kuflach piwem, a na ławkach rozsiedli się wywrzaskujący pieśni, różnacy w kości, kłócący się i handlujący hałaśliwi morscy żołnierze. Ludzi Skilludra przywitał przeciągły chóralny ryk, wielu obejmowało się, widocznie spotykali się tu starzy znajomi. Nowo przybyli — w odróżnieniu od reszty klienteli — zachowywali się mniej swobodnie.

Hobbit, krasnoludy i Hjarridi usiedli w kącie. Pomocnik sternika nie przestawał mrużyć niezadowolony i wyraźnie niechętnie odpowiedział na pytanie Folka, skąd pochodzi ten człowiek, który pochwalił jego potrawy.

— Jeszcze bardziej na południe od naszych południowych granic. . . Jest tam taki lud, najzuchwalsi z nich często przychodzą do nas. . .

— Idę — wyrywał się Torin, ale Folko powstrzymał go.

— Lepiej ja go zapytam — przytrzymał za rękaw przyjaciela.

Przedostawszy się między rzędami stołów i ław, hobbit ostrożnie dotknął ramienia mężczyzny. Ten odwrócił się natychmiast, w jego spojrzeniu pojawiła się najpierw czujność, a potem zaskoczenie. Folko uprzejmie się przywitał i powiedział, że ma kilka słów do czcigodnego...

— Klnę się na Wielką Wodę — przerwał mu mężczyzna ze śmiechem — przecież to ten sam mały, który tak wspaniale nakarmił nas w północnej stolicy! Jakże wiatry cię tu przywiały? Zmieniłeś gospodarza?

— Nie, to nie tak, czcigodny, wybacz, nie znam twego imienia — ciągnął wciąż uprzejmie Folko. — Ale, jeśli pozwolisz, chciałbym zapytać...

— Skąd to wzięłeś?! — ryknął nagle Torin, który podkraść się niezauważalnie i oczywiście, zepsuł całą sprawę.

Uśmiech zniknął z twarzy mężczyzny, nieznajomy nawet nie popatrzył na wyciągniętą dłoń z leżącą na niej nieszczęsną monetą.

— A kim ty jesteś, żebym miał ci się opowiadać? — Zmierzył krasnoluda spojrzeniem.

— Kimkolwiek jestem — ryczał Torin, odtrącając rękę usiłującego go odciągnąć hobbita — chcę wiedzieć, i przysięgam na Brodę Durina, że dowiem się, skąd masz to, co podarowałem swemu przyjacielowi przy rozstaniu! A jeśli twoja odpowiedź mnie nie zadowoli, klnę się, że policzę się z tobą za Terwina!

Eldring wysłuchał wzburzonego krasnoluda, uśmiechnął się krzywo, potem bez pośpiechu, cicho i wyraźnie rzucił mu w twarz słowa, po których Folko osłupiał, a Torin spurpurowiał tak, jakby w jego wnętrzu rozpalono wielki ogień. W następnej chwili topór krasnoluda z sykiem przeciął powietrze przed nosem mężczyzny. Dokoła rozległy się wrzaski, gwizdy i zachęty:

— Świetna para, klnę się na Morskiego Ojca!

— Hej, zróbcie im miejsce! Miejsce!

Miłośnicy takich widowisk momentalnie rozsunęli stoły, tworząc arenę. Nikt nie próbował uspokoić przeciwników, nawet gospodarz. Ostatnia nadzieja Folka, Hjarri, gdzieś zniknął.

Przeciwnicy zbliżali się do siebie. Obaj byli bez kolczug i hełmów, w rękę Eldringa połyskiwał długi, prosty miecz. Torin parł do przodu z toporem przed sobą. Skądś z tylnych rzędów wypadł Malec z obnażonymi klingami, ale od razu zwała się nań cała gromada i ktoś rozsądnie powiedział do ledwie dyszącego małego krasnoluda:

— Walka jest uczciwa i na odpowiednią broń. Co to, porządku nie znasz? Możesz pozwać kogoś sam albo będziesz walczył, gdy twój kompan przegra.

— Co tu się dzieje? — zagrzemiał nagle czyjś niski i poważny głos. Dochodził od strony niewidocznych dla hobbita drzwi. — Gront!

Rozpychając pospiesznie ludzi, którzy składali pełne szacunku ukłony, ku przeciwnikom zamasyście kroczył sam Skilludr w prostej skórzanej kurtce, z długim mieczem przy pasie. Zza jego pleców wychylała się zaniepokojona twarz Hjarriego.

Przeciwnik Torina natychmiast opuścił miecz.

— Co tu się stało? — zapytał Skilludr, obrzucając lodowatym spojrzeniem miejsce zajścia.

Gront pochylił głowę, rozłożył ręce w geście przyznania do winy.

— Nic szczególnego, mój panie — powiedział. — Ten czcigodny krasnolud postanowił sprawdzić moc mojego miecza.

— Na przyszłość wiedz, że stal krasnoludów jest lepsza — rzucił Skilludr chłodno. — Opowiadaj! — polecił, zwracając się do Torina.

Ten zaczął sapać ze złością, ale opanował się i zaczął mówić. Gdy skończył, twarz przywódcy Eldringów nie wyrażała żadnych uczuć.

— Rozumiem cię — zwrócił się do krasnoluda. — Ale muszę ci od razu powiedzieć, że szukasz nie tam, gdzie trzeba. Klnę się na Wieczne Morze, że moi ludzie nie zabili twego przyjaciela. Tę rzecz Gront otrzymał za odwagę, a gdzie i od kogo, to inna sprawa. Nie podajemy pierwszemu lepszemu imion ludzi, którzy robią z nami interesy. Będziesz musiał się zadowolić moją odpowiedzią lub cóż! — wypróbuj los. Ale siedzący tu wiedzą — zrobił kolisty ruch ręką — że w swoim życiu Skilludr ani razu nie skłamał. Nawet wrogowi.

Odwrócił się i w milczeniu skierował do drzwi. Ludzie schodzili mu z drogi. Gront ruszył za nim, ale zaraz zatrzymał się i przywołał do siebie hobbita.

— Naprawdę jestem niewinny — powiedział cicho wprost do ucha Folka. — Twój przyjaciel jest zbyt porywczy i dobrze by było trochę go utemperować, ale niech będzie, na pamiątkę naszego miłego spotkania przekaż mu, że tę rzecz dał mi pewien... ze wschodu, z którym razem chadzaliśmy... nieważne, dokąd i po co. No, to jak. Będziemy się bili? — zapytał głośno, zwracając się do Torina. — Nie zabiłem twego przyjaciela, przysięgam! Sprawdzić mnie i tak nie możesz, więc decyduj: wierzysz mi czy nie.

Odwrócił się i spokojnie zaczął rozmawiać z którymś ze swych towarzyszy. Torin splunął ze złością i podszedł bliżej.

— Ale powiedz mi, proszę — wykrztusił z trudem — od kogo ją otrzymałeś? Czy gdyby tobie to się przydarzyło, nie chciałbyś pomścić przyjaciela?

— Powiedziałem już twojemu druhowi wszystko, co mogłem — odparł spokojnie Gront. — Mogę powtórzyć: to był wielki wódz... ze wschodu. Ale nawet to nic nie znaczy, on mógł przecież otrzymać monetę z jeszcze innych rąk...

Z tymi słowami odwrócił się i szybko zniknął w tłumie. Do krasnoluda i hobbita podszedł Hjarri.

— Aleście wymyślili! — powiedział z przyganą. — Dobrze, że sam Skilludr odnalazł się nieopodal, musiałem mu się pokłonić, inaczej porąbaliby was na kawałki. Tutaj to zwyczajna sprawa.

* * *

Nadszedł czas rozstania. Przyjaciele spakowali swoje wyraźnie chudsze worki, załadowali je na grzbiety kupionych tu kuców, po czym, zapłaciwszy i pożegnawszy się z Farnakiem, ruszyli przez główną ulicę miasta, która stopniowo przechodziła w ubitą drogę. Domy skończyły się, ale wzdłuż brzegu rzeki ciągnęły się jeszcze przystanie. Walcząc z prądem w górę nurtu, płynął jeden z długich „smoków”. Przyjaciele rozpoznali, że należy do Skilludra; jego żagle zdobił wizerunek morskiej mewy, a z okrętu płynęła pieśń:

*Pod wieczornymi gwiazdami,
W cichym żagli łopocie,
Skuszeni obcymi brzegami
Myślimy o losu głupocie!*

*Hej, marynarze i włóczykije!
Stal naszych mieczy i stal pancerzy,
Z czerni i ognia sztandary się wiją...
Czy ktoś w bogate kraje nie wierzy?!*

*Pod wieczornymi gwiazdami,
Po ścieżce ze srebra czystego,
Idziemy na spotkanie z wrogami
W dym ogniska krwawego.*

*Wywrócone w wodzie niebo
Kusi nas bliskością swą,
Sypiąc nam okruchy chleba
W głębin mroczną toń.*

*Pod wieczornymi gwiazdami,
Kiedy srebrna woda lśni,
Drażni nas długimi wieczorami
Odbity w wodzie nieba błysk.*

Droga gwałtownie skręciła w prawo, omijając przybrzeżne wzgórza, i śpiew ucichł.

Rozdział 22

Angmarski wiatr

Postanowili nie kusić losu i dołączyli do dużego kupieckiego obozu, który kierował się do Annuminas. Lato minęło, nadszedł wrzesień, zaczerwieniły się olszyny, drżały na wietrze nagie gałęzie brzoź, nad gościńcem krążyły opadłe liście. Piątego dnia karawana bez żadnych przygód osiągnęła Sarn Ford, gdzie zaczynała się stara droga prowadząca do Wieżowych Wzgórz, znajdujących się za zachodnimi granicami Hobbitanii; dla Folka była to droga do domu.

Stał na poboczu szerokiej drogi, pozostawiwszy krasnoludów, by nadrobili braki w piwie w najbliższej karczmie; patrzył na północny zachód, w stronę, gdzie droga ginęła w szarej mgłę, jakby zlewając się z horyzontem, zaciągniętym niskimi zwartymi chmurami. Z północy wiało, hobbit wzdrygnął się i szczelniej zawinął w wysłużony płaszcz podróżny. Dopiero tutaj, znalazłszy się niedaleko od domu, nagle zrozumiał, że dojadły mu te wszystkie niemające końca i chyba sensu tułaczki. Na pustym skrzyżowaniu czuł się nieprzyjemnie, dokoła leżały obce ziemie. Co on tu robi? Już nie chciał wędrować ani do Annuminas, ani tym bardziej do Angmaru; pora była wracać do ojczyzny. Tam już zwożą do spichlerzy rzepę i brukiew, marchew i kapustę, wybierając najlepsze okazy na październikowy jarmark; wujaszek Paladyn bez przerwy miota się w tę i z powrotem po dziedzińcu, obsztorcowując leniwych młodych hobbitów, a pod dużym piwnym kotłem już rozpalany jest ogień; wybrany jęczmień czeka, i otwierane są szafy ze świątecznymi naczyniami, a w kuchni bulgocze i prycha ze dwadzieścia garnków; cioteczka dyryguje swoimi ruchliwymi synowymi, a na zboczu nad rzeką jego przyjaciele — Rorimak i Berilak, Saradok i Gorbulas, Mnogorad i Otto, Fredegar i Toddo — poćwiczą strzelanie z łuku do rozstawionych wielokolorowych tarcz, Fredegar zaraz wytoczy brzuchaty antałek piwa; wieczorem zaś będą tańce, z kurzu wycierane są trąby i bębny; latem, podczas żniw, nie ma czasu na zabawę... Och, jak ciągnie do domu! I niespodziewanie rwący ból w sercu zmusił go do podjęcia decyzji: niech krasnoludy myślą sobie o nim co chcą, musi wpaść do Bucklandu, zanim — być może! — ruszy znów na tułaczkę. Musi się przespać

pod własnym dachem, pokazać rodzinie i przyjaciołom. . . Zobaczyc Milicentę. . . Co się z nią dzieje, co u niej, a najważniejsze, z kim teraz jest? Może już dawno wyszła za mąż. . .

Hobbit odwrócił się i zaczął oddalać od mostu, maszerując po wyłożonej balami drodze do zajazdu, w którym się zatrzymali. Minął plac targowy, rozbrzmiewający gwarem sprzedających i kupujących; oto i brama, oto pociągający piwko przyjaciele. . . I jak im powiedzieć, że drogi, dotychczas wspólne, się rozchodzą? Folko nie zdecydował się i odłożył rozmowę do jutra.

Reszta dnia minęła na słodkim nieróbstwie. Pod wieczór z zasnuwających całe niebo szarych chmur zaczęła przenikać drobna mżawka. Hobbit siedział przy kominku, i nie wiadomo dlaczego, robiło mu się coraz smutniej. Przeczuwał, że nieprędko ujrzy kochany Buckland; w płasających płomykach nagle zobaczył gorące mury jakiegoś miasta i zimna żmija, zwiastunka nieszczęścia, wpełzła do duszy. Krasnoludy chrapały beztrosko, a on ciągle siedział, dorzucając dREW do ognia, jakby bał się ciemności. Złowieszczo wył gdzieś na strychu wiatr; gałązka rosnącej na podwórzu jabłoni niczym sucha ręka drapała w szybę okna. Coś skrzypiało i wierciło się w kątach, trzaskała niedomknięta okiennica; we wszystkich tych zwyczajnych odgłosach dużego domu hobbit słyszał oznaki zbliżania się jakiejś niedobrej, nienawidzącej wszystkiego co żywe siły, pospiesznie więc naciągnął koc na głowę i — zupełnie nieoczekiwanie — niemal natychmiast zapadł w sen.

. . . Sen to był czy jawa? Z szarej mgły nagle wyłoniła się wysoka szczupła postać człowieka z ogromnym puchaczem na ramieniu. Folko poznał Radagasta.

— W końcu cię odnalazłem — powiedział zaniepokojony. — Nie mam już tyle sił, czasu mało. . . Posłuchaj! Przyszło nieszczęście, skąd go oczekiwałem. Angmar się zbuntował! Pospiesz się, jesteś mi potrzebny na północy. Czekam na ciebie w Przygórzu. Spiesz się. . .

Fale rozkołysanej szarej mgły wchłonęły postać Radagasta i hobbit, zlany zimnym potem, poderwał się na twardym łożu, wpatrując się w ciemność. Co to było? Dziwaczny sen czy ostrzeżenie. . . Czyżby Torin miał rację? Czyżby wojna? Dopiero teraz poczuł lodowaty oddech strasznego słowa. Wojna! Co się stanie z jego Bucklandem? Z Hobbitanią? Należy uprzedzić, trzeba posłać wiadomość!

Zaczął rozpaczliwie szarpać spokojnie śpiącego Torina. Rozespany krasnolud nie od razu pojął, czego chce Folko, a zrozumiawszy, usiadł i szeroko rozdziawił usta.

— Wołał mnie do Przygórza. . . Ale co z moimi rodakami? — Hobbit przygryzł wargi aż do krwi.

— Poczekaj — rzucił Torin ponurym tonem, wściekle skręcając sobie włosy brody. — Jesteś pewien, że to ci się nie przyśniło? — Folko rozłożył bezradnie ręce. — Och, te twoje sny, niech mnie Durin natchnie! . . . Co możemy zrobić?

— Przysunął się do okna. — Noc niby jasna, drogę widać... Budź Małego, a ja zajmę się kucami...

Obudzić Malca nie było łatwo, w końcu ocuciło go zimne, nocne powietrze, gdy został wypchnięty na podwórze. Pызaty księżyc dawał wystarczająco dużo światła. Po pustej drodze trójka przyjaciół spieszyła ku dalekiemu czarnemu horyzontowi, gdzie niebo zlewało się z równie czarną ziemią.

* * *

Ranek, zimny, ciemny, powitał ich jakieś dobre dwadzieścia cztery mile na północny wschód od Sarn Fordu. W dzień ziemie te wydawały się bardzo przyjazne. Odpoczywając po nocnym wyścigu, przyjaciele pociągali piwo w przydrożnej karczynie. Piały ostatnie z obudzonych kogutów, dopiero co przeszło stado pędzone na łąkę. Zaspany gospodarz podał im pełne kufle. Karczyna stała na skraju wsi, dlatego pierwsi usłyszeli wściekły tętent kopyt na prowadzącej od Przygórza drodze.

Folko poczuł skurcz serca. Kto może bezlitośnie gnać konia o tak wczesnej porze?

Wkrótce się dowiedział. Przy płocie wiązał spienionego konia ledwo trzymający się na nogach jeździec. Jego biało-niebieski płaszcz zachlapany był błotem, spod odsuniętej na tył głowy czapki wysuwały się mokre od potu włosy.

— Hej, jest tu kto? — rozległ się zachrypnięty głos jeźdźca. Wskoczył gospodarz. — Budź ludzi! — rzucił władczo przybyły. — I szybciej, szybciej się ruszaj! Nie mam czasu czekać, przed wieczorem muszę być w Sarn Fordzie.

— Ale co jest, co się dzieje? — mamrotał gospodarz, z szacunkiem i strachem gapiąc się na żołnierza.

— Co się dzieje?! — ryknął tamten, na chwilę przestając siorbać przyniesione przez oberżystę piwo. — A to, że wy wszyscy wieśniacy macie się ukryć w lasach wraz z całym dobytkiem, i nie wracać, póki się wam nie pozwoli. Jasne?! Dawaj piwa jeszcze...

— Po co... Przed kim mamy się chować? — zadygotał oberżysta.

— Przed kim? Nie musisz wiedzieć — rzucił ponuro żołnierz. — Wojsko wyrusza na wyprawę, przez jakiś czas nie będziecie mieli ochrony... Wiele może się zdarzyć... Dość tych pytań! — rzucił gwałtownie, kładąc kres rozmowie. — Wszystko, co należy wiedzieć, już wiesz, teraz powtórzę to ludziom... Nuże! Budź wszystkich!

Odwrócił się i ciężko stąpając wszedł do oberży; niemal upadł na ławę. Potykając się jak ślepiec, karczmarz popędził do najbliższego domu i zaczął rozpacz-

liwie walić we wrota. Zaszczekał pies, potem rozległy się niewyraźne głosy... Tymczasem Torin ostrożnie dotknął gońca za ramię.

— Wybacz, czcigodny, póki nie ma tu nikogo innego, powiedz nam, o co chodzi. Jeśli nie możesz mówić, przynajmniej skiń głową. Wojna? — I Torin na chwilę zamarł, z trudem wypowiedziawszy to słowo. — Wojna z Angmarem?

Żołnierz drgnął i popatrzył ze zdziwieniem na krasnoluda; Folkowi wydawało się, że wszystko dookoła zaczyna wirować. Goniec, ciężko westchnawszy, pochylił głowę, a Torin ciągnął:

— Od dawna docierały do nas niepokojące wieści, więc nietrudno było się domyślić... Ale cała nasza trójka chce walczyć z wrogami Arnoru. Dokąd trzeba iść? Gdzie się zbiera ruszenie? I jeszcze jedno, czy krasnoludy idą z wami?

— Co to za pytania, czcigodny? — Goniec nachmurzył się i podejrzanie zerknął na Folka. — O niczym takim nie wiem!

Z ulicy doszedł gwar zaniepokojonych głosów, żołnierz podniósł się i wyszedł, jeszcze raz obrzuciwszy Torina nieufnym i czujnym spojrzeniem.

— Prędejj, prędejj do Przygórza. — Tylko tyle zdołał wykrztusić Folko.

Nie szczędzili siebie ani kuców i trzy dni później znaleźli się w Przygórzu. Hobbit na zawsze zapamiętał opustoszałe wsie — ludzie uciekali, gdzie kto mógł, nikt niczego nie rozumiał, ale wywozili wszystko, co się dało. Przyjaciele nocowali w porzuconych zajazdach. Przed wieczorem Folko ledwo stał na nogach; szybko zasnął i nic mu się nie śniło.

— Nie rozumiem — wycedził przez zęby Torin, widząc, jak kilka wozów z dobytkiem zmierza w stronę pobliskiego lasu. — Dlaczego wszyscy mają się kryć? Dlaczego nie ogłoszono pospolitego ruszenia?

Jego pytanie pozostało bez odpowiedzi; tylko raz wyprzedził ich spieszący na północ duży oddział arnorskich jeźdźców; przechylwszy się w siodle, dowódca krzyknął do nich, żeby się pospieszyli z ukryciem. Krasnolud usiłował wypytać go, co się właściwie dzieje, ale jeździec tylko machnął ręką i dał koniowi ostrogi...

Przygórze powitało ich pustymi domami, na peryferiach pospiesznie spinali wozy dwaj spóźnieni mieszkańcy; Folko niechętnie podsłuchiwał ich rozmowę:

— Co się dzieje, kumie? Czegośmy dożyli? Gdzie teraz się chować, co? I młyn... Kamienie zdjąłem, a co z nimi zrobić? Zakopać czy jak? Bo ukradną, jak ich znam...

— Zakopać! To dobra myśl. Nawet moja żona, choć głupia jak but, zrozumiała, że trzeba, i pozakopywała wszystkie garnki i uchwyty do nich...

— Hej, czcigodni! Co się tu dzieje? — zawołał Torin.

Jednakże przygórzanie nie byli skorzy do rozmowy. Spojrzawszy na błyszczący pancerz krasnoluda i na jego długi topór z posrebrzoną rękojeścią, dali drapaką, zapomniawszy nawet o swoich wozach. Przyjaciele ich wołali, ale na próżno.

Większe osiedle wydawało się wymarłe, pozostało w nim tylko dwudziestu arnorskich pancernych. Ci długo i szczegółowo wypytywali przyjaciół, kim są, skąd idą, w końcu dali im spokój, skrobnęli coś na liście podróznym i przepuścili przez strażnicę.

Przyjaciele pognali wierzchowce Główną Ulicą.

— No, gdzie jest ten twój. . . — zaczął Torin i zamilkł, widząc, że nie wszyscy mieszkańcy uciekli czy pochowali się. Obok słynnego „Rozbrykanego Kucyka” kilku ludzi i miejscowych hobbitów wznosiło obok drzwi barykadę z belek i worków. Wśród nich mignęła znajoma sylwetka Barlimana, ale nie udało się z nim porozmawiać, ponieważ na środek drogi wyszła wysoka postać z długą czarną laską w dłoni. Przyjaciele poznali ją od razu.

— Szybciej! — rzucił Radagast, wchodząc do kramu i zamykając szczelnie drzwi.

Malec cichutko zasiadł w kącie, nawet Torin poczuł się onieśmielony; wydawało się, że stoi przed nimi jeden z wielkich magów przeszłości: ramiona Radagasta wyprostowały się, tajemnicza siła wciąż była widoczna w głębi jego jedyne go oka, ręce już nie wyglądały jak starcze, a ślady zmarszczek bardziej przypominały bojowe blizny młodego, ale już doświadczonego wojaka.

— Słuchajcie! — Oko Radagasta jakby wnikało w ich wnętrza. — Zaczęła się wojna. Cztery dni temu przybył goniec z Fornostu. Angmar dużymi siłami ruszył ku granicom Królestwa; mają w sercach żądzę złota i krwi, grabią, dlatego wydaje mi się, że nie będą wchodzić głęboko poza rubieże, chyba nie dalej niż Fornost. Ale ich przywódca. . . Jest w nim jakiś niejasny dla mnie mrok, mało mu złota i władzy, poza tym prowadzi go jakaś siła, której nie potrafiłem zrozumieć. Musimy to zbadać za wszelką cenę.

— A jak mamy to zrobić? — Folkowi zaczął plątać się język.

— Trzeba dołączyć do armii krasnoludów, która idzie na pomoc Namiestnikowi — powiedział Radagast. — Idą przez Annuminas do Arthedain. Tam wyznaczono miejsce zbiórki. Namiestnik, jak sędzę, uważa, że Angmarczycy walną łbami w mury Fornostu, a w tym czasie akurat on zdąży. Nie wiem, nie wiem. . . Tamci poruszają się szybko.

— Jak to się stało, że aż tak ich wyprzedzono? — zapytał Torin. — Goniec dotarł niemal do Sarn Fordu!

— Konna sztafeta od samych angmarskich rubieży — odpowiedział Radagast. — Namiestnik tego lata też nie próżnował. Ściągnął sporo jazdy do stolicy, wyposażył odległe patrole. . . A prócz jazdy Angmarczycy mają też piechotę, a ta ich wstrzymuje. Piechota — uśmiechnął się smętnie — w połowie chyba składa się ze znanych nam arnorskich rozbójników. Hraudun starał się nienadaremnie. . .

— Hraudun? — zdziwili się Folko i Torin.

— A co myśleliście? Po co niby się pętał po królestwie i szczał wsie przeciwko sobie? Ja sam go ścigałem, może dlatego nie uczynił tylu szkód, ile by mógł!

Jest chytry i niezwykle zręczny. A co najważniejsze, wciąż nie wiadomo, skąd się tu wziął! Ale dość o tym. Musicie się spieszyć. Hird wyszedł siedem dni temu i powinien już być na miejscu. Nie zwlekajcie! Pancerze, jak widzę, macie mithrilowe! Postarajcie się poznać imię przywódcy. Dobrze by było popatrzeć mu w oczy. Patrzcie więc i zapamiętajcie! Potem spotkamy się i opowiecie mi.

— Dowiedzieć się, kto dowodzi siłami wrogów, nie będzie łatwo — powiedział wolno Torin. — Z hirtu niewiele widać... Zresztą kto wie, jak pokieruje los? Jeśli nas pokonają? Trudno sobie, oczywiście, wyobrazić, że hirt zostanie rozbity, ale...?

Przez twarz Radagasta przemknął cień.

— Jak przewidzieć losy wojny? — westchnął. — Ale gdyby doszło do porażki, umawiamy się tak: wy nie myślcie o mnie i postępujcie tak, jak każe wam sumienie. Angmar w tej chwili nie poradzi sobie z Arnorem — ludzie północy nie mają sił, o nie. Karn Dum nie ma tej potęgi co kiedyś! Jedną potyczkę mogą wygrać, wojnę — nigdy. Namieśnik ściągnął niemałe siły, i dużo ma w rezerwie. O nie, to jeszcze nie ich czas. Nie wiem, czy w ogóle kiedyś nastanie. Oby nie nastął nigdy!

Folko pokiwał głową, usiłując opanować krępujące drżenie dłoni.

— Sprawa jest szczególnie trudna — ciągnął Radagast. — Obawiam się, że musimy teraz zapomnieć o Morii...

— Ale widzieliśmy tyle i dowiedzieliśmy się... — zaczął Folko.

— O waszych podziemnych przygodach wiem niewiele — powiedział były mag. — Wyłóż mi tylko to, co najbardziej cię zaskoczyło, oraz szczegóły, których nie mogli przekazać słudzy...

Mimo prośby Radagasta Folko mówił długo, mag zaś często mu przerywał. Szczególnie zainteresował go Olmer i podarowany przezeń magiczny sztylet. Dziwny grymas pojawił się na twarzy maga, gdy wziął do ręki czarną pochwę: jakby coś z dni niewyobrażalnie odległej młodości nieznanymi ścieżkami trafiło do tego świata, przypominając mu o dawno minionych i nieznanym nikomu wydarzeniach; a potem zaczął opowiadać:

— Dawno, dawno temu, kiedy świat był młody, a pierwotne siły nie porzuciły Śródziemia, gdy sam Tom Bombadil dopiero budował swój dom w sercu dzisiejszej Chronionej Krainy, a Olorin i Ajwendil razem wędrowali po szarych wodach Hanlaru, kiedy dopiero tworzyła się Gwiezdna Przystań, wtedy daleko na zachodzie, w dziś pochłoniętym przez wody pięknym Belerandzie, mieszkał Pierwszy Sługa Wilczego Płomienia Arnoru, którego imię nie może tu być wymienione. Był sam sobie panem, żył dla siebie i nie służył nikomu oprócz wiecznego słonecznego światła. Mógł niemal wszystko, ale wykonawszy swoje obowiązki, nie zechciał porzucić Śródziemia wraz ze Strażnikami Wody, Powietrza, Kamienia, Ognia i innymi. Jego wiedza nie miała granic; wielcy władcy elfów Pierwszego Wieku, Tingol Szary Płaszcz i Turgon Gondoliński — byli jego uczniami.

Pewnego dnia przyszedli do niego Ajwendil i Olorin, mag nie powiedział po co, i wśród wielu innych przybyłych — kogo on ma na myśli, zastanawiał się Folko — spotkali Berdrada Niebieskiego, który żył daleko na wschodzie Śródziemia, gwiazda i światło budzących się Śmiertelnych, o których tu, na zachodzie, w tych dniach, nikt jeszcze nie słyszał. W jakimś celu Berdrad, władający prócz tego góorskimi żylami, stworzył wiele zadziwiających i obdarzonych cudownymi właściwościami i mocami kamieni szlachetnych. Historia tych kamieni to oddzielna i długa opowieść, ale wśród nich znajdował się również krzyżownik, czy też w języku elfów telruddar, Związana Gwiazda. Niebieski ukrył w nich swoje tajemne zaklęcia, które pomagały pokonywać mroczne czary sług Władcy Ciemności. Niebieski, jak się dowiedziałem od Pierwszego Sługi, miał uczniów z rodu pierwszych elfów wschodnich ziem, nawet nie tych, od których wywodził się ród elfów Złotego Lasu i Mrocznej Puszczy, tylko jeszcze innego rodu, Avari — Niechcianych; tych, którzy zostali w pierwotnej ojczyźnie elfów daleko na wschodzie Śródziemia. Uczniowie Niebieskiego również tworzyli „kamienie mocy”. Potem ich część nieznanymi drogami trafiła w ręce pewnego dziwnego plemienia Czarnych Krasnoludów, niebędących potomkami Durina, a plemię to dawno zniknęło w pomroce dziejów. Wykonana przez nich broń ceniona była na wagę mithrilu w dniach Pierwszego Wieku. W rękojeści swoich mieczy i sztyletów wprawiali „kamienie mocy”, które dawały klingom zadziwiającą siłę. W twoje ręce trafił jeden z tych zadziwiających sztyletów; kamień w nim to robota samego Berdrada, a kto wykuł resztę, nie potrafię powiedzieć. Sztylet cudem ocalał w pożogach i niepokojach dziesięciu tysięcy lat. Strzeż go, Folko — zakończył Radagast i nie dając płonącemu z niecierpliwości hobbitowi zadać pytania, natychmiast zaczął mówić o mocy, z którą zetknęli się w Morii. — Jeśli wszystko jest tak, jak przedstawiłeś, to może być źle — mruzczał do siebie mag. — Co za straszliwe wytwory — Pożeracze Skał, powstały ze związku Purpurowego Płomienia, Płomienia z Udunu, płodu Morgotha i Pierwotnej Podgórskiej Ciemności! Chciałbym wiedzieć, co zbudziło je z tysiącletniego snu. . .

Opowiadając dalej, mag tylko czasem kiwał posępnie głową.

— Hazgowie. . . to rozumiem. Pochodzą ze wschodu, zza Morza Rhun. Kiedyś niepokoili swoimi wyprawami kraj nad Morzem, ale byli odrzucani. A teraz kto ich wyprowadził ze stepów? Kto spowodował, że doszło do ich sojuszu z Angmarem? Podobnie jak i Dunland, zauważcie! Jakiś tajemniczy wódz zbiera teraz wszystkich, kto ma jakieś porachunki z Zachodem, i pewnie w tej idącej na nas armii spotkają się i wycinający żuchwy, i Dunlandczycy. Pewnie nie obejdzie się bez wilczych jeźdźców, a czy wmiesza się w to Morski Lud, nie wiem. Oni są sprytni i ostrożni, nie będą się wdawali w jakieś awantury. — Mag milczał chwilę. — Dobra, o nich napiszę do Kirdana. A do Orthanku muszę przejść się sam, jak tylko poradzimy sobie z agresorami. Och, Sarumanie, Sarumanie! Więc tak wyglądał twój pożegnalny prezent! Zmusił Wieżę do mówienia! Król Elessar nie

na darmo zakazał ludziom wchodzenia do niej... A co do syna Boromira, interesująca historia. Niepodobna to rzecz do Wielkiego Króla, bardzo niepodobna! Złe języki i złe serca szukają pretekstu do mącenia... Poślemy wieści do króla i spróbujemy go przekonać. A teraz już czas! — Mag podniósł się. — Spieszcie się! Wojsko Namiestnika już wyszło z Arthedainu, a krasnoludy dopiero co dołączyły do niego, z godzinę temu. Nie żałujcie koni! Po zwycięstwie wracajcie tutaj, jeśli natomiast los nie będzie nam sprzyjał, sam was odnajdę. Żegnaj, niewysoczku, strzeż się!

Przyjaciele bardzo się spieszyli, ale wpadli jeszcze do Barlimana na ostatni kufelek piwa. Oberżysta powitał ich ciepło, zupełnie jakby nie było żadnej wojny.

— Dlaczego się nie kryjesz, czcigodny? — zainteresował się Torin, ocierając brodę. — Patrz, całe Przegórze opustoszało... Żebyś nie żałował...

— Akurat porzucę swoje zajęcie! — prychnął Barliman. — Oberża to, wiesz, każdemu jest potrzebna, czy to Arnorowi, czy Angmarowi. A jeśli ktoś spróbuje grabić, znajdziemy na takiego sposób.

Przyjaciele wymienili zdziwione spojrzenia i nic nie powiedzieli.

Ponownie znaleźli się na gościńcu, który przemierzali rok temu. Ale teraz ruch na drodze zamarł — nawet strażnicy opuścili wieże. Ani ludzi, ani koni, ani dymów nad okolicą, szczekania psów czy piania kogutów. Pustka i cisza. Hulał tylko zimny, przenikliwy północno-wschodni wiatr, niedobry wiatr z Angmaru.

* * *

Wojsko spotkali następnego dnia, zetknąwszy się z czołowymi patrolami. Szybkim, ale równym krokiem szła przez skrzyżowanie biało-niebieska jazda, oddział główny; Folka uradował widok mocnego, zwarte go szyku rosnących żołnierzy, trzymających długie kopie z proporczykami w kolorach Arnoru. Trzej jeźdźcy wyłamali się z szyku i skierowali do przyjaciół. Torin szybko sięgnął w zanadrze i wyjął list podróżny.

— Cóż, czcigodni, chwali się wam, że chcecie się do nas przyłączyć — zmierzyl ich ciężkim spojrzeniem dowodzący oddziałem setnik, po uważnym zapoznaniu się z treścią pergaminu. — Twój rodacy, synu Dartha, wkrótce tutaj będą. Zostawię z wami dwóch swoich ludzi...

Zaczęło się dziwne oczekiwanie. Krasnoludy rozpałiły na poboczu ogień; Folko jak zaczarowany wpatrywał się w mijające ich szwadrony. Było ich wiele, znacznie więcej, niż sądził; Namiestnik wysłał nie mniej niż tysiąc ludzi. Hobbita ogarnęła obojętność, nie czuł strachu, ale nie miał też zapału do walki; udzielił

mu się spokój mijających go żołnierzy, którzy szli, zachowując ponure milczenie; on też miał sprawę i musiał ją załatwić.

Przesiedzieli na przydrożnych kamieniach niemal cały dzień. Po ariergardzie ruszyły siły główne. Szwadron za szwadronem pancerna jazda znikła w zaciągającej fornorską drogę wilgotnej mgle. Namiestnik rzeczywiście nie tracił czasu.

A potem męczącą ciszę przerwała beztroska pieśń: śpiewało ją wiele dziesiątek buńczucznych głosów, i towarzysze hobbita natychmiast poderwali się na równe nogi, kiedy zza zakrętu wyłoniły się dziarsko kroczące oddziały ruszenia z Gór Księżycowych.

Uśmiechy na twarzach krasnoludów zdziwiły Folka, bowiem nie było powodu do radości tego dnia i w tym miejscu, ale patrząc na wesołą gromadę rodaków Torina, zrozumiał reakcję przyjaciół. Krasnoludy miały na sobie zielone, brązowe, szare płaszcze lub kurtki, pod którymi widniały jednak zapobiegawczo nałożone pancerze. Szły swobodnie, wykrzykiwały do siebie, śmiały się, jakby odbywały spacer; dobry humor nie zdradzał zamiarów.

Widząc Torina, Malca i hobbita, krasnoludy powitały ich ogłuszającymi wrzaskami, jednak nikt nie zatrzymał się i nie wyszedł z gromady, tylko pewien leciwy już siwobrody krasnolud noszący bogato zdobiony kamieniami pas wystąpił z tłumu. Przez chwilę Torin, jakby z wahaniem, wpatrywał się w spokojne i szlachetne oblicze współplemieńca, potem skłonił głowę; można było się domyślić, że znają się od dawna, ale nie łączą ich miłe wspomnienia.

— Witam zuchwałego Torina, syna Dartha — rzekł stary krasnolud. — Myślałem sobie, gdzie też mógł się podziać w takich czasach główny zabijaka Haldor Kaisa? A on jest tu! — Mówiący uśmiechnął się. — Co tam będziemy długo gadać, przyłącz się do nas, jeśli jeszcze pamiętasz, gdzie jest twoje miejsce w hirdzie. A Strori też tu jest! Wybacz, ale ty musisz zostać z tyłu, będziesz chronił hobbita.

Malec poderwał się, jakby chciał wszcząć spór, ale oczy starca nagle błysnęły takim ogniem, że Mały tylko przygryzł język. Sinobrody odwrócił się i zniknął za plecami idących obok krasnoludów. Przyjaciele w milczeniu przyłączyli się do nich.

* * *

Fajnie maszerowało się z krasnoludami. Ich rubaszne piosenki nie pozwalały hobbitowi pograć się w niewesołych rozmyślniach. Tymczasem nadszedł wilgotny jesienny wieczór i wojsko zatrzymało się na nocleg. Od razu chwycili za łopaty, gdyż z polecenia Namiestnika ogniska wolno było palić tylko w dołach.

Kucharze rozpalili ogień, porozdawali kociołki z gorącym posiłkiem, potem obóz ucichł, tysiące ludzi i krasnoludów jakby rozplynęły się w przydrożnym lesie, głosy milkły, jedynie wiatr świstał w giętkich gałęziach pozbawionych liści. Chmury nie przerzedziły się, zasłoniły nawet księżyc. W ciemnościach tylko wartownicy z bronią w ręku chodzili wokół śpiących towarzyszy.

Hobbit, który od razu zasnął kamiennym snem, nagle przebudził się i wyskoczył z łóżka; nie mógł pojąć, co się wydarzyło, ale wkrótce zrozumiał. Usłyszał przeciągłe i nasilające się znajome tęskne wycie, wezwanie ozywających Mogilników. Wycie zmieniło się wyraźnie — teraz wypełniała je nowa siła. Obóz w jednej chwili ożył.

Noc była bez gwiazd, księżyc niewidoczny, matowym światłem odznaczały się doły z gasnącymi ogniskami, szalał zimny angmarski wiatr z Karn Dumu, a wołanie nieludzkich wściekłych mocy, falując, kruszyło tchórzliwą ciszę. W odpowiedzi rozległy się okrzyki przestachu i szczęk mieczy, ale wycie nie ustawało, przepełnione straszliwymi i tajemniczymi słowami, niezrozumiałymi dla Śmiertelnych, a jednak nikt nie miał wątpliwości, że przede wszystkim wyrażało triumf. Potem dziesiątki głosów zaczęło nagle wykrzykiwać nowe niespokojne wieści, setki rąk wskazywało na wschód, tysiące oczu wpatrywało się w ciemny horyzont.

Nad wschodnimi wzgórzami widoczna była luna oświetlająca niższe warstwy chmur i barwiąca je na trupio żółte kolory, spod których przebijał purpurowy blask.

— Fornost! — krzyknął ktoś i natychmiast setki ust jednocześnie powtórzyło okrzyk: — Fornost!

Rozpętało się piekło. Żołnierze chwycili toboły, zaczęli łąpać rozkiełznane na noc konie i zaprzęgać do wozów. Nie minęła godzina i wszyscy, do ostatniego ciury, znowu kroczyli po ledwo oświetlonej nielicznymi pochodniami drodze, wsłuchując się w przeraźliwe wycie, stopniowo zamierające w oddali.

Gdzie się podział pogodny nastrój krasnoludów? Maszerowali teraz w pełnym uzbrojeniu, prócz odgłosu kroków nocną ciszę zakłócało tylko pobrzękiwanie stali.

Luna na horyzoncie podnosiła się coraz wyżej, i oto z ust do ust przemknęła przez szeregi wieść: przybył goniec z Fornostu. Miasto padło, a wróg — Angmarczycy, rozbójnicy, Dunlandczycy i inni, nieznani — forsownym marszem zmierza w głąb Arnoru.

Trzęsąc się w siodle, hobbit nie przestawał łamać sobie głowy nad tym, jak wykonać polecenie Radagasta i nie dać się trafić strzałą, mieczem czy włócznią.

Ale przecież tej samej odpowiedzi potrzebuje Namiestnik — przemknęła myśl. Może należy wyszukać Rogwolda, jeśli tu jest. Albo poprosić krasnoludów, żeby dobrze przesłuchały jeńców, jeśli tacy będą? A może wleźć na wysokie drze-

wo i samemu coś wypatrzeć? Westchnął. Nie można przecież zdawać się tylko na uśmiech losu.

Jednakże chyba nie pozostało mu nic innego. Niebo zaczęło szarzeć, a ściany lasu, obejmujące drogę przez ostatnie dziewięć mil, rozwarły się i oddziały Arnoru wyszły na skraj obszernej równiny, rozpościerającej się daleko na wschód. Mniej więcej o trzy mile od nich płynęła z północy na południe rzeka; po lewej stronie przy drodze szeleścił suchym listowiem niewielki zagajnik. Droga przechodziła przez równinę, zostawiając z lewej niewielkie wzgórze, i dalej podążała ku rzece, gdzie w pierwszych porannych promieniach słońca Folko zobaczył dość duży drewniany most. Łąki za rzeką kryły się w gęstej mgłę, a dalej, za nimi, zielonkavo-błękitny nieboskłon plamiły rozmazane słupy czarnego dymu, który wolno unosił się do góry.

— Stój! — przemknęło po oddziałach. — Postój!

Tak zaczął się ten dzień, od długiego, męczącego oczekiwania. Folko nie wiedział, dlaczego zatrzymali się właśnie tutaj, nie wiedział, co będą robić później — bezmyślnie podporządkował się rozkazom i czując, że bitwa jest blisko, przytknął oczy, próbując przypomnieć sobie coś miłego z przeszłości. Jednakże nie wiadomo dlaczego pojawiały się zupełnie inne obrazy i skojarzenia: upiory, wyłazące z Kurhanów, świst strzał we wsi obok Wilczego Kamienia i fala Mroku, waląca się na znieruchomiałego Hornborina. . .

Dlaczego tu stanęli? Co będzie, jeśli wróg odkryje ich pierwszy? Hobbit nie mógł znaleźć dla siebie miejsca; gorzko uśmiechnąwszy się, pomyślał, że daleko mu do bohaterów Czerwonej Księgi — oni wiedzieli wszystko, znajdując się obok takich gigantów jak Gandalf i Wielki Król, a co wie on, nikomu nieznany żołnierz Arnoru? — Bardzo chciał, by uważano go za takiego, który rozumie zachodzące wydarzenia.

Jego rozmyślenia przerwały szybko padające komendy. Arnorska jazda ustawiła się w długim szeregu, zagrządzając drogę i kryjąc lewe skrzydło przydrożnym zagajnikiem. Dopiero teraz Folko zobaczył Namiestnika. Miał na sobie prosty biało-niebieski płaszcz, niczym nieróżniący się od płaszczy pozostałych jeźdźców; obok powiewał dumnie, wysoko sztandar z herbem Zjednoczonego Królestwa. Otaczali go starzy doradcy, hobbit poznał Skibalda. Sam Namiestnik jechał ze spuszczoną głową i słuchał, co mu mówi przybyły z mgieł młody jeździec. Kiedy dokoła zaroilo się od krasnoludów, Folko stracił z oczu Namiestnika.

— No, bracia. . . — podniósł się Torin i poprawił kolczugę. — Na mnie pora, hird już się ustawia. . . Mały! Dobrze pilnuj hobbita i obozu, nie odchodź nawet na krok!

Nie słuchając przekleństw wściekłego małego krasnoluda, Torin odwrócił się i po chwili nie dało się go już rozpoznać wśród setek podobnych do siebie wojowników odzianych w połyskujące zbroje.

Ciągle jeszcze przeklinając, Malec chwycił Folka za rękę i powłókł do lasku, za którym stały wozy. Obejrzawszy się, hobbit zobaczył, że krasnoludy ustawiają się w drugiej linii za plecami arnorskiej jazdy. Z boku ich oddział przypominał opancerzony kawałek srebra.

— Akurat! Ja mam mu worków pilnować! — gotował się Malec. — Zrobimy tak: pójdziemy do lasku i tam się ukryjemy. Przynajmniej będziemy widzieli, jak się sprawy mają!

Przekradli się na skraj lasku. Po ich prawej stronie zastygł w bezruchu konny szyk Arnorczyków, po lewej w krzakach ukryła się piesza czujka, na wprost rozpościerało się pole. Słońce już wstało, ale całe niebo przykrywały chmury; zły angmarski wiatr nie przestawał wiać.

Nie musieli długo czekać. Z mgieł na drugim brzegu rzeki wyłoniły się pierwsze ciemne postacie i hobbit odruchowo ścisnął Malca za rękę. Postaci przybywało i wkrótce Folko zobaczył duży oddział jazdy, kłusujący po lewej od drogi, natomiast po samej drodze spiesznie posuwała się piechota, migotały długie włócznie i okrągłe tarcze. Jeszcze bardziej na prawo przemieszczał się drugi oddział, przemieszany — jazda i piesi; wśród ich szeregów wyróżniały się wysokie wozy.

Wojska Arnoru nie poruszyły się, jakby nie zauważyły wyłaniającego się z mgły wroga. Jazda przeciwnika ruszyła prosto przez rzekę, okazało się, że są tam brody i wszystkie trzy kolumny, nie tracąc czasu, rozpoczęły przeprawę na drugi brzeg.

Folko zobaczył jakieś czarno-żółte, żółte i malinowe sztandary, ale były jeszcze zbyt daleko, by mógł dostrzec wizerunki na nich.

I oto już cała jazda nieprzyjaciela znalazła się na brzegu. Angmarchycy rozciągnęli szyk jeszcze bardziej w lewo od drogi, celując prosto na zagajnik, w którym przyczaili się Folko i Malec. Ich piechota już rozwijała się w poprzek pola; oddział z wozami ruszył ku przydrożnemu wzgórzu. Kawaleria Angmaru liczebnością nie ustępowała arnorskiej, a to nie były jeszcze wszystkie siły wroga. Jego czarni jeźdźcy zbliżali się, teraz już wyraźnie widać było herb na sztandarze — czarną trójzębną koronę w białym kręgu. Jednakże werwa, z jaką ruszyli do ataku, wyraźnie słabła — czy to dziwił ich nieruchomy szyk arnorskiej drużyny, czy też nieznaną wódz miał jakiś inny plan. Piechota maszerowała, pochylając krótkie włócznie, teraz już wyraźnie było widać w jej szeregach żołnierzy z różnych plemion. Hobbit poznał podobne do koryt tarcze Dunlandczyków, różnobarwne watahy rozbójników, widział zielone płaszcze angmarskich mieczników; ci znajdowali się w centrum szyku. A między nimi i wzgórzem maszerował jeszcze dziwniejszy oddział, nie wiadomo jak przyłączony do ludzi; obnażywszy krótkie miecze, bez chorągwi i herbów szli orkowie, ci właśnie Urukajowie, z którymi krasnoludom przyszło spotkać się w Morii. Całej piechoty wróg miał około czterech tysięcy, jak określił na oko Malec, i z sześć tysięcy jazdy.

— My mamy w hirdzie równe trzy tysiące ośmiuset dziewięćdziesięciu dwóch — szepnął do hobbita, ścisząc głos. — A Namiestnik ma pięćdziesiąt setek jazdy, sam słyszałem. Będzie gorąco. . .

Folko chciał zapytać, dlaczego w hirdzie jest taka nierówna liczba wojowników, ale arnorska drużyna dała w końcu wrogowi znać, że nie zamierza dłużej czekać. Odezwały się rogi, biało-niebieska masa jak morska fala przelała się w prawo, i nagle wysoko wznosił się nad pierwszymi szeregami sztandar Zjednoczonego Królestwa.

* * *

Jeśli wroga zdziwiła obecność oddziału z Gór Księżycowych, nie okazał tego w żaden sposób. Dodając sobie odwagi zuchwałymi okrzykami, dali koniom ostrogi jeźdźcy prawego skrzydła; zastygła najeżona włóczniami piechota. W tym momencie hobbit pomyślał, że wszystko przepadło, że nigdy nie poradzą sobie z przeciwstawiającą się im siłą, tak liczne, zbyt liczne wydały mu się skupione na polu siły wroga.

A wtedy ruszyły krasnoludy. Drzewo, na które wdrapali się Folko z Malcem, drgnęło i teraz już hobbit nie mógł oderwać wzroku od miarowo przemieszczającego się szyku. Krasnoludy pierwszych rzędów niosły ogromne tarcze okute żelazem, nad które wystawały tylko czubki hełmów. Gdzieś w środku prostokątnego szyku widniała pusta przestrzeń, ale w jakim celu, tego Folko nie potrafił zrozumieć. Było coś magicznego w tym jednolitym, zwartym, nieustannym ruchu; hird wydawał się żywą istotą.

Arnorska jazda usuwała się wciąż dalej w prawo, osłaniając skrzydło szykiem krasnoludów i czarni jeźdźcy najpierw zdumieli się, ale potem część z nich, siekąc wierzchowce pejcami, podążyła, nie zwracając uwagi na hird, w poprzek pola, żeby przeciąć drogę biało-niebieskiemu szykowi. Ponownie odezwały się rogi i hobbitowi wydało się, że ostre żądło klingi wysunęło się z dotąd kryjących go fałd płaszcza — to zwarty klin strażników błyskawicznie zwarł się i spokojnie kłusujące dotąd konie dziarsko ruszyły na spotkanie wroga.

Do odgłosów tętentu i rżenia koni dołączył się nowy — nieustające, niemal ciągłe trzaskanie angmarskich konnych kusz, i hobbit pomyślał, że klin Arnorczyków trafił na niewidzialną przegrodę; zobaczył pierwszych trafionych, bezsilnie walące się na ziemię ludzkie i końskie ciała. Ale nie udało się Angmarczykom do końca zburzyć zachwianego szyku jeźdźców Królestwa; ich jazdy zderzyły się i Folko na zawsze zapamiętał ten dźwięk, w którym zmieszały się krzyki ludzi, szczęk oręza i trzask łamanych kopii.

Nie, kusznicy Angmaru nie stanęli do boju. Natychmiast rozpierzchli się na boki, wciąż zasypując kawalerię przeciwnika bełtami. Druga ich część grupowała się nieopodal, grożąc całkowicie odkrytemu bokowi i tyłowi krasnoludów; ci zaś kontynuowali swój milczący niepowstrzymany ruch, jakby nie zauważali żadnego niebezpieczeństwa. Spokojny był również Malec, na którego zerknął Folko. Patrzył, czy nic nie zagraża jego ziomkom.

A tymczasem okazało się, że Angmarczycy popełnili błąd, nie zwracając uwagi na szyk krasnoludów. Tarcze pierwszego szeregu nagle opadły nieco i hobbit z góry zobaczył, jak nad nimi podniosły się dziesiątki kusz, takich samych jak te, które plotły śmiertelną sieć dokoła wycofujących się arnorskich strażników. Miejsce niedawnej potyczki opustoszało już, jeśli nie liczyć kilkudziesięciu leżących tam nieruchomych ciał. Na ziemi leżało znacznie więcej biało-niebieskich płaszczy niż czarnych.

Kusze krasnoludów uniosły się, a następnie krótkie grube bełty pokazały strzelcom Angmaru, że prócz nich na polu są również inni, którzy potrafią celować i brać poprawki. Folko zobaczył, jak walili się z koni znajdujący się o kilkadziesiąt metrów od hirdu angmarscy kusznicy, i jak zamiast wycofać się, nagle runęli do przodu, prosto na szeregi biało-niebieskiej konnicy, a jednocześnie na prawej flance przeciwnika zagrzmiały trąby.

Większa część znajdującej się tam konnicy Angmaru, wygiąwszy swój szyk na podobieństwo sierpa, runęła na niechroniony bok hirdu, a od czoła na krasnoludów, wrzeszcząc i wystawiając do przodu włócznie, rzuciła się piechota, która składała się z rozbójników i Dunlandczyków. Ruszył również środek — zieloni miecznicy. Tylko orkowie pozostali na miejscu.

Co się dzieje? — pomyślał wystraszony hobbit. Zaraz zakleszczą hird; dokąd pognali strażnicy? Dlaczego porzucili krasnoludów?

Arnorska jazda rzeczywiście odeszła daleko w prawo, pozostawiając hird niemal bez wsparcia. Kusznicy, po wycofaniu się spod krasnoludzkich bełtów, szepili się z lewym skrzydłem strażników, podczas gdy centrum i prawe skrzydło wciąż nie posmakowały walki. Ugrupowanie odchyłało się i uchylało, jednocześnie kryjąc się za wzgórzem, tak że pierwsze szeregi Arnorczyków hobbit stracił już z oczu. Wrogowie siedzący na wzgórzu zaczęli szyc z łuków; Folko zobaczył tam prawdziwą twierdzę z ustawionych w koło wozów, ale w tym momencie Malec szarpnął go za rękaw, więc popatrzył przed siebie.

Nisko pochyliwszy się ku grzywom, przez pole gnali angmarscy czarni jeźdźcy z kopiami i kuszami. Powiewały czarne płaszcze, a w uszach dzwoniło od zawołania: „Angmar! Angmar!”. Czarna chmura strzał chlasnęła po szeregach krasnoludów, grube drzewca kruszyły się o uniesione tarcze, wbijały się w ziemię obok nieustannie maszerujących nóg, znikwały pośród błyszczących hełmów... Czy znajdowały dla siebie cel w szczelinach zbroi wykonanych przez podziemnych krasnoludów? Z boku nie było widać. Hird wydawał się chroniony przez

magię, jego szeregi nie drgnęły, nie załamały się, jak szeregi strażników chwilę temu; szeregi krasnoludów odpowiedziały strzałami na strzały. Ale kusze krasnoludów nie miały zbyt dużo i nie zatrzymały one atakujących. Jeźdźcy uderzyli z dzikimi wrzaskami, pochylając długie cienkie kopie. Jednakże hobbit nagle zrozumiał, że wróg drgnął — widok nietkniętej połyskującej ściany, której, jak się wydawało, nie szkodziły bełty, nie mógł nie podziałać na wyobraźnię atakujących.

A gdy uderzającą jazdę i ścianę tarcz dzieliło tylko kilka sążni, w szeregach hirtu nagle nastąpiło poruszenie i szyk jakby opasały dwa ogniste pierścienie — to słońce, któremu w końcu udało się przebić przez powłokę chmur, rozbłysło na setkach najeżonych zadziorami grotów włóczni, wysuniętych z krasnoludzkich szeregów. Groty pierwszego szeregu znajdowały się na poziomie pasa, drugi szereg wystawał ponad ramiona. Tarcze rozsunęły się na tyle, żeby można było wysunąć drzewce, nie więcej.

Galopująca jazda zobaczyła to zbyt późno. Jeźdźcy nie mogli już wstrzymać koni, gdy z okrzykiem „Hazad!”, który zagłuszył wszystkie inne dźwięki, niewidoczni kopijnicy hirtu wyrzucili broń do przodu i do góry; rozległ się krzyk i pierwsze szeregi jazdy znalazły się na ziemi. I ponownie wezwanie „Hazad! Hazad Ajmenu!” przeszło powietrze...

Ale nienadaremnie arnorscy strażnicy i Rogwold mówili o angmarskiej jeździe jako o poważnym przeciwniku. Unikając śmiertelnych uderzeń długich włóczni hirtu, osłonięta czarnymi płaszczami konnica pospiesznie skręcała, gromadząc siły do nowego uderzenia. Z bezpiecznej odległości zaczęła obsypywać hirt strzałami, a ten szedł i szedł; hobbit zorientował się, w co celują krasnoludowie — w piechotę wroga. Widać było, jak zachwiali się rozbójnicy, ale nie mieli już gdzie się podziać.

Spojrząwszy w prawo, hobbit zobaczył pędzących za plecami hirtu Angmarczyków, z tego samego oddziału, który szczepił się z jazdą Arnoru na początku walki. Odwracając się, kusznicy zręcznie strzelali w biegu, i ścigająca ich jazda Namiestnika w żaden sposób nie mogła zewrzeć szeregów dla decydującego uderzenia. W centrum biało-niebiescy napierali na uparcie wyginający się, ale nie złamany szyk orków, wdrapywali się na wzgórze, gdzie rozpaczliwie odpierano atak zza wozów, i teraz Folko zauważył arnorskie sztandary z tyłu, za plecami wroga. Głębokie obejście, zarządzane przez Namiestnika, udało się, i teraz jego jazda uderzała w plecy angmarskiej piechoty i zagrażała jeźdźcom prawego skrzydła.

Ponownie ryknęły trąby, ponownie ruszyła do ataku czarna kawaleria, tym razem szczelniejsza i bardziej zdecydowana, niczym drapieżny ptak mierzyła w bok hirtu, powtarzając nieudany atak. Jednakże krasnoludowie doszły w końcu do szeregów wrażej piechoty, i Folko zrozumiał, co jego współtowarzysze mieli na myśli, mówiąc: „Poczekaj, nie widziałeś jeszcze naszego hirtu na powierzchni”.

Żelazna ściana z dwoma szeregami kopii nagle wyrosła przed pancernymi pierwszymi szeregów wroga. Potem poraził ich blask krasnoludzkiej stali.

Straszne, nigdy dotąd niesłyszane przez hobbita przedśmiertne wycie zawisło nad polem; hird dygotał i ryczał jak starożytny potwór, który dopadł ofiarę. Folko widział, jak pole za krasnoludami straciło szarość i stało się nagle wielobarwne, jak gdyby ktoś cisnął pod stopy wojom kolorową kołdrę ze skrawków tkanin. Krasnoludy szły po ciałach wrogów, wyrzucając to w prawo, to w lewo, to do przodu ostre zęby-kliny, za każdym razem wybijając wyłomy w szeregach nieprzyjaciela.

— Dobra nasza! Wygrywamy! — wrzasnął Malec, potrząsając pięściami.

Ale oto ponownie atakująca pod czarno-białymi sztandarami jazda Angmaru objęła hird z boku i z tyłu; grad strzał znowu uderzył w chronione tarczami szeregi, a tak rozpaczliwie nacierali Angmarczycy, z taką zaciekłością runęli wprost na pewną śmierć, że krasnoludy zostały zmuszone do spowolnienia marszu. Folko zobaczył, że oszalałe konie panicznie boją się sterczących włócznie, stają dęba, zrzucają jeźdźców, a ci z nich, którzy przeżyli pierwsze uderzenia hirdu, tracili czas, wypuszczając bełty, celując w wąskie szczeliny między tarczami. Zobaczył, jak arkany wyciągnęły się niczym czarne węże, i po pierwszym rzucie udało się miotającym wyszarpnąć z szeregu kilku tarczowników, a przy powstałym wyłomie mignęła nagle jakaś skręcona postać. Hobbit nie potrafił się powstrzymać od okrzyku. Niemożliwe! Czyżby to on? Czyżby i tutaj był Sandello?

Jednakże hird szybko załatał wyrwę w swoich szeregach, strzały strąciły jeźdźca, ciągnącego na arkanie krasnoluda, ten podniósł się, ale w tym momencie trafiła go kopia innego Angmarczyka.

Jednak zamieszanie w szeregach krasnoludów trwało tak krótko, że wróg nie zdążył go wykorzystać. Ponad głowami pierwszymi szeregów strzelały krasnoludy-kusznicy, arkan ponownie chwycił kogoś z hirdu, lina naprężyła się, lecz nagle szyk nieoczekiwanie zachwiał się, pechowy jeździec zaś poturlał się po ziemi i już nie wstał. Spieszących kuszników powitała zwarta ściana lanc: hobbit teraz bardzo dobrze widział, jak malała liczba atakujących, a ziemię na lewym skrzydle hirdu pokrywały leżące ciała.

Rozpaczliwy atak angmarskiej jazdy zatrzymał wszakże krasnoludów; z drugiego skrzydła, naśladując hird, ciasnym szeregiem ruszyli Dunlandczycy, dwie ściany tarcz zderzyły się ze szczękiem i trzaskiem. Napór górali najpierw przyniósł im sukces — odchyliwszy włócznie, dotarli do właściwego pierwszego szeregu krasnoludów i zaatakowali mieczami. W odpowiedzi hobbit zobaczył uniesione nad głowami tangarów topory i w tym momencie niczym kleszcze dwa kliny wysunęły się z hirdu i zdusiły górali. Teraz nic już nie mogło przeszkodzić krasnoludom. Folko widział, jak fala dunlandzkiej piechoty odpłynęła do tyłu, gęsto zasławszy ziemię ciałami towarzyszy; niewielki, ale zaciekły oddział odważnych górali stopniał jak pierwszy śnieg, a hird ponownie ruszył do przodu, żeby dobijać pozostałych jeszcze pieszych wrogów. Tymczasem arnorska jazda, po głębokim

obejściu angmarskiego wojska, z dwu stron zaatakowała orków, którzy trzymali się jeszcze przy wzgórzu, i widać było, że ich szyk runął, że ciężki klin pancernej konnicy zmiażdżył orkowych pancernych, pogoniwszy ich wraz z zielonymi miecznikami wprost pod włócznie hirdu. Drugi oddział strażników, odwróciwszy konie, runął na kuszników, którzy atakowali krasnoludów od tyłu. Zajęci uderzeniem w tył, Angmarchycy zbyt późno zobaczyli nadlatującą zwartym szykiem kawalerię i w następnej chwili żołnierze Arnoru pokazali, co znaczy atak kopijników. Biało-niebieski klin przeszedł przez rozsypujący się tłum kuszników niczym kosa przez kępę trawy, gęsto ścieląc drogę ciałami zabitych wrogów: długie kopie arnorskich wojowników przebijały na wylot tych, którzy usiłowali im się przeciwstawić, i miecze Angmarchyków nie miały w tym wypadku celu, a ich konie odmawiały podporządkowania się jeźdźcom i zawracały.

Już zaczęły płonąć podpalone przez atakujących wozy, za którymi bronili się na wzgórzu. Hobbit zauważył rzucającą się do ucieczki piechotę wroga, już zwycięsko rozbrzmiało wezwanie Arnoru, a „Hazad ajmenu!” krasnoludów nabrało siły gromu: już bliskie było zwycięstwo, gdy nieprzyjaciel nagle pokazał, że ma jeszcze wystarczająco dużo sił, żeby przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę. Na lewo od Folka, tam, gdzie celowała swym uderzeniem znajdująca się za plecami wroga arnorska kawaleria, ponownie ryknęły trąby, i w tej chwili czarni kusznicy odczepili się od hirdu, choć ani na chwilę nie ustał ostrzał. W odpowiedzi nad głowami krasnoludów jak dach podniosły się setki tarcz, i hird przekształcił się w nieprzystępną twierdzę.

A stamtąd, z głębi pola, wróg wyprowadzał wciąż nowe siły. Na swoich niskich konikach pędzili z dzikimi wrzaskami Hazgowie, ruszyły w bój olbrzymie wilki z niskimi jeźdźcami. Ci ostatni natarli prosto na uderzającą z tyłu jazdę, i tam również skreśliła część Hazgów; większość jednak tych straszliwych strzelców uderzyła na hird. Przez mgnienie oka widoczna była w pierwszych szeregach postać bardzo wysokiego jeźdźcy z dwoma obnażonymi mieczami w ręku, a w następnej chwili powietrze wypełnił charakterystyczny odgłos napinanych łuków, i strzały, po trzykroć, jak pamiętał hobbit, grubsze i pięciokrotnie dłuższe od bełtów, znalazły dla siebie cel.

W pierwszym szeregu hirdu upadł jeden, drugi, trzeci tarczownik, natychmiast zastąpili ich inni, krasnoludzkie tarcze zwarły się jeszcze szczelniej. Znowu odpowiedzieli kusznicy hirdu, lecz Hazgowie kręcili się jak wilki i nie żalowali strzał. A reszta angmarskiej kawalerii wyszła na spotkanie arnorskiej, hobbit poczuł skurcz serca, widząc upadających wojowników Zjednoczonego Królestwa, przesytych śmiertelnie skutecznymi bełtami.

Już witający się ze śmiercią piesi wojownicy wroga powoli wyrwali się z kleszczowych objęć hirdu, a za ich plecami Hazgowie i jeźdźcy wilków powstrzymali drugą część kawalerii Namiestnika. Do Folka dotarło, że szala zwycięstwa zawahała się.

W tym momencie z hukiem runęły spalone burty wozów na wzgórzu, gdzie od samego początku bronił się oddział wroga; biało-niebieskie płaszcze przewaliły się przez szczyt wzgórza, a potem ich zwarte szeregi uderzyły z tyłu w uciekających i zwróciły ostrze swego szyku w kierunku boku Hazgów i wilczych jeźdźców.

Wspaniali byli ci niscy strzelcy, ale w zbyt małej liczbie, zaledwie setka czy nieco więcej, i nie mogli powstrzymać naporu. Z dwóch stron dławili ich cęgi jazdy Annuminas; pierwsi nie wytrzymali jeźdźcy wilków, za nimi, nie mogąc odeprzeć uderzenia z krótkich kopii, podali tyły Hazgowie, a połączone siły Arnoru uderzyły teraz w plecy ostrzeliwujących hird. Krasnoludy tymczasem również odwróciły szyk, i zaniechawszy dobijania piechoty, uderzyły na atakujących z lewej. Folko mógł tylko dziwić się, skąd u tangarów, zmęczonych, wydawałoby się, długim bojem taka zręczność: niemal jednym skokiem pokonali dzielącą ich od Hazgów odległość i nie zwracając uwagi na strzały, puścili w ruch kopie i topory.

Jeszcze raz wróg drgnął. Nieznany wódz zorientował się, iż otaczają go ze wszystkich stron, że wielu kusznikom skończyły się bełty, że krasnoludy dławią pomieszane szyki Hazgów, zmuszając ich do porzucenia straszliwych łuków i chwycenia za miecze; czarno-biały sztandar z koroną ruszył do tyłu.

Ocalała piechota angmarskiej armii zaczęła uciekać na północ, tam, gdzie widniały liczne zagajniki, parowy i podlaski; odgryzając się, ruszyły za nimi główne siły — kusznicy. Cały odwrót osłaniali Hazgowie. Ale arnorscy strażnicy już odcięli ich od mostu i teraz, szeroko rozwinawszy szeregi, biało-niebiescy żołnierze rzucili się w pościg.

Hobbit był zachwycony. Zwycięstwo! To jest zwycięstwo! Wykrzykiwał radośnie, a obok niego tak samo wrzeszczał upojony sukcesem Malec. Tymczasem potężny hird wciąż ścigał uciekającego wroga, a ci, którzy nie mogli zejść mu z drogi, znikali jak powaleni przez lawinę.

Strzelali jeszcze, odwracając się w biegu, Hazgowie i kusznicy.

— Nie rzuca swojej piechoty! — wrzasnął nad uchem hobbitowi podskakujący Malec.

Żeby nie trafić pod uderzenia niepowstrzymanego młota hirdu i nie zdeptać swojej piechoty, Hazgowie rozsunęli się na boki, trafiwszy pod kopie Arnorczyków, i niemało ciał w czarnych płaszczach pozostało na trawie w czasie tego wycofywania się; o wiele więcej niż biało-niebieskich.

— Koniec! — usłyszał hobbit głos Malca.

Tam, na północnym skraju pola, piechota przeciwnika w końcu dotarła do zbawczych zarośli, a porządnie przetrzebieni w czasie wycofywania się jeźdźcy rozbiegli się we wszystkie strony. Arnorczyki kontynuowali jednak pościg, i krasnoludy, niezwracające na nic uwagi, znikły w zaroślach.

Przyjaciele zeszli z drzewa i wrócili do obozu. Teraz nie zostało im nic innego, jak tylko czekać. Malec cieszył się, śmiał i podskakiwał wraz z ochraniającymi tył

armii obozowymi, a radość Folka przemieszała się z niezadowoleniem, ponieważ nie wykonał woli Radagasta.

Krasnoludy pojawiły się gdzieś po półtorej godzinie. Hird szedł, nie łamiąc szyku, i bojowa pieśń, z którą chadzali na orków jeszcze ich przodkowie, rwała się pod niebiosą. Wlekli w środku szyku jeńców. Za krasnoludami do obozu powrócił Namiestnik z dużym oddziałem strażników, inna część oddziału kontynuowała pościg za przeciwnikiem.

Wśród radosnych okrzyków ludzi i krasnoludów stary Namiestnik przejechał przed biało-niebieskim szykiem, unosząc rękę w powitalnym geście; minął potrząsający toporami i włóczniami hird, a potem zsiadł z konia i objął starego wodza krasnoludów — owego Horta, z którym Torin posprzeczał się półtora roku wcześniej.

* * *

Tak zakończyła się owa bitwa, i kiedy ucichły zwycięskie odgłosy, wojownicy Arnoru wraz z dużą liczbą krasnoludów wyruszyli na poszukiwanie swoich rannych i zabitych. Malec natknął się w tłumie tangarów na Torina. Jednakże przyjaciele nawet nie zdążyli się objąć, ponieważ tego ostatniego zawołał Hort i poprowadził wraz z grupką innych krasnoludów do już rozbitego biało-niebieskiego namiotu Namiestnika. Rynsztunek Torina błyszczał jak i przed bitwą, tylko nadgarstek prawej ręki pokrywała zaschnięta krew, na szczęście cudza.

Malec przyczepił się do jakiegoś znajomego i wypytywał, dokąd poprowadził Hort ich przyjaciela. Ten, uśmiechnąwszy się, odpowiedział, że Namiestnik kazał przyprowadzić do siebie tangarów, którzy wyróżnili się w walce, i wśród nich znalazł się również Torin.

— A walczył jak wściekły — dodał krasnolud. — Kiedy drugi raz kusznicy zwalili się na nas i zaczęli rzucać arkanami, przekłęci, wyszarpnęli Westriego, i na dodatek pojawił się jeszcze jakiś wściekły garbus, ściął Frora i Frarina i pewnie jeszcze by немало złego wyrządził, gdyby nie Torin.

— Pociął go? — zapytał z nadzieją w głosie Malec, ale krasnolud pokręcił głową.

— Nie da się go tak łatwo ściąć, Strori — odpowiedział. — Torin go odrzucił, ten odskoczył jak kot. Ja byłem obok — bo na mnie przyszła kolej stać z włócznią — chciałem garbatego dziabnąć, ale gdzie tam! Przewinał się przez plecy i tyle go widzieli. A Torin ściął głowy trzem kusznikom, póki odtwarzaliśmy ścianę tarcz. I to jak ściął! — Krasnolud cmoknął z podziwem. — Aż miło było popatrzeć. I tych karłów z łukami rąbał, i kłuł włócznią. Widziałem, bom akurat za jego

plecami odpoczywał. A on nawet się nie zmachał! Kłuje i kłuje, kłuje i kłuje! A rynsztunek, moim zdaniem, ma zaczarowany. Kiedy tamci wystrzelili strzały — te, które nie każdy hełm wytrzyma, i kilku naszych zginęło, to mówię ci, one od niego odskakiwały jak groch od ściany. A potem żeśmy tych łuczników dostali. Och, jak on ich kroił! Od ramienia do pasa!

Chciał coś jeszcze dodać, ale w tej chwili zawołał go któryś ze starszyny hirtu i polecił pomagać wojownikom, którzy zbierali rannych.

Stopniowo wracali strażnicy, którzy ścigali wroga, i w końcu, gdy cała armia się zebrała, gdy opatrzone rannych i zebrano zabitych, Namiestnik wyszedł ze swego namiotu. Trębacze podnieśli do ust długie wygięte rogi i czyste dźwięki rozległy się nad polem walki. Obok Namiestnika stali co znaczniejsi ludzie z Annuminas, a z przodu i nieco niżej najbardziej wyróżniający się ludzie i krasnoludy. Namiestnik uniósł rękę i głośno krzyknął, że wszyscy, którzy tu byli, spełniali swój dług, że wróg został rozbity i nigdy więcej nie naruszy rubieży Zjednoczonego Królestwa, że wszyscy walczący zasłużyli na wielką sławę, ale przede wszystkim należy się ona tym, którzy są tutaj, i Namiestnik przeszedł przed szeregiem wyróżnionych, wywoływał każdego po imieniu, a oddziały oddawały im honory. Wśród krasnoludów, uhonorowanych w ten sposób, znalazł się Torin, syn Dartha.

Każdemu z wyróżnionych Namiestnik wręczał nagrodę: ludziom złoto i broń, krasnoludom — kamienie szlachetne. Za nim szli, gratulując nagrodzonym, jego doradcy, wśród których, ku swojej radości, hobbit zobaczył wysoką postać Rogwolda.

Namiestnik zniknął w namiocie, poleciwszy armii odpoczywać i przygotowywać się do marszu; trzeba będzie iść na Angmar, wykarczować z korzeniami całe zło, które mogło jeszcze zostać tam po rozgromieniu sił Karn Dumu.

Stojąc obok Malca, jeszcze nie otrząsnąwszy się z radości i dumy z powodu Torina, Folko widział, jak Rogwold obejmuje jego przyjaciela; krasnolud bezskutecznie starał się uchwycić wysokiego łowczego gdzieś powyżej pasa. A potem spiesznie ruszyli w kierunku hobbita.

Gdy ucichły radosne okrzyki i usiedli obok niewielkiego ogniska, przede wszystkim zapytali, jak to się wszystko zdarzyło i — to już Folko się wtrącił — czy Rogwold nie wie, kto przewodził najeźdźcom.

Oblicze starego setnika, dotychczas tak pogodne, nagle zachmurzyło się; uważnie przyjrzał się przyjaciołom.

— Właśnie o tym chciałem z wami pogadać — powiedział, odkaslnąwszy. — Zdążyliśmy już przesłuchać kilku jeńców. Powiedzieli nam sporo, ale o tym później. Na pytanie, kto nimi dowodził, Angmarczyk powiedział: „Nasz wódz Earnil, wielki, wielki wódz, pan” i więcej już nic od niego nie usłyszeliśmy. Ale opis jest zawsze jednakowy: wysoki, zgrabny, niesamowicie silny, ma jasną brodę i takie same długie włosy... Jednak pewien rozbójnik okazał się bardziej gadatliwy — wiadomo, ratował swoją skórę! — dodał, że wśród tych najbliższych „wodzowi”,

którzy nie odstępują go na krok i cieszą się największym zaufaniem, był znakomity szermierz garbus! — Nastąpiła cisza, słychać było tylko trzaskanie drewna w płomieniach. — Przyznam, że jakby mnie ktoś walnął w ciemność. Czyżby nasz stary znajomy? Czyżby ten poszukiwacz złota, zwący się Olmerem?

— Garbus Sandello był w boju — wychrypiał Torin. Jego oczy błysnęły ciemnym płomieniem. — Spotkaliśmy się twarzą w twarz; tak się zdziwiłem, że aż mi ręka źle poszła. Ale i on okazał się zręczny nad podziw — uchylił się od topora i od włóczni też... Nie mogłem go trafić, nie mogłem! — Krasnolud zgrzytnął zębami. — A skoro był tu Sandello, musi gdzieś być w pobliżu i Olmer. To ci historia!... O Wielki Durinie, dlaczego nie zarabiałem go wtedy? — Torin zacisnął pięści, jego policzki płonęły.

— O tym właśnie chciałem z wami porozmawiać — smutno pokiwał głową Rogwold. — Musicie mi opowiedzieć wszystko, co wiecie o tym człowieku... I na waszym miejscu pozbyłbym się wszystkich jego podarków. — Popatrzył na nich ciężkim wzrokiem. — Aha, jeszcze jedno... List do Namiestnika, który odwiózł Dowbur, tam to wszystko było opowiedziane! I to, że spotkaliście się z podejrzanym człowiekiem, przyjmowaliście od niego prezenty... Kiedy do Namiestnika dotrze jego imię — a ja nie mogę zataić tego, co wiem — sprawa nie wyrze dobrego wrażenia. Namiestnik ma bystre spojrzenie, ale jest też podejrzliwy. I nie patrz, że uhonorował cię, synu Dartha! Ciebie zna i ceni, ale jeszcze wyżej ceni pokój i spokój na ziemiach Północnej Korony, i nikt nigdy nie wie, jakie ma plany.

— Jeśli nas zapyta, opowiemy — wycodził przez zęby Torin. — A co do prezentów — popatrzył prosto w oczy Rogwoldowi — to toporzysko, które sobie sporządziłem z jego kostura, nie zdradziło, powiem więcej — pomagało: jest bardzo mocne i poręczne! Coś mi się nie chce wierzyć, by nałożone nań były jakieś złe czary...

Krasnolud czule przejechał dłonią po żółtawej rękojeści swojego topora, Folko natomiast chwycił pochwę na piersi; strach, że ktoś może sięgnąć po jego ostrze na krótką chwilę, zmącił świadomość i wywołał taki ból, że omal nie jęknął. Nie, rozstać się z tym cudownym darem — niemożliwe, nie do pomyślenia! Nigdy i za nic go nie odda!

— O Olmerze z Dale pogadamy jeszcze później — powiedział spokojnie Torin, nie zauważając zmarszczonego czoła Rogwolda, gdy przyjaciele odmówili pozbycia się prezentów. — Porozmawiajmy lepiej o tej wojnie. Od czego się zaczęła? Jak się toczyła? Zadaliśmy ci to pytanie, ale ty od razu zaczęłaś o Olmerze.

— Jak się zaczęła? — Były setnik przejechał dłonią po czole, jakby zbierając myśli, ale hobbit nagle poczuł, że w sercu Rogwolda przyczaiło się słabe, ale nieprzyjemne podejrzenie. — Wszystko zaczęło się od nocnego kuriera, który przyjechał z północnej strażnicy. W doniesieniu była mowa o tym, że jakiś wódz poderwał miejscowych zuchów i prowadzi ich na Arnor; naliczono sześć tysięcy

konnych i około tysiąca pieszych. Namiestnik od razu posłał po mnie i po innych, z którymi się zazwyczaj naradza. Najpierw się wahaliśmy — może to zwykły najazd przygraniczny? Ale potem przyszło drugie doniesienie: czarni kusznicy i zieloni miecznicy puścili z dymem strażnicę i szybko idą na południowy zachód. Wywiad Namiestnika jest, trzeba przyznać, wspaniały — wiedzieliśmy o przeciwniku niemal wszystko. Nie tracąc więcej czasu, Rada uznała, że trzeba stanąć na drodze. Wtedy właśnie Namiestnik przypomniał sobie o twoim liście. Miał przecież jakiś wpływ, Torinie! Od środka lata, gdy posłanie dotarło do rąk Namiestnika, zaczął on ściągać wyborowe szwadrony do stolicy i od razu wysłał posłów do Gór Księżycowych. Twój współplemieńcy spełnili obietnice i okryli się na tym polu wielką sławą.

— Ze sławą dajmy sobie spokój — przerwał krasnolud, uparcie pochylając głowę. — Zrobiliśmy to, co należało. . . Nie o tym powinniśmy rozmawiać! Proszę, mów dalej.

— Gdy otrzymaliśmy niepokojące wiadomości, do Haldor Kais został wysłany goniec. Namiestnik wysłał do Horta Czerwoną Strzałę!

Torin gwizdnął zdziwiony, a Folko przypomniał sobie, że w Królestwie Czerwona Strzała uważana jest za symbol najwyższego zagrożenia i wszyscy, którzy ją zobaczyli, powinni od razu chwytać za broń.

— Hird wystąpił natychmiast. Namiestnik wyznaczył miejsce spotkania w Archedajnie, w samym środku Królestwa, a sam śledził ruchy oddziału wrogów. Dowiedzieliśmy się, że ich liczba stale rośnie — dołączały do nich inne oddziały idące z południa. Na Zachodnim Gościńcu zauważono Dunlandczyków, a potem z lasów zaczęli wychodzić również nasi rozbójnicy. Oddział straży granicznej usiłował ich zatrzymać, ale siły były nierówne; jego dowódca zdążył tylko uprzedzić mieszkańców przygranicznych terenów, i ci się pochowali. Wkrótce zrozumieliśmy, że wróg kieruje się na Fornost i, szczerze mówiąc, zdziwiliśmy się. Angmarczycy nie zajmowali się grabieżą, nigdzie się nie zatrzymywali, i to mnie, muszę przyznać, zaniepokoiło. Co oni wymyślili? — łamaliśmy sobie głowy. A tymczasem wszystko już było gotowe do wymarszu i Namiestnik poprowadził pięć tysięcy wojowników do Arthedainu, gdzie mieliśmy czekać na krasnoludów. Namiestnik jakby się nie spieszył; liczył, że wróg na pewno wyhamuje pod murami Fornostu i nie będzie mógł zostawić na tyłach mocnego garnizonu. Chciał doprowadzić do bitwy pod samymi murami miasta. Oczywiście, gdyby ten wódz Earnil czy Olmer nie taszczył ze sobą tyle piechoty, mogliby nas wyprzedzić, ale piechota wstrzymywała go. Właśnie dlatego uznaliśmy, że będzie dążył do otwartej bitwy; gdyby to był zwykły najazd, nie brałby ze sobą piechoty. Krasnoludy dotarły do Arthedainu dokładnie o czasie i ruszyliśmy do Fornostu. Wywiad doniósł, że wróg jest o jedno przejście od miasta; wszystko szło tak, jak przewidywaliśmy.

— A co to była za łuna? — zapytał hobbit.

— Fornost płonął! — rzucił głuchym głosem Rogwold, zaciskając pięści. — Wróg zdobył go z marszu. Na razie nie opowiem wam szczegółowo, co tam się stało — mogę tylko się domyślać, na podstawie tego, co opowiedział pewien żołnierz, któremu cudem udało się umknąć z miasta. Ktoś — jak się wydaje — otworzył oddziałowi kuszników wrota, zabiwszy wcześniej strażników. A kusznicy od razu zajęli dwie wieże. Potem była bitwa w mieście, ale Angmarczycy przedarli się w pięciu miejscach. Wszyscy wojownicy, niestety, zginęli. Uratowany opowiedział, że najeźdźcy grabią domy i kramy, ale ze szczególną zaciętością wyszukują i mordują strażników. . . Uznaliśmy, że wróg obciążony zdobyczą nie będzie więcej kusił losu, ale nasz podjazd przyniósł inne wieści. Spaliwszy miasto, Angmarczycy ruszyli dalej, prostą drogą do Arthedainu i Annuminas.

— No co liczyli? — Głos Torina brzmiał ochryple.

— Wydaje się, przyjaciele moi — Rogwold ponownie przejechał dłonią po czole — że ten Earnil chciał zniszczyć arnorską drużynę w jednym otwartym boju. Nie mógł nie wiedzieć, że Namiestnik wysłał przeciwko niemu jakieś siły, ale sądził, że najwyżej cztery tysiące, a już na pewno nie spodziewał się tu krasnoludów! Z wysłaną przeciwko niemu naszą ciężką jazdą miał nadzieję sobie poradzić, a potem. . . Potem mógł skierować się prosto do stolicy. Nie dziwcie się, ja też najpierw nie mogłem tego zrozumieć. Patrzcie: w Fornoście miał swoich ludzi, dlaczego nie mieliby być i w Annuminas? Wojska w stolicy nie tak znowu dużo, poza tym liczył, że część wojowników zostanie wysłana mu na spotkanie, a zebrać całej reszty, rozsianej po odległych stanowiskach, Namiestnik po prostu nie zdąży. I rzecz jasna, nie zdążyłby, gdyby nie nasza dawna rozmowa i ostrzeżenie, o czym już mówiłem. Tak więc, rozbiwszy po drodze naszych w centrum Arnoru i zajmąwszy Annuminas — język mi staje kołkiem, gdy to mówię! — mógł utrzymać się dość długo. Do nadejścia posiłków z Gondoru. Namiestnik dobrze przewidział, że wróg będzie dążył do walki, i dlatego nie chował się, tylko krasnoludy od czasu do czasu zostawały z tyłu. A ten Earnil najpierw zobaczył to, co chciał zobaczyć — jazdę. Ech, mówiłem Namiestnikowi, że mało mamy konnych łuczniczków. Jak walczyć z konnymi kusznikami? Ale to tylko tak, przy okazji. . . A kiedy wróg zobaczył, że ma przeciwko sobie nie tylko jeźdźców Annuminas, ale również hird krasnoludów, to — i tu stało się coś dziwnego! — ja bym na jego miejscu rozwinął się i wycofał. Ale albo on nigdy nie zetknął się z krasnoludami i nic nie wiedział o ich szyku, albo zbyt polegał na swoich strzelcach. Na dodatek popełnił błąd — rzucił kuszników na hird, a ci tu ugrzęźli. Gdyby zostawił w spokoju całą tę swoją piechotę, z której nie miał w ogóle żadnego pożytku, i rzucił wszystkie siły na, drużynę, to my przeżylibyśmy ciężkie chwile. Ale on zobaczył, że krasnoludy zaraz zmiażdżą jego piechotę, i nie wymyślił niczego mądrzejszego jak tracić w bezskutecznych atakach swoją najlepszą jazdę, póki nie złamaliśmy orków w centrum, tych wozaków na wzgórzu, i nie zdusili z trzech stron.

— Wozaków? — zainteresował się Torin. — Kto to był?

Zamiast odpowiedzi Rogwold sięgnął w zanadrze i wyjął skórzany worek, rozplatał wiązadła i na jego dłoni znalazł się niewielki mlecznobiały kamień, trójgraniasta piramidka.

Chwilę przyjaciele patrzyli oniemiała, a potem Torin syknął:

— Mogilniki...

Rogwold pokiwał ze smutkiem głową.

— Tak, to one. Earnil zdołał zebrać wszystkich, którzy czują się skrzywdzeni przez Arnor, nieważne, słusznie czy nie. I poprowadził ich ze sobą. Pierwszy atak odparliśmy, ale kto wie, czy nie nastąpi kolejny?

Długo jeszcze rozmawiali. Folko, Malec i Torin, przerywając sobie wzajemnie, opowiadali staremu łowczemu o tym, co widzieli na południu; ten z kolei ucieszył ich, przekazując wieści od Dorina, które nadeszły do zajazdu „Pod Rogiem Aragorna” tuż przed napaścią Angmarczyków. Nieujarzmiony krasnolud pisał, że wraz z Gloinem i Dwalinem szczęśliwie dotarli do Ereboru, gdzie udało im się przeciągnąć na swoją stronę tysiące odważnych krasnoludów i ruszenie Wschodniego Kraju zamierza wystąpić do Morii już wiosną.

— Było tam jeszcze coś — zauważył były setnik, chmurząc się. — W stepach, na południe od Jeziora Długiego, dzieją się ważne rzeczy: Easterlingowie zamierzają wyruszyć gdzieś na południowy wschód, aż do skraju Gór Mordoru, nie wiadomo tylko, na kogo ostrzą zęby. Dorin mówi, że od stepowych wodzów krasnoludy Samotnej Góry dostały spore zamówienie na broń, ale usłuchały ludzi z Królestwa Nadjeziornego i odmówiły, sprzedawszy tylko surowe żelazo.

— Cóż, niech się tam Easterlingowie rzną, z kim chcą — podsumował okrutnie Torin. — Będziemy mieli mniej kłopotów.

— To by było dobrze — westchnął Rogwold. — Ale coś mi podpowiada, że stepowi ludzie mogą się rozmyślić.

Błady księżyc wolno sunął po ciemnym nieboskłonie, stopniowo zsuwając się do wra chmur zaciągających zachodni horyzont. Pożegnawszy się, zmęczony Rogwold poszedł odpoczywać, a przyjaciele nadal siedzieli przy dogasającym ognisku, i myśli ich krążyły wokół tego, z którym trzykrotnie zetknął ich niepewny los i który teraz przewodził ich wrogom — krążyły wokół Olmera z Dale, jeśli tak brzmiało jego prawdziwe imię. Skąd się wziął? Jak podporządkował sobie dumnych i hardych, kochających wolność Angmarczyków? Czym kupił i związał ze sobą pobitych Dunlandczyków? Dlaczego idą z nim słudzy Mogilników? Co, prócz wrogości do Arnoru, mogło połączyć tak różnorodne oddziały z tak dziwnym wodzem? Czyżby jedną udaną wyprawą na stolicę zamierzał wygrać wojnę z ogromnym i potężnym Królestwem? Jakim sposobem miał zamiar obronić się przed dziesięciokrotnie silniejszą armią, którą wysłałby Gondor? Jakie ma plany teraz i na co liczy w przyszłości?

— Jedno w tym jest dobre — pomyślał głośno Folko. — Spełniłszy wolę Radagasta, teraz tylko trzeba mu o tym powiedzieć.

— Mimo to nie rozumiem, dokąd dalej prowadzi nasza droga — powiedział Torin, grzebiąc w węglach. — Kiedy Radagast nas znajdzie?

— Już was znalazł — rozległ się głuchy głos za plecami Malca.

Krasnoludy i hobbit natychmiast chwycili za broń; przed ogniskiem stał wysoki człowiek o ponurej twarzy, wyglądający złowieszczo w purpurowym świetle dopalających się węgli; na jego ramieniu siedział, mrużąc duże żółte oczy, ogromny puchacz. Ręce maga mocno ścisnęły grubą sękatą laskę, przy pasie wisiał długi miecz w czarnej pochwie. Radagast wolno zmierzył przyjaciół badawczym spojrzeniem, i hobbit drgnął; w tym spojrzeniu krył się ogromny niepokój. Nieznane zwykłym śmiertelnikom, ale wyraźnie widoczne przez Radagasta zagrożenie nadchodziło skądś z zewnątrz, i żeby mu się przeciwstawić, nie można było tracić ani chwili.

— Chwała Jasnej Elbereth, jesteście cali. . . — powiedział zmęczonym głosem mag, siadając na płaszczu rozścielonym obok ogniska. — A teraz mów, Torinie!

— Wykonaliśmy twoje polecenie — powiedział Torin ochryplym głosem, jak zwykle w chwili zdenerwowania. — Imię przywódcy: Olmer z Dale! — Na twarzy maga nie drgnął żaden mięsień, tylko jego duża głowa pochyliła się nieco niżej, jakby pod niewidzialnym ciężarem. — Znają go również pod innymi mianami — ciągnął krasnolud. — Angmarchycy nazywają go Earnil, rozbójnicy wódz, a orkowie „pan”. Znałem go w młodości pod przydomkiem Okrutny Strzelec.

— Olmer z Dale. . . — szepnął Radagast tak wyraziście, że wszyscy zadrżeli, nawet beztroski zazwyczaj Malec. — Teraz wszystko jest jasne.

— Co. . . co jest jasne? — zapytał wystraszony hobbit.

— Właśnie do niego przyłączyli się wrogowie Arnoru — odpowiedział mag. — Na tym polu nie spotkaliśmy jeszcze wszystkich. Wiedźcie, że nie dalej jak wczoraj Morski Lud napadł na porty przy ujściu Brandywiny, a prowadził ich jeden z najmocniejszych wolnych tanów o imieniu Skilludr. Miasto zostało spalone i złupione, arnorscy wojownicy zostali wybici, i wróg już zamierzał iść w głąb wybrzeża, gdy nie wiadomo w jaki sposób otrzymał wieść o porażce Olmera na północy i pospieszenie odstąpił, odpłynawszy na otwarte morze. Tę wiadomość przyniosły mi mewy. . . — Mag umilkł na chwilę. — Ale teraz opowiedzcie mi szczegółowo o bitwie!

Uzupełniając się wzajemnie, Malec, Folko i Torin relacjonowali wydarzenia, a w miarę jak mówili, twarz Radagasta stawała się coraz bardziej ponura.

— Orkowie w jednym szeregu z ludźmi! — mruknął, chmurząc czoło. — Takich rzeczy nie było od Wojny o Pierścień. Chwycili za broń czciciele Mogilników! Niebywała sprawa! — Mag położył ciężką dłoń na ramieniu Torina. — Zasłużyliście na wielką sławę, khazadowie! Ale nie traćmy czasu na podniosłe słowa o honorze i bohaterstwie. Znaćcie wodza Angmaru, a ja powiem wam, że nieprzy-

padkowo pod jego sztandarami znaleźli się niektórzy słudzy Mroku. W nim — mag pochylał się nad ogniskiem, przyciągnął głowy przyjaciół bliżej i ściszył głos — czuję już nie czerni, ale czarną moc, i wydaje mi się, że coś podobnego wyczuwałem wcześniej, dawno, dawno temu, w minionych wiekach Wielkich Wojen. Nie wiem, skąd w nim ta moc, niestety! Nie mam też już sił iść daleko. Ale powiadam wam i klnę się na wieczne trony Valarów, że moja wiedza i przeczucia są prawdziwe, on nie zatrzyma się na tym! Idąc przez obóz, słyszałem, jak któryś z bliskich Namiestnikowi wojowników powiedział, że Olmer uroił sobie, iż jest Królem bez Królestwa. Tak więc on się nie uspokoi, póki jego królestwem nie stanie się... wiele, bardzo wiele z tego, co dziś jest wolne, i białe zmieni barwę na czarną. I teraz proszę was, nawet błagam, spełnijcie swój dług do końca. Sami wybraliście sobie drogę poszukiwania i walki, dlatego że żaden z was już nie potrafił żyć po starym. Przejdźcie więc odmierzoną wam drogą do końca, do najwyższej ścieżki!

— Ciemne są twoje słowa — z trudem wykrztusił Torin. — Pograżyłeś nas w mroku, nie wiemy, co teraz robić. Wojsko idzie na Angmar...

Ramiona Radagasta opadły bezsilnie, jego głos zabrzmiał głucho i cicho:

— Zły los ponownie uczynił mnie heroldem nieszczęścia i biedy... Jeśli jest wam drogie wolne i szczęśliwe życie Śródziemia, to zróbcie, co możecie, dla jego obrony!

— Nas nie musisz przekonywać — zmarszczył czoło Malec. — Powiedz, co mamy robić!

— Co robić!? — zagrział nagle mag. — Powiem wam! I bądźcie dumni, ponieważ nikomu prócz was nie mógłbym tego powiedzieć. Wiedźcie, że istotą wszystkiego jest ta czarna moc, która posiadała już imię i oblicze — imię i oblicze Olmera z Dale! I jakkolwiek ciężko mi o tym mówić, bo szansę na powodzenie są nikłe, wszystkim pozostałym, których zasłonicie sobą, powiadam: idźcie po śladach Olmera, Króla bez Królestwa, idźcie i zabijcie go!

Ponownie zapadła cisza, tylko węgle skwierczały w ognisku; hobbitowi wydało się, że patrzy w samo serce ziemi i widzi straszliwe, nieforemne cienie, które wolno, ale nieubłaganie suną ku górze, żeby stopić się w jedno z Mrokiem, który już ścieli się nad Śródziemiem. Czuł, że nie jest już sobą, lecz kimś zupełnie innym i tylko on może zniszczyć płody Pierwotnego, niechby nawet za cenę swojego życia.

A potem, gdy wrócił do świadomości i zobaczył twarze przyjaciół oraz maga, dotarły do niego nienaturalnie spokojnie wypowiedane słowa Torina, wycierającego gałganem topór:

— Cóż, zawsze to lepiej, gdy znasz swego wroga osobiście...

I Malec uśmiechnął się jak zwykle beztrąsko w odpowiedzi na pytające spojrzenie Radagasta, po czym skinął głową. Zaraz za nim na znak zgody uniósł poły-

skujący topór Torin, a potem hobbit, jak zaczarowany wpatrując się w przepastną
żrenicę Radagasta, w milczeniu pochylił głowę.